

Halina Auderska

Królowa Bona
SMOK W HERBIE

Biała klacz spłoszyła się, skoczyła w bok i nagle nad głową księżniczki zaszumiał, rozśpiewał się las. Za kudłatą od paproci polaną wąską ścieżką wiodła coraz głębiej w dziewiczą puszcze, gałązki drzew, tak niepodobnych do cyprysów i palm, uderzały Bonę po aksamitnym kołpaczku, po policzkach i ramionach. Prędszej, jeszcze prędszej! Presto! Presto! Nie ścigała cugli, dała się ponosić szalonej wierzchówce ze stadniny Sforzów. Pęd, szum wiatru nad głową, szum w uszach, uśmiech triumfu na wargach. Oto ona, córka principessy z Bari, bierze w posiadanie tę ogromną, puszczańską ziemię, o której tyle jej opowiadał Stanisław Ostroróg, poseł i dworzanin króla Sigismunda, polski kasztelan. Castello... Wierzchówka stanęła nagle przed gęstą, zwartą ścianą zieleni jakby przed murem warownego zamku i, pokręciwszy się chwilę po rozległej polanie, zawróciła sama na ścieżkę.

– Zmęczona? Si. Zmęczona... – gładząc wilgotną, pociemniałą szyję przemawiała do niej czule Bona. – Wracaj na gościniec, carissima, na czoło orszaku.

Klacz potrząsnęła przekornie łbem, ale ścieżyna była tylko jedna, ledwo widoczna wśród leśnego gąszczu; wracała tedy tą samą drogą, która przywiodła ją w głąb lasu.

Polonia... – rozglądała się wokół jej pani. Tak więc wygląda owe północne królestwo, którego granicę przekroczył orszak dopiero wczorajszego ranka. Ale posłowie mówili nie tylko o szumiących, nieprzebranych borach i o nielicznych osadach. Chwalili wspaniałe castella wielmożów, górujące nad szmaragdowymi łąkami, mówili o równie pięknej jak zamki władców italskich siedzibie królewskiej na Wawelu. Kasztelan Ostroróg, wkładając jej na palec pierścień ślubny z wielkim diamentem Zygmunta Jagiellona, nie taił, że zostaje małżonką jednego z najpotężniejszych władców Europy. A wicekról neapolitański i kardynał d'Este jeszcze przed uroczystą chwilą tych zaślubin per procura, jeszcze przed ucałowaniem przez nią szmaragdowego krzyża z relikwią świętego Mikołaja, patrona Bari, mówili długo o obowiązkach, których cały naród w Polsce – tak dziwnie wymawiał nazwę swego kraju Ostroróg – spodziewa się po niej, nowej małżonce królewskiej. Nie, nie powiedzieli wówczas „nowej”. O tym, że wychodzi za wdowca, dowiedziała się wcześniej od principessy matki, gdy ta zaczęła słać coraz częstsze listy do cesarza Maksymiliana, który wśród licznych kandydatek raczył wybrać i polecić polskiemu królowi właśnie ją, Bonę Sforza d'Aragona, wnuczkę nieżyjącego już króla Neapolu i córkę mediolańskiego księcia. Pytała matkę, czemu to uczynił, ta jednak uchylała się od odpowiedzi. Twierdziła, że polskiego króla, męża w sile wieku, mogła zarówno zachwycić podobizna młódki wręczona mu w Krakowie przez jej mentora i wychowawcę Colonnę z Neapolu, jak zdumieć wysokość posagu uczonej i słynnej z urody księżniczki italskiej.

I oto stało się. Rozstępują się teraz przed nią kolumny drzew o zieleni w najróżniejszych odcieniach, jak niedawno jeszcze, przed wyruszeniem w daleką podróż, rozstępowały się tłumy na ulicach Neapolu i Bari, wznoszące okrzyki „Evviva la principessa Bona!”, „Bellissima principessa Bona!”

Tak było już po uroczystych zaślubinach, ale pamięta, jak przedtem jeszcze matka obeszła wraz z nią cały zamek z trzypiętrowymi wieżami, ozdobiony herbami Sforzów – smokiem z

koroną na łbie i ludzką postacią w pysku – i weszła do ukwieconej, jarzącej się od światła dworskiej kaplicy. Klęczały długo przed ołtarzem, z którego patrzył na nie patron Bari, święty Mikołaj, i tam właśnie, przy wzajemnym podawaniu sobie wody z kropielnicy, odbyła się rozmowa, którą księżniczka zapamiętała na zawsze.

Dostojna i piękna jeszcze Izabela Aragońska, principessa Bari i Rossano, wówczas już wdowa wypędzona z Mediolanu przez regenta księcia Ludwika II Moro, dotknęła wilgotnymi palcami dłoni córki, mówiąc:

- W tej kaplicy byłaś ochrzczona, carissima.
- Dwadzieścia trzy lata temu – odrzekła chyląc głowę.
- Oszalałaś? – skarciła ją principessa. – Osiemnaście. Powiedzmy: dziewiętnaście.
- Zapamiętam.
- Cara mia! W chwilach trudnych módl się zawsze do świętego Mikołaja, naszego patrona.
- Si. Zapamiętam.

– Te stare mury – dodała księżna z naciskiem – widzą ostatni raz księżniczkę Bari i Mediolanu. Kiedy przybędziesz do mnie w odwiedzin, wejdiesz do tej kaplicy już jako królowa. Regina Poloniae.

- Tego nie jestem pewna. – Potrząsnęła lekko głową.
- Jak to? Że będziesz królową? – zdziwiła się principessa.
- Nie. Że wejdę jeszcze kiedyś do tej kaplicy.
- Ależ perché? Perché?

Odpowiedziała bez namysłu:

- Bo chyba królowie nie jeżdżą w odwiedzin do książąt. Nawet tak sławnych jak włoscy.

Księżna wyprostowała się, zmarszczyła brwi.

- Jestem twoją matką.

– I właśnie dlatego – próbowała naprawić swój błąd – zapraszam cię, pani, do stolicy mojego północnego królestwa.

Ale księżna Sforza odpowiedziała wyniośle:

- Przyjadę do Cracovii dopiero na chrzest następcy tronu. Nie wcześniej.

– Cóż... Zapamiętam – westchnęła i wyszła w ślad za matką. Nagle klacz skoczyła w bok, suchy konar z trzaskiem padł tuż za nią i jasno oświetlona kaplica znikła przed oczu Bony. Zanim uspokoiła wierzchówkę, już była pod łukiem potężnych drzew nie znanych jej z nazwy, splątanych w górze konarami. I oto mroczne sklepienie przypomniało jej ciemną, ponurą grootę, do której wprowadziła ją zaufana służka Marina tego samego dnia, kiedy czyniły z matką obchód zamku. Zapadał już wtedy zmrok, w grocie palił się tylko jeden kaganek, a przybrany w dziwaczne szaty mag mówił:

- Chcesz znać, signora, całą prawdę?
- Si. La verita. Prawdę i tylko prawdę...

Wpatrywał się długo w szklaną kulę, mrużył oczy, wreszcie rzekł:

– Widzę... Widzę łapy dzikiego zwierza na końskim grzbiecie. Zabija... Widzę też dwa smoki na straży wielkiego zamczyska.

– Aż dwa? Mam smoka w herbie. Co znaczy drugi? – pytała.

– Nie wiem. Nie widzę dobrze...

– A co wiesz? – nalegała.

– Będiesz, pani, władczynią sławną na cały świat i potężną, ale...

– Ale?

– Strzeż się trujących ogni z paszczy smoka. Trujących ziół... Bądź czujna. Obrażaj tylko tych ludzi, których zemsty nie musisz się obawiać.

– Jadę do kraju, gdzie może gryźć tylko jeden smok, Sforzów. Gdzie nie zabija zatruty sztylet ani trujące ziele. Mów o czym innym. Będę szczęśliwa?

– Jeżeli, będąc wielką, potrafisz być szczęśliwą – odparł, cofając się w głąb groty.

– I to wszystko? – spytała zawiedziona.

– Powiedziałem dużo. Nawet chyba... za wiele – szepnął.

Wtedy krzyknęła już z gniewem:

– Chcę być szczęśliwa! Słyszysz? Szczęśliwa ponad wszelką miarę!

Mag rozłożył bezradnie ręce. Niezadowolona z wróżby odwróciła się i odeszła bez słowa.

Teraz, po wielu miesiącach od tamtego spotkania z magiem, wyjeżdża oto z mroku sklepienia i jest na tejsze kędzierzawej od paproci polanie, na którą skręciła z gościńca biała klacz. Ale polana już nie jest pusta. W jej stronę zdążają rycerze z przybocznego orszaku, łucznicy z osłony, biegną nawet pokrzykując mali paziowie. Przeraziła ich swoim zniknięciem i za chwilę nie będzie już czasu na rozpamiętywanie lat młodości spędzonej w słonecznym księstwie Bari.

Kwietniowy dzień był jednak jak w Italii pogodny i pełen blasku, kiedy świetny i liczny orszak przyszłej królowej dotarł do Morawicy, siedziby możnego rodu Tęczyńskich. A że od tygodnia, dla przyspieszenia pochodu, odpoczywano nie tylko po miasteczkach, lecz także w namiotach na polankach leśnych lub na suchych łąkach, towarzyszący Bonie poseł królewski Ostroróg za jej zgodą zarządził, że postój w Morawicy będzie długi. Na godzinę przed wjazdem pachołkowie włożyli wspaniałe kapy, rzędy i pióropusze na konie rycerzy, a Ostroróg podszedł do Bony w szacie mieniącej się srebrem i ciężkiej od klejnotów. Ona sama, zrzuciwszy strój podróży, przywdziała niebieską suknię przetykaną złotem, a zamiast kołpaczkiem jasne włosy osłoniła aksamitnym beretem zdobnym w kosztowną zaponę. Ostroróg patrzył pełen podziwu na wielkie, gorące oczy Włoszki, na złociste włosy, na świeże usta nie pobladłe od trudów podróży, wreszcie na całą postać smukłą, a mimo to przywodzącą na myśl zręczność i siłę legendarnych Amazonek. Podjechał do niej zupełnie blisko i nim spotkał ich gospodarz Morawicy, ciągnący ze swoimi dworzanami naprzeciw, zdążył wyjaśnić, jak znaczne są w Polsce rody Tęczyńskich, Tomickich, Zarembów i Łaskich. Do Morawicy pośpieszyli już bowiem, by powitać przyszłą królową: podkanclerzy koronny i zarazem biskup Piotr Tomicki, wojewoda Jan Zaremba i – jako przedstawiciel kniaziów litewskich – wielki hetman Konstanty Ostrogski. Prymas Jan Łaski miał

witać księżniczkę dopiero wraz z królem przed Krakowem i złączyć ją prawdziwym już ślubem z polskim monarchą.

– Mogę z nimi mówić po łacinie, jak i z wami, panie? – spytała.

– Tak – potwierdził – chociaż Tomicki, wiele lat pobierający nauki w Bolonii i w Rzymie, mówi po włosku jak rodowity Italczyk.

– I to prawda, że tak wielu waszych młodzian przebywa w uniwersytetach Padwy, Bolonii i Romy? Myślałam, że przyjechawszy do nas z umową ślubną przechwalaliście się tylko.

– I po co miałbym to czynić? – zapytał zdumiony.

– Perché? – powtórzyła. – Sama nie wiem. Ale domyślacie się chyba, kasztelanie, że byli i tacy, którzy myśleli z żalem o moim małżeństwie i woleli mówić o was z niechęcią.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, z wdziękiem, i musiał przyznać, że król polski uczynił słusznie, nie zwlekając z przysłaniem ślubnego kontraktu i pierścienia z diamentem. Po czym oboje umilkli, bo już widać było na gościńcu zbliżający się do nich orszak Jana Tęczyńskiego z Morawicy.

Parodniowy pobyt w tym polskim dworze, pierwszym z poznanych przez Italczyków, miał być odpoczynkiem dla strudzonych podróżnych, a zarazem przedsmakiem festynów, jakie szykował dla nich Kraków.

Już pierwsza uczta wydana na cześć Bony swoją wspaniałością przeszła oczekiwania wszystkich jej dworzan. Siedzący obok księżniczki podkanclerzy koronny, biskup Tomicki, bawił ją nie tylko włoskimi rymami Danta i Petrarcki, lecz także opowiadaniem o swym olbrzymim księgozborze, o ciekawych rozmowach i dysputach z wybitnymi poetami mieszkającymi w Krakowie – Dantyszkiem, Krzyckim. Tłumaczył też księżniczce przemówienie hetmana Ostrońskiego i wyjaśniał, że odniósł on wielkie zwycięstwa w wojnie z Moskwą i że to właśnie Orsza uczyniła jego imię sławnym nie tylko w całej Polsce, lecz także w środkowej Europie. Chciała powiedzieć, że ten stary rycerz budzi lęk i w niej samej, ale słowo „stary” nie przeszło jej przez usta. Uprzytomniła sobie nagle, że zwycięzca spod Orszy może mieć tylko niewiele więcej lat od tego, z którym prymas połączy ją prawdziwym ślubem jeszcze przed końcem kwietnia. Zaczęła więc wypytywać Tomickiego o przyszłego małżonka, a ten opowiadał chętnie o jego wielkoduszności, dobroci, o ostrożności tak potrzebnej w tym kraju, o rozległych granicach, wreszcie o godnej podziwu rozwadze. Słuchała tych pochwał z tym samym skupieniem, co chełpliwych uwag hetmana o dzielności jego syna Ilii, który jako dziedzic olbrzymich dóbr na Litwie był przedmiotem snucia małżeńskich planów przez wszystkie litewskie kniahinie. Jednakże hetman wolałby mieć za synową córkę polskiego wielmoży i obiecywał przysłać jedynaka na dwór krakowski, aby zdobył na nim nie tylko ogładę, ale także odpowiednią małżonkę. Obiecała mu żartem, że przeznaczy dla Ilii najpiękniejszą z polskich dworek, które według umowy ślubnej miał wybrać dla niej sam król, i spojrzała z żalem na koniec stołu, gdzie siedziały jej italskie panny, z których niewiele tylko mogło pozostać, w myśl tejsze umowy, na wawelskich komnatach.

Cztery dni w Morawicy minęły szybko, a piątego, po przybyciu z Italii przedstawiciela principessy kardynała Hipolita d'Este, znającego Bonę od dziecka, zaczęto szykować się do drogi. Był piętnasty dzień kwietnia, słoneczny i prawie upalny, gdy orszak opuścił wreszcie Morawicę. Bona jechała na swej białej klaczy u boku pana Tęczyńskiego, który miał odprowadzić dostojnego gościa aż do Łobzowa, być świadkiem zajęcia przez przyszłą królową miejsca w czekającej na nią karocy i tam włączyć się do dworskiego orszaku.

Kolebka była nad podziw piękna, wybita na zewnątrz szkarłatem; zajęły w niej miejsce obok Bony trzy dworki z najznamienitszych rodów italskich. Przed karocą jechali konno dwaj trębacze, a za nimi, w przepisany porządek, kilkudziesięciu ludzi z eskorty w barwach królewskich. Było to czoło pochodu, za którym szła kompania lekkiej chorągwi na pięknych koniach bułanej maści, a za kolasą oraz karetami wysłannika cesarza Maksymiliana i kardynała d'Este jechali na wspaniale przystrojonych wierzchowcach w bogatej uprzęży dostojnicy królewscy i Jego dworzanie, wśród nich przedstawiony przyszłej monarchini już w Łobzowie ochmistrz jej dworu, Mikołaj Wolski. Pochód był wielotysięczny, zgiełkliwy i barwny nad podziw, toteż chłopci schodzili z pól, stawali na skraju gościńca i przyglądali się pełni podziwu wjazdowi nowej pani na Wawel.

Ona sama, dotychczas tak spokojna, zaczęła zdradzać niecierpliwość czy też niepokój. Na pytanie Diany di Cordona, co ją trapi, odparła gniewnie, aby zamilkły wszystkie, musi sobie bowiem przypomnieć wskazówki, jakie otrzymała od principessy przed samym odjazdem. Dotyczyły one także powitania przyszłego małżonka oraz jej posagu, usiłowała więc, korzystając z ostatnich chwil przed spotkaniem, przypomnieć sobie, jak było wówczas w Bari.

Tak, pamięta. Rankiem pogalopowała z jednym tylko koniuszym, młodym Gaetano, nad szmaragdową zatokę, którą już Horacy nazywał „rybną”, i pożegnała się z morzem, ze słońcem południa, z gajami oliwek i cytryn. Potem zajrzała raz jeszcze, także z Gaetano, do wszystkich znanych im grot przybrzeżnych, do książęcych winnic i wreszcie, przebrana w strojnieszszą szatę, stanęła na progu największej z komnat zamku. Czekali już tam na nią doktor Alifio, dworzanin zaprzyjaźniony z nią od lat wczesnego dzieciństwa, i Gian Lorenzo Pappacoda, zausznik principessy, oko i ucho władczyni baryjskiego dworu.

Pamięta. Jej dostojna matka siedziała wówczas oparta o poręczę wysokiego, rzeźbionego krzesła i wskazując ruchem ręki obu dworzan, oznajmiła tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Pojadą z tobą. Łatwiej zniosę rozłąkę, jeżeli tych dwóch wiernych mężów będzie mi donosiło o wszystkim, co dzieje się w Cracovii. A także służyło tobie.

Ośmieliła się wtedy zapytać:

– Doktor Alifio jako mój przyszły kanclerz?

– Si – przyznała księżna Sforza. – A signor Pappacoda – burgrabia krakowski. Tyle lat był kasztelanem Bari. Bardzo doświadczony.

– Ale nie zna języka – ośmieliła się zauważyć i dodała po chwili: – Jak i ja sama.

Księżna zmarszczyła brwi.

– Słyszałam – rzekła – że Elżbieta Habsburg, zwana Rakuszką, matka wielu królów z rodu Jagiellonów, jadąc do Cracovii nie знаła ani jednego polskiego słowa. Niente, niente! A mimo to już po roku... Nie jesteś, mam nadzieję, mniej od niej zdolna i bystra?

– Rozumiem – skinęła głową.

– Poza tym dostajesz olbrzymi posag. Taką wyprawę ślubną, jakiej żadna królowa tego wieku do domu małżonka nie wniosła.

Pappacoda wyliczał pośpiesznie:

– Czterdzieści osiem zwojów obić ściennych ze skóry kordybanowej...

– Makaty jedwabne... – dorzuciła principessa.

– Sztuk trzydzieści sześć. Dywany, srebrne puchary, misy, lichtarze, czary złote...

Przerwała, recytując jak wyuczoną lekcję:

– I dwadzieścia szat ze złotogłowi haftowanych perłami. Nie wymieniając stu piętnastu haftowanych srebrem koszul, dziewięćdziesięciu arcykosztownych czepców i czapeczek... Wiem, wiem, pamiętam. To kosztowało ile?

– Pięćdziesiąt tysięcy dukatów – odparła matka – i o wiele więcej w sumach posagowych.

– Niemało – przyznała. – A w jakim języku mam zaraz po ślubie przypominać o tym dostojnemu małżonkowi?

Choć były do siebie podobne i principessa rozumiała dobrze, czemu jej córka użyła zjadliwego słowa „przypominać”, przez wzgląd na obecność dworzan odpowiedziała pochwałą przyszłego małżonka:

– Sigismundus rex zna łacinę równie dobrze jak ty. Pamiętaj, że był przez wiele lat uczniem przesławnego Kallimacha.

– Rozumiem – skinęła znów głową, a księżna mówiła dalej:

– Tak więc na razie w języku Cicerona opowiesz mi o tym, że w dniu pożegnania, wruszającego pożegnania z córką, kazałam wyryć na jednej z płyt zamku napis: „*Tutaj stała królowa polska, kiedy żegnała się z Donną Izabelą, matką swoją, księżną Mediolanu, Bari i Rossano*”.

Pamięta, że cofnęła się wtedy o krok, żeby zobaczyć napis na płycie, którą zasłaniał kraj jej szaty. Ale płyta była pusta, być może jeszcze pusta? Kto wie, czy po jej wyjeździe nie pojawił się na niej ów napis? A może nie odnajdzie go tam nikt nigdy i będzie takim samym zmyśleniem jak ów tytuł księżnej Mediolanu, z którego wypędził je najpierw stryj regent, a z kolei i tego Sforze usunął z księstwa król francuski Ludwik XII?

Przyszło jej na myśl, że to równo szesnaście lat temu, w kwietniu 1502 roku zamieszkała na stałe z principessa na Bari, Rossano i hrabstwie Borello w zamku z czterema narożnymi wieżycami nad zatoką i że trzeba będzie podać inne daty małżonkowi, skoro w jego oczach ma uchodzić za młodszą o lat kilka. Ale już nie było czasu na żadne obliczenia, gdyż dano jej znać, że czoło orszaku zbliża się do miejsca spotkania z najjaśniejszym panem, królem Polski, Litwy i Rusi.

Tuż pod Krakowem, pośród kwitnących łąk było rozesłane szkarłatne sukno, na którym stał namiot dla królewskiej pary. Król Zygmunt, choć raczej powolny i nigdy nie tracący spokoju, tym razem pospieszył na powitanie małżonki, której podobizna zapowiadała młodkę wielkiej urody. Opuścił tedy namiot, ledwo zagrzmiały okrzyki, wiwaty, i zobaczył z daleka zatrzymującą się karocę oraz swoich posłów, Ostroroga z Zarembą, pomagających wysiąść księżniczce italskiej na drugim końcu barwistego sukna. Stali przez chwilę i on, i ona, stali bez ruchu, ale gdy zagrzmiały trąby i huknęły działa, zaczęli zbliżać się ku sobie, oboje ciekawi, oboje świadomi, że na ich przywitanie patrzeć będzie tysiące oczu. Jak opowiadali sobie potem dworzanie, jego zachwycała niezwykła uroda wybranki, oczy jeszcze bardziej podobne do czarnego aksamitu przy jasnych, złocistych włosach, ją zdumiała jego postać wysoka, potężna, a mimo to kształtna, i rumieniec na ogorzałych policzkach. Szli najpierw wolno, potem coraz szybciej i Stańczyk, docisnąwszy się aż do miejsca, które zajmował poeta Krzycki, zadrwił:

– Pilno im. Ale głowę dam, że oboje myślą to samo: szkoda, że idący naprzeciw nie ma trochę mniej lat. Bo ona to nie młodka, a rozkwitła róża...

Tymczasem królewska para zeszła się w pół drogi i Bona skłoniła głowę, on zaś najpierw wyciągnął ku niej rękę, ale gdy chciała ją ucałować, objął pochyloną w ukłonie gorącym uściskiem. Przy dźwiękach trąb i huku dział ustawionych pod murami grodu król wprowadził swoją wybrankę do namiotu, gdzie powitał ją łacińską oracją prymas Łaski, a odpowiadał doktor Alifio. Zaraz potem marszałek nadworny Piotr Kmita, przedstawiony młodej pani wraz z innymi dygnitarzami dworu, zarządził sformowanie nowego pochodu. Jadąc na białej klaczy obok króla, Bona widziała przed sobą posłów cesarskich, wysłańców króla Czech i Węgier, dygnitarzy i dworzan królewskich, ogromny orszak panów duchownych i świeckich wprowadzający ją do Krakowa. Dopiero jednak zjeżdżając w dół z łagodnego pagórka zobaczyła wreszcie i sam obwarowany gród, nad którym niby iglice przebijały lecące obłoki setki wież i wieżyczek kościelnych. Potem przez potężny Barbakan orszak wsunął się w ulice miasta o wążutkich a wysokich kamienicach. Przybrane były wszystkie w tureckie makaty, wzorzyste kobierce, w proporce ze smokiem Sforzów i herbami Jagiellonów. Do ścian domów przystawiono drabiny, na których tłoczyła się gawieź, a z otwartych okien wiwatowali mieszczanie i urodziwe mieszczyki, odziane strojnie jak w największe święto. Krzyczeli ludzie, nie ustawały bić działa oraz huczeć dzwony, i tak orszak dotarł wieczorem do katedry na Wawelu, gdzie już przy świecach pochylili się wszystkie głowy przed grobem świętego Stanisława, patrona Polski. Po pięknej i długiej mowie powitalnej księdza biskupa, podkanclerzego Tomickiego, król podał rękę nowo przybyłej i wprowadził na wawelskie komnaty, a że było już po północy, dworki Bony pospiesznie ułożyły ją do wspaniałego łóża.

Była zmęczona nie mniej od nich, odurzona zapachem kadzideł, rozedrgana jak powietrze za oknami dźwiękiem dzwonów, które przestały bić tej nocy dopiero o dwunastą. A jednak nie mogła zasnąć i dworka Marina, śpiąca w tejże sypialni, dwukrotnie podchodziła do łóżnicy, poprawiała poduszki, pytała, czy principessie nie za zimno, czy nie zamknąć okna? Ale ona

patrzyła jeszcze długo na niebo nabite gwiazdami, jakby to był sierpień, nie kwiecień, i rozpamiętywała chwile, kiedy po szkarłatnym suknie szła z dumnie podniesioną głową, ale z bijącym sercem, ku swemu przeznaczeniu.

Jednakże dopiero w niedzielę osiemnastego kwietnia po takim samym czerwonym suknie ruszył koronacyjny pochód z zamku do wawelskiej katedry. Szła wedle obyczaju przed królem, pierwsza, zaraz za marszałkiem wielkim koronnym i dwoma dostojnikami niosącymi na złotych tacach insygnia władzy: berło oraz jabłko. Po jej bokach kroczyło dwóch biskupów i także dwóch towarzyszyło kroczącemu za nią monarsze. Szła z jasnymi włosami spadającymi luźno na plecy i po drodze, w przepelnionej świątyni, słyszała szepty, lecz inne niż dobrze jej znane pochwały „bella” czy „linda”. Szeptali: „Piękna” i było to pierwsze słowo, jakie potrafiłaby wymówić w tym kraju, który witał ją z tak barbarzyńskim przepychem. „Piękna” była gorejąca od światła świątynia, „piękna” uroczystość zaślubin z tym niedźwiedziem z północnych lasów, który przybrany wspaniale na ślub i koronację stąpał za nią olbrzymi, oszczędny w gestach, tak niepodobny do ruchliwych i drobnych Italczyków.

Jej biała, lekka szata, przecięta wedle koronacyjnego obyczaju z przodu i z tyłu, ledwo dotykała purpurowego chodnika, a mimo to zaczęła jej ciążyć. Z ulgą opuściła się na aksamitny klęcznik, a tuż obok ugiął kolana Zygmunt.

Zaczęła się uroczysta msza poprzedzona obrzędem ślubnym, przysięgą i związaniem stulą ich rąk, ale już przy „Kyrie eleison”, którym rozśpiewał się chór głosów w górze, król wstał, odszedł i zasiadł na podwyższeniu obok ołtarza. Została sama czekając na podobną koronę, jaka tego dnia zdobyła głowę jej małżonka. W tejże chwili prymas w asyście biskupów odwrócił się od ołtarza, podszedł ku klęczącej i zaczął się modlić. Choć słowa te słyszała po raz pierwszy, rozumiała je dobrze, jako że były wypowiedane w języku łacińskim:

– Spójrz, Boże, na służebnicę swoją, którą wybrałeś na królową i błogosław ją swą potężną prawicą za wstawiennictwem błogosławionej Dziewicy Maryi przez Chrystusa Pana Naszego...

Z chóru rozśpiewał się, rozbrzmiał „Agnus Dei”, a dwóch innych biskupów zeszło od ołtarza ku prymasowi, podając mu złoty kielich. Ucałowawszy go z czcią, wsunął palec do rzeźbionej czaszy i kciukiem umaczanym w świętym oleju zaczął namaszczać jej głowę, pierś i plecy, odnalazłszy nie bez trudu pod złocistymi puklami rozcięcie szaty. Bona starała się być spokojna, ale czuła, jak coraz mocniej bije jej serce w takt wypowiedanych przez prymasa słów:

– Namaszczam cię na królową olejem poświęconym w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Pokój z tobą.

Chciała odpowiedzieć, ale to biskupi odpowiedzieli za nią: „I z duchem twoim”, a chór głosów w górze wybuchnął radością, głosząc nowinę:

– Namaścił Salomona Sadok kapłan i Natan prorok na króla Syjonu.

Sama Madonna! To o niej śpiewały te anielskie głosy, bo w tejże chwili prymas wsunął na jej palec ciężki pierścień ze słowami: „Przyjmij ten pierścień jako znak wierności i szczerego serca”, po czym nakreślił znak krzyża nad podawaną mu przez biskupów królewską koroną.

Współkoronatorzy trzymali ją ponad głową klęczącej, dopóki prymas nie ukończył słów uroczystej inwokacji:

– Boże, korono Twoich wiernych, pobłogosław tę koronę, by służebnica Twoja, która ją będzie nosić, była ozdobiona licznymi cnotami.

Skończył, a biskupi włożyli koronę na złote włosy i dopiero wówczas prymas rzekł:

– „Przyjmij koronę chwały i radości, byś zasłużyła na wieczyste wesele w niebie. Amen”.

Ukoronowanej już dał do prawej ręki berło, do lewej jabłko i udzielił błogosławieństwa:

– „Niech cię błogosławi i strzeże Bóg, który cię ustanowił królową nad narodem” – rzekł, a zaraz potem ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami wrócił przed wielki ołtarz.

Kończyła się msza przerwana ślubem i koronacyjnym obrzędem, a ona sama poczuła, że dźwigają ją, klęczącą, mocne ramiona tych samych, którzy towarzyszyli jej przy wejściu do świątyni. I to już koniec...

Idzie znowu po miękkim suknie aż do stóp wzniesienia, na którym czeka na nią król, i zasiada obok niego na tronie, w całym majestacie, w blasku tysiąca świateł. Stara się patrzeć prosto przed siebie, by zapamiętać na zawsze to barwne widowisko, radosne okrzyki wiernych, bicie dzwonów i triumfalne „Te Deum”, którym rozbrzmiewa teraz cała świątynia.

„Vivat regina! Vivat! Vivat!” – krzyczą tłumy, unosi więc głowę i uśmiecha się łaskawie. Największy z zaszczytów, najwspanialsza z ceremonii świata stała się udziałem jej, italskiej principessy z małego księstwa Bari. Jej, Bony Sforza d’Aragona...

Tegoż wieczora w sali, na której obicie poszło kilkaset łokci złocistego brokatu, odbyła się wspaniała uczta weselna. Obok pary królewskiej, wciąż jeszcze w koronach, zasiedli posłowie cesarscy, księżęta piastowscy z Mazowsza i księstw śląskich, duchowieństwo, dostojnicy cudzoziemscy i polscy. Niewiasty błyszcząły klejnotami i urodą, barwiste stroje wielmożów lśniły od kosztownych łańcuchów, diamentowych guzów i zapon. Na stołach stało tysiące pucharów i mis z wszelkim mięsiwem, setki srebrnych naczyń z siedzącymi na nich w pełnym upierzeniu smukłymi bażantami, z dziczyzną znaczną dzięki posrebrzonym rogom żubrów i jeleni, przywiązanych kunsztownie do uchwyty tac, a wreszcie wiele złotych czasz z pomarańczami, cytrynami i owocami w cukrze. Pito odstały węgry, miód i sprowadzone na ten dzień italskie wina. Oracje przeplatały się z wiewatami, przygrywała italska orkiestra, z podwórca dochodziły okrzyki pachołków i czeladzi, raczącej się piwem wprost z beczek. Było duszno, gorąco, gwarno i bawiono się tak znakomicie, że po ośmiu godzinach niemal wszystkim dwoiło się w oczach: służby w polskich kontuszach było znacznie więcej niż na początku ucztowania, pachołki nosiły w rękach aż po cztery dzbany, świece w lichtarzach iskrzyły się poczwórnym płomieniem; wszystkiego było za wiele, prócz jednego: donośnego, rubasznego pokrzykiwania „Gorzko! Gorzko!” Ale że tego nie śmiało zawołać nikt, przeto szeptało tylko, że królowej nie przybyło rumieńców, choć siedzi tych monarchiń w koronie już nie jedna, tylko dwie, że koron w Królestwie Polskim przybyło jakoś ponad miarę, cztery już złocą się nad głowami ich królewskich mości, a może i tych głów jest także cztery? In vino veritas. Ani chybi – cztery...

To wszystko i więcej jeszcze dostrzegały bystre, czujne oczy kanclerza królowej, bo wystarczyła jedna jego rozmowa z mistrzem ceremonii, aby para królewska wstała od stołu i udała się do sali sąsiedniej, gdzie italscy dworacy odtańczyli wdzięcznie nie znaną w tym kraju pawanę i galardę, a potem tańczył już po polsku, po krakowsku, po litewsku, kto mógł, chciał i jeszcze trzymał się krzepko na nogach. Jak doniósł swej pani Alifio, miasto także nie spało tej nocy. Gospody były otwarte, barwne korowody przebiegały ulice, kuglarze i błazny bawili lud na Rynku przedziwnymi sztuczkami. Grały kapele, dzwoniły dzwonki trefnisiów, szumiał, huczał i hulał do białego rana cały gród podwawelski...

Uroczystości trwały od poniedziałku dziewiętnastego kwietnia – dziewiętnastego dla uczczenia lat panny młodej – aż do soboty i ucieszyły jeszcze oczy pospólstwa pasowaniem przez króla na rycerzy kilku panów polskich oraz italskich, przyjmowaniem przez monarchów cennych darów od poddanych oraz świetnym turniejem na dziedzińcu zamkowym. I na tym skończyło się świętowanie. Goście poczęli opuszczać rozbawiony Kraków, dostojnicy włoscy powracali do Bari, zabierając ze sobą część dworek królowej, które zastąpić miały panny z najznamienitszych polskich rodów. Bona zęgnęła je z żalem, ale też i z dumą, gdyż po jednej z gorących poślubnych nocy zdołała uprosić u króla łaskę pozostawienia wielu dworzan z jej italskiego orszaku.

Nie było to jednak największe z jej dotychczasowych zwycięstw: mlecznobiałe, gorące ciało nie zdradziło tajemnicy prawdziwego wieku, zdało się królowi nad podziw młode, piękne. A i Bonę zdumiała siła ramion kochanka, jego namiętne pożądanie. Zaznała w czasie tych kilku nocy rozkoszy prawdziwych, zgoła innych niż te, które przeżywała nieraz w marzeniach sennych.

Dotykając kruchymi palcami jego mocarnych barków i ud, zagadnęła, czy to prawda, co mówili jego posłowie, że łamię podkopy w rękę? Odparł, że czynił tak za młodu, ale teraz woli głaskać jej atlasową skórę i – jeśli będzie trzeba – łamać opory, toczyć zgoła inne zapasy, osiągać inne zwycięstwo.

– Z kim i jakie? – zapytała zdziwiona.

– Z wami, mia cara – odparł, obejmując ją gwałtownie. – A także nad wami...

Pytała kiedyś maga, czy zazna szczęścia? Po co? Powinna była wiedzieć, że będzie szczęśliwa, skoro tego sama chce, skoro tego tak bardzo pragnie...

Po odjeździe ostatniego z dostojnych gości przez cały dzień przebywała ze swoimi dworkami, oglądając zamkowe komnaty i piękne krużganki, a potem w ścisłym gronie najmilszych panien zasiadła nad wielką czarą, w której jednak nie złościły się cytryny, tylko wspaniałe łańcuchy, zapony i wisiory przyniesione jej w darze od króla przez podskarbiego koronnego, Szydłowieckiego. Kiedy wszedł, w jego rękach znajdowały się tylko klejnoty, ale tuż za podskarbiszły pacholeta niosące cienkie tkaniny przetykane złotą nicią i lśniące od drogich kamieni oraz adamaszki, aksamity i brokaty na liczne suknie.

Zapytała swego nadwornego poetę, Mikołaja Carmignano, czy zapisał wszystko, co zobaczył w czasie ich podróży do Cracovii, i kiedy wyśle na dwory europejskie opis wspaniałej

uroczystości ślubnej i otrzymanych przez nią darów? Odpowiedział, że zapamiętał każdy szczegół licznych ceremonii, a nawet ułożył już list do principessy Izabeli, sławiący w rymach triumf jej dostojnej córki.

Kazała przeczytać sobie ów list i słuchała uważnie pierwszego panegiryku poświęconego jej jako królowej.

– „Patrząc na króla tak wielkich zamysłów, na bogatą, potężną Koronę, kiedy on córkę twą pojął za żonę, ciesz się, o księżno...”

Przymknęła oczy i ukołysana śpiewnością mowy italskiej przeniosła się myślą do potężnej budowli w kształcie trapezu, gdzie w największej z zamkowych sal księżna Bari nie omieszka odczytać na głos swoim przyjaciółom i dworzanom pierwszego pisma królowej córki. Biedna wygnanka! Tak bardzo bolała zawsze nad utratą Mediolanu, tak często wymieniała imię swego małżonka, następcy neapolitańskiego tronu. Teraz może się chlubić, że jest matką reginae Poloniae, że w dalekiej Cracovii la bellissima Bona jest równie potężną władczynią, co królowe Francji i Anglii...

*

Była ciekawa, czy mogłaby jeździć konno po tutejszych ogrodach i galopować wzdłuż brzegów Wisły, ale kanclerz Alifio bał się, że nie pochwaliby tego ani król, ani lud tutejszy przywykły do oglądania swych królowych tylko w majestacie lub w kolebkach ciągnionych przez cztery rumaki. Skrzywiła usta. Przebywanie w zimnych komnatach, gdy za oknami świeciło wiosenne słońce, zaczęło jej już ciążyć. Kazała Marinie wybadać, jakie są podwawelskie ogrody i czy nie mogłaby siadywać w cieniu drzew z wierszami Horacego lub Petrarcki w rękę. Czy właśnie tam, wśród młodej zieleni, nie powinna by ich bawić przydzielona do jej dworu karlica Dosia?

Dworka, jak Pappacoda, była okiem i uchem principessy w Bari, nie musiała więc czekać na jej relację z przechadzki po zamkowych ogrodach. Już następnego ranka, rozczesując dłużej niż zwykle miękkie lśniące jak jedwab włosy królowej, rzekła:

– Ogrody, miłościwa pani, są niewielkie, znanych nam drzew i kwiatów nie ma w nich żadnych. Ale... – zaczęła i urwała nagle.

– Mów, presto! – zniecierpliwiła się Bona.

– Widziałam w tych ogrodach troje dzieci... – dokończyła szeptem.

– I cóż, żeś widziała? – zdziwiła się Bona. – Miałas donosić tylko o tym, co ci się zda ważne.

– Si. I z tej właśnie przyczyny... Bo były to dzieci królewskie, miłościwa pani.

Odwróciła się od zwierciadła tak gwałtownie, że dworka zachwiała się i cofnęła o krok.

– Czyje? Króla, mojego małżonka? Dziwne... Słyszałam od principessy tylko o jednej córce. O innych dzieciach nie mówił mi ani Ostroróg, ani nikt tutaj na zamku.

– A któż by się ośmielił wspominać nowej królowej o córkach po obu niewiastach, które kiedyś miłował polski monarcha?

– Miłował? – powtórzyła marszcząc brwi. – O tym dowiem się od i niego sama. Polski? Odtąd będziesz zawsze mówiła: nasz.

– Certamente, nasz.

– Tedy jakież to małe dzieci widziałaś w ogrodach?

– Dwie dziewczuszki jasnowłose to córki pierwszej żony królowej: Jadwiga i Anna. – Dworka rozwarła ręce, pięć palców uniosła w górę na jednej i trzy na drugiej. – Małe to, zmarłej matki nie mogą pamiętać.

– Bene. O macochach mówią, że bywają złe, pasierbów nimi straszą. Chcę, żeby król wiedział, że z tymi małymi będzie inaczej. Jego córki – niby moje rodzone, i to najmiłsze. A trzecia?

Marina wykrzywiła pogardliwie usta.

– Beata Kościelecka. Spotkałam jakiegoś trefnisia...

– Stańczyka? Ostroróg chwalił jego dowcip.

– Nie. Mniej sławnego, tamten to wódz tutejszych błaznów. I ten błazenek, najjaśniejsza pani, koziołkując i strojąc pocieszne miny, nazwał ją córką królewską z nieprawego łoża.

– Stulta! Powtarzasz plotki trefnisiów? Nie trzymałby jej tu, pod moim bokiem. Pytałaś Pappacodę? Może on wie więcej?

– Wiedział – przyznała niechętnie. – Ojcem tej małej był Andrzej Kościelecki, zaufany naszego króla, wielki pan, kasztelan. Zmarł przed trzema laty, a matką... Matką, miłościwa pani, jest dawna kochanica królewska, mieszcza Katarzyna Telniczanka. Miał z nią, jak to wy badał Pappacoda, dwie córki i syna. Jan to już dziś dziewiętnastolatek...

Chciała coś dodać, ale królowa nakazała ruchem ręki milczenie.

– Syn... Tedy z faworyty i żony nie same córki. Pierwszy, najstarszy – jednak syn... Nie uznany za prawego następcę, skoro na uczcie w Morawicy wojewoda Zaremba pił zdrowie moje i przyszłego dziedzica korony, upragnionego następcy tronu... Jagiellona.

– Nie uznany – potwierdziła dworka – ale wygląda na to, że kościelnych zaszczytów będzie syt. Od pacholęcia – tytułarny kanonik krakowski.

– Powiesz Pappacodzie, że chcę wiedzieć o nim wszystko: co łączy go z matką, czy widuje go król, jakie żywi on uczucia do ojca? I czemu ta mała Kościelecka bawi się w królewskich ogrodach? Jej piastunka może być szpiegiem Telniczanki.

– Ta od lat, od ślubu z pierwszą żoną, niegroźna, najjaśniejsza pani.

– Co możesz o tym wiedzieć już teraz? Trzeba czasu, żeby mieć pewność, jakie tajemnice kryją te grube mury. A teraz basta! Przejdę się z dworkami po ogrodach i krążgankach. Presto! Presto! Gdzie Diana? Gdzie Flora? Gdzie Beatrice?

Zjawiły się natychmiast, ale przez to nie przybyło drzew i krzewów w królewskich ogrodach. Były tam jakieś niskie szpalery i bukszpanowe meandry, były kępy fiołków i niezapominajek, ale wszystko śmiesznie ubogie wobec przepychu neapolitańskich i nawet baryjskich parków. Istotnie, spotkała bawiące się tam dziewczynki i przywoławszy do siebie najstarszą, próbowała,

gładząc rozwichrzone włosy małej, zjednać ją sobie cukrami przyniesionymi przez dworki. Królowa przyglądała się jej ciekawie, zjadła ofiarowane łakocie, ale porozumieć się nie mogły. Określenie „piękna” nie pasowało ani do żadnej z dziewczynek, ani do ich skromnych, choć jedwabnych szatek, ani tym bardziej do zamkowego ogrodu. Musiała jednak wypowiedzieć to jedyne ze znanych jej polskich słów. Pamiętała uwagę matki, że Elżbieta Habsburg nauczyła się szybko owej barbarzyńskiej mowy, toteż schyliwszy się, zerwała sama największy z fiołków i podając małej, spytała:

– Piękna?

Odpowiedział jej wybuch śmiechu. Mała królowa chwyciła kwiatek i przysuwając go do twarzy nieznajomej, zaczęła powtarzać z dziecinną przekorą:

– Piękny! Fiołek piękny! Piękny!

Santa Madonna! Kto mógł wiedzieć, że o włoskiej violi nie można rzec jak o principessie „bellissima”? Kto by przypuszczał, że nie umie posługiwać się poprawnie nawet tym jednym słowem, a niezrozumiałej lekcji gramatyki udzieli jej pięcioletnie dziecko?

Elżbieta Rakuszanka... Nie, nie będzie od tamtej gorsza. Wie już, co zrobi natychmiast, od jutra: zacznie uczyć się tego dziwnego języka. Jednakże, aby pozostać sobą, Boną Sforza, zamieni od razu te biedne ogrody w przepyszny kwietny kobierzec, w zielony raj godny zachwyty największych poetów Italii...

Prawie biegła po cienistych krążgankach, nie przestając ganić, narzekać, snuć planów na najbliższą przyszłość.

– O Dio! – dziwiła się – to mają być ogrody polskiego króla? Trochę drzew i dużo trawy. A sad? Warzywnik? Ależ tam nic nie rośnie.

Niente! Niente! Trzeba będzie sprowadzić italskich ogrodników. A także kucharzy. Wszystko, co jedzą ci ludzie, jest nie do jedzenia: za tłuste i za słodkie. Żadnych jarzyn, sałaty, owoców. Zawiesiste zupy i sosy, gorzkie piwo. Okropność!

– O, si – przytaknęła Marina.

– Dio! Co bym teraz dała za soczystą cytrynę! Za winogrona... Przystanęła nagle, zapatrzona w przestrzeń, myślami w słonecznym Bari.

– Południowe frukta mają wkrótce nadejść z Italii – zdążyła wtrącić Diana di Cordona, ale rozgniewała tym królową. Wkrótce! Ona chce teraz, zaraz dotykać ciężkich, dojrzałych gron. Tych ciemnych, których sok ma barwę krwi, a skórka pokryta jest jakby puchem. Albo brzoskwiń o rumieńcach żywszych niż na policzkach dziecka. Prawda... Ta mała Jagiellonka. Co myślą panny o starszej córce króla? Ma imię dziwaczne, do wymówienia trudne: Jadwiga. Szkoda, że tego nie można zmienić.

– Ale jest ładna, pełna wdzięku – Beatrice próbowała bronić małej i także naraziła się królowej.

Znów szła na czele swego orszaku podniecona, chmurna.

– Och! Tobie podoba się tutaj wszystko. Od przyjazdu słyszę tylko zachwyty i pochwały:

zamek większy niż w Bari, komnaty wspanialsze. Tymczasem dziś dopiero, kiedy jest pochmurno, dostrzegłam, że obicia w mojej sypialni są za ciemne. To nie grób! Trzeba jak najprędzej rozwiesić przywieszane kobierce i opony.

Milczały, tylko Marina przytaknęła gorliwie:

– Si! O si! Mury Wawelu tak zimne, tak ponure...

Urwała dostrzegłszy ochmistrza dworu, który szedł im naprzeciw z młodą dziewczyną u boku. Panna była smukła, wysoka, jasnowłosa.

Królowa przystanąła znowu, mrużąc oczy. Jeszcze nie wygasł w niej gniew, bo ton, jakim powitała ochmistrza, nie wróżył nic dobrego.

– A! Maresciallo Wolski? Zażywa przechadzki, i to nie sam.

Skłonił się lekko, wcale nie zmieszany.

– Z nową dworką najjaśniejszej pani. To Anna, córka wojewody kaliskiego Jana Zaremby, który polecał usługi swojej jedynaczki jeszcze u Tęczyńskich, w Morawicy. Panna biegła w łacinie i zna język włoski.

Królowa przyjrzała się uważnie pochylonej w ukłonie jasnowłosej, urodziwej dziewczynie.

– Bene – powiedziała po długiej chwili. – Będzie wyjaśniać to, co dla nas tutaj nie dość jasne. I mówić ze mną po polsku. Umie śpiewać?

Marszałek spojrzał na Annę, ale ta odrzekła bez wahania niskim, przyjemnym głosem.

– Si.

– I tańczyć?

– Si.

– To dobrze, że odpowiadasz jednym słowem. Nie znoszę próżnej gadaniny. Pamiętaj także: każdy mój rozkaz ma być wykonany natychmiast. Presto! Presto!

– Dołożę wszelkich starań...

Bona nie spuszczała przez chwilę oczu z wojewodzianki. Milczała, aż wyrok zapadł:

– Zmienisz jeszcze dzisiaj kolor sukni. Nie cierpię fioletów. Dobrze to dla duchownych, nie dla młodych seniorin z mojego orszaku.

Bez żadnego przejścia, odwracając oczy od Anny, rzuciła w stronę ochmistrza dworu:

– Caro maresciallo! Wracam z ogrodów zamkowych, z tutejszych stajni. I nie jestem zachwycona. Czy wiecie, że w naszych stadninach w Bari były konie wielkiej urody? Moją ulubioną klacz siwej maści otrzymał w darze sam Henryk Ósmy, król Anglii. Nie chciałabym teraz wysyłać z Polski na dwory monarsze rumaków mniej pięknych niż ongiś principessa – moja matka.

– Powtórzę koniuszemu Tomickiemu, miłościwa pani – skłonił się Wolski.

Ale już nie patrzyła na niego, tylko na Marinę, pytając, czy zabrała traktat włoski o hodowli koni. Słynny traktat, który przydałby się bardzo nadwornemu koniuszemu na Wawelu. Nie? Szkoda. Trzeba będzie sprowadzić to dzieło z Bari przez pierwszego posłańca z listami do principessy. A także nasiona kwiatów i warzyw. I znowu nagle, bez żadnego przejścia, zwróciła

się do dworek:

– Idziemy obejrzyć sarkofag.

Wolski nie potrafił ukryć odruchu przerażenia.

– Ależ mistrz Berecci zaczął dopiero budowę kaplicy, gdzie zostaną złożone zwłoki pierwszej małżonki miłościwego pana. I sarkofag jeszcze niegotów. Zamek w rozbudowie, wciąż brak kamieniarzy, rzeźbiarzy, budowniczych...

– Których sprowadza się z Italii – wtrąciła Bona. Wolski nie zaprzeczył. Mówił coś jeszcze o stanie prac w zaplanowanej przez Zygmunta części zamku, ale królowa ucięta krótko:

– Sarkofag niegotów? Tym lepiej. Może da się jeszcze coś poprawić, zmienić? Jako dziecko byłam świadkiem przebudowy zamku blisko Mediolanu pod kierunkiem mistrza Bramante i ozdabiania jego wnętrza przez samego Leonarda da Vinci.

Lekkim ruchem ręki włączyła Annę do grona towarzyszących jej dworek i poderwała się znów do biegu po krużgankach. Ochmistrz patrzył przez chwilę z podziwem na barwną plamę jej sukni, na oddalający się orszak królowej. Zbudził go z zamyślenia dobrze znany, zgryźliwy śmiech.

– Burza minęła? Wichura przycichła? – pytał Stańczyk, wychodząc spoza filaru.

Wolski zmarszczył brwi.

– Uważaj, żebyś nie stawał temu wichrowi na przeszkodzie. Bo zmiecie.

– Nie pojmuję, caro maresciallo. Co macie na myśli?

– Idź lepiej swoją drogą – doradził tamten.

– Biedny mój pan – westchnął błazen. – Ona, jak widać, ogień, on – woda. Ona wicher, on lubi pokój i ciszę. Dalibóg! Obecna królowa – istne przeciwieństwo jego pierwszej małżonki! Na miejscu króla nie pozwoliłbym nowej pani od początku wtrącać się do wszystkiego. Zwłaszcza do budowy kaplicy i sarkofagu dla tamtej.

– Poszła tylko obejrzyć – mruknął ochmistrz.

– Santa Madonna! Czy smok w herbie może tylko patrzeć? I nie otwierać paszczy? Nie zionąc jadem? – udawał zdziwienie Stańczyk.

– Wydajesz sądy nadto pośpiesznie.

– Nauczyłem się tego od niej. Wszystko musi być presto. Natychmiast! Zaraz!

– Tedy zmykaj. I to już – zniecierpliwił się ochmistrz.

– Presto! Presto! – przedrzeźniał błazen, ale usłuchał i pobiegł w podskokach za oddalającym się orszakiem. Nie widział go już, ale był pewien, dokąd zdąży.

Wolski szedł jeszcze czas jakiś pustym krużgankiem. Tuż za zakrętem zderzył się niemal z kanclerzem Bony doktorem Alifiem. Kiedy na zapytanie, dokąd udała się królowa, powtórzył w skrócie rozmowę o budującej się kaplicy, zobaczył bladość na smagłej twarzy Włocha i może dlatego dodał:

– Byłoby lepiej, aby najjaśniejsza pani...

– Wiem – przerwał kanclerz – i cieszyłbym się, gdyby król nie dowiedział się o tych

projektach zmian, poprawek. Królowa chciała jak najlepiej, ale rozumiem, że... Będę tam za chwilę i obiecuję rzecz całą wyjaśnić...

– Byle nie przy mistrzu Berecci. I jeszcze jedno: tu mury są grube, ale mają oczy i uszy. Pomówcie z królową w jej komnatach i bez żadnych świadków.

– Czyżby zdążyła już narazić się komu? – zaniepokoił się Alifio.

– Nie wiem, nic nie wiem. Po prostu jest inna, zupełnie inna niż zmarła królowa.

Tego popołudnia, przed wieczerzą, kanclerz usiłował powtórzyć ten ostrożny sąd swojej pani. Opowiadał, ile słyszał pochwał o zmarłej królowej, którą szczerze opłakiwał dwór, choć władała na Wawelu niewiele więcej niż trzy lata. Historyk i sekretarz królewski Decjusz zaświadczył na piśmie, że płakały po niej wszystkie stany, jako że nigdy nie obraziła ani nie skrzywdziła nikogo, stosowała się do zwyczajów królestwa i – nie mieszając się do rządów – chciała być tylko dobrą żoną i matką.

– Certamente – przerwała Bona – że nie zdążyła narazić się nikomu, stojąc na uboczu. Ale takie stanie w cieniu nie dla mnie i nie spocznę, dopóki nie będę wiedziała, jaki jest dwór tutejszy, jakich doradców ma król, a wreszcie, jacy są ci moi poddani. A wy? Czy znacie ich pragnienia, obyczaje, narowy? Sposoby dochodzenia do wpływów i znaczenia?

Alifio bezradnie rozłożył ręce.

– Staralem się, choć rzecz niełatwa. Dwór wobec nas jeszcze nieufny, a kraj rozległy, ludny... Przerwała mu gwałtownie.

– Ludny a niebogaty. Skarbiec – jak słyszałam – zupełnie pusty.

– Nawet zadłużony.

– Widzicie sami. Wiecie, że zadłużony król to jeszcze mniej niż żebrak. Zagadka: czym opłaca nasz małżonek zaciężne wojska? Jak odpiera najazdy wrogów?

– Wielcy panowie mają hufce własne. I podobno jest pospolite ruszenie.

– A kto, wedle was, ma posłuch u najjaśniejszego pana?

– Znakomity wojownik Tarnowski. Także kanclerz Szydłowiecki. I jeszcze...

– Może ten błazen Stańczyk?

– Jeszcze Kmita, pan na Wiśniczu. Ale ostatnio w niełasce. Nadto krewki. Skacze do oczu Tarnowskiemu.

– W niełasce? I gwałtownik? Lubię takich. Spróbujemy go okiełznać. Takóż przeciągnąć na naszą stronę ochmistrza Wolskiego. W małych księstwach italskich pełno jest zwaśnionych rodów, walczących ze sobą stronnictw. A tutaj? Są jacyś przeciwnicy królewskich rządów? Zwolennicy odmiany?

– Si. Nie chcą, aby jeden dostojnik piastował kilka urzędów naraz, dążą do odebrania wielmożom dóbr darowanych im przed laty. Zwą siebie stronnictwem narodowym. Cóż, kiedy drobna, ciemna szlachta przeciwko nim.

– A magnaci?

– Tym bardziej. Te zmiany godziłyby w nich.

– Co na to najjaśniejszy pan?

– Tego nie wiem. Ale zwał go królem senatorskim, tedy...

Przerwała niecierpliwie:

– Santa Madonna! Jak trudno poruszać się w tych ciemnościach! Nie słyszeliście. Nie wiecie... Ja także nie wiem. Obijam się o wysoki mur, tłukę między głuchymi ścianami, za którymi tylko niebo. Obce. Si, si! Sama czuję, że jestem nadto niecierpliwa. Ale przyjechałam tu, żeby być kimś, czegoś dokonać. Tymczasem przede mną piętrzy się góra przeszkód. A do skakania, jak sami wiecie, nie najlepsze konie! Przy tym król zda się nigdy nie tracić spokoju, najczęściej milczy. A może czasem unosi się gniewem?

– I tego nie wiem. Nie słyszałem – przyznał.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy spojrzała na niego z wyrzutem.

Drwiący uśmiezek rozchylił wargi, których kształt podziwiał od lat.

– Cóż, będę zmuszona nakazać Pappacodzie, żeby baczniej śledził, żeby donosił o każdym królewskim słowie, geście. Ale to wam, nie jemu powiem, co niedawno wywróżyły mi gwiazdy: dam Jagiellonom prawowitego dziedzica. I principessa przyjedzie z Bari na uroczysty chrzest.

Alifio milczał chwilę. Wreszcie rzekł:

– Tylko wówczas, jeżeli to będzie syn.

Odwróciła się gwałtownie, jej piękna twarz promieniała.

– To będzie syn! – krzyknęła. – Oznajmiłam już o tym królowi.

To musi być syn!

Pragnęła poznać bliżej Piotra Kmitę i zjednać go sobie, stało się to jednak wcześniej, niż zamierzała. Któregoś poranka Alifio zameldował królowej:

– Miłościwa pani, prosi o pilne posłuchanie marszałek Kmita.

Wzburzony wielce.

– A? Wzburzony? Ciekawe, czemu? Niech wejdzie. Pan na Wiśniczu wszedł natychmiast i skłoniwszy czarniawą, dumną głowę, zaczął pierwszy:

– Dziękuję kornie, że najjaśniejsza pani zgodziła się mnie wysłuchać.

– W nadziei, że rozproszycie nudę. Siadajcie, proszę. Słyszałam od mojego kanclerza, że ostatnimi czasy chodzicie bardzo gniewni?

– A jak inaczej? Wszystko źle. Do najjaśniejszej pani nie ma dojścia, za to Tarnowski nie odstępuje króla.

– Dziwić się trudno. Wiadomo już, że wielki mistrz krzyżacki gromadzi siły zbrojne. Radzą o wojnie.

– O czym tu radzić może Tarnowski? Toż chyba nie on stanie na czele wojsk, tylko hetman Firlej.

– Nie on? – zdziwiła się królowa. – Tedy o czym, według was, mówi z królem?

– Raczej o wyniesieniu własnym. Miłościwa pani nie wie, jaki to człek?

– Słyszałam, że między wami wielka nienawiść...

– Wielka – przyznał. – I aż do samej śmierci.

– Rada bym bardzo usłyszeć, dlaczego?

– Pokrzywdził mnie. Ciężko pokrzywdził. Dobra od lat będące we władaniu Kmitów zbrojnie zajechał i siłą odebrał. Oddać ich nie chce, a do tego odsuwa mnie od króla, od urzędów. Ot, choćby teraz. Zamarzyła mu się kasztelania.

– Nie za młody na kasztelana? – zdziwiła się Bona.

– Otóż to! Starszym od niego, a dopiero przed rokiem dostałem marszałkostwo nadworne. Ale Tarnowskiemu i to nie w smak. Zwiedził się, że ciężko zachorzał kasztelan wojnicki, i teraz o tę kasztelanię zabiega. Kasztelan! Podczas gdy ja... Miłościwa pani! Kmitowie ród prastary, senatorski. Nigdy przed żadnym dworem – jak Tarnowski – czołem nie bił i nie ukrywał, co myślę. Tedy i ja powiem: nie sługam pański, wydzwignięty z nizin łaską królewską. W zamku na Wiśniczu niejednemu księciu mogę być równy. I dlatego, choć nie pójde do króla z prośbą o kasztelanię, zółć łykam i złość się we mnie zapieka. Czemu taka niesprawiedliwość u nas, miłościwa pani? Taka krzywda jednych, a samowola i zuchwałość drugich?

– O Dio! Jakbym słyszała prymasa Łaskiego, który też ze mną niedawno o krzywdzie rozprawiał.

– Łaski? Ten wróg wszystkich magnatów razem i każdego z nas z osobna? O krzywdzie? – Nie mógł ukryć zdziwienia.

– Si.

– I miłościwa pani słucha jego wyrzekań? – pytał.

– Czemuż by nie? Przecież nie o siebie zabiega, tylko o dobro kraju, o sprawiedliwość. Mówi, że u was, to znaczy u nas, siła przed prawem.

– Nie o siebie zabiega... – mruknął. – Widzę, że najjaśniejsza pani... czyni porównania na korzyść...

– Nie, nie! – przerwała. – Nie chciałam was dotknąć. Wracajmy do sprawy. Tedy zależy wam na tym, panie marszałku, aby Tarnowski nie otrzymał wojnickiej kasztelanii?

– Nie zasłużył na nią – przytaknął. – A zresztą, po co wzmacniać w senacie zwolenników habsburskiej dynastii?

– A wy zawsze po przeciwnej stronie niż Tarnowski?

– Zawsze. I gotów spełniać rozkazy Waszej Królewskiej Mości.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe. Cóż... Spróbuję pomówić w waszej sprawie z królem. Być może...

– Z całą pewnością – przytaknął żywo – ze zdaniem najjaśniejszej pani miłościwy pan zaczął się liczyć.

Bona przygryzła usta.

– Zaczął... Zaiste! Nie ukrywacie waszych myśli i sądów, panie marszałku!

– Cieszę się, że mogłem szczerze rzec, co mnie gnębi. I że widziałem miłościwą panią zdrową, jeszcze w pełnym blasku urody.

– Nie wiedziałam, że Kmitowie to także ród pochlebców.

– Kiedym was zobaczył pierwszy raz, do Krakowa wjeżdżającą, od razum wiedział: dla mnie wzeszło słońce – rzekł żarliwie.

– Piano, piano, mości marszałku! Bo jeszcze spłoniecie w jego ogniu.

Kmita wstał i pochylił się nisko nad wyciągniętą ręką królowej.

– A bodajbym spłonął! Żyje się tylko raz, miłościwa pani.

Uśmiechnęła się łaskawie.

– To prawda. Żyje się raz tylko...

Kiedy wyszedł, przywołała natychmiast stojącą na czatach Marinę.

– Słyszałaś? Podaj mi zwierciadło. Powiedział: „w pełnym blasku urody”. Czy to znaczy, że już zaczęłam zmieniać się? Brzydnąć?

– Nie znać po miłościwej pani trudów i cierpień jej stanu. Ale marszałek musiał o nim wiedzieć...

Bona przyglądała się uważnie swoim oczom, ustom.

– Ten Kmita wpatrzony we mnie jak w obraz. Zauważyłaś? – spytała wreszcie.

– Si. Od dnia przyjazdu na Wawel.

– Zabawny, ale jako polityk za gwałtowny. I za prawdomówny.

– Podobno nie lubią go możni. Może zazdroszą? Za to na jego wspaniałym zamku w Wiśniczu zawsze pełno szlachty. Rojno tam i gwarno.

Bona milczała chwilę, wreszcie znów przybliżyła zwierciadełko do oczu.

– Podaj mi barwiczkę – rozkazała. – I każ przynieść inną szatę.

Jaśniejszą, bardziej strojną.

Ta rozmowa musiała dać jej do myślenia, zavezwała bowiem nazajutrz swego kanclerza i zaczęła go wypytywać o dworskie urzędy, o królewskich doradców. Wiedział znacznie więcej od niej. Okazało się, że wszyscy dworzanie podlegali marszałkowi nadwornemu Kmicie, cenionemu dyplomacie i słynnemu pono wojownikowi. Że w Wiśniczu nie tylko bawi się szlachta, lecz także bywają tam poeci, artyści, nawet sam mistrz Berecci. Że to magnat pyszny, ale i zdolny do mściwej zemsty, a także do nieposłuszeństwa. Poza marszałkiem liczył się Mikołaj Tomicki, nadworny koniuszy, któremu podlegały stadniny i wszyscy stajenni. Stolnik czuwał nad wyżywieniem królewskiej rodziny, do wyższych urzędników dworskich należeli też krajczy i podczaszy, a także podskarbi nadworny Seweryn Boner.

– Pytałam o doradców, nie o sługi – przerwała niecierpliwie królowa.

– Myślę, że do nich należy kanclerz Szydłowiecki i podkanclerzy Tomicki. Rządzą oni jak chcą kancelarią królewską i jej sekretarzami, a także, wraz z hetmanami, doradzają najjaśniejszemu panu w czas pokoju i wojny. Szydłowiecki od dnia przyniesienia poślubnych darów królewskich nie interesował się bliżej dworem miłościwej pani: ani mną jako jej kanclerzem, ani naszym italskim podskarbisem. Mógłbym wnioskować, że nie lubi cudzoziemców. Słyszałem...

– Słucham, mówcie dalej.

– ... że sprzyja Habsburgom. I to już wszystko, com zdołał stwierdzić z całą pewnością, odrzucając plotki...

– Ciągle za mało – orzekła – alem teraz zajęta niewiściami kłopotami. Wrócimy jeszcze do tej rozmowy po urodzeniu królewicza...

Istotnie, nie widziano jej już więcej ani przy budowie kaplicy, ani nawet w podwawelskich ogrodach, wołała bowiem przechadzać się po krużgankach. Za to zajęła się upiększaniem skrzydła na drugim piętrze, przeznaczonego dla niej i licznych dworek. W sypialni królowej rozwieszono na ścianach wschodnie i flandryjskie tkaniny, rozłożono przywiezione z Bari kobierce. Pozostał tylko mały kwiatowy arras. Król, poprzedzany przez błazna, wszedł do komnaty w chwili, gdy Bona, trzymając cenną tkaninę w ręku, zastanawiała się, gdzie ją umieścić.

– Niech Beatrice spróbuje zawiesić między oknami. Wyżej, nie, trochę niżej. Radam wielce, że miłościwy pan znalazł w takiej chwili czas dla mnie. Przyznajcie, że ten arras zdobi mury.

Czekała długo na odpowiedź.

– Nie sądzę, aby tam było jego miejsce – usłyszała wreszcie.

– Ależ tak! Między oknami.

– Skoro koniecznie chcecie...

Wyczuła, że ustępuje bez przekonania, i nagle głos jej stał się miękki, łagodny. Podeszła bliżej, stanęła tuż przed królem.

– Ja? Santa Madonna! Przecież ja nic nie chcę. Przeciwnie! Ten bukiet kwiatów miał wam przypominać, miłościwy panie, że jestem gotowa spełniać tylko wasze życzenia. Szukać jedynie waszej pochwały, waszego oparcia.

Znów czekała na odpowiedź, lecz Stańczyk ubiegł monarchę, nadstawiając swoje ramię.

– Najjaśniejsza królowo, oprzyj się lepiej na mnie.

Patrzyła na zuchwałego błazna, nie rozumiejąc jego słów, ale król spytał, niezbyt rad z żartu ulubieńca:

– Na tobie? Niby dlaczego?

– Bo miłościwy pan często na wojennych wyprawach, poza Krakowem, na innych zaś liczyć trudno. Mądrych mało, a ci, co mądrzy, sami chcieliby panować. Na Wawelu głupich i błaznów znacznie więcej. I łatwiej nimi rządzić, tedy królowa oprzeć się może tylko na głupich. A także na mnie, królewskim wesołku.

– Nadtoś zuchwały! – skarcił go pan.

– Taki jest przywilej błaznów – odciął się i nagle wybuchnął śmiechem.

Była ciekawa tych przywilejów i pierwszym Polakiem, który wprowadził ją w gąszcz intryg i wpływów dworskich, był zaufany sekretarz króla, krzemieniecki biskup Wawrzyniec Międzyzyleski. To on pamiętał Stańczyka jeszcze jako nadwornego błazna poprzedników Zygmunta, Jana Olbrachta i Aleksandra, czleka ponoć herbowego, który ocalał po klęsce

bukowińskiej, kiedy to powstał zjadliwy dwuwiersz, mówiący o tym, że za „króla Olbrachta wyginęła szlachta”. Czy był naprawdę żołnierzem, tego Międzyleski nie wiedział, ale dawniej król brał go ze sobą na łowy i nikt nie mógł zaprzeczyć, że błazen był jeźdźcem znakomitym. Starszy już i teraz rzadziej towarzyszący swemu panu w wyprawach wojennych, był postrachem dworaków na Wawelu i licznych wielmożów. Jego trafny sąd oraz dar przewidywania, cięty dowcip i wielka zuchwałość kazały widzieć w tym błaznie raczej mędrca niż zwykłego trefnisiawesołka.

– A karzeł królewski i przydzielona do mego dworu karlica Dusia? – dopytywała się Bona.

– Ach, nie – śmiał się Międzyleski – to ludziki zrodzone z mody panującej na wszystkich europejskich dworach. Możesz, miłościwa pani, używać tej karlicy do zabawy i do wszelakich posług, nie licząc jednak na jej dowcip.

– Ale wcisnąć się może wszędzie, i to niepostrzeżenie – raczej stwierdziła, niż spytała królowa.

Międzyleski przyjrzał się jej ciekawie, jakby zobaczył po raz pierwszy te przenikliwe oczy, ten mocno zarysowany podbródek.

– Miłościwa pani chyba nie zamierza uczynić z tej karlicy swojego szpiega?

Odwrociła głowę i dostrzegł tylko lekkie zaróżowienie jej konchy usznej i pięknej szyi. Odpowiedziała wreszcie:

– Jeśli się okaże, że Polska to nie księstwa italskie, że panujący nie ma tu zawistnych wrogów, fałszywych przyjaciół i skrytobójców. Że są tu same miecze w pochwach, nie sztylety za pasem. Zresztą, mniejsza o karły. Co Wasza Eminencja myślisz o synu Telniczanki? Słyszałam, że niebawem dwadzieścia lat kończy. I wciąż jeszcze siedzi w Krakowie, przy matce?

Obrzucił ją bystrym spojrzeniem i zaraz spuścił oczy. Pytał z namysłem, dobierając słów:

– A najjaśniejsza pani wolałaby go widzieć na jakiejś odległej plebanii?

– Czemu? – zaprzeczyła. – Krakowski Kanonik, syn królewski, wart jest i biskupiego stolca. Słyszałam od Alifia, że nie obsadzone jest do dziś biskupstwo wileńskie.

Międzyleski nie krył podziwu.

– Czyżby miłościwa pani wiedziała już o znaczeniu, jakie mają dla króla jegomości ziemie litewskie? Jak nosi je w sercu?

– Wiem, że pierwaj był wielkim księciem Litwy niż koronowanym władcą całej Polski. A poznawszy hetmana wielkiego Ostrogskiego, słyszałam z jego ust w Morawicy, jak ważne jest niezrywanie nici łączących oba narody.

– Ostrogski, sławiły wojownik, zwycięzca pod Orszą, musiał wspomnieć o tym, witając przyszłą królową. A co do Jana... – rozważał Międzyleski. – Jako zaufany prymasa Łaskiego mógłbym powtórzyć jego eminencji życzenie miłościwej pani.

– Och – zaprzeczyła – to tylko myśl rzucona pod rozwagę. Nie będę taić przed wami, że wtedy Telniczanka byłaby daleko stąd, przy synu biskupie.

Międzyleski zmarszczył brwi.

– Czy Katarzyna Kościelecka w czymkolwiek naraziła się na gniew miłościwej pani?

Oczekiwał wszystkiego, tylko nie wybuchu śmiechu.

– Mnie? Zapamiętajcie, wasza dostojność, że narazić się Bonie Sforza, wnuczce króla Neapolu i polskiej monarchini nie może mieszczka z Moraw, choćby wydana potem za mąż za podskarbiego koronnego.

Ale ten od przeszło trzech lat leży w grobie, przeto czas, aby matka znalazła opiekę w dostojniku-synu. Nic nie mówcie. Domyślam się, że przypomnieć mi chcecie o córeczce Kościeleckich, Beacie. Lubią ją obie królowny, nawykła do zabaw z nimi. I bene. Zostanie tutaj. Nie jako zakładniczka, to byłoby śmieszne, tylko pod moją osobistą opieką. To ładne dziecko i mnie, przyznaję, miłe.

– Będzie może przykrym przypomnieniem dla króla – zauważył.

– I co z tego? Chować ją będę razem z królewskimi córkami, wydam za mąż tak, aby była blisko matki i brata. Kto wie, czy nie za owego Ilię, syna Ostrońskiego, o którym z taką dumą opowiadał mi pan hetman litewski?

Międzyleski namyślał się, długo milczał, wreszcie rzekł:

– To plany zbyt odległe, żebym śmiało odradzać czy doradzać. Ale byłoby dobrze, gdyby Jan, objąwszy biskupstwo, stał się wiernym stróżem interesów ojca na Litwie, a Beata zaufaną miłościwej pani w tak kochanym przez naszego pana Wilnie. O jedno chciałbym spytać, jeżeli wolno: ten plan podsunął waszej miłości kanclerz Alifio, czy też obmyślony został przez nią samą?

Roześmiała się znowu, tym razem szczerze.

– Tylko przeze mnie – oświadczyła z nutką triumfu w głosie. – Alifio będzie drugim, który się o nim dowie, a król trzecim. Prymas wyrazi zgodę, na którą liczę, Wasza Eminencjo.

Wstała i Międzyleski musiał uznać te słowa za kończące audiencję. Czyżby ta niewiasta, tak inna od pierwszej żony króla, wybrała sobie jego za powiernika? Bona. Nie darmo nosiła takie imię. Dobra, kanclerska głowa? Czy też dobry, zręczny gracz?

*

W komnacie astrologa na wieży panował półmrok, ale kula, w którą wpatrywał się od paru chwil, płonęła jasnym, przedziwnym blaskiem.

Królowa wysunęła się przed Marinę i nie spuszczała oczu z ust maga.

Powiedział wreszcie:

– Urodzi się pod znakiem Koziorożca. W styczniu...

– Wiem to i bez was – przerwała niecierpliwie. – Ale czy na pewno będzie to dziecię płci męskiej? Syn?

– Gwiazdy mówią, że dostąpi najwyższych zaszczytów. Że będzie nosiło koronę.

– On?

– Powiedziałem: ono – sprostował. – Dziecię.

– W Polsce na królów zwykli wybierać mężów. Więc rzekliście: syn? – nalegała Bona.

– Miłościwa pani...

– Bambino?

– Tego jeszcze powiedzieć nie mogę. Może za tydzień? W początkach stycznia?

Krzyknęła w pasji:

– Kiedy się już urodzi, tak? Bene! Przyślę do was gońca i będziecie wtedy pewni! Zupełnie pewni, że syn.

Biła pięścią w stół do taktu wypowiedzianych pogrózek i dworka odstąpiła o krok. Dawno nie widziała swojej pani aż w takiej pasji.

Wróciły w milczeniu do komnaty, ale w tym złym dniu wszystko zdarzało się nie w porę. Bona nie ochłonęła jeszcze z gniewu, gdy dworzanin królewski zapowiedział nadejście swego pana. Marina wycofała się pośpiesznie i już po chwili Zygmunt był w sypialnej komnacie małżonki, już czule i ostrożnie obejmowały ją potężne ramiona. Starła się opanować, ale musiał wyczuć jej podniecenie, bo rzekł:

– Serce kołacze, dygoczą usta. Drżycie jak pojmany ptak. Po raz pierwszy widzę was...

– Jaką?

– Chyba spłoszoną. Pełną lęku.

Próbowała przeczyć:

– No, no! Sforzowie nie boją się niczego. Nigdy!

– Szkoda... – powiedział jakby z żalem.

Spojrzała na niego uważnie.

– Wolicie słabe niewiasty?

– Łanie zawdy bywają płochliwe.

– A królowe? Wasze królowe?

– Jak sięgnę pamięcią wstecz, spokój serc osiągały tylko te, którym wystarczało miano królewskich małżonek.

Potrząsnęła głową.

– Ja nie potrafię stać na uboczu.

– Nawet dla własnej bezpieczeństwa? Dla szczęścia? – nalegał.

– Chciałam być szczęśliwa. Ale nie za tę cenę. No, no! Lecz obiecuję, będę spokojna. Dziś wzbudziły mój gniew oczy nadwornego astrologa. Dziwnie rozbiegane, niespokojne...

– Może boi się pomyłki? Waszej niełaski? I co wywróżył?

– Właśnie, że nic. Mam czekać na lepszy układ gwiazd.

Przygarnął ją do siebie mocniej.

– Po co czekać na rzecz tak niepewną jak gwiazdy w noc styczniową? Nasze noce bywały dotychczas nocami miłowania. A nie zmieniło się przecież nic?

Patrzył na nią bacznie, czekał odpowiedzi, więc ją usłyszał:

– Nic. Miłuję was. Jak miłowałam zawsze.

– Tedy mnie pytajcie, nie maga. A ja odpowiem: nade wszystko pragnę waszego spokoju. I was. Choć teraz nie pora, wciąż jednak pragnę...

Przytuliła się mocniej do ramienia króla, który w tym obcym, tak odmiennym od italskiego świecie wydawał się jej najpewniejszą ostoją, opoką. Gdyby zapytał o to teraz, gotowa była przyznać, że jest słabą, płochliwą łanią.

Już ociężała, w ósmym miesiącu, starała się oszczędzać, rzadziej odwiedzając skrzydło królewskich córek, gdy nadeszła nieoczekiwana wieść o śmierci głowy Habsburgów, cesarza Maksymiliana.

– Ledwo ukończył sześćdziesiątkę, a już pożegnał się ze swoim tytułem rzymskiego króla i cesarza. Co będzie teraz, Alifio? – pytała.

– Sądzę – odparł kanclerz – że jego wnuk Karol, od trzech lat król Hiszpanii, nie zechce opuszczać Madrytu. Pozostaje jako główny spadkobierca korony cesarskiej jego brat, Ferdynand austriacki.

– Nie znoszę Ferdynanda. Pyszny i żądny władzy młodzik.

– Toteż może stanąć mu na drodze starszy od niego o dziesiątek lat i już wslawiony w bojach o Mediolan król francuski Franciszek, a nawet angielski Henryk Ósmy.

Uśmiechnęła się jak z dobrego żartu.

– Chyba że przygłopuje pierwszy na elekcję, zajeżdżając na śmierć podarowaną przeze mnie klacz. Nie, chyba nie on, choć wolałabym jego albo Franciszka od obu krewniaków Maksymiliana.

– Żyje i jest w pełnym zdrowiu matka Waszej Królewskiej Mości, principessa Izabela.

– Ale nie jest wieczna. A mnie swatał Maksymilian za Zygmunta właśnie dlatego, abym była daleko od Italii i walk cesarza o tamte księstwa.

Alifio skłonił głowę.

– Miłościwa pani rozumuje słusznie, jednakże szkodzi sobie, kłopotząc się o wynik elekcji. Elektorów jest siedmiu i trudno przewidzieć, komu zechcą oddać swoje głosy.

– Ale nietrudno posłać do Frankfurtu poselstwo, które wpłynie na elektora czeskiego. Bratanek mojego małżonka nie zechce głosować inaczej, niż będzie tego pragnął nasz król.

– Polacy będą w orszaku czeskiego elektora, ale czy ten jeden głos może zaważyć w sprawie tak ważnej?

Tym razem rozgniewała się, uniosła.

– Poselstwa są po to, aby zjednywać sobie stronników. Gdybym czuła się lepiej, pomówiłabym sama z tymi, których wyznaczy najjaśniejszy pan, opiekun nieletniego Ludwika, na posłów do Frankfurtu.

– Miłościwa pani powinna myśleć teraz tylko o sobie. Nie przejmować się nikim i niczym.

Wyduła usta. Choć twarz była już lekko obrzmiała, wargi wciąż jeszcze pozostawały wilgotne i świeże.

– Zdążę chyba wrócić do zdrowia i sił, zanim król wybierze i wyśle swoich przedstawicieli.

Jednym z nich został biskup włocławski, od lat zaufany sekretarz królewski Maciej Drzewicki, i to jego zaprosiła królowa do swoich komnat.

Nie próbując nawet ukrywać własnych planów, zagadnęła od razu:

– Księżę biskupie, jesteście zwolennikiem Habsburgów? Namyslał się przez chwilę, przyglądając się jej zdeformowanej postaci. Oszczędzać czy mówić prawdę? Musiał wybrać to drugie, bo odparł:

– Tak mi się przynajmniej zdawało. Ale jeżeli Wasza Królewska Mość potrafi mnie przekonać, zem w błędzie, gotów jestem rzecz całą przemyśleć, rozważyć od nowa.

Klasnęła w ręce i natychmiast na progu komnaty stanęła dworka Marina.

– Przynies – rozkazała – zwój, który przywiozłam z Italii. Otrzymałam jako dar ślubny od naszych wasali z Bari mapę Europy. Dar, zaiste, bezcenny.

Mapa była barwna, istotnie wielkiej urody, i gdy dworka rozłożyła zwój na stole, biskup pochylił się nad nią z ciekawością. Królowa stanęła naprzeciwko i jej szczupłe, rzadkiej piękności ręce zaczęły błędzić po liniach granic.

– Zechciejcie tylko spojrzeć, eminencjo. Oto trzy dynastyczne potęgi naszego świata: Walezjusze we Francji, Habsburgowie w Hiszpanii, Austrii oraz w Niemczech i Jagiellonowie w środkowej Europie. Liczą się jeszcze Czechy, Węgry, ale tam panuje Ludwik Jagiellończyk, nad którym opiekę sprawuje mój małżonek. Czy jest tak, jak mówię?

– Tak. Ale Ludwikowi przyrzeczona w małżeństwo Habsburżanka Maria.

– Sami widzicie. Oni, wszędzie oni! W Wiedniu, w Madrycie, w Neapolu, w Niderlandach.

– Najjaśniejszy pan sądzi, że nie ma w środkowej Europie potęgi nam równej – próbował przeczyć Drzewicki.

– Wiem. Ale to dziś. A jutro? Habsburgowie, którzy się wadzą o księstwa włoskie z Francją, gotowi stanąć do walki z Jagiellonami i wyprzeć ich z Pragi, z Budy. A wtedy, gdy zagarną Italię, Czechy i Węgry, kto się im oprze?

– Widzicie czarno, miłościwa pani.

– Widzę jasno, eminencjo. Sforzowie – drobni książęta, a od lat starają się im nie ulec. Czyżbym ja, królowa wielkiego państwa, miała ich popierać w dążeniu do obsadzania wszystkich tronów?

– Jakież przymierza istnieć jednak muszą – protestował.

– O tak! Ale dlaczego nie z Francją i Turcją przeciw Habsburgom?

– Miłościwa pani, Turcy szarpią od lat nasze granice. To poza Krzyżakami na północy nasz wróg największy.

Roześmiała się, jakby żartował.

– Wróg! Wróg! Doprawdy, śmieszne. Wrogów trzeba sobie jednać. A gdyby spróbować przekupstwa? Nie zostało ono, eminencjo, wymyślone dla przyjaciół.

Drzewicki potrząsnął głową.

– Najjaśniejsza pani, półksiężyc kupić się nie da. A zresztą, nie mamy w Polsce kopalni złota.

– Ale macie wielkie obszary ziemi, podobno żyznej – nie dawała za wygraną. – I jakaż tu bujna zieloność, podczas gdy w spalonej słońcem Italii woda jest największym skarbem. Próbujcie rosnąć w siłę. Dio! Na co czekacie? Aż was okrażą i zduszą w kleszczach? Trzeba umacniać się już teraz, dopóki dynastia Jagiellonów liczy się w świecie.

– Dynastia? Miłościwa pani zapomina – nie ustępował biskup – że u nas król jest obieralny.

– Wiem. O tron dla mojego syna trzeba będzie zabiegać.

– Istotnie. Ale przecież jeszcze nie wiadomo, czy...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Dynastii potrzebni są synowie. I będę ich miała!

– Zdumiewające – zdobył się tylko na taką odpowiedź biskup i dodał: – A czy wolno jeszcze zapytać, jakie, poza tym że rozległe, wydało się nasze północne królestwo waszym oczom? Południowym?

– Jakie? Dziwaczne. Każdy wielmoża bogatszy od króla. Dobra królewskie rozdrapane albo rozdane za zasługi. Pytałam, ile mamy ziemi koronnej? Nikt nie wie. Jakie dochody? Niepewne, niestałe! To przecież, wbrew pozorom, sytuacja niemożliwa do przyjęcia.

– I najjaśniejsza pani wie, czego ta sytuacja wymaga?

Ożywiła się, jej oczy rozbliły.

– Ależ tak! Tak! Działania.

– To znaczy? – nalegał.

– Umocnienia władzy monarszej. Stworzenia dynastycznej potęgi. Eminencjo! Królestwo Neapolu było rządzone nad podziw dobrze. Spędziłam tam lata młodości, nauczyłam się wiele i dziś jestem gotowa... – Zakrzuszyła się nagle. – O Dio! – westchnęła przykładając chusteczkę do ust. – Darujcie, proszę.

Wybiegła potykając się, śpiesząc, a Drzewicki patrząc za nią nie mógł powstrzymać się od mruknięcia:

– Niezwykła. I jakże niebezpieczna...

W sąsiedniej sypialni królowa wstrząsana atakami torsji pozwalała Marinie usługiwać sobie, ocierać zroszone potem czoło. Dworka, podtrzymując ślaniającą się panią, prowadziła ją powoli do uchylonego okna. Ostre styczniowe powietrze wdzierало się do komnaty, chłodziło pobladałą twarz królowej.

– To zaraz minie – próbowała pocieszać Marina.

– Dziwne... Wróciło po tylu miesiącach znowu i... jakże nie w porę. Mamma mia! Czyż dzieci nie mogą rodzić się jakoś inaczej? – westchnęła królowa.

– I nie od razu po ślubie – dodała dworka.

Bona odtrąciła ją nagle.

– Zawsze byłaś krótkowzroczna! To dziecko potrzebne mi jest już, zaraz. Co mówię –

dziecko. Chłopiec! Na chrzest królowy nie przyjedzie nikt z liczących się gości. Nawet moja matka, choćby wedle zwyczaju dała pierwszej wnuczce jej imię.

– Horoskop był zawiły, niejasny...

– Zamilcz! Wiesz dobrze, że to nie może być dziewczynka. O Dio!

– Co się stało?

– Przyszło mi na myśl... Okropność! Moja matka urodziła aż trzy księżniczki. A jeżeli i ja...

Córka? Nie chcę! Nie chcę!

– Css... Biskup może posłyszeć.

– Prawda, biskup. Warto go mieć po swojej stronie.

– Jeszcze mdli?

– Przestań mnie męczyć. Idź! Przepróż go za moje zbyt nagłe odejście. Powiedz... Powiedz, że śpieszyłam przywitać papieskiego posła. Otóż to: legata, który przywiózł pisma do mnie z Rzymu.

– Nie wiedziałam, że legat jest na Wawelu.

– Basta! Cóż za głupią służkę dostałam od księżnej Bari. Głupią i tępą!

– Dziwiłam się tylko...

– Bene. Nie było żadnego pisma, nie ma też legata. I cóż z tego? Idź powiedzieć biskupowi, że jest.

– Łatwo sprawdzi i wykryje kłamstwo.

– Najwcześniej jutro. A jutro... Może zapomni?

Kiedy Marina powróciła za chwilę po wykonaniu rozkazu, zastała królową czującą się o tyle lepiej, że odważyła się spytać, co ma uczynić ze skrzynią nadesłaną dnia poprzedniego z Bari.

Bona ożywiła się, jej oczy zabłyły.

– Prawda! Dar principessy! Santa Madonna! Na co ty właściwie czekasz? O czym myślisz?

Presto! Presto! Niech wniosą skrzynię tutaj. Natychmiast!

W pośpiechu, ale ostrożnie, pod nadzorem Pappacody wnieśli pachołcy wielką drewnianą skrzynię. Italczyk uniósł odbite uprzednio wieko.

– To ciężki przedmiot z metalu, miłościwa pani – rzekł.

– Na pewno srebrna gotowalnia – zgadywała królowa. – Albo lustro w złotej ramie.

Postawcie tutaj. Rozwińcie. Prędeż, prędeż!

– To nie jest gotowalnia. To... kołyska.

– Santa Madonna! Jak mogłam być tak niedomyślna. Oczywiście, kołyska.

– Ale bardzo piękna. Srebrna – zachwycała się Anna. – Bogato rzeźbiona. Wewnątrz kartka z napisem.

– Przeczytaj! – rozkazała królowa.

– „*Dla następcy tronu*”. To wszystko – wyszeptła Anna, opuszczając rękę z pergaminową kartką. Czekala na wybuch, który musiał nastąpić.

– To nie do zniesienia! – usłyszała ochryply szept. – Przypomina mi o moich obowiązkach w

każdym liście. Syn! Syn! I bez jej kołyski byłby chłopiec. Bo tak chcę. Nikt inny, tylko ja! Ja!

Wyrwała z ręki Anny kartkę i rzuciła ją na ziemię. Dworki nie śmiały odezwać się ani poruszyć. Szept Bony, taki szept, był gorszy od krzyku.

*

W komnacie królowej i w wiodącym do niej przedsionku któregoś ranka pod baczynym okiem Pappacody zawieszano herby Sforzów. Stanowiły piękną ozdobę murów, nie znalazły jednak uznania w oczach Stańczyka, który zatrzymując się przed herbową tarczą, zapytał:

– Chciejcie, panie, zaspokoić moją ciekawość...

– Znowu wy? – nachmurzył się Pappacoda.

– Co ten italski smok trzyma w pysku? – ciągnął nie zrażony błazen.

– Nie widzicie? Bambino. Niemowlę.

– O? To dobra wróżba dla Jagiellonów... A czy Sforza po italsku znaczy „smok”?

– Nie. „Sforzare” znaczy „narzucać”. Wodzowie z tego rodu zawsze narzucali swoją wolę innym.

– A niewiasty z rodu Sforzów?

– Och, one... – przerwał i dodał zjadliwie: – Słyszę z tego, że miały na swoich dworach mnóstwo karłów.

– Karłów? Dlaczego właśnie karłów? – zdziwił się Stańczyk.

– Bo, rozumiecie, żadna wielkość nie bawiła już ich oczu.

– Ho, ho... Czemu więc królowa Bona nie przywiozła swoich karłów tutaj?

– Ponieważ liczyła na to, że znajdzie ich pod dostatkiem wśród polskich błaznów – zakończył rozmowę dworak, zbliżając się do drzwi komnaty królewskiej.

Patrząc w ślad za odchodzącym, Stańczyk tym razem nie znalazł błyskawicznej riposty. Mruknął więc tylko, ganiać sam siebie:

– Basta! Wystarczy!

Ale Pappacoda, choć wygrał słowną utarczkę ze słynnym z dowcipu błaznem, nie mógł przekonać Mariny, że przynosi ważne wieści jej pani. Z głębi pokoju posłyszał zresztą sam odmowę królowej:

– Teraz? Powiedz, że miałam trudny dzień. Chcę odpocząć.

– Nie pora – powtórzyła jak echo dworka. – Principessa bardzo zmęczona.

– Ale słuch ma więcej niż dobry – rozległ się rozdrażniony głos. – Powiedziałaś „principessa”?

– Darujcie, miłościwa pani – wyszeptała Marina.

– Wpuść signora Pappacodę. Z czym przychodzicie? Bona wpółleżała na fotelu i gdy stanął w progu, ruchem ręki odprawiła wszystkie dworki. Pappacoda zbyt późno zrozumiał, że przyszedł rzeczywiście nie w porę, ale cofać się było już trudno, toteż rzekł:

– Z pewnego źródła wiem, że szykuje się nowa rozprawa z Krzyżakami. Najjaśniejszy pan

długo o tym radził z panem Tarnowskim.

– Doniesiono mi już o tym. Co jeszcze?

– Z rozkazu króla kosztowne futra dla waszej miłości są już gotowe.

Poruszyła się niecierpliwie.

– Wojna i futra? Jednak dla was ważne? A przy tym zrozumieć trudno, dlaczego wkraczacie w obowiązki maresciallo Wolski? On jest ochmistrem naszego dworu.

Pappacoda zmieszał się tylko na chwilę.

– Sądziłem, że jako przyszły burgrabia zamku powinienem wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w jego murach – wyjaśnił.

Bona wybuchnęła złym śmiechem:

– O wszystkim! Per Bacco! Jakież to zabawne. Ale o tym, na przykład, że kto inny może zostać burgrabia na Wawelu, nie wiecie?

– Kto inny? – powtórzył, sądząc, że się przesłyszał.

– Na przykład ktoś bystrzejszy od was, lepszy do rady?

– Principessa matka wysłała mnie do Krakowa w nadziei, że to właśnie ja... – zaczął, ale królowa uderzyła pięścią o poręcz fotela.

– Basta! Dosyć! Na tym zamku należy liczyć się tylko z moją wolą.

Tu wola principessy nie znaczy nic. Nic!

Nie we wszystkim znaczyła chyba i jej własna wola, o czym Pappacoda przekonał się miesiąc potem. Był świadkiem, jak przed drzwiami sypialni królowej gromadził się coraz większy tłum dworek i na chwilę przystanął przy nich.

– Zaczęło się? – zapytał.

Ale zanim otrzymał odpowiedź, do Diany di Cordona przysunął się Stańczyk.

– Jak gwiazdy? Odgadły? – dopytywał się szeptem.

Potrząsnęła głową.

– Jeszcze nic nie wiadomo. Przy niej, prócz medyków, zostały tylko Marina i Anna. Królowa jedno powtarza: syn.

Roześmiał się drwiąco.

– Teraz ja mógłbym rzec jak ona: Presto! Presto! Umilkli, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i wybiegła z nich Anna Zarembianka.

– Syn? – spytała Beatrice.

– Kazała mi wyjść – odpowiedziała z żalem tamta. Wyglądała na zdziwioną czy przestraszoną.

– Więc nie królewicz? Na Boga! Mówcie! – odezwały się zewsząd głosy.

W tej chwili jakiś przedmiot ciśnięty z komnaty w zamknięte drzwi roztrzaskał się o nie z hukiem.

– O Dio! – westchnęła Diana.

– Powiedziała „śliczna”... i wtedy pokazała mi drzwi – poskarżyła się Anna.

– Santa Madonna! Od obu żon – córki. Kiedyż nasz pan doczeka się wreszcie dziedzica? – westchnęła któraś z dworek.

– I co na to powie? – dorzucił Stańczyk. – Bo radość wielka będzie tylko u naszych przyjaciół, Habsburgów. W Wiedniu i w Hiszpanii. Anna pochyliła głowę jeszcze niżej.

– Królowa pytała o to samo: co na to powie król?

Kiedy stanął w parę godzin później przy łożu królowej, ta podniosła na niego niespokojne oczy.

– Już wiecie, miłościwy panie? – spytała tak cicho, że nachylił się nad białą poduszek, żeby odpowiedzieć:

– Wiem.

– Czuję się bardzo winna...

– Myślcie teraz tylko o sobie. O zdrowiu własnym.

– Grazie, grazie... – I dodała po chwili: – Tak bardzo chciałam, abyście mogli do swego modlitewnika wpisać imię królewicza.

– A wpisałem jeszcze jedną Jagiellonkę, Izabelę. Urodzoną 18 stycznia, tedy pod szczęśliwą gwiazdą.

– Zawstydzacie mnie swoją dobrocią. Ona jest tam – wskazała ręką w oddalony kąt komnaty.

– W kołyszce z Bari? – spytał nie odchodząc od łoża.

– Si. Ale nie sądzę, aby moja matka przyjechała na chrzest. Jest z rodu Sforzów. Nie tak wspaniałomyślna jak wy. Wyciągnęła rękę i król przywarł do niej ustami.

– Tedy obejdziemy się bez principessy. Wracajcie jeno do sił. Jak to lubicie mówić: „presto!”.

Bona uniosła głowę. Była znów ożywiona, uśmiechnięta.

– O si! – przytaknęła. – Presto! Presto!

Powracała w istocie tak szybko do zdrowia, że zaczęta żądać od Pappacody i Alifio raportów o wszystkim, co działo się na dworze w ciągu tych kilku dni, kiedy nie opuszczała swoich komnat. Zmieniło się niewiele: król naradzał się z Tarnowskim, a ten wymawiał pono swemu władcy, że otworzył bramy Krakowa aż tak groźnemu wrogowi. A kiedy się zdziwiła, Alifio wyjaśnił, że magnat miał na myśli italskie dworki królowej, twierdząc, że takim hufcom żaden najdzielniejszy rycerz nie sprostą.

Usłyszawszy ten przytyk, królowa zmarszczyła brwi.

– Nie ciekawam żartów tego wojownika. Chcę wiedzieć, co myśli o przyszłej wojnie? Najjaśniejszy pan ruszy przeciw Krzyżakom, czy też pozostanie na Wawelu?

Ale na to pytanie otrzymała odpowiedź dopiero później, gdy z elekcji cesarskiej powrócił wrocławski biskup. Król chciał go widzieć jeszcze tego samego dnia i nie mógł odmówić małżonce, kiedy twierdziła, że już czuje się na siłach wysłuchać wszelkich nowin: dobrych i złych, przeto powinna być obecna przy tak ważnej rozmowie.

Drzewicki był utrudzony daleką drogą, ale stawił się w zamku od razu po wyjściu z podróźnej kolaski. Król wypytał biskupa o stan zdrowia, po czym rzekł:

– Doszły nas słuchy, że walka o tron cesarski była we Frankfurcie bardzo zażarta.

Drzewicki przytaknął.

– Elektorzy wahali się między królem francuskim Franciszkiem a Karolem hiszpańskim, wnukiem Maksymiliana. Jednakże Habsburgowie skaptowali od razu trzech najważniejszych elektorów i cesarzem został...

– Kto? – pochyliła się do przodu Bona siedząca na fotelu obok króla; ten milczał, ale i on czekał niecierpliwie na odpowiedź.

– Król Hiszpanii, dziś już cesarz Karol Piąty. Zdecydował głos czwartego elektora.

– Czeskiego? – spytał Zygmunt.

– Właśnie. I ten, w imieniu bratanka waszej miłości. Ludwika, doradziłem posłowi z Pragi oddać za Karolem.

– Tedy właściwie to wy, księżo biskupie, zdecydowaliście o elekcji cesarza Carolusa? – nalegał król.

– Można i tak rzec, miłościwy panie.

Chciał coś dodać, ale królowa poruszyła się gwałtownie.

– Jak to? – spytała. – Nie pojmuję. Bez naszej zgody? Najjaśniejszy panie?

Zygmunt milczał, ale biskup wyjaśnił.

– Głosowałem w myśl tajnej instrukcji króla danej mi tuż przed wyjazdem.

– Tajnej instrukcji? Za Habsburgiem? – Królowa wydawała się zdziwiona, więcej, zgorszona.

– Za królem Hiszpanii – sprostował Drzewicki.

– Panie mój, trudno uwierzyć – nalegała Bona – że król Polski, mogąc wybrać między Francuzem a Niemcem, popiera Habsburga.

– Dlaczego trudno? Czym lepsi Wależjusz?

– Nie zagrażają nam jak tamci, jak zakon krzyżowy. Francuzi są dalej.

– Ba! – mruknął Zygmunt i znowu zamilkł.

Bona nie dawała jednak za wygraną.

– Ależ Karol to dynastia habsburska. A ta od dawna chce zagarnąć moje włoskie dziedzictwo. I księstwo Bari.

– A jednak to od Habsburgów otrzymałem przed rokiem portret młodziutkiej księżniczki... – zaczął król.

Bona wydeła pogardliwie wargi.

– Och! – próbowała przerwać, ale Zygmunt kończył:

– ... i wiadomość, że principessa Bona z Bari, bellissima principessa, gotowa jest zostać moją małżonką.

– Jeśli nawet dzięki nim zostałam polską królową, to mieli powody, aby pozbyć się mnie z

księstw włoskich. Nie jestem ślepa, wiem, ile znaczy ich życzliwość.

– Unosicie się gniewem, miłościwa pani – łagodził król.

– Jestem z rodu Sforzów. Nie dowierzam Habsburgom.

Zygmunt wstał nagle i skinąwszy głową Drzewickiemu, skierował się ku wyjściu. Przed drzwiami zatrzymał się, odwrócił i rzekł z naciskiem, choć spokojnie:

– Ród Sforzów ma wprawdzie smoka w herbie, ale pamiętać warto, że na Wawelu mieszka także smok. I nie wiadomo, który z nich okaże się mocniejszy.

Wyszedł, a Bona spojrzała na biskupa, pytając ze zdumieniem:

– Nie rozumiem. Co powiedział król?

Drzewicki wydawał się zmieszany, nie uchylił się jednak od odpowiedzi:

– Wspomniał o smoku wawelskim.

– Santa Madonna! Jestem tu już prawie rok, a dopiero teraz mówią mi, że jest tu jakiś potwór. Jakiś groźny smok. Co to znaczy? Skąd wiecie o dotyczącej mnie wróżbie?

– Teraz ja powiem: nie rozumiem... O żadnej wróżbie nie wiem. Znam natomiast legendę o złym smoku, który porwał spod Wawelu młodzieńców i zginął zatruty jadem podrzuconym mu przez łyków krakowskich.

– Zatruty?

– Tak.

– To tylko legenda? – upewniła się, już spokojniejsza.

– Oczywiście, legenda – przyznał z uśmiechem.

– Wciąż jednak nie pojmuję, czemu byliście jeno doradcą posłów z Pragi, zamiast jawnie dać głos w imieniu miłościwego pana jako opiekuna nieletniego Ludwika?

– Ponieważ Czesi przed czasem ogłosili pełnoletność swojego króla. Mogłem tylko doradzać, ale przyznam miłościwej pani, że ani król angielski Henryk, ani francuski Franciszek nie uzyskaliby zgody aż czterech z siedmiu elektorów.

Nie spuszczała z niego oczu, jakby chciała przeniknąć na wskroś, wyczuć najmniejszy fałsz, choćby ślad obłudy, lecz biskup dobrze pamiętał rozmowa tak nieoczekiwanie przerwana niedyspozycją królowej, bo uprzedził jej pytanie:

– Zrobiłem, co mi nakazał król, pragnący żyć w zgodzie z sąsiadami, z nowym cesarzem. Ale przyjrząwszy się bliżej temu, co działo się we Frankfurcie, podzielałam obawy miłościwej pani, że Karol Piąty będzie raczej sprzyjał Krzyżakom w konflikcie z nami. Dlatego też proszę miłościwą panią o zaliczenie mnie do grona jej zaufanych doradców wiernych sług... Tym bardziej że mam nowinę świadczącą o prowadzeniu przez Carolusa podstępnej gry wobec miłościwej pani.

– Jakiej?

– Wolałbym pomówić o tym nie tutaj.

– Czekam was tedy, eminencjo, w moich komnatach nie później niż za godzinę...

Kiedy nazajutrz Drzewicki został wezwany ponownie do króla, ten przywitał go serdeczniej niż zawsze i wyjaśnił:

– Prosiłem was na wspólną naradę z Tarnowskim. Chciałbym od obu moich doradców usłyszeć ocenę sytuacji, która powstała po wyborze cesarza. Może jest ona nieco inna, niż sądzi królowa?

Drzewicki starał się nie odpowiedzieć wprost na zadane pytanie.

– Najjaśniejsza pani bardzo uczona – rzekł. – Słyszałem, że zna na pamięć cztery księgi „Eneidy” i wiele listów Cicerona. Recytuję Owidiusza i Petrarę. To umysł żywy i bystry.

– A temperament południowy – mruknął król.

– Nieco porywczą, przyznaję, lecz dobrze wie, czego chce.

– Na razie nie mówcie Tarnowskiemu o jej niechęci do Habsburgów, jako że...

Ale ten wszedł właśnie do komnaty, Zygmunt więc urwał i po paru słowach powitania zapytał:

– Wiecie już zapewne, że Karol obrany cesarzem?

– To dobra nowina – odparł Tarnowski i zwrócił się do Drzewickiego: – Cieszę się, że z taką przybywacie, eminencjo.

– Hiszpania, Niderlandy i wszystkie księstwa niemieckie w jednym ręku. Co wy na to? – pytał król.

– Że mamy, na szczęście, potężnego sojusznika, w którego państwie nie zachodzi słońce. Teraz łatwo nam będzie odeprzeć ataki Krzyżaków i Turków, bo już tylko stąd grozi nam niebezpieczeństwo.

– Królowa widziałaby korzyści raczej w przymierzu francusko-tureckim. Przeciw Habsburgom.

– Jeżeli przeciwko, to z kim? Nie widzę innego sojusznika. Darujcie, najjaśniejszy panie, ale to gniew przez nią przemawia – rzekł porywczo Tarnowski.

– Gniew? Nie pojmuję.

– A jednak. Niedawno zmarła królowa Neapolu Giovanna zapisała w testamencie ogromne sumy swej krewniaczce, księżnej Bari. Karol odmówił zatwierdzenia testamentu Giovanny oraz wypłacenia spadku.

– Odmówił? Nie sądzę, aby moja małżonka wiedziała już o tym w dniu przyjazdu naszych posłów.

– Zaraz po przyjeździe – wtrącił się Drzewicki – wspomniałem o tej przykrej sprawie kanclerzowi Jej Królewskiej Mości.

– Doktorowi Alifio? Italczykowi?

– Tak, jemu.

– A? Tedy wiedziała... To zmienia postać rzeczy – stwierdził król.

– I ja tak sądzę, miłościwy panie – dodał Drzewicki. – Karol nie wywiązał się z danych przed elekcją zobowiązań w sprawie sukcesji neapolitańskiej.

– A czy przynajmniej pośredniczył w sprawie krzyżackiej, jak nam obiecał?

– W pewnej mierze, miłościwy panie. Owszem, nakłaniał wielkiego mistrza Zakonu do

złożenia należnego wam hołdu.

– A mimo to Albrecht hołdu złożyć nie chce?

– Nie.

– Z Krzyżakami i tak musiałoby dojść do walki – wtrącił się Tarnowski. – Gorzej, że wielki książę moskiewski Wasyl nie ustaje teraz w jednoczeniu ziem ruskich. Ostatnio pozyskał dla siebie chana Giraja.

– I sądzicie, że znowu ruszą tatarskie zagony? – zapytał król.

Tarnowski przytaknął:

– Jestem tego więcej niż pewien. I gdyby najjaśniejszy pan pozwolił mi wyjaśnić miłościwej pani, jak wielkie jest zagrożenie ze wszystkich stron, może nie domagałaby się dochodzenia teraz swoich praw do sukcesji po królowej Giovannie?

– Próbujcie wyjaśnić. Ale jednocześnie wymusić trzeba na wielkim mistrzu uległość wobec Korony. Chyba że uderzy pierwszy...

Uważniej jednak niż Tarnowskiego Bona słuchała w kilka dni potem oznajmienia króla o nieuniknionej wojnie z Zakonem.

– Mówicie, rozprawa bliska? – spytała dotykając końcami palców kwiatów, które trzymała w ręku.

– Tak. Knechci wielkiego mistrza palą i pustoszą nasze pogranicza.

– Więc opuście znowu Kraków. Kiedy?

– Zanim nadejdzie dla Albrechta pomoc zaciężnych wojsk i zachodniego rycerstwa. Ale rozprawa wojenna to rzecz mężów, nie turbujcie się nią zbytnio. Zresztą, nie chcieliście podobno wierzyć Tarnowskiemu, gdy mówił o stałym zagrożeniu naszych granic.

Bona rozłożyła rękę.

– Dio! Co mogłam wiedzieć ja, wychowana w Bari, o knechtach krzyżackich. O carskim jasyrze, tej udręce kobiet i dzieci? O poturczonych, chowanych na janczarów waszych pacholętach? A co do Tarnowskiego...

– Słucham, pilnie słucham – ożywił się Zygmunt.

– Czy to prawda, że właśnie on przejmie na czas wojny buławę po Firleju?

Król wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Nie wiem, skąd taka wiadomość? Hetmanem koronnych wojsk jest Mikołaj Firlej z Dąbrowicy. Jest i będzie, aż do swojej śmierci na polu walki.

– Tym lepiej. I jeszcze jedno. Warto coś zrobić dla Kmity. Już teraz.

– Pyszny to magnat i skłonny do warcholstwa.

– Czyż tak? – zdziwiła się królowa. – Bardzo oddany wam.

– Mnie?

– I dynastii. A że starszy od Tarnowskiego, tedy spieszno mu do znaczniejszego urzędu.

Zygmunt podszedł bardzo blisko i przez chwilę przyglądał się Bonie.

– Na miły Bóg! Tyle planów, tyle myśli kłębi się w tej ślicznej głowie – rzekł wreszcie. –

Czy doprawdy nigdy nie bywa wśród nich i taka: „mnie także spieszno”. Nie do króla, dawcy łask i urzędów. Do małżonka. Czemu odwracacie twarz? Nie spodziewałem się na niej wstydliwych rumieńców.

Odpowiedziała prawie szeptem, bardzo ciepło:

– Italskie niewiasty to prawdziwe viola d’amore. Można na nich wygrać najpiękniejszą pieśń miłości, jeżeli...

– Jeżeli? – nalegał.

– Umie się grać.

– Nie była to odpowiedź wprost – zarzucił. – Ani odpowiedź miła sercu.

Uśmiechnęła się tym promiennym uśmiechem, który zmieniał zupełnie jej twarz.

– Dziś wieczorem spróbuję dać wam taką, która z pewnością wyda się lepsza.

Ramiona królewskie opasały mocno kibić Bony. Wzdłuż jej szaty, na posadzkę, poleciały z bezwładnie zwisłych rąk zielone gałązki, liliowe płatki kwiatów...

Rozstali się dopiero nad ranem i król, odchodząc, raz jeszcze zbliżył się do łożnicy, żeby, dotknąwszy rozsypanych w nieładzie włosów, wyznać szeptem:

– Zaiste. Prawdziwa viola d’amore.

Została sama senna, ale świadoma, że już nie zaśnie przed nadejściem godziny, w której przyjdzie ją obudzić Marina albo Anna. Dwór królowej... był już ostatecznie uformowany, i to według jej woli, a nie przedślubnych umów. Zachowała przy sobie aż dwanaście italskich dworak poza Mariną, trzech paziów, kanclerza Alifio i Pappacodę. Pozostało też z jej ślubnego orszaku kilku najlepszych muzyków, poeta Carmignano, kronikarz jej podróży do Polski i nadworny podskarbi, przyboczny lekarz Mikołaj Catignani, kuchmistrz z rodzinnego Bari i wreszcie franciszkanin ojciec de la Torre – spowiednik matki i jej samej od lat najwcześniejszej młodości. Nie, nie czuła się osamotniona, chyba że piękne panny znajdą wkrótce mężów wśród królewskich dworzan, że wykruszą się starzy słudzy. Jednakże ten niepełny rok pobytu w Krakowie mogła uznać za nie zmarnowany. Zdobyła przychylność, może nawet tajoną miłość tak potężnego magnata, jakim był Kmita, przyjaźń biskupów Międzyleskiego i Drzewickiego, obu wybitnych statystów i byłych sekretarzy królewskich. Ów sekretariat nie przestawał być dla niej zagadką i tę teraz należało rozwikłać. Alifio twierdził, że był to urząd grupujący przy królu wielu uczonych i zasłużonych mężów, jak poetów – Andrzeja Krzyckiego i Jana Dantyszka, historyków – Decjusza i Wapowskiego, humanistów – Chojeńskiego, Latańskiego, Karnkowskiego. Być może, dla tych stanowisko sekretarza nie było szczytowym osiągnięciem w pięciu się wzwyż, ale dla wielu innych? Czyż nie stanowiło pierwszego szczebla na drodze do awansu? Czyż nie byli tam ludzie szlachetnie urodzeni różnych narodowości, a więc wybitni znawcy spraw zachodnich, wschodnich, śródziemnomorskich i tureckich? Podlegali im pisarze królewscy, ale to tamci, nie owe skryby, sprawowali poselstwa i, jak to stwierdził Alifio, wyjeżdżali często poza granice kraju. Kto wie, czy któregoś z owych sekretarzy nie warto wysłać jako stałego obserwatora na dwór nowego cesarza? Albo do Pragi, dla czuwania nad nieletnim, mimo oświadczeń panów

czeskich, bratankiem króla Ludwikiem?

Tej nocy nie rozmawiała z Zygmuntem jak władczyni, lecz jak najczulsza kochanka, i nie żałowała tego ani przez chwilę. Jej młode ciało spragnione było pieszczot, a poza tym... Obiecała sobie, że będzie jak Elżbieta Jagiellonka matką królów i te pierwsze lata poznawania obcego kraju, dworu, języka poświęci pochylaniu się nad kołyską z Bari, srebrną kołyską Jagiellonów. Te lata powinna poświęcić także wprowadzeniu włoskiej mody w strojach niewiast, nowych potraw, warzyw i przypraw do polskiej kuchni. Tak. Dzięki niej Wawel rozśpiewa się i roztańczy, zacznie tętnić bujnym życiem i wkrótce dwór Bony Jagiellonki stanie się stawny w całej Europie. Konie... prawda. Jeszcze powinna zadbać o wspaniałą stadninę królewską...

Przymknęła oczy i znów zobaczyła siebie na czele ślubnego orszaku, siebie harcującą na białej klaczy, to wjeżdżającą w las, to wypadającą na skraj puszczy. Była wtedy nie mniej szczęśliwa, nie mniej zmęczona niż po dzisiejszej nocy. Izabela... Córka... Tak, to jedyny cień na jasnych obrazach przesuwających się teraz przed oczyma. Ale jest jeszcze młoda i wszystkie marzenia mogą się spełnić. Ktoś stuka... Kto ośmiela się przerwać ten półsen? Jak zwykle Marina. To znaczy, że jest już późny ranek, że nadchodzi nowy dzień...

Przyglądała się dworce, która zbliżyła się do okna, aby odsłonić kotary, i nagle, ujrawszy słoneczne światło, zapragnęła skąpać się w nim, jak kiedyś nad Morzem Śródziemnym.

– Otwórz okno! – rzuciła rozkaz.

Marina odwróciła się zdumiona.

– Jak to? Na niebie słońce, ale to luty, dzień chłodny. Nie tak jak u nas.

– Więc tylko uchyl. W komnacie duszno.

– Duszno? – powtórzyła tamta jak echo. – Ależ tutaj zawsze za zimno, za wilgotno.

Zwijając naprędce w węzeł rozpuszczone włosy. Bona spytała nagle:

– Więc to prawda? Nie lubisz tego zamku? Nie lubisz Krakowa? Wawelu?

– Kto śmiał to powiedzieć? – przeraziła się powiernica.

– A któż by, jak nie twój przyjaciel, Pappacoda.

– On? – zdziwiła się. – Także bez przerwy narzeka.

– Wiem. Niemiły mu doktor Alifio. Tedy niech próbuje jak tamten zyskać uznanie Akademii Krakowskiej. Jak tamten niech dostąpi zaszczytu uczenia polskich żaków rzymskiego prawa... Ale cóż on właściwie potrafi? Niente! Niente!

– Mógłby zostać przynajmniej burgrabią zamku.

– Przynajmniej? Och! To nie Bari, gdzie radził sobie z tym urzędem.

– Miłościwa pani – powiedziała dworka z goryczą – coraz częściej mówi o naszym księstwie...

– Ciekawam jak? – przerwała, czując narastający gniew. – Nie milcz, mów.

– Jakby z... pobłażaniem. Z nutką lekceważenia w głosie.

– Jak? A zresztą... Drażnisz mnie. Widzisz tylko to, co gorsze tutaj niż w Italii: ciemniejsze niebo, chłody, brak owoców i jarzyn... Sama wiem. Si! Wszystko surowsze, trudniejsze.

Wszystko zupełnie obce. Ale w tym nowym, niełatwym świecie, z woli principessy wy mieliście być dla mnie tarczą i osłoną. Wy, Italczyki, dworacy z Bari. A co z was mam? Prawie nic. Wysiłki Alifia budzą niechęć w tobie, w Pappacodzie. Perché? Odpowiadaj!

– Bo miłościwa pani ufa mu jak żadnemu z nas. Mianowała swoim kanclerzem.

– Na co zasłużył. Wie o wszystkim, łagodzi zadrażnienia, ostrzega przed niebezpieczeństwem. Pappacoda chce mu dorównać? A czy zadbał choćby tylko o zabezpieczenie moich sum posagowych? Co wiem o dobrach nadanych mi po ślubie jako oprawa polskiej królowej? Niewiele. Chce pochwał? Bene. Idź. Każ mu przyjść do mnie zaraz po śniadaniu.

– Miłościwa pani! Pozwólcie mi zostać, uczesać was jak co dzień – błagała Marina.

– Powiedziałam: wyjdź. Niech przyjdą Anna i Beatrice.

– Miłościwa pani...

– Powiedziałam. Presto! Prosto!

Kiedy znalazłszy Pappacodę prowadziła go do komnat królowej ten zwijał i rozwijał niesione pod pachą rulony. Nawet Marinie wydał się wzburzony ponad miarę.

– Musicie uzbroić się w cierpliwość – rzekła. – Miałam nieszczęście rozgniewać ją przypominając, że dawno nie pisała do principessy że zapomina o Bari.

– Co jest prawdą – mruknął. – Nie liczy się już z radami matki. Słyszeliście? Alifio ma do niej dostęp o każdej porze dnia. Czyżby to jego chciała widzieć burgrabią zamku?

– Nie wiem – skłamała dworka. – Ale tamten zaczyna zdobywać uznanie u tutejszych uczonych, profesorów Akademii, u sekretarzy królewskich. Musimy pomówić o naszych sprawach dłużej i nie w przelocie. W wolnej chwili zaproszę was do siebie na lampkę wina. A teraz wejdźcie. Przygotujcie potrzebne papiery, bo za chwilę, kiedy skończy śniadać, zechce rzucić na nie okiem...

To było jednak więcej: dokładne badanie akt, czytanie wszystkich umów i nadań. Kiedy kolejno podawał jej skrypta, pochylała się nad nimi uważnie, a potem ciskała kolejno na ziemię. Najpierw oceniała je tylko, ale niebawem zaczęła niecierpliwie się, mówić podniesionym głosem:

– Co to jest? Niente! I to także nic. Niente! Jako zabezpieczenie wielkiego posagu miałam otrzymać dobra należne polskim królowym. A to tylko papiery do wyrzucenia! Śmieszne nadania: Radom, Chęciny, Łęczyca, Łobzów i Konin. Konin? Jest tam przynajmniej jakaś wielka stadnina?

– Nie, miłościwa pani. Nie mówiono mi o tym.

– Tedy Konin bez koni. Dalej. Kłodawa i Inowrocław. Mało. Bardzo mało. Wyraziliście komu trzeba moje niezadowolenie?

Pappacoda wpatrywał się w leżące na posadzce papiery i odpowiadał już z mniejszą pewnością siebie.

– Tak, miłościwa pani. Ale przypominam, że ostatnio król jegomość ofiarował wam, już poza granicami Korony, całe księstwo pińskie, Kobryń i Kleck.

– Gdzie leżą wszystkie te ziemie? – spytała.

– Na wschodzie, miłościwa pani.

– W Wielkim Księstwie Litewskim?

– Tak. Ciągną się od Grodna po Kowno, obejmują rozległe starostwa na Rusi, Podlasiu i Wołyniu – wyliczał.

– Nie są zagrożone na wypadek rozprawy z Zakonem?

– Jeżeli książę Wasyl nie ruszy jednocześnie, jeżeli hordy tatarskie nie uderzą na Wołyń...

– Dosyć – przerwała. – Nie chcę słuchać tego „jeżeli”. Liczymy na to, że wojna obejmie tylko północną część Polski, Pomorze i Gdańsk. Co wtedy warte są moje rozległe dobra na Litwie i Wołyniu?

– Miłościwa pani... Jak słyszałem, to kraj puszczański, bogaty we wszystko, co daje bór: w drzewo, skóry i wosk.

Zastanowiła się przez chwilę, złagodniała.

– Dziewicze lasy... Wysokopienne sosny... Nie ma takich w Italii. Bene. Lubię polować. Zawsze marzyłam, żeby kiedyś zmierzyć się ze stadem wilków. Usłyszeć, jak wyją.

– W tamtych odwiecznych borach pełno zwierzyny – przytaknął skwapliwie. – Są nawet niedźwiedzie.

Ucieszyła się, poweselała.

– A? Nareszcie coś ciekawego. Pojadę tam i zapoluję na grubego zwierza.

– Księżna Bari byłaby temu przeciwna – powiedział nieopatrznie.

– Czyż tak?

– A i oszczep nie na siły miłościwej pani... po niedawnym porodzie.

– Czyż tak? – drwiła już jawnie.

– Drobną zwierzyną: lisy, zające nie wymagają takiego wysiłku...

– Basta! – przerwała. – Powiedziałam: zapoluję na zwierza! Dzikiego, Primo – królowa Izabela jest pod dobrą opieką. Secundo – po co mi oszczep? Mam arkebus przysłany w darze od francuskiego króla. Wspaniała broń i nad podziw celna. Godna największego z litewskich niedźwiedzi.

Pappacoda użył ostatniego z argumentów:

– Jelenia można ubić i pod Krakowem. W Niepołomicach.

Roześmiała się, nawet przytaknęła:

– O si! Si! Tylko na to czekają! Stańcie tam, signor Pappacoda. Dalej, jeszcze dalej. – Złożyła się jak do strzału. – Pif-paf! I już nie ma waszych rogów.

Pappacoda, zły, wyprostował się zgodnością.

– Nie jestem żonaty.

– Jeszcze nie. Ale Polki bellissime! Doprawdy lepiej, żebym strzelała do niedźwiedzi... – śmiała się, lecz nagle, spojrzawszy na rozrzucone papiery, zmieniła ton. – Na dzisiaj starczy. Możecie zabrać wasze nadania i papiery. Zaczekamy, aż król wróci z wyprawy, a wtedy...

Tymczasem starajcie się zdobyć jak najwięcej wiadomości o wszystkich nadanych mi dobrach.

*

Nadeszło upalne lato i nawet zawsze zmarznięta Marina musiała przyznać, że jest ono w Polsce bujne, nad wyraz piękne. Mała królowna przebywała już całe dni na podwawelskich trawnikach i nie przelekła się nawet w noc świętojańską rozpalonych ognisk, choć luna biła w okna zamkowych komnat. Królowa, która przed rokiem, zaraz po swoim przyjeździe, zwiedzała zameczek w Niepołomicach i nie widziała obrzędu puszczania wianków na Wiśle, stała teraz na krużganku wpatrzona w ogień znaczące złotem brzegi rzeki.

– I piękne to, i straszne – rzekła. – Ogień. Tyle ognia...

– W wigilię świętego Jana – tłumaczyła Anna – także na wszystkich polanach leśnych i na brzegach każdej rzeki ludzie rozpalają ogniska. Na cześć nadchodzącego lata.

– Bene. Może to i odwieczny obyczaj, ale pogański. Santa Madonna! Mam patrzeć przez cały wieczór, a może i noc na płonące nad Wisłą stopy? To przypomina palenie czarownic.

– U nas ich nie palą, miłościwa pani – wtrącił się Stańczyk.

– U was! U was! Basta! Wolę obejrzyć jutro na podwórku zamkowym walkę kogutów.

– Ależ w Krakowie żacy puszczają je przeciw sobie dopiero na Piotra i Pawła. I to ku uciesze gminu – stropiła się dworka.

– A w tym roku zrobią to po nocy świętojańskiej, i na Wawelu.

Obejrzę zapasy jutro wraz z całym dworem. Jak w Bari.

To życzenie, jako rozkaz królowej, sprawiło, że późnym popołudniem następnego dnia, ku zdumieniu całego zamku, na podwórku zaroilo się od żaków w różnobarwnych szatkach – ni to kuglarzy, ni to błaznów.

Królowa patrzyła na nich z krużganków i wciąż ponaglała ochmistrza.

– Maresciallo Wolski. Na co czekamy? Nie widzę tu żadnych zapasów, jeno jakieś maskary.

– Przebierance to, najjaśniejsza pani. Ale już wnoszą kojce z kogutami.

– Widzę – rzekła, pochylając się niżej.

– Zapasy zaczęte, miłościwa pani! – oznajmił Stańczyk i dodał, krzywiąc się pociesznie: – I jeszcze takich nie widział na tym dziedzińcu.

Królowa przypatrywała się chwilę dwom przestraszonym gwarem, nieskorym do ataku czarnym kogutom, z których jeden miał czerwoną wstążkę na szyi, i też skrzywiła wargi.

– I to ma być walka? – rzekła. – Nudna, bez życia. Tak nędznych zapaśników nie sposób ani zagrzać do walki, ani krzyknąć: bierz go! Presto! Avanti! Avanti!

– A miłościwa pani wolałaby patrzeć, jak lecą pióra, jak kapie krew z grzebieni i dziobów? – dopytywał się Stańczyk.

– Si! – powiedziała już gniewnie. – Jestem córą italskich kondotierów i nie boję się krwi. Chciałam patrzeć na widowisko prawdziwe, a tu... błazny na krużgankach i błaznowanie tam, w dole. Idziemy do ogrodów, signoriny.

Odwróciła się i odeszła, a za nią pociągnął cały dwór. Na krużgankach został tylko Stańczyk i patrzył chwilę na żaków usiłujących zmusić do krwawej rozprawy nie przygotowane do niej czarne ptaki. Pokiwał wreszcie głową i mruknął:

– Basta! Tu nie Italia. Nie Bari...

Jednego z letnich popołudni, gdy zebrani wokół królowej dworacy przestali już chwalić grającą na lutni Beatrice, Bona spytała Stańczyka, przygadującego szpetnie jednemu z dworzan, którego zmogła senność:

– Obiecywałeś odczytać nam dzisiaj jakoweś poema. Co to będzie?

Wiersz imć pana Krzyckiego czy łacińskie poema Dantyszka?

– Ani jedno, ani drugie – skrzywił się wzgardliwie. – Zaprezentować chciałem miłościwej pani pierwszy w poezji Słowian wiersz dworski mówiący o zachowaniu przy biesiadnym stole. Traktat rymowany z ubiegłego stulecia, ucieszny wielce.

– Bene. Czytaj.

Z udaną powagą recytować zaczął:

*„A mnogi idzie za stół,
Siedzie za nim jako wół,
Jakby w ziemię wetknął kół!
Sięga w misę przez drugiego,
Szukając kęsa lubego:
Niedostojen nic dobrego!
Panny! Na to się trzymajcie,
Małe kęsy przed się krajcie!
Ukrawaj często, a mało,
A jedz byleby się chciało...”*

– Insze rady poety są takie:

*„Trzema palcami jeść masz brać,
Wielkich sztuk nie masz ukęsać...”*

– Bo wielkie sztuki, miłościwa pani, zawdy kością w gardle stają.
Bona zmarszczyła brwi.

– Starczy. O czym jeszcze mówi autor tego wiersza?

Stańczyk parsknął śmiechem.

– Radzi biesiadnikom nie oblizywać palców. I nie obgryzać zbyt gorliwie kości.

– Kości? – upewniła się królowa.

– Tak radzi. Czy źle? – spytał przekornie.

– Ja pytam, ty odpowiadasz. I słuchaj, trefnisiu, pono wszystko lepiej wiesz, wszystko wyśmiać jesteś gotowy. Odpowiedz tedy na takie pytanie: prawda to, że dziczyzny w puszczach jest teraz mniej niż dawniej?

– Każda wojenna wyprawa napęlnia nią brzuchy rycerzy. Mięso trzeba dla wojska suszyć, wędzić. A i w czas pokoju nie ma dnia bez polowań.

– Ale stepowych obszarów i łąk mamy bez liku. Tak czy nie?

– Odpowiem żartem...

– Chcę usłyszeć jedno tylko słowo: „tak” albo „nie” – przerwała.

– Tak. Dla jednego smoka starczy.

Odpowiedziała na pozór spokojnie, ale oczy ciskały błyskawice.

– Gdybyś byt naprawdę mądry, jak sądzi król, nie odpowiadałbyś głupio. Signor Alitio, proszę zbadać sprawę i złożyć mi raport. Chcę wiedzieć, ile na tych stepowych obszarach można by wypasać wszelakich zwierząt, głównie wołów.

– Nie wieprzy, tylko wołów? – zdziwił się błazen.

Raczyła odpowiedzieć.

– Nierogaciznę trzeba tuczyć, a stada owiec i wołów pasą się same. W królestwie Neapolu liczne domeny koronne przeznaczone są na pastwiska, a opłaty za ich użytkowanie idą na rzecz skarbu. Kwitnie przez to hodowla bydła, a na stołach jest mięsa w bród. Poza tym nieprzeliczone stada wykarmione na tej trawie przekraczają na własnych nogach granice neapolitańskiego królestwa. Żadnych kosztów przewozu. Proste?

– Oszalamiająco proste! – wykrzyknął błazen. – Tylko...

– Tylko?

– Odkąd Polska Polską żadna z jej królowych nie zaprzętała sobie głowy... byłem – dokończył Stańczyk.

Spodziewał się wybuchu śmiechu, ale dworzanie przezornie milczeli, twarze ich były kamienne, oczy spuszczone w dół. Bona wstała nagle i przytaknęła spokojnie, choć zjadliwie:

– Nie zaprzętała, właśnie dlatego poeci musieli pouczać poddanych, żeby nawet w czas pokoju tak gorliwie nie obgryzali kości.

*

Późną jesienią, kiedy zaczęły już opadać liście, oboje królestwo udali się na polowanie do Niepołomic, a zaraz potem zaczęły nadchodzić coraz gorsze wieści z Pomorza. Król zwlekał jeszcze czas jakiś, wreszcie postanowił wyruszyć w pole, mimo namawiań Bony, ażeby zdać się na Firleja i Tarnowskiego. Zygmunt jednak, uparty jak wszyscy Jagiellonowie, nie uległ nawet temu argumentowi królewskiej małżonki, że czuje się znów słaba, bo ma już pewność, że po raz drugi zostanie matką. Ucieszył się szczerze, ale od swego zamiaru nie odstąpił.

– Ostawiam was niespokojny wielce, lecz jechać muszę.

Westchnęła pytając:

– To nie potrwa długo?

– Rozprawa z Albrechtem może być bardzo ciężka. Potrwa przez całą zimę, a kto wie, czy nie dłużej?

Spojrzała na niego, zdumiona.

– Jak to? Nie przybędziecie ani na święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy, ani na urodziny syna?

Milczał, starając się uniknąć jej oczu.

– Rozumiem – powiedziała po chwili – nie wróćcie.

– Nie wiem – zaprzeczył. – Będę stał listy. I chcę mieć wiadomość o pomyślnym rozwiązaniu.

– O przyjsciu na świat następcy tronu? O, tak. Nie omieszkam. Jednakże... Najjaśniejszy panie...

Podbiegła do niego w nagłym porywie lęku i wtuliła się w rozwarte ramiona. Pocieszał ją dobrotliwie:

– Postaram się wrócić. Ale zechciejcie pamiętać: jeżeli nie zdążę na czas, choćby to była znowu córka i tak pchnijcie gońca. Wyprostowała się dumnie.

– Jeżeli, nie daj Bóg, urodzi się druga księżniczka...

– Wtedy? – nalegał.

– Wtedy powiadomię mojego pana i króla o jednym tylko: o stanie zdrowia... królowej.

Wyjechał i Wawel, bez rycerstwa i doradców królewskich, wydawać się jeszcze bardziej zimny, pusty. Co gorsza, przed samymi świętami Bożego Narodzenia królową obudziły wcześniej niż zwykle jakieś okrutne hałasy i zgrzyty. Przywołana Anna zbiegła na dół, ale wróciła po chwili twierdząc, że nikt ze służby nie wie, co zaszło. Poleciała wówczas poprosić do sypialnej komnaty ochmistrza Wolskiego i przywitała go wymówkami.

– Od godziny przeszkadzają mi jakoweś stukoty, nieznośne hałasy.

Słyszycie?

– Słyszę turkot kół.

– I bicie kopyt o bruk. Głowa pęka. Co to wszystko znaczy?

– Miłościwa pani... Na rozkaz króla ściągają z murów i z grodu wszystkie działa.

– Działa? Jak to? Także z Wawelu?

– Tak. Nawet te najcięższe.

– I zamek zostanie bez armat?

– Taki był rozkaz najjaśniejszego pana. Działa oblężnicze, które wziął ze sobą, są zbyt słabe.

I bardzo nieliczne.

– Nie znam się na tym, ale sądzę... Chciałabym pomówić z marszałkiem Kmitą.

– Pociągnął wczoraj za królem.

– On także? Nie ma więc nikogo! Zostałam sama w bezbronnym mieście... W zamku

pozbawionym armat. Dio! Czyżby król pamiętał o działach, a zapomniał, w jakim stanie zostawił... mnie? Swoją małżonkę?

Ochmistrz nie zdołał jednak wpłynąć na zmianę rozkazów królewskich i zima nie tylko zaczęła dokuczać wielkimi mrozami i śnieżną zawieją, ale także niepewnością: jaki los spotka gród nie mogący się bronić? Czy hufce krzyżackie nie dotrą aż do granic Małopolski?

Jakby i tych obaw było nie dosyć, od świąt Wielkiej Nocy zaczęła chorować mała Anna, córka z pierwszego małżeństwa króla, i Bona wydała rozkaz, aby zmienić medyka, wyszukać najlepszego z najlepszych. Alifio wynalazł wreszcie i sprowadził na Wawel znamienitego Jana Andrzeja Valentino, który odtąd wraz z dotkniętym tym brakiem zaufania nadwornym lekarzem Catignani czuwał nad chorym dzieckiem. Bona schodziła jeszcze w kwietniu do skrzydła zajmowanego przez obie pasierbice i małą Beatę, ale choć widziała, że z królową jest coraz gorzej, starała się oszczędzać małżonka i jej listy były pełne samych dobrych nowin lub dworskich plotek. Pisała także, że wyniesiony, tuż po wyjeździe króla na biskupstwo wileńskie, książę Jan czuje się na tym urzędzie nad podziw dobrze, jedna sobie szacunek panów litewskich i że nie mniej rada z tej nominacji syna jest przebywająca przy nim wraz z dwiema starszymi córkami pani Katarzyna Kościelecka. Czy Telniczanka naprawdę została dobrze przyjęta przez litewskich magnatów – tego Bona nie była pewna. Sądziła nawet, że dawna konkubina królewska musiała czuć się obco w Wilnie, nie przyjmowana przez dwory wielmożów, ale Alifio twierdził, że obyczaje w księstwie nie są tak surowe jak w Koronie i że nie słyszał o żadnych afrontach czynionych matce biskupa. Tak więc król nie wiedział nic ani o tym, co czuły jego najstarsze nieślubne córki, opuszczające Kraków pod przymusem, ani o chorobie królowy Anny. I dopiero gdy tej zmarło się 8 maja w piątym roku życia, królowa pchnęła gońca na północ z żałobną wieścią. Jednakże przyjechać na pogrzeb nie mógł, przysłał tylko list, składając królowej niezmiernie dzięki za to, że nie zbywało jej na czułym macierzyńskim staraniu, wypływającym z obowiązku odpowiedniego jej cnotcie i ich wzajemnej miłości. Prosił też, aby zatrzymać na Wawelu przesławnego medyka Valentino i by to on był obecny przy rozwiązaniu w lipcu.

Czerwiec minął niewesoło, włókł się, rozciągał, jakby miał trwać całe lato. Alifio coraz częściej zastawał królową w złym humorze, zmęczoną upałem i skąpymi wieściami o przebiegu zmagania z krzyżactwem.

– Czekam, ciągle czekam – poskarżyła się któregoś wieczoru, choć rzadko ujawniała swe najtajniejsze myśli. – Widzicie sami: w wielkim napięciu, kiedy zapada noc i słyszę tylko strażę krążącą pod murami i na podwórku, wstaję i błędzę po komnatach łaknąca snu, a tak niespokojna, że odpoczynku zaznać nie mogę. Wtedy wiem, widzę, że jestem tym wielkim zamku sama, zupełnie sama...

Kanclerz przyjrzał się baczniej poblądłej, nieco zmienionej twarzy królowej i spytał nieśmiało:

– Miłościwa pani aż tak niepokoi się o wynik orężnej rozprawy?

– Nie tylko. Także o króla, upiera się, żeby być zawsze tam, gdzie najsroższa walka. I o

niewpewną konstelację gwiazd. W bezsenne noce myślę: czyżbym ja, Bona Sforza, nie potrafiła na złość sąsiadom urodzić syna? Zapewnić ciągłości dynastii? Habsburgowie w Wiedniu, w Hiszpanii... Oni na pewno sądzą, że nie potrafię. A inni? Choćby wy? Chcę wiedzieć.

Alifio uchylił się od odpowiedzi.

– Miłościwa pani ma żelazną wolę, ale w tej sprawie trzeba zdać się życzliwy los. I na modły.

Uniosła obie ręce w górę.

– Santa Madonna! Przecie odprawiam jedną nowennę po drugiej! Żebrzę o tę łaskę. Ja – zebrzę. Nie do wiary! I pomyśleć, że tak niedawno, jeszcze przed dwoma laty w Italii mówił mag: „Będziesz władczynią wielką i potężną”. A ja chciałam być tylko szczęśliwą...

– Przed najjaśniejszą panią jeszcze cała przyszłość.

– W samotności? – spytała. – W lęku? W ciągłym zagrożeniu? □Dio, Dio! Jak trudno być polską królową!

W tym samym czasie Pappacoda pijąc wino u dworki Mariny zapewniał ją, że wydaje się teraz młodsza, weselsza, a ona, słuchając pochwał, kryła pod powiekami bystre oczy i dolewała mocnego trunku.

Wreszcie rzekła:

– Może to być, bo nareszcie mogę się wygrzać na letnim słońcu jak w Bari. To jesienie i zimy są na Wawelu udręką.

– Jak czuje się królowa? – zapytał po chwili.

– Nie może doczekać się powrotu małżonka. Wygląda gońców.

– Trudno się dziwić – mruknął. – W tych dniach rozstrzygnie się los dynastii Jagiellonów.

– Madonna mia! To król aż w takim niebezpieczeństwie?

– Nie wojnę krzyżacką miałem na myśli. Tu, na zamku, rozstrzygnie się los dynastii, a także Bari i Rossano.

Marina spojrzała na niego zdziwiona.

– Przecież królowa Bona dziedziczy po matce włoskie księstwa.

– Ale nie jej córki – zaśmiał się. – Te mogą utracić ziemie Sforzów na rzecz hiszpańskich Habsburgów, ściśle mówiąc. Carolusa. A już na pewno żadna z nich nie będzie królem Polonii.

– Królowa jest przekonana, że tym razem urodzi syna.

Wzruszył ramionami

– Dwór wiedeński nie jest tego aż tak pewny. Raczej nie liczy na urodziny chłopca. Zważcie tylko: król miał, poza Janem, same dziewczynki – dwie z nieprawego łoża, a trzy ze swoich małżeństw. Nie jest już młody, ma lat przeszło pięćdziesiąt. Pytałem signora Catignani: nie wierzy, aby doczekał się męskiego potomka.

– Może tak mówić umyślnie, na przekór Valentino. Jest o niego zazdrosny – Bystrości wam nie brak – przyznał Marina zacisnęła wargi – Królowa jest innego zdania – powiedziała z goryczą.

– Od dnia koronacji – przytaknął – nie liczy się z naszym zdaniem. Zaczyna szukać sprzymierzeńców wśród Polaków.

– A wy nie? – spytała.

– Gdybym został burgrabią zamku, musiałbym, rzecz jasna, mieć zaufanych wśród tutejszych dworzan. Ale tak...

– Boję się, że z was dwóch wybierze Alifia.

– Zawsze i wszędzie on! Tedy czas pomyśleć o sobie. Wiedeński dwór interesuje się mną znacznie żywiej niż królowa. Wydawała się zaskoczona.

– To rzecz nowa – rzekła.

– Ale ważna. Czemu Habsburgowie nie mieliby przez jedną z cór królewskich zawładnąć Polską?

– Mówicie mi to wszystko ot tak, zwyczajnie, przy lampce wina? – spytała zdumiona.

– Niezupełnie. Mam swój plan i swoje powody. Wiedeń czeka niecierpliwie na dzień, kiedy Bona zlegnie.

– I chcę, abyście wtedy co učinili?

– Ja? – zdziwił się z kolei. – Nic. Oczywiście, że nic. Ale wy... To byłaby taka mała przysługa, zupełnie niewinna...

Jeżeli liczył na to, że ma ją w ręku, to się pomylił. Otuliła się nagle szczelnie barwistym szalem.

– W tym okropnym kraju nawet najmniejszy wysiłek... kosztuje – westchnęła.

– Si – musiał przyznać.

– Co to za przysługa?

– Właściwie głupstwo. W owym dniu dowiem się pierwszy, przed wszystkimi innymi...

– Czy urodził się syn?

– Ależ nie! Córka. Tamtych obchodzi tylko córka!

– Ciekawe... Alifio może zostać burgrabią w Krakowie – rzekła po namyśle. – A na jaki urząd w Wiedniu liczycie wy?

– Po gorzkich doświadczeniach krakowskich nie liczę na nic. Urząd? Nie. Raczej oczekuję należytej oceny. Wdzięczności... Ale o tym nie pora jeszcze mówić.

– Sicuramente, no – przyznała dolewając wina. – Nie pora.

*

Królowa nie wstawała ostatnio z łożnicy i choć zbliżał się ostatni dzień lipca, nie wspominała o bliskim rozwiązaniu. Napytania medyków odpowiadała uparcie: „No”. Nie czuje żadnych bóli, a nie wstaje, bo nie chce narazić się na jakiś wstrząs czy upadek, nie życzy sobie przedwczesnego porodu. Medycy przerzucali się spojrzeniami, jako że o przedwczesnym rozwiązaniu nie mogło być mowy, obliczyli, że połóg musi nastąpić pod koniec lipca. Ale Bona nie chciała dopuścić ich do łoża, nie pozwalała się zbadać i codziennie odchodzili z niczym, coraz bardziej zdumieni.

Dworki widziały wprawdzie, jak nieraz leżała bez słowa z zaciśniętymi ustami, jak czytała nocami, żeby nie zasnąć, ale bały się pytać, czym się trapi, czemu jest tak niespokojna, zamknięta w sobie, niezyczliwa lekarzom? Tylko Marina odważyła się czasem zagadnąć o zdrowie, tylko Anna pytała, patrząc ze współczuciem na jej zwężone oczy, pobladłą twarz:

– Czy mam zaśpiewać?

Odpowiadała jak co dzień:

– Nie.

– Zawołać lutników? Błaznów?

– Nie.

– Stańczyka?

– Męczysz mnie. Czy były wieści od najjaśniejszego pana? Z pola walki?

– Nie było żadnych wieści, miłościwa pani.

W tej chwili do komnaty wszedł Wolski.

– Pan wojewoda Zaremba prosi o posłuchanie – rzekł.

– Ojciec? – ucieszyła się Anna. – Tu, w Krakowie?

– Właśnie wjechał na zamek – przytaknął ochmistrz.

Królowa ożywiła się nagle.

– Prosić! Prosić! Presto!

Pan Jan Zaremba wszedł pośpiesznie, zdrożony wielce, ale widocznie rad, że widzi królową w dobrym zdrowiu, choć w łóżnicy.

– Z rozkazu miłościwego pana przybywam pozdrowić Waszą Królewską Mość i zapytać...

Przerwała mu:

– Radam widzieć was na zamku. – Wyciągnęła rękę i spytała krótko: – Listy?

– Nie mam żadnych listów – stropił się wojewoda.

Cofając rękę, powtórzyła jak echo:

– Żadnych listów...

– Ale król niepokoi się wielce – zapewniał Zaremba. – Prosi, aby miłościwa pani dbała o siebie.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Ach tak... Cóż. Jestem, widzicie, w dobrym zdrowiu. Ciągle jeszcze czekam. Jaki przebieg wyprawy?

– Na początku, owszem, zwycięski – odparł. – Zdobyliśmy Kwidzyn, i to głównie dzięki tym ciężkim działom, które nadeszły z Krakowa. W maju gdańszczanie szturmowali Kłajpedę, a król ruszył na Królewiec. Ja z nim. Potem nieproszone pośredniki, przyjaciele Albrechta, zjawiły się w obozie.

– A król?

– Srodze był tym dotknięty. Ci posłowie papiescy i cesarscy radzili mu zawrzeć pokój, a już co najmniej – rozejm. Chcieli, żeby zdał się na ich sąd rozjemczy...

– A on? – nalegała.

– Rozgniewał się bardzo.

– Król? – W jej głosie było zdziwienie, jakby nie mogła uwierzyć w wielki gniew małżonka.

– On sam. Zapytał papieskiego legata, czy Rzym wyraziłby zgodę na jego rozjemstwo w sprawie Rawenny i Bolonii? Legat zdziwił się – odrzekł, że przecie oba te miasta papieskie były i są. Od zawsze.

– A król?

– Rzeki: „Powtórzcie więc temu, kto was wysłał: także wszystkie te nadmorskie ziemie z dawien dawna – moje. Królewskie. I żadnego tu rozjemstwa nie potrza”. Pośrednicy na to odpowiedzi nie znalazłszy, zaczęli twierdzić, że nie godzi się wielkiemu monarsze walczyć z nierównym, o tyle słabszym przeciwnikiem. Odrzekł na to, że wie dobrze, co mu się godzi czynić, a co nie. I już było po krótkiej przerwie w walkach, a zaraz potem wojska zaciężne z zachodu ruszyły ku Wielkopolsce na pomoc Albrechtowi.

– A król?

– Przeciw tym wojskom powołał pospolite ruszenie, sam zaś poszedł pod Poznań. Ja z nim. Teraz przyjdzie się nam bronić na Wiśle, koło Bydgoszczy. Trzeba za wszelką cenę utrzymać przeprawę na rzece.

– Tedy jest źle? – nalegała.

– Nie najlepiej – przyznał. – Korzystając z przewlekłych rokowań, wielki mistrz uderzył już teraz, w lipcu, na Mazowsze.

– I gotów wygrać wojnę?

– Do końca daleko. Jeśli obroni się osaczony Gdańsk, jeżeli nie padnie Tczew...

– Jeżeli... Jeżeli... – powtarzała już z gniewem. – Wracacie zaraz do króla?

– Mam zabrać stąd resztę zamkowej załogi i iść w sukurs do Gdańska.

– Resztę załogi? – nie dowierzała.

– Miłościwa pani! To bój na życie i śmierć. Albo zwyciężym, albo utracim Pomorze.

– Wracacie już jutro do obozu?

– Do jutra nie zdążę zebrać zbrojnych. A i miłościwy pan liczył, że wrócę z nowiną.

– Jaką? – zdawała się nie rozumieć.

– O urodzinach królewskiego syna – odważył się przyznać.

Uśmiechnęła się drwiąco.

– A... Widzę, że zostaliście obdarzeni niełatwą misją. Nie mówcie nic. Pocieszcie się, że ja także. Anno, odprowadź gościa. Macie urodziwą córkę, mości wojewodo.

Skłonił się nisko.

– Oby potrafiła zawsze być wam miła, miłościwa pani.

Odwrócił się i wyszedł, ale przedtem jego oczy obiegiły całą komnatę, jakby w poszukiwaniu czegoś. Nie pytał już o nic, lecz idąc kruzgankami wybuchnął:

– Pilnie wracać muszę, a tu ani śladu kołyski. Król myślał, że zlegnie teraz, w ostatnich

dniach lipca.

Skinęła głowa.

– I tak myśleli medycy, ale Marina... Ta chyba wie najlepiej i twierdzi, że królowa wolałaby urodzić w pierwszych dniach sierpnia. Że ma dość siły woli, aby to sobie nakazać.

Wojewoda zdumiał się tak, że aż przystanął.

– A to czemu? Bo mniej dokucza letni skwar?

– Nie. Bo urodzony w sierpniu przyniosłby sobie imię rzymskich cesarzy – wyjaśniała pośpiesznie.

– August? Urodzony w miesiącu augustie? Na Boga! Nie przyszłoby mi to do głowy. Nigdy!

– Wam nie – przyznała. – Ale jej... Żyje tylko tą myślą. Nie do wiary, choć to prawda: odwleka decydującą chwilę.

– Co za niewiasta! – rzekł i nagle chwycił córkę za ramię. – Słuchaj! Jesteś mi teraz potrzebna. Nie tylko królowej zależy na następcy tronu. Królowi także. Tedy i mnie, jego wysłannikowi.

– W czym mogłabym dopomóc? – starała się zrozumieć jego słowa.

– Będę czekał na znak. Dzień, dwa, dłużej nie mogę tu zostać. Wywieszisz z okna sypialni królowej czerwony pas, to znaczy, że wszystko po myśli i mogę wracać z dobrą nowiną. Przyjdzie na świat córka, nie zbliżaj się do okna. Zapamiętasz?

Skinęła głową.

– Tak. Czerwony pas.

Duszna, upalna noc. Na niebie pełno było gwiazd, ale księżyc miał kolor rudawy, więc pierwszy dzień sierpnia zapowiadał niepogodę. Anna stojąc przy uchylonym oknie, patrzyła na wysokie niebo rozpięte nad zamkiem, nad Wisłą i nagle usłyszała stłumiony jęk. Marina drzemała w fotelu nie poruszając się, musiała się chyba przesłyszeć. Po chwili jednak jęk powtórzył się i Anna pobiegła w stronę łoża. Królowa leżała z twarzą wtuloną w koronki poduszki i gryzła jej róg.

– Marina – szepnęła Anna, budząc dworkę. Teraz już obie pochyliły się nad łożnicą i posłyszały żalną skargę:

– O Dio, Dio!

– Trzeba już stać po medyków, miłościwa pani.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Jeszcze nie.

– Ulżę cierpieniom. Przyśpieszą... – błagała Marina.

– No! No! Stulta! Miałaś powiedzieć, kiedy minie północ. Ale spałaś.

– Tylko przez chwilę.

– Więc ile... ile jeszcze... do północy?

– Pół godziny, może trochę mniej.

– Zapalcie świece. Dużo świec! – rzuciła nagle rozkaz.
– Jak na wielką uroczystość? – spytała Anna.
– Na bardzo wielką. O czym szepczecie? Że to może nie być... on?
– Ależ miłościwa pani! – zaprzeczyły obie.
– Czułam się nie tak, kiedy rodziła się Izabela. Było zupełnie inaczej. Łatwiej.
– Si. O si! – przyznała Marina, stawiając świecznik tuż przy łożu.
– Santa Madonna! Czy minęło już piętnaście minut? Czemu milczysz?
– Jeszcze nie. Ale dziesięć na pewno.
– Przed samą dwunastą wezwiecie nadwornych medyków. O Dio! Znowu..
– Tu, obok, obaj czekają: doktor Valentino i Catignani.
– Obaj? Czekają? – I nagle krzyknęła: – Tedy niech wejda! Niech wejda! Nie zniosę tego dłużej.

Nie ukrywała już teraz niczego. Jej ciało wygięte w łuk świadczyło o szarpiających je bólach, o porodowej męce.

Słońce przedarło się z trudem przez mgłę i oświeciło ciemne mury wawelskiego zamku. Wstawał ranek pierwszego sierpnia 1520 roku. W izbie, z której widać było skrzydło królowej, siedział kaliski wojewoda. Przed nim na stole leżały jakieś spisy, mapy, ale Zaremba, zmęczony podróżą, kiwał się na zydlu i co chwila to zapadał w drzemkę, to przecierał zmęczone oczy i patrzył przed siebie. Nagle na drugim piętrze, w apartamentach królowej, ktoś szerzej uchylił okna. Zaremba zerwał się przewracając stołek i zastygł w napięciu, wpatrzony w jeden punkt.

– Tak albo nie? Tak czy nie? – kołatała w mózgu jedna tylko myśl. Okno, w które się wpatrywał, było już szeroko otwarte, ale nie dostrzegł oczekiwanego znaku. Gniewny zaczął bić pięścią we framugę.

– Mówiłem nie zbliżać się, jeżeli... I nie otwierać. A ona... W tej chwili jednak kobiece ręce wyrzuciły za okno czerwony pas. Na tle ciemnych murów wyglądał jak strużka krwi. Życiodajnej?

– Jednak tak! – krzyknął. – Nareszcie! Bogu niech będą dzięki! Jarost! Jarost! Do mnie! A żywo!

Pacholek wpadł natychmiast.

– Możemy jechać. Narodził się nam Augustus! Pojmujesz? Królewicz! Czego się gapisz? Szykować konie, skrzyknąć ludzi! Wracamy do króla.

– Dzisiaj? – zdziwił się pacholek.

– Zaraz! Najdalej za godzinę. Śpiesz się! Leć!



Alifio, Pappacoda i kilka dworek znajdowało się w tydzień później w sypialni królowej, która już wpośledziła w łożu. Tuż obok stała srebrna kołyska.

– Przysuńcie bliżej – zażądała Bona. – Jeszcze bliżej. Żebym mogła dotknąć ręką.
– Najjaśniejsza pani nie powinna... – zaczęła Anna.
– Teraz już nic – przerwała królowa – zaszkodzić mi nie może. Śpi?
– Ciągle śpi – pośpieszyła z odpowiedzią Marina.
– Szkoda – westchnęła królowa. – Chciałam go dotknąć. Gdyby najjaśniejszy pan był tutaj, a tak... Dowie się nieprędko.
– Ojciec wyruszył w drogę od razu, skoro świt – zapewniła Anna.
– Bene. Goniec powinien więc być lada chwila. A listy? – zwróciła się do swego kanclerza. – Czy poszły już listy z dobrą nowiną do wszystkich monarchów?
– Tak – odparł. – I do znaczniejszych dworów książęcych.
– Principessa obiecywała uczcić radosną wiadomość turniejem rycerskim w Bari. Teraz już na pewno zjedzie na Wawel.
Nie potwierdził, zauważył tylko:
– Pierwsze gratulacje właśnie nadeszły. Wiedeń musiał coś wiedzieć, zanim otrzymał nasze listy.
– I Habsburgowie nie kryją zawodu? – spytała ciekawie.
– Życzenia są tak chłodne, jak tylko na to pozwala dyplomacja.
Roześmiała się nagle.
– Będą jeszcze bardziej wściekli, zjeżdżając na huczne chrzciny. Biedacy! Stracili nadzieję na wymarcie rodu Jagiellonów. – I dodała spojrzawszy na kołyskę: – Wciąż jeszcze śpi?
– Si.
– Będzie go podziwiała w blasku świec i dymie kadzideł cała Europa.
W jej głosie było tyle radości i dumy, że Alifio powiedział z żalem:
– Tak licznego zjazdu monarchów nie da się urządzić przed listopadem albo grudniem.
Zdziwił się, że nie wydawała się tym przejęta.
– Im później, tym lepiej. On urośnie, będzie jeszcze piękniejszy – orzekła. – I do tego czasu wojna chyba się skończy?
– Miejmy nadzieję, że tak – stwierdził.
– Powrót zwycięskich hufców prymas Łaski uczci nabożeństwem dziękczynnym i zaraz potem w katedrze odbędzie się ceremonia chrztu. Przy biciu wszystkich krakowskich dzwonów. To będzie wielki dzień! I podwójny triumf.
Jej promienne oczy znowu zwróciły się w stronę kołyski.
– Jeszcze śpi?
– Obudził się, uśmiechnął – odpowiedziała Marina.
Bona wyciągnęła obie ręce:
– Dajcie mi go, dajcie!
Przytuliła dziecko, a potem, pochylając nad nim twarz, wymówiła z nabożeństwem jego imię:

– Augustus...

W tej chwili do komnaty wszedł Wolski z nowiną:

– Goniec z listem od najjaśniejszego pana.

– Nareszcie!

Oddając Marinie dziecko, niemal wyrwała list z rąk ochmistrza dworu i próbowała czytać, ale po chwili głowa jej opadła w tył na poduszki.

– Nie mogę – wyszeptała. – Mam mgłę przed oczyma. Zostawcie mnie. Wszyscy. Niech tylko Marina z Anną...

Umilkła i Marina zaczęła pośpiesznie nalewać do kubka jakąś pokrzepiającą miksturę. Bona umoczyła w niej wargi i nagle, cisnąwszy kubek na ziemię, rozkazała Annie:

– Przeczytaj. Od początku do końca. Powoli i wyraźnie.

List nie był długi, pisany pośpiesznie, na postojach.

„Najjaśniejsza Pani!

Podwójnej a niezmiernej radości doznaliśmy z listu W.K.M. dowiadując się, że i półóg szczęśliwie się odbył, i że z łaski Pana Boga mamy najmilszego syna, wieczny zakład naszej wzajemnej miłości. Za tak szczęśliwą i radosną wiadomość najmocniej dziękujemy W.K.M. i usilnie prosimy Ją, aby o zdrowiu swoim jak największe starania miała. Najukochańszemu Synowi Naszemu racz kazać dać na chrzcie imię Zygmunt, które teraz we dwóch nosić będziemy”.

Bona przerwała nagle.

– Nie do wiary. Jeszcze raz.

Anna czytała posłusznie:

– „... Synowi Naszemu racz kazać dać na chrzcie imię Zygmunt, które teraz we dwóch nosić będziemy”.

Królowa milczała chwilę, ale nie mogła powstrzymać się od wybuchu.

– O Dio! To jasne. Nic wraca i nie liczy na szybkie zakończenie wojny. Chrzest miałby się odbyć bez niego? Nie! Daj list. Musiałaś to źle odczytać.

Przeczytała ostatnie słowa sama i raz jeszcze powtórzyła z goryczą:

– „... racz kazać dać na chrzcie imię Zygmunt”. Więc jednak... Tak chce: jego imię i ceremonia nie usświetniona królewską obecnością.

Wojna ważniejsza od narodzin upragnionego syna. A ja tak marzyłam o tym dniu! Tak czekałam...

– Miłościwa pani może sobie zaszkodzić... – zdobyła się na odwagę Anna.

– Nie ja sobie – zaprzeczyła gwałtownie. – Ten list zaszkodzi nam. Uroczysty chrzest bez króla zasiadającego w majestacie? Kto przybędzie na taką półuroczystość? Nessuno! Na pewno

nikt z królów, nikt z możnych książąt! Przyślą swoich zastępców, jakichś tam reprezentantów. posłów, hrabiów. Znowu wszystko nie tak, nie tak! Nie będzie to żaden wielki triumf, tylko...

Podając jej znowu dziecko. Marina zaczęła wyliczać:

– A przecież narodził się Jagiellon, krewny cesarza i króla Czech oraz Węgier, następca tronu Polski. Litwy. Rusi. Prus, a także sukcesor księstwa Bari i Rossano.

– Przestań! – przerwała jej Bona. – Sama wiem, kim jest mój syn...

– Zygmunt – dodała nieostrożnie dworka.

– August! August! – krzyczała już królowa. – O Dio! Dlaczego Jestem tu, a on tam! To wszystko troppo difficile! I trwa za długo! Dlaczego ja sama nie walczę? Dlaczego nie mogę być królem?

Uspokoila się nieprędko i po namyśle kazała przywołać do siebie kanclerza, który słuchał uważnie instrukcji Bony, wreszcie rzekł:

– Czy dobrze zrozumiałem? Chrzest ma się odbyć z okazałością, a jednocześnie z wielkim pośpiechem?

– Tak. Następce tronu trzeba uczcić nabożeństwem, biciem w dzwony, uroczystą procesją i festynem. To wszystko.

– W dniu pierwszego września? – dopytywał się Alifio.

– Si. Im wcześniej, tym lepiej.

– Miłościwa pani chciała, mówiła...

– Zmieniłam zdanie – przerwała szorstko.

Alifio wciąż nie dowierzał:

– Ależ... Nie zdąży się powiadomić na czas zaprzyjaźnionych dworów.

– Właśnie dlatego, że się nie zdąży.

– Nie przyjedzie nikt, miłościwa pani.

– I bardzo dobrze. Nie zobaczę krzywych gęb, nie będę witać niczyich posłów. I to byle jakich. Zresztą... Czuję się jeszcze zmęczona.

– Można by pchnąć umyślnego przynajmniej do Bari – nalegał – i za miesiąc, za dwa principessa...

– Basta! Nie zniosę sprzeciwu! Przynajmniej do Bari? – dodała drwiąco. – A czemuż to „przynajmniej”, a nie „nawet”? Czemu nie „nawet do króla Francji”? Albo „nawet do władcy Anglii”? Na chrzest naszego syna, gdybym tylko chciała, mógłby przyjechać nawet Henryk Ósmy. Dostał przecież moją ulubioną wierzchówkę. Nie pamiętacie? To był dar principessy.

– Miłościwa pani... – szepnął zgnębiony.

– Skończyłam. Uroczystość chrztu za czternaście dni.

– Nie będzie się czekać na przyzwolenie króla? – nie dowierzał.

– Oto słowa listu: „racz kazać dać na chrzcie imię...” A więc raczę.

I tym razem będzie, jak ja chcę.

Alifio skłonił nisko głowę.

- Jeszcze tylko jedno: biskup krakowski pytał wczoraj o imię nowo narodzonego.
- Jego imię? August.
- August? – powtórzył z wahaniem w głosie.
- Sprostowała błyskawicznie, ale patrzyła na niego z wyrzutem, z gniewem.
- To znaczy... Zygmunt... Zygmunt August.

Zaremba wrócił na zamek dopiero w kilka miesięcy później, ale tym razem Bona przyjęła go oficjalnie, w asyście biskupa Drzewickiego, Andrzeja Krzyckiego i bankiera króla, Seweryna Bonera. Wojewoda przywoził wieści nadspodziewanie dobre: Krzyżacy zostali pobici, wielki mistrz wycofał się do Królewca i poprosiwszy o zawieszenie broni zawarł niedawno rozejm na lat cztery.

– Za krótko – stwierdziła królowa. – Ale tego odmienić się już nie da. Ważniejsze, że najjaśniejszy pan powraca. Nie był na Wawelu prawie półtora roku. Si! Liczyłam dni, tygodnie. Gorzej, że na zamku przez ten czas nic nie robiono. Wiem, wojna. Ale kiedy tu był, rozmawiał z italskimi rzeźbiarzami, oglądał plany, wyznaczał terminy. A dziś? Roboty we wschodnim skrzydle przerwane. Kaplica, gdzie ma spocząć pierwsza małżonka królewska, niegotowa. Santa Madonna! Przecież to można będzie tłumaczyć moją niechęcią i do niej, i do pasierbicy, królowej Jadwigi.

– Miłościwa pani, któż by śmiał? – zaprotestował biskup Drzewicki.

– Accusare? Och! Zawistnych nie brak. Krótko: król wraca, potrzebne są pieniądze. A skarbiec jak zawsze pusty. Czy niepodobna odmienić choć tego?

– Wyłożyłem już pewne sumy niezbędne do podjęcia przerwanych robót – zapewnił Boner.

– Grazie. Ale myślałam o czym innym. Czy nie można by wydać ustawy podatkowej? – spytała, przyglądając mu się uważnie.

– Jak to? Bez zgody sejmujących stanów? – zdziwił się.

– Si. Jeszcze przed powrotem króla. Teraz.

Boner zmilczał, ale Drzewicki ośmielił się wyjaśnić:

– Miłościwa pani, u nas nigdy nic nowego bez zgody sejmu.

– Czy to znaczy, że król nie może sam nakładać żadnych podatków? – nalegała.

– Nie może ich narzucać swoim poddanym, miłościwa pani.

– A? Tedy się raz w końcu dowiem, czego jeszcze nie może polski król?

– Wyznaczać samowolnie swego następcy, zawierać małżeństwa bez zgody senatu, a także dzielić posiadanych ziem koronnych.

– Choć jest najwyższym sędzią, naczelnym dowódcą hufców zbrojnych i może mianować wszystkich dostojników, nawet opatów i biskupów?

– Takie są prawa Rzeczypospolitej, miłościwa pani – przytaknął Drzewicki.

– Va bene! Tedy zastanie zamek, jak go zostawił. Z pustym skarbcem. bez armat i z nieukończoną kaplicą. O co jeszcze, poza naszym zdrowiem, troskał się król? – zwróciła się do

Zaremby.

– Pytał o wielki dzwon odlewany z dział zdobycznych. Z woli najjaśniejszego pana ma się zwać „Zygmunt”.

– A? Jak on sam?

– Pytał także, jaka inskrypcja zostanie wyryta wewnątrz dzwonu?

Ubiegł ją w odpowiedzi Drzewicki:

– Pióra tu obecnego poety pana Andrzeja Krzyckiego. Zechciejcie przypomnieć.

Krzycki nie dał się prosić i zaczął recytować:

*„Jeśli ci się, wędrowcze, zdam zbyt wielkim dzwonem,
Powiedz – jakie dzieło Zygmunta małością grzeszy?”*

– Udatna inskrypcja – przyznał Zaremba. – Szkoda tylko, że polska. Przybywający do Krakowa z obcych ziem nie znają tego języka.

– Pan Krzycki ułożył ten wiersz w języku Horacego – sprostowała Bona. – Łaciński tekst zaczyna się od słów... Przypomnijcie, proszę – zwróciła się do poety i ten zacytował:

„Si tibi magna nimis videor...”

– Tak. tak właśnie – potwierdziła. – A dzwon zostanie wciągnięty na dzwonnice zaraz po triumfalnym wjeździe króla do Krakowa.

– Deo gratias, że da się spełnić życzenie najjaśniejszego pana – dodał biskup.

*

Wojna została zakończona pomyślnie, wielki mistrz zapłacił drogo za niedotrzymanie warunków pokoju toruńskiego i musiał uznać się za pokonanego. Prusy Królewskie z Malborkiem, które usiłował z powrotem zdobyć dla Zakonu, nie tylko zostały przy zwycięzcach, ale dalsza walka groziła podbiciem całego państwa krzyżackiego. Musiał się tedy układać i wybrać drogę, której do niedawna nie mógł przewidzieć nikt. Na razie zwlekał, przypominał, że czas rozejmu jest też czasem namysłu i obliczaniem zysków oraz strat.

Kraków cieszył się na powrót zwycięskich wojsk i na powitanie króla nie mniej niż królowa i jej dwór, a gdy wreszcie nadszedł ten dzień upragniony, wiwatom oraz okrzykom nie było końca. Zygmunt wjeżdżał na Wawel po tak długiej nieobecności niepewny powitania małżonki, ale wyszła mu naprzeciw jeszcze piękniejsza niż dawniej, promieniejąca dumą i bardzo pogodna. Stali chwilę w jej komnacie objęci gorącym uściskiem, szczęśliwi, że są razem, że mogą cieszyć się krzykiem, który rozlegał się od strony okna.

– Słyszycie? To on, August. Wasz następca.

– Nareszcie – westchnął i dał się pociągnąć w stronę srebrnej kołyski.

Bawił się przy niej grzechotką, pelzając po kobiercu, malec nie mający jeszcze roku, ale zwinny i duży nad podziw. Król chwycił go na ręce i unióś w górę. Po czym rzekł:

– Krew z krwi Jagiellonów. Zdrowy. Dorodny. Brak mi słów wdzięczności dla was.

– Chciałam być matką królewskiego syna...

– I jesteście.

– Chciałam być szczęśliwa.

– A jesteście?

– O si! Jestem. Da allora. Tak, od teraz jestem! I nic nigdy nie wymaże z mojej pamięci dzisiejszego dnia.

Szczęśliwe okazały się także dni i tygodnie następne. W lipcu barwny tłum mieszczan wyległ na ulice Krakowa, aby przyrzyć się transportowi wielkiego dzwonu, który przez Bramę Sławkowską i Rynek toczył się na dwóch walcach ku dzwonnicy, aby wkrótce na niej zawisnąć. W uroczystości zawieszenia „Zygmunta” brali udział królestwo z całym dworem, a tysiące mieszczan wpatrywało się w osilków oblanych potem, uwieszonych na końcu grubych lin. Powoli, majestatycznie dzwon unosił się w górę, ku lipcowemu niebu, aby następnie rozkołysać się i odezwać wspaniałym spiżowym głosem.

– Gra – zaszumił tłum. – Na zgubę Krzyżakom! Gra „Zygmunt”.

Bona, siedząca obok króla, zwróciła ku niemu stojną w klejnoty głowę.

– Powiedzcie, „jakie dzieło Zygmunta małością grzeszy”? – spytała półgłosem.

Zdziwił się.

– Pochlebstwo? Nie do wiary. W waszych ustach?

– Nie. W samym sercu tego dzwonu – odparła.

Zapatrzony w dzwonnice, wsłuchany w głos tego, który głosił jego chwałę jako zwycięzcy, król przyznał:

– W samej rzeczy, w sercu dzwonu...

Te letnie miesiące należały jeszcze do królowej, do małego Augusta, ale już wczesną jesienią król musiał opuścić Wawel, aby wziąć udział w piotrkowskim sejmie. Bona świadoma już postanowień konstytucji Nihil Novi zabraniającej władcy nowych praw bez uprzedniej zgody sejmu, po naradzie ze swym kanclerzem postanowiła wybadać, jak Zygmunt zamierza zapewnić następstwo tronu tak niecierpliwie oczekiwanemu synowi? Wiedziała już, że Jagiellonowie dziedziczyli wielkie Księstwo Litewskie, musieli natomiast zabiegać, aby zapewnić synom królewskim elekcyjny tron Polski. Alifio twierdził, że króla Olbrachta trzeba było nawet podeprzeć w czasie elekcji oddziałem zbrojnych, gdyż kandydaturę swoją zgłosił jednocześnie książę mazowiecki, powołujący się na pochodzenie władców tej dzielnicy z rodu Piastów. Dla Bony ta wiadomość była wstrząsem. Sądziła, że urodził się upragniony następca tronu, a tymczasem należało zabiegać w przyszłości o zgodę senatu oraz sejmu na koronację i czekać wiele lat, aż do zgonu Zygmunta, aby potem uzyskać pewność, że jest się matką króla Polski, a

nie tylko wielkiego księcia... Ta myśl dręczyła ją tak, że postanowiła nie tać jej przed Zygmuntem, i któregoś dnia, gdy król przyglądał się z upodobaniem nauce chodzenia syna, zaczęła karcieć malca:

– Idź prosto, nie biegnij. Idź, carino! Chodzi jak wy. Pójdź teraz w stronę okna. I zaraz wracaj. Caro mio! Słyszysz? Wróć do mnie.

Ale August zwrócił w jej stronę nadąsaną twarz i krzyknął trzymając się kurczowo okiennej ramy:

– Nie! Basta! Basta!

– To ma po was – uśmiechnął się król.

– E vero – przyznała niechętnie. – Ale oduczę go uporu i... oporów. Zabierz królewicza – rozkazała piastunce. – Santa Madonna!

Królewicz! Co to za tytuł? Właściwie żaden. Żaden!

– Nosili go moi bracia i długo ja sam... – wyjaśnił pogodnie.

– Ale wy... Zasiadaliście przedtem na tronie wielkoksiążęcym w Wilnie. Podobnie jak wasz ojciec i brat Aleksander...

– Nie widzę związku. Byłem królewiczem, tak. Potem zasiadałem w Wilnie, wreszcie obrano mnie królem. I co z tego?

– Że droga do krakowskiego tronu wiedzie zwykle przez Wielkie Księstwo Litewskie. I że nasz syn powinien mieć tytuł własny. Być wielkim księciem. Sigismundus Augustus, magnus dux Lithuaniae. To już jakoś brzmi. I coś znaczy.

– Da Bóg, będzie nim, kiedy dorośnie – przytaknął.

Zaprzeczyła gwałtownie.

– Czekać? Perché? I na co? Można postarać się o to, aby Litwini wynieśli na tron Augusta już teraz, zaraz.

Śledziła bacznie wyraz jego twarzy, ale orzekł spokojnie:

– To myśl zgoła nedorzeczna.

– Czemu? – nalegała. – Próbować można zawsze, mimo wszystko.

– To, czego chcecie, byłoby sprzeczne z tutejszym obyczajem i prawem – wyjaśnił.

– Al contratio. Skoro księstwo litewskie należy do Jagiellonów prawem dziedzictwa...

– Ale zgodnie z uchwałą w Horodle – przerwał – jego księcia nie mianuje król, tylko powołują pospołu panowie litewscy i polscy.

– Głupia uchwała. I wielce niewygodna. Nie chcecie mieć pewności, że August zostanie królem?

– Ależ on... zaczął dopiero rok trzeci...

– Pytałam: nie chcecie mieć tej pewności? Milczycie? A przecież na Litwie istnieje osobna Rada wielkoksiążęca, osobny sejm. Można by zwołać tajne posiedzenie Rady i uzyskać obietnicę osadzenia Augusta na tronie wileńskim.

Odpowiedział już niecierpliwie:

– Do tak dziwacznej uchwały nie uda się nakłonić żadnego z tamtych wielmożów. Ani Jerzego Radziwiłła, ani Gasztołda: ani Ostrońskiego. Poza tym mówiłem już: muszę mieć także zgodę panów polskich. Com usłyszał w dniu własnej koronacji? „Jego Miłość nie dlatego został królem, że jest dziedzicem Korony i Litwy, lecz że obie Rady zrobiły to z dobrej woli i z dobrego mniemania o Jego Księżęcej Miłości”.

– Tak powiedzieli? – zdumiała się. – Zuchwalcy! Ale Rady można zjednać po kolei. Albo skłonić. Caro mio! Trzeba zawsze próbować. Tentare.

– Czego? Wyniesienia dwulatka? – spytał.

– Och – rzuciła niedbale – dzieci mają taką właściwość, że rosną. Sprawa potrwa. Jako wielki książę August będzie już miał lat trzy, cztery...

Zygmunt roześmiał się nagle.

– Di immortales! Co za kanclerska głowa! I jaki upór.

– Jedno słowo: Si? Tak? – nalegała.

– Mówię „tak”, bo nie wierzę, że tym razem uda się wam postawić na swoim.

Przytuliła się do króla, dziękując.

– Grazie! Grazie! Jesteście doprawdy wspaniałym władcą...

– I pełnym podziwu dla królowej. Ale także obaw... – dodał. – Czy zawsze będzie robiła to, co chce?

– Jeżeli król powie „tak”. A przecież wyraziliście zgodę...? Musimy zapewnić Augustowi każdą z możliwych sukcesji: po mojej matce, po waszym węgierskim bratanku, po mazowieckich i śląskich Piastach.

– Mierzycie wysoko. I chcecie wiele. Może za wiele...

Uśmiechnęła się, już pewna swego, rada z odniesionego zwycięstwa.

– E vero! Ale wasz dzwon, największy z wielkich, zawisnął także na wysokiej wieży. Perché? Bo jakież dzieło Zygmunta małością grzeszy?

Nie mieszkając, wezwała nazajutrz na rozmowę biskupa Międzyzleskiego.

– Znacie na Litwie obyczaje ludzi. To przecież was, eminencjo, wysłał niedawno najjaśniejszy pan do Wilna dla pogodzenia zwaśnionych wielmożów: Jerzego Radziwiłła i wojewody Gasztołda?

Międzyzleski przytaknął niechętnie.

– Niezbyt udana była ta misja: ich waśń do dziś wstrząsa Wielkim Księstwem.

– Mówił mi kanclerz Alifio, że ostatnio Gasztołd zapalał nienawiścią także do hetmana Ostrońskiego?

– Tak mówią. Może zazdrosny jest o względy okazywane przez króla hetmanowi? Ale też przyznać trzeba: wojownik to znamienity, zwycięzca wojsk moskiewskich pod Orszą.

– Nienawiść dzieli – przyznała Bona – ale waszą rzeczą będzie sprawić, aby zjednoczyła tych wszystkich wielmożów.

– Przeciwno komu? – nie rozumiał.

– Och, choćby przeciwko panom polskim. Nie dziwcie się, proszę.

Nie na długo. Certamente no! Na czas jakiś... Powodów chyba starczy. Prima di tutto Kraków. Czyż panowie małopolscy pragnący inkorporacji Litwy nie patrzą koso na tych wszystkich kniaziów i bojarów ze wschodu? Gdyby tamci, z Wielkiego Księstwa Litewskiego, mogli im odpłacić pięknym za nadobne?

– Najjaśniejszy pan nigdy nie zezwoli na...

Przerwała mu niecierpliwie.

– Wiem, wiem. Zawsze ostrożny. Zastanawia się długo, waży każde słowo. Ale tym razem nie stanie wam, księżę biskupie, nic na przeszkodzie. Mam jego zgodę na starania o kołpak wielkoksiążęcy dla królewicza Augusta.

Międzyleski namyślał się, wahał, wreszcie rzekł:

– Niebezpieczna to gra. I niełatwa.

– Ale pilna. Załatwić ją trzeba póki trwa układ z Krzyżakami, a na granicy wschodniej cisza. Podobno książę Wasyl ucierpiał mocno od wojsk chana Gireja?

– Zabiega nawet o rozejm z Rzeczpospolitą.

– Grazie a Dio! Tedy przed nami parę lat spokoju. Lat bezcennych dla zapewnienia sukcesji Augustowi. Jedźcie na Litwę nie mieszkając. Obaczcie na miejscu, kogo należy skłócić ze sobą, a kogo pogodzić. Wreszcie, kogo... kupić.

Międzyleski oburzył się, zgorszył.

– Ależ, miłościwa pani...

Zrozumiała, że popełniła błąd, że ten dostojnik nie zechce słyszeć o przekupstwie.

– Non importo! – rzuciła pośpiesznie. – Tym zajmie się kanclerz Alifio, który będzie wam towarzyszył. Obyście wrócili obaj z dobrą nowiną. I to presto! Presto!

Na wawelskim podwórcu stały czterokonne wozy, a służba królewska zносиła do nich paki, zbroje, przybory myśliwskie i kobierce. Wokół wozów kręcił się Stańczyk, aż wreszcie dopadł Pappacody, pytającego zbrojnego z eskorty:

– Jak długo będziecie jechać do Wilna?

– Ze trzy niedziele, jeśli dobrze pójdzie – odpowiedział za tamtego woźnica.

– Tedy jedźcie ostrożnie. W skrzyniach wiele wszelakiego dobra.

Stańczyk wpadł mu w słowo:

– Srebrnych łańcuchów, pucharów i szat wyszywanych srebrem. Santa Madonna! I to wszystko dla kogo? Czyżby dla litewskich panów?

– A wam co do tego? Ja o niczym nie wiem.

– Jakże to? Wasza miłość nie wyjeżdża razem z signorem Alifio? – zdziwił się błazen.

– Nie. Starczy, że biskup kamieniecki już tam jest.

– Międzyleski? – zdziwił się. Stańczyk. – Teraz ja powiem: Nic mi o tym nie wiadomo. Ale dowiem się, jak król tylko wróci z sejmu. Z Piotrkowa.

– Będziecie wiedzieli lub nie, bo król jegomość zaraz potem także na Litwę pociągnie. Ładować wozy! Szybciej, zwawiej! – starał się przerwać rozmowę Pappacoda.

Stańczyk zmrużył oko i wykrzywił się pociesznie.

– Ciekawe, czy smok Sforzów popełnił za nim? Dalibóg! Odkąd tu jest, zamiast oświetlać zakute łby, sam muszę rozwiązywać trudne zagadki. I to presto! Zaiste, zbierają się jakieś chmury nad Wawelem. Nie pozwalają jasno widzieć w świetle słońca...

*

Międzyleski na tyle dobrze znał już stan umysłów na Litwie, szarpanej walką między rodami Gasztołdów i Radziwiłłów, że przez czas jakiś zasięgał języka, rozmawiał z królewskimi urzędnikami, starał się wybadać grząski grunt. Wreszcie, zaraz po przybyciu Alifia, zdecydował się na rozmowę z wojewodą wileńskim Olbrachtem Gasztołdem. Wyrażał niepokój, że waśń ta może przerodzić się w zbrojne starcie, wspomniawszy o wielkiej życzliwości królowej, która w tym sporze jest po stronie Gasztołda.

– Więcej – dodał – najjaśniejsza pani widzi w was, mości wojewodo, jedyne kandydata na wakujące kanclerstwo wielkie litewskie.

– Rad to słyszę – skłonił głowę stary wielmoża – bo Radziwiłłowie szlachcie w głowach mącą, twierdzą, że sam chcę uchwycić w swoje ręce władzę na Litwie. Rozповідаją też, że w moich dobrach tyrania okrutna, że krzyk i jęki chłopstwa wołają do nieba o pomstę. Gadają tak, choć Jerzy Radziwiłł zajmuje cichcem jedno dominium królewskie po drugim. Król ubolewa, że jego ziemie w księstwie nie przynoszą skarbowi żadnego zysku. Jakże miałyby przynosić, kiedy kanclerzem był niedawno zmarły ojciec i stryj tych wszystkich Radziwiłłów? Bezkarnych łupieżców?

– Gdyby jednak – zaczął ostrożnie Międzyleski – Litwa uzyskała w synu królewskim Auguście swojego księcia, a wasza miłość objęła teraz kanclerstwo...

– Mówiłem już Waszej Eminencji i tu obecnemu kanclerzowi królowej: gdybyście nawet uzyskali na wyniesienie Jagiellończyka zgodę moją i innych wielmożów, sprzeciwią się temu, mnie na złość. Konstanty Ostrogski i wszyscy Radziwiłłowie.

– Wszelako za wielkopsiężącym kołpakiem dla Zygmunta Augusta byłby biskup wileński, książę Jan.

Gasztołd wykrzywił się, jakby podano mu puchar z octem.

– Ba! – mruknął. – Nieślubny syn królewski! Jak tu nie popierać rodzzonego ojca i przyrodniego brata? Ale to za mało! Trzeba innego lepszego: myśli jakowejś, która by wszystkich skupiła przy mnie jako kanclerzu. Więcej niż myśli: nadziei.

– A taką nadzieją mogłoby być co? – zapytał Alifio.

– Cóż... Za wielkiego Witolda było nią odrębne, samodzielne księstwo litewskie...

– Mości wojewodo! – nachmurzył się biskup.

– Wiem – przyznał gospodarz – że wam jako wysłannikom Korony, słuchać się tego nie

godzi. Ale jeżeli chcecie starego Gasztołda skłonić do mówienia prawdy... Panowie wielkopolscy mają nas za barbarzyńców, a małopolscy od przeszło stu pięćdziesięciu lat widzą w Litwie jakąś domenę koronną. Oba bunty kniazia Glińskiego, który wspierał ruskiego Wasyla w czas napaści na Polskę, to właśnie nic innego jak tęsknota do suwerennych rządów, do...

– Baczcie – przerwał Międzyleski – moi wojewodo, abyśmy sobie nie powiedzieli za wiele...

– Wszelako... Mamy tu dosyć własnych wielmożów, kniaziów i każdy z nich marzy skrycie o wielkksiążęcym kołpaku. A wybór królewicza Augusta to byłaby jeszcze jedna więź, wzmocnienie unii z Koroną.. – Unii personalnej – stwierdził z naciskiem Alifio.

– Personalnej jak dotąd, ale zawsze... Cóż, można pogadać z Kieżgajłą, z Kiszką, a ci niech się dogadają z młodymi Radziwiłłami. Na tajnym posiedzeniu Rady tę rzecz dałoby się może rozważyć. Ale...

– Słuchamy uważnie – rzekł biskup.

– W żadnym wypadku wakujące województwo trockie nie powinno się dostać Ostrogskiemu. Ma już tytułów aż nadto: i kniazia, i hetmana...

– Nie omieszkał powtórzyć tych słów najjaśniejszemu panu, gdy tylko zjedzie na Litwę. Wasza miłość wraca ze mną? – zwrócił się do Alifia.

– Miałbym jeszcze pewne sugestie, pewne propozycje... Może ksiądz biskup zechce posłuchać?

Ale Międzyleski ruszył ku wyjściu.

– Ja powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Wszystko!

Mimo wspaniałych darów i obietnic, które kanclerz królowej złożył w jej imieniu, Gasztołd wolał zasięgnąć rady przedstawicieli najpotężniejszych rodów w Wielkim Księstwie. Stanisław Kieżgajło, wraz z bratem stryjecznym największy posiadacz dóbr ziemskich na Litwie, wysłuchał przyjaciela uważnie, ale w końcu rzekł:

– Nie będzie chyba zgody na tajnej Radzie. Alifio gadał już z hetmanem Ostrogskim, lecz ten boi się narazić panom polskim. Mówi, że taki wybór młodzika rozgniewałby rycerstwo i wielmożów w Koronie, a Litwie, zagrożonej przez Wasyla, potrzebne jest mocne oparcie o wojska koronne.

– Myślicie, że Ostrogski wypowie się przeciw wyborowi Augusta i nie będzie się bał rozgniewać tym króla?

– Tak myślę – przytaknął Kieżgajło – alem wybadał, co o tym wszystkim sądzi Jerzy Radziwiłł. Wściekł się z gniewu, kiedy posłyszał, że Ostrogski liczy się z pomocą wojsk koronnych. Pytał, czyż tak mało potrafią litewscy hetmani: on sam, hetman polny i Ostrogski – wielki? Nie wygrają już z Moskwą sami żadnej bitwy?

– I to chce powiedzieć na Radzie? – zaniepokoił się Gasztołd.

– Tak myśli, ale powiedzieć chce całkiem co innego. Udawać będzie, i plan ułożył całkiem niegłupi, że zgadza się we wszystkim z Ostrogskim. Powie, że przecie zgodę na wyniesienie

królewicza na tron wielkoksiążęcy muszą dać zarówno panowie litewscy, jak polscy. Skoro nie umiemy zwyciężyć bez nich, niechże i radzim w tej sprawie tak ważnej – pospołu.

– I to wytrąci królowi broń z ręki?

– A jak inaczej? Kiedy my na Litwie za prawem, za horodelską ustawą, czyż król polski mógłby nastawać, namawiać? A jeśli nawet znajdzie jakoweś argumentum, rzecz da się długo przewlekać.

– Obiecałem kanclerzowi Alifio, że nie będę przeciwny królewskiej woli – bronił się słabo Gasztołd.

– Możecie zmienić zdanie w ostatniej chwili. Już w czasie obrad... – uśmiechnął się Kieżgajło i wstał.

Narada była skończona.

*

Król, ledwo odpoczął po trudach podróży z Piotrkowa, kazał prosić do swoich komnat na zamku wileńskim biskupa Międzyzleskiego i Alifia. Obaj przyznali zgodnie, że nie zaniedbali niczego, aby zjednać jednych, a także wy badać, jakie są tajne pragnienia drugich. I tak wiadomo im, że książę Jan spełni każde życzenie ojca, że Jerzemu Radziwiłłowi marzy się kasztelania trocka, a Gasztołd liczy na urząd wielkiego kanclerza litewskiego.

Zygmunt nie taił niezadowolenia.

– Ted choć wysłuchali was uważnie, teraz proszą o czas do namysłu? Czyżby sprawa nie była uzgodniona przez wasze miłości?

– Użyliśmy wszelkich perswazji, nawet tych, których nie pochwalam – rzekł Międzyzleski.

– Królowa posłała także członkom Rady osobne dary od siebie – dodał Alifio.

– Starajcie się do jutra wy badać, o co im idzie – rozkazał król.

– Będę próbował, miłościwy panie – obiecał Alifio.

Mirro to na tajnym posiedzeniu Rady dało się wyczuć wielkie napięcie. Obecni byli: wojewoda wileński Gasztołd, obaj hetmani Konstanty Ostrowski i Jerzy Radziwiłł oraz Jan z książąt litewskich.

Zasiedli wszyscy na dany znak w wielkiej, mrocznej komnacie, przygotowani na dłuższą przemowę Zygmunta. Król jednak powiedział tylko, bez żadnych wstępów:

– Widzę, że panowie Rada – po rozważeniu znanej wszystkim sprawy, która mnie na Litwę przywiodła – stawili się co do jednego. Tedy słucham.

Milczenie trwało o chwilę za długo, po czym Gasztołd rzekł:

– W Wilnie gościmy was, miłościwy panie, przeto mnie jako wileńskiemu wojewodzie myśl naszą wyrazić wypadnie. I, choć żal serce ścisła oznajmić muszę, że nie ma, niestety, jednomyślnej zgody na powołanie królewicza na tron wielkoksiążęcy.

Zapanowała grobowa cisza, którą przerwał król.

– Powtórzcie, proszę. Tedy... nie ma zgody?

– Jednomyślniej – wyjaśnił pośpiesznie Gasztołd. – Oponenci powołują się na unię w Horodle. Twierdzą, że powinni czekać na przyzwolenie panów polskich.

– Król zmarszczył brwi, zastanawiając się czas jakiś nad niełatwą odpowiedzią. Spotkał się oto z przeszkodą, której nie przewidział ani on sam, ani jego wysłannicy. Litewscy panowie powoływali się nieoczekiwanie na postanowienia horodelskiej unii, której złamać nie mógł i nie chciał. Litwini mieli twarze kamienne, ale wszystkie oczy wpatrzone były w oblicze władcy. Udawali, czy też naprawdę byli tak gorliwymi obrońcami unii? Postanowił wziąć udział w tej trudnej grze.

– Rad jestem – rzekł – że przeszło stuletni nasz związek umocnił obóz zwolenników zespolenia Litwy z Koroną. Ale my, król polski, a zarazem dux Lithuaniae, mamy prawo pytać o zdanie litewskiej Rady. Tedy pytamy, co myślicie o kołpaku wielkksiążęcym dla syna mojego, Zygmunta Augusta?

– Mogę wyrazić tylko jedno życzenie – odpowiedział Gasztołd. – Oby wybór wielkiego księcia nastąpił jak najrychlej! I zgodnie z prawem.

– A wy, mości hetmanie? – zwrócił się król do Ostrońskiego, najstarszego wiekiem.

Nieoczekiwanie dla wszystkich butny wielmoża wstał, przyklęknął na jedno kolano i rzekł głosem ochrypłym ze wzruszenia:

– Błagam Waszą Królewską Mość: odstąp od tego zamiaru.

Król, mimo jego kornej postawy, uniósł się gniewem.

– Odstąpić?! Dziwię się wielce zmianie waszego usposobienia! Kiedy nie mieliśmy potomka, błagaliście Boga o jego szybkie przyjście na świat. A teraz, widzę, nie sprzyjacie ani nam, ani synowi naszemu. Nie chcecie jego wyniesienia. Ale czemu? Czemu?

Ostroński odpowiedział, wstając:

– Pragniemy to uczynić, miłościwy panie, tyle że szanując postanowienia horodelskiej unii. Za zgodą nie tylko litewskich, ale i polskich panów.

– A jeżeli... – król zawahał się, lecz dokończył – jeżeli nam wola litewskich panów na razie wystarczy?

Hetman polny Radziwiłł przerzucił się spojrzeniem z Gasztołdem i spytał:

– Czy dobrze słyszałem, miłościwy królu?

Gasztołd powtórzył ze zdumieniem królewskie słowa:

– Wola samych litewskich panów?

– Powiedziałem – z naciskiem odrzekł Zygmunt.

– Na Boga! – wybuchnął Radziwiłł. – Uwierzyć trudno... Ale komuż może być milsza taka mowa jak nie nam?

A Gasztołd dodał ostrożniej:

– Król jegomość słusznie przypomina, że tu, na Litwie, czekaliśmy z utęsknieniem na narodziny dziedzica książęcego tronu. I to z krwi Jagiellonów.

– Jednakże – wtrącił się hetman Ostroński – mogłaby to być tylko obietnica w sprawie

zapewnienia królewiczowi tronu Litwy.

– To wystarczy – oświadczył król.

– I nie tyle wiążąca obietnica – zastrzegł się Radziwiłł – co zaręczenie, że Zygmunt August obejmie kiedyś tron wielkksiążęcy. Samo wyniesienie musiałyby jeszcze potwierdzić sejm litewski.

– I to nie zaraz – mruknął Ostrogski.

– Rzecz pewna. Choć szósty krzyżyk dźwigam na karku, czuję się jeszcze krzepko – zgodził się łatwo król. – Wetujecie tedy za osadzeniem na tronie wielkksiążęcym naszego syna, Augusta?

Patrzył na Radziwiłła, ale hetman polny tym razem milczał.

– Pytałem was, mości kasztelanie – powtórzył z naciskiem król.

– Kasztelanie? Najjaśniejszy pan mówił do mnie? – zdziwił się Radziwiłł.

– Tak, do was.

Hetman najpierw poczerwieniał, potem zbladł. Oto spełniłoby się jego najtajniejsze pragnienie za jedno słowo „tak”. Nie patrząc na Ostrogskiego, powiedział po chwili:

– Wotuję za wyniesieniem, ale po zgodzie litewskiego sejmu.

Zygmunt przyglądał się uważnie pozostałym członkom Rady.

– Biskup wileński, Jan, już przedtem w rozmowie ze mną wyraził zgodę. Tedy wypada, że wszyscy przeciw hetmanowi wielkiemu, Ostrowskiemu. Co wy na to, mości hetmanie?

Oczekiwał wszystkiego, tylko nie tej hardej odpowiedzi:

– Że nie zwykłem przegrywać bitew, miłościwy panie.

Król odchylił się nieco do tyłu i rzekł:

– A...

Ale Ostrogski poprzestał na tej pogróżce i dodał ciszej:

– Tedy wycofuję się z walki. Wasza Królewska Mość najlepiej wie, co czyni.

– To znaczy, mówicie jednak „tak”? – upewniał się król.

Ostrogski pochylił w milczeniu głowę, ale z jego zaciśniętych warg nie padło ani jedno słowo.

– Nie słyszę.

Na to naleganie władcy musiała paść odpowiedź, ale tego, co zaszło, nie spodziewał się nikt z obecnych. Stary, sławny wódz wzburzony był widać tak, że wrócił do języka swoich przodków. Głosem ochryłym i niewyraźnie zaczął tłumaczyć:

– Słucha ja waszej miłości. A buduczi powolnym słuhoju...

Wzruszenie nie pozwoliło mu mówić dłużej, ale król odparł z pośpiechem:

– Nie alteruj się tak, mości hetmanie! I bądź pewien, że magnus dux Lithuaniae, Sigismundus Augustus, wzrastać będzie we czci i w podziwie dla sławnych czynów zwycięzcy spod Orszy. Że także w jego imieniu zobowiązę się do przestrzegania wszystkich przywilejów wydanych przez naszych poprzedników na Litwie. Tedy zgodę waszych miłości można liznąć za jednomyślną? –

A chociaż milczeli, dodał: – Rad jestem wielce, że taki właśnie, a nie inny, był przebieg tajnego posiedzenia Rady...

Wróciwszy z narad król długo nie chciał widzieć nikogo. Przemierzał komnatę wzdłuż i wszerz, coś ważył w sobie, przystawał i wpatrywał się w otwarte mimo mrozu okno. Czuł się zmęczony i niezupełnie rad z połowicznego zwycięstwa. Przywykł jako dziedziczny wielki książę litewski do ślepego niemal posłuchu i przed laty rozmawiałby inaczej z tutejszymi wielmożami. Tymczasem teraz... Gasztołda przyciągnęły na stronę Augusta dary i obietnice królowej, hetman polny uległ pokusie otrzymując za swoją zgodę kasztelanię trocka. Jeden tylko prawy mąż, książę Ostrogski... Na jego pełnej i nie wymuszonej zgodzie zależało Zygmuntowi najbardziej, a tej się nie doczekał. Zatrzasnął z gniewem okno i kazał prosić do siebie kanclerza królowej. Alifio był w przyległej komnacie, tedy zjawił się natychmiast.

– Wydajcie rozkazy. Jutro wracamy do Krakowa.

Ten stropił się i próbował wpłynąć na zmianę rozkazu:

– Miłościwy panie! To zima, grudzień. Gościńce zawiane...

– Zawiane. I cóż tego?

– Wszędzie leży śnieg.

– Każcie odgarnąć. Spieszno mi oznajmić królowej o postanowieniu Rady. I chcę spędzić święta na Wawelu. Pierwsze święta z wielkim księciem. Nie pojmujecie?

Alifio, usłyszawszy nowinę, odprężył się, odetchnął swobodniej.

– Niech święty Mikołaj z Bari ma przyszłego władcę Litwy w swojej opiece – rzekł. – Zaraz każę ludziom szykować się do wyjazdu.

Wyszedł pośpiesznie, przekazując po drodze biskupowi Międzyzleskiemu tylko wynik tajnej Rady, nic więcej.

– I król nie wspomniał, że wie, komu to zawdzięcza? – zdziwił się biskup.

– Nie. Chociaż i mnie dziwno, że nie raczył wyrazić choćby jednym słowem swojego zadowolenia z tak dobrego przygotowania przez nas trudnych rozmów. Ale mam i drugą nowinę: choć drogi okropne, wyjeżdżamy już jutro. Miłościwemu panu spieszno oznajmić nowinę królowej.

Międzyzleski nie odpowiedział ani słowem i rozeszli się każdy w swoją stronę. Dopiero po kilkunastu dniach ciężkiej podróży kanclerz królowej przypomniał sobie tę rozmowę i musiał przyznać, że królowa Bona umiała lepiej okazywać wdzięczność swoim zausznikom i posłom.

– Więc jednak! Jednak! Sigismundus Augustus magnus dux! A przez Wilno, tego jestem pewna, droga zaprowadzi go do korony – mówiła z ożywieniem, patrząc na swego kanclerza. Odpowiedział ostrożnie, świadomy już oporów, na które natknął się król.

– To jeszcze dziecko, zaledwie dwulatek. Trzeba czekać, zwłaszcza że możni panowie i duchowieństwo w Koronie będą na pewno przeciwni. Nie byli najpierw pytani o zdanie.

– Wiem, że nie wszystko poszło łatwo i na Litwie. Należą się Międzyzleskiemu słowa uznania. A wam, dottore, co najmniej zaszczytny urząd burgrabi.

Alifio spojrział na nią, nie kryjąc zdumienia.

– Król zechciałby mianować mnie? Choć wiemy wszyscy, że tak pragnął dostąpić tego zaszczytu... Pappacoda?

– On? Nigdy! – zaprzeczyła gwałtownie. – Czymże szczególnym przysłużył się Augustowi? Ignorante! Nessuno! Zresztą... Ilu burgrabiów jest na zamku krakowskim?

– Zawsze dziesięciu.

Roześmiała się nagle.

– Wadzicie sami. Nie uda się nawet mnie mianować jedenastego. A poza tym Pappacoda umie tylko jedno: liczyć. Niech tedy pilnuje naszego skarbcza, w czym nikt mu nie dorówna. Także w podsłuchiowaniu rozmów prowadzonych we wszystkich wawelskich komnatach...

Alifio nie powtórzył nigdy tych słów Pappacodzie, ten jednak już po tygodniu stawił się u królowej z nowiną.

– Słyszałem, jak maresciallo Wolski mówił do Kmita, że nie jest spokojnie ani w Krakowie, ani w Poznaniu i Gnieźnie. Panowie polscy nie mogą darować Litwinom, że o przyszłości Zygmunta Augusta ośmielili się stanowić bez ich wiedzy, choćby tylko na tajnej Radzie.

– Kto mógł tak szybko powiadomić ich o tym, co zaszło w Wilnie?

– Och, ściany wszystkich zamków mają uszy. Ponadto narzekają, że białogłowa miesza się do rządów. Że to obyczaj italski, w Polsce obcy i wszystkim niemiły.

Powtórzył tylko tyle, ale Alifio wiedział znacznie więcej. Podobno Stańczyk dopadł Wolskiego idącego kruzgankiem z marszałkiem dworu Kmitą i powiewając karteluszką zacytował wiersz o królowej:

„Pod zamkiem dysząc, Kraków smok trapił jedynie.

Teraz, gdy w zamku siedzi, cały kraj zaginie!”

– Skąd miał to Stańczyk? – spytała Bona na pozór spokojnie.

– Z murów zamkowych – wyjaśnił Alifio. – Pełno na nich było tego dnia nalepionych kartek większych i mniejszych. Nawet całkiem maleńkich. Kmita twierdził, że to chyba rymowanie Krzyckiego, bo dowcipu paszkwilantowi, jak i tamtemu, nie brakło.

– A, Krzycki? – szepnęła Bona. – I co było dalej?

– Obaj panowie zeszli się zaraz potem z biskupem Międzyzleskim, ale ten nie chciał rozmawiać z nimi beze mnie. I stąd powtórzyć mogę dokładnie, jak było.

A było tak, że Kmita bał się burzy na najbliższym sejmie, czemu biskup nie zaprzeczył.

– W Wilnie zapłacono za uległość nowymi dostojenstwami – rzekł – ale w Krakowie taka rzecz się nie uda.

– Będą żądać, by król nie podsycił zuchwałych roszczeń panów litewskich – dodał Wolski.

Kmita zmiął karteluszek i stwierdził:

– Te karteluszeki trzeba zrywać zewsząd! I wzmocnić strażę, sprawdzić, czy owo plugastwo

nie rozpełzło się już po ulicach, po kamienicach na rynku. Resztę biorę na siebie. Gościłem wszelakich wesołków i, wicherzycieli na Wiśniczu, teraz ugoszczę tam dostojnych panów posłów.

Międzyzyleski nie bardzo ten zamiar chwalił, twierdził bowiem, że po pijanemu będą krzyczeć jeszcze głośniejsze, ale Kmita roześmiał się tylko.

– Owszem, krzyczeć będą, jednakże w innej sprawie niż sukcesja na Litwie.

Pytali wszyscy, co ma na myśli, a on wyjaśnił:

– Czopowe. Jedyne podatek, który udało się królowej wymóc na załatwienie dziur w pustym skarbcu.

– Ależ to zgoła nic! Podatek od beczkowanego piwa, gorzałki, miodu.

– I obowiązuje tylko w ziemi krakowskiej – wydziwiał biskup Międzyzyleski.

– Tylko – przyznał Kmita. – Jednakże narzucony bez zgody sejmu. Jeszczeście nie dostrzegli, że u nas więcej paszkwilusów, burd i wszelakich sprzeciwów w sprawach godzących w brzuch niżli w głowę? Że sprawy drobnutkie można rozdmuchać tak, aby nikt nie dostrzegał innych, znacznie większych?

Biskup zgorszył się i zaprzeczył:

– Zapowiadano na tym sejmie dysputę o konieczności odebrania nadań królewskich i o zakazie piastowania przez wielmożów kilku urzędów naraz...

Kmita roześmiał się tylko:

– A będzie wielka, huczna biesiada na zamku w Wiśniczu. I potem już nic, jeno wrzask: precz z nowym podatkiem! Bo nie od smoka, co zasiadł na Wawelu, ale od czopowego gotowa zginąć nasza ojczyzna!

Międzyzyleski kierując się ku wyjściu rzekł z wielką goryczą:

– Przekacne jest królestwo polskie i nie godzi się z niego żartować.

Ale w każdym najokrutniejszym żarcie bywa, ku uciesze szatana, jakaś cząsteczka prawdy...

Złe przyjęcie obietnicy danej przez panów litewskich odsunęło na drugi plan zawód, jakiego doznał Zygmunt, kiedy doniesiono mu zaraz po powrocie, że zamiast oczekiwanego drugiego syna królowa powiła znowu córkę. Imię małej Zofii zostało wprawdzie wpisane do tego samego modlitewnika, w którym uwieczniono przyjście na świat Izabeli i Augusta, ale król ofuknął gniewnie swojego błazna, gdy ten zaczął stroić pocieszne miny przed tarczą herbową Sforzów:

– Nie darmo ów smok ma dziecię w pysku: co rok – prorok. Oby tylko złośliwe języki nie zmieniły tego porzekadła na inne: co rok – prorokini...

Jakby wyprorokował. Latem nie udało się już ukryć, że królowa jest znowu w odmiennym stanie i, choć szły czasy burzliwe, Zygmunt wpadł z Piotrkowa – gdzie sejm uparcie odmawiał uchwalenia podatku na zaciąg wojska, mimo że zagony Tatarów już pustoszyły ziemie na wschodzie – na Wawel, aby zobaczyć się z małżonką. Wtedy to właśnie stała się rzecz w dziejach Korony wręcz niesłychana.

Był ciepły majowy wieczór i król w swojej komnacie stanął przy oknie, aby przy świetle

księżycy spojrzeć na wybudowane przez Italczyków tak piękne krużganki. Cieszyła go zawsze uroda tego zamku górującego nad Krakowem, ta wspaniała już teraz siedziba polskich monarchów. I nagle... Z głębi podwórca czy też spoza murów Wawelu padł strzał. Król drgnął, gdyż kula przeleciała tuż obok jego głowy, ale nie tracąc zimnej krwi szybko cofnął się w głąb komnaty i zdmuchnął świece jarzące się na stole. Stał teraz w ciemności i czekał, czy strzał się nie powtórzy, ale usłyszał tylko głośnie okrzyki straży i tupot nóg biegnących w stronę jego komnat. Drzwi otwały się gwałtownie i pierwszą osobą, którą zobaczył, była królowa. Stała przed nim w nocnej, długiej szacie z lichtarzem w ręku.

– Zgaście – rzekł spokojnie.

Za plecami Bony zdołał jeszcze dojrzeć paru dworzan i pacholków, ale potem znów otoczyła wszystkich ciemność.

– Przeszukać krużganki! – rzucał rozkazy Zygmunt. – Wysłać pogoń na podgrodzie i brzegiem Wisły! Ogłosić alarm!

Rozpierzchli się wszyscy, tylko królowa weszła do komnaty. W świetle księżycy wyglądała jak biała pani strasząca podobno w zamku na Wiśniczu. Król patrzył chwilę na idącą, a potem podszedł szybko i odciągnąwszy pod ścianę daleko od okna, objął tak mocno, że słyszał przyśpieszone bicie jej serca.

– Nie trzeba się bać. To jakiś szaleniec lub człek śmiertelnie pijany.

– Nie stało się wam nic, nic?

– Słyszałem tylko świst kuli. Chodźmy stąd. W waszym stanie powinniście już dawno odpoczywać w łóżu.

Odprowadził ją do sypialni i nakazał Marinie, aby nie opuszczała tej nocy swojej pani. Po czym wyszedł, obiecując powrócić, gdy dowie się, że na zamku jest już bezpiecznie.

Kiedy została sama, długo myślała nie o tym, co zaszło, lecz o opanowaniu i o spokoju tego, którego chciano pozbawić życia. Więc taki bywał na polu walki? W chwilach niebezpieczeństw? Wiedziała, że umiał tać gniew, ale po raz pierwszy mogła podziwiać opanowanie, jej samej zupełnie obce. Kiedy powróci, powie mu, że myśli o nim tak właśnie: z miłością, szacunkiem, podziwem...

Nie udało się nigdy ani pojmać sprawcy, ani dociec motywów zamachu. Mógł to być – warchoł nierad nowym podatkom, choć rzecz wydawała się nieprawdopodobna, lub po prostu strzał człowieka szalonego. Tak czy owak król musiał powrócić na sejm do Piotrkowa, a zaraz potem ruszył na Podole, na które wkroczyli już Tatarzy oraz Turcy. Ich znaczne siły, spaliwszy Liszków, uprowadziły w jasyr kilka tysięcy niewiast i pacholąt. Później, otrzymawszy wieści o ciężkich bojach toczonych przez Tarnowskiego, Zygmunt poszedł w sukurs cofającemu się rycerstwu. Bona pozostała znów sama na Wawelu, pozbawiona wieści od męża, a także dość częstych dotychczas listów z Bari.

Któregoś wieczoru, siedząc nad otwartą szkatułką pełną klejnotów, bawiła się oglądaniem cennych pierścieni.

– Ten rubin – westchnęła, pokazując go Marinie – to ostatni dar principessy. Dziwne. Nie śle od dawna posłańców, jakby nie obeszła jej wieść, że znowu będę matką.

– Wieści z Krakowa nie były po jej myśli – westchnęła Marina. – Po królewiczu znowu córka...

Bona zagryzła wargi.

– I ostatnia wróżba jakaś zawita, niejasna... – przyznała.

– No, no! Nie wiem jak najjaśniejsza pani, ale ja zrozumiałam ze słów astrologa, że mówił o przyszłym władcy Polski.

– Monarcha – powtórzyła Bona. – To dobrze. Nie chcę nawet słyszeć o jeszcze jednej córce... Nie odchódź! Wróć! Czy nie spostrzegłaś, że ten nowy dworzanin, Morawiec, słuchał wczoraj śpiewu Beatrice nazbyt uważnie? Nie spuszczaaj tych dwojga z oczu. Moje italskie dworki są niemałą pokusą, si. Ale w murach zamku nie zniosę nawet cienia rozwiązłości.

– Nie jestem pewna, czy pan Morawiec ożeni się z signoriną Beatrice – zauważyła Marina.

– To wydam ją za innego dworzanina. Szkoda, że Krzycki marzy nie o żonie, tylko o dostojnościach kościelnych. Najdowcipniejszy z królewskich sekretarzy. I z poetów. Zabawniejszy nawet od Reja.

– Ale nazbyt złośliwy! O czym mówi jego ostatni wiersz? Że nie ma to jak polski kraj! Chude signoriny przyjeżdżają na Wawel w połatanych cizmach, a odjeżdżają, choć wojna trwa, w aksamitach haftowanych perłami.

Bona wrzuciła gwałtownie klejnoty do szkatuły.

– Jak? Chude signoriny? Głupiec! – krzyknęła. – Zjadliwy głupiec! Ignorante! Nie ma to jak polski kraj? O Dio! Na tej jego ziemi brakuje aksamitów i pereł, choć mimo ciągłych wojen mogłyby być. Santa Madonna! Piú tardi, kiedy przestanę rodzić, ciągle rodzić, w moich włościach pokażę im, jak się uprawia pustkowie, osusza mokradła. Jak z pól i lasów zbiera się perły. A także złoto. Si, złoto, dukatowe!

Chciała mówić dalej, ale nagle umilkła, jej twarz wykrzywił grymas bólu.

– Przywołaj medyków. I podaj rękę. Chcę się położyć. Presto! Presto!

Wierzyła przez całą noc, że to bratu Augusta tak pilno przyjąć na świat, ale kiedy nad ranem medyk stwierdził, że urodziła się córka, przez kilka dni nie chciała nawet spojrzeć na srebrną kołyskę.

– Ze wszystkich dzieci ta królewna najbardziej podobna do miłościwej pani – próbowała łagodzić gniew królowej Marina.

– Stulta! Co z tego? Znowu córka. Trzecia! I to przez nią wśród pism gratulacyjnych goniec przywiózł i takie: „My także mamy trzy”. Oni także! Jacyś tam drobni niemiecscy książęta! Więc już do tego doszło, że ośmielają się pocieszać... mnie? Mnie?! Polską królową? To zaiste zuchwałość!

– Wasza dostojna matka... – zaczęła Marina.

– Zamilcz! Dobrze wiem: znów nie przyjedzie do Krakowa na chrzciny. Jakby sama rodziła

tylko chłopców!

– Może principessa jest chora?

– Una novita! Chora! Wierzysz w to? Chce mnie ukarać. A ja... Santa Madonna! Nie zniosę tego! Nie zniosę!

Marina dała znak dworkom i wysunęły się wszystkie z komnaty. Napady gniewu królowej mijały szybciej, gdy pozostawała sama, gdy nie słyszała sądów odmiennych od własnych. Ale ten chmurny październikowy dzień był dla niej niełaskawy, bo zaraz za drzwiami zastąpili dworkom drogę. Alifio z Pappacodą. Kanclerz królowej był wyraźnie zatroskany.

– Przybył goniec – rzekł – i jest wiadomość z Bari. Ale zła.

– Księżna zaniemogła?

Alifio pochylił głowę.

– ... Principessa matka zmarła przed siedemnastoma dniami..

– Zmarła? O Boże! – szepnęła Anna.

– Powiecie jej o tym nieszczęściu? – zapytał.

Anna spojrzała na milczącą Marinę.

– Boję się. Od czasu urodzin trzeciej królowej bardzo zawiedziona, gniewna. Wejdźcie, signore, wy.

Naradzali się chwilę z Pappacodą, nikt nie chciał być zwiastunem złej wieści. A kiedy Alifio zniknął wreszcie za drzwiami sypialni, zbici w gromadkę usłyszeli znajomy, gniewny głos:

– O Dio! Dio! Jeszcze i to! i to!

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a potem jakiś ciężki przedmiot upadł na posadzkę. Anna wzdrzgnęła się, odskoczyła do tyłu. W komnacie narastał ni to krzyk, ni to lament:

– Mamma! O Dio! Perché? Perché?...

Drzwi otworzyły się bez szmeru i Alifio podszedł do Pappacody.

– Nie mogłem... Nie dała mi mówić. A nowin jest więcej. Cesarz oświadczył, że nie uzna żadnych praw spadkowych polskiej królowej, chociaż...

– Chociaż? – zdziwił się Pappacoda.

– Księstwa Bari i Rossano gotowe są złożyć hołd córce swojej principessy.

– To przecie dobra wiadomość – wtrąciła się Anna.

Pappacoda zaprzeczył.

– Z Krakowa do Italii daleko i trzeba czekać na powrót najjaśniejszego pana, aby coś postanowić. A Carolus blisko, w, Hiszpanii, i od dawna w walce z Francuzami o księstwa italskie. Podbił już Mediolan, a teraz...

Zamilkli, bo spoza drzwi doleciał ich znowu ni to krzyk, ni to jęk:

– Dio! Perché? Perché?

Po urodzeniu niechcianej córki i żałobnej wieści z Italii królowa, długo nie opuszczała swych komnat. Wracała wspomnieniami do starego zamku w Bari, do pozorów dawnej świetności rodu

Sforzów, który kiedyś władał Mediolanem, pozorów, na których tak zależało principessie Izabeli Aragońskiej, jej zmarłej matce. Ona sama żyła tam beztrosko otoczona własnym dworem i budziła podziw jako najzgrabniejsza w tańcu, najpiękniej grająca na lutni oraz władająca biegle mową starożytnych Rzymian. Na Wawelu, za oknami stała mgła, a tymczasem nad niebieskimi wodami zatoki srebrzyły się gaje oliwne, złościły w słońcu czuby figowych drzew, w winnicach opadały na ziemię ostatnie, przywiedłe już słodkie grona. Wtedy nie umiała docenić piękna tamtego wybrzeża, blasku italskiego nieba. Mówiła zawsze dworkom, że pragnie poznać inne kraje, że chce być wielka jak jej dziad, król Neapolu, że skoro w jej żyłach płynie krew Sworzów i Aragonów, jest stworzona nie tylko do władania, ale i do szczęścia większego, niż zaznała jej matka. I oto została królową jednego z największych państw w samym sercu Europy. Czy szczęście, którego pragnęła tak mocno, stało się jej udziałem? Zygmunt... Tak, nauczyła się go nie tylko cenić, ale także kochać. Może nie miłością, o jakiej śpiewał Petrarca, wielbiąc umiłowaną kochankę, ale wystarczającą, aby zaspokoić głód serca i zmysłów. Jednakże... Minęło dopiero cztery i pół roku od jej przybycia na Wawel, a była już matką czworga dzieci, z których tylko jedno dostąpiło zaszczytu, że principessa uczyła w Bari wieść o jego urodzinach wspaniałą ucztą i turniejem rycerskim. Chwile muzykowania i tańców zdarzały się w tym wielkim krakowskim zamczysku zbyt rzadko, król nie był obecny przy narodzinach i uroczystościach chrztów, a ostatnio, odpierając ataki Turków i Tatarów, nie wiedział nawet, że dała swęj – oby ostatniej – córce imię matki Madonny. Może święta Anna weźmie ją skuteczniej pod swą opiekę niż patron Bari Mikołaj i pozwoli, aby następne dziecko... Tym razem, cokolwiek wywróżą gwiazdy, jej wola sprawi, że będzie nim syn, druga podpora dynastii Jagiellonów. Tylko że... Oznacza to znowu wiele miesięcy wyrzeczeń, a przecież wie już teraz, że pokoje królewskich dzieci nie potrafią zaspokoić jej głodu działania ani żądzy władzy takiej, o jakiej mówiły pisma Machiavella, a więc władzy pełnej, prawdziwej, nie skrępowanej niczym...

Od tych rozmyślań i wspomnień nie było ucieczki. Nudziły ją dworki, przestała bawić karlica Dosia towarzysząca wiernie swej pani. Kiedyś zdarzyło się nawet, że gdy Alifio kończył relację o uprowadzeniu przez Turków nowego dwudziestotysięcznego jasyru, obrzuciła niechętnym spojrzeniem Marinę wprowadzającą do jej komnaty Zygmunta Augusta.

- Wielki księżę na audiencję poranną – oznajmiła jak co dzień dworka.
- Nie teraz – rzuciła niecierpliwie.
- Ma czekać?
- Nie! Odejść.

Takie przywitanie królewicza miało miejsce po raz pierwszy i nawet malec, krocząc poważnie ku drzwiom, musiał wyczuć nowy ton w danej sobie odprawie, bo nie krępując się obecnością Bony, rzekł:

- Krzyczy.
- To matka – tłumaczyła Marina, otwierając pośpiesznie podwoje.
- Gniewa się.

– To królowa.

Kiwnął ze zrozumieniem głową i w tym geście był tak podobny do ojca słuchającego nieraz w milczeniu wywodów królowej, że Marina nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

*

Jeszcze dymiły wiejskie chaty, jeszcze tatarska dzicz brała jasyr i łupy, kiedy na krótki czas zjechał na zamek król Zygmunt. Przyjął spokojnie wiadomość o narodzinach jeszcze jednej córki, ale zaniepokoił się wieścią o niedawnej śmierci principessy, jeszcze bardziej podnieceniem, jakiego nie kryła Bona. Choć był znużony podróżą, od pierwszej chwili stał się celem jej gwałtownego ataku.

– Moje zamierzenia są nie mniejsze niż wasze! Muszę mieć dziedziczne księstwa w Italii... Dla Jagiellonów. Dla Augusta.

– Myśl przednia. Ale mieć to znaczy ubiec cesarza. Jak chcecie to uczynić? Wyprawić się z wojskiem do Italii? Teraz, kiedy znów stoją w ogniu granice na południu? Na wschodzie? Zagrożone księstwo pińskie...

– Dane mi – wtrąciła – jako zabezpieczenie sum posagowych.

– Marne to będzie zabezpieczenie, jeżeli Turcy spustoszą je, ograbią i wezmą ludzi w jasyr.

– Jednakże sukcesja italska...

– Tak, ale trzeba wybierać? Nie można walczyć naraz ze wschodem i zachodem.

– Wybierać... – zadrwiła. – Rzecz to niełatwa.

– Zwłaszcza, kiedy hetmani twierdzą, że zbierze się nie więcej niż dziesięć tysięcy zbrojnych.

– Dio mio! Tylko dziesięć? Nie można zmusić szlachty do uchwalenia podatków na wojnę?

– Jak? Wystarczy, że znajdzie się kilku krzykaczy, i na nic najrozsądniejsze wywody.

– Krzykaczy można kupić.

– Mówiliście niedawno: rozdawać dobra to zubożać królewski skarbiec – przypomniał.

– E vero. Ale, miłościwy panie, nie ma nigdy w jednym państwie więcej niż kilkaset niespokojnych głów i ust krzykliwych. Umieć rządzić to przed wszystkim znać te głowy. Wiedzieć co knują.

– Co dalej?

– I albo je zjednać, przekupić, ośmieszyć...

– Albo? – nalegał.

– Co trudniej – przekonać. Można je także zmusić do milczenia.

– Jak?

– Gdyby trzeba – katowskim mieczem.

Spojrzał na nią, nie dowierzając własnym uszom.

– Co słyszę? Ściąć, jak to czyni w Anglii Henryk Ósmy? I to mówicie wy? Wy?

– Znam tylko takie sposoby dojścia do władzy. Prawdziwej.

- Ależ to byłoby bezprawie – rzekł wstając nagle.
- Nawet piú tardi? – nie chciała ustąpić.
- Ani teraz, ani potem. Polska to nie Italia.
- O Dio – powiedziała jakby z żalem. – Ale i tutaj mógłby być król wielki, król możny.

Prawda? Władca bogatego kraju.

Milczał długą chwilę, wreszcie rzekł:

– Mam nadzieję. Mam taką nadzieję...

W kilka dni później, zaraz po wyjeździe Zygmunta na ziemie objęte pożogą, odbyła tajną naradę z kanclerzem Alifiem. Po raz pierwszy odkąd ją znał skarżyła się, choć nie była zgaszona ani przybita:

– Jak piasek przecieka mi wszystko przez palce. Sukcesja włoska zagrożona przez Habsburgów. Co więc zostaje? Może księstwo mazowieckie? – Ożywiła się nagle. – Wczoraj, kiedy doniesiono nam o przedwczesnej śmierci jednego z braci, Stanisława...

– W Warszawie – sprostował – prawowitym władcą pozostał drugi brat, książę Janusz. A ten cieszy się dobrym zdrowiem.

– Stary?

– Ledwo ukończył dwadzieścia jeden lat.

– A... Tym lepiej. Słyszałam wkrótce po przyjeździe, że owdowiała księżnę mazowiecką, matkę obu braci, próbowano swatać w tym samym czasie co i mnie najjaśniejszemu panu dla mocniejszego związania tego lenna z Koroną. Tedy czemu nie można by pomyśleć teraz o podobnych więzach?

– Ale kogo i z kim, miłościwa pani? Nie mogę zgadnąć.

– A to tak proste... Moja pasierbica Jadwiga wystrzeliła ostatnio w górę jak młody cyprys. Witale mnie dziecko, a wczoraj zobaczyłam w niej dorodną młódkę. Pomyślcie tylko; to przyrodnia siostra Augusta, nam bardzo oddana. Jeśli nie można, wojować naraz ze wszystkimi, kto mi zabroni ubezpieczać się z przeróżnych stron?

Alifio zastanawiał się chwilę.

– Nie wiem, czy król zechce oddać córkę książęciu, którego dwór zasłynął, jak dotychczas, z jednego tylko: z rozwiązłych obyczajów – rzekł wreszcie.

– Króla nie ma, zajęty wojowaniem – odparowała cios. – Zanim wróci, powinien pojechać na Mazowsze z kondolencjami biskup Międzyzyleski i wybadać grunt. Milczycie? Chcieliście coś rzec?

– Od dawna już, jako kanclerz waszej miłości, chciałem zwrócić uwagę na to, że tutaj, na zamku, mamy więcej wrogów niż stronników. Król nieobecny, ale zamysłem najjaśniejszej pani nie będzie sprzyjało wielu. W obcym kraju trudno działać w, zupełnej próżni.

– Bene! – przyznała. – Tedy zastanówmy się. Samuel Maciejowski, kanclerz koronny Szydłowiecki i Tarnowski, najbliżsi doradcy króla, mogą być i będą przeciwko mnie. Ale prymas Łaski, biskupi Tomicki i Drzewicki powinni być nasi. Międzyzyleski i Kmita – na pewno. A

wreszcie ci mniej znaczeni, a do smaku niezbędni jak sól, sekretarze króla i prymasa, poeci jak Jan Dantyszek...

– Miłościwa pani zapomina, że ten od dwóch lat na jej życzenie przebywa na dworze cesarskim.

– I dobrze, że mamy tam wreszcie życzliwego nam stałego posła, świadka wszystkich posunięć Carolusa. Myślałam jeszcze o Krzyckim...

– O nim? – zdziwił się Alifio.

– A czemuż by nie? Wart, żeby go pozyskać dla naszych planów. Santa Madonna! Czyż nie wiecie, że najwięcej hałasu zwykli robić właśnie poeci? To oni albo uwieczniają królów, albo ośmieszają ich w zjadliwych fraszkach i paszkwilach, ot, choćby takich:

„Pod zamkiem dysząc, Kraków smok trapił jedynie...”

– Miłościwa pani to zna? – zdumiał się Italczyk.

– Wiem, caro dottore, o wielu sprawach, i dostrzegam liczne przeszkody. Ale będę robiła całe życie to, co chcę. I jak chcę! Grazie a Dio nauczyli mnie tego książęta z rodu Sforzów, dawni władcy Mediolanu i Bari... Dlatego też biskup Międzyleski pojedzie na pogrzeb księcia Stanisława do Warszawy.

A co do Krzyckiego... Pomyślę, czym można by zjednać i jego.

Ten, o którym mówiła nie bez podziwu jako o poecie i satyryku, nie spodziewał się zapewne, że w kilka dni potem odwiedzą jego samotnię przy Kanonnej dwaj goście. Obu znał stary sługa i pierwszego z nich wprowadził od razu do przestronnej izby, w której przy stole zarzuconym papierami siedział od rana jego pan. Zajęty pisaniem poeta nie odwrócił głowy, wstał dopiero słysząc nieśmiało zapytanie:

– Nie wiem, czy mogę...?

– A, Modrzewski – ucieszył się. – Chodź, chodź! Nie widziałem ciebie od dawna. Jak praca w kancelarii Latałskiego? Ciągłe przesłuchujesz zwaśnione strony? Ale dobrze ci tak! Byłeś ciekaw świata i jego spraw. Teraz przynajmniej wiesz, co się w Polsce dzieje.

– Aż nadto! I z tym przychodzę. Mój druh najlepszy, Jan Biesiekierski, z rozkazu pewnego szlachetki na gościńcu usieczon. Zabójca jawnie drwi z sądów królewskich.

– Ów szlachetka na infamię zostanie skazany.

– On? A nie... prawo? Przecie zabity herbowym nie był. Tedy i mord może pozostać bezkarnym.

– Zuchwałyś! Czego ty właściwie chcesz, Frycz?

Wyliczał jak wyuczoną lekcję:

– Sprawiedliwych praw i ukrócenia samowoli szlachty, także wielmożów.

– Dosyć! – przerwał Krzycki. – Takim jak ty świat rzuca kłody pod nogi. Dlatego ja sam wolę nie radzić czy pouczać, tylko szydzić i drwić!

– Myślałem... Twoje słowa ostrzejsze od miecza, trujące jak jad. Od ośmiu lat jako sekretarz

królewski musisz być blisko najjaśniejszego pana.

– Och! – mruknął Krzycki.

– I królowej... – nalegał Modrzewski.

– Och! – westchnął tamten.

– Oni chyba nie wiedzą o bezprawiu, o krzywdzie mieszczan, chłopów? Nie mogą wiedzieć!

– Zapaleniec z ciebie, karmisz się nadzieją – skrzywił się Krzycki. – Tak czy owak, ja im nie powiem. Chcesz, powiedz sam. Postaram się, abyś stanął przed obliczem królowej i...

Przerwał mu sługa meldując od drzwi:

– Burgrabia krakowski Alifio prosi o rozmowę.

Krzycki zdumiał się tak, że aż stracił ze stołu plik zapisanych kartek.

Zbierając je pośpiesznie, rzucił:

– Prosić! Prosić!

Kanclerz królowej wszedł bez pośpiechu i po kilku słowach powitania przystąpił do rzeczy:

– Najjaśniejsza pani poleciła mi oddać waszej miłości to pismo. I przesłać, w dowód szczególnej łaski, kozła upolowanego przez nią w Niepołomicach.

Krzycki rzucił okiem na krótki list i nagle wybuchnął:

– Ależ tu nie ma ani słowa o wakującym biskupstwie w Przemyślu! Mam znowu czekać?! Słyszysz, Frycz? Królowa chyba nie wie, że przed jej przyjazdem trząśł kancelarią królewską! I wciąż ze mnie jeno sekretarz, sekretarz! Dotychczas nie mówiłem nic. Wiedziałem: kto inny układniejszy, mniej zjadliwy ode mnie. Ale teraz mogę stracić nie obsadzony do dzisiaj Przemyśl. I czekać? Na co? Dlaczego?

Alifio rozłożył ręce.

– Nie wiem. Królowa bardzo boleje nad tą zwłoką.

– Och!

– O czym mogę zaświadczyć. Czyż nie raczyła przesłać wam z Niepołomic...

– Mnie obchodzi biskupstwo w Przemyślu – przerwał Krzycki – a nie królewskie polowanie.

Nie zrażony tym wybuchem kanclerz zapewniał:

– Najjaśniejsza pani chętnie widzi was na Wawelu. Zawsze. Wiecie wszystko, tedy ciekawa waszego zdania, waszych sądów. Choćby tego: kto z krakowskich poetów mógł ułożyć ów obraźliwy wiersz o smoku, który powtarza cały gród podwawelski?

Ale Krzycki nie zmieszał się, wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem, kto mógł być aż tak... nieostrożny. Czyżby ten wiersz dotarł do królowej?

– Istotnie – potwierdził Alifio.

– Cóż, wygląda na to, że najjaśniejsza pani nie umie jednać sobie przyjaciół. I to najprostszą odpowiedź.

– Byłaby szczęśliwa, mając na dworze licznych sojuszników. Stronnictwo własne – nalegał kanclerz.

– Przeciwno komu? Czy... za kim?

– Że przeciwno Habsburgom, to wiecie. Ale także przeciwno tym wszystkim, którzy umieją tylko jedno: rzucać jej kłody pod nogi. Gdybyście zechcieli...

– Och! – już jawnie drwił gospodarz. – W takiej walce nawet znakomity poeta Andrzej Krzycki nie wygra. Ale nie wątpię, że gdyby po stronie królowej wystąpił ktoś możny, na przykład jakiś biskup. Powiedzmy – biskup przemyski...

– Istotnie – przytaknął Italczyk.

– I nie Modrzewski, skryba z kancelarii, tylko Frycz, mąż uczony, sekretarz królewski...

– Istotnie.

– Wtedy walczyć z jej oszczercami byłoby łatwiej – kończył swoją myśl Krzycki. – Przy okazji... Prawda to, że Wolski, ochmistrz dworu królowej, w jej skarbcu złożył pięć tysięcy czerwonych złotych, aby tylko dostać któryś z urzędów koronnych?

– To potwarz! – oburzył się Alifio. – O niczym takim nie wiem! Rozplotkował się ostatnio Kraków. Widać, że komuś na tym bardzo zależy.

– Czy przypadkiem nie Habsburgom? – przechylając głowę rzekł ze złośliwym uśmiechem gospodarz.

– Kto wie? Może – odparł chłodno Alifio i skłoniwszy się wyszedł przyśpieszając kroku.

– Powtórzy królowej każde słowo – rzekł po chwili Frycz, ale Krzycki roześmiał się beztrąsko.

– Nie sądzę. Jak widzisz, szuka dla Bony sprzymierzeńców. Jesteśmy jemu teraz potrzebni.

– A on nam? Po co? – oburzył się Modrzewski.

– Na miły Bóg! Jeżeli chcesz jakichkolwiek zmian, kogoś musisz mieć za sobą! Wpływowego wielce. I tym kimś może być właśnie...

– Królowa?

Potwierdził niby żartem, ale już bez uśmiechu:

– Jak mawia jej kanclerz: „istotnie”. Królowa...

Alifio dotrzymał słowa, gdyż po niewielu dniach Frycz został zaważwany przed oblicze Bony. Królowa trzymała w ręku jego pismo w sprawie zabójstwa Biesiekierskiego.

– Przeczytałam waszą skargę uważnie – rzekła. – Ale, o Dio! Rozboje są na wszystkich gościńcach świata! Także w Italii. Rapina a mano armata.

– Nie o rozbój tu idzie, miłościwa pani.

– A o co?

– O różną cenę głowy. Plebejusz za śmierć szlachcica karany jest u nas śmiercią, szlachcic może się wykpić byle okupem.

– Perché?

– Ponieważ jest rycerzem, przelewa krew w bitwach.

– A chłop nie? Nigdy? – spytała zaskoczona.

– O to i ja zwykłem pytać. Czy zabójstwa mogą być nagrodą za czyny wojenne? I to tylko

rycerzy?

– Santa Madonna! Zadajecie dziwne pytania. Ale i cały ten wasz świat jest dziwny. Słyszeliście już, że hetman Ostrogski wyzwolił olbrzymi jasyr, a pan Tarnowski odniósł Wiktorię nad przeważającymi siłami wroga?

– Mówi się w Krakowie tylko o tym zwycięstwie.

– Si. Ale naszego rycerstwa było tak mało, że jak napisał do mnie król. Tarnowski przed bitwą długo musiał swoje hufce do walki zagrzewać, aż wreszcie z garstką wojowników ruszył przeciw chmarom niewiernych. I rozgromił ich, bo, jak przeczytać można: „bojaźń o swoich i o cześć królewską męstwo w nim zaostrzyła”. Santa Madonna! Nie słyszałam nigdy od Machiavella, aby strach męstwo zaostrzał. Przedziwne te wasze zwycięstwa! I zdumiewające wojowanie... Jednakże – dodała po chwili – ten szlachcic, co miast w pole ruszyć, wolał zabijać bezbronnego na gościńcu, poniesie zasłużoną karę. Złóżcie waszą skargę w kancelarii króla. Przypomnę mu o niej, jak tylko wróci. Czas pokoju winien być także wolny od strachu...

*

Zygmunt był utrudzony walkami, pogonią za uchodzącym wrogiem, ale rad wielce, że jest w swoich komnatach na Wawelu. Wypocząwszy, kazał przyprowadzić do siebie wszystkie dzieci i rozmawiał łaskawie z Augustem i królewnami Jadwigą oraz Izabelą. Po odprawieniu całej gromadki Bona usiadła tuż przy nim pytając, czy zauważył, jak urosła i zmężniała Jadwiga, a gdy przytaknął, uśmiechnęła się, gładząc końcami szczupłych palców rękę króla.

– To dobrze, że jesteście już z nami, w Krakowie.

– Powtarzacie to, com wam rzekł pierwszej nocy po powrocie.

Spuściła oczy, jakby zawstydzona przypomnieniem gorących chwil powitania, ale trwało to krótko. Zaczęła opowiadać o tym, co zaszło w czasie jego nieobecności: o śmierci Stanisława Piastowicza i wysłaniu przez nią na pogrzeb Międzyleskiego. Słuchał uważnie, ale ponieważ nie wyciągał żadnych wniosków z nowo powstałej sytuacji, w której Janusz stawał się jedynym i ostatnim władcą Mazowsza, rzekła z naciskiem:

– Posłałam księciu przez biskupa konterfekt królowej Jadwigi i oglądał go z wielkim upodobaniem.

– Toż to jeszcze zielona młódka! – zachnął się Zygmunt, zgadując bez trudu intencję daru.

– E allora? – zdziwiła się Bona. – Na portrecie wygląda na godniejszą, trochę starszą...

– Zaiste! Białołęskich sztuczek od diabelskich odróżnić nie sposób. Ale teraz od zrękowin Jadwigi, do których wam widać pilno, ważniejsza sprawa wielkiego mistrza.

– Czemu? Ciągłe bruździ mimo zawieszenia broni?

Król, zwykle spokojny, wydawał się rozdrażniony, gniewny.

– Z początku rozsyłał na mnie skargi, gdzie się dało. Do Moskwy, Wiednia, nawet do Danii i Szwecji. Ale nikt stamtąd w nową wojnę wdać się z nami nie chce.

– Co na to panowie wielkopolscy?

– Krzyczą, żeby go siłą usunąć z Prus, oprzeć się wreszcie o Mare Balticum. Tymczasem Albrecht pojechał do Wittenbergi.

– Santa Madonna! – zdumiała się królowa. – Do tego heretyka Lutra? Po co?

– Knuje coś nowego, szuka wyjścia z matni. Przegrał wojnę, ale stara się wygrać pokój. Jedno pewne: musi się śpieszyć. Dziesiątego kwietnia tego roku kończy się czteroletni rozejm z Zakonem.

– Wiecie coś więcej o tych rozmowach? Nie po to na dworze cesarza siedzi Dantyszek, żeby pisać wiersze i stroić laurowym wieńcem głowę, tylko aby...

Przerwał jej ruchem ręki.

– Dantyszek nie traci czasu. Donosi, że Albrecht widział się z Lutrem w Wittenberdze i to spotkanie podobno odmieniło wszystkie jego plany. Luter doradził wielkiemu mistrzowi rozwiązać Zakon, zerwać z papieżem i przyjąć luterską wiarę.

Nie mogła w to uwierzyć.

– O Dio! Wielki mistrz heretykiem?

– Były wielki mistrz – sprostował – mógłby, zerwawszy z Rzymem, jako świecki książę założyć nawet rodzinę.

– Och! – westchnęła. – I dać początek dynastii Hohenzollernów? Wzmocnić obóz kacerzy? Zwolenników reformy kościoła? Uwierzyć trudno! A jakież zachowałby tytuł jako władca świecki?

– Dux in Prussia – odparł.

– Książę Prus? – powtórzyła i ożywiła się nagle. – Ale jako lennik naszego królestwa? Nie cesarza?

Ta rozmowa zdawała się go męczyć i nużyć.

– Jako wielki mistrz odmawiał zawsze złożenia hołdu – rzekł. – Czy zechce teraz? Chyba że zgodzę się na jego plany. Zawrę nowy traktat z nim i pełnomocnikami wszystkich stanów pruskich.

– Tedy hołd w zamian za uznanie pruskiego księstwa? I Albrechta jako dziedzicznego władcy? – nalegała wzburzona.

– Taka jest cena pokoju – przyznał i nagle zaczął wypytywać się o budowę kaplicy, o mistrza Bartolomeo Berecci...

Wiadomość była tak nieoczekiwana i tak ważna, że Bona wezwała kanclerza Alifia, aby sprawdził, czy istotnie termin rozejmu upływa za dwa tygodnie, a potem dopytywała się co ranka: „Wielki mistrz wrócił już z Wittenbergi?” Na pytanie, co byłoby lepsze: rozpętanie nowej wojny przez Zakon czy pójście Albrechta za radą Lutra, król nie dawał jasnej odpowiedzi i wszystkie te dni od powrotu Zygmunta na Wawel upływały w napięciu, w oczekiwaniu na wydarzenia, którym nie mógł przeciwdziałać nikt, nawet tak skora do działań królowa. Wreszcie, na kilka dni przed upływem terminu rozejmu, zameldował się na audiencję Alifio. Marina twierdziła wprawdzie, że miłościwa pani jest tego ranka nie w humorze, że nie chce rozmawiać z

nikim, nawet z synem, ale nalegał z takim naciskiem, że poszła zapytać, czy zechce przyjąć burgrabiego. Po chwili otwierając drzwi, zaprosiła go do komnat. Pappacoda, który był świadkiem tych pertraktacji, zauważył kwaśno:

– Zmęczona... Ale ten ma do niej dostęp zawsze.

– Si – przytaknęła. – Odkąd nie wy, tylko on został burgrabią zamku. To był wielki błąd i przeoczenie z waszej strony.

Zacisnął pięści i mruknął gniewnie:

– Zapłacą mi za to. Nie wiadomo jeszcze, kto zostanie na placu boju ostatni...

W tym czasie kanclerz królowej meldował jej o zgoła innej rozgrywce.

– Miłościwa pani, Dantyszek donosi, że wielki mistrz wrócił już do Królewca.

– Wiadomo z czym?

– Tak, ale... – zaczął i urwał nagle.

– Mówcie: nowa wojna z nami?

– Do dnia dziesiątego kwietnia ma zamiar...

– Presto! Presto! – niecierpliwiła się. – Ma zamiar żądać czego?

– Zgody najjaśniejszego pana na sekularyzację Zakonu – rzekł z wahaniem.

– Ależ no! No! Tak nie może być! Tak być nie powinno! – krzyknęła, nie próbując nawet hamować wściekłości. – Nie uwierzę, dopóki nie usłyszę z ust najjaśniejszego pana... A Dantyszek? Zna sprawę. Jak radzi?

– Doradza wcielenie ziem zakonnych do Korony. Odzyskanie całych Prus teraz, kiedy Albrecht jest słaby.

– Co na to król?

Alifio spuścił głowę, milczał. Ale ona krzyknęła raz jeszcze: „No!” i usunął się z drogi wiedząc, że nie przestrzega dworskiego ceremoniału, gdy jest aż tak wzburzona, tak gniewna. Szedł jednak za nią, gdy biegła przez szerokie korytarze, i widział, że wpadła niby wicher do komnat królewskich. Słyszał nawet, jak krzyknęła jeszcze w drzwiach:

– Tedy jednak? Wielki mistrz chce zostać księciem pruskim? A wy nie krzyknęliście – zabraniam?

– W imię czego miałbym się sprzeciwiać? Na Boga! Wolicie wojnę? – zapytał, starając się zachować spokój.

– Nie. Ale można jeszcze próbować jakichś układów, sojuszu...

– Z zakonem krzyżackim? – zdziwił się.

– Ależ Albrecht to teraz nowinkarz, krzewiciel reformacji! Jako Krzyżak nawracał mieczem Prusaków i nasze pogranicze, a jutro gotów zaprzedać całą Polskę kacerzom.

Zygmunt zmarszczył brwi.

– Zdawało się nam, że w Rzeczypospolitej rządzieliśmy dotychczas my. I nadal rządzić będziemy – rzekł z naciskiem.

– Santa Madonna! A nie sądzicie, że papież rzuci na niego klątwę?

Namyślał się tylko chwilę.

– Nie byłoby to z korzyścią dla naszego lennika. Jeśli nim zostanie. Sprawa delikatna i trudna. Ale... znane są dyplomatyczne talenta Krzyckiego.

– Krzyckiego? O Dio! Chcecie w Rzymie bronić odstępcy czyimi słowami? Poety?

Spojrzał na nią z leciutką drwiną.

– Czyżbyście nie pamiętali, o co prosiliście tak niedawno? Będę bronił Albrechta, przyszłego lennika, argumentami i miódopłynnym słowem przemyskiego biskupa.

Stropiła się, ale nie zamierzała ustąpić.

– Biskupa? Więc jednak Krzycki... Ale Albrecht to Hohenzollern.

W jego żyłach płynie niemiecka krew!

– Zapomnieliście chyba – odparł – że jako heretyk narazi się katolickim Habsburgom. I tego nie weźmiecie mu chyba za złe? Tedy myślę, że na teraz z korzyścią dla Rzeczypospolitej pokój na północy i rozwiązanie Zakonu. Albrecht pokłócony z cesarzem i nieposłuszny papieżowi musi szukać oparcia w Polsce. Z tych wszystkich powodów gotów nam złożyć hołd.

– Nie jestem pewna szczerości jego intencji – ostrzegła.

– W polityce, mia cara, szczerości nie ma. Jest tylko trzeźwy rozsądek. I korzyść doraźna. Triumf Jagiellonów nad Albrechtem pruskim. Nie chciała ustąpić.

– Słyszałam zaraz po przyjeździe na Wawel, że ksiązę zachodniego Pomorza Bogusław przez Łaskiego i Górkę prosił was o objęcie zwierzchnictwa nad jego ziemiami. I że dopiero w rok po urodzeniu Augusta złożył hołd – na którym wam nie zależało – Carolusowi. Gdybym wtedy miała tę mądrość co dziś! Krzyczałabym, że trzeba zgodzić się na tamten hołd lenny! A także oddać Augustowi księstwo głogowskie! To byli przecież Piastowie, pomorscy i śląscy... Ale wy... Tego, czego nie chcieliście od nich, bierzecie od Hohenzollerna. Hołd pruski!

Złych macie doradców i wiem, że przekupnych. Ile za wstawienie się za mistrzem dostał od niego kanclerz Szydłowiecki? Przekonał was, że ksiązę pruski będzie mniej groźny od mistrza Zakonu? Santa Madonna!

Toż to ciągle Albrecht. Ten sam Albrecht!

– Zostanie naszym wasalem – zaprzeczył. – I to już koniec! Nareszcie koniec sprawy krzyżackiej! Mamy Prusy Królewskie, teraz przybędą do nich lenne Prusy Książęce. Dla was ważniejsze południowe granice i księstwa italskie, wiem. Ale o brzegi Mare Balticum walczone u nas już pod Grunwaldem. Zawdy paliła się ta ściana. Najbliższa. To mało, że pożar wreszcie ugaszony?

– Może wiele na dziś. Ale jutro?

– Dalekie... Nie od nas zależne... – stwierdził i dodał podchodząc bliżej: – Polska królowa, jak widzę, nie umie cieszyć się dzisiejszym dniem. A przecież mamy wreszcie pokój. Upragniony, potrzebny. Czy w waszym sercu nie za wiele gniewu?

– Nienawidzę wrogów dynastii. Dawniejszych: Habsburgów i nowszych: Hohenzollernów.

– To wiem. A kogo kochacie?

- Prima di tutto tron, na którym siedzę.
- Nikogo więcej? – nalegał.
- No. Nikogo.
- A... Szkoda. Wielka szkoda – westchnął.

Poprawiła się natychmiast:

– Nikogo, prócz was, mój mężu. Per amor di Dio! Czy to mało?

– Wiele. Wiele na dziś – przyznał. – Ja jednak, w przeciwieństwie do was, umiem doceniać to, co mam. Co niesie dzień dzisiejszy...

A niósł niemało. Najpierw na sejmie w Piotrkowie król, pod naciskiem szlachty, zobowiązał się odtąd przestrzegać ściśle ustawy o incompatibiliach, a więc o niepiastowaniu przez jedną osobę więcej niż jednego urzędu. Zaraz potem przybyli na Wawel przedstawiciele wielkiego mistrza, ażeby ustalić warunki, na jakich Hohenzollern miał stać się lennikiem Korony. Po zrzeczeniu się godności wielkiego mistrza i rozwiązaniu krzyżackiego zakonu winien był złożyć hołd lenny jako władca świecki, książę pruski Albrecht. Tym samym zachowywał ziemie, o które tak długo toczyły się walki, i szlachta wielkopolska przyjmowała wiadomość o toczących się układach z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony wołałaby zdobyć całe Pomorze bez żadnych układów z Albrechtem, z drugiej niepilno jej było do nowej wojny i nowych podatków na nią. Królowa myślała podobnie, nie podejmowała już jednak dalszej walki, tym bardziej że Szydłowiecki i Tomicki umacniali monarchę w przekonaniu, iż postanowił słusznie, godząc się na zaprzestanie wojen, na sekularyzację Zakonu. Bona czekała na ostry sprzeciw papieża, a nawet obłożenie Hohenzollerna kłątwą, ale nic takiego nie zaszło. Ojciec święty zdawał się nie zauważać tego, co się stało.

W jednej z komnat dworki królowej haftowały właśnie proporzec lenny dla księcia, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Stańczyk z rulonem w ręku. Podsuwając pergamin pod oczy Beatrice, Annie i Dianie, wykrzykiwał:

– Oto dowód, że nie wszyscy myślą jak Szydłowiecki, Tomicki albo Krzycki, który dziś wrócił z Romy. Mam tu smakołyk, ale jak pigułka gorzki, rymy bardziej do traktatu podobne. Słuchajcie! Słuchajcie! Oto najnowszy wiersz Stanisława Hozjusza.

Zaczął go czytać głośno, z patosem, jak to zwykł czynić herold na rynku:

*„Powiedz, ktokolwiek przeczytasz te sprawy,
Czyli nie nazwiesz monarchę szalonym,
Co mogąc łatwo skończyć z zwyciężonym,
Wzrok mu swój wolał okazać laskawy?”*

Anna pierwsza przerwała milczenie.

– Łatwo skończyć z Albrechtem? To znaczy jak? – spytała.

– Ba! – błaznował Stańczyk. – Tego nikt nie wie. Ale co szkodzi przyganić? Choć wyboru

nie ma, ponarzekać? Ot, choćby ten proporzec, który ma dostać książę Hohenzollern w dzień hołdu. Haftujecie koronę królewską na szyi orła oraz literę S. Sigismundus. I to już wszystko? A gdzie widoma zwierzchność królewska nad księstwem pruskim? Gdzie zmiana w upierzeniu ptaka? Orzeł był czarny i czarnopióry pozostał. Dalibóg! Każdy przyzna: W naszym królestwie lepiej być nie człowiekiem, jeno ptakiem, ptakiem, ptakiem!

Cisnął proporzec na kolana siedzących nieruchomo panien i wybiegł machając ramionami, jakby to były skrzydła rozwinięte do lotu. Spojrzały po sobie wracając do przerwanej roboty, tylko Marina schyliła się, podniosła rzucony na posadzkę rulon i wyszła pośpiesznie.

– Zaniósła go królowej – stwierdziła Beatrice.

– Ale ta nie odwoła nas do swoich komnat – westchnęła Anna. – Musimy haftować tego czarnopiórego orła, choć nie wiemy, który z poetów przysłużył się lepiej najjaśniejszej pani: Krzycki czy Hozjusz?

*

Cokolwiek pisali poeci, cokolwiek myślała królowa, w słoneczny dzień kwietniowy 1525 roku na podwyższenie, na którym zasiadał na tronie król Zygmunt I, wstąpił książę Albrecht pruski z rodu margrabiów brandenburskich. Ten, który tak niedawno nosił biały płaszcz z czarnym krzyżem jako wielki mistrz Zakonu, był zakuty w bogatą rycerską zbroję i miał zarzucony na ramiona płaszcz z gronostajów. Ten, który jeszcze przed rokiem walczył o Pomorze, zgiął kolana jako lennik przed swoim zwycięzcą i położywszy prawą dłoń na kartach Ewangeli, w lewą ujął proporzec z białego jedwabiu podany mu przez króla. Czarny orzeł, godło Prus, nie zmienił swej barwy, jak tego chciała królowa. Był czarny. Ale składając hołd lenny na Rynku Krakowa wobec tłumów ciekawych i otoczony pierścieniem dwóch tysięcy towarzyszy pancernych, Albrecht pruski musiał uznać swą zależność od Rzeczypospolitej i wypowiedzieć słowa przysięgi, że „będzie wierny, uległy i posłuszny królowi Polski, jego potomkom i całej polskiej Koronie”. On, który jako mnich stoczył wiele walk, często zwycięskich, dopiero tego dnia z rąk Zygmunta otrzymał rycerski pas i uderzeniem jego miecza został pasowany na rycerza.

Królowa, nieobecna na Rynku, przyglądała się całej uroczystości z okien kamienicy Spytka. Patrzyła z niechęcią, ale gdy ludzie tłoczący się na placu i na dachach domów, widząc Albrechta powstającego z kolan z lenną chorągwią w ręku, wybuchnęli radosnym, wielkim krzykiem, kiedy odezwał się dzwon odlany ze zdobycznych dział i zagrzmiały fanfary – poczuła, że jest świadkiem końca odwiecznych walk. Na jak długo? Tego właśnie nie była pewna. Bała się, że Albrecht będzie rósł w siłę w tym samym czasie, gdy Zygmunt... Stawał się ociężały, słuchał rad zauszników Carolusa i Hohenzollernów, milczał, kiedy protestowała ona. Ale na Rynku potężniał okrzyk dumy, przez chwilę więc i ją wypełniła radość, że to ona. Bona Sforza, jest królową Polski, żoną zwycięskiego Jagiellona.

Tegoż wieczoru odbyła się na zamku wspaniała uczta, po której w przyległej sali młodzież

popisywała się tańcem przed siedzącymi na wzniesieniu królem, królową i księciem Albrechtem.

W jakiejś chwili Marina zbliżyła się do siedziska królowej, szepcząc:

– Dworka Leszczyńska taranteli tańczyć nie chce.

– Nie chce? Perché? – spytała z udanym spokojem i nie odwracając głowy.

– Narzeczoney i ojciec buntują pannę. Mówią: polskiej szlachciance to nie przystoi.

– Proszę! – syknęła. – Ja mogłam tańcować w Neapolu przed całym dworem, a jakaś tam Leszczyńska droży się i odmawia...

– Udała chorą. Poszła się położyć – coraz ciszej szeptała Marina.

– A? Chora? Bene, bene. Tydzień na kaszce i posłać jej same gorzkie lekarstwa – rozkazała.

– Zatańczą bez niej Diana i Faustyna.

– Tarantelę?

– Si. Neapolitańską. Każ im podać tamburyno.

Zamkowa sala gorzała od świateł, jarzyła się od blasku klejnotów możnych panów i ich dostojnych małżonek, cieszyła oczy barwistymi szatami tańczących.

Albrecht, przechylony lekko ku Bonie, począł chwalić dorodną młodź i świetną kapelę – muzyków italskich.

– Pragnęliśmy godnie uczcić Waszą Księżęcą Mość – uśmiechnęła się, świadoma własnej urody i wspaniałości festynu, który musiał swym blaskiem olśnić oczy niedawnego mnicha. – Pragnęliśmy także spełnić w dniu tak uroczystym wszystkie jego życzenia.

– Wszystkie? – podchwycił skwapliwie.

– Tak sędzę. Ale, jeśli nie, słucham.

– Zapewne wiadomo miłościwej pani – rzekł – że mam braci. I że teraz jako świeccy książęta myślą oni o przedłużeniu rodu Hohenzollernów.

Z trudem zapanowała nad drzeniem ust. Odpowiedziała obojętnie:

– Nie wiedziałam. Ale słucham, pilnie słucham.

– Otóż starszy brat, Wilhelm, wielce się rozmiłował w księżniczce mazowieckiej.

– A? – udała zdziwienie. – W siostrze Janusza? Annie?

– Tak. W Annie Mazowieckiej.

Bona, nie spuszczać oczu z tańczących par, rzuciła niedbale:

– Mówią, że to dziewica wielkiego serca i... jeszcze większej szpetoty.

– Nie widziałem podobizny, ale mój brat był niedawno na dworze warszawskim i twierdzi...

– Wasz brat? Już był? Pojmuję...

– Czy zechcecie, miłościwa pani, przedłożyć projekt tego małżeństwa królowi? W chwili sposobnej?

– O tak! – potwierdziła zbyt głośno, jakby przekrzykując muzykę. – Możecie być pewni. Dowie się o tym il re in persona. Dzisiaj wieczorem...

Późną nocą, jeszcze w sukni lśniącej od złota i drogich kamieni, wpadła do komnaty, do której udał się król i, bijąc pięścią w stół, ujawniła projekty małżeńskie starszego Hohenzollerna.

Krzyczała:

– Wasz triumf? Wasz pokorny lennik! Orribile! Basso! Ledwie zgiął kolano, już szarpie za rękę, krzyczy: daj! Dziś Mazowsze, a jutro, kto wie, może Litwę? Może moje księstwo pińskie?

– Na Boga! – mitygował ją król. – To nie on, ale wy, pani, krzyczycie już od pół godziny.

– I nie przestanę, póki mi starczy tchu! Póki nie zabraknie sił! Basta! Nie pozwolę! Słyszycie? Nie pozwolę! Wilhelm, brat tego Krzyżaka, mężem Piastówny? Nigdy! Wrogi nam, obcy!

– Zapominacie, że obaj to synowie mojej rodzonej siostry Zofii.

– O Dio! Tedy Perché? – pytała gniewnie. – Perché wydaliście Jagiellonkę za Hohenzollerna? Moja matka szukała najlepszych aliansów, a polskiej królowie wystarczył brandenburski margrabia? I oto skutki. Albrecht i Wilhelm. Due fratelli! Avidi! Falsi! Gotowi teraz żądać całego Mazowsza jako części posagu swojej matki. Bo, czuję to przez skórę, należy się im jeszcze jakaś reszta posagu. A może nie? Zaprzeczcie. Spłaciliście siostrę? Per amor di Dio! Nie macie nic do powiedzenia?

Odpowiedział niechętnie, z trudem:

– Owszem. Powiem: cóż za cienką skórę ma moja gniewna małżonka.

– Więc jednak? – triumfowała. – Zgadłam. Część posagu Zofii do dziś nie zapłacona? I wy chcecie mieć wpływ na pruskiego księcia! Siostrzeniec... Figlio della sorella! Ależ on może zdrwił sobie z nas! On... On... – zakrztusiła się nagle. – Och, mdli mnie...

– Czyżbyście byli znowu... – spytał zniżając głos.

– W stanie błogosławionym, myślicie? Santa Madonna! Tyle spraw do załatwienia, tyle ziem do zdobycia, zagospodarowania, a ja bez przerwy mam być w błogosławionym stanie? Nic z tego! Zjadłam na uczenie za dużo marcepanów.

Przyglądał się przez chwilę nie dowierzając, wreszcie westchnął:

– Szkoda. Księcia Albrechta mogłaby zmartwić wieść o tym...

Przerwała raz jeszcze:

– Że oczekujemy drugiego następcy tronu? Myślicie, zmartwiłaby? Zagniewała? Kto wie? Może... Może... – roześmiała się nagle wesoło i beztrudnie. – Pomyślcie tylko: miałby zatruty cały jutrzejszy dzień! Z kwaśną miną musiałby patrzeć, jak chwytają mnie mdłości, jak słaniem się, mdleję...

Zachwiała się istotnie i nagle, udając zemdloną, padła w objęcia Zygmunta.

– Naprawdę słabo wam, czy też...? – dopytywał się zatroskany.

Wyprostowała się i wysunęła z jego ramion.

– Mdli mnie po marcepanach – powiedziała spokojnie. – To była próba. Udana, prawda? Ciekawam, co na to powie on? A wy? Czemu milczycie?

– Zastanawiam się nad tym – przyznał – jak doszliście do tego, że moim siostrzeńcom należy się jeszcze część posagu ich matki.

– Och to! Po prostu Albrecht wydał mi się zbyt butny, zbyt pewny siebie. Pytałam wielu

panów i wreszcie ktoś mi wytłumaczył.

– Dowiem się, kto?

– Nie. To jedna z moich tajemnic. Drugą będzie źródło, z którego zaczerpnę dosyć dukatów, aby spłacić resztę posagowej sumy.

– Uważacie to za rzecz aż tak pilną?

– O tak! Bo nie chcę, żeby Anna wyszła za brata Albrechta. Bo nie oddam ani części Mazowsza. Będzie całe nasze, nasze! Sprawdziłam. W tym księstwie jest wiele miast i miasteczek. A także ludna, nad Wisłą leżąca Warszawa.

– Wasza miłość chce ją mieć?

– Si. Za wszelką cenę!

– Dla Jadwigi?

– Na razie dla Jadwigi. Mówiłam już z nią o tym matrymonium. Potem, przez nią, im momento opportuno – dla Augusta, dla dynastii.

– A może raczej... dla Korony?

– Dla Korony? Perché? – zdziwiła się, zaskoczona niemile.

– Bo to prastara dzielnica piastowska – wyjaśnił.

– Tedy.. Och nie wiem! Nic już nie wiem. I basta! Basta! Zmęczył mnie dzisiejszy dzień. Chcę tylko riposare. Riposare...

Nie żegnając się zaczęła iść w kierunku drzwi. W jej zwisających rękach, w pochyleniu głowy było udane lub też prawdziwe zmęczenie. Król patrzył za nią chwilę zmrużonymi oczyma. Gdyby się odwróciła, odgadłaby, że podjął już jakąś decyzję, że także zaciął się w uporze.

*

Podczas gdy zamek wciąż jeszcze restaurowali i przyozdabiali Italczycy sprowadzeni przez mistrza Berecci, ogrody podwawelskie przyciągnęły uwagę królowej bujnością swojej zieleni, a jednocześnie pewnym zaniedbaniem. Kazała w jego najdalszej części zasadzić łożę winną, ale ta nie przyjęła się, uschła, natomiast stary ogrodnik z nieufnością wielką wrzucał wiosną do spulchnionych grządek nasiona jakichś włoskich warzyw przywiezionych z Bari przez kuriera wraz z listami do najjaśniejszej pani.

Był piękny słoneczny ranek pod koniec kwietnia, kiedy Bona, wypocząwszy już po uciążliwych dniach gościny Albrechta na Wawelu, przechadzała się z Mariną po ogrodzie. Gałęzie owocowych drzew bielily się od rozkwitających pąków, wcześniej niż zwykle kwitły krzaki bżów. Nagle ciszę w której słycać było tylko brzęczenie pszczół, zmąciły śmiechy i gwar dziecięcych głosów. Przez rozległe trawniki biegła królowna Jadwiga z Izabelą i Augustem, a tuż za nimi Diana di Cordona i Beatrice. Po chwili dworki zrównały się z dziećmi i chwyciwszy je za ręce poderwały w górę małą królowną i królewicza. Zaczął się bieg, szybki bieg po szmaragdowej trawie. Krzyczały królewiczy, ich rozhuśtane nogi nie dotykały ziemi, Jadwiga śmiała się wesoło i głośno. Cała gromadka biegła ku dalszej części ogrodu, gdzie za niskim

żywoplotem widać było królową zajęta wydawaniem poleceń ogrodnikowi. Ale ta odwróciła się ku nadbiegającym i zatrzymała ich ruchem wzniesionej w górę ręki:

– Basta! Basta! Mówiłam, że tu wchodzić nie wolno. Ani biegać między grządkami!

– Ja także nie mogę? – zdziwił się wielki książę.

– Caro mio! Ty także. Te południowe roślinki boją się krzyku.

Przyglądał się jej z uwagą, wreszcie spytał:

– A wasza miłość tutaj nie krzyczy?

– Ja? Nie... – Zwróciła się do pańien z wymówką: – Wy po co do warzywnika założonego z takim trudem? Mało miejsca na trawie?

– Chciałyśmy powiedzieć – próbowała wstawić się Jadwiga – że ochmistrz Wolski nie jest pewien, czy uroczystości ślubne Beatrice odbędą się w salach zamkowych.

– Nie jest pewien? Wolski? Przecież mu kazałam! – krzyknęła.

Królewicz położył palec na ustach i odważył się ostrzec:

– Cii...

Coraz bardziej gniewna Bona wyszła spoza żywoplotu.

– Uroczystość pojutrze, na Wawelu! I turniej na dziedzińcu zamkowym.

Beatrice przypadła do jej ręki.

– Grazie, grazie – szeptała wzruszona.

– Co sobie myśli ten Wolski?

– Mówił, że dopiero niedawno był uroczysty hołd – tłumaczyła Jadwiga – tedy...

– A jeśli chcę go jeszcze dodatkowo uświetnić ślubem mojej dworki z królewskim dworzaninem? – nalegała królowa.

Spodziewała się wybuchu nowych podziękowań, jednakże Jadwiga powiedziała po chwili z wyraźną niechęcią:

– Ale aż tak huczne zaślubiny...

Bona spojrzała na zachmurzoną twarz pasierbicy i nagle powiedziała bardzo ciepło:

– Mia cara, nie bądź zazdrosna. Kiedy z kolei król wydawać będzie za żonę swoją najstarszą córę, ja, choć tylko macocha, wyprawię ci weselisko nie mniej huczne, niż było ongiś moje. Tańce, turnieje i uroczyste pochody... Osiemdziesiąt koni ze stada principessy nakrytych białymi kapami i dwadzieścia mułów dźwigało skrzynie z moją ślubną wyprawą.

– I tyleż pójdzie stąd ze mną na Mazowsze? Do Warszawy? – upewniała się Jadwiga.

– Królewna z rodu Jagiellonów warta jest i stu rumaków. Santa Madonna! – przypomniała sobie. – Jeszcze muszę załatwić dzisiaj i to. Biegnijcie! Trawniki są tak zielone, tak gładkie...

Przez chwilę patrzyła na oddalającą się gromadkę jakby z żalem, że zakłóciła jej spokój, że nie pozwoliła nacieszyć się urodą rozkwitających drzew i krzewów. Idąc ku zamkowi z Mariną, mówiła raczej do siebie niż do niej:

– Festyn, a teraz ślub i turniej – troppo difficile. Wszystko tutaj trudne, trudne, trudne...

Marina milczała nie przytakując, patrzyła tylko, jak jej pani łamie za każdym słowem

„trudne” jedną z gałązek bżów, rosnących wzdłuż ścieżki...

Wprost z ogrodów, już bez asysty dworki, weszła do komnat królewskich.

– Córka wasza – zaczęła bez żadnego wstępu – coraz częściej pyta o swoją wyprawę, o przyszłego małżonka. Czy księżę Janusz nie zwodzi? Naprawdę zabiega o jej rękę?

Zygmunt uchylił się od odpowiedzi.

– Z Mazowsza nadchodziły ostatnio niedobre wieści – westchnął.

– Jakie?

– Mazowiecki księżę nie zna pono miary w ucztowaniu i w piciu.

Żyje pogrążeń w rozpuście. A poza tym... Często zapada na zdrowiu.

– Dworskie plotki! Oszczerstwa! – oburzyła się królowa. – Naszym wrogom nie w smak mocniejsze powiązanie tej ziemi z Jagiellonami.

– Wrogów widzicie wszędzie – mruknął. – Tedy słucham, słucham! Nie w smak... komu?

– Nie wiecie? Księżę Albrecht od dawna myśli o Mazowszu. Najeżdżał je i łupił jako Krzyżak w czas ostatniej wojny. Teraz, będąc z waszym przyzwoleniem świeckim księciem, mógłby poślubić sam siostrę Janusza, Annę Mazowiecką. On albo jego brat...

– To tylko wasze domysły, obawy...

– Santa Madonna! Mówił mi o tym na festynie. I jeżeli poprosi was o zgodę na to małżeństwo...

– Odłożymy sprawę. Będziemy zwlekać.

– Jak zawsze – zauważyła złośliwie. – No! No! Mazowsze, po najdłuższym życiu Janusza, musi się dostać całe, nieokrojone, Jadwidze, Augustowi, Jagiellonom. Ilu jest dzisiaj prawdziwie wielkich władców? Trzech. Cesarz Carolus, Henryk w Anglii i Walezusz we Francji. Wszyscy potężni, bo mają stałą armię i wiele złota. Nie chcecie być czwartym? O Dio! Móc i nie chcieć? Nie wierzę! I dlatego pragnę tego razem z wami, za was. Musicie mieć władzę większą niż dziś, pełny skarbiec i zaciężne wojsko. Tu krzyczą i pomstują wszyscy, a wy nie możecie nic. Niente! Niente!

– Na Boga, dość! – przerwał. – Liczne wojska zaciężne, kwitnące miasta? Tedy spróbujcie! Spróbujcie dokonać tego wszystkiego w kraju, gdzie wojna zagraża stale, a podatki ściągnąć trudno. Gdzie w czas pokoju każdy wie wszystko od króla lepiej.

– Si. Ale aż kusi, żeby spróbować. – Ujęła nagle jego rękę. – Wasza dłoń... mocna i piękna. Może nie chce przykrócić cugli? A powinna nie tylko władać mieczem, nie tylko dawać, ale także karać i zgarniać. Si, si! Dla dynastii. W przyszłości sukcesja po Ludwiku, waszym bratanku, a także sukcesja po ostatnich Piastach śląskich i mazowieckich. Jednakże, gdyby Jadwiga została teraz księżną Mazowsza, ta ziemia byłaby już na pewno wasza i waszych wnuków. A nie pruskiego księcia czy też Wilhelma.

– Polskie prawa... – zaczął, ale przerwała mu gwałtownie:

– Dla mnie przed prawem: siła i myśl! Myśl zuchwała.

Zmęczył go widać ten spór, bo pozwolił jej mówić dalej, nie przecząc, i w końcu obiecał, że

postara się wybadać intencje Albrechta oraz Wilhelma.

– Wyślę także zaufanego na dwór Janusza – dodał. – Niech zasięgnie języka, jakie to choroby trapią młodego księcia. Czemu odwleka przyjazd do Krakowa?

– Si! – Rozchmurzyła się, poweselała. – A zaraz potem wiążące układy i ślub. Tak! Właśnie tak. Presto! Nie wolno wahać się i zwlekać. Przecież obiecaliście Jadwidze, że zostanie księżną mazowiecką?

Patrzył na jej rozjaśnione oczy, na zaróżowione policzki i nagle zapytał z odrobiną przekory w głosie:

– Jadwidze? Nie wam?



Ledwo skończyły się uroczystości z powodu zaślubin pięknej Beatrice z panem Morawcem mające świadczyć o wielkoduszności królowej, która dbała o swoje dworki niby o przybrane córki, nadeszły pomyślnie wieści z Italii: możni panowie z księstw Bari i Rossano pragnęli przybyć do Krakowa, aby złożyć powinny hołd swej nowej principessie.

– Niech przybywają! Piú presto possibile! – ucieszyła się królowa. – Będzie to widomy znak, że pragnę przejąć całe moje italskie dziedzictwo. I to natychmiast.

Alifio zauważył ostrożnie:

– Carolus nie uznaje żadnych praw spadkowych miłościwej pani. Z tego hołdu będą raczej same kłopoty. I wydatki.

– Hołd złożą nie tylko mnie, ale i naszemu synowi, jeśli Bóg da – przyszłemu królowi Polski – odparła. – Będzie więc rzeczą słuszną, żeby wydatki pokrył skarb koronny...

Nie zdały się na nic nalegania jej osobistego kanclerza ani argumenty nadwornego podskarbiego Seweryna Bonera. Rozbroiła króla – którego ostrzegał przed drażnieniem cesarza Szydłowiecki – nowiną, że znów jest przy nadziei i tym razem jest pewna narodzin drugiego syna. W końcu jej upór przełamał wszystkie przeszkody i gdy przybyli italscy panowie, Wawel gotów był na uroczyste powitanie włoskich wasali.

Królowa przyjęła ich w najpiękniejszej z sal, obok niej zajmował miejsce wielki książę litewski, królewicz Zygmunt August. Oba trony stały na podwyższeniu pod białym orłem oraz smokiem Sforzów i Italczyki ujrzeli swą principessę, a zarazem królową w całej chwale jej podwójnego władztwa. Trzej dostojnicy podchodzili kolejno i przyklękawszy wkładali złożone jak do modlitwy ręce w jej dłonie, wypowiadając słowa przysięgi na wierność. Odpowiadała im w mowie swoich ojców i tego dnia wszystko na Wawelu było włoskie: goście na ucztach, na którą, przybyły tylko dworki towarzyszące jej w podróży z Italii, Alifio, Carmignano, Pappacoda i pozostali Włosi z jej orszaku, kwieciste oracje posłów, muzycy z kapeli królowej i przywiezieni przez nią wesołkowie z Bari. Tylko po obu stronach królewicza siedzieli dostojnicy polscy jakby dla przypomnienia, że prawowitym następcą principessy w jej italskich księstwach jest August, pierworodny syn polskiego władcy Polski i Litwy.

Poeta Carmignano ułożył i odczytał okolicznościowy wiersz i nigdy jeszcze tak pięknie nie odtąńczono na Wawelu pawany, nie spożyto tak wielu południowych potraw i owoców, a także nie wznoszono okrzyków tylko na cześć królowej: „evviva la bellissima principessa Bona! Ewiva!

*

Król nie był wówczas obecny w Krakowie. Złośliwy jak zawsze Andrzej Krzycki twierdził, że w samą porę wybuchł w Gdańsku bunt pospólstwa przeciwko patrycjuszom miejskim i że król jegomość wolał dać zgodę na ścięcie przywódców niż na uroczyste powitanie lenników królowej. Tak nie było, wiedziała o tym ona sama, była jednak świadoma tego, że nie chciał się narażać Carolusowi, który po rozgromieniu wojsk francuskich pod Pawią wymusił na Walezjuszu zrzeczenie się jego praw do podbitych ziem włoskich i był teraz panem niemal całej Italii. Jako zwolenniczka oparcia się Jagiellonów na Francji nie chciała długo wierzyć ani w klęskę pod Pawią, ani w to, że Franciszek Valois został na polu bitwy wzięty do niewoli przez wojska cesarskie. Dopiero szczegółowy raport nieocenionego Dantyszka, przebywającego u boku Caroluga zmusił ją do porzucenia na razie planu zaręczyn małego Augusta z francuska królewną. Tym żywiej jednak zajęła się przygotowaniem wyprawy dla królowej Jadwigi i spotkała powracającego małżonka z pogodnym obliczem, nieco już ociężała, ale wciąż jeszcze bardzo urodziwa. O wiernopoddańczym hołdzie panów z Bari wspomniała krótko, wypytywała natomiast z wielką ciekawością o sprawy gdańskie i o jego zdrowie nadszarpnięte ostatnią wojenną wyprawą i niewygodami częstych podróży poza mury stołecznego grodu. Wydawało się wszystkim, że nadszedł wreszcie dla Wawelu okres spokoju, wolny od wszelkich zagrożeń i trosk, gdy któregoś wieczoru na zamkowy podwórzec – goniąc ostatkiem sił – wpadł konny posłaniec i omdlał na rękach nadbiegłych pacholców. Wyszedł do niego sam ochmistrz Wolski i po krótkiej naradzie z Alifiem pośpieszyli obaj do królewskich komnat. Zastali parę monarszą przy wczesnej wieczerzy i bez długich wstępów ochmistrz przekazał złą wieść, z którą przybył posłaniec:

– Najjaśniejszy panie! Księżna Anna donosi z Warszawy, że pięć dni temu zmarł nagle jej brat, ksiązę Mazowiecki Janusz.

Król wstał. Zawsze tak spokojny, wydawał się wstrząśnięty tą wieścią. Twarz Bony pobladła.

– Mój Boże, mój Boże... – odezwał się wreszcie Zygmunt. – Niedawno do nas listy słał, o wyznaczenie terminu ślubu prosił... Człek jeszcze bardzo młody, jak to się mogło stać?

– Tego nikt nie wie – przyznał Wolski – ale...

– Dokończcie – rozkazał król.

– Gонец twierdzi, że gdy odjeżdżał, już mówiło się w Warszawie o otruciu...

– Trucizna? – nie dowierzał Zygmunt. – Na mazowieckim zamku? To nie może być!

I dodał po chwili, już z gniewem:

– Sztyletem i trucizną posługiwano się często na innych dworach, nigdy u nas. Czy do

Warszawy, poza człowiekiem wysłanym przeze mnie, pojechał ktoś jeszcze? – zwrócił się do Alifia.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział burgrabia.

– Przynajmniej nikt z wawelskiego zamku, najjaśniejszy panie – dodał Wolski.

– Tedy otruty. Przez kogo? Jakie krążą wieści?

– Ten człowiek wyjechał tegoż dnia, niewiele słyszał – wyjaśniał ochmistrz. – Ale zaprzeczyć się nie da, że brat Janusza, księżę Stanisław, który zmarł niedawno, zszedł z tego świata także nagle i z niewiadomej przyczyny.

Król zmarszczył brwi.

– Same tajemnice, zagadki! A to ostatni z rodu mazowieckich Piastów! I ostatnie niepodległe księstwo nie włączone do Korony. Tedy... Jest rzeczą konieczną... Tak. Na Mazowsze pojedą moi pełnomocnicy. Rozpatrzą wszystkie dowody za i przeciw zbrodni. Przesłuchają jak najliczniejszych świadków. Nie chcę, aby jakiś cień padł na...

Umilkł, ale Bona spytała:

– Na kogo, miłościwy panie?

Odpowiedział unikając jej oczu:

– Na... osobę zmarłego księcia. Skończyłem. Jeszcze dziś zostaną wydane polecenia i rozkazy.

Królowa zaczęła iść w stronę drzwi.

– Prima di tutto trzeba powiadomić Jadwigę o tym nieszczęśliwym wypadku.

Wyszła, a za nią wysunął się Alifio. Przemierzając komnaty zamkowe kanclerz zbliżył się do swej monarchini i spytał prawie szeptem, pochyliwszy się ku niej:

– Miłościwa pani jest pewna? Ani Pappacoda, ani Marina nie wysiali nikogo...?

Zaskoczył ją tak tym pytaniem, że aż przystanąła.

– Dokąd? A... Czyście oszaleli?

– Ochmistrz Wolski jedną rzecz przemilczał. Posłaniec twierdził, że w Warszawie wymieniano nazwisko kochanicy Janusza.

– E allora?! – spytała już gniewnie. – Co mnie do tego?

Alifio rozejrzał się i zniżył głos prawie do szeptu.

– Pono działała z wyższego polecenia. Na rozkaz.

Zdziwiła się.

– Czyj rozkaz?

– Posłaniec bał się, wzdragał, ale w końcu wymienił imię.

– Czyje? Mówcie! Presto! – rozkazała zniecierpliwiona.

Odpowiedział dopiero po chwili, z wahaniem w głosie:

– Wasze, miłościwa pani.

– Coście powiedzieli? No! Nie do wiary! – krzyknęła.

– Bodajbym kłamał! – westchnął.

Ale ona już miotła się po pustej komnacie, ciskając na ziemię drobne figurki stojące na konsolach i komódkach.

– Maledizione! Zawsze ja, ja! Perché? Bo chciałam mieć wielkie królestwo, a przeszkody piętrzą się na mojej drodze? Bo wchodzę w drogę innym? Bo zamarzyłam o Mazowszu? I co z tego? I tak wszędzie opór. Resistenza. Resistenza!

Był przerażony tym wybuchem i własną niezręcznością.

– Darujcie, miłościwa pani! – błagał.

Pierwszy raz, odkąd ją znał, spojrzała na niego z pogardą.

– Darować? Wam? A ja? Jak ja przekonam króla? Noszę w łonie jego syna i ważę się na zbrodnię. Matka królów trucicielką? Giorno ferale!

Nagle zabrakło jej tchu i wyszła pospiesznie na krużganki. Szedł za nią nie wiedząc, co rzec, aby zmazać ten cień podejrzenia, który i on sam rzucił na istotę znaną mu od dawna, kiedy obje byli jeszcze dziećmi. Już miał tłumaczyć, wyjaśniać, gdy nagle zobaczył spieszącą w ich stronę wysoką i wiotką postać dziewczęcą. Jadwiga biegła krużgankami do komnat królowej i spotkawszy ją w pół drogi, rzuciła się w rozpostarte ramiona macochy. Nie mówiła nic, ale szczupłe plecy drgały od wstrząsającego nią płaczu.

Spleciona z młodką mocnym uściskiem, Bona szeptała słowa pociechy:

– Cicho, cicho! Nie płacz... Królowie nie płaczą. Nie płaczą nigdy, choć rani ich coś głęboko i okrutnie...

Z rozkazu króla na śledztwo do Warszawy pociągnęli w asyście zbrojnego orszaku: – kanclerz Szydłowiecki, arcybiskup poznański Latalski, biskup Międzyleski, zaufany prymas Jaskiego i pary królewskiej Andrzej Krzycki oraz wciąż jeszcze zatrudniony w kancelarii Latalskiego jako skryba Frycz Modrzewski. Drogi były złe, rozmokłe na skutek rześistych deszczów. Przyjechawszy do stolicy Mazowsza dygnitarze udali się na odpoczynek w wyznaczonych im komnatach warszawskiego zamku, tylko Krzycki zatrzymał Frycza i rzekł:

– Idź, popytaj ludzi. Warszawski ludek, jak słyszałem, wścibski, pyskaty. Nikt tu ciebie nie zna, spróbuj wpaść do kolegiaty, może usłyszysz jakieś plotki przy grobie, księcia Stanisława. Komisja już jutro, warto wiedzieć, co gadają o nagłym zgonie drugiego księcia.

Był wczesny wieczór, ale na placu przed zamkiem przekupki jeszcze nie zamykały kramów, przyległe wąziutkie ulice pełne były mieszczek spieszących na nabożeństwa do licznych tu kościołów. Modrzewski stanął przed kolegiatą i wahał się, czy wejść tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa, kiedy nagle jakiś starszy człek zbliżył się do niego i zapytał szeptem:

– Chcieliście, panie, zejść do krypty? Zobaczyć trumnę księcia Stanisława?

– A można? – spytał.

– Niby tak, ale odradzam wszystkim – ostrzegł tamten. – Komisja królewska zjechała już pono na zamek. A nuż przyjdą tutaj, a wy im podpadniecie? Nuż pytać zacząć: „Co wam, panie, do tych – trucizną napojonych?”

– Pewne to, że trucizną? Obaj? – zdziwił się Frycz.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– Tak mówią, ja nie jestem pewien. Raz widziałem, jak lutniści szli do księcia Janusza do jego komnat. Okrutnie lubił granie na lutni. Gęsiego szli... tuż pod murami, wszyscy w czarne płaszcze owinięci. Instrumenta mocno przyciskali do piersi. Jeden lutnię trzymał inaczej, pod płaszczem. Może właśnie to on, wtedy? Może nie trucizna to była, a pchnięcie sztyletem? Nic waćpanu nie wiadomo o lutnistach?

Frycz patrzył chwilę w pełne napięcia i oczekiwania oczy nieznajomego.

– A wy kto – spytał ostro – kościelny? Żebrak? Czy może nasłany na przeszpiegi?

Patrzył długo za tamtym, oddalającym się pośpiesznie, i zszedł sam do krypty – w której niedawno złożono ciało księcia Stanisława. Ale w podziemiach nie było tłumów, nikt nie modlił się za duszę tragicznie zmarłego...

W wielkiej sali mazowieckiego zamku komisja królewska zajęła miejsce przy stole okrytym szkarłatnym sukniem. Panom polskim towarzyszył Frycz, aby spisywać zeznania, po drugiej stronie, zasiadło czterech urzędników i dworzan książąt mazowieckich. Księżna Anna nie była obecna przy dochodzeniu i nie wezwała jeszcze wysłanników króla przed swoje oblicze.

Szydłowiecki, przesłuchując głównego świadka, najpierw przypomniał mu, że zeznaje pod przysięgą, a potem rzekł:

– Rozpowiadaliście, jak nam już doniesiono, że wszystko złe wynikło z przyczyny Katarzyny Radziejowskiej z Radziejowic, która przebywając na tutejszym dworze naraziła się na gniew księżny mazowieckiej?

– Bogiem się klnę, że tak było – oświadczył dworzanin. – Najpierw jako dworka tutejsza owa Katarzyna zaczęła zabiegać o względy księcia Stanisława.

– Opowiedzcie wszystko po kolei. Jak było – wtrącił się Latański.

– Powiem całutką prawdę. Tedy, widząc co się święci, księżna Anna przegnała Radziejowską i nakłoniła Stanisława do zerwania. Wojewodzianką, owszem, wyjechała do Radziejowic, ale zaraz w ślad za nią pojechał tam książę Janusz. Nie pojmował tego nikt, ale widać opętała obu braci. Bo piękna była, to tak. Radziejowska już pewna, że książę Janusz bardziej ją miłuje od Stanisława, który we wszystkim ulegał siostrze, a żadna książęcej korony, zaczęła przemyśliwać nad tym, jak by się pozbyć Stanisława. Nie zmyśliłem tego, tak gadali wszyscy. Właśnie zdarzyło się, że książę Janusz zaprosił brata do myśliwskiego zameczku w Błoniu. Okrutnie obaj lubili polować...

– Czy tam była także i wojewodzianka? – spytał Szydłowiecki.

– A jakże. Była. I musiała wsypać Stanisławowi trucizny do jadła, bo służba mówiła, że zaraz po wieczerzy zaniemógł, a wkrótce potem zmarł wijąc się w okrutnych boleściach.

– Książę Janusz o zbrodni wiedział? Pytał medyków?

– Pytał. Jeden z nich tak, drugi siak, jednakże pewnego nie było nic. Ale że Radziejowska chciwa była, na klejnoty łakoma, książę Janusz do niej w jakiś czas potem ochłódł. I kiedy

zaczęła go molestować, żeby jej darował ów zameczek w Błoniu, w którym wieczierzali, najpierw zwlekał, a potem poszedł po radę do siostry. Księżna Anna nuż go wtedy usilnie prosić, aby kochanicę przepędził i jej samej zamiast tamtej Błonie oddał. Książę siostrze nie odmówił i z tej to przyczyny zrodziła się obraza i nienawiść Radziejowskiej. To wszystko, com słyszał.

– I to ona otruła księcia Janusza?

Dworzanin ręce rozłożył.

– Bogiem a prawdą, nie wiem. Nie było mnie wtedy na zamku. W przerwie, po przesłuchaniu kilku świadków, kanclerz Szydłowiecki zapytał panów zebranych w niewielkiej izbie:

– Tedy jak myślicie? Otruty czy nie?

– Pigularz z Płocka przyznał się do sprzedawania trutek do Radziejowic – przypomniał Frycz.

– Trutek na szczury – dodał Międzyleski.

– Tak, ale gorąco prosił o wstawiennictwo królowej Bony – przypomniał Szydłowiecki. – Ciekawe, czemu właśnie królowej?

– Bo on także z Italii rodem. I chyba stąd plotki – odrzekł Frycz.

– Ludzie gadają, że wojewodzianka „obu braci powolną trucizną zabiła, żeby się królowi, gdy po zmarłych weźmie spadek, zasłużyć” – zauważył biskup Latański.

– Mówią „królowi”, a myślą „królowej” – wtrącił Szydłowiecki.

– Zważcie jednak, że tutejsi dworzanie nie kryją: książę Janusz rozwiążte życie pędził, pił ostatnio bez żadnego pomiarkowania, a płuca miał bardzo słabe... – próbował dociec prawdy Krzycki.

– Obaczym, co powie medyk – przerwał mu kanclerz. – A także dworzanin samego księcia Janusza.

Po przerwie Szydłowiecki nakazał następnemu świadkowi:

– Mówcie wszystko, co wiecie.

– Bywałem zawdy z księciem w Radziejowicach – rzekł tamten. – I widywałem nie raz i nie dwa w tym pańskim dworze powiernicę wojewodzianki, niejaką Kliszewską. To ona, gadają, przez Radziejowską namówiona najęła zabójców. Dwóch ich było: Piotr i Maciej, słudzy z Radziejowic. Przekupieni – podali pono księciu truciznę w kielichu. Książę zasłabł, ale ocknąwszy się zaraz zarządził przesłuchanie. Podejrzanie padło na Piotra. Ów, schwytany i osadzony w więzy, całą prawdę wyśpiewał. Ot, jak.

– Pojmanie i badanie wszystkich obwinionych odbyło się jeszcze za życia księcia Janusza? – spytał Międzyleski.

– Na jego rozkaz. Tak właśnie było, nie inaczej. Bo nie od razu pomarł, jakiś czas ciężko chorzał. Co wstał z łoża, znowu z nóg leciał. Wołał medyków, ale z dnia na dzień był coraz chudszy, słabszy, aż w końcu z życiem się rozstał. Wychodzi na to, że zginął od trucizny przez zdradę sług swoich. Niby to najbliższych...

Wieczorem, trzeciego dnia przesłuchań, kiedy już odprawiono ostatniego świadka, kanclerz

Szydłowiecki spytał:

– A mój medyk? Czy znalazł ślady otrucia w ciele zmarłego księcia?

Odpowiedział Frycz, przeglądając papiery:

– Stwierdził na piśmie, że nie znalazł.

– Ale, jeśli nie otruty, czemu tak nagle rozstał się ze światem? – dziwił się Krzycki.

– Kto odgadnie? – mruknął kanclerz i po chwili dodał: – Z pogrzebem trzeba będzie poczekać na przyjazd najjaśniejszego pana. Niech sam wyda wyrok.

– Ciekawe, co na to wszystko powie król? – westchnął biskup Latański.

– Zwłaszcza królowa – zaśmiał się drwiąco Krzycki, ale Międzyzyleski spojrzał na niego z takim wyrzutem, że nowo mianowany dostojnik kościelny, który tyle zawdzięczał wstawiennictwu Bony, nie wypowiedział już ani słowa do końca narady prześwietnej komisji.

W kilka dni później na zamku wawelskim doszło jednak do spięcia które przewidywał biskup-poeta. Królowa, będąc sam na sam z małżonkiem, nie starała się nawet ukryć miotającego ją gniewu. Stojąc naprzeciwko króla, mówiła głosem przechodzącym niekiedy w krzyk:

– Nie! I jeszcze raz nie! Teraz już nie proszę, jeno żądam. Nakażcie surowe śledztwo w sprawie rozszerzanych pogłosek o otruciu księcia Janusza. Kto to czyni? Po co? Komisja królewska w Warszawie donosi, że żadnego dowodu okazać by nie mogła. Kto mówi inaczej – kłamca! Mentitore! Dalej – ogłosicie powszechnie, że księżę nie żadną diabelską sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli Boga ciężko chory ze świata tego odszedł. I ancola... Si, ancora: pojedziemy oboje na pogrzeb.

– Wy? Na pogrzeb? W takim stanie? – zdumiał się król.

– Nie urodzę przed listopadem, a teraz dopiero sierpień.

– Wszelako trudy podróży...

– Zniosę wszystkie – zapewniała żarliwie. – Jestem silniejsza, niż myślicie.

– Na to wygląda – mruknął i dodał po chwili: – Wasza oracja skończona?

– Nie! – krzyknęła. – Nie dopuście także do poślubienia Anny przez któregoś z Hohenzollernów. Księstwo mazowieckie przypadnie naszemu synowi.

– Odmówię bratu Albrechta i jemu samemu, tak – odparł spokojnie. – Ale Mazowsze... dzielnica piastowska przynależy wedle prawa do Korony.

– Prawa dyktujecie wy – nalegała.

– Jednakże Mazowszanie będą bronili swej odrębności. Poprą roszczenia księżnej Anny która tytułuje się już Dux Masoviae i sama chce rządzić w Warszawie.

– Sama? – drwiła. – Uczynią to razem z nią Hohenzollerny.

– Tedy widzicie – przytaknął i nagle podniósł głos, co czynił rzadko: – Dlatego z naszej strony żadnej prywaty, żadnego łamania dawnych umów! Powinno i musi zwyciężyć prawo. Słuszne, sprawiedliwe. Nie mogę uczynić nic lepszego, niż w grudniu zwołać sejm mazowiecki do Warszawy. Niech wybiorą na nim, jak insze dzielnice, swoich posłów na sejm walny. Na

wspólne obrady w Piotrkowie.

– Ależ... jeżeli ich sejm to uczyni, tym samym uzna przynależność Mazowsza do Korony – przeraziła się Bona.

– Nie przeczę – przyznał.

– A Zygmunt August? A plan oddania tego księstwa jemu? Dynastii Jagiellonów? – mówiła coraz szybciej, głośniej.

– To był wasz plan, nie mój – odparł. – I dlatego jeszcze teraz, w sierpniu, pojedę do Warszawy... sam.

– Jak to? – Patrzyła na niego nie rozumiejąc.

– Powiedziałem: sam!

Odwrócił się i wyszedł z komnaty. Nie mógł już słyszeć, jak Bona powtarzała w furii:

– Sam? Beze mnie? Oszukana! Okradziona! O Dio! Dio! Jest tam kto?

Ukryte w ścianie drzwi otworzyły się natychmiast i Marina podbiegła do królowej, która nie przestawała złorzeczyć:

– Oszukana, słyszysz! Duszę się! Brak mi tchu. Presto! Rozepnij stanik. Szybciej! Rozerwij tu, pod szyją!

– Miłościwa pani zabija siebie – szepnęła dworka.

– Nie! To on zabija mnie! Santa Madonna! Mag mówił prawdę: na Wawelu są dwa smoki, aż dwa. Nie jeden, Sforzów.

– Dla dobra dziecięcia, które nosicie... – błagała Marina.

– Nawet nie w pysku, jak smok, tylko w łonie – szydziła. – Maledizione! Znowu sama. Sola! Solitaria...

Nagle osłabła i jej głos zniżył się do szeptu.

– A zresztą... Daj wody. Chcę pić.

Marina napełniła srebrny kubek i podała go królowej. Ale ta, zamiast pić, zaczęła wpatrywać się bezmyślnie w trzymany w ręku pucharek i wreszcie rzekła ze zdziwieniem w głosie:

– To tak wygląda pierwsza wielka przegrana? Drży ręka... Rozlewa się woda... I nic? Nic? Żyje się dalej?

*

Od tego dnia pokazywała się rzadziej dworakom i spędzała wiele godzin sama, zatopiona w lekturze wierszy włoskich poetów lub też w kartkowaniu dzieł Mikołaja Machiavella. Przegrała jedną bitwę, ale, jak donosiła Pappacodzie Marina, szykowała się do nowej, innej.

– Modli się do patrona Bari? – pytał.

– Si. Modli się żarliwiej niż dawniej, ale czy do niego? Nie wiem. O co, także nie wiem... Dopytuje się każdego ranka, czy przybył posłaniec z Warszawy. Może zależy jej tak bardzo na zdobyciu Mazowsza dla Augusta? Może liczy na ustępstwa ze strony króla?

Ale było inaczej, niż przypuszczała, bo któregoś dnia królowa wezwała obu Italczyków,

podskarbiego Carmignano oraz Pappacodę, i kazała się zaprowadzić do zamkowych piwnic. Z Polaków towarzyszył jej tylko ochmistrz Wolski, ale i on nie usłyszał z jej ust żadnych wyjaśnień. Po południu poleciła odnaleźć w mieście i sprowadzić na zamek żupnika krakowskiego Bonera. Przyjęła go natychmiast, gdy pokojowiec zaanonsował:

– Wielkorządca krakowski pan Seweryn Boner.

W luźnej szacie kryjącej jej stan wyglądała jeszcze tak pięknie, że bez protestu przyjęła hołd oddany urodzie przyszłej matki, po czym rzekła z uśmiechem:

– Niezawodny in permanenza. Zawsze! Ilekroć do was jako do królewskiego bankiera prośby zanoszę, wstyd mi, że obiecana kasztelania do dziś nie w waszych rękach.

– Mnie wystarcza, miłościwa pani, mój tytuł krakowskiego żupnika – odparł hardo.

– Wiem, wiem. Dochodów własnych macie tyle, że i na pożyczki starcza. Cóż... Nie będę taić. Obejrzałam dzisiaj dokładnie pomieszczenia, gdzie mieści się skarbiec. Sklepienia tam mocne.

– Tak więc królewski skarbiec całkiem bezpieczny – zażartował.

– O si! I strażników, za darmo jedzących nasz chleb, ma dosyć. Incredibile! Po co ich tylu, skoro skarbiec pusty? Wciąż jeszcze pusty.

– Jeszcze? – powtórzył. – Miłościwa pani ma jakąś nadzieję?

– O Dio! Gdybym jej nie miała, siedziałabym na tronie zgoła niepotrzebnie. Jak owi strażnicy na swoich stołkach. I jak oni... ziewała z nudów. Ale mnie w Italii nauczono liczyć. Tu także nie będę płaciła za nic. Nikomu.

– Nie jestem tego taki pewien – rzekł po namyśle. – Polska to nie księstwo Bari.

– Och! Wciąż słyszę, że było małe i nie tak bogate jak Rzeczpospolita. Bogata! Bogata W co? W ziemię, które rozdali wielmożom poprzedni władcy? Albo może w złoto, którym płaci się żołd? Ale na zaciężne wojsko nie ma dukatów, więc i zaciężnych wciąż brak. Za to coraz więcej darmozjadów pilnujących pustego skarbcza. Ale basta! Basta!

Przynajmniej mój przestanie być pusty. Uzyskam od króla zgodę na wykup królewszczyzn w Koronie i w Wielkim Księstwie.

– Niesłychane! – zdołał wyszeptać.

– A jednak. Podobno na Litwie jest wiele ziem nieuprawnych, ugorów i dóbr koronnych nie wiadomo w czyich rękach. Teraz część się wykupi, część odbierze. A tak! Właśnie tak. Trzeba w całej Rzeczypospolitej przebadać dowody władania ziemią z dawnych nadań królewskich.

Milczał długo, zanim rzekł:

– Plany słuszne, rzecz postulowana przez część szlachty od lat, lecz... Na Boga! Sprawa... drażliwa wielce...

– Si. Wiem. Kto dochodzi swego, niemiły innym. Ale wreszcie może znajdzie się ktoś w tym kraju – gdzie podobno każdy umie rozpoznać chwast, ale nikomu nie chce się schylić, by go zerwać – a tak, tak, znajdzie się ktoś, kto to uczyni. I, per Bacco, będzie miał z tego pieniądze. Duże. Dlatego myślę, że nie spotkam się z odmową, prosząc was dziś o pożyczanie mi na razie

sum... małych.

Boner poruszył się niespokojnie.

– Śmiem przypomnieć, że najjaśniejsza pani zamówiła niedawno we Flandrii bardzo kosztowne tkaniny.

– Wykupię je później. Teraz potrzebne mi dukaty na sprawę ważniejszą. Kiedy sukcesja Augusta na Mazowszu niepewna, trzeba baczniejszą uwagę zwrócić na Czechy i Węgry. Jeżeli już niedługo urodzi się nam drugi syn, a to będzie na pewno królewicz, si, o si, jego przeznaczymy na następcę po naszym bratanku Ludwiku.

– A jeśli na świat przyjdzie... królowa?

– Wtedy... Wtedy August powinien zostać dziedzicznym władcą nie tylko Korony i Litwy, ale też wszystkich innych obszarów rządzonych przez królów z rodu Jagiellonów.

– Ależ Ludwik Węgierski – protestował Boner – choć słabego charakteru władca, liczy dopiero lat dwadzieścia i cieszy się niezgorszym zdrowiem.

Zdziwiła się.

– E allora? Książę mazowiecki zmarł także w młodych latach. Subito. A Ludwik ucztuje i bawi się, jak tamten, ponad miarę.

Starał się wykręcić żartem od znaczącej odpowiedzi.

– Widzę, że najjaśniejszej pani dobrze znane nasze przysłowie: „Jeszcze niedźwiedz w lesie, a już skórą kupczą”.

– Och! Zaraz kupczą! Kupczą! Może więc nieprawda, że o tym węgierskim Jagiellonie krążą ostatnio bardzo dziwne wieści?

– To prawda, krążą, ale...

– Żadnego „ale”! Madonna mia! Kto chce, wypisuje sobie tam nadania, a on je podobno zatwierdza nawet nie czytając. Nie daje za to ani dukata na umocnienie zamków granicznych, choć Turcy grożą mu wojną. Chyba szalony? Kupuje jedwabie, których potem na oczy nie ogląda lub owija się w nie na wpół nagi. Do jego komnat wchodzi każdy, kto zechce. I bene. Tym łatwiej wejdzie tam ktoś z naszych ludzi na przespiesi.

– Czy najjaśniejsza pani pamięta – zapytał – że Ludwik ma za doradcę i opiekuna margrabiego Jerzego? Rodzonego brata księcia Albrechta?

– Tego deprawatora? O Dio! Czy pamiętam! Hohenzollernów widzę nawet we snach. Są wszędzie! Na Pomorzu, w Czechach i na Węgrzech! W Budzie panoszy się margraf Jerzy, a w Warszawie i Albrecht, i Wilhelm żenić się chcą z Anną Mazowiecką.

Boner westchnął.

– Król ma słabość do Albrechta i jego braci przez wzgląd na ich nieboszczkę matkę – przypomniał, ale tą uwagą rozgniewał ją tylko.

– I cóż z tego, że była jego siostrą? Czy ci jego siostrzeńcy dobro Jagiellonów mają na względzie? Dbają jedynie o sukcesję dynastii własnej, pruskiej. To, tak. Ale, Deo gratias, nie oni mają smoka w herbie, tylko ja! Dlatego wysłę zaufanych ludzi na dwór Ludwika.

– Miłościwy pan lada dzień wraca z Mazowsza. Warto by z tym poczekać na jego powrót – próbował doradzać.

– Nie! Nie! Wyślę zaraz. Do Budy, Pragi, a także do Rzymu.

– Do papieża? – zdziwił się.

– A czyż kościół nie jest narażony na Śląsku i w Czechach na poważne szkody? – spytała. – Margrabiowie, bracia Albrechta, jak i on sam, od niedawna wyznawcy Lutra. Santa Madonna! Teraz to nasz obowiązek ustrzec przed heretykami oba trony: węgierski i czeski. Cieszyłabym się wielce, gdyby w tym była także jakaś zasługa... wasza.

– Miłościwa pani... – zaczął i umilkł.

– Potrzebne mi złoto na zbożny cel – powiedziała po chwili, przyglądając mu się bacznie – ale nie usłyszałam odpowiedzi. Więc tak?

Próbował jeszcze zyskać na czasie.

– Któż z jej poddanych śmiałyby powiedzieć: nie? Odmówić najjaśniejszej pani?

– To znaczy: tak? Grazie. Umieć cenić wiernych, oddanych przyjaciół...

Wyciągnęła rękę, którą bankier ucałował. Czekał jeszcze na dalsze wyjaśnienia, na podanie wysokości żądanych sum, ale Bona milczała. Audiencja dobiegła końca.

Jakby wstąpiły w nią nowe siły, bo wkrótce potem poprosiła na poufną naradę marszałka Kmitę. Ale, ku jej niezadowoleniu, ten zjawił się nie sam, o czym oznajmiła jej Marina.

– Miłościwa pani, jest z nim mąż młody jeszcze, wielkiej urody.

– Wiesz kto? – Była zdumiona nie mniej od dworki.

– Nie mówił. Nie wiem.

Bona zmarszczyła brwi.

– Insolente! Ale proś, proś.

Marszałek, skłoniwszy się, wyjaśnił już od progu:

– Ośmieliłem się stawić na rozkaz miłościwej pani z krewniakiem moim, kasztelanem Stanisławem Odrowążem ze Sprowy. To główny świadek w sporze z Tarnowskim o moje dobra. Może zaświadczyć, że choć sąd wydał znów wyrok na moją korzyść, pyszny Leliwita ustąpić nie chce.

– O sławnej nienawiści Tarnowskiego i Kmity głośno już i poza granicami naszego kraju – odparła królowa. – Obaj mężowie wielce w Polszcze zasłużeni, możni i bogaci. Ród Odrowążów stoi po stronie Kmitów?

– Po stronie słuszności, miłościwa pani. I gotów bronić sprawiedliwych praw – odparł nieproszony gość.

– Bene. Te słowa na razie za oświadczenie starczą. Dziękuję za przybycie, mości kasztelanie – odprawiła młodzieńca, a gdy wyszedł, wybuchła: – E allora? Zrozumieć trudno! Spieszno mi pomówić z wami o ważnych sprawach, a tracimy czas na oglądanie jakiegoś tam Apollina ze Sprowy.

– Miłościwa pani mówiła niedawno – tłumaczył – że dla Anny Mazowieckiej warto poszukać odpowiedniego małżonka. Tedy, zamiast słowami takiego wychwalać, pokazać chciałem.

– Oddany nam? Wasz krewniak? Si, wielce urodziwy. Ale czy Anna zechce zamiast Hohenzollerna polskiego szlachcica, choćby ten zwał się Odrowąż?

– To ród znamienity, wielce zasłużony dla dynastii – bronił swych racji Kmita. – Jakub Odrowąż załatwiał ongiś sprawę sukcesji Jagiellonów w Czechach.

– A? Jeśli tak, trzeba się będzie zastanowić nad losem tego Apollina...

– Doszły mnie wieści – dodał Kmita – że księżę Albrecht przestał zabiegać dla siebie o rękę Anny. Żeni się z Dorotą, królową duńska. Na placu został tylko Wilhelm. A sędzę, że Odrowąż zwyciężyć z nim potrafi w zapasach, którym patronuje Wenera.

Wahała się już tylko krótką chwilę.

– Bene – zgodziła się – spróbuję także i tym sposobem przy waszej pomocy, panie marszałku, walczyć o Mazowsze z Anną do końca. I zdobyć je dla Augusta, dla Jagiellonów...

Tego samego wieczoru królowa, leżąc już w łóżu, słuchała gry Anny Zarembianki. Ale choć dźwięki lutni były czyste, skinęła ręką.

– Pięknie grasz. Na dzisiaj jednak dosyć.

– Mam czytać listy?

– Po co? Ten jeden, naprawdę ważny, z Warszawy nie nadszedł. Król zbyt długo nie wraca. Zawsze daleko, kiedy ja jestem w takim stanie!

– Najjaśniejsza pani wygląda piękniej niż kiedykolwiek.

– Ale on nawet nie przysyła gońców! Nie pyta o moje zdrowie! – wybuchła. – Siedzi na Mazowszu i od tyłu miesiące rozmyśla: otruty czy nie? Waha się, czy zakończyć śledztwo i pochować trupa? Czy aby nie słuszne są roszczenia księżnej Anny? Zawsze gotów słuchać cudzych skarg, ulegać różnym doradcom! Tylko nie mnie! Nie mnie!

– Mój Boże! A na zamku, po ostatnich tak licznych audiencjach u miłościwej pani, mówią...

– Ktoś podsłuchiwał? Powtarzał? – zaniepokoiła się Bona.

– Tego nie wiem, ale słyszałam, co gadają. Pono o naszym królu wnuki nie będą mogły powiedzieć kiedyś: panował. Regnavit.

Zdziwiła się, wyglądała na zaskoczona.

– Nie będą mogły powiedzieć „regnavit”? Nie rozumiem. Tylko co?

– Regnavit – szepnęła dworka.

– Jak? Powtórz?

– Regnavit... – powiedziała, wymawiając to słowo już z trudem.

– A... Regina – królowa. Tedy regnavit – powtórzyła szeptem Bona. Zdawała się ważyć usłyszaną ocenę swojego wpływu na króla. Anna, czując się nieswojo, przypadła do jej rąk.

– Wybaczcie, najjaśniejsza pani. Wiem. Nie wolno słuchać i powtarzać głupstw, którymi bawią się dworacy, błazny i karły.

– Głupstwo? – zastanawiała się nad tym określeniem. – Mnie samej nie przyszłoby to na

myśl, ale... Per Bacco! Reginavit. To brzmi nie najgorzej. O żadnej królowej angielskiej czy francuskiej nie mówiono tak nigdy. Ancora no.

Grymas podobny do śmiechu rozchylił jej wargi. Anna nisko pochyliła głowę, ale usłyszała, zamiast nagany, tylko jedno słowo:

– Wyjdz.

*

Dwór, mimo tragicznej śmierci Janusza, bawił się w samej rzeczy powtarzaniem złośliwych plotek i dowcipami Stańczyka. Trucicielka Radziejowska zbiegła po ukaraniu jej sług. A może jest już w Krakowie? Może uczy karlicę Dosię sztuczek? Zresztą, zna je i córa italskiej principessy, której król chyba unika, skoro tak długo nie wraca? Jej łaski? Nie wykazała słusznego umiaru, obdarzając Krzyckiego tytułem eminencji. Rozdawać godności kościelne należy z większym pomiarkowaniem i wyłącznie z nakazu króla jegomości. Od wielu lat Krzycki był tylko sekretarzem królewskim i nagle został biskupem, wyjechał na przesłuchania warszawskie. Po co? Kogo miał tam osłaniać czy bronić? Czy tę, która pod pozorem wzmocnienia się przed bliskim już rozwiązaniem każe teraz przynosić do swych komnat wielkie misy pełne krwistych pomarańczy i dojrzałych, soczystych cytryn sprowadzanych z Bari? Kto to jest Odrowąż i czemu Kmita wprowadził go do królowej?

Nie mniej ważną sprawą dla italskich dworzan, i to taką, o której plotkowano najczęściej, były zabawy, muzykowanie zamkowej orkiestry i tańce pozwalające pannom olśniewać urodą, pięknym strojem i zdobywać na męża, jak Beatrice, możnego pana czy nawet dostojnika. Tymczasem na Wawelu było cicho niby w grobie i nawet słabość królowej nie mogła jej uchronić przed złośliwością pominiętych w rozdawaniu łask lub też skarconych publicznie w chwilach słynnych jej wybuchów gniewu.

Nieświadoma tych zjadliwych komentarzy, które Pappacoda, będąc pominiętym przy mianowaniu nowego burgrabiego, wołał raczej powtarzać innym niż swej pani, Bona wsparta na ramieniu Alifia przemierzała godzinami zamkowe krużganki.

– Przechadzać się każą. Głupi lekarze! – mówiła gniewnie. – Chodzeniem nie wychodzę syna. A tak nam potrzebny w tym okropnym roku dwudziestym szóstym! Wszystkie nieszczęścia naraz: śmierć Janusza, najazd turecki na Węgry. Niechby przynajmniej była ta pociecha – drugi syn.

– Astrolog nadworny... – zaczął Alifio.

– Nie wspominajcie o nim! To głupiec! Są jakieś wieści z Budy?

– Niestety, Turcy podeszli aż pod Mohacz. Jednakże zgadnąć trudno, czy król Ludwik zechce im stawić czoło u stóp tej twierdzy, w otwartym polu, czy też zamknie się w murach i zaniesie się na bardzo długie oblężenie?

– Nie znam się na wojowaniu. I czasem tego żałuję. Może mogłabym służyć radą królowi...

Milczał, wice obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Wiem, o czym myślicie: że on tego nie żałuje. Czy nie tak?

– Och, miłościwa pani... – próbował zaprzeczyć.

– Nie kłamcie, bo robicie to źle – przerwała. – Tedy prośmy Boga już tylko o jedno: żeby jak najprędzej powrócił z Mazowsza. Postara się chyba być obecny przy urodzinach drugiego syna?

Ale i te rachuby zawiodły. Król powrócił z Mazowsza już po tym dniu, kiedy Bona umęczona wielogodzinnymi bólami porodu otworzyła oczy i spytała szeptem:

– Princeps?

A ponieważ stojący przy łożu medycy milczeli, z trudem uniosła głowę i powtórzyła głośniej:

– Królewicz?

Anna, trzymająca białą kukielkę w ręku, podeszła z dzieckiem do łożnicy – Presto! Presto! – nalegała królowa. – Syn?

– Bellissima principessa – odważyła się odpowiedzieć dworka. Wysiłkiem woli Bona podniosła głowę jeszcze wyżej i spojrzała na prezentowane jej dziecko.

– Znowu? – spytała z niedowierzaniem. – Czwarta?

Wszyscy milczeli, ale w tejże chwili ciszę przerwał donośny krzyk niemowlęcia.

– Uciszyć! – rozkazała opadając na poduszki. – I zabrać to stąd! precz! Precz! Chcę być sama. Pomyśleć w spokoju... w spokoju... W zupełnym spokoju...

I tym razem król przyjął po powrocie wiadomość o nowych narodzinach bez słowa wyrzutu, zgodził się bez protestu na wybrane przez małżonkę imię Katarzyna i od razu przeszedł do sprawy dla niego najważniejszej: to nie on zwlekał z pogrzebem, tylko Anna Mazowiecka i tamtejsi dygnitarze, pragnący widzieć ją władczynią niezależnego księstwa.

– Dux Masoviae? – zadrwiła.

– Tedy już wiecie. Dux, nawet nie ducissa. I dopiero kiedym przyrzekł szlachcie, że zachowam wszystkie ich prawa oraz przywileje, złożyli mi hołd, a dla Anny wyprosili Dwór Mały na zamku aż do zamęścia i dobra wokół Czerska i Warszawy. Wtedy nareszcie księżę Janusz został pochowany i spoczął w podziemiach kolegiaty obok swojego brata.

Królowa, już w pełni sił po ostatnim porodzie, próbowała jeszcze walczyć o oddanie tej dzielnicy Augustowi, zamiast wcielać ją do Korony, tedy nie powstrzymała się od uwagi:

– Ale jedno pewne: ostatnia księżna mazowiecka nie powinna poślubić żadnego z książąt obcej krwi.

– Już to słyszałem.

– Zwłaszcza Hohenzollerna. Tedy... Czy nie byłoby dobrze jak najprędzej znaleźć dla niej odpowiedniego małżonka?

– Ba! – roześmiał się król. – Jej upór tylko trochę mniejszy od waszego.

– Ale może potrafię więcej? Poczyniłam już nawet pewne kroki...

– Wy? – zdziwił się. – W tak trudnej sprawie?

– Znalazłam kogoś, kto mógłby zdobyć względy tej niezbyt urodziwej niewiasty. Myślę o

kasztelanie Stanisławie Odrowążu. Młodszy od niej, piękny i bogaty.

Król zachnął się niecierpliwie.

– Ma do wyboru prócz obcych książąt wielu kniaziów litewskich, ale wymiarkowałem, że woli w stanie panieńskim trwać aż do końca i coś znaczyć, choćby w części warszawskiego zamku.

– Ona, ale nie ja – odparła gniewnie Bona. – Nie zniosę, aby ktoś rządził częścią Mazowsza. Jeśli jest tak, jak mówicie, trzeba tym bardziej odebrać jej prawa do dóbr mazowieckich przez wydanie za mąż za Odrowąża.

– Nawet na niego nie spojrzysz – mruknął król. – A zresztą, czy on zdoła ją zdobyć? Czy potrafi?

Przerwała mu śmiechem.

– A serce? A jego wielka uroda? Może się przecież rozmiłować w tym młodzieńcu...

– Widzę – rzekł – że myślicie zawczasu o wszystkim. I nie ustępujecie w niczym.

– Santa Madonna! – odparła. – I to was dziwi? Przecie mówiliście o mnie sami: „kanclerska głowa”. Zwaliście nawet „polską Junoną”.

Przyznał niechętnie:

– Nosicie szaty niewieście, ale to prawda, że nudzą was białogłowskie sprawy. Nawet miłowanie... – dodał po chwili z żalem.

– Incredible! To ma być wyrzut czy skarga? – błysnęła oczami. – W ciągu siedmiu lat urodziłam wam aż pięcioro dzieci, a szóste...

Zygmunt zbliżył się do jej fotela.

– Szóste? – powtórzył.

Uśmiechnęła się jak dawniej, zalotnie, kusząco.

– Smok Sforzów wciąż jeszcze trzyma dziecię w pysku – szepnęła.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Przypomnę wam te słowa, kiedy zwalczyacie chorobę – rzekł z naciskiem.

– Och! – roześmiała się. – Cóż to za choroba? Niewieści gniew?

Przez chwilę patrzyli na siebie i król pierwszy przerwał to milczenie.

– Zawsze czemuś nierada, a pożądana zawsze – rzekł.

– Chciałabym – odparła nie spuszczać oczu – być dla was ponad wszelkie pochwały. Io sola. Jedna. Jedyna. Caro mio...

Tym razem nieprędko opuścił komnatę królowej.

*

Sala rady królewskiej napełniała się z wolna dostojnikami i doradcami Zygmunta. Obecni byli arcybiskup Łaski, biskupi Latański, Międzyleski i Krzycki, marszałek Kmita, a wreszcie najznacniejsi: wielki kanclerz koronny Szydłowiecki, podkanclerzy Tomicki, hetman litewski Konstanty Ostrogski i Tarnowski. Ku zdziwieniu panów król nie zjawił się na obrady sam, ale w

towarzystwie Bony ubranej na czarno, i nie zasiadł na swym zwykłym miejscu, tylko stojąc oznajmił:

– Zebraliśmy się tutaj, aby pomówić o nowym nieszczęściu, które na nas spadło. Wiadomo już, że Turcy rozbili czesko-węgierskie hufce pod Mohaczem. Ale do niedawna był jeszcze cień nadziei, że bratanek nasz uszedł z pola walki, że ciężko ranny został, jak mówiono, dobrze ukryty przez swoich. Wszelako dziś... Nadeszła wieść już pewna, że Ludwik, król Czech i Węgier, na polu bitwy pod Mohaczem sławnie poległ trupem.

Nastąpiła chwila milczenia, wszyscy pochylili głowy.

– Jutro prymas odprawi w katedrze uroczyste nabożeństwo za duszę tego młodzieniaszka, obrońcy chrześcijańskiej wiary. Straszno pomyśleć, że Turcy weszli już do Budy, wyrznęli załogę i spalili miasto.

Tarnowski nie zdzierzył i dodał:

– Uprowadzili też wielki jasyr! Droga na północ i zachód stoi teraz przed nimi otworem.

– Spraw do rozważenia jest tedy kilka. – Król usiadł, a za nim inni.

– Sukcesja czesko-węgierska po zabitym bratanku naszym Jagiellonie. Powstrzymanie pochodu niewiernych i wreszcie układy z Habsburgami, którzy uważają się także za sukcesorów Czech i Węgier.

– Bałabym się mniej Turka niż Habsburgów – wtrąciła królowa.

– Ja zaś przeciwnie – nachmurzył się Tarnowski. – Turek to nasz wróg najgroźniejszy.

– Ależ cesarz Karol usiłuje na zachodzie osłabić do szczętu Francję i Italię, a jego bratu Ferdynandowi Wiedeń przestał wystarczać – upierała się Bona. – Pcha się na południowy wschód i już widzi się panem Czech i Węgier.

– Jest mężem siostry Ludwika, Jagiellonki – przypomniał Szydłowiecki.

– Tedy najpierw sukcesja po moim bratanku – zwrócił się król do arcybiskupa. – Co myślicie o tym, Wasza Eminencjo?

– My, poddani Waszej Królewskiej Mości – odpowiedział – pragniemy gorąco, aby posiadał oba te królestwa z nami graniczące. Wszelako rozważyć trzeba, czy starczy nam sił i dukatów, aby podźwignąć z ruiny spaloną Budę i kraj obrócony przez Turków w perzynę? Mniej trudne wydaje się utrzymanie Jagiellonów na tronie czeskim. Ale... wojska Ferdynanda nie będą chyba czekać, aż ruszymy my.

– Tak więc, próbując zająć Czechy i Węgry – wtrącił się znów Tarnowski – Wasza Królewska Mość będzie zmuszony walczyć na dwie strony: z półksiężycem i całą potęgą habsburską.

– Ale zjednoczenie Czech z Polską mogłoby pozwolić na powrót do Korony reszty księstw śląskich, piastowskich. Gotowam nawet oddać za to Habsburgom italskie księstwo Bari. Osłodziłoby to im gorzką pigułkę – nie dawała za wygraną królowa.

– Kiedy mogą, w myśl umów wiedeńskich z 1515 roku, dziedziczyć po Ludwiku, nie zadowolą się byle jaką wymianą! – zniecierpliwiał się Szydłowiecki.

– Byle jaką? – spytała dotknięta.

– Darujcie, miłościwa pani, lecz sprawa jest znacznie trudniejsza niż zrzeczenie się księstwa Bari. Dlatego i radzić warto nad nią... dłużej.

Hetman Ostrogski przytaknął:

– Klęskę mohacką wykorzystać gotowi i Tatarzy. Dla nas wdać się teraz w wojnę z Turcją, to znaczy pogodzić się z pustoszeniem ziem wielkiego księstwa i uprowadzaniem jasyru przez ordy tatarskie.

Król próbował podjąć decyzję, wysłuchawszy po kolei głosów wszystkich obecnych.

– Zabiegać teraz siłą o dziedzictwo po bratanku – rzekł – to, jak widać, wojna z Habsburgami, Turcją i Tatarami. Tedy przyjdzie chyba czekać na zaproszenie na tron od samych Czechów i Węgrów.

A Tomicki dorzucił:

– Co mogą uczynić i uczynić powinni, jeśli zrozumieją, że decydują teraz o losie środkowej Europy. Grozi jej po Mohaczu albo niewola turecka, albo władztwo niemieckie, i to może na długo.

– Trzeba posłać tam zaufanych posłów. Niech zasięgną języka – doradzał Krzycki.

Zygmunt zwrócił się do milczącego dotychczas Kmity.

– Wasze zdanie, mości marszałku?

– Ja popieram plany królowej – odważył się przyznać. – Ani Habsburgów w Budzie, ani w Czechach. Byłoby także z korzyścią odzyskać Śląsk...

Królowi było już jednak pilno do zakończenia narady.

– Tedy dziękuję wszystkim – rzekł – za wyrażone sądy i uwagi. Wyślemy pojutrze zaufanych posłów, a także listy. Do Pragi oraz do Budy.

– Przez chwiejność i zwłokę – usiłowała jeszcze protestować Bona – narazić się możemy na przegraną.

– Habsburgowie bez walki nie zrezygnują z niczego – odparł Zygmunt. – Na razie jedno więc czynić wypada: jak najdłużej odwlekać zhołdowanie Śląska przez nowego króla Czech. Jeżeli nim zostanie król Ferdynand.

– A nie wy? – nalegała.

– Jak ze wszystkiego widać, którym, w samej rzeczy, nie zostanę ja – przyznał.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Zygmunt wstał i panowie, skłoniwszy się ich królewskim gościom, zaczęli się rozchodzić w milczeniu. Została w wielkiej sali sama i jej smukłe palce poczęły drzeć w strzępy koronkową chusteczkę. Ostatni upadł na posadzkę skrawek z wyhaftowanym srebrną nicią smokiem Sforzów.

Cały swój gniew wyładowała jednak dopiero za chwilę, ciskając w swojej komnacie wszystkim, co jej wpadło pod rękę. Pappacoda w milczeniu podnosił cenniejsze, nie roztrzaskane wazy i pucharki.

– Czekać! Czekać! – krzyczała. – Ancora! Aż przyjdą inni i wyrwą nam z rąk dwa złote

jabłka! Ale basta! Kogo z oddanych nam ludzi król wyśle teraz w poselstwie do Budy?

– Może Krzyckiego?

– Zręczny i pewny. Ale Wiedeń bliżej i Habsburgowie mogą być szybsi.

– Są tam już przecie od niedawna wysłannicy miłościwej pani – przypomniał.

– Dobrze i to. Santa Madonna! Gdyby nie złoto dane nam wtedy przez Bonera... Zostało jeszcze dużo tych jego dukatów?

– To zależy, na co byłyby teraz potrzebne?

– Powiedzmy na odbudowę Budy. To znaczy... na taką obietnicę daną Węgrom.

Pappacoda westchnął.

– Miłościwa pani! Moglibyśmy z tego, co zostało, odbudować zameczek myśliwski w Niepołomicach, gdyby się spalił od pioruna. A może jeszcze...

– Dosyć! – przerwała. – Bez głupstw, od tego jest Stańczyk. Wybadacie, możliwie jak najprędzej, czy to prawda, że kanclerz Szydłowiecki bierze dukaty od Habsburgów.

– A jeżeli bierze? – spytał.

– Horrendum! – wybuchła, ale po chwili dodała spokojniej: – Dowiedcie się także, kto w kancelarii królewskiej układa listy pisane w języku czeskim. I sprowadzicie tego właśnie sekretarza do mnie jeszcze dziś, przed wieczerzą.

Skłonił się i wyszedł, ale zaraz za progiem zderzył się ze stojącą pod drzwiami Mariną.

– Szaleje? – spytała.

– Jak zawsze, kiedy rzecz idzie nie po jej myśli. Ale jest i coś nowego. Gotowa odstąpić Habsburgom Bari. W zamian za czeski Śląsk.

– Dziedzictwo Sforzów? Bari? – nie dowierzała dworka.

– Nie do pojęcia, ale tak. Nasze Bari! – potwierdził.

Sprowadzony wieczorem sekretarz królewski był rodowitym Czechem, mężem już w sile wieku, który należał do rycerskiego pocztu Zygmunta jeszcze przed jego wyniesieniem na tron, kiedy to królewicz przebywał lat parę u swego brata Władysława, króla Czech i Węgier. Pappacoda twierdził, że posiadając do dziś wiele krewnych i rozległe włości wokół zamku Auders, mógłby dostarczyć królowej ważnych nowin.

– Świadkiem jestem – stwierdził po pierwszych pytaniach Jakub Auderski z Audersu – że król już wtedy w Pradze ciekaw był wielce planów nowych budowli wznoszonych w Czechach przez włoskich mistrzów i mogę zaświadczyć, że i mój zamek w Krasnym Dworze...

– Mnie obchodzą nie tamte sprawy – przerwała – tylko bliższe. Czy to prawda, że bratanek nasz, Król Ludwik, słuchał we wszystkim Jerzego Hohenzollerna?

– Mówiłem już o tym kiedyś kanclerzowi Alifio – przyznał pan na Audersie. – Margrabia tak wiele mógł u swego wychowanka, że ten zgodził się nawet scedować na niego prawa do części Śląska. Kiedym przebywał przed rokiem w Pradze, słyszałem, że podpisał już nadanie Jerzemu obu księstw: opolskiego i raciborskiego.

– A co słyszeliście ostatnio?

– Że Ferdynand uzyskał zgodę cesarskiego brata na zgłoszenie roszczeń do spadku po Ludwiku. Wiedeń zgłosić ma lada dzień jego kandydaturę na króla Czech i...

– A ostrzegałam! – przerwała mu Bona. – Trzeba było zaraz po Mohaczu zgłosić i naszą. O Dio! Tedy Czechy dla Jagiellonów jakby stracone?

– Mam dopiero pisać w tej sprawie listy, miłościwa pani – odparł wymijająco.

– Bene. Ale pod pozorem ich dostarczenia pojedziecie tam sami. I nie oddacie wcześniej pism królewskich, zanim nie będziecie całkiem pewni, że zabiegi Habsburga o koronację w...

– W katedrze na Hradczanach – podpowiedział.

– Istotnie. Że owe zabiegi mogą być uwiecznione sukcesem. Pozostaniecie z dala od nas tak długo, jak będzie trzeba, ale nie zapomnijcie przysyłać do Krakowa częstych gońców.

– Do kancelarii królewskiej?

– O Dio! Nie! Tylko do mnie albo do mego kanclerza. I zechciejcie pamiętać: o waszym zadaniu nikt nie może wiedzieć ani tutaj, ani też w Pradze czy w Wiedniu.

– Przez zaufane sługi będę słał wieści z Audersu – rzekł. – Ale ta tajna misja nie będzie łatwa.

– Lubię rzeczy trudne...

To były ostatnie słowa, które usłyszał od niej przed pożegnaniem i pierwsze, którymi powitała Krzyckiego, gdy w parę tygodni później wrócił z Budy. Biskup twierdził, że nieubieganie się Zygmunta o sukcesję po Ludwiku było posunięciem raczej roztropnym, bowiem prócz Ferdynanda austriackiego zgłosił pretensje do węgierskiego tronu także wojewoda siedmiogrodzki Jan Zapolya i uzyskał od razu poparcie większości Węgrów.

– Ku wściekłości Habsburgów – stwierdziła królowa. – Tedy przynajmniej w Budzie nie my i nie oni. Zapolya... To chyba jakiś krewniak Jagiellonów?

– Brat pierwszej żony miłościwego pana, Barbary.

– A? Dla której buduje się kaplicę? Bene. Skoro tak, warto utrzymać go na tronie. Może nawet spróbować małżeństwa z królowną Jadwigą?

– Toż to jego rodzona siostrzanka! – zgorszył się Krzycki.

– E allora? Dlatego są dyspensy. A jak nie z nią, to z Izabelą albo Zofią. Po co w końcu mam aż tyle córek?

Krzycki nie zaprzeczył.

– W tym duchu przedstawiłem sytuację Janowi Zapolyi – rzekł. – Primo – może liczyć na poparcie Wawelu. Secundo – w przyszłości na mariaż z polską królowną. Ten odnowiony związek Zapolyów z Jagiellonami mógłby się stać jakimś ostrzeżeniem dla Habsburgów.

– O, tak! Cieszę się, że moje zamysły znalazły w was, eminencjo, tak świetnego wykonawcę.

– Działał też w Budzie sprawnie – przyznał Krzycki – wysłany zaraz po mnie Odrowąż ze Sprowy. Czemu miłościwy pan chciał go, jak mówił, wypróbować, nie wiem, ale bardzo nalegał, abym się dobrze przyjrzał jego poczynaniom na Węgrzech.

Bona uśmiechnęła się, ale nie zainteresowawszy się bliżej osobą kasztelana, zaczęła usilnie

nalegać:

– Przedstawicie królowi nasze plany dotyczące Zapolyi. Ale wy. Wy sami.

– Nie omieszkam – przytaknął wyraźnie rad, że tylko jemu przypadną pochwały za zręczne posłowanie.

Odprawdzany przez Annę do drzwi, nie mógł słyszeć szeptu Bony:

– Reginavit? Jednak si. Reginavit...

*

Koniec owego feralnego roku 1526 nie zapowiadał się lepiej od miesięcy poprzednich, o czym królowa zamierzała powiadomić małżonka, ledwo powrócił z nowej podróży na Mazowsze. Wniesiono właśnie kolorowo przybrane srebrne półmiski i już postanowiła przemówić, kiedy nagle wpadł Stańczyk i obiegając stół zaczął natrzęsać się z wieczerzy.

– Podróżnego nakarmić, zgłodniałego napoić – najpierwszy z obowiązków. Ale włoscy kuchmistrze jakby się zmówili. Na powrót miłościwego pana z Warszawy zamiast dziczyzny czy mięsiwa same ciasta italskie, zieleniny jakoweś i owoce.

– Wyjdz! – rozkazała Bona i dodała pośpiesznie: – Polska kuchnia nadto tłusta, obfita. I jada się tak mało jarzyn. Tedy myślałam...

Zygmunt westchnął.

– Kto wie, czy niewiasty powinny aż tyle myśleć? – rzekł.

– I tyle wiedzieć, prawda? – zadrwiła. – Nikt z dworzan ani z waszych doradców nie ośmieliłby się wam zatruć złą wieścią radości powrotu. I to zaraz po tak trudnych ostatnich przetargach z Anną Mazowiecką.

– Natomiast niewiasta... Tedy jaką złą nowinę ma dla mnie gniewna Junona?

– Santa Madonna! Nie dziwcie się, że gniewna. Jak słyszę, inkorporacja Mazowsza do Korony jest już postanowiona?

– I nie do odrobienia. Natomiast wasze plany co do wydania Anny Mazowieckiej za Odrowąża chyba rozsądne. Posłował ostatnio na Węgry i sprawił się niezgorzej. Można będzie wysłać go na Mazowsze, niech próbuje zjednać sobie Annę. Nie bardzo w to wierzę, chociaż ostatnio mówiła, że lęka się cudzoziemców. Wracajmy jednak do waszej nowiny.

– Donoszą z moich dóbr wołyńskich i poleskich, że na całym pograniczu szerzy się zaraza. Straszliwa – westchnęła. – Wyludnia wsie, miasta... Na ulicach płoną stopy z pościelą zakażonych. Zaczyna się już plądrowanie kramów.

– Zaraza? Cóż... Dla nas to nie pierwszyczna. I zanim morowe powietrze dojdzie aż do Krakowa, dwór zdąży wyjechać do Niepołomic.

– Wy z nami?

– Nie zaraz. Ja także mam złe nowiny. Kacerze zaczęli buntować mieszczan w Gdańsku.

– Więc jednak? Książę Albrecht jako wyznawca nauki Lutra już działać zaczyna?

– Tego nie wiem, ale pojechać i sprawdzić wypadnie. Za to do przyszłej jesieni, tuszę, że i

zaraza minie, i wasz gniew wygaśnie. Wpraszam się tedy na któryś z ulubionych łowów polskiej Junony.

– W Niepołomickiej Puszczy? O si, si! Na niedźwiedzia! Pozwólcie – prosiła. – Od dawna mam taką ochotę! Ubić burego, złego niedźwiedzia.

– Ba! – zaśmiał się z dziwnego pomysłu. – Najpierw musiałby taki być w tamtejszych lasach. Toż to Małopolska, nie Litwa.

Ale ona prosiła żarliwie:

– Zostawcie to mnie! Prego. Kiedy czuję w was oparcie, wiem, że mogę wiele. Że mogę wszystko.

– A sama? – zapytał niby to żartem, ale przyglądając się jej uważnie.

– Sama? – zdziwiła się. – Co może żona króla? I to polskiego? Zupełnie nic! Wiercie mi: niente! Niente!

Zaraza dotarta tak szybko do Krakowa, że kto mógł, uciekał z miasta. Z zamku wyjechał długi rząd kolas i Bona patrzyła ze zgroza, jak po wąskich uliczkach miotali się przerażeni ludzie. Jedni zabijali okna na głucho, rzucali przed drzwi płachty nasyczone odkażającym płynem, inni znaczyli krzyżami z wapna domy już nawiedzone morowym powietrzem. Łapiduchy z osłoniętymi twarzami poganiali konie ciągnące wózki, na których piętrzyły się zwłoki zebrane z chodników i przed bram kamienic. Złodzieje wynosili łupy z opuszczonych kramów i z domów pańskich zupełnie bezkarnie. Ku bramom grodu ciągnęli też waganci i kuglarze unosząc swój pstry dobytek, a także piszczące małpki oraz gadające papugi. Na Rynku i na wszystkich placach pacholkiwie palili pościel wyrzucaną przez okna i zakażone ubrania zmarłych. Dzwony biły głucho, pospiesznie, na trwogę.

Jakaś żebraczka skradając się do dymiącego stosu wyciągnęła z niego nietkniętą, krytą złotogłowiem kołdrę i nadpalone prześcieradło. Pogonił za nią człowiek w kapturze na głowie i z kołatką w ręku, ale nie odstraszył jej ani złowrogi stuk, ani krzyk pacholka. Zaczęła biec i po chwili zniknęła w tłumie. A tłum, choć parł naprzód ku bramom, choć oglądał się na dymy nad miastem, śpiewał:

*„Od powietrza, głodu, ognia i wojny...
Zachowaj od zarazy, od morowego powietrza, a domy nasze od ognia!
Zachowaj, zachowaj, Panie...”*

Kolaski i wozy królewskie torowały sobie z trudem drogę, dążąc do Niepołomic. Po drodze widać już było ludzi leżących w rowach, ciała skurczone w przedśmiertelnej męce. Siwowłosy starzec wił się w bólach na skraju pola. Pod nim leżała nadpalona czerwona chusta, wyciągnięta chciwą ręką z palącego się stosu...

Na rozległej leśnej polanie, która zastępowała trawnik przed gankiem zamku w Niepołomicach, Bona stała pośrodku gromadki rozbrykanych królewiat. Ale śmiech zamarł na jej

ustach, kiedy dostrzegła, że z wnętrza domu wyszedł zaaferowany ochmistrz Wolski.

– Per amor di Dio! – krzyknęła, idąc mu naprzeciw. – Czyżby znowu coś złego? Tylko nie mówcie, że przywleczono zarazę tu, do Niepołomic?

– Wieść inna, niestety nie lepsza. Król Zapolya, tak niedawno obrany królem...

– Zagrożony przez Wiedeń?

– Gorzej. Pobity na głowę przez Habsburga pod Tokajem. Po bitwie ledwie zdołał ująć z garstką rycerstwa.

– Ferdynand... Miserabile! Uderza na Węgry, kiedy wie, że nasze pogranicze szarpane przez Tatarów, wyniszczone zarazą.

– Ferdynandus wezwał już naród węgierski do poddania się jemu jako prawowitemu władcy.

– Wojny! Wojny ciągle, in permanenza! Znieść już tego nie sposób!

A król znowu daleko, na Pomorzu.

– Właśnie przybył goniec.

– I mówicie to dopiero teraz? Perché? Co kazał oznajmić król? Presto!

– Że powróci z Gdańska lada dzień. Bunt kacerzy już uśmierzony.

– Nareszcie! Nareszcie! Grazie a Dio! A przywieziono niedźwiedzia?

– Nie rozumiem – zdumiał się ochmistrz.

– Niedźwiedzia z litewskiej puszczy. W klatce.

– To ważne... teraz? – pytał ogłuszony.

– Wszystkie moje rozkazy są ważne. Zawsze, nawet w czasie klęsk.

Gdzie trzymają tego zwierza?

– Nie wiem, miłościwa pani.

– Miał być feroce. Dziki. Zapytajcie łowczych, gdzie jest?

– A jeśli nie przywieziony? – odważył się spytać.

– To niech ktoś zajmie się wreszcie jego złowieniem. I to presto! Presto!

Szybciej jednak niż dzikim niedźwiedziem trzeba było tejże zimy zająć się odparciem nowego najazdu Tatarów, którzy dotarli aż pod Pińsk. Tym razem świetne zwycięstwo pod Olszanicą odniósł hetman Ostrogski i wjechał triumfalnie do Krakowa, prowadząc ze sobą kilkuset jeńców i odbity jasyr. Zaraza już wygasła dzięki siarczystym mrozom i oboje królestwo wzięli udział w dziękczynnym nabożeństwie oraz w powszechnej radości ocalałych mieszczan podwawelskiego grodu. Na zamku było huczno i tym gwarniej, im więcej rycerzy i dworzan gromadziło się wokół Tarnowskiego, który po Firleju otrzymał wreszcie upragnioną hetmańską buławę.

W tym zamieszaniu, zgiełku i ciągłym ucztowaniu posłańcy z Czech docierali niemal niepostrzeżenie do komnat królowej. Ich pan donosił z Audersu, że ukoronowany w lutym na króla Węgier Zapolya musiał po ostatniej klęsce uchodzić przed Ferdynandem, od końca lutego także królem Czech, i że walka obu legalnych władców zapowiada się na długą i ciężką. Król Zapolya miał wprawdzie wielu zwolenników i w Pradze, a Kmita gotów był – aby przypodobać

się Bonie – przysłać mu zbrojną pomoc, ale wobec przewagi sił po stronie Habsburga Jan z Siedmiogrodu wołał zrezygnować z pretensji do Czech i jako narodowy król upierać się tylko przy tronie węgierskim. Zwłaszcza że chciał zapobiec koronowaniu się Ferdynanda także i na króla Węgier, co mogło nastąpić już w kilka miesięcy po jego zwycięstwie pod Tokajem. I co nastąpiło rzeczywiście w początkach listopada, po czym posłańcy przestali przemykać się do komnat Alifia, a do kancelarii zamkowej powrócił znów znawca spraw czeskich, pan na Audersie, sekretarz królewski.

Bona raz tylko zapytała króla, co sądzi o wojnie dwóch monarchów węgierskich, ale ten odpowiedział zgodnie z jej pragnieniami:

– Dopadł mnie wysłannik Habsburga w ogromnym strachu, że wojna o węgierską koronę obudzić może w Polsce zapal dla sprawy Zapolyi. Ale zasłoniłem się obawą zaplątania w wojnę z Turcją, która stanęła po stronie narodowego króla.

– Nie myślicie, że Habsburgowie namówią papieża, abyście zaczęli walkę z półksiężycem?

– Prze do niej Tarnowski, ale ani on, ani ojciec święty nie mogą nas przecie zmusić do walki z niewiernymi.

– Nareszcie zgodni, nareszcie myślimy tak samo! Wspólnota chrześcijan? Rozpadła się już i z sułtanem musicie żyć w pokoju, wbrew radom hetmana. A Szydłowiecki? Czy nie sprzyja Habsburgom?

Król zamiast wyśmiać te obawy, nachmurzył się.

– Przyznać muszę, żeście odgadli: Szydłowiecki oddany Habsburgom. Po zwycięstwie pod Tokajem wysłał nawet do Ferdynanda, w swoim imieniu, gratulacje i wyrazy podziwu.

– Polski kanclerz? – zgorzyla się Bona. – Och, gdybym mogła, odebrałabym mu zaraz urząd kanclerski i kasztelanię krakowską.

– Żeby to ofiarować komu?

– Chociażby Kmicie.

– Właśnie jemu? – zdziwił się. – Zuchwały, nadto pewny siebie.

– Skoro hetmanem został Tarnowski, niechby Kmita otrzymał wielką pieczęć koronną – nalegała.

– Tych dwóch – mruknął Zygmunt – nienawiść podobnie łączy i niszczy jak miłość.

– Tedy może Boner? Krzywicie się? Albo Gamrat? Zręczny z niego polityk.

Król skrzywił się znowu.

– Nie. Jeszcze nie, za młody. Żaden z nich nie ma kanclerskiej głowy.

– I pewnie dlatego żaden nie bierze habsburskich dukatów – powiedziała już z gniewem. – Ale basta! Mówmy o łowach. Przywieziono z Litwy groźnego niedźwiedzia, tedy pojedziemy do Niepołomic. Kazałam postawić skrzynię nad Wisłą, aby zaraz, mając odcięty odwrót, musiał się w las zapuścić. Trzystu wieśniaków z oszczepami ochraniać będzie myśliwych.

– Dalibóg! – rzekł uśmiechając się. – Gdybyście to wy poszli na odsiecz Czechom i Węgom? Kto wie? Może by nie było wtedy kłęski ani pod Mohaczem, ani pod Tokajem...

Przed wyjazdem na wielkie łowy do Niepołomic królowa pytała parokrotnie Pappacodę, czy dowiedział się o rzekomej stałej sumie rocznej wypłacanej przez Wiedeń Szydłowieckiemu, ale jej wszechwiedzący skarbnik zawiódł. Nie wiedział o niczym lub też udawał, że nie wie. Zwróciła się więc z tym samym pytaniem do Alifia i już po paru dniach otrzymała odpowiedź: Kanclerz nie tylko brał złoto od Habsburgów, ale także otrzymał niedawno od cesarza Karola z Hiszpanii odpisy sprawozdań Corteza z podboju Meksyku oraz wizerunek zwycięzcy tej części Nowego Świata.

– Pisał wam o tym Dantyszek? – spytała. – A czemu nie powiadomił o tym... nas?

– Sądzę – odparł po chwili wahania – że to z tego źródła król dowiedział się prawdy o Szydłowieckim. A nie powiedział najjaśniejszej pani, ponieważ nie chciał ośmieszyć osoby swego doradcy. Bo Dantyszek doniósł także i o tym, że wielki kanclerz prosił Carolusa o przysłanie mu w darze choćby jednego... żywego Indianina.

– Żywego...? – zdumiała się Bona. – Zamiast karła? Jako zamorskie dziwo?

– Istotnie – przytaknął Alifio.

Patrzyli na siebie przez chwilę i nagle oboje wybuchnęli śmiechem. Nie śmiali się tak beztrąsko już od bardzo dawna, od czasów, gdy przerzucali się pitką w ogrodach Bari.

– „Nunc est ridendum” – zdołała wreszcie wyrazić swój sąd Bona, a jej kanclerz patrząc z podziwem na królową stwierdził:

– Oda Horacego, trzydziesta siódma. – Parafraza.

Skinęła głową z uśmiechem. W istocie, rozumieli się zawsze, odgadywali w pół słowa...

*

Polowanie w Niepołomicach zgromadziło wielu gości i cały dwór. W jesiennym słońcu kawalkada jeźdźców na koniach różnych maści ruszyła z polany przed zameczkiem, królowa na swej białej wierzchówce. W niebieskiej sukni bramowanej sobolami i sobolowym kołpaku na głowie zwracała na siebie uwagę wszystkich myśliwych. Za pas miała zatknięty sztylet o złotej rękojeści, a tuż za nią jechał pachołek trzymając w pogotowiu nabitą arkebuzę – dar Franciszka Valois. Niektórzy myśliwi byli uzbrojeni w strzelby, inni pysznili się pięknymi kordelasami, przybocznicy pachołkowie i naganiacze mieli w rękach oszczepy. Król jechał w kolasce, a tuż obok kłusował Stańczyk potrząsając grzechotką. Mijając błazna zaczął go dworzanin Morawiec:

– Nie boisz się, waszmość, tylko z grzechotką iść na grubego zwierza?

– Bać się? – wykrzyknął Stańczyk. – Niby czemu? Mniej niebezpieczny litewski niedźwiedź od włoskiego smoka! A ja i tego się nie lękam.

Morawiec minął go w pośpiechu i dołączył do innych myśliwych. Tymczasem rozległy się okrzyki, dźwięki rogów, zaskowyczały psy, gdzieś odpowiedziało im groźne, wściekłe ujadanie reszty królewskiej sfory: to był znak, że z wielkiej klatki ustawionej na brzegu Wisły oszczepnicy wygonili już niedźwiedzia i pędzili w głąb lasu, naprzeciw kawalkadzie jeźdźców. Kmita jadący obok Bony słuchał jej wyjaśnień, że część chłopów z widłami tworzy łańcuch wzdłuż rzeki, aby

zwierzowi odciąć powrót na brzeg. Patrzył z upodobaniem na jej uśmiechniętą twarz, rozbłysłe czarne oczy odbijające pięknie od płowych włosów i jasnych soboli.

– A król? – spytał.

– Och, całkiem bezpieczny. Kazał rozbić dla starszych dostojników namioty na polanie pod dębem i czeka tam na wynik łowów, na ubitego niedźwiedzia. Pierwszego tu, w Niepołomicach.

Była szczęśliwa i dumna ze swojego pomysłu, a kiedy zajęła stanowisko pod rozłożystym drzewem, pozostał przy niej. Za nimi warował konny pacholek ze słynną francuską arkebuzą. Alifio przystanął tuż obok i wierzchowce zaczęły wkrótce kręcić się niespokojnie, podniecone okrzykami naganiaczy oraz ujadaniem psów. Kmita podjechał tak blisko, że jego koń otarł się o bok rumaka Bony, rzekł chyląc głowę:

– Nie darmo powiadają, że polskie królestwo do partii szachów podobne. Król stoi w miejscu, a tylko królowa w nieustannym ruchu.

– To źle? – spytała zalotnie.

– Ręka Waszej Królewskiej Mości tak mocno dzierży cugle – odparł – że jej skoczek i trzy pola na szachownicy przesadzi. Ale niedźwiedź to zwierz groźny. Chyba że ten od małego chowany i przywiózł go z Litwy wasz niedźwiednik?

– Ależ nie! Nie! – oburzyła się. – To dziki zwierz z puszczy i ponoć nad podziw silny.

– Słyszałem – rzekł podjeżdżając bliżej Alifio – że jest polskie przysłowie: „Idziesz na niedźwiedzia – gotuj łoże”.

– Jak? Gotuj łoże? – powtórzyła.

– Tym razem tylko po to go wypuszczą z klatki, żeby padł pod oszczepem królowej – zapewniał Kmita.

– Nie mam oszczepu. Z francuskiej arkebuzy strzelać będę. Jak już strzelają inni. Słyszycie?

– Tak. Chyba nadchodzi?

Odległe szczekanie psów rozległo się nagle bardzo blisko, słyhać było okrzyki z wielu stron: „Niedźwiedź, niedźwiedź!” Na ukos przez polankę, w stronę drzewa, pod którym rzuciła niespokojnie łbem klacz królowej, sadył teraz galopem dworzanin Morawiec i wymachiwał ręką. Zbliżywszy się zaczął wołać:

– Rozsierzdon wielce! Ze sto psów pobił i na strzepy poszarpał. Oślepi bieży na myśliwych.

– Jest już blisko? – spytała królowa.

– Blisko. Nadbiegłem ostrzec! Pana Ożarowskiego przewrócił z koniem. Tarle broń z rąk wydarł i byłby go pokaleczył, żeby nie ludzie z oszczepami. Psy dopadły zwierza i pogryzły w nogi. Ale strząsnął z siebie wszystkie i poszedł!

– Dokąd?

Morawiec obejrzał się i spojrział w las.

– Tu idzie! – krzyknął. – Prosto na nas!

– Santa Madonna!

I ona zobaczyła wielkiego niedźwiedzia wybiegającego spoza drzew. W pewnym oddaleniu

widać było ścigające go, ujadające psy i chłopów pędzących z oszczepami. Z boku, starając się zabiec drogę zwierzowi, wypadło kilku konnych jeźdźców.

Bona patrzyła jak urzeczona na bure cielsko, na chrapiące konie swoich dworzan pchane do przodu, żeby ją osłonić przed atakującą bestią, na pustą polanę, której panem był teraz on, dziki niedźwiedź pojmany na jej rozkaz w puszczy litewskiej. Chciała krzyknąć, aby pachołek podał jej arkebuzę, czego widać ze strachu nie uczynił, ale głos uwiązł w gardle, nie mogła zdobyć się nawet na szept. Zdumiona ścisnęła mocniej lejce i w tejże chwili jej klacz stanęła dęba, a potem zarżała krótko i rzuciła się do tyłu, pod drzewo. Usłyszała jeszcze głos Kmity, że jest przy niej, że trzeba wyplątać się spod gałęzi i gnać, gnać w stronę królewskiego namiotu, gdy nagle przerażona klacz zaczęła kręcić się w kółko, jakaś potrącona gałąź zerwała najpierw kołpak z jej głowy, po czym koń znów stanął dęba i – uwolniwszy się od jeźdźca – pognął przed siebie.

Padając, poczuła ostry ból przesywający jej łono, brzuch, uda i straciła przytomność. Po chwili, otwierając oczy, usłyszała głos Kmity:

– Wasza Królewska Mość! Na Boga! Stało się coś złego?

– Nie – próbowała zebrać myśli – nie, nic.

– Głowa? Nogi? – dopytywał się, pochylony nad leżącą.

– Cale. I ręce władne.

– Bogu dzięki! – odetchnął i dodał: – To musiał być okrutny wstrząs!

– Niemały – przyznała. – Ale niente! Pomóżcie mi, proszę, wstać. Jego troskliwe ręce uniosły ją w górę jak piórko i oparły o pień drzewa. Stała chwilę bez słowa, wreszcie szepnęła, krzywiąc się:

– Jednak dokucz. Gdzie Alifio? Morawiec?

– Zajechali drogę niedźwiedziowi, aby nie dopuścić do miłościwej pani i spłoszyli go tak, że rzucił się w bok. Pachołek zaś popędził za wierzchowcem.

– Wszystko inaczej, niż chciałam – szepnęła. – Mielicie zobaczyć celny strzał, a byliście świadkiem upadku królowej...

Próbował zażartować, choć patrzył z niepokojem na jej pobladłą twarz.

– Kto się tak prędko podnosi, wiecznie stać będzie.

– Pochlebca... – westchnęła. Przymknęła oczy i otworzyła je znowu, szepcząc: – A wokół mnie wszystko kołuje, kołuje, kołuje...

Kmita zbliżył się, aby podtrzymać królową.

– Na Boga! Miłościwa pani... Rozkazujcie! Co mam uczynić? Jak pomóc?

Potrząsnęła głową.

– Nic. Non importa... To zaraz przejdzie. Drzewa już stoją prosto. Idźmy w stronę namiotu. Nie, nie! Nie wsiądę na waszego konia...

Zaczęła iść powoli, oparta na ramieniu Kmity. Nie skarżyła się już, słyszał tylko jej przyspieszony, nieco chrapliwy oddech...

Król ze swoim dworem popijał grzane piwo siedząc przed namiotem, gdy wtem dał się słyszeć tętent puszczonego w skok konia i przed panem, gubiąc grzechotkę, zsunął się z siodła i padł na ziemię zawsze skory do żartów Stańczyk. Zygmunt czekał na jakiś nowy dowcip ulubieńca, ale błazen nie udawał wystraszonego, był nim naprawdę, kiedy zawołał:

– Na Boga! To żaden niedźwiedź! To sam zły...

Król przyglądał się wesołkowi dobrotliwie, ale przyganił:

– Było z grzechotką na łowy nie chodzić. Począłeś sobie jak prawdziwy błazen, żeś tak przed misiem uciekał.

Spodziewał się tłumaczeń, krotochwilnej odpowiedzi, ale nie tego, co usłyszał. Wściekły z powodu dyshonoru, który go spotkał, Stańczyk odrzekł zuchwale:

– Ja? Owa! Większy ten błazen, co mając w skrzyni niedźwiedzia, puszcza go na swoją szkodę.

Król zmarszczył brwi, ale w tejże chwili jakiś pachołek osadził konia przed namiotem i począł wołać:

– Najjaśniejszą panią wierzchowiec zrzucił i chyba pokaleczył. Marszałek Kmita przy niej. Tu idą.

Król zerwał się z siedziska.

– Mocny Boże! Toż ona... – urwał i zaraz począł wydawać rozkazy: – Z noszami w las! Wyjść naprzeciw. I ślać umyślnego po kolaskę do Niepołomic! Bez zwłoki! Zaraz!

A kiedy po krótkim czekaniu wniesiono królową do namiotu i usadzono wygodnie opierając o barwną tkaninę ściany, Zygmunt, trzymając ją za rękę, rzekł z wyrzutem:

– Jak można było! Tak nieroztropnie, w czwartym miesiącu... Choć dotychczas oczy miała przymknięte i oddychała z trudem, poprawiła go natychmiast:

– W piątym... Nie do wiary – dodała uśmiechając się słabo – ale nikt z myśliwych nie domyślił się, nie zmiarkował. Tym razem udało się zachować tajemnicę.

– Zgoła niepotrzebnie – zaczął król, lecz widząc grymas Bony, spytał: – Boli?

– I tak, i nie. Ale potłuczona okrutnie... – A po chwili szepnęła:

– I boję się...

– Dopiero teraz? Czego? – zdziwił się Zygmunt.

– Wróżb. Ktoś powiedział: „Idziesz na niedźwiedzia – gotuj łoże”. O Dio! Jednak łoże... W Bari, pamiętam, mówił mag: „Widzę... widzę łapy dzikiego zwierza na końskim grzbiecie. Zabija...”

– Wierutne bajdy! – przerwał król. – Niedźwiedź uszedł i tylko psy poszarpał. Chwała Bogu, że skończyło się dla myśliwych właśnie tak.

– Oby i dla mnie! – westchnęła. – Jak myślicie? Czy święty Mikołaj z Bari może...

– On chyba może wszystko – przytaknął.

– Czy może – kończyła – także o rodzie Sforzów... zapomnieć?

Nie odpowiedział, a ona umilkła i dopiero po chwili zaczęła cicho jęczeć. Do karety

wniesiono królową już nieprzytomną i w Niepołomicach natychmiast wezwano jej nadwornego medyka. Ten nic mówić nie chciał, od razu wyprosił wszystkich z komnaty i zostawiwszy do pomocy tylko lekarza króla, Marinę oraz Annę, pochylił się nad leżącą. Jęczała coraz głośniejsz rozgorączkowana, półprzytomna i przywoływała, ku zdumieniu obecnych, nie małżonka, tylko zmarłą matkę.

– Principessa... Carissima... Mamma! Nie! Nie dam się... Nie dam! Ancora no! No...

Umilkła i nagle ciszę sypialnej komnaty rozdarł krzyk dziecka. Alifio, który czatował za drzwiami, zapytał od progu:

– Żyje?

– Zdumiewające, ale tak – odpowiedziała głośno Anna. – Pięciomiesięczna kruszyna...

Bona poruszyła się nagle. Z jej ust wydobył się chrypiący szept:

– Żyje? Kto... żyje?

– Syn wasz, miłościwa pani.

– Syn?

– Dziś narodzony chłopiec. Królewicz.

– Syn! O Boże! Jednak syn! Grazie a Dio! Sukcesor... Princeps. Gdzie jest? Muszę go zobaczyć. Dotknąć. Jest, naprawdę jest! Niech będą dzięki świętemu Mikołajowi z Bari. Malutki, mniejszy niż kiedyś August. Ale jest... Trzeba go ratować. I ochrzcić. Z wody. Zaraz...

Alifio zbliżył się do łoża.

– Skoro urodził się, choć przedwcześnie, zdrow i cały, nie ma powodu...

– Si. Wiem. Tamten mag był głupi, ale on taki maleńki... Chcę mu nadać imię sama. Sama! I to już dzisiaj. Będzie się zwał Olbracht. Na co czekacie? Presto! Presto! Wołajcie do mnie Olbrachta. Niech przyjdzie! On. Nie córki. Drugi następca tronu. Drugi... Syn. Jagiellon. Królewicz Olbracht. Olbracht...

Traciła przytomność i medyk znów pochylił się nad majaczącą, dając znak ręką, aby wyniesiono niemowlę. Zabrała je Anna i gdy w parę chwil potem okazano chłopca królowi, który wraz z Kmitą czekał w sąsiedniej komnacie, ten rzekł:

– Powiedźcie medykowi, niech dołoży wszelkich starań, aby nowo narodzony...

– Bardzo słaby, miłościwy panie – odważyła się powtórzyć słowa lekarza Anna. – Ale i tak dziw, że po tym wstrząsie, jakiego doznała jego dostojna matka...

Przerwał jej Kmita, nie kryjąc wzburzenia.

– Klnę się na Boga, zem nie wiedział! Na rękach bym zaniósł! Nie pozwoliłbym wstać i iść o własnych siłach...

– Jam wiedział i polować nie zabronił – rzekł po chwili król. – A to syn tak bardzo upragniony, z dawna oczekiwany... Królowej nie grozi nic? – zwrócił się do Alifia.

– Powiedzieć coś pewnego trudno. Aliści...

Przerwał niecierpliwie:

– Przytomna?

– Chwilami przytomna. Wciąż przyzywa do siebie królewicza.

– Augusta?

– Nie, Olbrachta.

– Olbrachta... – zdziwił się król i nagle prawie krzyknął: – Muszę tam być. Muszę ją zobaczyć!

– Powiedział medyk, że królowej potrzebny jest teraz spokój. Jak najwięcej spokoju.

Zygmunt, jakby nie słyszał tych słów, ruszył ku drzwiom sypialni. Przed wejściem odwrócił się i rozkazał:

– Zróbcie wszystko, żeby opieka nad królewiczem...

– Nie spuszczę go z oka – zapewnił Alifio.

Wyszedł z Anną niosącą niemowlę do dalszych komnat. Kmita zostawszy sam zaczął uderzać z pasją pięścią o pięść i powtarzać głuchym, zmienionym głosem:

– Że też pozwoliłem! Że też mogłem pozwolić...

Wieczór tego dnia włókł się w nieskończoność. Medyk to wchodził do pokoju królowej, to czuwał przy dziecku. Grupki dworzan szeptały po kątach i rozpierzchły się dopiero, gdy Alifio wywołał Annę z królewskiej sypialni.

– Stało się coś złego? – spytała.

– Słabnie z godziny na godzinę. Medyk nie wie, czy dożyje ranka.

– Na miły Bóg! To zabije najjaśniejszą panią!

– Robi się więcej niż w ludzkiej mocy. Ale leśna głusza w Niepołomicach to nie Wawel.

– O Boże! – westchnęła.

– Głowę tracę! – przyznał. – Tu umierające dziecko, tam principessa, której nie ośmielę się donieść o nieszczęściu.

– Jeszcze go nie ma! – krzyknęła. – Czemu kraczecie? Jest lepiej. Prawda? – zwróciła się do wchodzącego medyka, ale ten pochylił tylko nisko głowę.

– Nie – rzekł. – Nic więcej nie udało się zrobić. Przed chwilą wyzionął ducha.

Anna nie uwierzyła. Biegła do dziecka z krzykiem:

– To nie może być! Nie powinno być! Nie! Nie!

Medyk spojrział na Alifia i rozłożył bezradnie ręce.

Przez dwa następne dni stan zdrowia królowej był tak ciężki, że lekarze nie odstępowali ani na chwilę jej łoża. Dopiero trzeciej nocy usnęła spokojnym, mocnym snem i zbudziła późnym rankiem. Marina stojąc w oknie patrzyła wówczas w dół, na drzwi dworskiej kaplicy. Patrzyła, jak otwierają się z wolna i wąskim, wewnętrznym podwórcem między zamkiem a kościółkiem zaczyna posuwać się kondukt żałobny: przodem szedł nadworny kapelan, za nim ciągnął się rząd pacholąt, w komżach, a dalej – dworzan na czarno. Czterech z nich niosło trumienkę. Za nią z pochyloną głową i w stroju żałobnym kroczył król, z tyłu zaś tłoczyły się dworki w czarnych welonach na głowach i liczni dworzanie. Kiedy trumienkę przenoszono przez próg kaplicy. Marina zaczęła kreślić znak krzyża na piersiach, a jednocześnie odezwały się dzwony. Zagłuszył

je jednak głos królowej. Pytała:

– Co to? Dzwonią? Perché?... Czy to już południe?

– Pójdę zobaczyć, zapytać... – zaczęła, ale królowa przywołała ją do łóżka.

– Zawsze wykręcasz się, kłamiesz! Patrz mi w oczy i mów prawdę. Nie uratowali go?

Była tak blada, tak wzburzona, że dworka zwlekała z odpowiedzią.

– Miłościwa pani...

– Nie uratowali? – Jej palce wpijały się w ramię Mariny.

– Nie.

– I teraz. Odprawiają modły. Chowają... Może już pochowali? O Dio! Beze mnie? Kto im pozwolił? Kto kazał? Nie milcz! Mów!

– Sam król.

Nie dowierzała, patrzyła przed siebie zdumiona.

– Król?

– Si – potwierdziła Marina.

Puściła jej ramię i opadła na poduszki. Po chwili dworka usłyszała głuchy szept:

– Sam pochował. Sama zabiłam. Jak to może być? My jego? Upragnionego syna. Olbrachta...

Santa Madonna! Jeżeli możesz, zmiłuj się nad nami...

– Najjaśniejsza pani, trzeba mieć litość i nad sobą.

– No! No! – krzyknęła. – Nie ma litości! Żadnej litości dla tego, kto zabija nadzieję...

Wtuliła głowę w poduszki i aż do wieczora nie usłyszano od niej ani jednego słowa. Dopiero następnego dnia zgodziła się na odwiedziny króla.

W dwa tygodnie później królowa Jadwiga z Anną i Dianą zabawiały dzieci przed domem grą w chowanego. Ulubione psy Zygmunta, przywiezione do Niepołomic jeszcze w czasie ostatniej zarazy, brały udział w zabawie. Przy srebrnej kołysce piastunka czuwała nad pierwszymi krokami najmłodszej królowej. Koniec października był niemal upalny i Bona przyglądała się, siedząc przy oknie, zabawom dzieci. Nie drażniły jej już ani ich głośnie krzyki, ani radosne poszczekiwanie psów i Marina tę chwilę właśnie wybrała na wypowiedzenie słów, które od dawna cisnęły się jej na usta.

– Królowa Katarzyna silna nad podziw – stwierdziła.

– Już chodzić zaczyna. Kołyska znów będzie pusta... Dio! Kto wie, jak długo?

– Medycy mówią...

– E allora? Przecie słucham. Dlaczego milczysz?

– Perché? Bo... Miłościwa pani...

– Marina!

Dworka przypadła jej do nóg.

– Mówią, że Wasza Królewska Mość już więcej rodzić nie powinna...

– Och! Nie oni decydować będą o moich powinnościach! Nie oni!

– Si... Ale mówią także: rodzić już nie będzie. Nie może.

Bona poruszyła się gwałtownie.

– Coś powiedziała? Powtórz!

Zacinając się i coraz niżej spuszczać głowę, powtórzyła:

– Mówią: już rodzić nie może...

– Dio... – Po długiej chwili, przesuując ręce po brzuchu, po biodrach, królowa wyszeptała:

– Więc to ciało. Nie mózg, tylko ciało pierwsze odmówiło posłuszeństwa. Odmówiło? Mnie? Odejdź! – krzyknęła nagle. – Presto! Chcę być sama.

Marina wysunęła się w zupełnej ciszy. Bona siedziała jeszcze jakiś czas, potem dźwignęła się z trudem i stanęła przy oknie uczepona słabymi rękami portiery. Jeden głęboki wdech, drugi... Drzewa przestają się kołysać, ich korony wirują jeszcze, krążą, ale coraz wolniej, wreszcie oczy widzą jak dawniej. Na zielonym gładkim trawniku bawią się jej córki. Obok najmłodszej stoi srebrna kołyska z Bari. Pusta. Co orzekli medycy? Że nie będzie więcej synów krwi królewskiej. Nie będzie nigdy żadnych innych następców Zygmunta, prócz małego Augusta? Jakże niepewne są losy dynastii... Oto zrzuciła ją pieszczona biała klacz. Łowy... Niedźwiedź... Kto powiedział „Idziesz na niedźwiedzia – gotuj łoże”? Czemu nikt nie mówił o trumnie? O śmierci? Nie ostrzegł jej, nie zakazał? Król wiedział przecież, a jednak przyzwolił... Czy teraz zna prawdę? Czy jest świadom, że kołyska Jagiellonów będzie już odtąd zawsze pusta, pusta, pusta...

Widywali się od dnia pogrzebu małego Olbrachta równie często jak dawniej, ale w niej przełamało się coś, pękło. Cel życia: utwierdzenie panującego domu, przysłużenie się potężnej dynastii i uczynienie jej jeszcze bardziej znaczącą na świecie, równą potędze Habsburgów, okazał się nie do osiągnięcia. Po ośmiu latach jej ciało dało życie aż czterem córkom, ale nie potrafiło urodzić drugiego syna. I buntowało się teraz, nie pożądało żadnych obłapek, uścisków, pieszczot.

– Jak zimne jest wasze łoże... – powiedział niedawno.

Z trudem powstrzymała się od wypowiedzenia gorzkich słów, od krzyknięcia mu prosto w twarz, że zimna stała się także ona sama, rozżalona, gniewna, a jednocześnie znużona, śmiertelnie znużona. Musiał wyczuć jakiś obcy, może nawet fałszywy ton w słowach, jakimi skarżyła się na zmęczenie, na wielką słabość, bo pod pozorem pilnych spraw, które musiał załatwić w Gnieźnie, zostawił ją samą w Niepołomicach na przeszło dwa tygodnie. Słął co prawda często gońców i czule dowiadywał się o zdrowie Jej Królewskiej Mości, ale kiedy powrócił, po raz pierwszy zapytał wieczorem, czy może przyjść do jej komnaty. Tej nocy starała się, by jej łożnica nie była zimna, ale zły duch przekory nie pozwolił na okazywanie tej czułości, do jakiej przywykł i jakiej chyba pragnął. Może rozumiał, że musi przełamać w niej żal za odebranie matce prawa do objęcia ramionami trumienki syna? Może wiedział, że musi zdobywać ją jako kochankę od nowa, i nie czuł się na siłach, aby odnieść w tym boju zwycięstwo? Ją, urażoną do głębi, bał się urazić dopiero teraz. Presto, presto, presto! Niech więc ją ma, skoro chce, skoro jest jego ślubną małżonką. A potem zaspokojony, ale niezbyt pewny, czy zaznała

równie wielkiej co on rozkoszy, niech pozwoli jej zostać samej, niech da zapamiętać się we śnie i wraca do swoich komnat. Presto! Presto!

Ale była ciągle młoda, piękna i, choć przekroczyła trzydziestkę, dzięki radom principessy wciąż jeszcze nikt o tym nie wiedział. Tej tragicznej jesieni w Niepołomicach świętowano bez żadnego rozgłosu dwudziestą ósmą rocznicę jej urodzin, ale tegoż dnia Anna przyniosła jej w darze pergaminowy zwój i oznajmiła, że jest to poema biskupa Krzyckiego, które sam przywiózł do Niepołomic.

– Chciał wejść, ale go nie wpuściłam – meldowała dworka świadoma nastroju swej pani.

– Przyjechał sam? – zdziwiła się Bona i dodała, wpatrzona w dostarczony jej rękopis: – Bene. poproś biskupa.

Wszedł jak zawsze pogodny, z drwiącym błyskiem w oczach, ale złożył jej życzenia z należytą powagą i tłumaczył, że nie mógł sobie odmówić przyjemności ofiarowania królowej komentarza do 21 psalmu, także ułożenia odpowiedniej dedykacji. Odparła, że dziękuje gorąco i prosi o jej odczytanie.

Usiadła, a biskup rozwinął pergamin i czytał jego treść stojąc:

„Tobie, sławna królowo, dzieło to postanowiłem poświęcić, gdyż prócz znakomitych zalet ciała i duszy, tak dalece wyróżniasz się nauką, mądrością, miłością Rzeczypospolitej, że nie masz żadnej heroiny w naszym wieku, która by z tobą mogła się równać”.

Zdziwiły ją i zaskoczyły te pochwały, ale odparła:

– Wzruszonom wielce. I już na tyle zdrowa, że w Krakowie wznowimy nasze zwykłe wieczorne dysputy. Zaproszę także panów poetów na wieczерę. Tym razem nie każę wam jeść żadnej zieleniny. No, no! Będą zające upolowane w puszczy zamiast niedźwiedzia.

– Na cześć jednego z nich jużem ułożył elegię. Odczytać? – spytał.

– Ależ tak! I siadajcie, proszę.

Przymknąwszy oczy słuchała jego deklamacji.

*„Szybszego ode mnie nie znano zająca,
Lecz gdym zobaczył przecudną królową,
Stanąłem, dziwnym olśniony urokiem.
Dałem się schwytać, by na nią spoglądać,
Uległem z dumą, że mnie ta schwytała,
U której Jowisz chciałby być w niewoli...”*

– Mamma mia! – roześmiała się mimo woli. – Szybszego od was nie znano pochlebcy! Ani większego.

– Być może – przyznał. – Ale nie wstyd nim być w orszaku samej Junony.

– Grazie... Więc dał się, biedaczek, schwytać, by na mnie spoglądać? Carino – śmiała się już głośno.

Krzycki skłonił głowę, kładąc rękę na sercu. Nie wiedział, że przybył w samą porę, że ten śmiech rozbrzmiał we wszystkich pokojach i że zaraz po jego odjeździe z ust do ust leciała powtarzana w zameczku wieść: Śmieje się! Pierwszy raz od tylu dni! Jutro chce widzieć na rannej audiencji królewicza. I córki. Nie do wiary! Córki? Si, si! Chce nawet wyjść do ogrodu”.

Wyszła istotnie z komnat następnego popołudnia, kiedy kurzawą leciały przez trawnik rude liście, i odetchnęła pierwszy raz pełną piersią. Świat istniał mimo jej smutków, niebo nad jej głową było granatowe, błyszczały w bladym słońcu nici babiego lata. Usłyszała szczekanie psów i cała ich sfora wypadła nagle zza węgła, rzucając się ku niej. Opędzała się od hałaśliwych towarzyszy królewskich polowań najpierw dobrotliwie, potem z rozdrażnieniem, któremu podlegała coraz częściej.

– Łasicie się i szczekacie. Wy także. Nie gryź! Nie liź! Basta! Muszę zebrać myśli. Przepędzić psy! – krzyknęła wreszcie do nadbiegającego pacholka. – Chcę być sama. Zupełnie sama!

Starając się opanować rozszczekaną sforę, patrzył nie bez zdziwienia, jak idzie pustą aleją, jak oddala się i wreszcie niknie w jej głębi.

*

Królewski dwór powrócił na zamek wawelski i od razu jedna zła wieść z południa zaczęła gonić drugą. Król Ferdynand nie ustępował z Węgier, Zapolya także abdykować nie chciał.

Przerzucając listy przywiezione z Budy przez specjalnych gońców, Bona podała jeden z nich kanclerzowi Szydłowieckiemu. Obok niej stał Alifio, którego chciała mieć za świadka tej rozmowy.

– Nieszczęsne Węgry – westchnęła. – Wszędzie pogorzel, ruiny. A Turcy, jak pisze król Ferdynand, czyhają gotowi do ataku. Nie! Nie! Potrzebujemy wreszcie pokoju. I ludzi. Nie pozwolimy co roku pędzić jasyru na wschód.

– Wiedeń nalega na wspólną rozprawę z Turkami. Zanim ruszy Soliman – zauważył kanclerz.

– No! Nie teraz. Powzięliśmy już decyzję. Z Turcją zawrzemy pokój bez oglądania się ma Wiedeń.

– Ależ, miłościwa pani, król rzymski...

– Ma to, czego sam chciał. Bez nas zdecydował o sukcesji, tedy i wojnę z Turkami będzie prowadził bez nas.

– Może to zostać zrozumiane przez niego i przez cesarza jako zerwanie stosunków z Habsburgami – przypomniał Szydłowiecki.

– I słusznie. Nadto rosną w potęgę. Cesarz Carolus wypiera z Italii Walezjuszów. Ferdynand pozbywa się nas z Pragi i z Budy. Na przyszłość potrzebne Jagiellonom całkiem inne aliance.

Pewniejsze.

Szydłowiecki przygryzł wargi.

– To gra wielce niebezpieczna. Także Tarnowski widzi konieczność włączenia się naszych wojsk do rozprawy z Turkami.

– Och, Tarnowski! – W jej głosie była nutka pogardy. – Opętan żądzą walki z półksiężycem. Dlatego i prohabsburski, że Turcji przeciwny.

– A czy miłociwemu panu znane są plany Waszej Królewskiej Mości? – zapytał po chwili kanclerz.

Roześmiała się dobrotliwie.

– O si! Si! Czyż robię cokolwiek wbrew jego woli? Tym właśnie jestem silna, że opieram się na królewskim ramieniu mocno, bardzo mocno. Pamiętam, że smok Sforzów jest niczym wobec wielkiego, potężnego smoka na Wawelu...

Szydłowiecki skłonił głowę i wycofał się w milczeniu. Gdy została sama z Alifiem, spytała:

– Widzieliście jego oczy? Bardzo złe.

– Ale tym razem kanclerz nie myli się – odparł. – Miłociwa pani zaczyna grę niebezpieczną. Tarnowski w strachu, że Turcy mogą zająć część Węgier, a potem zagrozić i naszym południowym ziemiom.

– Jeśli zawrzemy z nimi pokój? No! Certamente no! Tarnowski umie bić wroga, ale nie umie myśleć. I choć zawsze stawia na Habsburgów, przegra teraz ze mną. Pragnę zmiany aliansów. Francja! Oto czego nam trzeba dla pohamowania ataków sąsiadów.

– Wależjusz zajął walką z cesarzem – próbował doradzać.

– Tymczasem ani cesarz, ani Ferdynand nie darują, będą się mścić. Mimo zakończenia warszawskiego śledztwa w Wiedniu już zaczęto powtarzać plotki o otruciu mazowieckich książąt.

– Wiem. Otruciu! przeze mnie. Santa Madonna! Tedy mam stać w miejscu? Bo tylko ten, co stoi, nie natrafia na opór. A ja stać nie chcę!

Nie chcę! Nie chcę!

Wiedzieli o tym dobrze jej wrogowie zebrani nazajutrz u Szydłowieckiego.

– Królowa gani teraz wszystko i wszystkich – zapewniał kanclerz Tarnowskiego i Drzewickiego. – Co wczoraj było dobre, dzisiaj złe.

– Słyszałem sam – przyznał Tarnowski – jak mówiła: „Polakom zawsze się zdaje, że ulepieni są z innej gliny aniżeli wszyscy ludzie”.

– Kallimach dla niej najdoskonalszym wzorem, bo Italczyk. A tymczasem z rąk do rąk przechodzi ten oto zjadliwy traktat... – Szydłowiecki pokazał gościom jakiś pergamin.

– Czyj? Może Krzyckiego?

– Och! – mruknął kanclerz. – Tego przeciągnęła na swoją stronę. I stępiła jego dowcip. Nie. To utwór anonima. Tytuł: „Rady Kallimachowe”. Na szczęście, jeszcze powszechnie nie znany.

– Ciekawe – rzekł biskup Drzewicki. – I jakież są te rzekome rady?

Szydłowiecki rozwinął rulon i zaczął czytać na głos:

„Primo – król winien nie dopuszczać do uchwalania żadnych nowych przywilejów dla szlachty. Secundo – winien oprzeć silną władzę na pełnym skarbcu. Niech stan szlachecki płaci podatki także i na stałe wojsko. Tertio – winien urzędy nadawać uczciwym, a z braku uczciwych, sprzedawać je przez zaufanych pośredników. Quarto – tym, co nie pracują i mają czas, dać się wygadać; i quinto – dać się napić i najeść. Bo jak Polak głodny – to zły”.

Drzewicki oburzył się bardzo szczerze.

– Okrutne drwiny z Kallimachowych rad. Z jego myśli przecie niegłupich.

– Cóż! – odparł Tarnowski. – Nam w Polsce myśli owego Italczyka nie w smak. To nie Mediolan, nie Neapol i nie królestwo Bari. To Kraków.

– Królowa ma nas, wielmożów, za nic – stwierdził kanclerz. – A dla poetów i mężów uczonych więcej robi Kmita na Wiśniczu niż Bona na Wawelu.

– Kmita? Wolne żarty! Gromadził wokół siebie podejrzanę żywioły, jedna stronników. Urządza biesiady dla krzykliwej zgrai szaraczków – wybuchnął Tarnowski.

– Mości panowie! Więcej spokoju! – łagodził biskup. – Mielicie mówić o zmarłym Kallimachu i jego radach, a nie o żywym Kmicie.

Ale Tarnowski zaprzeczył:

– Chcieliśmy mówić o niej, głównie o niej! Królowa próbuje tak i owak. Odmienić chce wszystko, nawet naszą politykę. Nie widzi niebezpieczeństwa ze strony Turków, którym teraz już tylko w przymierzu z Wiedniem możemy stawić czoło.

– Czyżby to była prawda, że za cel życia postawiliście sobie walkę z niewiernymi? Jakowąż kruczają? – dopytywał się Drzewicki.

– Ale tak! Tak, właśnie – przyznał. – Przysięgłem sobie wyprzeć ich zewsząd, gdzie są w Europie, odrzucić daleko od naszych granic. I chcę czy nie chcę, muszę być sojusznikiem tych, którzy w walkę z półksiężycem są uwikłani. Już teraz! Dziś.

– Królowa zarzuca wam właśnie to: sojusz z Habsburgami – szepnęła biskup.

Tarnowskiemu krew buchnęła do twarzy.

– A mnie już obrzydły i jej sąd, i zuchwałe rządy. Nie bywało tak, kiedy przodkowie moi, Leliwici, doradzali Piastom. Dalibóg, ich żaden babski trzewik nie uwierał i nie cisnął!

– To prawda – przyznał Szydłowiecki – że zaczyna już rozdawać dworskie urzędy, i to cichcem, Italczykom. Obsadza też biskupstwa swoimi stronnikami. Jeszcze trochę, a...

– Mości panowie! – przerwał Drzewicki. – Czy nie daliśmy się zastraszyć my, dojrzałym mężowie, jednej niewieście? Bardzo jeszcze młodej?

– Ma smoka w herbie – rzucił Tarnowski.

– Ale ów smok trzyma dziecię w pysku – sprostował biskup wstając. – Nie jestem niemowłkiem i nie dam się pożyć. A to ulotne pismo może być wielce niebezpieczne.

– Czemuż to?

– Bo zawiera, mimo drwin i szyderstwa, także ziarenka prawdy. A przecież wasze miłości nie chcą chyba, aby te ziarna zakiełkowały w polskiej ziemi?

Skłonił się i wyszedł, a Tarnowski z Szydłowieckim przerwali się spojrzeniami. Czyżby i tego dostojnika przeciągnęła na swoją stronę ta niewiasta ze smokiem w herbie?

Ona tymczasem skarżyła się swemu kanclerzowi:

– Był to rok pełen nieszczęść i zgrzyoty. Może następne będą lepsze? Za parę dni świętować mamy rocznicę urodzin króla. Już sześćdziesiątą pierwszą. I zaraz potem rocznicę mojego tu przybycia. Wiecie, którą?

– Nie do wiary, ale dziesiątą – odparł Alifio.

– Si, nie do wiary. Kiedy o tym myślę, kiedy liczę lata tu przebyte, czuję się zmęczona, pragnęłabym odpocząć...

– Może wyjechać na jakiś czas? – zapytał. – Choćby do Bari. Tam od Adriatyku zaczyna już zawiewać ciepły wiatr...

– Przestańcie! – krzyknęła. – Basta! Tyle mam jeszcze do dokonania tutaj. Po śmierci Olbrachta byłam załamana, ale zrozumiałam jedno: czekanie na trzeciego następcę tronu może być tylko próżnym czekaniem. Pora więc otoczyć szczególną opieką tego, który już jest. Myślę, że zgodnie z obietnicą tajnej Rady litewskiej nadszedł czas, aby wynieść go na tron wielkksiążęcy.

Patrzył na nią zdumiony, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

– Wynieść na tron... nieletniego? – powtórzył.

– Si. Dlaczego by nie?

– Najjaśniejsza pani przyzna, że to pomysł... nader śmiały.

– Śmiały? – zdziwiła się. – A jakież mogę mieć pomysły? Nieśmiały?

– Będzie wielu przeciwnych jego wyniesieniu. Zaczną bruździć niechętni waszej miłości: Tarnowski, Szydłowiecki...

– Tego się nie boję – przerwała. – Kanclerz piastuje teraz w Koronie aż dwa intratne urzędy, a tak być nie powinno. Na pewno nie zechce narażać się sejmowi i będzie milczał.

– Miłościwa pani...

– Och, przestańcie! Chcę działać, póki nie minęła młodość.

– A czy najjaśniejszy pan wie już o tych planach? – zapytał nieśmiało.

Obrzuciła go drwiącym spojrzeniem.

– Czy wie? – powtórzyła. – Tak, to jest pytanie właściwe. Dowie się o nich jeszcze dzisiaj wieczorem.

I dotrzymała obietnicy. Krążyła dookoła króla siedzącego w fotelu jak ćma wokół płomienia świecy tak długo, aż zmęczony zaczął bronić się coraz słabiej, i zrozumiała, że wkrótce ulegnie.

– Wynieść, wynieść! – powtarzał. – Ależ to nie na siły wasze.

– Czemu? – wybuchła. – Starczy mi sił i chęci. Mam już dosyć błogosławionych stanów...

Urwała, a on patrzył na jej piękną, dumną głowę, na oczy ciskające gromy, na całą postać wciąż jeszcze zgrabną, strojną w złotogłów i purpurowy aksamit.

– Macie dość... – powtórzył, jakby nie dowierzając.

Ale ona zmieniła nagle ton i powiedziała ciszej, ze smutkiem:

– Dręczy mnie ustawiczny lęk o przyszłość Augusta. Niepewną... I dlatego...

Milczeli chwilę, wreszcie król rzekł:

– Tedy wynieść... Ale jak takiej rzeczy dokonać? Obietnicę Litwinów przekształcić w czyn? Każdy powie o tym: horrendum!

– Wiem – zgodziła się – że to nie będzie łatwe. Ale jeśli przygotuję dobrze grunt, zrobię, kogo trzeba w Radzie wielkksiążęcej... Pozyskałam niedawno starostę żmudzkiego Kieżgajłę. To wielki pan, ma wiele tysięcy poddanych i licznych zwolenników wśród szlachty.

– Kieżgajło? A jaką otrzymał obietnicę? – spytał król.

– Wakującą kasztelanię trocką... Pozyskani także przeze mnie: wojewoda połocki Piotr Kiszka, dziedzic ogromnych dóbr, i wojewoda nowogrodzki Zabrzeziński.

– To wiele, ale zgoda Rady nie wystarcza. Wyniesienie na tron wielkksiążęcy wymaga uchwały litewskiego sejmku.

– Jako władca Litwy możecie zwołać sejm do Wilna na jesień...

– Już teraz? – spytał. – Tak wcześnie?

Poprawiła się szybko:

– Tego roku świętować będziem uroczystość mojego przybycia na Wawel. Tedy może na jesień przyszłego roku? Jednakże działać trzeba już teraz, i to presto, presto! Czytaliście rady Kallimachowe? Ktoś buntuje panów małopolskich przeciwko mnie. Warto wykorzystać życzliwość litewskich wielmożów i wysłać do Wilna męża zaufanego, wielce roztropnego...

– Tedy wyślijcie znów biskupa Międzyleskiego. Zna tam wszystkich i najlepiej, najostrożniej działać potrafi.

– Przednia myśl... Santa Madonna! Gdyby w tymże roku udało się jeszcze doprowadzić nie tylko do upragnionej przez was inkorporacji Mazowsza, ale i do zaślubin księżnej Anny z Odrowążem – byłby to rok szczęśliwy. Należy się nam taki za wszystkie ostatnie niepowodzenia. Za gorzkie zawody...

Biskup Międzyleski w asyście Alifia stawił się na audiencję już w dwa dni potem.

– Radam wielce – przywitała go królowa – że to wy z wyboru króla załatwicie sprawę.

– Powołania królewicza na tron wielkksiążęcy? – zapytał. – Ale czy Wasza Królewska Mość w samej rzeczy nastaje na to, aby po uchwale sejmowej, jeśli taka zapadnie, uroczystości odbyły się w tronowej sali zamku wileńskiego?

– Si, nastaje. Mają mu bić czołem przedstawiciele wszystkich litewskich stanów. Miecz i kołpak wielkksiążęcy wręczy królewiczowi Rada, a potem złoży mu powinny hołd.

– Rozumiem. Ma to być akt, z waszej woli, nad wyraz uroczysty?

– Tak. W imieniu małoletniego syna król przyrzeknie, że wszystkie przywileje wydane na Litwie przez jego poprzedników zostaną zachowane.

Biskup zastanawiał się, coś w sobie ważył.

– A kiedy można spodziewać się przyjazdu Waszych Królewskich Mości do Wilna? – spytał wreszcie.

– Sejm nie zbierze się tej jesieni. Dlatego stąd, z Wawelu, będziemy śledzić wasze poczynania. Ślijcie często gońców. Wierzę, że spotkamy się z Waszą Eminencją na zamku wielkksiążęcym już za rok. Si. Najpóźniej za rok...

*

Jesień 1529 roku była świetlista, pogodna i tak sucha, że wcześniej zaczęły czerwienieć buki i złocić się dęby. Ale na zamku królewskim w Wilnie panował smutek, dworzanie snuli się po komnatach bez szmeru i rozmawiali tylko półgłosem. Zaraz po przybyciu na uroczystości związane z wyniesieniem na tron wielkksiążęcy Augusta król poważnie zachorzał. Medycy mówili o przeziębieniu, o osłabieniu serca długą podróżą, ale Bona wiedziała, że dolega mu niepewność, obawa przed dokonaniem czegoś, czego nie znały dotychczas dzieje królestwa. Uciekł w gorączkę, jak niedźwiedź zapadający w zimowy sen i jak on leżał bezwładny, potężny a zupełnie bezbronny.

Królowa nie opuszczała komnaty chorego ani na chwilę i odtrąciła gwałtownie rękę Anny, gdy ta próbowała podać jej gorącą polewkę.

– Mówiłam: odejdz.

– Najjaśniejsza pani...

– Wyjdz.

– Odkąd przyjechaliśmy do Wilna, miłościwa pani nie miała nic w ustach.

– E allora? Nie będę jadła. Nie będę piła. No!

– A przecież najjaśniejszy pan ma się już lepiej. Gorączka od wczoraj spadła.

– Nie wierzę! – upierała się królowa. – Ani naszym medykom, ani wileńskim. Patrzą na śpiącego i drzę z lęku. Santa Madonna! A nuż się nie obudzi?

– Koronacja i uroczystości na zamku dopiero za tydzień. Do tego czasu najjaśniejszy pan będzie zdrow...

– A jeżeli nie? O Dio! Nie mogę o tym mówić. Nie mogę nawet myśleć...

Gdy dworka wyszła, pochyliła się nad śpiącym i dotknęła ręką jego czoła. Ku jej zdumieniu Zygmunt poruszył głową i otworzył oczy. Milczał długo oszołomiony, wciąż jeszcze senny, wreszcie wyszeptał:

– Królowa?

– Si. Jestem – pochyliła się jeszcze niżej nad łóżem.

– Jesteście?

– Jakże inaczej?

Wykonał bezsilny ruch ręką, wyrażający powątpiewanie.

– Wierzcie mi – przekonywała go gorąco – ja przy was. Zawsze? Zawsze! Może nieraz mówiłam w gniewie, sprzeciwiałam się waszym rozkazom... Ale to wszystko nic nie znaczy.

– Teraz... – skinął głową.

– Teraz ważne tylko jedno: żebyście zmagli chorobę. Wstali z łoża.

Mówił już głośniejszym głosem, z jawną goryczą:

– Inaczej przyszłość Augusta nie dość jasna?

– Także i to. Ale, o Dio, przecież ja...

Przerwał jej znowu:

– Nie starajcie się wyjaśniać, przeczyć...

– Zaprzeczyć muszę! – zapewniała. – Jesteście potrzebni. Wasza generosita, wasza dolcezza! Będziecie zdrowi. Dla mnie. Si, dla mnie! Bo chcecie być zdrowi. Caro mio...

Z pobłażliwym i gorzkim uśmiechem na wargach król znowu przymknął oczy. Nie chciał, mówić, czy nie mógł? A może zasnął?

Uroczystość wyniesienia na tron wielkoksiążęcy odbyła się według sugestii Bony i była wielkim triumfem zarówno pary królewskiej, jak i dziewięcioletniego księcia. Wyszedł ze świątyni pierwszy, strojnie odziany, w kołpaku wielkoksiążęcym na głowie, a zebrany tłum Litwinów i Polaków wiwatował długo na jego cześć. Po wspaniałej uczcie, gdy Zygmunt udał się na odpoczynek, królowa weszła do swych komnat z Alifiem.

– Nareszcie! Nareszcie! – powtarzała szczęśliwa, podniecona. – Grazie a Dio! I aż dziw, że poszło łatwiej z litewskim sejmem niż przed laty z tajną Radą.

– Widać zdążyli oswoić się z ową myślą – zażartował.

– Niełatwo nauczyć się tej Polski. Tedy jak? Nadal oswajać czy zaskakiwać? – spytała.

– Można próbować obu sposobów – doradził.

– E vero! Bene. Powiadomimy o dzisiejszej uroczystości wszystkie królewskie dwory, a także cesarza i Rzym. Przed nami dalsza walka: koronacja Augusta na polskiego króla.

– Sposobem którym?

– Raczej... zaskoczeniem. Dalej dochodzi ten, kto stąpa w miękkich cizmach. In silenzio...

– Miłościwa pani nie boi się niczego i nikogo – stwierdził z podziwem.

– Wy i pochlebstwo? Po co? Santa Madonna! Dobrze wiecie, że jednego boję się jak ognia: elekcji i zamieszek po... po śmierci najjaśniejszego pana. Tron niepewny, nie dziedziczny jak na Litwie. Zgłosić się mógłby nawet Albrecht pruski. Si, si! August jeszcze dziecko, potrzebowałby pomocy opiekuna, regenta. Nie sądzę, aby zechciano powierzyć regencję mnie. Tedy czyż nie lepiej od razu mieć dwóch królów?

Starego i młodego!

– Ależ odkąd Polska Polską nie rządził w niej równocześnie ojciec i syn! – zgorszył się kanclerz.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Mój Boże! Wszystko na świecie zdarza się kiedyś po raz pierwszy! Una novita? Si. Ale nie mamy wyboru. Po śmierci Olbrachta jest w Polsce tylko jeden królewicz. I musi mieć zapewniony tron.

Alifio miał jednak wątpliwości, zastrzeżenia.

– Przypominam najjaśniejszej pani, że w Koronie król powinien liczyć się z Radą, przywilejami szlachty i odwiecznym obyczajem. Należałoby zgodnie z ustawą zwołać sejm elekcyjny, w którym wzięliby udział delegaci wszystkich ziem...

– Wszystkich? – przedrzeźniała. – E allora? Jak wtedy zachować tajemnicę? No! Obiorą go królem na najbliższym, zwykłym sejmie w Piotrkowie. I starczy!

– Boję się, że prymas wytknie bezprawie, jako że dynastyczne prawa do polskiej korony zabrała ze sobą do grobu królowa Jadwiga. Potomstwo Jagiełły nie może być siłą narzucane narodowi. To byłby gwałt i wielmoże pierwsi krzyk podniosą! A prymas Łaski tak pragnął odsunięcia możnowładców od wpływów. Teraz, choćby nie chciał przyznać im słuszności, będzie musiał liczyć się...

– O Dio! Niechże przestanie liczyć się, a zacznie sam działać! Zjedналиśmy sobie panów litewskich. Spróbujemy teraz przekonać albo zaskoczyć wielmożów w Krakowie i w Wielkopolsce. Niech prymas Łaski pozwoli im popełnić błąd. Postąpić wbrew prawu i obyczajom. Si. Zrobią swoje, potkną się i cóż, taka kolej rzeczy, będą musieli odejść. Za błędy trzeba, niestety, płacić.

– Boję się, że wytkną najjaśniejszej pani brak znajomości tutejszych zwyczajów. I, powiedzmy, umiaru – upierał się przy swoim.

– Och! Umiar lepiej zachować w marzeniach, nie w rządach.

– Przypuśćmy. A ci ze szlachty, którzy żądają reform? Obiecano im rewizję praw?

– Z tym będą musieli poczekać. Piano, piano... Za to później otrzymają o wiele więcej. Już po wyniesieniu Augusta na oba trony.

– Przez wielmożów?

– Per amor di Dio! Wiecie dobrze, że nie przez tych... Jakże się o nich mówi? Szlachetków... Król tak bardzo nie był pewny reakcji szlachty, że zaraz po uroczystości zapytał Wolskiego, co mówią o kołpaku wielkksiążęcym na głowie dziewięciolatka.

– Niektórzy twierdzą... – zaczął ochmistrz.

– Kto? Gdzie? – przerwał Zygmunt.

– Dworzanie królowej. Tu, na zamku. Że skoro już tak się stało, na grudniowym sejmie w Piotrkowie ktoś mógłby wystąpić także z wnioskiem o elekcję w Koronie, choćby sam podkanclerzy.

– Tomicki? I myślą, że chciałby to uczynić?

– Tak. Że królewicz mógłby już w roku przyszłym być obrany i ogłoszony... królem.

– To wiem – uciął Zygmunt.

– Myślałem, że... to tylko plany królowej, że... – płątał się Wolski.

– Toście źle myśleli. Nic nie dzieje się tutaj bez mojej wiedzy i woli. Ani też – wbrew. Natomiast wszystkim tym gadkom macie zaprzeczać jako marszałek dworu Jej Królewskiej Mości. Liczę na was.

Skinął głową i Wolski wycofał się zmieszany. W drzwiach spotkał się jednak z wchodzącą królową i pożałował własnej szczerości.

Bona patrzyła za nim z drwiącym uśmiechem.

– Przychodził donieść o dworskich plotkach? – spytała.

– Tajemnica niełatwa do utrzymania. Sam wiem, że dopiero w Piotrkowie rozstrzygnie się wszystko: albo posły i senatorzy dadzą się zaskoczyć wnioskiem Tomickiego i powiedzą „tak”, albo...

– Nie wierzę, by zdążyli się skrzyknąć i głosować „nie” – zapewniła.

– Mogą się opamiętać i zrobić to po sejmie, już w Krakowie...

– Trzeba więc mieć posłów na oku stale, in permanenza – radziła. – I nie zostawiać im czasu do opamiętania.

Ale król znał szlachtę lepiej.

– Gotowi pytać, kiedy odbędzie się koronacja? – rzekł.

– Certamente no! Nie przyjdzie im na myśl, że stanie się to tak prędko, kilka miesięcy po uroczystości wileńskiej. Jednakże – dodała – warto skrócić przygotowania do koronacji.

– A jeżeli...

– Po elekcji nie boję się już żadnego „jeżeli”. Mówicie: terminy? Dają się one przyspieszać albo opóźniać, ugniatać jak wosk. Per Bacco! Po to chyba wymyślono terminy?

Jednakże ich przyspieszania przez parę królewską i przygotowań do koronacji nie dało się ukryć. Rządy Zygmunta, od chwili wtrącenia się do nich Bony, stały się tak odmienne od tego, do czego nawykła średniowieczna Polska, że musiały stać się przedmiotem rozmów, narad, plotek. Magnaci bronili się zarówno przed atakami szlachty żądającej naprawy Rzeczypospolitej i ograniczenia władzy senatu, jak przed jawnymi już teraz zakusami królowej. Ta pojętna uczennica Machiavella i Kallimacha dążyła wyraźnie do wzmocnienia władzy królewskiej, do narzucenia wszystkim woli własnej.

Niepokoili się więc wszyscy, choć tym razem królowa na jakiś czas stała się mniej ruchliwa, mniej czynna. Przyczyną jej troski była nagła, ciężka choroba biskupa Międzyzleskiego. Był oddanym, bardzo zręcznym dyplomata i to jego zabiegi na Litwie przyczyniły się głównie do wyniesienia Zygmunta Augusta na tron wielkoksiążęcy. W czasie przygotowań do koronacji mógłby być bardziej przydatny niż kto inny. Nakazała więc sprowadzić do łoża chorego najlepszych medyków, dowiadywała się co dzień o stan jego zdrowia. Ale Międzyzleski – choć raczył odwiedzić go także prymas Łaski i zapewniał, że wyzdrowieć musi, albowiem nikt go nie zastąpi ani u jego boku, ani jako doradcy królowej – wysłuchiwał tych nieco spóźnionych

dowodów uznania z pobłażliwym uśmiechem. Był dobrze świadom roli, jaką odgrywał w okresie sporządzania z inicjatywy prymasa zbioru praw, nazwanego potem „Statutem Łaskiego”, a także wiedział, z jakim trudem przyszło mu ugłaskanie i zjednanie dla planów Bony wielmożów litewskich. Jego serce przemęczone nadmiarem pracy odmawiało teraz, zbyt wcześnie, posłuszeństwa. Co jednak oznaczają słowa „zbyt wcześnie”? Nic. Miał życie ciekawe, bogate, dążył do naprawy Rzeczypospolitej, zdobył szacunek w Koronie i na Litwie. Jediną rzeczą, jaką by sobie wyrzucał, byłoby przedczesne wyniesienie na tron małego księcia, a zarazem królewicza. Jakieś plotki dochodziły teraz do jego łóża, powodując za każdym razem tępy ból w sercu. Dwaj królowie w Polsce? Temu musiałby się sprzeciwić, odradzić prymasowi udzielenia zgody na taką koronację. I kto wie, czy to nie święty Wawrzyniec, którego imię nosił, powalił go w chwili, gdy musiałby zostać obalony i znienawidzony przez Bonę? Może chciał mu zaoszczędzić tej nierównej walki? Czuł, że śmierć jest już bliska, ale wolał widzieć jej triumf, niż zobaczyć triumfującą królową u stóp swego łóża... Bo mógł służyć jej wiernie tylko w zgodzie z sumieniem własnym, nie inaczej...

*

Śmierć biskupa Międzyleskiego, chowanego bardzo uroczyście przez samego prymasa, wzbudziła nadzieję w obozie przeciwników Bony i na krótko przycichły wieści o jej ambitnych planach dotyczących syna. Ale już jesienią tego samego roku, gdy August został wielkim księciem Litwy, sam król zaczął omawiać sprawę elekcji Augusta na tron Polski z podkanclerzym Tomickim, po czym wezwał na Wawel swych najwierniejszych sprzymierzeńców: kanclerza Szydłowieckiego i hetmana Tarnowskiego. Siedzieli obaj, czekając na audiencję w jednej z sal zamkowych, i zgadywali, co za chwilę usłyszą.

– Czyżby elekcja już teraz, na najbliższym sejmie w Piotrkowie? – zastanawiał się Tarnowski. – To byłoby wbrew spodziewaniu wszystkich. I nie mogłoby dojść do niej, gdyby na uroczystości do Wilna zjechał był książę Albrecht pruski.

– Ale nie zjechał – odparł kanclerz Szydłowiecki – bo w myśl umowy miał być zapraszany tylko w wypadku ważnych i uroczystych aktów w Koronie. Nie zostanie też zaproszony na sejm piotrkowski, ma to być bowiem sejm zwykły, nie elekcyjny.

– Zgłosi protest – mruknął kanclerz.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Kmita.

– Kto zgłosi protest? – zapytał.

– Każdy, kto uczciwy – rzekł wykrętnie Szydłowiecki.

A Tarnowski dodał napastliwie:

– Wy wiedzieliście, mości marszałku, że coś się tu szykuje? Wiedzieliście i kryli z tą wieścią. Wygodniej było milczeć, niż ostrzec wszystkich senatorów.

– Dalibóg, napaść na gładkiej drodze! Nie wiedziałem i nie wiem o niczym – odparł Kmita.

– Łgarstwo! – warknął Tarnowski.

– Jak? Obraza to i oszczerstwo – zaperzył się pan na Wiśniczu.

– Wstyd i hańba! – atakował już Tarnowski. – Senatorem będąc nie powiadomić nikogo z nas. Nawet mnie, waszego krewniaka.

Ale Kmita wycedził przez zęby tylko jedno słowo:

– Szczebrzeszyn.

– Tu nie idzie o wasnie rodowe – zachnął się hetman – tylko o dobro całej Rzeczypospolitej! O narzucanie nam bez zgody senatu, podstępem, nowego władcy! O łamanie prawa!

– Prawa? – drwił Kmita. – I to mówicie właśnie wy? A mój Szczebrzeszyn?

– Mości panowie... – próbował łagodzić Szydłowiecki.

– Szczebrzeszyn zostanie przy mnie, bo i ten proces wygram, i następny! Nie ustąpię. Słyszysz?! Aż do zgonu! – pienił się hetman.

– To dobra moje, matczyne!

– Siostrzane – sprostował Tarnowski, ale jego daleki krewniak upierał się przy swoim.

– Matczyne!

– Na Boga, ciszej! Nie teraz! – prosił kanclerz.

– I jeszcze za jedno zapłacisz Leliwitom: za zdradę rodu – mruknął już ciszej Tarnowski.

– Lepsze to niż zdrada królowej – odparł Kmita.

– A? W tym rzecz? Wysoko mierzysz. Za wysoko. I przegrasz! Pamiętaj: kto nie z nami, tego zdusim jak najlichszego robaka.

– Czemuż to? Bo król jest wasz, zawsze po stronie senatorów? Ale czy będzie tak na najbliższym sejmie?

– Więc wiesz?

– Nic nie wiem – wycofał się Kmita. – Przecie to wy przypięci do królewskiej ręki, nie ja. Ale jeśli myślicie, że król sprzeciwi się woli małżonki, to na ten raz jesteście w błędzie. Po śmierci Międzyleskiego pomagać jej zaczął sam w przeprowadzeniu planu koronacji Augusta. I jest po jej stronie.

– Ten zwykły sejm nie może przeprowadzić elekcji. To byłoby bezprawie! – upierał się Tarnowski.

Ale Kmita zatrzymał się w drzwiach.

– A Szczebrzeszyn? – spytał i wyszedł.

– Dalibóg, nie zdzierzę! Ubiję! – miotał się hetman.

– Hamować się wypadnie i pogadać z królem – radził kanclerz. – Może da się uzyskać choć tyle: koronacja nieprędko, po latach, gdy Zygmunt całkiem z sił opadnie.

– Otóż to! Obietnica dziedziczenia, a nie obiór drugiego króla – zgodził się Tarnowski. – Tamto byłoby rzeczą niesłychaną! Spiskiem uknutym przeciwko senatorom. Ten italski smok pożreć wkrótce gotów wszystkich!

Szydłowiecki zmarszczył brwi.

– Kto by uwierzył, że w Piotrkowie może wkrótce dojść do zamachu stanu? Ciekawe, co

wtedy powiedzą na to Habsburgowie? I księżę Albrecht?

Ale nikt nie zdążył sprzeciwić się ani przyganić, ponieważ obu dostojników Zygmunt zobowiązał do zachowania jego zamiarów w tajemnicy, a przybyli na zwykły sejm posłowie i senatorzy nie spodziewali się, że zamieni się on w sejm elekcyjny. I kiedy podkanclerzy Tomicki zgłosił wniosek w sprawie wyniesienia na tron polski wielkiego księcia Litwy, nie odważył się zaprotestować nikt. Tak więc bardzo pośpiesznie, za zgodą wszystkich, obrano królem dziewięcioletniego Jagiellona.

Dopiero w Krakowie, jak przewidywał Zygmunt I, szlachta oprzytomniała na tyle, aby szukać pomocy u prymasa Łaskiego. Ten przyznał, że taka koronacja *vivente rege*, a więc za życia króla, nie była przewidziana w jego statutach praw, niezgodna jest z ustawą *Nihii novi* i ze zwyczajem, ale na tym oświadczeniu poprzestał. I gdy na dwudziestego lutego wyznaczono koronację młodego władcy, arcybiskup gnieźnieński, a zarazem prymas Polski sam zgodził się ukoronować nieletniego Augusta.

*

Uroczystość zapowiadała się nad podziw wspaniale. Zjechał na nią księżę Prus Albrecht z małżonką, przeszło dwudziestu wojewodów oraz kasztelanów, możni panowie z Litwy, liczna szlachta.

Na tronach ustawionych niedaleko ołtarza zasiadła para królewska, młody księżę podszedł do ołtarza w białej dalmatyce rozciętej na piersiach i plecach. Bona pamiętała tylko jak przez mgłę uroczystość własnej koronacji i nie spuszczała teraz oczu z chłopaka, który – ciemnowłosy i ciemnooki, bardzo piękny i do Sforzów podobny – poddawał się z wielką powagą rytuałowi ustanowionemu od wieków. Jednakże, ku zdziwieniu królowej, odmienny dla króla był i sam przebieg obrzędu, i formuła wypowiedziana przez obu: prymasa oraz koronowanego władcę. Słuchała więc uważnie, ażeby zapamiętać, co musiał przyrzec młody król i o ile większą otrzymał w tej chwili władzę od niej, gdy klęczała przed tymże ołtarzem przed dwunastoma laty.

Przysięga królewska była odmienna, prymas bowiem zadał mu aż dwa pytania: „Czy chce zachować wiarę katolicką i służyć uczynkom sprawiedliwości?” – na co młodzik odpowiedział głośno i wyraźnie: „Chcę”. To samo słowo powtórzyć musiał przy pytaniu: „Czy chce królestwo dane mu od Boga strzec, rządzić nim sprawiedliwie i stawać w jego obronie?” Wtedy prymas zwrócił się do asystujących tłumów w katedrze i zapytał donośnym głosem:

– Czy chcecie być poddanymi królowi, jako swojemu przełożonemu, utwierdzać jego królestwo i być posłusznymi jego rozkazom?

Czekała na odpowiedź „tak”, ale cała świątynia wypełniła się krzykiem powtórzonym po trzykroć:

– Radzi! Radzi! Radzi!

Dopiero po tej aklamacji biskupi koncelebrujący włożyli infuły i usiedli na taboretach, prymas zaś, wciąż jeszcze stojąc przed królem-dzieckiem, rozkazał:

– Przysięgnij!

Słyszała, pełna wzruszenia i dumy, jak wypowiadał spokojnie, nie myląc się, te słowa:

– Przysięgam wobec Boga i jego świętych Aniołów, że będę strzegł prawa i sprawiedliwości, zachowywał pokój świętego Kościoła Bożego, poddanym – wedle możliwości – okazywał miłosierdzie, a biskupom i prałatom Kościoła oddawał cześć należną.

Na chórze czyste i jasne głosy zaintonowały „Kyrie eleison”, a zaraz potem „Agnus Dei”, prymas zaś zaczął błogosławić miedzianka:

– Boże, który wszystkie królestwa trzymasz w swojej mocy, błogosław tego króla Zygmunta Augusta, jak błogosławiłeś króla Dawida, by jak Salomon rządził swym królestwem w pokoju, a w jego dniach obfitowała sprawiedliwość i przez to z radością osiągnął królestwo niebieskie. Przez Chrystusa Pana Naszego. Amen.

Ze stropu buchnęło triumfalne „Alleluja” i dwaj biskupi podali prymasowi oleje w złotym kielichu okrytym jedwabną sukienką. Pacholęta niosły nad tym kielichem baldachim. Po czym arcybiskup Łaski namaścił głowę, pierś, plecy i ramiona Augusta, mówiąc:

– Namaszczam cię na króla olejem poświęconym w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Pokój z Tobą.

Tak samo jak przed laty chór radował się, iż „namaścił Salomona Sadok kapłan i Natan prorok na króla Syjonu”, ale zaraz potem prymas narzucił purpurowy, złotem bramowany płaszcz na ramiona króla, mówiąc:

– Przyjmij pałasz, który oznacza cztery strony świata poddane mocy Bożej – i włożył mu do prawej ręki nagi miecz.

Jej nie dano miecza, patrzyła więc jak urzeczona na syna. Tymczasem ten odwrócił się ku wiernym, a zarazem swoim poddanym, i z niejakim trudem złożył się mieczem na cztery strony świata, po czym oparł go o lewe ramię. Podszedł miecznik, odebrał miecz i włożywszy do pochwy podał prymasowi, ten zaś błogosławił białą broń, mówiąc:

– Błogosław, Panie, ten miecz, aby służył ku obronie Kościoła i Ojczyzny, wdów, sierot i wszystkich Bogu służącym przeciw napaści nieprzyjaciół...

Zaraz potem, przy pomocy asystujących biskupów, przypasał ów miecz do boku Augusta, włożył na jego palec pierścień – symbol godności królewskiej, w końcu zaś, patrząc na koronę unoszoną nad głową młodzika przez biskupów koronatorów, wypowiedział te słowa:

– Przyjmij koronę królestwa, która oznacza chwałę i moc twego panowania.

Już w koronie Zygmunt August otrzymał do prawej ręki berło, z zaleceniem:

– Przyjmij berło mocy i posługi sprawiedliwości, abyś kochał słuszość i miał w nienawiści nieprawość...

Jeszcze lewa ręka króla wyciągnęła się po złote jabłko z krzyżykiem i już rozległy się od ołtarza słowa ostatniego błogosławieństwa:

– Niech cię błogosławi i strzeże Bóg, który cię ustanowił królem nad narodem, aby ci dawał pomyślność w życiu doczesnym i uczynił cię uczestnikiem wiecznego szczęścia. Amen.

Bona patrzyła z dumą, jak biskupi współkoronatorzy odprowadzają jej syna-pomazańca przy śpiewie chóru do tronu naprzeciwko i siadają po jego obu stronach. Usłyszała znowu przejmujące „Te Deum” i przy spiżowym dźwięku królewskiego dzwonu cała świątynia zatrzęsała się od okrzyków:

– Vivat rex! Vivat! Vivat:!

To była – musiała przyznać – zgoła inna koronacja, inna wspaniałość. Nikt nie podawał królowej miecza, nie narzucał płaszcza na nie namaszczone ramiona, nie odprowadzali jej od ołtarza do tronu biskupi, jeno panowie świeccy. I wówczas, przed laty, nikt nie wolał jak teraz: „Radzi! Radzi! Radzi!”, jakby szlachta i magnaci wiedzieli, że już po pierwszym dziesięcioleciu współrządów radzi jej nie będą. Musi dowiedzieć się od ochmistrza Wolskiego, czemu nie namaszczone jej ramion? Czemu nie żądano przysięgi na wierność od tłumów? Te myśli przeszkadzały jej cieszyć się w pełni odniesionym w tej chwili zwycięstwem, ale też zagrzewały do dalszej walki o prawo do współrządów, do kierowania polityką królewskiego małżonka.

Tymczasem dzwon nie przestawał bić, tłumy wznosiły wiwaty, uśmiechała się więc, jak łaskawie i przyjaźnie uśmiechał się Zygmunt. Tym razem oboje zgodnie postawili na swoim: dali Rzeczypospolitej Obu Narodów prawowitego następcę, koronowanego władcę i mogli mieć pewność, że po nich, bez żadnych sporów oraz walk, panem i królem na Wawelu zostanie nie kto inny, tylko Zygmunt August, ich pierworodny syn, Jagiellon.

Ale pod koniec koronacyjnej uczty, gdy gwar był już tak wielki, że nikt nie słyszał słów sąsiada, hetman Tarnowski, zupełnie trzeźwy, mówił do Szydłowieckiego:

– Zadrwiła z nas! Wywiodła w pole. Raz jeszcze italski smok triumfuje.

– Na dworach habsburskich popłoch – przyznał kanclerz. – I księżę Albrecht nie tai zawodu. Jakże to? August już koronowanym królem?

– A główni winowajcy – kto? Kmita i Międzyleski! Prymas Łaski też dobry. Przyganiał, ale do końca milczał i w końcu namaścił i ukoronował dziesięciolatka w obecności miłościwie nam jeszcze panującego Zygmunta Starego.

– Powiedzieliście... jak? Starego? Słyszę to pierwszy raz. I jakoś dziwno. Zygmunt Stary. Ale cóż, prawda, stary. Mój rówieśnik.

– Nie chciałem urazić... – zmieszał się Tarnowski.

– Nie czas na układne słowa. Tedy Stary. Ale nasz przeciwnik, prymas Łaski, jeszcze starszy. Co najmniej o lat dziesiątek.

– Myślicie, że...?

– Myślę, że jeszcze nie wszystko stracone, choć na ten raz zwycięstwo po stronie italskiego smoka. Nie zaczął jeszcze obrad sejm koronacyjny. A na nim król i opiekun królewicza muszą poręczyć, że po dojsciu do lat dojrzałych zatwierdzi wszystkie dawne przywileje szlacheckie.

– Poręczycieli musi być chyba aż dwóch?

– Nie zawsze. Ale gdyby było dwóch, drugim mógłby być... księżę Albrecht pruski. Jako

lennik, senator, najbliższy krewniak elekta, może przyszedł regent?

– Zjechał na koronację – zauważył hetman – lecz nie kryje obrazy. Jako lennik miał zapewnione układem krakowskim najbliższe miejsce przy królu. Tymczasem zaskoczono go i elekcją w Piotrkowie, i koronacją pacholęcia.

– Jeżeli będzie poręczycielem, odegrać może przy młodym władcy tę samą rolę, co jego brat Jerzy przy Ludwiku. Rolę piastuna. Mentora. Doradcy...

– To rozwścieczy Bonę, zadowoli raczej Hohenzollernów niż szlachtę.

– Sądzę – rzekł po namyśle Szydłowiecki – że sejm koronacyjny mógłby także uchwalić nową ustawę. I to teraz, od razu. Posłowie na tyle wzburzeni, że z pewnością przegłosują wszystko, co się im podsunie niezgodnego z wolą królowej.

– A ta ustawa mówiłaby o czym?

– O zakazie łamania prawa. Na przyszłość. Na Boga! – gorszył się kanclerz. – Toż to była elekcja za życia panującego! Po raz pierwszy i ostatni! To się powtórzyć nie może. Odtąd sejm elekcyjny – tylko po śmierci monarchy!

– Myślicie, to uspokoi senatorów? I postów! – wątpił Tarnowski.

– Warto jakoś okazać niezadowolenie z samowoli królowej. Bo a nuż urodzi nowego syna? Utrzyma go przy życiu i także vivente rege wyniesie na tron?

– Obok Augusta? – zdziwił się hetman.

– A czemuż by nie? I wtedy nie będzie już końca jej rządów. Nie, nie! Elekcja dopiero po śmierci panującego – kończył swoje wywody już bardzo cicho kanclerz, choć nie podsłuchiwał go nikt.

– Taka ustawa może być plastrem na ranę – przyznał Tarnowski.

– Krwawiącą, mości hetmanie. Mocno krwawiącą...

Ale ponieważ wiwatowano znowu, wzniósł w górę i swój puchar.

Jednakże królowej, zaraz po muzykowaniu i płasach, które zakończyły uroczystość koronacyjną, dopiekło także coś, co zaskoczyło ją samą.

Kazała prosić do swej audiencjonalnej komnaty Zygmunta Augusta. Wszedł po chwili w asyście marszałka Wolskiego i kanclerza królowej Alifia, w płaszczu koronacyjnym, w koronie na głowie, do małego bożka podobny. A że słyhać było jeszcze donośne dzwonięcie w całym Krakowie, Bona, gdy stanął przed jej siedziskiem, rzekła:

– Jeszcze grają dzwony. Słyszysz? Od dzisiejszego ranka zmieniło się wszystko. Jesteś już królem, pomazańcem. Godziło się chłopcu bawić z paziami i dworakami, przebywać w komnatach sióstr – teraz to wszystko jest poza tobą. Rozumiesz?

Powiedział poważnie, z wielką godnością:

– Tak. Mam kołpak, koronę, miecz i berło. Czy będę, jak ojciec, zasiadał w majestacie?

Wahała się, co odpowiedzieć na tak trudne pytanie.

– Si... Masz naśladować najjaśniejszego pana w postawie, w ukłonach, w królewskich gestach...

- Także naradzać się z hetmanem? Chodzić na wyprawy?
- Nie! Na to jeszcze czas.
- Uczyć się rządzić? Od kanclerza Szydłowieckiego? Tomickiego?

Czuła, że wzbiera w niej gniew.

- No! No! I jeszcze raz nie! Skąd ci to przyszło do głowy?
- Wyprostował się nagle, uniósł wysoko głowę.

– Jestem królem.

- Jesteś jeszcze nikim, rozumiesz? – wybuchła. – Małym chłopcem. Rozumiesz? Bambino!

Bambino!

Skrzywił się, zmarszczył czoło.

- Miało się wszystko zmienić. A tymczasem...

Wpadła w pasję.

– Nie wykrzywiaj się! Nie znoszę min! Trzeba cię teraz na nowo formować. Przed przyszłym królem jeszcze długa edukacja. Zajmie się nią marszałek Wolski oraz Italczyk Siculus. Poza tym... Si. Turnieje, psiarnia i łowy... – dodała łagodniej.

- Konie? – zapytał.

Ożywił się, jego oczy zabłyśły.

– Konie, tak. Tylko uważaj! Czasem zrzucają z grzbietu i ponoszą. A ty jesteś jedynym następcą tronu.

- Już nie następcą. Królem – sprostował.

Znów wpadła w gniew.

– Basta! Król? Król z naszej łaski! Z mojej woli! Chciej o tym pamiętać. A teraz... Wasza Królewska Mość może już odejść. Audjencia skończona.

Skłonił się i wyszedł z obu dostojnikami, jednak za drzwiami rzekł do Alifia:

- Nie rozumiem. To przecież ja powinienem teraz udzielać audiencji? Tak czy nie?

Alifio skłonił głowę, lecz odparł wykrętnie:

- Właściwie tak. Ale raczej... nie.

Zygmunt August wzruszył ramionami i westchnął:

- Santa Madonna!

Nie był świadom, że powtarza słowa matki zapamiętane od dzieciństwa, że w tej samej chwili ona, zrywając cenny naszyjnik w swojej sypialni i rzucając go Marinie, wymawiała je z gniewem, ze złością:

– Santa Madonna! Jeszcze i to! Szczenię pokazuje zęby! Imbecille! Na co mu nauki Tarnowskiego, Tomickiego? Żeby wnikał w tajemnice władzy? Po co harce bitewne? Żeby rósł na bohatera w koronie? Co mu się marzy? Nie sądzi chyba, że zepchnie z tronu... mnie? O Dio! Co za ambicje! A może plany podsunięte przez naszych wrogów? Nie słyszałaś?

- Na dworze plotki, szeptki, komentarze. Senatorowie zgorszeni i wściekli...

- Tylko oni? Ja także.

– Najjaśniejsza pani postawiła mimo wszystko na swoim. Królewicz stał się królem – starała się uspokoić swoją panią Marina.

– Si – przyznała. – Nie muszę się już bać elekcji. Drzeć ze strachu jak wtedy, kiedy w Wilnie najjaśniejszy pan był chory. Ale nie po to zdusiłam jeden strach, żeby lękać się znowu. August! Dziesięcioletnie pacholę! Trzeba od razu uciąć wszystkie jego roszczenia, fochy, dąsy! Musi zrozumieć, że w Polsce nie zmieniło się nic. Jest dwóch królów, ale rządzi tylko jedna królowa.

– Królowa matka – potwierdziła Marina.

– Jak? Powtórz. Boisz się? Więc i ty przeciwko mnie? Stupida! Nie życzę sobie. Nie pozwalam! Żadnych zmian! I żadnych dodatków do tytułu. Królowa matka? No! Przez dwanaście lat mówiono o mnie po prostu „królowa”. I będę tak mówić jeszcze długo, bardzo długo. Regina. Regina Poloniae.

– Si. O si! Regina – potwierdziła pośpiesznie dworka.

Nazajutrz czekała ją jeszcze jako królową trudna rozmowa z księciem Albrechtem pruskim. Wiedziała, że Zygmunt przebaczył księciu wszystkie przewiny jako wielkiemu mistrzowi krzyżackiego zakonu i widzi w nim tylko wiernego lennika, syna rodzonej siostry. Ona jednak obawiała się go jako brata Wilhelma, tak niedawno jeszcze zabiegającego o rękę Anny Mazowieckiej, i niebezpiecznego sąsiada dążącego do poszerzenia swych granic. Toteż gdy książę zapytał na wieczyzy w prywatnej jadalni króla, jaki jest program dalszych uroczystości koronacyjnych, odparła:

– Będziecie zawsze przy nas, nieprawdaż, miłościwy panie?

– Tak – odparł król. – Wtedy gdy pokłoni się Augustowi jutro na Rynku cały Kraków i gdy za kilka dni zaczną się sejm koronacyjny.

Przyglądając się uważnie swemu zwycięskiemu krewniakowi, Albrecht spytał:

– Czy to znaczy, że jutro w czasie uroczystości na Rynku po prawej stronie nowego króla zasiądziecie wy, miłościwy panie, a ja zajmę miejsce po jego lewicy?

– Po mojej lewicy – sprostował Zygmunt – a to w myśl powojennych układów krakowskich. Natomiast obok syna siądzie królowa, jego matka.

– Wszelako – nie ustępował książę – sądziłem, że na koronacyjnym sejmie będę drugim poręczycielem Augusta, jako jego brat cioteczny...

– Och! Nie pamiętaliście o tych związkach krwi przez tyle lat wojen... – jakby z żalem odparła Bona.

– Nie jestem już wielkim mistrzem Zakonu – zaprzeczył żywo.

– Tak – przyznała. – Ale jako innowierca nie możecie poręczać przysięgą w katolickim królestwie. Zresztą... Najbliższymi krewniakami i opiekunami małoletniego króla bywają zawsze jego rodziciele.

– Czy mam rozumieć – zapytał po chwili – że i miłościwa pani ręczyć będzie za Zygmunta Augusta?

Odpowiedziała przekornie:

– Kto wie? Być może.

Albrecht spojrział na króla, ten jednak oświadczył krótko:

– Ręczyć będę ja. Ja sam.

*

Jednakże sejm nie przebiegł tak gładko jak hołd, który złożyli wielmoże, część szlachty, władze miasta i cały Kraków na Rynku podwawelskiego grodu. Siedząc na tronie między rodzicami, dziesięcioletni król dokonał pasowania rycerzy i, choć czynił to z wielką godnością oraz powagą, naraził się na złośliwe docinki, a nawet protest wielu starszych rycerzy. Jak to? Więc pas rycerski jest już w tak małej cenie, że otrzymują go dzielni młodzieńcy i szlachta wstawiona w bojach z rąk dziecka? A gdyby koronowano niemowlę, to na podwyższeniu, zamiast tronu, stałaby srebrna kołyska? Powtarzano sobie na ucho dowcip Stańczyka, że wtedy dziecię trzymane przez smoka w pysku pasowałoby na rycerzy nie uderzeniem miecza, lecz grzechotką.

Wśród szlachty narastał gniew, że dali się tak podejść, tak łatwo zmusić do wyrażenia zgody. I, chociaż sprzymierzeńcy królowej robili, co mogli, aby temu zapobiec, sejm koronacyjny uchwalił w Piotrkowie ustawę przeciwko elekcji vivente rege. Elekcja nowego monarchy może nastąpić dopiero po śmierci poprzedniego króla. Tym razem senat i posłowie postanowili zgodnie, że na przyszłość może być tylko tak, nie inaczej.

Rozjechali się wszyscy z poczuciem połowicznego zwycięstwa: sejm i senat, ponieważ uchwalili konstytucję dla swoich dzieci czy wnuków, sami zaś dali się zaskoczyć, ulegli woli królowej; oboje królestwo, ponieważ czuli, że ta ustawa jest jakby wyrzutem skierowanym przeciwko nim, naganą za to, co się stało.

Bona nie wychodziła ze swoich komnat przez parę dni, pouczając Augusta, że nie może wynosić się ponad przydzielonych sobie dworzan, że jego obowiązkiem jest uczyć się, nie zaś rozprawiać o rządach i odmawiać posłuszeństwa swoim preceptorom czy też Pappacodzie. Ale mimo że była zajęta ostrzeganiem syna przed urażaniem nawet towarzyszy dotychczasowych zabaw oraz gonitw i tłumaczeniem mu, w jak delikatnej sytuacji znalazł się po sejmie koronacyjnym, oczy miała otwarte na wszystko, co działo się w zamku, w mieście, w całej Rzeczypospolitej.

Któregoś dnia poprosiła do siebie Kmitę i zwierzyła się, że jej zausznicy nie przestają donosić o niezadowoleniu szlachty.

– Basta! – stwierdziła zaraz po powitaniu marszałka. – Mam dosyć tego rozdzierania szat, tych wszystkich lamentów i protestów.

– Protestów ponieważ – uspokajał.

– Och, głupcy spóźniają się zawsze – odparła – ale później tym głośniejsze krzyczą.

– Uchwalili tylko jedną nową ustawę – przypomniał.

– Jedną. My także daliśmy im tylko jednego króla. Ale ta ich ustawa! Santa Madonna! Następny sejm elekcyjny dopiero po śmierci Augusta! I to za zgodą całej szlachty! Kto zaręczy, że wtedy zostanie wybrany jego syn, mój wnuk? Z krwi Jagiellonów i Sforzów?

Kmita patrzył pełen podziwu na jej zarumienioną gniewem twarz.

– Miłościwa pani jest wieczna – zapewniał. – Doczeka i tamtej elekcji. A wtedy znów postawi na swoim.

– Och! No! No! Nie czas na żarty! – broniła się przed pochlebstwem.

Ale Kmita tłumaczył już z całą powagą:

– Wasza Królewska Mość kłopotuje się zgoła niepotrzebnie. Dziedzictwo tronu na razie zapewnione, od Krzyżaków i Turków nie grozi już żadne niebezpieczeństwo. Mazowsze włączone do Korony w ubiegłym roku. A to wszystko – ze szkodą Habsburgów i Hohenzollernów.

– Ze szkodą... – nie dowierzała. – A sukcesja po Ludwiku Węgierskim? A Tatarzy, wciąż jedzeni przez księcia Wasyla? A sprawa Zapolyi?

– Miłościwa pani wie, że gotów byłem zawsze stanąć zbrojnie w jego obronie, ale teraz, gdy Zapolya zawarł nareszcie rozejm z Ferdynandem, wierzyć trzeba, że potrafi sami utrzymać się na węgierskim tronie.

Przyznała niechętnie:

– W istocie, może potrafi... Tylko że ja... Pierwszy raz zmęczyli mnie ci krzykacze. Basta! Nagle zamarzyły mi się niepołomickie lasy... A może czas poznać bory litewskie? Foresta virgine? Cisza. Pustka... Santa Madonna! Czyż królowa nie może nigdy czuć się zupełnie bezpieczna? Spokojna?

– Przy mnie tak, miłościwa pani... – zaczął, ale zmroziła go uwagą:

– Myślałam o szaraczkach, nie o karmazynach. O ustach wciąż otwartych do protestu, do krzyku. Wy... Zapraszaliście nas wielokrotnie do zamku w Wiśniczu, mości marszałku – rzuciła nagle, widząc cień na jego twarzy. – A więc bene. Powiem królowi, że przyjął wasze zaproszenie.

– Miłościwa pani...? – nie dowierzał.

– Także w jego imieniu – pośpieszyła zgasić błysk w jego oczach.

– A zaraz potem pojedę na Litwę, zobaczyć tamtejsze puszcze. Po drodze przyjrę się także tym, co z daleka krzyczą. Dla moich uszu o wiele za głośno...

Zaraz po wyjściu marszałka kazała Marinie wołać kanclerza Alifia i Pappacodę. A gdy weszli, wróciła do sprawy, która ją drażniła najbardziej: do uchwały sprzeciwiającej się elekcji vivente rege.

– Mają swoją ustawę. Nową. Bene. Ja także oprę się teraz na ustawach, tyle że dawnych. I na przywilejach danych mi w ciągu dziesięciu lat królowania. Jeszcze w tym miesiącu przyjmie nas marszałek Kmita w Wiśniczu, co zaświadczy o naszej życzliwości dla wiernych stronników, ale zaraz potem wyruszymy na Litwę. Zabiorę ze sobą wszystkie potrzebne dokumenty. Leżą w

tamtej skrzyni, odszukajcie – zwróciła się do Pappacody. – Ostatni przywilej papieża Klemensa, nadający mi prawo rozdawnictwa beneficjów w kościołach katedralnych.

– Tylko w Polonii, nie w księstwach italskich – przypomniał Alifio.

– Wiem, pamiętam.

A gdy Pappacoda podał jej rulon, zaczęła czytać pismo.

– Tak, to ten właśnie. „Bonae reginae commendandis et per eam nominandis personis”. Otóż to. Mogę wpływać na nominację kanoników i biskupów. Prawnie, zgodnie z papieskim przywilejem. I odtąd od nominatów będę brała opłaty na rzecz skarbu. Weźmiemy poza tym na Litwę wszystkie akty i nadania króla. Primo: nadanie mi puszczy litewskich wzdłuż granicy Podlasia. „Nos, Sigismundus, Dei gratio rex Poloniae, magnus dux Lithuaniae...” Tak, właśnie to. Król daje mi zaniemeńskie puszcze „przez wzgląd na roztropne we wszystkich sprawach postępowanie, ład i mądre rady”. Bene. I wreszcie akt najważniejszy: upoważnienie do wykupu lub odebrania nadań królewskich w Polsce i na Litwie. Zaczniemy od Wielkiego Księstwa. Jerzy Radziwiłł będzie musiał zwrócić dobra w starostwie grodzieńskim, Gasztold Bielsk i Brańsk, a inni... O tych pomyślę po powrocie z Wiśnicza. Ale to ważny dokument.

– Miłościwa pani! Jednakże winien być przedtem potwierdzony pieczęcią kanclerską – zauważył Alifio.

– Król dał zgodę. To tak, jakby złożył podpis.

– To było kilka lat temu. Bez potwierdzenia nowym podpisem królewska kancelaria...

– O Dio! – wybuchła Bona. – Znowu przypominać, wyjaśniać, prosić! Mówić więcej, niż się chce, bo on milczy, zawsze milczy! I zwleka. Rozważa każdą rzecz dłużej, niż mogę to znieść! – I dodała ciszej: – Jechałam tutaj tak pełna ufności, nadziei... Chciałam być królową i wielką i szczęśliwą. Powiedzcie wy, którzy na wszystko macie odpowiedź, czy popełniłam jakiś błąd? Za co mnie nienawidzą?

– Tu niewiasty nie zwykły tak jawnie rządzić mężczyznami – rzekł po namyśle kanclerz.

– A skrycie? – spytała.

– Kto odgadnie? Miłościwa pani zetknęła się ze światem nam zupełnie obcym – odparł Alifio. – I może zbyt szybko próbowała narzucić tym inaczej myślącym ludziom rządy sprawowane wzorem italskim? Silna władza, umocnienie dynastii. A oni... Cóż... Im chyba bliższy interes własny niż dynastii Jagiellonów.

– Im wszystkim?

– Może nie – przyznał Alifio. – Prymas Łaski, Ossoliński... potrafi skupić przy sobie ludzi naprawdę pragnących zmian. Ale czy ich nowe ustawy, ich plany naprawy Rzeczypospolitej będą po myśli najjaśniejszej pani?

– Tego nie wiecie? Ja także. Jestem tedy sama, znowu zupełnie sama.

– Dopóki kanclerska pieczęć królowej w moim ręku... Dopóki stoję tak blisko tronu...

– Wiem. Mogę wam ufać. I tylko wam. Wierny. Pronto al sacrificio.

Wahał się, czy mówić całą prawdę, wreszcie rzekł:

– Gdyby miłościwa pani raczyła ważyć każdą rzecz nieco dłużej. Być czasem mniej gwałtowną, niecierpliwą...

– Och! – odparła. – Nie byłabym wtedy sobą! Muszę zmieniać wszystko, co wydaje mi się złe. Sperimentare, formare... Ugniatać niekształtną bryłę w rękę, aż powstanie coś, co w moich oczach jest doskonałe.

Alifio westchnął.

– Na to potrzeba czasu...

– E allora? Zacząć modelować i ugniatać można od razu. Presto! Presto! Pójdę do króla. Nie, nie tylko z tym. Powiem mu o zaproszeniu do Wiśnicza, ale będziecie mieli ten podpis jeszcze dzisiaj.

– A jeżeli...

– Nie może odmówić. Obiecał – ucięła, po czym zwróciła się do Pappacody, który przez cały czas milczał.

– Signor Pappacoda! Nie dowierzam strażnikom tutejszego skarbcza, po powrocie z Wiśnicza zabierzemy na Litwę wszystko, co cenne.

– Rozumiem. Złoto potrzebne na wykup dóbr...

– Nie tylko – przerwała. – Także przedmioty z hebanu, kryształu, kości słoniowej. I nie zapomnijcie o srebrnej kołysce.

– O niczym nie zapomnę – zapewnił wychodząc.

Niemal przewrócił Marinę przytuloną do drzwi. Spojrzała na niego pytająco, ale odparł złośliwie:

– Przecie słyszeliście. Wyjeżdżamy do Wiśnicza, a potem do Wielkiego Księstwa. Na długo. I zabieramy ze sobą wszystko, co cenne.

Także srebrną kołyskę.

– Cóż – wydeła wargi. – Smok Sforzów ciągle jeszcze trzyma dziecię w pysku.

– Ale chyba już tylko... na postrach? – zadrwił Pappacoda.

Roześmieli się oboje.

– To wiem ja. Wiecie wy. Ale inni? – szepnęła Marina i dodała: – Cii... Ktoś idzie.

Kroki zbliżały się, więc rozeszli się w różne strony.

Po godzinie Pappacoda spotkał się na krużgankach z nadchodzącym Alifiem, przystanął i zapytał:

– Idziecie z kancelarii królewskiej?

– Tak.

– Jednak podpisze?

– Podpisze – zbył go krótko kanclerz królowej.

Wyjeżdżając z królem do Wiśnicza Bona zostawiła na Wawelu Augusta; nie chciała, aby oddawano mu honory takie, jak parze królewskiej.

Po raz pierwszy natomiast dołączyła do swego orszaku pasierbicę Jadwigę, już siedemnastolatkę, niezbyt urodziwą, ale wdzięczną i postawną, był już więc czas, aby zacząć ją pokazywać jako kandydatkę na żonę cudzoziemskich książąt. Towarzyszyła jej młodsza o dwa lata Beata Kościelecka, tak wysoka, tak pięknie uformowana, że wydawała się równa wiekiem tamtej. Królowa od roku włączyła ją do orszaku swych dworów i wkrótce przywiązała się do niej mocniej niż do królewskiej córki.

Jechały we trzy w pięknej karocy, król bowiem, po ataku podagry, wolał ruszyć przodem tylko z nadwornym medykiem. Dopiero przed sam zamek para królewska miała zajechać w jednej kolebce ciągnionej przez czwórkę białych koni.

Po drodze obie młódki wracały wciąż do uroczystego obrzędu koronacji małego Augusta, do płaśw i zabaw po wspaniałej uczcie. Jadwiga pytała:

– A czemu namaszczonego Augustowi ramiona?

Bona, której ciekawość w tej mierze zaspokoił już ochmistrz Wolski, tłumaczyła, że młody król wziął na swe barki ciężar nie tylko władania orężem w obronie kraju, lecz także obowiązek pasowania rycerzy. Ale Jadwiga, podnosząc na macochę swe jasne, przejrzyste oczy, spytała:

– A czemu monarchowie pragną mieć tylko syna? Czemu tylko on może zostać następcą ojca, królem? I on jeden liczy się na dworze? Czy być córką to grzech? Kara boża?

Po raz pierwszy, odkąd się znały, Bona przyjrzała się Jadwidze uważniej. Zazdrościła więc Augustowi? Jako pierworodna córka Zygmunta, Jagiellonka, czuła się odepchnięta na drugi plan, skrzywdzona... Odpowiedziała dopiero po chwili:

– Ani to kara, ani grzech. Ale tylko syn może być rycerzem dającym przykład szlachetnej młodzie, a potem silnym mężem, który chwyci za miecz i poprowadzi rycerstwo do zwycięskiej walki. Syn to obrońca granic i praw swojej ojczyzny, to wódz i sędzia, a także nadzieja rodu, pewność, że ten nie wygaśnie. A córka... Wcześniej czy później oddana obcemu księciu czy królowi będzie rodzić synów dla innej, obcej dynastii. Jak ty mogłabyś urodzić Januszowi Mazowieckiemu tylko Piasta, nie Jagiellona.

Jadwiga zamyśliła się głęboko.

– I nie bywają niewiasty, które sprawują rządy? – spytała po chwili.

Bona przygryzła wargi. Pomyślała o neapolitańskiej królowej Giovannie Czwartej, o swojej matce principessie Bari, i już miała na ustach odpowiedź, że rządy te bywają słabe, że te księżne czy królowe nie stają na czele swoich wojsk. Ale pomyślała o sobie i przyszło jej na myśl, że jeśli nawet nigdy sama nie weźmie udziału w walkach orężnych, to potrafi je rozpętać lub zawrzeć pokój, że chce i pragnie sprawować rządy. Czy mogłoby się to stać u boku młodego, ambitnego małżonka? Chyba nie... Ale Zygmunt ukończył już sześćdziesiąt trzy lata, często choruje i nade wszystko kocha pokój. „Rex pacificus”, jak go nazywa cała Europa. Przy nim... Tak, przy nim będzie mogła zapomnieć o tym, że urodziła się córką. Nawet dla butnego Kmity, dla biskupa Krzyckiego tytuł Regina Poloniae już teraz wiele znaczy...

Zamek w Wiśniczu był okazałą budowlą o czterech okrągłych basztach, wielu

przybudówkach i niezliczonej liczbie komnat. Pan na tym prastarym zamku, Piotr Kmita, powitał orszak królewski strzałami z moździerzy, a w rycerskiej sali obitej szkarłatem, na której ścianach wisiały cenne zbroje i miecze, zastawione stoły lśniły od sreber, kunsztownie rzeźbionych świeczników i pozłacanych kubków. Marszałek podejmował swoich dostojnych gości wspanialej niż innych, ale Krzycki pochwalił się Bonie, że bywał tu na podobnie wystawnych wieczerzach z gronem najwybitniejszych krakowskich poetów, magistrów Akademii, mężów uczonych i muzyków.

– Tak więc pan Kmita mecenasuje wam lepiej ode mnie? – zadrwiła królowa, ale poprawiła się natychmiast: – I bene. Mnie wystarcza moja italska kapela, a od wierszy ciekawam bardziej rzeźby i prac budowniczych. Wolałabym wznosić zamki, kościoły i pomniki, niż słuchać nudnych nieraz oracji.

– Ale nieobca Jej Królewskiej Mości sztuka przerzucania się żartem i ripostą ostrą jak sztylet? – zapytał.

– Si, o si! – I dodała przekornie: – Może nawet dlatego jeden z polskich poetów został biskupem?

Jego odpowiedź zagłuszyła muzyka, jednakże królowa pytała dalej:

– I w tej samej rycerskiej sali pije marszałek na umór ze szlachtą? Do białego rana?

– W tej samej. Tyle że więcej tu wtedy błaznów, karłów i krzyku, a mniej strojnej służby i tak przedziwnej piękności dzbanów, jak choćby ten, który niesie dla nas to śliczne pachole. Za to i uciecha większa, i... pożytek. Niech miłościwa pani daruje. Natomiast dla braci szlachty honorem jest ucztowanie u samego marszałka, pana na Wiśniczu. I gotowa nieraz, wiwatując na jego cześć, przyrzec wszystko, czego sobie życzy... polska królowa, Król wstał właśnie od stołu, oszczędził więc Bonie niełatwej odpowiedzi. Ale zapamiętała zarówno to, co o roli Kmity powiedział jej Krzycki, jak i dalszy ciąg uroczystego przyjęcia. Na dziedzińcu zamkowym odbyły się gonitwy do pierścienia i jeźdźcy na pięknych rumakach pędzili z drzewcami w rękach, próbując zdjąć metalowy pierścień zawieszony na sznurze, a późnym wieczorem tańczono i muzykowano wszędzie, zarówno na podwórku, jak w ukwieconych zamkowych komnatach.

Jakoś po północy podbiegła do królowej Beatka Kościelecka zaróżowiona, mocno zawstydzona i zaczęta szeptać, że młody książę Ostrogski nie odstępował jej ani na chwilę i że skłamała mówiąc mu o swoim wieku.

– Śmiał o to pytać? – zmarszczyła brwi Bona.

– Tak, bo on... On mówi, że najjaśniejsza pani obiecała jego ojcu oddać mu za żonę najpiękniejszą ze swoich dworek i że właśnie ja...

A więc pamiętał stawny wojownik Konstanty Ostrogski powitanie przyszłej małżonki króla Zygmunta w Morawicy u Tęczyńskich? I kto wie, czy młodziutki Ilia nie myli się mówiąc, że otrzyma kiedyś rękę najurodziwszej z panien jej dworu, Beaty Kościeleckiej...

Zaraz po powrocie z Wiśnicza królowa zagłębiła się w przeglądaniu dawnych nadań królewskich i rachunków, które jej dostarczał Pappacoda. Postanowiła, skoro nie może nappełnić pustego skarbcza koronnego, gdyż podatków nikt płacić nie chce, zająć się zabezpieczaniem funduszu, który nazywała dynastycznym, czyli nappełnianiem skarbcza własnego przeznaczonego dla Jagiellonów, dla Augusta. Otrzymała – jako oprawę królowej, a jednocześnie zabezpieczenie wniesionego posagu – ziemie w Koronie oraz znacznie większe dobra na Litwie oraz Rusi i chciała teraz wykupić wszystkie królewszczyzny pozostające w rękach wielmożów. Tak udało się jej jeszcze przed koronacją syna odkupić od Tęczyńskich ich dobra oraz cła lwowskie, teraz zaś miała zamiar dokonać na swoich ziemiach tego, czego nie potrafili dokonać podskarbiowie królewscy w ciągu panowania Aleksandra i Zygmunta. Na to jednak, by nie dać się oszukać ani okłamać, trzeba było być na miejscu, przyjrzeć się bliżej złej gospodarce zarządców ziem królewskich, a także jej własnych.

Król nie sprzeciwiał się temu wyjazdowi, ale go też nie pochwałał.

Bał się zadrażnienia stosunków z magnatami, z których wielu nie uznawało żadnej „egzekucji dóbr”, tym bardziej czynionej przez niewiastę, choćby była królową. Toteż zaskoczyła go wyjazdem nagłym, ukrywanym przed senatorami, posłami, a nawet jego dworem. I kiedy weszła któregoś dnia do komnaty Zygmunta, już w stroju podróznym, król zmarszczył brwi, choć nie wyrzekł ani jednego słowa nagany. Wyczuła jednak jego niezadowolenie, bo kładąc rękę na ramieniu siedzącego w fotelu męża, rzekła:

– Nie chcę zostawiać was tak chmurnym, milczącym. Taciturno... Nie pochwalacie tego wyjazdu?

– Czemu? Od dawna był w waszych zamysłach – rzekł chłodno.

– W naszych – sprostowała. – Nie tylko w moich. Mówiliście o tym od tylu dni. Zamiary Wasyla niepewne, warto przyjrzeć się bliżej wschodniej granicy. Ponadto Tatarzy... Tłumaczono mi, że ich hordy nie mogłyby uczynić u nas aż takich szkód, gdyby przepraw przez dolny Dniepr strzegły stale konnica i piechota.

Zygmunt zmarszczył brwi.

– Tłumaczono? To znaczy kto?

– Non importa. Czy to nieprawda? – pytała ciekawie.

– Nawet prawda. Ale czy ten „ktoś” uzyska na to zgodę posłów litewskich? I zapłaci żołd wojskom zaciężnym? Bo szlachta litewska i ruska nie pójdzie z dobra woli pilnować żadnych przepraw ani brodów.

– Można by zbudować graniczne twierdze, zamki warowne...

– Za co? – spytał już znieczcierpliwiony. – Narzekaliście zawsze, że skarb jest pusty.

– Teraz, kiedy August został waszym prawnym następcą, przestanę narzekać. Zajmę się liczeniem złota w obu skarbcach: jego i waszym.

– Ach tak? A przecież chcieliście riposare. Odpocząć, polując, po trudach koronacji, układów, sejmowych sporów...

– Odpocznę piú tardi – odparła. – Zresztą... Wierzę, że wkrótce, po załatwieniu najpilniejszych spraw, wy także przyjedziecie do Wilna. Podniósł głowę i przyjrzał się jej uważnie.

– Zależy wam na tym? Jeszcze? – zapytał.

Zmieszała się, rumieniec zabarwił czoło, policzki.

– Miłociwy panie! – szepnęła.

– Nie takiej czekałem odpowiedzi – nalegał.

– O Dio! Co mogę rzec? Wyjaśnić? Nie dowierzacie mi ostatnio.

– Czy niesłusznie? – zapytał.

– Ależ tak, bez żadnego powodu! Będąc w czasie waszych wojennych wypraw rozdzieleni, musieliśmy nieco odwyknąć od siebie. Si. Myślimy teraz mniej zgodnie niż w pierwszych latach po ślubie.

– O tak – przyznał z goryczą.

– Santa Madonna! – wybuchła. – Ale przecież to wy, nie ja, postawiliście w końcu na swoim. I w sprawie inkorporacji Mazowsza, i co do sukcesji po Ludwiku. Nie byłem z waszej woli ani na pogrzebie Janusza, choć położyłoby to kres wielu przykrym dla mnie plotkom, ani na – jakże pośpiesznym, znośnie tajnym – pochówku małego Olbrachta.

Jego ręka zacisnęła się w pięść.

– Nie wybaczyliście mi tego. Do dziś... – westchnął.

– Jestem matką. Mam prawo do stanowienia o moich dzieciach.

– Także umarłych? – zapytał.

– Maledizione!

– Tak – A więc d'accordo! Jeszcze i to. Chorowałam ciężko w Niepołomicach i bardzo długo...

– Całe zło zaczęło się od tamtej choroby – przyznał.

– Si. Ale to i wszystko. Nie ma w tym niczyjej winy.

– Powiedzmy, niczyjej.

– E allora? Czy często skarżyłam się na to, że w chwilach trudnych byłam zdana na własne siły, nawet w czasie porodów? Sama, zawsze sama w tym zimnym zamku, pełnym mętnych dworaków, opieszających sług i intryg wielmożów...

– Aż tak bezbronna? – nie dowierzał.

– A wam przychodzi na myśl zęby smoka? – podniecała się. – Wam także? Italska przemyślność i sztuczki Machiavella? Poślubiliście królową zbyt żądną władzy? O Dio! A któż wam bronił trzymać mocniej cugle w rękę? Nie tylko wojować, ale także dbać bardziej – nie mówię już o mnie – ale o dobro dynastii? O odzyskanie ziem rozdrapanych albo skradzionych skarbowi? O przyszłość córek i syna?

– Waszego syna – mrugał. – Wychowujecie go wy i Italczyk Siculls.

– Santa Madonna! Tedy nuże! Bierzcie się do tego bambino! Kto może zabronić wam,

monarsze, przebywać z nim częściej? Na Litwie byłoby dość czasu, by rozważyć i tę sprawę.

– Po waszej myśli – dociął.

– Och! – poskarżyła się. – Nie wiem już, zaprawdę, czy jakakolwiek myśl kołacze jeszcze w mojej głowie tak zmęczonej, tak pustej...

– Dobrze – rzekł po chwili – postaram się przyjechać.

– Jak najprędzej?

Milczał i wtedy, rozżalona, spróbowała ataku:

– Czemu nie chcecie odpowiedzieć? Dawniej bywało nie tak, nie tak... Wy także chcecie odpocząć? Ode mnie? Si czy no? Santa Madonna! Ja gniewam się. Często krzyczę, tak! Ale niczego nie ukrywam. A wy patrzycie na mnie i milczycie, zawsze milczycie! Nawet bez zawziętości, choć wołałabym po stokroć wybuchy gniewu, niesprawiedliwe zarzuty... Te mogłabym przynajmniej odeprzeć. Wołałabym wszystko, byle nie tę pobłażliwość. I nie ten kamienny upór, o który potykam się, a którego nie potrafię przełamać. Nigdy! Nigdy!

Milczał dalej, ale nie patrzył już na nią. Zaczęła więc mówić po chwili spokojniej:

– Trudno. Zostaje mi tylko jedno: pazienza i speranza. Będziemy was wyglądali z nadzieją, z utęsknieniem. Ja, August, a także cały dwór. Bywajcie zdrowi...

Podeszła do niego i wyciągnęła rękę do uścisku, do pocałowania, ale on nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie, przyglądał się przez chwila z bliska, bardzo uważnie, i wreszcie pochylił się, aby ucałować. Lecz Bona przez przekorę, której pożałowała od razu, odwróciła lekko głowę i usta króla dotknęły tylko jej policzka. Puścił ją natychmiast i stali tuż przy sobie jakiś czas, milcząc. Wreszcie królowa powiedziała bardzo cicho:

– Późno już. Kolaski czekają.

Odpowiedział tylko jednym słowem:

– Tak.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, pierwszy raz, odkąd się znali, zmieszana, jakby w poczuciu winy. Gdyby odezwał się do niej teraz, pożegnanie wypadłoby zgoła inaczej, ale Zygmunt milczał.

Odwróciła się bez słowa i zaczęła iść w stronę drzwi.



Na Litwę jechała z całym dworem swoim i Zygmunta Augusta, ale bez córek. Przedtem jeszcze, zanim nastąpiło owo niezręczne pożegnanie, wytłumaczyła Zygmuntowi, że chce, aby młody król i księżę Litwy przyglądał się od najmłodszych lat jej poczynaniom i aby panowie i szlachta tamtych ziem widywali go często, zanim dorośnie. Szło mu już na trzynasty rok, a że był wysmukły i nad podziw zgrabny, wyglądał na starszego. Jego kolaska jechała tuż za karocą matki, za nimi ciągnęły inne powozy i ładowne bryki, a cały orszak otaczali zbrojni jeźdźcy.

Zjechali wreszcie z szerokiego traktu na leśną drogę i karoca królowej zaczęła chwiać się na wybojach. Ale jej uwagę zaprzętała puszcza: zielona, gęsto podszyta i tak zwarta, że oczy nie

mogły przebić żywych ścian tworzących korytarz pachnący igliwem. Wychyliła głowę przez okienko i wdychała z rozkoszą świeże, wonne powietrze. W tej samej chwili uwagę jej zwrócił jeździec prowadzący ku jej pojazdowi przestraszonego chłopca w brudnej koszuli i skórzanych łapciach. Chciała zapytać kłusującego obok Alifio, co się stało, ale orszak już stawał, Pappacoda także ruszył do przodu, na drodze przed nimi ktoś krzyknął. Spytała:

– Dlaczego stoimy?

Ale zanim Alifio zdążył odpowiedzieć, do karocy podjechał Pappacoda z glinianym garncem w ręku i schylając się w stronę okna, rzekł:

– Miłościwa pani chciała spróbować litewskiego miodu. Właśnie znaleźliśmy w puszczy bartnika.

Alifio zeskoczył z konia i odbierając garniec z rąk Pappacody, podał go królowej wraz z drewnianą łyżką. Przyjrzała się jej tak nieufnie, że Marina natychmiast podała srebrną z pudła leżącego na dnie kolasy.

Królowa zanurzyła ją w naczyniu i podniosła do ust łyżkę ociekającą złocistym, gęstym miodem. Musiała jej smakować, bo powtórzyła ten gest raz i drugi. Wreszcie, ocierając chusteczką lepkie wargi, spytała:

– Kto z eskorty potrafi się dogadać, niech dowie się od chłopca, czyje są te bartne drzewa.

Ale Pappacoda odparł od razu, bez namysłu:

– I pytać nie trzeba. To królewska puszcza. Tedy i barcie najjaśniejszej pani.

Zdziwiła się:

– Moje sosny? Moje barcie? A miód nie mój, tylko tego bartnika? Co za głupstwa! Trzeba będzie założyć księgi bartne. Każdy, kto ma wstęp do boru, zapłaci od barci po garncu miodu albo kilka groszy.

– Jednorazowo? – zapytał skarbnik.

Oburzyła się.

– Za taki wspaniały miód? Opłata coroczna. Nadto każdy bartnik powinien mieć zezwolenie starosty umocnione pieczęcią.

– A jak zapłacić nie zechce? – wtrącił Alifio.

– Wtedy odda swoje drzewa naszym bartnikom. Będę ich odtąd miała.

– A ci ludzie, jak rozpoznają nie opłacane barcie? – dociekał dalej Alifio.

Wahała się tylko przez chwilę.

– Każemy oznaczać drzewa. Jak konie w stadninie. Klejmem. I kto czynszu nie zapłaci, starosta odbierze mu klejmo. Zapytajcie, czy wchód do puszczy był całkiem bezpłatny.

Któryś z jezdnych podszedł do chłopca i wdał się z nim w rozmowę, a następnie złożył meldunek Pappacodzie.

– Mówi: a jak inaczej? Wiadomo, wstęp wolny – powtórzył skarbnik jego słowa.

– A mówiłam! – prawie krzyknęła królowa. – Jaka tu gospodarka leśna! Wycina, kto chce, nowych drzew nie sadi nikt. Zanotujcie: urzędnicy dokonają rejestru wszystkich wchodów.

Prócz barci ustali się też opłaty za sianożęcie. Bo przecież muszą być łąki w lasach? W Neapolu wszystkie pastwiska książęce przynoszą dochód. A tu, jak i w królestwie, ile okradanych drzew bartnych, ile leśnych polanek!

– Będą kary dla bezprawnych wchodów? – spytał Pappacoda.

– Si. Duże. I od zaraz. Kto ośmieli się złamać ustawę – zostanie schwytany przez strażników leśnych i ukarany.

– Ależ tu nie ma żadnych strażników! – zauważył Alifio.

– Mamma mia! Więc będą! – krzyknęła, rzucając łyżkę Marinie.

– Nie mogę więcej, za gęsty, za słodki.

– Oddać mu resztę? – spytał Pappacoda.

– Oddać? – zdziwiła się. – Taki miód? Każcie powiedzieć bartnikowi, że w drodze łąki zalicza mu się ten garniec jako tegoroczny czynsz. Z jednego drzewa.

Zatrzymywali się w każdej wsi, w każdym miasteczku Litwy, Wołynia i Podola. Podróż była uciążliwa, ale królowa zносиła ją lepiej niż jej dworacy i dworki. Tylko August wciąż wysiadał z kolebki i harcował konno, bardzo rad, że nie musi słuchać nauk Siculusa. Za to królowa kazała często zaglądać Pappacodzie do akt królewskich nadań i przepowiadała sobie jak zapamiętaną lekcję:

– Ziemie nadane nam jeszcze w dwudziestym czwartym roku na Litwie nad rzeką Supraśl. W województwie trockim od Goniądza do Grodna. Puszcze litewskie od Grodna po Kowno. Ziemie na północy i nad Niemnem, starostwo kowieńskie. Bene. Grodzieńskie wykupię teraz lub za rok, dwa od Jerzego Radziwiłła. Na Podlasiu włości sprawdzić, jakie? Dalej: Kobryńskie, Horodelskie, Kamieniec i na Wołyniu ziemie kowelskie. Zobaczcie, co jeszcze? To, czego nie mam, będę miała z wykupu królewszczyzn. Wioski muszą tu być zabudowane inaczej, chaty wszystkie w jednym rzędzie po obu stronach traktu, aby dostęp do nich był łatwiejszy. Basta! Na dzisiaj dosyć. Chociaż nie. Co tam widać? Jakowąś rzeczkę? Czyżby i osadę?

– Bardzo nędzną, miłościwa pani – zauważył Pappacoda.

– To nic. Obejrzeć chcę wszystko. Wysiadamy na placyku, bo jest i coś w rodzaju rynku. A jeśli rynek, to musi też być ktoś w rodzaju burmistrza czy wójta. Wołajcie go do mnie.

I już po chwili szła przez wpół spalone miasteczko, istotnie bardzo nędzne i małe. U jej boku kroczył wystraszony „burmistrz” oraz August, a za nimi podążał cały dwór. Doszli tak do krańców zniszczonego, niemal wyludnionego osiedla i stanęli na urwistym brzegu. Widok był rozległy, za niebieską wodą czerniał wąski pas lasu.

– Pięknie tu – rzekła po chwili. – Tedy powiadacie, że waszą osadę wciąż łupią i palą Tatarzy? Co to za rzeka?

– Boh – wyjaśnił zapytany.

– A osada nazywa się jak?

– Rów, miłościwa pani.

– Rów? – zadrwiła. – Do rowu wlezie każdy, nawet krowa. Basta! Zbudujemy tutaj twierdzę. Miejsce jest na wzgórzu, jakby wymarzone, do obrony. Zanotujcie, signor Alifio. Fortyfikacje, bastiony, obronny zamek. Za rok – dwa przyjadę obejrzeć, co zrobiono i jak. Ten widok przypomina mi żywo Italię.

– A to tylko Rów – mruknął kanclerz.

– Nie! – zaprzeczyła. – Skoro obwarowanie tego grodu biorę na siebie, chcąc potomności pamiątkę po sobie zostawić, zmienię i nazwę. Odtąd będzie tu miasto i twierdza... powiedzmy: Bar.

– Nie Bari? – wyrwało się Pappacodzie.

– Bari? – skarciła go. – Bari jest tylko jedno na świecie. Jedyne, najpiękniejsze... Dalekie. Tu będzie Bar. Wraz z Krzemieńcem powstrzyma najazdy Turków i Tatarów. Zanotujcie jeszcze: założone nad rzekami miasteczka mają mieć przystanie dla spławu produktów rolnych i leśnych. Co siedem dni dzień targowy. Cła pod moim zarządem. Mostowe, drogowe i targowe. Kupcy od każdego wozu soli zapłacą... powiedzmy... pomyślę, ile. Jedno macie wiedzieć: z woli króla biorę w dzierżawę komory celne na Litwie i Wołyniu. Wszystkie.

– A kto na czele komór? – spytał miejscowy urzędnik.

– Burmistrze. Tedy i wy, od dziś mianowany przeze mnie burmistrz miasta Bar, obejmiecie zarząd komory. Co pół roku przedstawicie mojemu podskarbiemu rejestra, rachunki i pieniądze.

Nowo mianowany wpadł w popłoch.

– Ależ osady tutaj popalone, ludzie uprowadzeni w jasyr...

– Wiem. Toteż będziemy zasiedlać pustki. Także trzebić puszcze nad spławnymi rzekami. Chcę tu mieć dużo kwitnących osad i miast. Burmistrz próbował bronić się, tłumaczyć.

– Wójtostwa tutejsze wszystkie w rękach wielmożów. Kto z nich słuchać mnie zechce?

Ale ona nie widziała żadnych trudności.

– Wójtostwa wykupimy. Ile zechcą Siemaszkowie, na przykład, za wójtostwo łuckie? Jak myślicie, signor Alifio?

– Dużo – odpowiedział. – Pięćset kóp groszy najmniej.

– Damy czterysta pięćdziesiąt. Opłaci się. Odtąd i sądownictwo grodzkie będzie w naszych rękach. Koniec z rozbojami i grabieżą na traktach! Opryszków i złodziei macie karać nie folgując.

– Rozboje zwalczali do dziś starostowie. Jakże zrobię to wszystko ja? Ja sam? – przeraził się tubylec.

– Zdumiewacie mnie, burmistrzu – odparta. – A czyż od wielu miesięcy nie przymierzam wzdłuż i wszerz tutejszych ziem? Nie wglądam we wszystko? Ja sama? Ale owszem. Przyjrę się także i pracy starostów...

*

Król zjechał do Wilna z królewnami Jadwigą i Izabelą dopiero w czerwcu tysiąc pięćset

trzydziestego trzeciego roku i wydał się Bonie postarzały, już nie tyle spokojny i opanowany, co bierny, nieruchawy, jeszcze łatwiej ulegający swoim doradcom.

Spotkał ją jednak bardzo serdecznie, wyraźnie rad, że mimo tak wielkiej różnicy temperamentów i usposobień ma z kim porozmawiać szczerze, a może nawet i ulec woli silniejszej od własnej. Podziwiał Augusta, ponieważ ten przez rok zmęźniał, opalił się i nauczył świetnie jeździć konno, a jednocześnie dobrotliwie podkpiwał z Izabeli, która bardzo tęskniła za bratem i tak zazdrościła mu litewskiej podróży, że musiał ulec jej prośbom i zabrać obie starsze córki ze sobą.

Już w parę dni po spotkaniu się całej prawie rodziny na zamku wileńskim Zygmunt przy wieczerzy spożytej z małżonką i jej kanclerzem oświadczył:

– Ledwom na Litwę zjechał, opędzić się nie mogę. Wszyscy skargi zanoszą.

– Aż taki strach padł na wielmożów? – pytała zaciekawiona.

– Dziwią się, skąd ten pośpiech? Ja sam przed laty zacząłem rządy od próby odzyskania nadań królewskich. Ale wy...

– Cóż ja?

– Czego przez dziesiątki lat nie dokonało państwo, chcecie zrobić w rok? W dwa? – pytał już z całą powagą.

– A jak inaczej? – zdziwiła się. – Przerwano wykup królewszczyzn, bo wasz skarbiec był pusty. Ale ja mam dosyć swojego złota. I chcę obejrzeć dowody własności ziemi już teraz. Zaraz. Jeśli się sprawa odwlecze, bojarzy zdążą sfałszować akta nadania. Czyż nie tak? – zwróciła się do Alifia.

– Może i zdążą – przyznał.

– Wielu z nich jest w posiadaniu dóbr królewskich od wielu pokoleń. I nie ma na to żadnych dokumentów – stwierdził Zygmunt.

– Skoro nie ma – orzekła – znaczy to, że trzyma bezprawnie. I musi oddać. Nie, nie ustąpię! Zawezwijcie, signor Alifio, wszystkich na okazanie praw i nadań. Pierwszy przegląd odbędzie się, jak już mówiłam, za miesiąc.

– Wszystkich panów litewskich będziecie mieć przeciwko sobie – ostrzegł król.

– A po cóż mi oni teraz? – odrzekła pogardliwie Bona. – August jest już wielkim księciem i królem. Mogą się trochę podąsać...

Ale nic były to zwykłe dąsy: wielki strach padł na bojarów i wielmożów piastujących najwyższe urzędy. Oto puszcze i ziemie, które z łaski dawnych królów uważali za swoje i swoich potomnych, mieli zwrócić lub zgodzić się na wykup po okazaniu nadań z pieczęcią i podpisem kancelarii wawelskiej. I tego piekielnego posunięcia dokonać chciała ona, przeklęta Włoszka spod znaku smoka, rodzona matka ich wielkiego księcia.

Po miesiącu w kancelarii Alifia zebrali się pomniejsi i co zuchwalsi ze szlachty. Radzili przed wejściem do komnaty kanclerza królowej, jak by wykpić się i obejść zarządzenie królowej. Każdy z nich argumentował inaczej.

– Nie pójdę. Wołami mnie tam nie zaciągną! – mówił jeden.
– Ani mnie. Krzyku takiego narobię, że... – basował mu drugi.
– Po ojcach moje ziemie dziedziczę! Jakie tam nadania? Czyje? – gorszył się trzeci.
– Tatarzyn dwór złupił i jeszcze z dymem puścił. Skąd papiery, a? – oburzał się Wołyniak.
– Ja, znaczy, płynął czółnem. Papiery, nu tak, wiózł. Aż tu jak nie zerwie się wicher! Chlup – jedna fala. Chlup – druga. Ledwie mnie z toni rybak wyciągnął, bo już ja tonął. Oczy bielmem zasłzi i bul, bul, bul... – potakiwał mu Poleszuk.

– A taki wyciągnął? Z papierami? – ciekawy był Litwin.

– E tam! Bumagi szczuka zjadła. Wszystkie. Zubasta była. Pocięła W drobny mak.

– Ejże, szczuka? – nie dowierzał Wołyniak.

– A ty, bracie, czego? Jaż nie mówił: „Ejże, Tatarzyn?” – rozgniewał się dotknięty do żywego Poleszuk.

– Starczy. Skakać sobie do oczu będziecie jutro. Teraz trzeba głowa ruszyć, czym uwagę królowej od nas odwrócić?

– Czym? Wiadomo. Włóściami wielmożów. My biedne bojary, ale ot, weźmy Radziwiłłów. Tykocin ichni, tak?

– Nu, ichni.

– I Goniądz ich. Ale każdy tutejszy człek wie: między tymi dobrami powinna być puszcza jodłowa. Nie Radziwiłłów, tylko wielkksiążęca Knyszyńska. I co, jest?

– Prawda, nie ma żadnego klina. Jak okiem sięgnąć – wszystko włości Radziwiłłów.

– I z tym my do niej. Była Puszcza Knyszyńska i nie ma puszczy. Już od lat nic nie oddziela Tykocina od Goniądza.

– Ale uciecha! Zgubił się taki szmat ziemi! I kto jego odnalazł? My! Toż to więcej warte od bumagi zjedzonej przez karpia.

– Ja mówił: szczuka zjadła, nie karp – prostował Poleszuk.

– Ejże, szczuka? – droczył się Litwin.

W tej chwili wszedł Alifio i zażegnał starcie słowami:

– Jej Królewska Mość prosi waszmość panów. Każdego z osobna. Z dowodem własności.

– A kiedyż my wszyscy razem. Dowody u nas takie, że nie potrzeba lepszych, ale wspólne. Wiecie wy, wasza miłość, czyj jest Knyszyn i Puszcza Knyszyńska? – zagaił Litwin.

– Puszcza? Nie, nie wiem – przyznał kanclerz.

– A my wiemy. I zaświadcym! Każdy z osobna i pospołu. Wszyscy! Wielkksiążęca ona. Ot, co!

– Znaczy, królewska. Jam to wypatrzył – pochwalił się sąsiad.

– Ale świadczyć będziemy razem. Wszyscy razem! – mówili zgodnym chórem.

Kanclerz królowej dobrze znał zasadę: „Divide et impera”, przeto, doceniwszy wagę ich oświadczeń, zaprowadził wszystkich czterech przed oblicze królowej.

Bardzo wczesnym rankiem, gdy mgła stała nad Wilnem, po warzywniku założonym przed rokiem przez Bonę zaczęły się snuć jakieś cienie.

Kilka kobiet zginało grzbiety, pełzało na kolanach, przysiadło przed grządkami wrywając koper włoski, włoską kapustę, pietruszkę i selery. Ładowały ową zieleninę do przyniesionych worków i koszyków, niektóre zaś wnosiły łup w fartuchach. Po ich odejściu pozostało w warzywniku niewiele: połamane paliki, stratowana ziemia, nie tknięte, bo niedojrzałe jeszcze warzywa.

Bona nie omieszkała królowi pokazać zniszczonych owoców pracy swoich ogrodników.

– Spójrzcie, miłośnicy panie – mówiła. – Nie może być żadnej pomyłki. Ziemia zryta, wszystkie warzywa wykopane.

– Tedy kradną? – zapytał.

– Tak się cieszę! Si! Si! Kradną!

– Dalibóg! Pierwszy raz widzę was chwalącą złodziejasków – zdziwił się Zygmunt.

– Bo przedtem wszyscy tylko wydziwiali. Mówili: italskie ziele, włoszczyzna. A teraz zakradają się do moich ogrodów, żeby kraść! To znaczy – smakuje im! Chwałą i włoską kapustę, i koper, i pory...

– Was także chwałą.

– Mnie? – podniosła na niego zdziwione oczy.

– A jakże. Wczoraj Mikołaj Radziwiłł aż czołem bił. Prosił i błagał, żebym dla Augusta przyjąć raczył Knyszyn i puszcę do niego przyległą.

Bona zaczęła się śmiać.

– Udało się bojarom z tą Puszcą Knyszyńska! Choć ich majątki także prawem kaduka nabyte, ale jak takim ziemię odbierać?

– Kaptujecie sobie sojuszników? – spytał rozweselony.

– Cóż... W Neapolu izba skarbowa ma dokładne dane o wszystkich włościach: jaki w nich obszar ziemi uprawnej, a jaki łąk, lasów, ilu poddanych, jakie kto płaci cła i podatki. Alifio musi stworzyć taki sam urząd dla wszystkich ziem Wielkiego Księstwa. I właśnie jemu przydadzą się owi szlacheccy. Dobrze wiedzą, na czym kto siedzi... O Dio! Jakże byli śmieszni! Jednemu papiery spalił Tatarzyn, a drugiemu zjadła szczuka.

– Zjadła?

– Ależ tak! – śmiała się królowa. – Szczuka! Zubasta szczuka!

Ale prócz wesołych bywały dla królowej chwile trudne. Zwracając się do pokojowca, Bona mówiła wkrótce potem:

– Proś kanclerza Alifia. Witam was, dottore. Nasza narada w cztery oczy, tajna. Muszę wiedzieć: czy w moich rękach całe pogranicze litewsko-pruskie?

– O ile wiem, część tylko, ale znaczna.

– Otóż donosi mi tutejsza szlachta, że książę Albrecht próbuje wycinać szeroki pas puszczy po naszej stronie. Słyszeliście o tym?

– Nie da się zaprzeczyć, miłościwa pani. Książę Albrecht wykorzystuje sposobność. Wie, jak bliskim jest krewnym miłościwego pana.

– I stąd zuchwałość? Ależ to znacznie więcej! To osadnictwo wzdłuż naszych dóbr, a przez to przesunięcie na wschód nie tylko granic jego ziem, ale i granic Prus Książęcych.

– Na to wygląda, nie przeczę – zgodził się kanclerz.

– Ale król nic o tym nie wie?

– A może nie chce wiedzieć? – spytał po chwili wahania.

– Nie wierzę. Nie wie! I zaoszczędzimy mu sporu z tym rzekomo życzliwym krewniakiem. To ja nie daruję tamtemu ani jednej wyciętej sosny po naszej stronie!

– Miłościwa pani bierze na swoje barki trud niemały.

– Jak wzięłam już na siebie odium wykupu nadań... trudno. Ktoś musi być niemiły grabieżcom.

– Książę od niedawna domaga się oficjalnej rewizji granicy prusko-litewskiej.

– I może kiedyś będzie ją miał – odparła. – Ale nie teraz. Od jutra zarządzam ochronę pogranicznych puszczy i szybkie zasiedlenie pustaki po naszej stronie. Presto, presto! Muszą tam powstać osiedla ludzkie, tartaki, smolarnie. Niech tysiące oczu śledzą bezprawne poczynania księcia.

– Ale czy król nie sprzeciwi się? – wahał się Alifio.

– Biorę i to na siebie. Podobnie też uczynię na Polesiu. Pora i tam rozgraniczyć dobra Czartoryskich od naszych.

– Zaczynają już mówić o wielkiej hodowli łąkowo-stepowej bydła miłościwej pani. O zakładaniu folwarków, stadnin. Także o planie budowy mostu na Niemnie i kanału pod Pińskiem.

– Niech mówią! Buduję za własne pieniądze. Także umocnię Kamieniec i postawię kościół w Łomży. A zamków nadgranicznych, da Bóg, zostanie po mnie więcej niżli rodzonych dzieci. Santa Madonna!

Toż w tych puszczech pełno drewna i miodu, i skór zwierzęcych pod dostatkiem. Ale, aby to sprzedać, trzeba mieć spławne rzeki i mosty. Aż dziwno, że nikt przede mną o tym nie pomyślał. Toż w tym kraju dukaty leżą przy gościńcach, jeno schylić się, aby zebrać.

– Któż by się chciał tutaj schylać? I zliczać? – mruknął Alifio.

– Nikt? Tym lepiej dla mnie. Jutro wyjeżdżam do moich nadgranicznych puszczy. Na inspekcję i łowy.

Wyjechali z liczną eskortą skoro świt, ale po dwóch godzinach Bona ściągnęła cugle, nad słuchując. W oddali rozległ się wyraźny stukot siekier.

– Rąbią las. Po naszej stronie. Avanti! W cwał! Pędzili jak burza. Na widok konnych kilku drwali rzuciło piły, ratując się ucieczką.

Bona osadziła białą klacz i krzyknęła do swoich:

– Basta! Nic gonić! Jutro tu nie przyjdą, a pojutrze zastaną już warty na pograniczu.

– Postawi się tutaj straż leśną? – zdziwił się Alifio.

– Nie tylko. Może też i celników.

– Celników? Tutaj? Po co?

– Zobaczą, czy da się ustanowić nowe cła. Bardzo liczne. Na wywożony od nas wosk i miód. Na... Sprawdźcie, czym jeszcze handlują na pograniczu Prusacy? Gdyby na każdy towar wyznaczyć cło, wkrótce nie mieliby co tu robić. O Dio! Jak wścieknie się Albrecht, kiedy się o tym dowie! Odechce mu się kolonizacji i handlu. Wracamy.

Jechali jakiś czas milcząc, dopiero po chwili Bona ruchem głowy przywołała Alifia.

– Jechaliśmy dziś wzdłuż Niemna. Co z jego ujściem? W czyim władaniu?

– Dawniej Krzyżaków. Dziś Prus Książęcych.

– Znowu ten Albrecht! Mamy rzekę bez ujścia i bez dostępu do morza! Tak nie powinno być!

– Myślicie, miłościwa pani, o... wojnie?

– No. Certamente no. Ale pomyślę jeszcze o tym. Później...

Stańczyk towarzyszył królowi w podróży na Litwę i próbował bawić go jak dawniej, ale chyba zestarzelili się obaj, czy też spowaźniali, bo błazen coraz rzadziej mógł rozśmieszyć swojego pana.

– Niezabawne te twoje fraszki – rzekł kiedyś król.

– A cóż zabawnego może być teraz na zamku wileńskim? – wydziwiał Stańczyk.

– Czemu? – zapytał monarcha.

– Szlachta pcha się do kancelarii królowej, mądrzy się, ponad innych wynosi, a zagadnięta, jedno ma tylko zdanie na ustach: „U nas będzie jak w królestwie Neapollu”. Neapolu... A żeby ich! Dotychczas kancelaria na Wawelu wydawała każdemu takie papiery, jakich potrzebował.

– A teraz czas sprawdzać pieczęcie. Kto to ma robić? Chyba nie wielmoże, jeno drobniejsza szlachta.

– Jak w Neapolu? – zadrwił Stańczyk.

– Otóż to. Jak w Neapolu. A teraz zmykaj! – klasnął w ręce Zygmunt. – Prosić podkanclerzego Chojeńskiego!

Podkanclerzy przybył poprzedniego dnia do Wilna z nowinami z Korony.

– Tedy mówcie. Coście umyślili w Krakowie?

– Nic. Konceptu braknie. Jak z takimi wieściami stanąć przed królową?

– Książę Joachim brandenburski czeka na odpowiedź już bardzo długo.

– Wiem – przyznał Chojeński. – Za długo. Ale nie śmiał dawać żadnej odpowiedzi. Boję się, że królowa będzie temu małżeństwu przeciwna.

– Cóż... Widziała się jej Jadwiga na mazowieckim tronie – rzekł król. – Ale Janusza nie ma już w żywych, a Albrecht pilnie zabiega o ożenienie elektora.

– Książę Joachim to Hohenzollern – westchnął podkanclerzy.

– Ale nasz krewniak. Chcę obu książąt bliżej z nami związać.

– Myśl przednia i czynię, miłościwy panie, wszystko, co w mojej mocy. Tylko że królowa...
– Dobrze. Niech księżę Joachim jeszcze poczeka na odpowiedź. Co zrobimy ze sprawą drugą?
– Nie da się ukryć, że przywiozłem żalobną wieść o śmierci prymasa. Królowa wprowadzie teraz w rozjazdach, ale dowie się i tak. Wysunie zaraz swoich kandydatów, zauszników...
– Łaski odgrywał znaczną rolę w jej planach...
– Ale liczył osiemdziesiąt lat. Są młodszy – zaczął wyliczać Chojeński. – Oddany królowej Gaimrat...
– Ten? Nie. Niech czeka. Jest jeszcze Krzycki. Dyplomata, bardzo zręczny i nam oddany.
– Zwolennik silnej władzy królewskiej – przypomniał podkanclerzy.
– I królowej. Ale rozwagi mu nie brak. Tedy niech będzie Krzycki. Wiadomość o zgonie prymasa można przekazać dworowi już dzisiaj. A zabiegi brandenburskiego elektora o rękę Jadwigi... Królowej w Wilnie nie ma, tedy na razie... tak, na razie trzeba zachować to w tajemnicy.

*

Wielkie stado bydła szło gościńcem. Woły przepłynęły wprawdzie rzeczkę, a potem, rycząc, stłoczyły się na szerokiej, zakurzonej drodze. W tej samej chwili z przeciwnej strony nadjechała kolebka eskortowana przez zbrojnych pachołków oraz dworzan, skręciła na pobocze i z okna wychyliła się królowa.

– Piękne stado. Zapytajcie, signor Alifio, czyje? Nie, nie wy. Potrafi to lepiej Ostoja.

Dworzanin zeskoczył z konia i zbliżył się do pastucha:

– Czyje te woły? – zapytał.

Ale ten przekrzywił głowę i wpatrzył się tępo w strojnego dworzanina.

– Czyje stado? – powtórzył Ostoja, wskazując ręką na woły.

Ten gest chłop widać zrozumiał, bo wyjaśnił:

– A! Hosudarini naszoj, wielikoj kniahini litowskoj.

– Polskiej królowej? – dopytywał się Ostoja.

– Nu, miłostiwój polskoj korolewy.

Dworzanin zawrócił do kolebki.

– Najjaśniejsza pani słyszała odpowiedź?

– Si – odparła. – Cieszę się, że jest tak, jak chciałam.

– Ale kurz tutaj straszliwy – rzekł Alifio, dławiąc się kaszlem.

– Ruszamy! – rzuciła rozkaz. – Każcie wjechać głęboko w las.

Zatrzymali się na leśnej polanie dla odpoczynku i przygotowania gorącego posiłku, lecz królowa w towarzystwie Alifia, Anny, Ostoi i Morawca zaczęła iść po zielonej, zalanej słońcem trawie.

– Nie ma to jak puszcza! – westchnęła. – Dostyc na dzisiaj skarg i rozstrzygnięcia sporów.

Basta! Nie chcę słyszeć o niczym. O niczym!

– Wszystyśmy radzi z tej chwili wytchnienia – przyznał Alifio.

– Iść w słońcu. Wdychać przezyste powietrze. Nie myśleć... Cóż za rozkosz! – mówiła deptając łąkowe ziele.

– Gdybym była królową – wtrąciła Anna – robiłabym zawsze to co chcę. Dlaczego najjaśniejsza pani...?

– Nie mów. Nie kończ! Dlaczego? Perché? Okropne słowo. Właśnie o nim chciałabym dziś zapomnieć!

– Szkoda, że nie zabraliśmy muzykantów – rzekł Morawiec.

– A oni po co? – zdziwiła się. – Słyszycie? Ptaki śpiewają. Tak dawno już nie słyszałam ptaków.

Posuwali się dalej w milczeniu. Anna zrywała różnobarwne kwiaty, królowa niosła cały ich snop. Szła z uniesioną w górę twarzą, z na wół przymkniętymi oczyma. Po raz pierwszy Alifio widział ją w Polsce zupełnie odprężoną, uspokojoną wewnątrz i zmarszczył brwi usłyszawszy nagle szczekanie psa. Jakiś bury kundel wypadł z lasu i zaczął ujadać na idących. Królowa stanęła, jej pogodny nastrój pierzchnął.

– Uciszcie to głupie zwierzę – rozkazała, Morawiec z Ostoją pobiegli w stronę psa, ale w tejże chwili z lasu wyszedł jego właściciel, starszy człowiek niosący na plecach wiązkę skór bobrowych. Bona, zbliżając się, śledziła bacznie przebieg pertraktacji i zachowanie się chłopca, który pośpiesznie dopadł kundla i chwycił go za kark. Morawiec wrócił do królowej.

– Już będzie cicho. Przestraszył Waszą Królewską Mość?

– Nie. Co to za chłop? Czy nie kłusownik?

– Chyba leśniczy. Skóry bobrowe niesie.

– Bobrowe? Dokąd? Dlaczego? Idźcie zapytać.

Nie ruszyła się z miejsca, ale już po chwili otrzymała odpowiedź. Morawiec tłumaczył:

– To nie jest królewski leśnik. Gajowy u kniazia Wiśniowieckiego na służbie.

– Ach tak? Więc panowie nie chronią żeremi i każą bić moje bobry? Dla siebie? A przecież zakazałam. Signor Alifio!

– Słucham – rzekł podchodząc.

– Zechciejcie sprawdzić, kto łamie nasze zakazy? Gony bobrowe miały być wyłącznie moje, królewskie. Czyż nie opłacam bobrowniczych dla ochrony tych cennych zwierząt? Mieli gonów bronić i nie dopuszczać do niszczenia żeremi przez właścicieli tutejszych dóbr. Więc dlaczego, dlaczego?

– Nie wiem, czemu książ Wiśniowiecki...

– Książ – nie książ, nic jemu do tutejszych bobrów! Każcie pacholkom odebrać skóry.

– I zatrzymać chłopca? – spytał Ostoja.

– Nie. Co on wie? Moich zarządzeń nie czytał. Ale powiedzcie gajowemu, dlaczego nie zanieś kniaziewi tych skór. I dosyć! Basta! Wracamy do Wilna.

Odwróciła się gwałtownie i zaczęła iść w stronę kolebki. Patrząc na nią, Alifio stwierdził z żalem, że to już inna niewiasta: rozgniewana, mroczna, niespokojna. Idąc uderzała bukietem polnych traw, wręczonym jej przez Annę, mijane krzewy. Głowę miała spuszczone, twarz złą. Nie słuchała śpiewu ptaków.

Ledwo wrócili na wileński zamek, Pappacoda zabiegł drogę, królowe idącej do swych komnat.

– Miłościwa pani dla mnie ostatnio niełaskawa. Ale mógłbym dowieść, że wiem więcej niż kanclerz Alifio! – rzekł.

– Więcej? Ciekawe. Więc co wiesz? Tylko nie zmyślaj.

Drgnął, bo po raz pierwszy mówiła mu „ty”, ale nie zamilkł.

– Wiadomość z pewnego źródła – szeptał. – Elektor brandenburski Joachim...

– Wiem. Chciałby, żeby Albrecht, nie mający syna, jemu przekazał kiedyś w spadku lenno pruskie.

– Żeby tylko to!

– O Dio! Cóż może być gorszego niż połączenie Brandenburgii z Książęcymi Prusami?

Pappacoda jeszcze bardziej ściszył głos.

– On... stara się o rękę królowy Jadwigi.

Królowa stanęła jak wryta.

– Oszalałeś? Hohenzollern o Jadwigę? A któż mu ją da?

– Wedle zwyczaju, ojciec – odparł.

– Nie rozumiem. Czyj ojciec? – starała się zrozumieć jego szept.

– Waszej pasierbicy, królowy Jadwigi.

Królowa przez chwilę patrzyła na niego, nie rozumiejąc jeszcze, wreszcie wybuchła:

– Coś ty powiedział?! Coś ty śmiał powiedzieć?!

– Ja nie przypuszczam – tłumaczył. – Ja wiem. Książę Joachim długo czekał, ale teraz lada dzień ma otrzymać przyrzeczenie. Na piśmie.

– Od króla? Łżesz! Łżesz! – krzyknęła. – Santa Madonna! Jadwiga w ich rękach?! Po tamtej stronie?! To nie może być! Nigdy!

Odrząciła go i niemal pobiegła do komnat Zygmunta. Pappacoda patrzył za odchodzącą ze złośliwym uśmiechem na ustach.

A ona już stała przed królem i, usłyszawszy potwierdzenie nowiny zadrwiła:

– Słuchałam uważnie, jak najuważniej. Ale jakież są te powody, które skłaniają was do wydania Jadwigi za Hohenzollerna?

– Cesarz Carolus i Ferdynand znoszą się tajemnie z Moskwą. Podburzają ją przeciwko nam...

– Nigdy nie ufałam Habsburgom – przerwała.

– Ale po sekularyzacji Prus są oni w ciągłych zatargach z domem Hohenzollernów. Sądziłem więc, że będzie nam wygodnie mieć Albrechta i Joachima przy sobie, przeciw Habsburgom. A

także przeciw Moskwie. Bo na pograniczu niezbyt spokojnie.

– O Dio! Nie darmo kancelarią królewską zarządza biskup Chojeński – westchnęła. – Wiadomo, jak boi się walki z dwoma przeciwnikami naraz. Układać się chce to z tym, to z tamtym. Przysięgnę, że nikt inny, tylko on obmyślił to małżeństwo.

– Nie przysięgajcie. Sam tego chciałem.

– I nie boicie się dynastycznych planów Joachima? Ani Albrechta? Połączenia Brandenburgii z Prusami? Nie wadzi wam to, że księżę pruski wypędza już teraz z pogranicza naszych chłopów? Że stara się zniszczyć nasze ziemie i część Mazur?

– Mnie starcza, że przeszkadzacie mu w tym wy. Boże wielki! Kiedy próbuję wprowadzić w czyn tak chwaloną przez was politykę króla Francji, jesteście także przeciwko mnie?

– Politykę francuską? Jaką? – spytała.

– Popierać heretyków w krajach Habsburgów. Walki religijne i zamieszki to broń nie mniej groźna niż miecz.

– A elektor Joachim sprzyja nowinkom?

– Rzekliście – odparł.

Namyślała się przez chwilę.

– Ale jak popierać obcych różnowierców, a jednocześnie nie rozzuchwalić własnych?

– Niełatwe to – przyznał. – I z tej właśnie przyczyny politykę wypada zostawić doświadczonym mężom.

Nie patrzył jej wprost w oczy, zaczęła więc iść ku drzwiom, ale w progu stanęła, mówiąc:

– Słyszę te słowa nie pierwszy raz. Bene, róbcie, jak chcecie. To wasza córka, nie moja. I waszym krewniakiem jest księżę Albrecht. Dwulicowy, niebezpieczny. Ostrzegam was, niebezpieczny...

Królewna Jadwiga musiała słyszeć o planach ojca, bo dowiedziawszy się od Anny o sprzeciwie królowej, wybuchnęła płaczem.

– Tyle łez... Oczu szkoda – pocieszała ją dworka. – Jeżeli waszej księżęcej mości małżeństwo z Joachimem po myśli...

– Po myśli, tak – przerwała Jadwiga. – Ale macocha...

Nie mówiła tak nigdy o Bonie i Anna westchnęła tylko:

– Król jegomość nie zawsze królowej ustępuje.

W tejże chwili weszła Marina.

– Istne szaleństwo – rzekła. – Co pod ręką o ziem ciska, miota się, nogami ze złości tupie.

– Co mówi? – spytała Jadwiga.

– Że Hohenzollernowie jednego tylko pragną: połączenia wszystkich ziem pruskich. A królewna dla nich jeno przynętą.

– Nie może być! Pisał, że mnie miłuje! – krzyknęła Jadwiga.

– A co miał pisać? – ośmieliła się zauważyć Marina. – Że królowa ma go w podejrzeniu?

- Nie uwierzę w to nigdy! Miłuje mnie. Miłuje!
- Anna spojrzała na Marinę, ale ta odwróciła oczy.
- Może być i tak – przytaknęła bez przekonania. – Tedy nie płaczcie już. Nie płaczcie...

Atak z Krakowa okazał się silniejszy, niż przypuszczała Bona, bo po stałych doradcach króla zjechał do Wilna hetman Tarnowski. Na audiencji u monarchy obecny był Wolski i to on powtórzył królowej, o co oskarżają ją małopolscy panowie, nieradzi, że para królewska już przeszło dwa lata przebywa na Litwie. Tarnowski zanosił skargę:

– Miłościwy panie! Nie wiem, co odpowiadać, kiedy senatorowie pytają o młodego króla. Nauczył się ponoć uroczystych gestów, kroków, umie celebrować swoją królewskość. To tak! Ale kształcą go jakies Italczyki, skryby królowej. Rozumiem, nie zniesie jarzma, bo czuje się królem i panem. Ale czemu jest wciąż przy matce, czemu wieszka się białogłowskiej zgrai? Kiedym bił gospodarza wołoskiego pod Obertynem, młody pan mógł wziąć udział w wyprawie. Ale jemu obce cnoty rycerskie i choć otrzymał od was świetną złotą zbroję, woli bawić się i ujeżdżać na Litwie konie ze stadniny królowej.

– Młody jeszcze – bronił syna Zygmunt. – Ma dopiero piętnaście lat...

Jednakże Tarnowski upierał się przy swoim.

– Krzywousty pasowan był na rycerza już w dwunastym roku życia.

Miłościwy panie! Złe wychowuje przyszłego władcę królowa-matka.

– Przebywa z nią i jej doradcami, aby poznać ustrój i zasoby Wielkiego Księstwa. Przygląda się zakładaniu nowych wsi i miast, budowie grodów warownych. To także nauka – odparł król.

– Ale tylko przy hetmanach zdobędzie sztukę zdobywania obcych grodów i twierdz nieprzyjaciela! Nabędzie rycerskiego animuszu i zasłynie męstwem! – gorączkował się już Tarnowski.

– Nie przeczę. Nie jest jednak odpowiednia pora do interwencji w tej sprawie. Planowane małżeństwo Jadwigi dostatecznie niepokoi królową.

– Zawsze, niestety, jest niestosowna pora do sprzeciwiania się najjaśniejszej pani – mruknął hetman.

Zygmunt z trudem pohamował narastające zniecierpliwienie.

– Zawsze? – spytał. – Tedy obiecuję, że młody król weźmie udział w najbliższej wojennej wyprawie.

– Słyszeliście, mości marszałku? – zwrócił się hetman do Wolskiego. – Mój jest na wypadek wojny.

Król sprostował natychmiast:

– Ale w czas pokoju należy do całego królestwa. Do Korony, Mazowsza, a zwłaszcza Litwy, jako jej wielki książę. Zechciejcie pamiętać o tym, mości hetmanie.

Tarnowski zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Jak mi Bóg miły, nie zapomnę – rzekł.

*

Nie zdały się na nic protesty i ostrzeżenia królowej: Zygmunt Stary chciał wierzyć Chojeńskiemu i podkanclerzemu Tomickiemu, że ślub Jadwigi z Brandenburczykiem przyniesie korzyści Koronie, umocni bowiem wpływy polskie nad Bałtykiem. Uważał za śmieszne obawy królowej, że Brandenburgia może dążyć do połączenia z Prusami Książęcymi. Co znaczą Szczecin i Królewiec wobec Krakowa, Poznania, Wilna? Polska była królestwem, potęgą w środkowej Europie.

– Ta podejrzliwość i niechęć do obu dynastii niemieckich jest chorobliwa u najjaśniejszej pani – skomentował to zastrzeżenie Tomicki.

Ale tym razem król wahał się, czyby nie poprzeć żądania małżonki. Wahał się, choć wierzył, że nigdy obaj bracia nie zagrozą leżącym między ich ziemiami Prusom Królewskim...

Tymczasem rok trzydziesty piąty przyniósł koniec wpływów dotychczasowych doradców Zygmunta: po powrocie z Wilna zmarł przychylny Albrechtowi Tomicki, nieco wcześniej – kanclerz Szydłowiecki. Jednakże obu zastąpił podkanclerzy Jan Chojeński, stronnik Hohenzollernów i główny sprawca małżeństwa Jadwigi z Brandenburczykiem. Bona, licząc na wzmocnienie własnego stronnictwa w Krakowie, przestała pozornie interesować się losem pasierbicy.

Trzeba było szykować się do wyjazdu z Wilna, król bowiem wyznaczył uroczystości ślubne na koniec tegoż roku.

Jadąc z Alifiem na ostatni, krótki już objazd swych litewskich włości, spytała go, czy pobyt na Litwie uważa za udany. Odparł, że był jednym pasmem jej zwycięstw i gospodarczych sukcesów.

– Najjaśniejsza pani zdołała nawet uzyskać od Czartoryskich dobra, które zagarnęli po śmierci ostatniego pińskiego księcia. Fedor Jarosławicz nigdy nie myślał, że kiedyś jego ziemiami włączyć będzie principessa Bari. Nie da się zliczyć i innych wykupionych lub odebranych królewskich ziem. Pustacie nad granicą pruską zaczynają się zamieniać w uprawne pola. A ileż pobudowanych zamków i dworów, choćby ten najpiękniejszy w Mejszagole. Czy Pappacoda obliczył dokładnie, ile dochodu mamy teraz ze wszystkich posiadanych ziem?

– Si. Dużo. Rocznie na Litwie trzydzieści sześć tysięcy złotych. Z Bari i Rossano – dwadzieścia tysięcy dukatów. A w Koronie... Kiedy wrócimy, zajmę się gospodarką i w tamtych dominiach. Liczę, że uzyskam z nich prawie dwadzieścia tysięcy złotych więcej niż z ziem litewskich.

– To bardzo dużo – mruknął kanclerz – może aż za dużo? Będziemy mieli coraz więcej przeciwników i zazdrosnych.

– O Dio! – wykrzyknęła. – Niechże robią to samo co ja: dozorują innych, liczą, gospodarzą. Tego jednego nie broniłam w tym kraju nigdy nikomu.

Ale choć była rada z dokonania w Wielkim Księstwie, gniewała ją myśl, że musi wziąć udział

w uroczystości zaślubin Jadwigi. Oglądając kiedyś klejnoty podawane jej w pięknie rzeźbionej szkatule przez Marinę, rzuciła w stronę Alifia i Pappacody asystujących przy otwieraniu skarbczyka:

– Nie! Na ten przeklęty ślub weźmiemy ze sobą wszystkie klejnoty. Tylko skarbiec zostanie tutaj i Pappacoda razem z nim. Wrócę na Litwę tak prędko, jak tylko zdołam.

Pappacoda milczał chwilę, wreszcie rzekł:

– A złota zbroja? Młody król chce ją zabrać do Krakowa.

Zdziwiła się:

– Złotą zbroję? Po co mu to? Nie nosił jej nigdy. A zresztą... Niech ma swój kosztowny amulet, jak ja srebrną kołyskę. Ale do wyjazdu żadnych zmian! Jak zawsze: łowy, ucztę, maskarady i pląsy. Możecie odejść – skinęła ręką, odprowadzając swego skarbnika i Marinę.

Kiedy została sama z Alifiem, spytała go o ostatnie nowiny. Nie mógł zataić, że Tarnowski ganił nadmiar zabaw na dworze młodego króla i dogadzanie wszystkim jego chętkom.

– Cóż – skrzywiła usta – jego rzeczą jest ganić. Moją – tłumić w Augustie żądę władzy. Z naszej woli jest królów dwóch: stary i młody, ale panuje tylko jeden.

– Miłościwa pani naprawdę chce jeszcze wrócić na Litwę?

– Ależ tak! Trzeba skończyć z budową zamków obronnych i zasiedlaniem pustaci. Zaraz potem zarządzę pomiar wszystkich ziem.

– Och, tutejsze ziemie mierzone tylko na oko. Dobra królewskie od wieków przemieszane ze szlacheckimi, kościelnymi i chłopskimi.

– Właśnie dlatego, że pomieszane. Kawałki, splachetki, kliny! Ziemia leży odłogiem, a o gruntach mówią: nikczemne, piaszczyste. Tak jakby na piaskach nie można było hodować trzody chlewnej, a na ugorach wypasać bydła!

– Miłościwa pani, tu nie ma, jak w Neapolu, mierniczych. Mówiąc że był jeden taki na Litwie, ale i ten z dawna już zmarł.

Roześmiała się.

– Znajdę innych wśród drobnej szlachty. Ale teraz nie to ważne, popilnujcie, żeby przed ślubem nie było obietnic scedowania na młodą parę praw Albrechta do Prus Książęcych.

– Miłościwa pani od tego warunku nie odstąpi? Królowa Jadwiga tak dumna z tego małżeństwa...

– Nie ona ważna, tylko dziedzictwo Jagiellonów! Nie dam go uszczuplić. Co z tego, że Jadwiga będzie żoną brandenburskiego elektora? Nic. Ale jeżeli Joachim otrzyma obietnice sukcesji po Albrechcie, Prusy Książęce przypadną dla Korony. Tedy dopilnujcie. Inaczej nie pojedę do Krakowa. I nie będę na weselu.

– Ma być ono z woli króla bardzo huczne.

– Ma być – odparła gniewnie. – Ale może nie być. Czyż nie tak? A ponieważ cisnęła ciężką złotą bransoletą na ziemię, zamiast ją włożyć na rękę, skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Jeszcze przed wyjazdem udała się do najbliższej stadniny w otoczeniu całego dworu, żeby

wybrać konie obiecane kiedyś Jadwidze w wawelskich ogrodach. Stała obok Alifia i Anny na kobiercu rzuconym wprost na trawę, a koniuchowie przepędzali przed nią co najpiękniejsze rumaki. Oglądała je okiem miłośniczki i znawczyni.

– Ta klacz bardzo szlachetna w linii, odprowadzić na bok. I ten ogier wart doktorskiej stajni. Zaczekaj! Przeprowadź go jeszcze raz. Wspaniały...

– To ulubieniec młodego króla – uśmiechnęła się Anna.

– Dużo wiesz. A co słyszałaś... o jego ulubienicach?

– Doprawdy, niewiele. Młodzieniaszek to jeszcze.

– Jutro, pierwszego augusta, zacznie rok szesnasty. O Dio! Te kilka lat spędzonych na Litwie i nad Prypecią przeleciało jak jeden dzień. Niewiarygodne, ale nie dostrzegłam, kiedy przestał być dzieckiem.

– Miłościwa pani w ciągłych podróży, rozjazdach...

– Zabezpieczam przyszłość jego i córek. Ta klacz przypomina arabkę posłaną kiedyś w darze królowi Anglii. Dam Jadwidze jeszcze i tę. Mówiłam jej kiedyś o stu koniach w posagu, ale dla żony brandenburskiego elektora to za dużo. Wystarczy kilkanaście. Odprowadzić.

– Dostanie także klejnoty? – spytał Alifio.

– Od ojca, od ojca! Ale co do klejnotów... Podobno August znów kazał Pappacodzie kupić naszyjnik. Tym razem z turkusów. Anno, czy wiesz, dla kogo?

– Może potrafiłaby na to odpowiedzieć... – zacięła się, ale dodała po chwili: – Diana di Cordona?

– Diana? – zdziwiła się królowa. – Ależ ona jest młodsza ode mnie zaledwie o dziesięć lat! Mogłaby być jego matką. To znaczy... prawie. Wróć! Przeprowadź tę kasztankę jeszcze raz. Obejrzałam ją nieuważnie. Rzadkiej urody i maści! Oczy ma bardzo piękne. Ale oczy nie wystarczą. Jest za stara. Turkusy na jej szyi! Dlaczego milczysz? Przyznaj się, że tę plotkę wysłałaś z palca?

– Po prostu próbowałam zgadnąć – broniła się dworka – kto gromadzi te kosztowności, o które pytała miłościwa pani. Bo, że nie nosi ich nikt, to pewne.

Bona skinęła głową.

– To prawda. Nie nosi nikt. – I nagle krzyknęła na koniucha: – Per Bacco! Czemu narowisz konia? Nie szarp tak, nie zatrzymuj! Biegnij razem z nim. I przy nim. Prędej! Jeszcze prędej!

Przesuwały się przed jej oczyma coraz to inne, coraz piękniejsze rumaki, rozwiewały się ich grzywy, ogony, ale ona widziała tylko białą szyję kobiecą zdobną w naszyjnik z turkusów. August i Diana? Pappacoda wiedział i nie doniósł?

Kanclerz Alifio nie spodziewał się nigdy, że wielmoża litewski Mikołaj Radziwiłł, zwany Rudym, poprosi go o chwilę rozmowy. Byli sami i pierwszy zaczął gościć.

– Wprosiłem się do was, bo do miłościwej pani gadać próżny trud, a król jegomość myślami już w Krakowie. Poważają was wszyscy. Tedy powiedzcie, ku czemu zmierza królowa?

Najpotężniejszych magnatów na Litwie ma przeciwko sobie. Gasztołd nienawidzi jej tak, że nie cofa się już przed użyciem gwałtu na jej urzędnikach. Bo i prawda! Puszcze nasze objeżdża, nawet te, które nigdy nie były królewskimi. A przy tym cała szlachta wie, że dobra, niby to wracające do królewskiego skarbu, naprawdę stają się jej własnością. Jakże tak? – pytają. – Na co królowej tyle włości? I wiedzieć chcą. Możliwe to, że co roku wpływa do jej szkatuły aż tyle tysięcy złotych? Takie dochody wszystkim solą w oku.

Alifio westchnął:

– Każdy medal dwie strony ma. Zgarnia dukaty, to prawda. Ale też naprawia drogi, buduje wsie, zamki. Małoż to?

– Może i dużo, ale niechby to robiła w swoich dobrach koronnych, nie na Litwie. Obejdziem się bez włoskiej gospodarki na naszych ziemiach. A do tego, darujcie, jej zauszniczy – sami cudzoziemcy. Obce to, nieżyczliwe. Ujmę majestatowi przynoszące.

Alifio zmarszczył brwi.

– Chyba trudno zaliczyć do nich drobną szlachtę z Podlasia na urzędach siedzącą? Dybowski, Kamiński, Hryńkowicz i Jundziłł. Czy to cudzoziemcy?

– Wy, mości kanclerzu, zawsze w jej obronie.

– Kancelaria najjaśniejszej pani i jej polski dwór promieniuje na całą Litwę i Wołyń – odparł Alifio. – Nie da się temu zaprzeczyć.

– A nam to po co? Dla silniejszego powiązania z Krakowem? Tak czy owak niezadowolonych coraz więcej. Słyszana to rzecz, żeby w czasach bardzo niespokojnych, kiedy pachnie wojną i Szujski gromadzi przeciw nam wojsko na granicy, dwóch królów zamiast na wojnę, na wyprawę wojenną, jechało na wesele?

– Hetman Tarnowski – odparł kanclerz – także nie ruszył jeszcze z miejsca ku granicy.

– Nic tu po mnie, widzę – mruknął Radziwiłł wstając. – Że też zachciało mi się u was sprawiedliwości szukać!

– Istotnie – przyznał Alifio – każda strona ma swoje racje. Ale po czyjej stronie słuszność, sprawiedliwie ocenić bardzo trudno...

Pożegnalny wieczór taneczny na wileńskim zamku udał się nad podziw. Młodzież płasała przy pochodniach, w pierwszej parze tańczył młodziutki król z Dianą di Cordona. Oboje piękni, choć ona o tyle starsza, ale zdobiły ich jednak białe kwiaty: jej zatknięty we włosy, jego zapasem.

– Turkusy na szyi, ogień w oczach... Już się nawet nie kryje – szepnęła Marina, pochylając się nad Boną.

– Di Cordona... Znakomity hiszpański ród. Im dłużej o niej myślę, tym jestem spokojniejsza.

– Perché? Signora Diana – wulkan prawdziwy.

– Może to dobrze? Odciągnie go od niebezpiecznych projektów hetmana, który chce z Augusta zrobić wojownika. To ostatnia miłość Diany, a taka równie wyłączna jak pierwsza.

– A jeżeli pokrzyżuje małżeńskie plany? – spytała dworka.

– Plany? Jakie? On jest jeszcze za młody.

– Mówi się coraz częściej na dworze, że przeznaczona mu Elżbieta austriacka...

– Nie za mojego życia. Habsburżanka na Wawelu?

– Ośmieliłam się tylko powtórzyć... – wyszeptała Marina.

– Basta! Basta! Robisz się nieznośna. I stupida! Dokuczliwa jak Stańczyk. Nie zgodzę się na żadną kandydatkę poza królową francuską. I ślub nie wcześniej niż za lat dziesięć. Tymczasem niech tańczy. Niech tańczy! Zaczekaj, zostań. Kto poza tobą domyśla się prawdy?

– Anna. Certamente Anna. Zazdrosna jest o tamtą.

– Oszalałaś? Była przy narodzinach Augusta.

– A Diana nie? Przybyłyśmy razem na Wawel.

– Tedy myślisz, że Anna... Dio! Skończyła już chyba trzydzieści lat. I nigdy nie mówiła o zamęściu. To dziwne, istotnie dziwne...

– Kto wie, czy nie zatrzymuje jej na dworze także coś innego – dorzuciła jadowicie dworka.

– Co?

– Nie wiem, nic nie wiem... Ale słyszałam, że zmarły kanclerz Szydłowiecki brał dukaty od Habsburgów. A Zarembianka chyba biedna jak mysz kościelna...

– Pleciesz! – oburzyła się Bona. – Jej zmarły niedawno ojciec był kasztelanem.

– Darujcie, miłościwa pani. Ale zastrzegłam się: nie wiem, doprawdy nic nie wiem...

Odeszła, a królowa zaczęła z kolei przyglądać się Annie tańczącej z Ostoją. Wyglądała młodo, ładnie, mogła od dawna wydać się za męża. Co więc sprawiło, że wołała trwać, i to cnotliwie, w staropanieństwie? A może... Może to Marina jest zazdrosna o tę polską dworkę, tak jej zawsze bliską? Gorzej, że Anna wie... Gdyby zarzucano królowej popieranie rozpusty młodzieńczego syna, gdyby go porównywano z czeskim Ludwikiem, mogłaby twierdzić, że nie domyślała się nawet, że nie tolerowałyby takiego romansu na dworze. Ale Anna wie. Jak to niedobrze, jak bardzo niedogodnie...



Dwór wrócił do Krakowa jesienią i od razu zaczęły się przygotowania do uroczystości ślubnych. Pierwszy prosił królową o dłuższą audiencję marszałek Kmita i został łaskawie przyjęty.

– Wiem, że pragnęliście mnie widzieć, panie marszałku.

Skłonił się bardzo nisko.

– Szczęśliwym wielce, że miłościwa pani, zjehawszy na wesele, znowu jest pośród nas, w Krakowie – rzekł.

Roześmiała się.

– I tego nie mogliście powiedzieć wobec wszystkich? Czy mam to przyjąć jako wyznanie uczuć żywionych skrycie?

– Miłościwa pani żartuje... zbyt okrutnie.

Spytała zalotnie:

– Czyżby?

Ale on zaczął mówić bardzo przejęty, wzruszony:

– Od tylu lat... Od tak bardzo dawna... Jeszcze od Niepołomic...

– Darujcie! – przerwała. – I mówmy o czym innym. Co was niepokoi?

– Miłościwa pani! Skoro mamy mówić o mnie, z goryczą i żalem stwierdzić muszę, że dzieje mi się krzywda. Od dłuższego czasu wakuje urząd krakowskiego starosty. Ten tytuł, jakem Kmita, należy się mnie i z wieku, i z powodu zasług, których wyliczać nie chcę. A tymczasem król namyśla się, nominację odwleka, zdaje się szukać innego starosty. Czyżby dla Krakowa nie był dość dobry pan na Wiśniczu?

– Znacie króla – stwierdziła spokojnie – nie znosi ponagleń. Ale spróbuję dowiedzieć się i zaspokoić ciekawość. Waszą, a także moją.

– Miłościwa pani zechciałaby...?

– Si! O si! Starosta krakowski to obrońca zamkowego grodu. A na Wawelu żyją aż dwa smoki. Obrona będzie, zaiste, niełatwa. I ich, i zamku... Czyż nie tak, księżę prymasie? – dodała, widząc wchodzącego Krzyckiego.

– Mówię „tak”, bo widzę waszą miłość wesołą. Po raz pierwszy od zapowiedzianego ślubu królowny Jadwigi.

– Siadajcie, proszę. Muszę wyznać z bólem w sercu, że zastałam Kraków wielce odmieniony. Nie czuję się tu tak pewnie jak dawniej. Zewsząd słyszę, że wniosłam niepokój na Litwę. Że królowa nie jest od rządzenia wewnątrz kraju ani od zmiany zagranicznych aliansów.

– Trudno znaleźć chwalców z przekonania – stwierdził prymas. – Ale płatnych...

– Si, si. To wiem. Tym razem idzie jednak o większą stawkę niż przekupnych sojuszników. Muszę mieć, zwłaszcza teraz, po bliskim już spokrewnieniu się z elektorem, wierne mi stronnictwo dworskie.

– Możecie polegać zarówno na prymasie oraz jego sekretarzach, jak i na mnie, miłościwa pani – zapewnił ją Kmita.

– Grazie. Umiem to ocenić. Jednakże zaprosiłam także na tę rozmowę i biskupa przemyskiego.

– A? Gamrata?

– Przez wiele lat przebywał w Italii. Nauczył się tam sztuki rządzenia. Od jakiegoś czasu roztropnie i godnie administruje dobrami królewskimi na Mazowszu. Gdyby został biskupem krakowskim, mógłby wraz z nami stworzyć silne stronnictwo, tak mi potrzebne.

– Miłościwa pani może mu ufać? – zapytał Krzycki.

– Jak sobie samej. Nie dał się przekupić księciu Albrechtowi w sporze o granicę prusko-mazowiecką. Poza tym to opiekun humanistów, wielki miłośnik ksiąg i sztuk wszelakich.

– Jednym słowem, doskonałość – zadrwił po dawnemu poeta-prymas.

W tejże chwili pokojowiec zameldował:

– Ksiądz biskup przemyski Gamrat.

– Otóż i on sam! Mówiliśmy tu o was, księżu biskupie. I możemy przystąpić do sedna sprawy. A może macie jakieś pytania?

– Tak. Primo: na kim właściwie zamierza oprzeć Wasza Królewska Mość swoje rządy?

– Przed laty syna naszego Augusta wynieśli na tron możnowładcy...

– Otóż to. Przed laty. Dziś miłościwa pani poróżniona z Tarnowskim i nie ustaje procesować się z litewskimi panami. Słyszałem, że Radziwiłłowie...

– Wiem. Ale ci dzierżyli bezprawnie wiele królewskich ziem na Podlasiu. To prawda, że oskarżałam ja, ale sądził sam król.

– Mimo to... A więc nie oni. Ze szlachtą miała wasza miłość te same cele: odebranie ziemi magnatom. Ale teraz i im nie w smak pomiary, karczunki. Rozzuchwalanie chłopstwa.

– Wieśniacy mówią o najjaśniejszej pani „dobra królowa” – zaprotestował Kmita.

– Gmin? Ten się nie liczy... – westchnął Gamrat.

– To znaczy – spytała królowa – że po tylu latach wysiłków i trudów nie mogę oprzeć się na nikim?

– Cóż... Jest jeszcze szlachta pragnąca naprawy Rzeczypospolitej. Jest także Frycz...

– Ten od dawna za egzekucją praw – wtrącił Kmita. – Za zniesieniem niesprawiedliwych kar za mężobójstwo. Mówiłem z nim, ale...

– Ale i on przeciwny jest, jak wszyscy, obsadzaniu najwyższych urzędów przez... powiedzmy, nie przez króla. To chcielibście powiedzieć? – śmiało zagadnął Gamrat.

– Ciekawe – wtrąciła się Bona – że nie przez króla. A właśnie teraz wakuje biskupi stolec w Krakowie. I miałam zamiar... Myślałam...

Patrzyła na Gamrata, ale odezwał się prymas.

– Zebraliśmy się tutaj, by mówić o silnym stronnictwie dworskim. O niczym innym.

– Prawda – wycofała się natychmiast, niepewna oceny Gamrata przez Krzyckiego. – Tedy mówmy, mówmy!

Zdawało się im, że są na poufnej naradzie, ale Pappacoda stał mocno przywarty do drzwi, co dostrzegł przechodzący Stańczyk i spytał:

– Zapukać, czy lepiej w dzwonki uderzyć?

– Cii... – szepnął Pappacoda. – Zawsze zjawiacie się tam, gdzie was nie proszą.

– Taki przywilej błaznów. Widzicie, co to jest? – wskazał na swój nos.

– Nos.

– Patrzcie uważniej – nalegał błazen.

– Patrzę. Zwyczajnie, nos.

– A nie, skądże! Organ węchu. Niezawodna busola! Pociągnie raz i już wie: swąd idzie z komnat królowej. Smok zaczął dymić z paszczy.

– Uważajcie, żeby was pierwszego nie pożarł – ostrzegł skarbnik.

– A ja jemu na co? – drwił Stańczyk. – Nie rusza wesołków ani karłów. Najpierw pożarł groźnych olbrzymów, a teraz atakuje krzykliwą brać herbową. Tedy raczej wy w niebezpieczeństwie.

– Służę królowej wiernie.

– Podśluchując rządzących? – wykrzywił się pocieszenie.

– A jak inaczej wiedzieć, co w trawie piszczy? – mruknął tamten.

– Słuchając błaznów – odparł z udaną powagą Stańczyk. – Tych z urzędu i tych, co gotowi wszystko ośmieszać. Mrowie takich w Polsce! Nie wiecie, że u nas każdy każdego i wszystko leczyć chce? Jak nie ziołami – to drwiną i śmiechem. Bez żadnej zapłaty. Ot, z czystej potrzeby serca. Powinniście się tego od Polaków nauczyć.

– I co? Chorzy zdrowieją?

– Zdrowieją sami lekarze. Bo śmiech z szyderców jad wyciąga. Dlatego zawsze zdrowy, zdrowy, zdrowy! – roześmiał się Stańczyk podskakując i potrząsając grzechotką.

Pappacoda patrząc w ślad za nim mruknął:

– Żeby cię pokręciło!

Następnego dnia królowa weszła do komnaty Zygmunta.

– Powtórzył mi marszałek Wolski – zaczęła bez wstępu – że nie chcecie mieć Kmita starostą?

– Nie. Miałby zbyt wielką władzę. To niebezpieczne. A przy tym od bardzo dawna pragnie nim zostać Tarnowski.

Zdziwiła się.

– Wielki hetman koronny? I temu nie boicie się powierzać aż dwóch tak ważnych urzędów? Choć właśnie on może przy was urosnąć ponad miarę?

– Jaką? – zapytał król. – Nie mam takich obaw. I to jest mój człowiek.

– O, tak! – przyznała. – Są nawet tacy, którzy słyszeli, jak mówił, że gdy do owego urzędu doda jeszcze starościńskie prawo wykonywania sądowych wyroków, władza jego w Krakowie będzie waszej równa. Albo nawet większa.

– Wierzycie w te baśnie? – zapytał, zaczął jednak słuchać uważniej.

– Nie bardzo. Ale dziwne, że nigdy nikt nie powiedział tego o... Kmicie.

– Tarnowskiego urazić łatwo. Już raz groził złożeniem hetmaństwa – wahał się już Zygmunt.

– Wiem. Kiedy ominęła go wielka pieczęć koronna. Nie udały się zabiegi o kanclerstwo, tedy dziś chce zostać starostą.

– Nie lubicie go aż tak? – spytał, przyglądając się jej ciekawie.

– Nie wierzę mu. Jest nad miarę pyszny, żądny władzy. I sprzyja Habsburgom.

– A sprzeciwia się wam – dodał. – Ale wybierać trzeba: co lepsze...?

– Powiedzcie raczej: co gorsze? – nalegała.

– Czy Kmita, zarazem wojewoda krakowski i starosta, czy wielki hetman koronny, urząd starosty piastujący? – rozważał.

– Hetman o dziesiątek lat młodszy – westchnęła Bona – i pożyje dłużej jak dożywotni pan wawelskiego grodu.

– Niemilo... – mruknął król. – Do tego wielki hetman koronny...

– Wygrywający wszystkie bitwy – podkreśliła z pozorną bezstronnością, nawet z podziwem.

Spojrzał na nią i zachmurzył się nagle.

– Nie wszystkie – zaprzeczył – bo na ten raz przegra.

– On?

– Tak, i to ze mną – stwierdził, a jego głos nie był łagodny.

– Radam wielce – rzekła, z trudem ukrywając uczucie dumy z odniesionego zwycięstwa.

– Przegra zaś głównie dlatego – kończył Zygmunt – że wojewoda, choćby bardzo chciał, nie potrafi aż tak urosnąć ani być tak niebezpieczny, jak tamten, Bona tym razem zdradziła swego wielbiciela i wiernego sługę:

– Biedny Kmita – westchnęła. – Nie wie i nigdy się nie dowie, dlaczego na ten raz wygrał.

Jakoś w tydzień potem przed królem siedzącym na wysokim krześle w sali audiencyjnej stali po obu stronach obaj przeciwnicy: Tarnowski i Kmita.

– Wysłucham uważnie obu stron. Oskarżacie się pono wzajemnie. Chcę wiedzieć, o co? Od was samych, nie od innych.

Zaczęli jednocześnie:

– Miłościwy panie... – i obaj umilkli.

– Niech zacznie starszy – orzekł Zygmunt.

– Nad urząd hetmana wielkiego w Koronie nie ma starszego...

– Nie dokończyłem – przerwał mu król – niech zacznie starszy wiekiem.

Wielmoże przez chwilę patrzyli na siebie z nienawiścią. Wreszcie Tarnowski przygładził włosy na głowie i rzekł:

– Pięćdziesięciu lat jeszcze nie mam. I mój włos nie siwy.

– Tedy słucham was, mości wojewodo – zwrócił się Zygmunt do Kmity.

– Z dziwnego, zaiste, pierwszeństwa przyszło mi korzystać. Ale dobre i ono. Przeżyłem więcej niż pół wieku i widziałem, miłościwy panie, niejedno. Ale takiej pychy, takiej żądy władania jak hetmańska jeszcze nie widział. Mało mu, że pierwszy został w Polsce wielkim hetmanem koronnym. Chce jeszcze teraz władać Krakowem, strzec bezpieczeństwa królewskiego zamku. Nie byto tego nigdy. I jakże to? Chce władać przeciwko mnie, bo nie ufa krakowskiemu wojewodzie? A może ze mną pospołu, bom przecie palatyn, zwierzchnik całego województwa?

– Ale nie grodu – warknął Tarnowski.

– Miłościwy panie! Wojewodowie przewodzili ongiś zbrojnej szlachcie w polu, ale starosta zawdy miał tylko prawo miecza i sądu. Czyżby godziło się hetmanowi rozsądzać zwaśnionych i zbierać podatki dla króla jegomości? A jeśli tak, może na przyszłą wojnę poprowadzę małopolską szlachtę... ja? Krakowski wojewoda?

– Chyba po to, aby ją przegrać? – dociął mu hetman. – Miłościwy panie! Z uwagi na waszą obecność hamować będą słowa cisnące się na usta. Jedno powiem: zdarza się, że przez czas jakiś wakują ważne urzędy. Tak do dziś nie jest obsadzony urząd kanclerski i Chojeński tylko podkanclerzym. Ale nie godzi się mężowi szukać białogłowskiej osłony, zabiegać u królowej o urząd dawany i zatwierdzany przez samego króla.

– Dowiedź, mości hetmanie, zem prosił i zabiegał! – prawie krzyknął Kmita.

– Zawieszam spór – orzekł król. – Wiadomo wam obu, że szlachta, zgodnie z prawem, niechętnym okiem patrzy na jedną rękę dwa urzędy dzierżącą. A dopóki na wojska zaciężne podatków płacić nie chce, jest siłą, która o pospolitym ruszeniu stanowi. Mości hetmanie! To wy, nie wojewoda, powiedzicie, gdy będzie potrzeba, szlachtę przeciw Turkom czy Wołoszy. I dobrze zważcie. Nie zarzuci wam ona wtedy, jako staroście, opuszczenia Krakowa? Pozostawienia grodu bez opieki? Nie znajdą się tacy, co zakrzykną: „Wracaj na starościński urząd, a także i nas puść do dom?” I co wtedy? Każecie powieść hufce hetmanowi polnemu? Bo i tak musi pilnować granic, stojąc z wojskiem w polu?

– Polnemu? Ja? – rzucił urażony Tarnowski.

– Nie? Tedy chyba lepiej, aby na czas wojny należną z urzędu opiekę nad podwawelskim grodem i samym zamkiem sprawował krakowski wojewoda.

– Ale wtedy on także dwa urzędy piastować będzie!

– Nie tak odmienne, a nawet sobie pokrewne. I sporów nie może być żadnych, bo wojewoda Kmita nie zechce się wynosić nad samego siebie – krakowskiego starostę. Namyślę się jeszcze, sprawę rozpatrzę. Ale doradzam, wysoko szacując obie podpory naszego tronu: poniechajcie ustawicznych waśni.

– Nie może to być! – wybuchnął Kmita.

– Nie może! – powtórzył jak echo hetman.

– Królewski przywilej: nie prosić, jeno rozkazywać – rzekł Zygmunt. – Ale na ten raz tylko doradzam. Wam ze mną pospołu budować trzeba, a niezgoda rujnuje. To i wszystko, com miał do powiedzenia.

*

Orszak ślubny Jadwigi Jagiellonki nie był tak wspaniały jak niegdyś principessy z Bari, ale królowna łatwo przeboleła brak obiecanej setki rumaków dźwigających skrzynie z jej wyprawą. Musiała zadurzyć się w Joachimie naprawdę albo też uznać, że jako dwudziestodwuletnia panna nie powinna czekać dłużej na męża. Król tego dnia bardzo rad, że zabezpieczył przyszłość pierworodnej córki, zapomniał nawet o nękającej go podagrze i mimo swych sześćdziesięciu ośmiu lat wytrwał na zabawie po uczcie prawie do końca. Nie opuszczał też ani na chwilę królowej. Może obawiał się słownego starcia swej „gniewnej Junony” z którymś z Hohenzollernów, bo stawili się wszyscy trzej, z dawnym pretendencem do ręki Anny Mazowieckiej, Wilhelmem. Przyjechał już po nominacji na ryskiego biskupa i pierwszy raz

wydał się królowej Bonie całkiem dorzecznym rozmówcą. Może dlatego, że już zupełnie nieszkodliwym?

Wesele Jadwigi kazało jej jednak zwrócić baczniejszą uwagę na własne córki. Najstarsza Izabela kończyła w najbliższych miesiącach siedemnaście lat i nie można było dłużej zwlekać ze znalezieniem dla niej męża. Jeżeli jednak pasierbica została żoną elektora, jej córce należało się więcej. Królewska korona? Tak, ale jaka i gdzie? Nikt z Habsburgów nie wchodził w grę, król francuski był od dawna żonaty...

Jak zawsze tylko w towarzystwie Mariny udała się po poradę do nadwornego astrologa, jednakże kula przepowiadała jakoś dziwacznie i na zapytania królowej dawała nietrafne odpowiedzi. Rozgniewana wyszła trzaskając drzwiami i wracając do swych komnat nie przestawała powtarzać:

– Zdumiewająca wróżba! Zdumiewająca! Pytam o Augusta, a słyszałaś, co powiedział? Stary głupiec. Jak mu uwierzyć? Każ natychmiast przywołać do mnie wszystkie królowny. Chcę je zobaczyć. Zaraz!

Przybiegły po paru minutach wszystkie cztery i matka kazała ustawić się im w rząd, według wieku. Za wystraszoną Izabelą stanęła czternastoletnia Zofia, dalej o rok tylko młodsza Anna, na samym końcu znalazła się Katarzyna – dziesięciolatka. Królowa zasiadła w fotelu przed tą żywą drabinką i przez chwilę w milczeniu przyglądała się córkom. Żadna nie dorównywała urodą ani jej samej, ani Augustowi, wszystkie jednak były świeże, proste jak świece i dosyć wdzięczne.

Powiedziała po bardzo długiej chwili milczenia:

– Orzekły gwiazdy, że jedna z was będzie władcą Polski. Mówiły, że królem, ale astrolog nie dowiździ, bardzo już stary. Tedy myślę, że będzie królową. Zrozumieć tego nie sposób, ale podobno sic volunt astrae. Tedy która z czterech? Izabela zobaczyła raz jeden Zapolyę i od tego czasu chodzi jak błędna.

– Miłuję węgierskiego króla – westchnęła najstarsza. – I mogłabym zostać królową.

– Może. Ale nie polską. Odsuń się! Tedy jedna z trzech. Która? Wedle starszeństwa – Zofia.

– O rok jeno starsza – pisnęła Anna.

– Nie pytałam ciebie o zdanie – zgromiła ją matka.

– Ale ja chcę być królową! – upierała się Anna.

Jednakże Bona patrzyła już nie na nią, tylko na Katarzynę.

– A ty? Chcesz nią być także? Może kiedyś... francuską?

– Wolę italską – wyszeptwała, czerwieniąc się, dziesięciolatka.

– W Italii nie ma już królów ani królowych – powiedziała z żalem i goryczą Bona. Rzuciła okiem raz jeszcze na całą gromadkę, po czym zwróciła się do Mariny.

– Każesz przygotować astrologowi szczegółowy horoskop dla każdej z tych trzech. Ciekawe, która? I jakim sposobem? August nie ożeni się przecież z... siostrą? – A widząc uśmiechy na twarzach córek, krzyknęła: – Nie uśmiechać się! Nie wykrzywiać! Królowe nie robią min! Va bene! Możecie odejść.

W Krakowie, na Wawelu, ścierały się od powrotu królowej dwa obozy, starając się wpływać na coraz bardziej niezdecydowanego, a często biernego starego króla. Jego spokój i wspaniała postawa monarsza myliły wielu, ale nie wprowadziły w błąd ani doradców, ani zwłaszcza Bony. Toteż wkrótce za jej wolą i zgodą biskup Gamrat stał się bliskim współpracownikiem Kmity i często wzywał do siebie kanclerza Alifia. Ci dwaj rozumieli się dobrze, obaj bowiem kochali stare pergamina i księgi przywożone im z Italii, z Francji i z Niemiec. Piotr Gamrat prowadził tryb życia zupełnie świecki, umiał jednać sobie przyjaciół i był przewidującym politykiem, zręcznym graczem. Alifio, wykładający prawo rzymskie na Akademii Krakowskiej, wdawał się chętnie z biskupem w uczone dysputy i jedyną rzeczą, która kładła się cieniem na ich przyjaźń, była rozrzutność Gamrata, jego zamiłowanie do uczt i zabaw przy dźwiękach własnej, wyśmienitej kapeli. Lubił przepych, piękne niewiasty i posądzano go, nie bez podstaw, o utrzymywanie bardzo bliskich stosunków z Dorotą Dzierzgowską oraz o zdradzanie jej z pięknymi mieszczkami, nazywanymi pogardliwie przez lud „gamratkami”. Mimo że w swoim płockim biskupstwie rządził się świetnie, mając czas na wszystko i wglądając we wszystkie sprawy kościelne, bywał coraz; częstszym gościem na Wawelu, niepokoił czujnych doradców Zygmunta – Chojeńskiego i Tarnowskiego. I może to było przyczyną, że jakoś w rok po weselu Jadwigi, ponieważ Bona wciąż nie wyjeżdżała na Litwę, zgłosił się do Zygmunta na tajne posłuchanie sam hetman. Król wolał jednak mieć świadka rozmowy, której przebiegu przewidzieć nie umiał, i ochmistrz Wolski, wprowadziwszy Tarnowskiego do komnat królewskich, pozostał przy swoim władcy.

Gość rozpoczął rozmowę od słabego uzbrojenia zamków granicznych, ale zaraz potem przeszedł do spraw zgoła nie wojskowych.

– Najjaśniejszy panie – mówił – mija już wiele miesięcy, odkąd po śmierci Tomickiego wakuje kanclerstwo wielkie koronne i...

– Co z tego? – przerwał mu król. – Chojeński dobrze sprawnia się na podkanclerstwie.

– Tak, ale słyhać, że najjaśniejsza pani chciałaby widzieć kanclerzem biskupa Gamrata. A wówczas, jeśli zjedzie do Krakowa na stałe także jako tutejszy biskup, ten wszechmocny już teraz triumwirat...

Król przerwał mu znowu:

– Jak? Wszechmocny? Rządy triumwiratu? Czy mnie słuch nie myli? Czyżbym was widział nie na wawelskim zamku? Wciąż jeszcze królewskim?

– Miłościwy panie, próżno przeczyć – nalegał hetman. – Od nominacji Kmity na starostę, a Gamrata na komisarza dóbr królewskich na Mazowszu i płockiego biskupa, są oni, z woli królowej, potęgą. Działają jak chcą.

Zygmunt Stary zwrócił się do Wolskiego.

– Słyszałeś, marszałku, o Gamracie jako przyszłym kanclerzu?

– Nie chcę kłamać. Słyszałem.

– Gamrat! Wszędzie on, do wszystkiego zdalny! – mruknął król.

– Na Mazowszu i w Koronie!

– Ale mniej groźny na obiecany mu biskupstwie krakowskim niżli na urzędzie kanclerza – zauważył hetman.

– Dowiem się od królowej, ile jest prawdy w tych opowieściach – rzekł Zygmunt. – A Gamrat nie dostanie krakowskiego biskupstwa. Przynajmniej nie teraz...

Wolski nie omieszkał powtórzyć tej rozmowy królowej i Bona, słuchając relacji ochmistra dworu, aż pobladła z furii. Chciała widzieć się natychmiast z Zygmuntem, ale ten zasłonił się chorobą, poza swoim zdrowiem o niczym rozmawiać nie chciał i, wróciwszy do swoich komnat, królowa wywarła gniew na kilku dworkach.

– Wyjdźcie! – krzyknęła. – Prędeż, prędeż!

Chwyła srebrną tackę i cisnęła nią w Annę. Uciekły wszystkie, tylko Marina spytała, już w progu:

– Mam zostać?

– Si. Albo nie, idź stąd. Wróć! Zawsze ciebie nie ma, kiedy duszę się z gniewu. Otwórz okno. Santa Madonna! Cóż to za kraj, w którym Tarnowski więcej może od królewskiej małżonki!

– Hetman nie został ani starostą, ani kanclerzem – przypomniała Marina.

– Ale odegrał się teraz. Gamrat nie dostanie krakowskiego biskupstwa! Co znaczą moje obietnice? Warte tylko śmiechu, śmiechu! I kanclerzem zostanie na pewno Maciejowski. Zamknij okno! Za zimno. Czemu patrzysz tak na mnie, jak kiedyś, w Bari, kiedy byłam małą principessą, bambiną? Jestem na Wawelu królową. Zapamiętaj! Władczynią. To nie Bari!

– Nie Bari – westchnęła z żalem dworka.

– Jak śmiesz! – zgromiła ją Bona. – Stulta! Stulta! Wyjdź! Presto!

*

Nie pomyliła się widząc teraz, po śmierci Szydłowieckiego, najgroźniejszego przeciwnika w hetmanie. Nie minęło parę tygodni, gdy król poprosił ją o przyjęcie wraz z nim Tarnowskiego. Powiedziała do Alifia: „Znowu ten”, ale nie odpowiedziała odmownie i tak, ku swemu zdziwieniu, hetman stanął tym razem przed obliczem pary królewskiej.

Szło mu o rzecz ważną: najazd Szujskiego na ziemie litewskie, najazd, o którym wiedziała już królowa, z tego nawet powodu odwołując swój wyjazd do Wilna i sprowadzając stamtąd Pappacodę wraz z osobistym skarbcem. Słuchała więc tym razem uważnie wywodów Tarnowskiego.

– Najjaśniejszy panie, Litwa bez dalszej pomocy wojsk koronnych nie zdoła odeprzeć najazdu Szujskiego. Padł już Homel. I choć moje rotty po raz pierwszy rozrywając mury minami i petardami zdobyły Starodub, z braku pieniędzy zaciężne wojsko rozpuścić wypadło. Trzeba będzie zawrzeć rozejm, oddając Homel.

– Oddając Homel? – spytała Bona. – A szlachta litewska?

– Czeka – odparł – aż ruszą nasi panowie. Ale dla Korony nie mniej ważna wyprawa na „Wołoszę. Umocnić się i tam wypadnie jeszcze w tym roku.

– Albo nieco później – sprostował król. – Tak czy inaczej, zwołać trzeba pospolite ruszenie.

– Zwołane już na lipiec, miłościwy panie, ale szlachta zbiera się pod Lwowem opornie. To już nie to rycerstwo, co dawniej. Dziedzice, bogacący się na zbożu spławianym Wisłą do Gdańska. Sarkają, że musieliby wojować z Wołoszą latem, w same żniwa.

– Pora niesposobna, ale innego wyjścia nie ma. Ja sam stanę na czele wojsk.

– Miłościwy panie! Jak śmiem sądzić, szlachcie dodałby zapалу przyjazd do obozu Waszej Królewskiej Mości razem z królem... młodym.

– Z Augustem? Po co? – zachnęła się Bona.

– Powinni zobaczyć, poznać młodego pana – tłumaczył hetman. – A i on na wyprawie wołoskiej mógłby się pokazać godnym krwi ojców.

– Wasza miłość chyba nie pozwoli... – zwróciła się do małżonka. Ale Zygmunt chciał, aby Tarnowski mógł stwierdzić, że nie ulega żonnie.

– Czemu? – spytał. – Niech wypróbuje swoją świetną zbroję. Niech jedzie pod Lwów. Może, zamiast sarkać, szlachta zacznie wreszcie wojować.

– Oby to były prorocze słowa, najjaśniejszy panie – skłonił głowę hetman.

I po chwili wyszedł rad z uzyskanej obietnicy, a królowa, natknąwszy się na milczenie Zygmunta, zaraz potem wróciła do siebie rozważając, co to było: słynny upór Jagiellonów? Bo nie kamienna twarz Szydłowieckiego czy też Tomickiego, którzy mieli wolę żelazną. A w takim razie... Tak, to była bierność unikająca walk i sporów, łagodność człowieka, któremu losowe wypadki nakazywały udawać srogość. Bene. Z tym poradzi sobie łatwiej niż z determinacją i silną wolą Tarnowskiego. Kobiecte sieci intryg oplątujące ofiary i... dukaty, zawsze dukaty. Dobrze, że Pappacoda zjedzie na Wawel ze skarbcem już w najbliższych tygodniach...

Po namyśle kazała prosić do siebie młodego króla i postanowiła przyjąć go w obecności swoich doradców: Alifia i Wolskiego. Ku swojemu zdumieniu usłyszała za drzwiami ciężkie kroki tak niepodobne do krojów młodzika i po chwili do komnaty wkroczył rycerz zakuty od stóp do głów w przepyszną złotą zbroję. Stanął przed królową i dopiero wtedy uchylił przyłbicy. Patrzyły na nią zawsze podziwiane czarne oczy Sforzów, ale patrzyły z taką powagą, z taką dumą, że zacisnęła mocno ręce na poręczach fotela. Więc jednak... Chce być rycerzem, chce – jak dziecko – zabawić się w wodza, poprowadzić innych do walki. Przeklęty hetman! Czyżby nie rozumiał, że to ostatni z Jagiellonów? Że należy go strzec, osłaniać przed każdym niebezpieczeństwem?

Pohamowała z trudem gniew i zaczęła mówić chłodno, ale spokojnie:

– Kazałam was prosić, bo słyszę od obu panów wieść dziwną. Pono macie chęć ulec naleganiom Tarnowskiego? Pociągnąć razem z nim na wojnę z Wołoszą?

– Mam siedemnaście lat, a jeszcze nigdy nie byłem w obozie – powtarzał jak zapamiętaną

lekcję słowa hetmana.

– Co za zapalona głowa! Wojna! Na niej król-rycerz. Zwycięzca! O Dio! Nie miałabym nic przeciwko temu, ale... – udała wahanie i dokończyła po chwili – doszły nas wieści, że pod Lwowem szlachta sposobi się nie na wyprawę, tylko do buntu. I spodziewać się tam trzeba raczej rokoszu niż wyruszenia w pole.

Zachręściła zbroja, prawa ręka dotknęła miecza.

– Czuję w sobie dość siły, aby stawić czoło zuchwałości poddanych – oświadczył dumnie August.

– Ty? – zdziwiła się. – Siły?

– A czemu nie? – odparł urażony.

Próbowała uśmiechnąć się do złościstego rycerza.

– Bene. Powiedzmy, że ją masz! Tedy powinieneś trzymać się na uboczu i pierwszy raz stanąć twarzą w twarz z tamtymi dopiero, gdy namiętności wygasną. Król nadto popuścił cugli tej rozhukanej zgrai. Twoje zadanie: pokazać się szlachcie już opanowanej przez niego, ukorzonej. Pokazać się w całym blasku i majestacie. A więc nie teraz.

Ale August nie ustępował.

– Pospolite ruszenie nie powinno posądzać o brak męstwa żadnego ze swoich królów – odparł.

– Władza ma także ciernie – westchnęła. – Zostaw te drobne rany i ukłucia najjaśniejszemu panu. Wierz mi, lepiej wsławić się zwycięskim bojem niż poskromieniem rokoszu.

Odpowiedział bez namysłu.

– Myślę inaczej. I pojechać muszę.

Dopiero wtedy uderzyła pięścią w poręcz krzesła.

– Nie! Basta! Nigdzie nie pojedziesz.

Milczał przez chwilę, a potem oświadczył:

– Odwołam się do króla. Do ojcowskiego zezwolenia...

– A? Do ojca? Chyba że tak. – Opanowała się na tyle, aby powiedzieć: – Bene. Mości marszałku, zechciejcie odprowadzić młodego króla do najjaśniejszego pana. Będzie jak zawsze. Jak on postanowi.

Przyłbica opadła w dół, zakuty w złotą zbroję rycerzyk poszedł przodem, za nim powłókł się niechętnie Wolski.

Dopiero wtedy cisnęła o ziemię stojącą obok cenną wazę, która rozprysnęła się w drobne kawałki. Patrząc na nie krzyknęła do Alifia:

– Słyszeliście?! Chcą go roztrzaskać jak to szkło. Silny? On silny?

Maledizione! Każcie przywołać do mnie Dianę di Cordona.

– Teraz, kiedy August zamyśla...? – zdziwił się kanclerz.

– Właśnie teraz. Dlatego, że chce! Pośpieszcie się, czekam.

Diana di Cordona weszła poprzedzana przez Marinę, ale tę królowa odesłała ruchem ręki. Kiedy zostały same, spytała:

– Ile miałaś lat, gdy wyjeżdżałyśmy z Bari?

– Szesnaście – odparła zmieszana.

– A więc jesteś niewiele młodsza ode mnie. I śmiesz... Nie zaprzeczaj! Dowiedziałam się o tym ze zgrozą. Śmiesz deprawować to pacholę? Pono jeszcze na Litwie...

Dworka upadła do jej nóg.

– Miłościwa pani... Miałam wracać do Italii dziesięć lat temu, aby poślubić bogatego markiza. Wasza Królewska Mość nie puściła mnie wtedy z Niepołomic, bo słabowała sama i był czas zarazy. Zostałam i... Mój ród jest zbyt znakomity, abym wyszła tu za jakiegoś Morawca czy Ostoję... Zresztą, w tym kocha się Anna.

– Anna? – przerwała jej zaskoczona królowa.

– Si. I on od pobytu na Litwie zdaje się jej sprzyjać. Ale nie o tym chciałam mówić...

– Nie o to pytałam – sprostowała chłodno Bona. – A więc? Co łączy ciebie z młodym królem?

– Miłuję go – szepnęła podnosząc piękną głowę. – Jak syna, jak kochanka... Jest taki gorący, namiętny, ciekawy niewiast, że pomyślałam... Może lepiej, że to ja nauczę go ars amandi niż jakaś litewska dworka. Z całą czcią, z uwielbieniem dla przyszłego króla...

– Już króla – przerwała chłodno Bona. – Ale jako taki będzie twój. To może być tylko miłość ulotna, krótkotrwała. I nie ścierpię jej na moim dworze!

– Miłościwa pani! Błagam, proszę pozwolić mi zostać na Wawelu. Zrobię wszystko, wyrzeknę się jego, gdy będzie trzeba, ale jeszcze nie teraz, nie teraz...

Udawała, że namyśla się, waha, choć pewien plan dojrzał w jej umyśle od chwili, gdy wezwała do siebie Augusta.

– Bene. Nie teraz. Ale za tę zgodę żądam ślepego posłuszeństwa. We wszystkim.

– Si, si! Zrobię, co tylko miłościwa pani rozkaże – szeptała Diana.

– W tych dniach zostanie kupiona dla ciebie kamieniczka tuż przy Bramie Floriańskiej. Zostaniesz na zamku, ale przyjmować młodego króla będziesz tylko tam, i to zawsze samego. Żądam zachowania ścisłej tajemnicy. Nikt nie może wiedzieć, że przyjmujesz tam... kochanka.

– O Dio! To cud prawdziwy... Grazie! Grazie!... Tylko że... Anna domyśla się.

Bona zmarszczyła brwi.

– Wiem o tym. Ale Anna niedługo już będzie na Wawelu. Wyjdzie za Ostoję i zamieszka w dobrach, które dostanie w posagu za wierną służbę, tuż pod Krakowem. Tak więc masz milczeć i wypierać się wszystkiego. Jak mogłabyś kochać chłopca o tyle lat młodszego od siebie?

– Nie mogę, wiem – powiedziała z rozpaczą. – Nie powinnam. Ale także nie potrafię przestać miłować. Cieszyć się jego radością, gorącym...

– Przestań! – rozkazała Bona. – Nie ciekawam żaru, który was spala. Bacz tylko, aby nie przepalił tego, który za parę lat pojmie za żonę jakąś królową, aby dać dynastii syna. I strzeż go

przed narażaniem życia, przed uleganiem namowom innych rycerzy, aby pociągnął z nimi na wojnę. On musi ocaleć dla tronu, dla dobra Jagiellonów. Czy mówię dość jasno?

– Tak, miłościwa pani. A gdyby... Tak bardzo chciał, abym zobaczyła go w złotej zbroi!

– No, no! Nie trzeba podsycać tej chętki. Rozpiera króla pycha duma rycerska i utwierdzać go w niej nie wolno. Twoim zadaniem będzie zatrzymywać Augusta zawsze w Krakowie. Jeśli potrafisz, jeżeli obiecasz, że będziesz posłuszna tym rozkazom, dostaniesz w najbliższym czasie ową kamieniczkę przy Floriańskiej.

– Będę się starała ze wszystkich sił.. i Będę najwdzięczniejszą ze sług i najszczęśliwszą z niewiast – szeptała Diana wpatrzona w królową z wdzięcznością, z oddaniem.

– Bene. W czerwcu, w czasie nocy świętojańskiej, trzymaj się od niego z dala. Niech przyjdzie do ciebie potem, po północy. Roześmiała się nagle, trochę złośliwie.

– I przyniesie kwiat paproci. To śliczna polska legenda... Oznacza odnalezione szczęście. Wstań!

Ale Diana di Cordona klęczała dalej, powtarzając, pełna podziwu:

– Jedna jest tylko tak łaskawa, dobra i mądra królowa. Jedna jedyna. Principessa z Bari...

W tym samym czasie, kiedy hetman przechwalał się przed swymi druhami, że zmusił zniewieściałego młodzianka do przywdziania zbroi i że nie będzie go oszczędzał w nauce szermierki ani w walkach wręcz – Zygmunt August w bogatym stroju z aksamitu i złotogłowiu zaglądał w swojej komnacie do szkatuły pełnej pięknych klejnotów, w których kochał się od dziecka. Były tam kolie z szafirów i rubinów, piękne bransolety, pierścienie, cenne monety i gemmy. Pierwsze z tych monet otrzymał w darze od matki, teraz finansował jego kosztowną pasję bankier ojca, Seweryn Boner.

Wybierał długo i ze znanstwem, chciał bowiem przynieść Dianie w noc świętojańską klejnot przypominający kwiat paproci, o którym przypomniała mu żartem. Była od jakiegoś czasu zupełnie inna, ale tym bardziej pożądana: chłodna i z pozoru obojętna na wawelskich komnatach, a pełna żaru w kamienicze przy Floriańskiej, którą kupiła, otrzymawszy spadek z Hiszpanii od bocznej linii di Cordona. Ich gniazdko, tak niespodziewanie zdobyte i nie znane nikomu, odwiedzał rzadziej, niżby chciał, i zawsze po konnej przejażdżce wieczornej, którą od lat odbywał w asyście tylko Ostoi. Ale teraz, kiedy ten postanowił poślubić Annę, będzie niełatwo o tak oddanego, zaufanego dworzanina. Może Lasota? Jest młodszy od tamtego i także skoczyłby za nim w ogień. A przy tym to jego człowiek, podczas gdy mąż Anny mógłby ulec wpływowi królowej... Jak dobrze, że matka nie wtrąca się do jego miłosnych spraw, że nawet zachęca do zabaw, festynów, piasów! Tak przenikliwa, a nie wie? Bene, nie dowie się nigdy. Dom przy Floriańskiej potrafi strzec swych tajemnic...

Ofiarował Dianie piękną broszkę wysadzaną diamentami, świecącymi jak od rosy błyszcząca kwiat paproci. Miasto było niemal wyludnione, wszyscy pociągnęli nad Wisłę, po której płynęły wianki ujęte w obramowanie z gorejących ognisk. Dymy snuły się też od stosów rozpalonych za

bramami miasta, na błoniach i w dąbrowach.

Tej nocy Diana obejmowała go i pieściła tak gorąco, że kiedy leżeli już zmęczeni w szerokim łóżu, zapytał, czy nie powinien częściej zrywać dla niej kwiatu paproci.

Roześmiała się, zaprzeczyła, lecz po chwili zapytała, kładąc głowę na jego piersiach:

– Ale dziś przynieśliście ten diamentowy kwiat chyba nie jako pożegnanie przed wyruszeniem na wyprawę wołoską?

Milczał chwilę, ponieważ jednak nie skłamał jej jeszcze nigdy, rzekł:

– A czemuż by nie?

Objęła go mocno, czule.

– Bo powiedziałyby o tym gwiazdy. A one milczą. Przeciwnie, obiecują nam kilka niezwykle dni szczęścia i dopiero potem...

– Co potem? – nalegał.

– Boję się powtórzyć... – szepnęła.

– Jakies niebezpieczeństwo? – pytał. – Niedobra konstelacja?

– Bardzo zła. Strzeż się, Auguście! Możesz, aż pomyśleć straszno, wcale nie wrócić. Albo wrócić i nie zastać mnie już tutaj, w tym domu.

Nie rozumiał.

– Ależ, na Boga! Dlaczego, dlaczego!

– Nie wiem! Sama nie bardzo rozumiem. Ale gwiazdy nie mylą się nigdy. Mówią, że mogę zostać sama, a wtedy powinnam wyjechać... Obiecuj mi jedno: odłożysz ten wyjazd na trzy tygodnie. Bene. Na dwa. A potem znowu zapytam maga. Może konstelacja będzie już inna? Może astrolog...

– Wierzysz w jego wróżby? – przerwał.

– Wierzę w ciebie. Będiesz kiedyś wielkim królem. Jeżeli...

– Dokończ! – rozkazał.

– Jeżeli nie zginiesz młodzińcem...

– A... Więc tak brzmi owa wróżba? Dlaczego milczysz? Powiedz właśnie tak!

Przyznała, obsypując pocałunkami jego czoło, oczy, szyję:

– Tak właśnie. A zresztą... Kilka dni szczęścia to niewiele. To bardzo mało. Potem zrobisz, jak zechcesz.

– Zapewne – rzekł po chwili wahania.

– Och! Kamień mi spadł z serca. Grazie! Grazie! Nawet nie wiesz, jak bardzo ciebie kocham. Jak mi jesteś potrzebny...



Zbliżał się lipiec i w myśl danej Tarnowskiemu obietnicy Zygmunt Stary pociągnął ze swym orszakiem i zbrojnymi hufcami na wojnę z Wołoszą. Zwołana na pospolite ruszenie szlachta najpierw zbierała się niemrawo, ociągając się i z żalem patrząc na bielejące żyta, wreszcie

zaczęła radzić, jakie warunki postawić królowi, gdy ten zjawi się pod Lwowem. Nieświadomy burzy, która go czeka, Zygmunt kazał wyruszyć w dwa dni po sobie młodemu królowi. Bona żegnała syna ze łzami w oczach, Diana ponawiała ostrzeżenia i donosiła o fatalnej konstelacji gwiazd. August wyruszył już bez tej ochoty, która go spalała parę miesięcy temu, w dodatku czuł się wśród wybranego rycerstwa i przydzielonych mu wodzów musztrowanym pacholęciem, a nie królem. Istotnie, na polecenie hetmana jadący u jego boków kasztelanowie zaczęli odbywać z nim na postojach wojenne narady i zalecali ćwiczenia w walce wręcz oraz potykanie się na koniu z wybranymi przez nich osiłkami.

O tych musztrach i trudach marszu doniósł natychmiast Bonie przydzielony do orszaku króla Ostoja i królowa powzięła decyzję: sprzeciwi się zarówno woli męża, jak i hetmana. Zasiadła więc do pisania listu, który miał być dostarczony synowi jeszcze przed dotarciem do Lwowa.

Tymczasem na łąkach, na których zbierało się pospolite ruszenie, działy się rzeczy dziwne: kasztelan Piotr Zborowski i krakowski sędzia Mikołaj Taszycki w otoczeniu szlachty z równie godnych rodów zaczęli buntować zbierającą się na wojnę brać szlachecką. Zborowski, wstąpiwszy na przewróconą beczkę po piwie, wołał:

– Mości panowie! Czas wystąpić do zgoła innego boju niż o Wołoszę, do boju o nasze gwałcone prawa. Urzędy senatorów mianowanych na ostatnim krakowskim sejmie winny być odebrane, służą oni bowiem nie tyle Koronie, co królowej. Król łamie odwieczne prawa, narzucił Polsce za swego życia drugiego władcę, rodzonego syna. Egzekucja praw i dóbr uchwalona przez sejmy wciąż niedokonana. Skarb pusty i na wojsko zaciężne pieniędzy brak, tedy zwołano tu nas na pospolite ruszenie. I to kiedy? W same żniwa! Mości panowie! Pókiż tego?! Na Wawelu królowa tyle znaczy, ile sama chce, a tyle chce, ile jej się podoba. Będziemyż cierpieć, że ta jej władza nie jest określona żadnymi granicami? Że w tyranie się zmienia?

Pan Taszycki dodał jeszcze swoje zarzuty:

– Szlachta ma płacić podatki? Jakże to, kiedy beneficja kościelne są od nich wolne. Uchwalimy podatki i ruszymy na wyprawę, jeżeli zapłacą także wszyscy duchowni. A nie zechcą – odebrać im posiadane dobra!

I zaraz odezwały się ze wszystkich stron okrzyki, protesty, żądania:

- Znieść sądownictwo duchowne nad świeckimi!
- Inaczej nie pójdziem na wojnę!
- Panowie bracia! Spisać wszystkie żądania!
- Będzie ich ze dwadzieścia.
- Co tam dwadzieścia! Trzydzieści mało. Niech królowa zaniecha dla siebie skupu dóbr!
- Dostyc tych rządów białogłowskich!
- Niech cofnie przywileje dla swoich zauszniaków.
- Nie sprzedaje beneficjów!
- Nie zmienia naszych obyczajów! Tu nie Italia.
- Tak jest! Wyniosła syna na tron, a na koronację nie było naszej zgody!

– Była, ale wymuszona. Toteż nigdy więcej elekcji vivente rege! Żadnego łamania naszych praw! Polskich, prastarych!

Pan Zborowski znów zabrał głos:

– A jeszcze dodam: co to za króla szykuje dla nas królowa? Młodzian wychowany wśród zgrai dziewcząt, z dala od spraw wojennych i politycznych, jakim może być władcą? Wiadomo wam, ile nieszczęścia spadło na niejedno państwo z powodu złego wychowania książąt?! Ot, choćby Ludwika czeskiego.

– Ile narodów zginęło z powodu ich zniewieściałych obyczajów? Czekałiśmy na przybycie do obozu młodego króla. Gdzie on jest, pytam? Gdzie jest?! – krzyczał już Taszycki.

– W Krakowie czas marnuje! – ktoś wrzasnął.

– Wśród zabaw i pląsów!

– W zbroi nie widział go jeszcze nikt. A czemu?

– Do rzeczy! Do rzeczy! Będziemy żądać zwolnienia z urzędów cudzoziemców?

– Tak! Tak! – wołali zgodnym chórem.

– Usunięcia Italczyków z Wawelu?

– Tak! Tak!

– Drukowania w naszym języku kronik, praw, a zwłaszcza Pisma Świętego?

– Tak! Polski język w druku. Nasz, polski!

– Panowie bracia! I rzecz najważniejsza. Ograniczyć trzeba prawo zwoływania pospolitego ruszenia.

– Tak jest! Ograniczyć!

– Nigdy w czas żniwny!

– Tak! Otóż to! Nigdy w żniwa!

Pan Taszycki, spisujący żądania, podniósł rękę i zawołał:

– Naliczyłem trzydzieści pięć punktów. Są jeszcze jakieś żądania?

– Odtąd król nic nie postanowi bez woli posłów!

– A tym bardziej królowa. Punkt trzydziesty szósty!

– Nic bez zgody sejmu!

– Nic bez nas!

– Nic! Nic! Nic!

Rozbłysły w słońcu wyciągnięte z pochew i uniesione w górę szable. Twarze były rozgorączkowane, usta otwarte do krzyku. Pospolite ruszenie zwołane przez króla zmieniało się z wolna w rokosz przeciwko niemu...

Zygmunt Stary nadjechał po paru dniach od jego wybuchu i stanął kwaterą w pobliskim dworze, z dala jednak od wrzasków i niekończących się przemówień. Przez wiele dni czekał na syna, rozmawiał z przywódcami buntu, po czym zabrał się sam do odczytywania słynnych już trzydziestu sześciu żądań. Gryzł wargi, gdy oko jego padało na wyrazy „królowa”, „Italczyki”. Boże mocny! Toż matka tylu królów, jego rodzona matka była Rakuszką, a nikt jej nie

wypominał, że pochodzi z rodu Habsburgów. Toż jego pierwsza żona Barbara zwała się Zapolya, a nikt jej nie odsyłał do Siedmiogrodu. Czyli nie o nację szło, tylko o żądzę władania, o wtrącanie się do spraw mężów i rycerzy. A może on był zbyt uległy? Kiedy wróci do Krakowa z wyprawy, która musi dojść do skutku, wyjaśni jej, że...

Ale ona była jak zwykle szybsza i późnym wieczorem, kiedy już na łąkach zacichło, pokojowiec z pochodnią w ręku wprowadził do dworku najjaśniejszą panią. Ciemny kaptur mimo upału otulał jej głowę i część twarzy. Gorzały tylko oczy: wielkie, niespokojne.

Wstał na jej powitanie, ale gdy usiadła, odrzucając płaszcz i kaptur, rzekł z niechęcią w głosie:

– Nie przeraziły was obnażone szable?

I pokazał jej pergamin ze spisem żądań.

– Od szabel groźniejsze ich żądania.

– Jeśli ustąpicie – ostrzegła – będziecie już mieli ręce związane na zawsze.

– Ależ to nie zwykła ruchawka, to rokosz! Piękny skutek zwołanego na wojnę pospolitego ruszenia... – mruknął.

– Gdybyśmy mieli w skarbcu królewskim dość złota na żołd dla stałego wojska, oszczędziłoby to nam wstydu – odparła. – A tak słyszę, że od dwóch tygodni gardlują. Wyrznęli pono w sąsiedztwie wszystkie kury. Wojownicy, rycerze! Krzyczą, że przed żniwami nie chcą wojny.

– Może wiecie i to, że przezwali ją kokoszą?

– Widać na inną ich nie stać – rzuciła wzgardliwie. – Zaperzone koguty! Ośmielili się wypomnieć, jako bezprawną, elekcję Augusta! Tego już nadto! I dosyć ponizania majestatu!

– Mówicie to wy? Właśnie wy? – pytał. – Tedy chciałbym wiedzieć, co znaczy to pismo?

Bona spojrzała w list, który jej z daleka pokazał król.

– Ten list?

– Właśnie ten. Zawróciliście Augusta z drogi? On także nie chce brać udziału w żadnych walkach?

– Może i chce, ale nie powinien. Pomyślcie, jedyny syn! Gdyby zginął...

– Jechał bezpiecznie u boku kasztelana, kiedy dogonił go wasz posłaniec – przerwał król.

– Szczęście, że dogonił. Bo po tych wszystkich walkach wręcz i próbach wojowania całkiem z sił opadł. Pomyślcie tylko: jeszcze przed rozpoczęciem wyprawy na Wołoszę! Santa Madonna! W tym była jakaś myśl zła, przebiegła. I dlatego wyrwałam go z rąk waszych rycerzy i zawróciłam do Krakowa.

– Mógł przybyć tutaj – upierał się.

– Po co? Żeby wysłuchać drwin? Zarzutów? Doniesiono mi już: bawidamek, kukła bezwolna...

– Możecie zaprzeczyć? – zapytał surowo.

– Nie! Ale słuchać tego nie chcę! Gdyby był inny, kto wie, czy zdążyłabym ufortyfikować

twierdze na pograniczu, wykupić liczne sołectwa, odebrać królewsczyzny? Byłby kukłą nie w moich rękach, tylko litewskich magnatów. Krzyczałby może razem z nimi: „Nie chcemy reform, pomiarów, ochrony puszczy i leśnego zwierza”. Bo to przecie ziemia tak samo ich jak jego. Wielki książę litewski! Dux Lithuaniae! Boże Święty! Czyż nie lepiej, że zamiast spiskować przeciwko mnie i urągać waszej starości, on po prostu rośnie? Dojrzewa?

– I tańczy – mruknął, spojrzawszy na spis zarzutów.

– Si! Si! Kocha się w płasach, w dźwiękach lutni, w pięknych klejnotach... Unika wojen, tak! Czyżby to wadziło wam, którzy pono tak miłujecie pokój, żeście gotowi pójść na wszelkie układy? Żeście dla świętej zgody rodzoną córkę wydali za Brandenburczyka, choć powinniście wiedzieć: kiedy Hohenzollerny będą mogli pozbawić nas potęgi, nie omieszkają tego uczynić.

– Na razie książę Albrecht... – usiłował odparować zarzuty, zamiast przejść do ataku.

– Na razie! – przyznała. – Bo odparłam wszystkie jego próby naruszania granic! Sama! Bez was i bez Augusta. To wówczas toczyła się białogłowska wojna. I dziwna rzecz, wtedy nie obchodziła nikogo. Nie gorszył się nikt! A teraz? Teraz to zwykły bunt! Karły miotają nam kamienie pod nogi. Nie rozumieją tego, co inne, silniejsze od nich narody, tedy próbują sztychować i pluć. Zaiste! To rzecz o tyle łatwiejsza od prawdziwej naprawy Rzeczypospolitej! I od jej obrony. Pan Zborowski i Taszycki wiedzą, jak podburzać bractwo szlacheckie. Tylko że mnie nic nie zmusi do wysłuchiwania ich zarzutów i obelg! Nie wiem, co myślicie wy, ale ja nie chcę być malowaną królową. I nie dam sobie spętać rąk!

Wstała i wyszła niezatrzymywana przez króla, który przeniósł wzrok z Bony na pismo rokoszan i po chwili, zaciskając usta, zmiął je w rękę. Jednakże po namyśle rozprostował pergamin i znów pochylił się nad nim...

Rokosz trwał już parę niedziel, zboża zostały zżęte przez chłopów, a szlachta nie przestawała dorzucać do listy coraz to nowych postulatów.

Wreszcie zniescierpliwiony tym król oznajmił, żeby wybrali delegatów i zjawili się w namiocie, który kazał rozbić na skraju łąki.

Przyjął kilku przywódców w całym majestacie, siedząc na wzniesieniu w głębi namiotu. Nie prosił, aby podeszli bliżej, tylko od razu zaczął przekazywać to, co nocami obmyślał:

– Z wami tylko, panowie Zborowski i Taszycki, mówić pragnę, bo zbyt głośny krzyk stare uszy głuchymi czyni. Słyszę, że to wy, nie kto inny, byliście sprawcami rokoszu. Ale jako sędzia ziemski pan Taszycki dobrze wie, że bunt przeciw monarsze jest prawem zakazany. Na szczęście słyszę, że ostatnio uspokoiły się nieco wzburzone umysły, jako że pan Kmita zdołał wyjaśnić to, co było niejasne albo szlachcie nie po myśli.

Taszycki wysunął się o krok do przodu i zaczął:

– Miłościwy panie! Nic nie przydaje więcej wzięcia sławnym mężom w narodzie, jak przyjazne obejście z niższymi i dopuszczenie pozorów równości z nimi. W tym pan wojewoda Kmita nie ma sobie równych. Wiadomo, że Wiśnicz gotów gościć zarówno królów, jak i tłumy

szlachty. A tej, najjaśniejszy panie, od czasu przyłączenia Mazowsza coraz więcej i coraz drobniejszej. Także w tej mnogości jej siła.

Ponieważ przerwał na chwilę, król rzekł:

– Rozważyłem wszystkie wasze prośby bez gniewu i z uwagą wielką. Na przyszłych sejmach obiecuję legę artis wiele rozsądnych postulatów spełnić. Ale na bunt, na rokosz zgody nigdy nie dam! I powiem, a wy to swoim powtórzcie: owi stróże praw zapominają widać, że królowa Bona skupuje dobra za swoje własne pieniądze, czego, co prawda, nie czyniła żadna królowa, ale też żadna do Polski takiego posagu i tyle kosztowności nie wniosła. Nie jest też prawdą, że osadza w dobrach urzędników italskich i starostów na tych ziemiach niemiłych lub całkiem obcych. Chcecie, abyśmy wierzyli nie aktom prawnym przy wykupie dawnych nadań, jeno waszemu słowu? A jak to może być, skoro ono tak mało warte? Daliście oto słowo rycerskie walczyć z wrogiem, a tymczasem pospolite ruszenie zamieniacie w rokosz, w spór jazgotliwy. Chcecie dokończyć zniw? Cóż, kiedy już wasi chłopci podorywki zaczęli. A jeszcze jedno powiem: zgłaszali nam już pomoc w stłumieniu tego buntu i król Ferdynand austriacki, i cesarz, a nawet Soliman Wspaniały. Myślę wszelako, że takie pośredniki między wami a naszym majestatem zgoła niepotrzebne. Na zbuntowanych poddanych ja wrogów ani obcych sprowadzać nie zamyslam. Rozważcie to, com rzekł, a wierzę, że wojewoda Kmita na wszystkie inne punkty trafią, a może i krotochwilną odpowiedź dać potrafi.

– Czy to znaczy, miłościwy panie...? – nie rozumiał Taszycki.

– Jeszczem nie skończył. Wojować z buntownikami nie zamyslam, ale też na czele takiego pospolitego ruszenia jako wódz teraz nie stanę i do wojowania na Wołoszczyznę rokoszan nie poprowadzę. Niech, jak tego chcą, wracają do swoich jeszcze nie zżętych pól pszenicy. Jutro ogłoszę wszystkim zebranym, co dziś w zaufaniu wam oznajmiam, że rozpuszczę szlachtę o nic nie prosząc, jeno o to, aby w drodze powrotnej nie czyniła zniszczeń, a także nie ukłęcała po folwarkach ani po zagrodach łbów kurom. I to już wszystko, com miał rzec. Pojutrze ciągnę na Wołoszę. Prawych i bitnych rycerzy do kompanii zapraszam.

Dopiero teraz wstał siwy już, ale wyprostowany, potężny, nawykły do posłuchu. A że właśnie w tej chwili w pobliskim kościele dzwon zaczął bić na Anioł Pański, przywódcy zamilkli. Może przypomniał się im spizowy głos „Zygmunta” odlany ongiś ze zdobycznych dział? Może wspomnieli, że ten oto władca bił dawniej Krzyżaków, odnosił zwycięstwa nad Moskwą i Turkami? Tedy postali jeszcze chwilę, a gdy dzwon przestał bić, skłonili głowy i wyszli.

Rokosz był skończony.

*

Po wojnie kokoszej rozważano długo, po czyjej stronie była słuszność. Że szlachta zgłaszała wiele trafnych postulatów, nie negował nikt. Że odmówiła pójścia na Wołoszę – temu przyganiał każdy prawy rycerz. Co do królowej, głosy były podzielone. Jedni twierdzili, że Taszycki i

Zborowski przyganił nie bez powodu wielu jej uczynkom, zwłaszcza złemu chowaniu zniewieściałego syna, inni, co prawda ciszej, wspominali o gospodarności tej białogłowy, o wzięciu na Litwie w obronę drobnej szlachty, nad którą do jej przybycia sądy sprawowali możnowładcy, o budowie obronnych zamków. Ale że był to zaiste smok i hic mulier, temu nie zaprzeczał nikt. Nie mógłby teraz przeczyć i sam król, bo gdy najbliższy sejm piotrkowski uchwalił jednogłośnie, że dobra wykupione przez królową są własnością państwa, a nie rodziny Jagiellonów, wpadła w pasję, jakiej jeszcze nie widział nigdy. Tupiała nogami rzucała w jego stronę srebrne puchary i figurki szachowe.

– Uchwalili odebrać to, co zdobyłam za własne złoto z takim trudem, a wy nie rzekliście „nie”?! – krzyczała. – Ważniejszy dla was, skarb koronny niż dynastii. Gorzko mi i wstydno! Za nich i za was. Chciwcy! Rabusie! Łupieżcy! A czemuż sami nie wykupili dla Korony tamtych ziem? Zrobiłam aż tyle i będę pozbawiona mienia bez słowa sprzeciwu ze strony opiekuna, małżonka? Santa Madonna! Co to za kraj, gdzie każdy drugiemu zazdrości sukcesów, a jeśli sam kiwnie palcem, to tylko po to, aby cudze zdobycze zagarnąć? Nie stanął w mojej obronie nikt, prócz pana na Wiśniczu. Czemu? Bo ten ma swego dosyć. A wasz koronny skarb od wieków był pusty, pusty!

Wypadła z jego komnaty tak szybko, że nie zdążył powiedzieć ani słowa. A mógłby, wiedząc więcej, przypomnieć, że czas rokосу tak wychwalany przez nią Kmita wykorzystał dla siebie, najpierw podburzając szlachtę przeciw Tarnowskiemu – wodzowi wyprawy na Wołoszę – a potem łagodząc spory dla przypodobania się stronnictwu dworskiemu, czyli królowej. Mówiąc inaczej, zdradził ją, żeby potem uchodzić za wybawcę, za pogromcę jej wrogów. Na Wawelu mówiono też półgłosem, że „Rady Kallimachowe”, będące satyrą na władzę monarszą, rozdawali wśród rokoszów moczymordy i rezydenci z wiśnickiego zamku.

Królowa uznała jednak za wygodniejsze nie wierzyć żadnym dworskim plotkom i nadal zaliczała marszałka do triumwiratu rządzącego państwem. Udało się jej w rok po rokосу postawić znowu na swoim i Gamrat zjechał całym dworem do podwawelskiego grodu jako biskup krakowski. Liczyła teraz bardziej na niego niż na Kmitę pamiętając, że nie dał się w spornej sprawie granic przekupić księciu Albrechtowi, że zyskał miłość oraz życzliwość ludności Mazowsza. Istotnie, na najbliższym sejmie biskup wygłosił mowę łagodzącą napięcia powstałe po rokосу między tronem a masą szlachecką.

Upewniwszy się, że słowo „reginavit” w odniesieniu do Zygmunta nie jest pustym dźwiękiem, gdyż to pod jej wpływem uchylił się od pertraktowania z uczestnikami buntu, zwanego wojną kokoszą, powróciła do spraw, które zajmowały ją przed rokiem: sukcesji Jagiellonów na Węgrzech. Skoro istniało tam dwóch władców – jeden z nich mógł poślubić Izabelę.

Wieści o tych zainteresowaniach Bony musiały dotrzeć do Stańczyka, bo któregoś dnia wślizgnął się do kancelarii kanclerza Alifia. Ten ślęczał nad jakimiś papierami i, nie odwracając nawet głowy, rzekł:

– Nie teraz. Bardzom zajęty.

– Czym? Obroną wawelskiego smoka na przysłym sejmie? Wiem, rozumiem... Nielatwe życie po rokoszu, na którym szlachta obnosiła nie włócznie, jeno prawa. Nie tarcze, lecz gwałcone statuty i...

– Nie zgadłeś – przerwał mu Alifio. – Mam przed sobą nie sejmową orację, jeno rymy.

– Wiersze? Santa Madonna! To już i poeci na waszej głowie? Za wiele, dalibóg, za wiele! Burgrabiów w Krakowie dziesięciu, a myśli o wszystkim tylko jeden. Łeb macie, zaiste, kanclerski.

– Nie znoszę pochlebstw – zgasił go kanclerz. – Czego chcesz?

– Napić się u źródła. Bardzo łaknę...

– Kiedyś zemrzesz na chorobę, które zwie się „ciekawość” – mruknął Alifio.

– Tedy błagam, uleczcie chorego. Mówcie, kanclerzu! Prawda to, że królowa zasmakowała w ucztach weselnych? I choć narzeka, że jeden Polak zje za pięciu Włochów, znów sprowadza cukry i frukta południowe na ślub królowy?

– Prawda. I co? Jużes zdrowszy?

– Jeszcze czuję gorączkę w mózgu i drgawki w języku. Więc to prawda? Izabela idzie za mąż za Zapolyę? Na Węgry?

– Zgadłeś. Zostanie królową. Jest już nawet wiersz zamówiony na okazję zaślubin... Chcesz posłuchać?

*„I tak mamy królowę od Boga nam daną
Na radość, na wesele tym państwowi poslaną.
Mądrą, silno wymowną, piękną, urodziwą,
A wdzięczną niewymownie, k’temu – dobrotliwą”*

– Ale kadzi! – wykrzywił się Stańczyk. – Piękna? Wymowna? Już milknę. Tedy Jagiellonka na węgierskim tronie. Nie brak italskiemu smokowi fantazji! Ciosem paruje cios. Straciła na kokoszej wojnie? Nic to! Zyska na nowych aliansach. Zagarnia, co się da, i mości się, gdzie może. Tyle, że nie docenia Habsburgów. Wypłoszą jej wymowną córę z Budy presto, presto! Mamma mia! Jeszcze i to na mnie spadło! Do króla biec muszę! Ostrzec przed tym małżeństwem.

– Uważaj, byś się nie poparzył – ostrzegł kanclerz. – Królowa powiedziała mu w tej sprawie dosyć.

– Ja dorzucę radę. Trzeźwą. Powiem: Najjaśniejszy panie, czemu córkę za Zapolyę wydajesz? Toż pewniejsza od węgierskiej Budy każda kamienica w Krakowie. Daj taką królowie w posagu, aby miała gdzie zamieszkać, kiedy do nas powróci.

– Nie powiesz tak. Nie odważysz się! – zaniepokoił się Alifio.

– Głowę dam, że myślicie podobnie. Ale kiedy kanclerzowi królowej odwagi braknie, króla przestrzec musi jęgo błazen. Trudno. Wy i ja – jednako na urządzie.

– Zaczekaj – zatrzymał odchodzącego Alifio.

– Nie mogę! – krzyknął Stańczyk. – Spieszno mi zostać doradcą króla. Ma ich tylu... od dziś będzie miał o jednego więcej!

I wybiegł z komnaty.

*

Ślub pierworodnej córki Bony, Izabeli, która poznała Jana Zapolyę na weselu swojej przyrodniej siostry Jadwigi, poprzedziły długie dyplomatyczne rozmowy stronnictwa dworskiego z Janem, a także królowej, która musiała liczyć się z układem zawartym między obu węgierskimi królami rok wcześniej w Waradynie. Stwierdzał on, że król rzymski Ferdynand otrzymuje tytuł władcy całego kraju dziedzicznie, Jan natomiast – tylko dożywotnio, i to w części wschodniej, części, którą władał już podczas walk. Przez wysłanych do Budy swoich ludzi otrzymała wiele sprzecznych ocen porozumienia z Wielkiego Waradynu, wybrała jednak tę, która była dla niej najdogodniejsza, pozwalała bowiem żywić nadzieję, że Jagiellonowie znów zasiądą na tronie węgierskim, choćby w osobie małżonki Jana. Uwierzyła, że układ był jedynie podstępem ze strony Zapolyi, aby zyskać na czasie, umocnić swoje wpływy w charakterze narodowego monarchy oraz zyskać poparcie i pomoc Polski przez zawarte małżeństwo z Jagiellonką. Wprawdzie był on o dwadzieścia lat starszy od Izabeli, ale czyż Zygmunt nie miał ćwierć wieku więcej od niej samej, gdy wyjeżdżała z Bari? Spełniała wtedy tylko wolę matki, Izabela zaś twierdziła, że będzie szczęśliwa, zostawszy żoną Zapolyi.

Uroczysty wjazd panów węgierskich do Krakowa w połowie stycznia trzydziestego dziewiątego roku zgromadził znów na ulicach tłumy ciekawych. Zbroje kilkuset jeźdźców towarzyszących Węgrom były madziarskie, mieli jednak skrzydła utkane z ptasich lotek i byli podobni do archaniołów. Resztę pocztu kazał Zapolya przybrać w barwne stroje tureckie, było więc na co patrzeć, choć ślub odbył się tylko per procura. W imieniu Zygmunta Starego mowę pochwalną na cześć nieobecnego króla wygłosił podkanclerzy Samuel Maciejowski, po czym odbyła się uczta weselna oraz wielki turniej na zamku wawelskim, na którym po raz pierwszy w swej złocistej zbroi potykał się Zygmunt August z Ilią Ostrogskim i odniósł niełatwe zwycięstwo, strącając z konia litewskiego kniazia. Zajęli się lekko rannym nadworni medycy, ale o jego zdrowie pytała tak często podczas parodniowych uroczystości piękna Beata Kościelecka, że Ilią wyjechał z Krakowa z zaręczynowym pierścieniem na palcu. Dostał go od samej królowej z prośbą, aby powtórzył matce, że spełniła obietnicę daną kiedyś jej zmarłemu mężowi. Podobny pierścień ofiarowała także swej dworce Annie, aby włożyła go na palec wybranego przez siebie rycerza. Stało się to ostatniego dnia hucznych zabaw, kiedy Anna ubierała królową na pożegnalną wieczerzę. Bona spytała ją wtedy, czy to prawda, że od dawna miłuje Ostoję, a jeśli tak, co” stoi na przeszkodzie ich małżeństwu? Po uwagach Mariny czekała na jakąś odpowiedź, z której mogłaby utwierdzić się w podejrzeniu, że Habsburgowie płacą Zarembiance hojnie za usługi, ale Anna wyszeptała, pochylając głowę:

– Jego dwór niewielki, chyba bał się, że będę tęskniła za wawelskim zamkiem. A chciałby mieć żonę w domu, bo stara matka zarządza folwarkiem z trudem i doczekać się nie może gospodarnej synowej. Znalazła mu taką, on broni się, od kiedy wróciliśmy z Litwy, i tak sprawa się odwleka...

– Nic więcej nie trzyma ciebie na Wawelu? – pytała Bona przyglądając się hożej jeszcze, lecz niezbyt młodej Annie. Ta podniosła na nią szczere, pełne uwielbienia oczy.

– Nic poza miłością do najjaśniejszej pani. To przecież ja wywieszałam czerwony pas na znak urodzin Augusta i to ja... ja...

– Mów, słucham.

– Czuwałam przy trumience... królewicza Olbrachta i byłam na jego pogrzebie w Niepołomicach.

Nagle dla Bony wszystko stało się jasne: to nie tylko Marina zazdrościła tej wiernej dworcy, że nie ona, jeno tamta znaczyła więcej w chwili narodzin jednego z jej synów i śmierci drugiego, to także ona, polska królowa, patrzyła z niechęcią na każdego, kto widział trumienkę Olbrachta, kto mógł stać przy niej, podczas gdy ona sama... Zygmunt zarzucał jej, że zmieniła się dla niego od czasu tamtego pogrzebu w Niepołomickiej Puszczy. A czyż Anna nie powiedziała jej kiedyś z goryczą w Wilnie, że teraz bliższa i miłsza sercu jej pani jest Marina, że tylko tamta umie dogodzić we wszystkim? Dzisiaj była zaskoczona tym, że odesłała Marinę, a jej kazała zostać.

Tak więc... Da posag dziewczynie, która służyła jej wiernie, a która jednocześnie wie, że August kocha się w Dianie. Będzie panią nie w małym dworku, lecz w wielkim dworze godnym kasztelańskiej córy. I nie przestanie uwielbiać, a nawet czcić swojej pani, ponieważ nie dowie się nigdy ani o podejrzeniach Mariny, ani o kupionej dla di Cordona kamieniczce przy Floriańskiej...

Kazała jej przynieść puzderko z klejnotami na dzisiejszy wieczór i z wielu pięknych pierścieni wybrała największy i najpiękniejszy, choć od Anny wołała Beatkę Kościelecką. Ale czuła, że nie może postąpić inaczej. Lubiła być sprawiedliwą, kiedy nią być mogła...

*

Otrzymawszy większy posag od Jadwigi, królowa Izabela wyjechała wraz z Węgry na ślub i koronację do kraju swojego małżonka, a matka, żegnając ją, tłumaczyła, jakie grożą obojgu małżonkom niebezpieczeństwa ze strony rzymskiego króla, i radziła nie ufać żadnym obietnicom Ferdynanda.

W lutym odbyły się huczne uroczystości weselne w Székesfehévár, ale zanim nowo poślubiona zdążyła napisać do Bony list zapewniający o szczęśliwym pożyciu, na Wawelu zjawił się umyślny posłaniec z nieoczekiwaną wieścią, że Jan Zapolya ciężko zachorował.

Królowa wysłała swoich gońców, prosiła też kasztelana Piotra Opalińskiego, który nieraz posłował na dwory europejskie i do Turcji, aby pojechał rozejrzeć się w sytuacji i wsparł radą samotną w obcym kraju Izabelę.

Pamiętając o pierworodnej, nie zapomniała jednak ani na chwilę o Augustynie. Nadal spędzał u

niej długie godziny podczas posiłków, ale wieczorami wymykał się na Floriańską, a gdy w czymkolwiek nie zgadzał się z królową, zaczynał się w milczeniu jak ojciec.

Spytał kiedyś ją Kmita, czy nie warto by wybadać Modrzewskiego? August zbliżył się do niego po wyjeździe Izabeli i najlepiej wie, co poza pięknymi mieszczkami bawi młodego króla, o czym rozmyśla w swojej bibliotece. Na jej prośbę przyprowadził tedy Frycza na Wawel i Bona; zaczęła od skarg:

– Od ślubu Izabeli August zaczął odsuwać się ode mnie, od dworu.. Wiem, to była jego ukochana siostra, przyjaciółka. Ale... Poznać chciałam, mości Fryczu, wasz sąd, który wysoko sobie cenię. Młody król unika wszelkich wyjaśnień. Pytam więc: prawda to, że nie bawią go festyny, że pilnie nakłania ucha ku nowinkom przywożonym przez młodź ze: studiów w Wittenberdze? A nawet... że znosi się teraz z heretykami?

– Nie sądzę – odparł Modrzewski. – Jeśli nawet innowiercy próbują z nim gadać, nie widzę, miłościwa pani, wielkiego niebezpieczeństwa. Nie ma chyba w Polsce takich, którzy by mogli wzniecić religijne zamieszki. Naprawdę groźne.

– Dlaczego? – zapytał Kmita.

– Bo u nas najpierwsze sprawy świeckie. Może doczesne to marność i legat papieski martwić się powinien, że szlachta gada tyle o władzy, majątnościach, podatkach i żarciu, a zapomina o Bogu. Ale on rad! Niechże się Polacy spierają i kłócą o doczesne dobra, byleby nie było religijnych wojen! Byle u nas, jak gdzie indziej, nie płonęły stosy.

Bona namyślała się przez chwilę.

– Bene. Mówmy tedy o doczesności. Co myślicie o młodym królu?

– Zdolności – bardzo znaczne. Jak król jegomość ostrożny jest i rozważny...

– I jak matka uparty – wtrąciła Bona.

– Ale umysł ma żywy, na wszystko, co nowe, otwarty. Ostatnimi czasy rozmiłował się w uczonych księgach.

– Zachłannie czyta? Jesteście tego pewni?

– Nie. Raczej cieszy się nimi, syci oko urodą opraw, okuć, deseni wytłoczonych w skórze. Kocha się w pięknych woluminach tak samo jak w klejnotach, gemmach, arrasach...

– I koniach – dodała królowa. – Jednak wciąż jeszcze liczyacie na to, że kiedyś po latach właśnie on stworzy królestwo sprawiedliwe, platońskim wzorom równe? O którym pono marzycie i wy?

– Wciąż jeszcze wierzę, wzdycham – odparł Frycz. – Jako że trzy są dobra wszystkim jednako dostępne: oddychać, wzdychać i...

– Mówcie! Śmiało!!...?

– Zdychać – dokończył.

– O! Stańczyk nie ukłułby zjadliwiej – rzekła po chwili królowa.

– Darujcie, miłościwa pani.

– Non importa. Sama wiem, ile robię dla sprawiedliwego królestwa, dla wszystkich. Już teraz. Gdzie była samowola i grabież, jest teraz ład. Gdzie po wsiach praca ponad siły – czynsze. Gdzie spory graniczne drobnej szlachty – dokumenty z moim podpisem i wyrokiem. Gdzie brak wody – studnie. W Starych Koniach kurhan, na którym co roku sprawują sądy, lud zwie już moim imieniem. Tu zamek królowej Bony, ówdzie most czy plac targowy. Tak mówią z własnej ochoty, bo nie na rozkaz. Kazałam leczyć chorych... Chciałam być łaskawa i sprawiedliwa. Czy to nie dosyć?

– Kto śmiałyby... – oburzył się Kmita.

– Darujcie – przerwała – pytałam imię pana Frycza.

– Powiem i ja: kto śmiałyby przeczyść, miłościwa pani? Ale...

– Ale? – powtórzyła niemile dotknięta.

– W Polsce są nie tylko warowne zamki, dobra rycerskie, szlachta i kmiecie. Żyć chcą także łuki miejskie, kupcy zbożowi i mieszczenie. A tym wciąż jeszcze dzieje się krzywda.

– Wiem – przyznała. – Nie ma u nas kwitnących miast ani praw dla wszystkich jednakich. Ale, zaiste, dziwny ten kraj! Zawsze wszystkiego mało, zawsze nie tak! Widzicie tylko to, czego nie ma, a za nic macie to, co już jest. A przy tym wszystko chcecie otrzymać... naraz. Lubicie wzdychać do zmian, mości Fryczu? Tedy mówcie dalej. Presto! Czemu nie ma naszych statków na Mare Balticum? Czemu nie ślemy korsarzy, żeby łupili obce okręty, jak to czynią królowie Anglii? Czemu nie budujemy więcej zamków granicznych, aby Moskwa nie stała się dla nas groźna? Albo żeby drobna szlachta litewska miała te same przywileje, co koronna?

– Ależ, miłościwa pani... – zmieształ się Frycz.

– Tak! Tak! To wszystko jeszcze zrobić można. Tylko dlaczego my? Czemu ja? Zostawcie coś i dla Zygmunta Augusta, żeby mógł być kiedyś nazwany wielkim królem. Skoro tak go kochacie, tak liczycie na niego wraz z całym obozem pragnącym naprawy Rzeczypospolitej. Dla mnie starczy, jeśli umocnię dynastię w Koronie i na Węgrzech, nie dopuszczę do wzrostu Habsburgów i Hohenzollernów. Jestem tylko niewiastą, choć mam smoka w herbie. Czy to wszystko, doprawdy, jeszcze za mało?

– Miłościwa pani. Przyznaję, że...

– Musicie uwierzyć! – mówiła szybko, z żalem. – Nie tak łatwo osiągnąć zamierzony cel. Znacznie łatwiej rozprawiać o sprawiedliwości, pisać memoriały i traktaty, jako to czynicie wy. Ale nie waszym udziałem są noce bezsenne i niespokojne myśli o wszystkim: o Turcji, Budzie, cesarzu, Wiedniu, Moskwie, księciu Albrechcie i Tatarach. A także o szlachcie, reformach i Auguście. Nie waszym, mości Fryczu!

Odprawiła go zaraz potem gniewna, że zamiast słów podziwu i pochwał usłyszała z ust tego mędrkującego pismaka słowo, którego nikt od dawna powiedzieć się jej nie odważył: „ale”. Przypomniała się jej wojna kokoszą, odwlekany wciąż z powodu rozlicznych ślubów wyjazd do puszczy litewskich i napadła na Kmitę, który pozostał po wyjściu Modrzewskiego.

– Niewiele powiedział nam o Auguście ten człowiek.

– Miłościwa pani go nie docenia. Może w teorii mocniejszy niż w działaniu, jednakże...

– Znowu jakieś „jednakże”, „ale”, kiedy wszystko już jasne. Ostatnie lata od tej przeklętej wojny kokoszej niosą same niepowodzenia. Rozważmy tylko. Najpierw Chojeński. Wbrew nam, z woli króla, kanclerz koronny. Zapłata za co? Za małżeństwo Jadwigi z elektorem? A może zbyt wiele gadano o triumwiracie? Nastraszone nim wtedy króla? Triumwirat! Boże mocny! Zbiera się, aby teraz liczyć swoje porażki. Rozzuchwalenie szlachty, która choć uchwaliła na sejmie porokosзовym podatek na wojnę z hospodarem wołoskim, ale nie uznała dóbr przeze mnie wykupionych na własność rodziny królewskiej. A do tego jeszcze, po śmierci Chojeńskiego, podkanclerzym – niezyciwy nam Maciejowski. Mało wam tego?

– Ale były i osiągnięcia – przypominał Kmita. – Ustanie wojen z Turcją i Tatarami, powiązanie Węgier z dynastią Jagiellonów ku niezadowoleniu Wiednia.

– Takie wszystko jeszcze niepewne. Ferdynand, Soliman Wspaniały... Nie zapominam nikogo. W bezsenne noce ważę w myślach zyski i straty. Może nie doceniam osiągnięć, ale straty są tak wielkie: przed dwoma laty śmierć prymasa Krzyckiego, uczonego męża i dyplomaty, świetnego rymotwórcy... Choroba węgierskiego króla. Nie mogę przeboleć, że wydałam Izabelę za człowieka, który...

– Kto mógł wiedzieć? – próbował pocieszać Kmita.

– Znamienity, wsławiony w bojach z Habsburgami Jan Zapolya! Jeszcze niestary, a zachorował w niecały rok po ślubie... Jest, na szczęście, mój pierwszy wnuk – królewicz węgierski Jan Zygmunt. Ale co dalej? Czy potomkowie Jagiellonów utrzymają się na tronie w Budzie? Jak długo pociągnie Zapolya?

– Dziś jeszcze ma przybyć stamtąd wysłannik Opalińskiego. Kazałam go skierować tutaj.

– Zobaczymy, jakie przyniesie wieści. Może król cudem ozdrowiał? Czekalaby go piękna przyszłość: nasza przyjaźń i pomoc zbrojna na wypadek wojny z Habsburgami.

– Gdyby udało się najjaśniejszej pani skaptować jeszcze Paryż? Zdobyć dla młodego króla rękę francuskiej królowny?

– Widzę trudności. August jakoś ostatnio aż nadto samowolny, zamknięty w sobie. Poza tym najjaśniejszemu panu nie w smak tamte alianse.

Nagle stanął w progu ochmistrz Wolski.

– Jest wiadomość z Budy – oznajmił.

– Z Budy? Presto! Kto przybył?

– Pan kasztelan Piotr Opaliński – odparł ochmistrz i w tejże chwili Opaliński wszedł do komnaty.

– Jak to, wy sami, mości kasztelanie? – zdziwiła się królowa. – Co się stało?

– Przybywam z arcyważną wieścią. W Budzie nieszczęście.

– Izabela?! – krzyknęła królowa.

– Nie. Małżonek królowej, Jan Zapolya, rozstał się ze światem.

– Król Jan? O Dio!

– Węgrzy bardzo tym zgnębieni. Wyznaczyli pogrzeb na koniec września. Pochówek ma być uroczysty, jako że to ich ostatni narodowy monarcha węgierski.

– Jak to? – spytała Bona. – Nie obwołają jego następcą Jana Zygmunta? Mojego wnuka?

– Chcieliby, lecz Habsburgowie... Zgłaszają pretensję do całych Węgier.

– Ależ na to nie pozwolimy my! – wtrącił się Kmita. – Gotów jestem z moją drużyną iść w sukurs choćby zaraz!

– Dziękuję wam, wojewodo. Co w zamian proponują Izabeli i królewiczowi Habsburgowie?

– Mają dostać w lenno Spisz i stałe zaopatrzenie w złocie.

– Co za wspaniałomyślność! – wybuchła. – Renta i hrabstwo spiskie! Dla mojego wnuka! Dla Jagiellona! O Dio! Jakże powinnam być wdzięczna i szczęśliwa. Bene! Widzę, że jeszcze raz przyjdzie mi się zmierzyć ze złym losem. Panowie senatorowie zechcą zapamiętać: nie przyjąłam do wiadomości przekazanej dziś złej nowiny. Mam zamiar dalej walczyć o spadek dla Jagiellonów na Węgrzech. Prędzej zniosłabym niewolę córki i wnuka u Turków czy Tatarów niż opanowanie przez Habsburgów całej niziny węgierskiej, całego dorzecza Dunaju. Mości kasztelanie, dziękuję za przybycie, chociaż nowiny nie były dobre...

*

Po śmierci męża, która nastąpiła w dwa tygodnie po narodzinach Jana Zygmunta, Izabela została wprawdzie pod opieką oddanych władcy panów węgierskich, ale zgodnie z paktem w Wielkim Waradynie jej syn nie dziedziczył królewskiego tytułu po ojcu. Dla Bony tak szybkie wdowieństwo córki było przekreśleniem wszystkich ambitnych planów dotyczących utrzymania, choćby po kądzieli Jagiellonów w dawnym królestwie Ludwika. Błagała Zygmunta o zbrojną pomoc dla córki, ale król nie chciał rozpoczynać nowej bratobójczej walki między zwolennikami dwóch ukoronowanych monarchów. Ta jednak i tak wybuchła, ponieważ zwolennicy narodowego władcy obwołali małego Jana Zygmunta królem, a sułtan turecki, występując przeciw Habsburgom, uznał nowego pana i wkroczył na Węgry.

O pomyślnym – jak się zdawało – dla Izabeli zwrocie w walkach o tron powiadomił Bonę Kmita, który zawsze deklarował się z pomocą dla Zapolyów.

– Mamy więc, miłościwa pani, wojnę Solimana z Ferdynandem i to czego nie chciał uczynić nasz król, robi teraz sułtan. Zaopiekuje się Izabelą, ale z całą pewnością także i wschodnią częścią Węgier.

– Jakie są ostatnie wieści z placu boju?

– Źle dla Habsburga. Pobity w czas przeprawy wojsk tureckich z Budy do Pesztu. Ale... niedobre i dla królowej Izabeli. Soliman mianował namiestnikiem tureckiego baszę, zamienił na kościołach krzyże na półksiężycy, a co gorsza, wbrew naszym przewidywaniom...

– Izabela? – spytała bez tchu.

– Tak. Przekazał jej rozkaz opuszczenia stolicy i kraju. Raczył oddać Janowi Zygmunutowi w lenno... Siedmiogród.

– To wieści sprawdzone? – spytała. – Pamiętacie, jak długo łudziliśmy się, że król czeski nie poległ pod Mohaczem?

– Pamiętam – odparł Kmita. – Ale te wiadomości są zupełnie pewne.

Bona namyślała się przez długą chwilę.

– Król i teraz uchylił się od walki – westchnęła. – Kogo widzicie, marszałku, jako naszego sprzymierzeńca?

– U nas? Gamrat, zręczny dyplomata i, przyznaję, wybitny polityk. Poza tym na Węgrzech biskup waradyński Martinuzzi, któremu umierający oddał żonę pod opiekę. To raczej wojownik niżli klecha i już stanął na czele stronnictwa narodowego przeciw Ferdynandowi. A wreszcie... Nie zgadnie miłościwa pani... Małżonka sułtana Roksolana, branka z Rusi. Opętany nią tak, że można będzie poprzez tę pierwszą żonę w jego haremie zrobić niemało w sprawie Izabeli i jej syna.

Roześmiała się nagle.

– Tak więc triumwirat na Wawelu, a także w Europie?

– Nie rozumiem? – przyznał.

– Jeżeli trzy kobiety – dwie z Polski i jedna branka z Rusi – coś postanowią, trudno będzie sułtanowi postawić na swoim. Wyślę kogoś bardzo zręcznego z pismem do Roksolany. Santa Madonna! Nie myślałam nigdy, że będę musiała knuć spiski na dworze Solimana Wspaniałego...

Kiedy wyszli, zbliżyła się do okna i otworzyła je szeroko. Jak daleko od Wawelu do komnaty, w której w gronie niewolnic, na pysznym kobiercu rozmyśla Roksolana. Jest przyjazna Izabeli... Dlaczego? Bo została kiedyś wzięta w jasyr z Rusi Czerwonej, którą ona sama przemierzała tak niedawno jako Regina Poloniae et Ducissa Lithuaniae? Czemu tamta nie sprzyja królowi rzymskiemu Ferdynandowi? Można by o to pytać tylko gwiazd, bo z małżonką Wspaniałego nie spotka się nigdy...

Podeszła do stolika, na którym leżała bezcenna mapa Europy przywieziona z Bari, i obwiodła palcami granice Węgier, a także Siedmiogrodu. Ma wierzyć gwiazdom, kiedy potrafi działać, i szybko, wysyłając zaufanego gońca do Roksolany? Pismo ma być pisane w jakim języku?

Polskim czy białoruskim, w którym słała wszystkie rozkazy na ziemię wysunięte najdalej na wschód? Musi zapytać kanclerza Alifia, który mógłby zostać jej tajnym posłem na dwór sułtański. Inny list trzeba wysłać do Izabeli. Niech nie rusza się z Siedmiogrodu, niech czeka. A nuż Ferdynandowi nie uda się wyprzeć Turków z części Węgier i opanować Budy?

Si, działać trzeba opierając się na Kmicie i Gamracie, wbrew królowi, który obawia się stanąć po którejkolwiek ze stron. Nie wolno wycofywać się tylko dlatego z pola walki, aby potomni nie powiedzieli o Zygmuncie Starym, że... „reginavit”...

Ale w tej właśnie chwili na progu stanęła Anna, aby przypomnieć o swoim wyjeździe na krótki czas do matki przyszłego męża. Bona chciała się z nią pożegnać jak najprędzej, już zajęta w myśli układaniem listu do małżonki Solimana, kiedy nagle...

Zdobywszy się na odwagę Anna spytała, czy zna ostatnią plotkę komentowaną już przez

dworzan? Najjaśniejszy pan postanowił teraz, w tym trudnym roku czterdziestym trzecim, spełnić obietnicę daną kiedyś Ferdynandowi: zgodził się na małżeństwo Elżbiety Austriaczki z Zygmuntem Augustem.

Bona pobladła tak, że przerażona dworka cofnęła się o krok.

– Kłamiesz! – krzyknęła królowa. – To być nie może!

– Plotki stąd, że miniatura arcyksiężniczki jest już tutaj, na zamku...

– Portret córki Ferdynanda, który okradł Izabelę z dziedzictwa na Węgrzech, a teraz chce mieć wpływy w Krakowie?!

– Król jegomość ma pono przekazać ten wizerunek młodemu panu – szepnęła.

– Więc i to wiesz? Zawsze wiedziałaś za dużo! Bene. Teraz, kiedy trafia ci się zamęcie... nie zatrzymuję, mia cara. Postaram się także zapomnieć, że w ważnych chwilach, ilekroć wpatrywałam się w twoje usta, miałaś dla mnie tylko jedną odpowiedź: „Urodziła się córka. Prześliczna królowa”.

– Nigdy nie umiałam dogodzić? – spytała z żalem Zarembianka ale Bona nie odpowiedziała wprost.

– Mimo wszystko – rzekła – gdy wyjdiesz za mąż, życzę Ostoi syna. Si, prześlicznego syna. I jeszcze jedno. Zanim po południu wyjedziesz, zaprzeczaj głupiej plotce. Habsburżanka nie przyjedzie na Wawel ani teraz, ani nigdy!

A więc tak zamierzał Zygmunt zjednać sobie rzymskiego króla, odmawiając mu jednocześnie zbrojnego wsparcia? Więc jednak nie reginavit, nie reginavit, nie reginavit...

Natychmiast po wyjściu Anny udała się do królewskich komnat i przepłoszywszy zabawiającego króla Stańczyka, zarzuciła Zygmunta gradem pytań:

– Więc to prawda? Znosicie się z Wiedniem za moimi plecami? Czyż nie wzrusza was los Izabeli? Najpierw rodzona córka ofiarą habsburskich matactw, a teraz August? Wasz następca?

Przyglądał się jej z ciekawością, bardzo uważnie.

– Nigdy, przez tyle lat nie mówiliście z taką pasją, z takim przejęciem o nas, o mnie – rzekł w końcu. – Syn! Zawsze na pierwszym miejscu syn!

– Santa Madonna! – wybuchła. – Czyżbyście byli o niego zazdrośni?

– To nie to, nie to! Ale tyle lat nie spuszczałem was z oczu. Staralem się wytropić najdrobniejszą słabość, najmniejszy ślad czułości. Nic, nigdy nic! Zdumiewające: namiętna, gwałtowna córa południa, a w sercu bryła lodu. Tylko on jeden umiał was wzruszyć i zasmucić. On, August.

– A jeśli to nieprawda? Jeżeli wy także...?

– Och! – westchnął.

– A nigdy nie przyszło wam na myśl – nalegała – że od czasu tamtego wypadku w Niepołomicach mogłam mieć niejednego kochanka?

– Och...

– Nie wierzycie? Chociaż na dworach italskich...

Przerwał jej gwałtownie, twardo.

– Nie! Tu jest Wawel. Ale wracajmy do Augusta. Jakąż tedy krzywdą czy ofiarą może być dla niego poślubienie urodziwej dziewczyny. Parsknęła gniewnie.

– Oszukano was. Podobno jest chuda, wątła...

– Wolę wierzyć świadectwu oczu niż uszu – odparł. – Oto jej wizerunek. Nie wydaje się brzydka.

Oglądała miniaturę bardzo długo.

– Si. O Dio! Si! Ale kto nam zaręczy, że to ona?

– To jeszcze dziecko, ale urocze. Widział ją niedawno w Wiedniu kanclerz Maciejowski. Mówi, że wielce foremna.

– Maciejowski! – zadrwiła. – Zawsze gotów przysłużyć się Habsburgom.

Namyślał się przez chwilę, wreszcie rzekł:

– Nie sposób wadzić się ze wszystkimi sąsiady naraz. Mariaż Augusta z francuską królową naruszyłby z trudem zdobytą równowagę. A w razie zagrożenia którejkolwiek z naszych granic, nie dałby nic. Francja przegrywa teraz z Carolusem i nie przyjdzie nikomu z pomocą.

– Ależ Elżbieta... Sprawdziłam. Ona nie ma żadnego posagu. Dostanie tylko klejnoty i stroje!

– Nie wierzę – zaprzeczył. – Jednakże, gdyby tak było, dam jej posag z własnej szkatuły.

Żachnęła się.

– Mnie na złość? Bo prócz klejnotów, wiele złota wniosłam wam w posagu?

Odparł mniej łagodnie niż zwykle:

– Nigdy nie widziałem tamtych pieniędzy. Coście przywieźli – macie przy sobie i na sobie.

– A więc do tego doszło? Madonna mia! Nie liczy się już nic? Ani moja wyprawa, ani wznoszone budowle, ani złoto wpływające do skarbcza z licznych dóbr?

– Dóbr waszych – sprostował.

– A... Capisco. Nie chcecie, aby ktokolwiek pomyślał, że coś zrobiłam dla was, dla Korony czy Litwy. Że w tym kraju coś znaczę? Powtórzono wam, tak?

– Powtórzono – przyznał niechętnie. – Wnuki powiedzą o mnie: Sigismundus reginavit.

– E allora? Prima di tutto, to nieprawda! Wiemy o tym sami najlepiej. Ja krzyczę. Wy milczycie, ale w zmaganiach z wami poniosłam do dziś więcej klęsk niż zwycięstw. Uparłam się, wbrew wam, wydać Izabelę za Zapolyę i zgotowałam jej los okropny. Chciałam zdobyć Mazowsze dla dynastii, dla Augusta – nadaremnie. Nie życzyłam sobie małżeństwa waszej Jadwigi z którymś z Hohenzollernów i musiałam zjechać na ten ślub. Tak samo było z hołdem pruskim. Ostrzegałam przed Albrechtem a mimo to postawiliście na swoim. Reginavit? Śmieszne! Zawsze górą wy! wy! Także teraz...

Podeszła do króla bardzo blisko, nagle serdeczna i czuła.

– Va bene, fai come vuoi. Ale przyznać musicie, nie zrobiłam nigdy niczego bez waszej zgody. Nawet w sporach z litewskimi magnatami czyż Tarnowskim. Mio caro! Nazywaliście mnie czasem gniewną, zapalczywą; Junoną, ale nigdy zdraczący. Czyż teraz, po tylu latach,

posądzacie mnie o knucie jakowychś spisków?

– Donoszono mi o nich – rzekł po chwili. – Macie wielu wrogów i zawistnych.

– Imbecilli! Głupcy! Nic i nikt nie zdoła mnie od was odsunąć ani odciągnąć. Miotam się nieraz, jestem w rozterce. Czasem błędzę... Si. Ale wtedy zawsze wiem, że jesteście przy mnie pełni rozwagi, spokoju. Że wszystkie przykrości życia, wszystkie zawody, nawet choroby, znosicie mężnie i z cierpliwością wielką.

– To prawie panegiryk! – zadrwił.

– Najszczęsze z wyznań. A teraz, najjaśniejszy panie, wybierajcie! Wolicie mieć przy sobie oddaną i jeszcze pełną wielkich zamysłów reginę czy też starą królową. Starą, bo będzie już teraz na zamku... i młoda.

Próbował wyjaśnić, tłumaczyć.

– Wierźcie mi, dwór austriacki traci cierpliwość. Nie robimy nic, aby pomóc chrześcijańskiemu władcy w walce z niewiernymi...

– Och – przerwała – dla nas korzystniejszy pokój z Turcją niż krucjaty na wzór przodków.

– Tak, ale kanclerz z Tarnowskim ostrzegają przed dalszą zwłoką. Może te zaślubiny...

– Spróbujcie odłożyć ślub do czasu, aż ona ukończy lat osiemnaście.

– Rok wcześniej albo później, czy nie wszystko jedno? I tak w myśl układów wiedeńskich z czasów, gdy byliście jeszcze w Bari, córka Ferdynanda miała zostać żoną mojego następcy.

– Więc jednak! – triumfowała. – Robicie wszystko, aby uniknąć wojny z Habsburgami. Va bene! Ale ja tym razem nie ustąpię! Przynajmniej na tyle, aby nie dać się zepchnąć w cień. Jeszcze nie! Nie! To małżeństwo non mi interessa e basta! Habsburgowie chcą zrabować dobra włoskich Sforzów, a teraz pozbawiają tronu moją córkę. Bene! Nadszedł czas porachunków. Będę tak kochała waszą synową Elżbietę, jak oni – Izabelę.

Zaczęła iść w stronę drzwi, ale zatrzymał ją pytaniem:

– To wasze ostatnie słowo?

Odwróciła się i zobaczył jej oczy płonące gniewem.

– Si. Tym razem ostatnie – odparła.

Tej nocy spała źle, obudziła się o świcie i słowo, które ją dręczyło w koszmarnych snach, wywołało skurcz serca na jawie. Elżbieta – córka rzymskiego króla, przyszła synowa... Zygmunt nie wiedział nic o Dianie di Cordona, a na przelotne miłości Augusty nie zwracał uwagi. Ale Diana... Nie miała wprawdzie z kochankiem syna ani córek, jak Zygmunt ongiś z Telniczanką, jednakże istniała, a jej kamieniczka była magnesem, który wciąż jeszcze przyciągał młodego króla. Nie chciała i nie mogła ujawnić nikomu sum, które wpłaciła Dianie, aby kupiła dom rzekomo za pieniądze pochodzące ze spadku. Anny już nie ma. Ale może nie być także na dworze i Diany di Cordona. Zabawne, Diana jako mieszczałka krakowska... Jeżeli będzie buntowany przez tamtą, mieszkającą nadal na Floriańskiej? Trzeba z nimi pomówić. Z kim najpierw? Z synem czy z jego kochanką? Wiedziała, że te rozmowy nie będą łatwe. Ale Elżbieta... Ona i tylko ona, a nie tamta, mogłaby urodzić dla dynastii syna, sukcesora. I musi stać

się matką Jagiellończyka, dać staremu królowi wnuka, o którym wspominał, a kto wie, czy nie marzył. Mówił o tym rzadko, ale Zygmunt najczęściej milczał...

Przymknęła ciężkie powieki i spróbowała znowu zasnąć. Te sprawy nie rozstrzygną się ani dziś, ani jutro. Ma czas, aby wszystko dokładnie przemyśleć i przesunąć pionki na szachownicy tak, aby wygrać partię, aby zapewnić Augustowi szczęście, a Koronie – następcę tronu...

Parę dni później August jak zwykle odwiedził dom na Floriańskiej. Przez chwilę mówili o Annie, o hucznym weselisku, które odbyło się na Wawelu i zakończyło pięknym festynem. Młody król westchnął:

– Odkąd pamiętam, widziałem ją zawsze przy królowej. Jak matka zniesie tę stratę?

– Och! – roześmiała się Diana. – Miłościwa pani wszystko zniesie. Twardsza jest od granitu. A zastąpi przy niej Annę młodziutka Myszkowska.

– Wierzysz, że kogoś ulubionego może zastąpić inny człowiek? Bo ja nie wierzę.

– To znaczy – szeptała wtulona w jego ramiona – że i mnie przy was nie będzie łatwo zastąpić?

– Wy! – zgorztał się. – Was nikt zastąpić nie zdoła. Kochałem się dziś przez chwilę w diamencie i natychmiast, czując wyrzuty sumienia przybyłem tutaj, żeby ponieść zasłużoną karę.

Wsunął jej na palec pierścień z wielkim brylantem i przyglądali mu się oboje z upodobaniem.

– Co za cudowny klejnot! Nie wiem, jak dziękować mojemu panu – szeptała Diana. – Zawsze hojny, zawsze tak bardzo dla mnie łaskawy...

– Kochający zawsze – dokończył.

Nie mogli wiedzieć, że królowa myślała inaczej, że zatrzymała najwierniejszych z italskiego dworu w swojej komnacie, aby ich zawiadomić o niemiłej nowinie.

– Wiem – przyznała – że przez te wszystkie lata bywało wam w Krakowie niełatwo... Ale znieśliście wszystko, służyliście wiernie. Nadchodzi nowa próba: na Wawel zjedzie w maju księżniczka Elżbieta, córka Ferdynanda, aby poślubić młodego króla. Otóż moją wolą jest, aby nigdy nikt z was nie ośmielił się nazwać jej „młodą królową” i aby nikt nie mówił o mnie „królowa stara”. Wyznaczy się jej ochmistrza, ale kuchnia będzie jedna pod zarządem mojego szafarza. Zgodziłam się tylko na trzy dworki z Wiednia. Wy, mości kanclerzu, pojedziecie raz jeszcze do Bari dopilnować przynajmniej tego: mojej sukcesji. Po drodze zatrzymacie się w Wiedniu, żeby oświadczyć Ferdynandowi, że „jak córkę kochać będziemy Elżbietę i prosimy tak samo postępować wobec najjaśniejszej córki naszej, królowej Węgier”.

– Powtórzę dokładnie słowa miłościwej pani – skłonił się kanclerz.

– Król pragnie synową wyposażyć – zwróciła się do Pappacody. – Non importa, ale dowiesz się, kto da na to potrzebne pieniądze.

– Zapewne żupnik krakowski? – zgadywał Italczyk.

– Boner? Może. I kto wie, czy nie z tych pieniędzy, które zwróciłam mu za kobierce. Ile już nadesłano do Krakowa?

– Kilkadziesiąt sztuk wraz z makatami.

– Bene. Dopilnujesz, żeby żaden z nich nie znalazł się w komnatach Elżbiety.

Wahał się przez chwilę, ale w końcu zapytał:

– Czy mam także przygotować dla przyszłej małżonki jakieś ślubne dary?

– Si. O si! Jeden tylko upominek z naszego skarbca, za to bardzo cenny.

– Diadem? – zgadywał.

– No. Sicuramente no! Każesz odnowić i przygotować kołyskę.

– Kołyskę? – powtórzył jak echo.

– Si. Srebrną kołyskę z Bari. Wielki już czas, by przestała być pusta. O Dio! Cóż miłszego dla obu królów od nadziei, której uosobieniem jest ona? Incredibile, ale tak! Dla arcyksiężniczki najstosowniejszy z podarków. I to już wszystko. Możecie odejść. Ty zostań – zwróciła się do Mariny. – Wprowadzisz tutaj Dianę di Cordona. Ale nie samą.

– Chciała mówić tylko z najjaśniejszą panią.

– Właśnie dlatego wprowadzisz ją razem z nową dworką, którą polecił nam na miejsce Anny ochmistrz Wolski. Jak się nazywa?

– Zuzanna Myszkowska.

Po chwili weszły obie: Diana już powiadomiona przez Marinę o decyzji, którą podjęła królowa, oraz krewniaczka Wolskiego, młódka o pogodnej, jasnej twarzy.

Diana di Cordona skrzepowana obecnością obcej nie rzuciła się wprawdzie do nóg królowej, ale błagała ze łzami w oczach:

– Miłościwa pani! Miałam nadzieję wyjaśnić, że dzieje mi się krzywda. Służyłam wiernie, nie zламаłam danej obietnicy i...

– Znam, mia cara, przyczynę twojego smutku i powód skargi – przerwała jej Bona. – Ale wobec postanowień królewskich nie mogę dla ciebie uczynić nic. Niente! Niente! Najwyżej zazdrościć, że zobaczysz wkrótce Bari, a przedtem wieczne miasto. Och, Roma! Bellissima!

– Tyle lat spędziłam w Krakowie – zebrała Diana. – Czy nie mogłabym w drodze łaski zatrzymać domu przy Floriańskiej i jeszcze przez jakiś czas...

No, no! Impossibile! Musisz wyjechać jeszcze przed końcem marca.

– Błagam najjaśniejszą panią...

– Nie mogę... A zresztą nie chcę – dodała już ostrzej. – Non voglio e basta! Nie dawaj, mia cara, złego przykładu nowej dworce naszej, Zuzannie. A ty zapamiętaj! Nie należy nalegać, gdy mówię – nie.

– Rozumiem, miłościwa pani – szepnęła Myszkowska.

– Va bene! Va bene! Możecie odejść. Obie.

Kiedy wyszły, Marina nie mogła się powstrzymać od uwagi.

– Była oddana całym sercem młodemu królowi przez siedem lat. I dotrzymała słowa. Tylko ja wiedziałam o domu przy Floriańskiej.

– Wierna! Oddana! Właśnie dlatego niebezpieczna i nie powinna zostać. Ślub, z woli króla,

już w pierwszych dniach maja. Elżbieta nie może spotkać się z Dianą, a i August musi mieć czas, aby przeboleć stratę, może nawet odzwyczaić się, ochłonąć, zapomnieć. Wreszcie trzeba pamiętać...

– O czym?

– O kołysce. O Dio! Pusta kołyska Jagiellonów! Tylko to teraz jest ważne. Tylko to!

*

Ciemna noc stała nad Krakowem. Było już cicho, gdy nagle rozległ się tętent konia pędzącego pod górę na zamek. Jeździec osadził wierzchowca na dziedzińcu wawelskim i, rzuciwszy cugle strażnikowi, prawie biegnąc wpadł na zamek. Równie gwałtownie przemierzył komnaty królowej i stanął przed zamkniętymi drzwiami jej sypialni. Był tak wzburzony, że zaczął bić o nie pięściami. Po chwili drzwi uchyliły się i Marina ze zdumieniem spojrzała na stojącego przed nią Zygmunta Augusta. Wszedł odtrącając dworkę i ujrzał matkę już w nocnej powłóczystej szacie, podchodzącą do łoża. Zobaczywszy Augusta krzyknęła:

– Stój! Odwróć się! – i zaczęła upinać rozpuszczone włosy w ciężki węzeł na karku. Po chwili rzekła z wymówką w głosie: – Nie spodziewałam się, że przyjdiesz. Jestem... nie ubrana.

– Muszę mówić z miłościwą panią. Bez świadków.

Bona odwróciła się do Mariny.

– Zawołam, kiedy będziesz potrzebna. Zbliź się, Sigismundo. Jak ty wyglądasz? – dodała, gdy podszedł blisko.

– Koń mnie poniósł – mruknął.

– Musiał się czegoś przestraszyć?

– Przeląkł się mojego gniewu! Jeszcze teraz nie mogę ochłonąć. Miłościwa pani, dlaczego uknuliście ten spisek?

– Incredibile! Spisek! Jak śmiesz tak mówić do mnie?

– Dziś, kiedy dowiedziałem się o waszych małżeńskich planach, wszystko mi jedno! Przez tyle lat robiłem, coście chcieli. Przez tyle lat drżałem przed waszym gniewem. Ale teraz chcę wiedzieć: dlaczego tamta musi wyjechać? Czy nie dosyć, że muszę poślubić rakuską królową? Żona z cudzego wyboru, czyż to nie dosyć? Czy konieczne jest zerwanie długoletnich więzów przyjaźni, miłości?

– To więzy niebezpieczne – tłumaczyła, starając się mówić łagodnie i cicho. – Uczyła ciebie, jak wielbić kobiety, jak korzystać z uciech życia. Ale nie jest już młoda. Czy pamiętasz, że wkrótce skończy czterdzieści lat? Si, choć na to nie wygląda. Caro mio, nie powinieneś odwracać się od swoich rówieśnic... Musisz poznać różne odmiany uniesień. Wierz mi, pąk róży inaczej pachnie niż kwiat więdnący...

– To była miłość! – przerwał gwałtownie.

– Tak ci się zdawało, si! Ale całe życie przed tobą i będziesz miał jeszcze w ramionach niejedną niewiastę.

– Kochałem tamtą – upierał się przy swoim.

– Dzisiaj. Ale powiedziałaś sam: amavi, a więc to już przeszłość. Przed tobą jutro. A poza tym... Poza tym nie miłość stanowi o wielkości królów. Wierz mi. Nie miłość!

– Mówicie tak – krzyknął – bo nie kochaliście nigdy nikogo!

– Sigismundo!

– Nikogo! Nawet króla. Jakie były nasze powszednie dni? Festyny, wiwaty, oracje, dzwony, złoto. Tak, na pierwszym miejscu zawsze złote dukaty! Poza tym włoskie przekleństwa, krzyki i lamentsy. Ojciec...

– Jak śmiesz?! Milcz! – rozkazała.

Ale jego oczy miały błyskawice.

– Nie będę milczał. On miał chwile spokoju tylko z dala od was. Na sejmach, na wyprawach wojennych, w podróżach. Wielbiłem go, a musiałem zawsze być tu, z wami, z waszym fraucymerem. Żadnych towarzyszy zabaw, żadnych wypraw, nic, nic! Dzwony, organy, hołdy uroczyste gesty od dziesiątego roku życia. A do tego jeszcze lęk: obawa, że was rozgniewam, że narażę się na surową naganę. Byłem królem i jednocześnie tylko zabawką w waszym ręku. Nawet kochankę otrzymałem z waszej łaski. A teraz odbieracie mi ją, jak rzecz. „Dostaniesz inną, mój synu. Ale dostaniesz zawsze to i tylko to, co ja zechcę”.

– Skończyłeś? – spytała chłodno.

– Nie. Podobno gadają, że bawią mnie tylko łowy, ucztę i festyny. Czemu zależy wam na tym, żeby mówiono o mnie właśnie tak? Niezbyt pochlebnie?

– Ależ ja zawsze twoje dobro miałam na względzie! – oburzyła się. – Zawsze! O Dio! Teraz oskarżasz mnie, że pozwalałam ci szaleć? Chciałam, żebyś właśnie wyzbył się ślepych żądz. A wiesz dlaczego? Abyś potem mógł jak najsprawniej kierować się rozumem. Wreszcie, ileż razy krzywdziłam córki, aby spełniać wszystkie twoje zachcianki?? Może to także masz mi za złe? Austriaczka? To wybór i wola twojego ojca, nie moja. Ja jej nie chcę, bo boję się jako córki Habsburgów. Boję się także dlatego, że zechce mi ciebie odebrać. Ale skoro masz ją poślubić, musisz mieć z nią synów. Tylko to może mnie powstrzymać od zniechęcenia córki Ferdynanda, bratanicy cesarza. Obaj mnie skrzywdzili. Nie chcesz, abym płaciła Elżbiecie pięknym za nadobne? Bene. Więc daj mi... Daj mi wnuków od niej! Umocnij dynastię. A wtedy, och, wtedy będziesz mógł znowu robić, co zechcesz: bawić się, kochać...

Patrzył na nią wstrząśnięty, zdumiony.

– To potworne...

– Si, d'accordo. E terribile! Ale już od lat ja nie jestem sobą, ty nie jesteś sobą! Mówiłeś: festyny, dzwony, oracje i wiwaty. Dorzuć: poza Krakowem turkot dział, jęki uprowadzanego jasyru, a na Wawelu blask świec i pochodni. Otaczały nas zewsząd płomyki, płomienie, przenikała światłość. A w oczy, w nozdrza wgrzyzał się dym kadzideł. Nie przecz!

Kadzono tobie nie mniej niż mnie. Może nawet więcej, bo nie naraziłeś się nikomu – działając. Bo byłeś i ciągle jesteś nie spełnionym marzeniem, wielką nadzieją ludzi. Przed tobą

jutrzejczy dzień. Chcesz, aby był inny niż mój? Allora avanti! Na co czekasz? Zapewnij królestwu wielkość. Każ Elżbiecie rodzić synów, samych synów, abym jej mogła pozazdrościć. Ja. Bona Sforza! Ja, która panując nad wszystkimi, nie mogłam opanować i zmusić do posłuszeństwa jednej istoty – siebie. Własnego ciała.

Po raz pierwszy słyszał od niej słowa skargi i wyszeptał:

– Doprawdy, nie wiem...

– Nie musisz wiedzieć, jaką dać odpowiedź mnie – mówiła coraz głośniej. – Idź do ojca. Do ojca! Jego jest wola, abys pojął za żonę córkę Ferdynanda. A skoro żeni cię gwałtem, niech wysłucha twoich protestów. I potem niech pozwoli wystąpić godnie, wspaniale, jak przystało młodemu królowi. Ja nie dam na ten ślub ani dukata. I to nie mnie, podobno złej matce, tylko jemu masz wbrew woli odpowiedzieć „tak”.

Potrząsnęła głową i jej jasne włosy rozsypały się na ramiona. Patrzył na matkę zbity z tropu, zmuszony jej uwierzyć, znów okiełznany. A ona krzyknęła: „Marina!” i wyszła z sypialni pierwsza, nie dodając już ani słowa.

*

Zaraz po powrocie z Wiednia kanclerz Alifio polecił zawiadomić Bonę, że spełnił jej polecenie i powtórzył rzymskiemu królowi słowa kryjące w sobie utajoną groźbę. Do Bari jednak nie pojechał, ponieważ zmogła go choroba serca i leżał teraz, nie próbując nawet wstawać. Usłyszawszy tę złą wiadomość z ust Pappacody, królowa kazała przywołać medyka i zarzuciła go pytaniami:

– Czy kanclerz ciężko zachorzał? Jak to? W chwili gdy przed ślubem Elżbiety jest tak potrzebny na dworze? Czy nie wstanie przed końcem kwietnia?

Nadworny medyk kręcił przecząco głową.

– Jest ciężko, nieuleczalnie chory. Mógłby wstać, jednakże wtedy drugi atak zwali go jak podcięte drzewo.

– Nie wierzę. Doktor Alifio ma zaledwie czterdzieści cztery lata.

– Ale serce nie liczy ludzkich lat. Żyje rytmem i czasem własnym – tłumaczył nieśmiało medyk.

– Bene. Uprzedźcie kanclerza, że jutro po południu odwiedzę go sama w jego komnacie.

I poszła tam, gdzie nie bywała nigdy: do skrzydła, które zajmowali królewscy dworzanie. Na progu zatrzymał ją jednak tenże medyk, mówiąc szeptem:

– Przejął się tak bardzo przekazaną mu nowiną, że całą noc nie spał, a dziś stan jest jeszcze gorszy. Miłościwa pani, niestety, żadne medykamenta już nie skutkują.

– Wy zawsze bezsilni, gdy najbardziej potrzebni – skarciła go surowo. – Chcę z nim być sama.

Gdy weszła, kanclerz otworzył oczy i przez długą chwilę wpatrywał się w przybyłą.

– Nie wierzyłem, że najjaśniejsza pani do mnie...

Umilkł, a ona patrzyła z żalem na jego zapadnięte oczy, na pobladłą twarz.

– Przyszłabym wczoraj, gdybym wiedziała, że czujecie się aż tak źle.

– Myślę, że to już kres – wyszeptał.

– Perché? Nie przeżyliście i pół wieku. Da Bóg, będziecie jeszcze zdrowi...

– Już nie. Nie...

– Postarajcie się zebrać wszystkie siły – prosiła i dodała już gniewnie potrząsając jego ramieniem – król znowu moim planom przeciwny. Jesteście teraz przed ślubem Augusta potrzebni bardziej niż kiedykolwiek! Rozumiecie? Potrzebni!

– Nareszcie – westchnął – trzeba było aż śmiertelnego łoża, żeby to usłyszeć i żeby wasze ręce...

Zapatrzył się w palce królowej wczepione w koronki jego koszuli.

Wyprostowała się natychmiast, zwalniając ucisk.

– Co mówię i co teraz czynię – nieważne. Ważne, abyście chcieli wyzdrowieć. Żebyście zebrali wszystkie siły...

– Zbieram je – szepnął – żeby was ostrzec, miłościwa pani. Żeby powiedzieć...

Pochyliła się znów nad chorym, którego głos był słaby i drżący.

– Mówcie! – rozkazała.

– Niewielu z doradców służy wam tak wiernie jak ja...

– Wiem – przyznała.

– I niewielu tak szczerze... tak szczerze... miłuje...

– Alifio! – ostrzegła, ale on mówił dalej:

– Zebrałem wszystkie siły, żeby to powiedzieć...

– O Dio! Jakże mi was będzie brak! Jak brak! – szeptała już i ona.

– To najcenniejsza z pochwał – uśmiechnął się słabo, wpatrzony w jej pochyloną nad nim twarz.

– Macie jakieś życzenie? – spytała. – Spełnię każde.

– Nie chcę was rozgniewać, ale... Pragnąłbym wypowiedzieć teraz słowa, które zastygną na moich wargach w godzinie ostatniej.

– Jakie to słowa? – pytała wzruszona, wstrząśnięta.

– Principessa... Bellissima principessa Bona – westchnął.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Królowa położyła dłoń na jego wargach, wyprostowała się i wyrzekła tylko jedno słowo:

– Si.

Dopiero w drzwiach odwróciła się jeszcze i spojrzała na swego kanclerza po raz ostatni...

– Alifio... Caro mio... – szepnęła.

*

Królewska kancelaria na rozkaz Zygmunta wystarała się o dyspensę dla młodożeńców

spokrewnionych rzekomo w trzecim stopniu, jako że matką starego króla była Elżbieta Rakuszanka, a narzeczoną łączyły związki krwi z Władysławem Jagiellończykiem. Po czym w końcu kwietnia narzeczoną opuściła Wiedeń otoczona licznym dworem i, po powitalnej mowie wygłoszonej w Ołomuńcu przez podkanclerzego Maciejowskiego, zjechała na Wawel. Jej przejazd przez ulice miasta był pięknym i barwnym widowiskiem, polscy i litewscy panowie wystąpili bowiem ze swoimi pocztami przybranymi rozmaicie. Cieszyły oczy stalowe i pozłociste zbroje jednych, ubiory węgierskie, tureckie i nawet hiszpańskie drugich. Zygmunt August w srebrzystym stroju wyjechał spotkać przyszłą małżonkę w namiocie rozbitym za miastem. Mijał obojętnie gwarne ulice, nie patrzył na przybrane kobiercami okna kamieniczek. Było mu obojętne, kogo zobaczy za godzinę, myśli jego krążyły wciąż jeszcze przy Dianie. Kiedy wracając jechał obok kolebki wybitej szkarłatnym aksamitem, nie patrzył także na siedzącą w niej postać dziewczęcą, tylko na ciągnącą pojazd szóstkę siwych, wspaniale przybranych koni...

Tym, który ocenił urodę przyszłej królowej, był Zygmunt Stary, rad, że przesłany z Wiednia konterfekt nie kłamał. Arcyksiężniczka była wątła i bardzo szczupła, ale istotnie tak ładna, że król od razu począł ją nazywać córuchną, co wywołało na twarz Bony ciemne rumieńce gniewu. Równie źle przyjęła nazajutrz przekazaną jej przez ochmistrza Wolskiego wiadomość, że nie zajmie pierwszego miejsca w drodze do katedry. Toteż gdy król wszedł do sali, gdzie czekała z córkami i całym swoim dworem, podeszła do niego, mówiąc półgłosem:

– Czy może być prawdą, najjaśniejszy panie, że wasza synowa ma poprzedzać mnie w koronacyjnym pochodzie? Także w kościele zając miejsce przede mną, królową Polski?

Zygmunt Stary zwrócił się do Maciejowskiego.

– Mości kanclerzu! Najjaśniejsza pani pyta. Odpowiedzcie.

Kanclerz skłonił się, lecz jego odpowiedź nie była po myśli Bony.

– Takie jest prawo i dworski ceremoniał – oznajmił.

– Prawo? Zepchnąć królową na drugie miejsce? Po młódce?

– Zmieni się tego nie da. Rozkazy wydane – wtrącił się król.

Podchodząc do niego bardzo blisko, szepnęła:

– Gdybyście tylko chcieli...

Ale on przerwał gwałtowniej niż zwykle:

– Ani słowa! Ośmieszyłbym się wobec ludzi. Tace!

– Milczeć! – szepnęła. – Zawsze milczeć...

Cofnęła się jednak, stając przed córkami. W tejże chwili weszła Elżbieta w białej koronacyjnej szacie rozwartej z przodu. Z tyłu rozcięcie zakrywał wspaniały płaszcz włosów, opadający poniżej pasa. Wyglądała na kruchą i zmęczoną, ale nie sposób było odmówić przyszłej żonie Augusta wdzięku, nieśmiałej chęci przypodobania się i dogodzenia wszystkim. Takie właśnie przepraszające spojrzenie rzuciła na całą rodzinę Jagiellonów, po czym podeszła do króla, a ten położył jej obie ręce na ramionach.

– Witamy was, córeczko najmilsza – rzekł. – Błaziście bardzo. Może zmęczeni?

Cały dwór oczekiwał odpowiedzi w języku łacińskim lub nawet polskim, skoro już od dawna była jej znana wola Ferdynanda zawładnięcia poprzez nią Wawelem. Jednakże Elżbieta nie zadała sobie trudu nauczenia się choćby paru zdań w mowie, która odtąd miała być jej mową ojczystą. Odpowiedziała z uśmiechem, ale po niemiecku:

– Aber nein! Nein!

Stary król nie rzekł nic, wsłuchując się uważnie w milczenie żony i dworu, ale ponieważ cisza trwała zbyt długo, rzekł w końcu:

– Tedy chodźmy.

W koronacyjnym pochodzie Zygmunt Stary kazał się nieść w lektyce, przestał bowiem od roku chodzić o własnych siłach. Elżbietę zaś wiedli do ołtarza dwaj książęta: pruski Hohenzollern i Piast legnicki. Królestwo zasiedli z boku, z lewej strony ołtarza, dwa trony czekały na nowożeńców po przeciwnej stronie. Obrzęd ślubu i koronacji przypomniawszy Bonie jej własne zaślubiny przed ćwierćwieczem, z tą tylko różnicą, że na oblubienicę czekał w czasie koronacyjnego obrzędu August w bogatym stroju, spokojny, lecz chmurny.

Kiedy korona królowej Jadwigi spoczęła na głowie Elżbiety, Bona poczuła się nagle tym, czym nie chciała być nigdy – królową starą. Uśmiechała się jednak, ponieważ cała świątynia wypełniona po brzegi patrzyła na nią właśnie, a nie na Elżbietę stojącą przed ołtarzem.

Wreszcie zabrzmiało „Te Deum”, nowożeńcy wyszli z kościoła pierwsi, za nimi niesiono starego króla, a tuż za lektyką kroczyła Bona z córkami. Bił „Zygmunt”. Albrecht pruski wyprzedził Piastę i w drodze na zamek znalazł się koło niej, a wtedy na nim wywarła dławiący ją gniew.

– Pięknie gra... – rzekła pozornie obojętnie. – I pomyśleć, że ten dzwon odlany jest z dział, które zdobyliśmy przed laty na Krzyżakach, podczas gdy dziś...

Nie skończyła, bowiem książę Albrecht odparł układnie:

– Podzwonne dla zakonu rycerzy krzyżowych nie może urażać świeckiego księcia, wyznawcy nauki Lutra...

Wieczorem, po wystawnej uczcie, młodzi dworzanie płąsali przed czterema tronami ustawionymi na podwyższeniu. U nóg Zygmunta siedział Stańczyk, na stopniach tronu Bony przysiadła karlica Dosia. Młodzi trwali obok siebie milcząc, August nie starał się nawet uśmiechać do narzuconej sobie małżonki. Tylko stary król zwracał ku niej często głowę i przyglądał się wdzięcznej młódce z upodobaniem i nawet czułością.

W chwili gdy dworacy tańczyli pawanę, do tronu Zygmunta zbliżył się kanclerz Maciejowski z mężem małego wzrostu, za to przyodzianym w strój piękny i kosztowny. Pokłoniwszy się królowi, rzekł:

– Oto signor Marsupin, Italczyk przybyły na koronację z Wiednia.

Przyszły sekretarz królowej Elżbiety i tłumacz.

– Gdzie miłość łączy serca i tłumacza nie potra – odparł król. – Ale radziśmy wielce.

Bona jednak okazała niezadowolone:

– Córka nasza Izabela nie ma w Siedmiogrodzie żadnego opiekuna ani tłumacza – zaznaczyła z naciskiem.

– Zna język węgierski, a najjaśniejsza pani nie mówi po polsku – wyjaśnił Marsupin.

– Ja? – zdziwiła się Bona.

– Myślałem o młodej królowej... – zmieształ się opiekun Elżbiety.

– Ach tak? – zadrwiła Bona i gdy Marsupin cofał się zgięty w ukłonach, rzekła do Maciejowskiego: – Powiedzcie, mości kanclerzu, temu słudze Habsburgów, że na Wawelu i w Polsce jest tylko jedna królowa.

– Jak tedy ma mówić o swojej pani? – zdziwił się kanclerz.

– Do mnie nie ma mówić ani słowa. Non voglio! A jak przemawia do niej – cóż mnie to może obchodzić?

– Postaram się wytłumaczyć... – obiecał głosem niezbyt pewnym.

– Grazie – skinęła mu głową królowa i zwracając się do męża, który nie słyszał jej rozmowy z Maciejowskim, rzekła: – Jaka szkoda, że nie żyje już Krzycki! Uświetniłby uroczystość wierszem skrzącym się od dowcipu. Panegiryk Janickiego jest wręcz żalony.

I zaczęła go cytować z drwiną w głosie:

„Siodłać lotne rumaki. Jedź, pogoni chyża!

Auguście! Oto rzymska królowa się zbliża!”

– Incredibile! – parsknęła złym śmiechem. – Jaka pogoń i za kim?

Nasłana tutaj przemocą...

– Może usłyszeć – szepnął król.

– Kto? Austriaczka? – spytała niemal głośno.

– Przez wzgląd na Izabelę zechciejcie... – prosił już niemal Zygmunt.

– Prawda, Izabela... – szepnęła Bona i wzniosła oczy ku górze. – O Dio! Błogosław przynajmniej królewskiej łóżnicy! Umocnij dynastię... A mnie daj jedno: cierpliwość. Cierpliwość bezmierną...

Po północy, opuściwszy roztańczoną salę, młoda para udała się do swoich komnat. Gdy znaleźli się w sypialni królowej, stanęli naprzeciwko siebie bardzo niezdecydowani, zmieszani. Dotychczas wymienili tylko parę nic nie znaczących słów, król nie zdobył się nawet na wyrażenie podziwu dla urody małżonki. Teraz jednak, świadom swoich obowiązków, dla których musiał poświęcić Dianę, sięgnął po koronę zbyt ciężką dla młodej głowy i odłożył ją na bok. Po czym, skuszony bogactwem rudawego płaszcza włosów, dotknął ręką długich, jedwabistych splotów. Młoda królowa potrząsnęła głową, przymknęła oczy i zaczęła się uśmiechać. Była w tej

chwili tak urocza, że już bez żadnych wewnętrznych oporów napełnił winem złoty kielich przygotowany zawczasu i patrząc jej prosto w oczy, wypił łyk, a potem przysunął brzeg pucharu do jej ust. Ich palce spotkały się, wargi Elżbiety dotknęły w tym samym miejscu ślubnego kielicha. Patrzyli sobie wciąż w oczy, teraz już uśmiechnięci oboje. Ale gdy zaraz potem August objął jej wiotką kibić i spróbował dotknąć ustami jej ust, oblubienica pobladła, zaczęła drżeć i odpychać męża słabymi rękami.

Spróbował raz jeszcze, ale wtedy pchnęła go już mocniej, mięśnie jej ramion stwardniały.

– Perché? – spytał zdumiony i poprawił się zaraz: – Warum?

Ale ona szeptała już tylko:

– Nein! Nein! Nein!

Nagle ciało jej wygięło się do tyłu, wyprężyło, ramiona stały się zupełnie sztywne, powieki opadły na oczy.

– Santa Madonna! Elizabet? Co wam jest?

Ale ona nie słyszała go już, nie mogła odpowiadać na żadne pytania. Starając się opanować drżenie, zaczęła wzywać pomocy:

– Kätrin! Kätrin!

Zaraz potem upadła, a gwałtowne drgawki i uderzenia głową o posadzkę spowodowały rumor wielki. Czająca się widać za drzwiami dworka Elżbiety, Katarzyna Hölzelin, najpierw wsunęła głowę, potem wbiegła do komnaty i, odpychając króla, zaczęła ratować swoją panią. Wytarła usta, na które wystąpiła już piana, zwilżyła skronie wonnymi ziołami, ale nie próbowała nawet zanieść chorej na łóżko.

– Wołać medyka! Natychmiast! – krzyknął August.

Wtedy złożyła ręce jak do modlitwy.

– Nein! Um Gottes willen! Keinen Arzt! – błagała.

– Bez pomocy lekarza? – zdziwił się. – Perché? Warum?

– Ich bitte! – prosiła dworka. – Nur Ruhe. Lasen sie uns. Majestät.

– Mam odejść? Ależ dlaczego, dlaczego?

Kätrin Hölzelin była w rozterce. Powiedzieć czy milczeć? Wybrała kłamstwo.

– Sie ist zu jung. O, mein Gott! Zu jung!

Przypadła do chorej, podtrzymując jej głowę. Jedna noga Elżbiety uderzyła parokrotnie o kant fotela i po chwili strużka krwi zaczęła się sączyć po pończosze, po safianowym pantofelku. Zygmunt chwilę stał bezradny, ale gdy dworka wskazała mu drzwi, odwrócił się bez słowa i wybiegł ze ślubnej komnaty. Mijając pusty ciąg korytarzy, wpadł z rozpędu na Marinę.

– Biegnijcie do królowej Elżbiety! Zasłała – krzyknął.

– Posłać po medyków?

– Nie chcą medyka. Żadnego medyka... Na Boga! To wszystko bardzo dziwnie wyglądało!

Przysięgłbym, że miałem w ramionach trupa. Trupa!

– Bene. Wybadam, co się stało – przyrzekła Marina.

– Jest bardzo młoda, tak mówi jej dworka. Może istotnie za młoda?

– Miłościwy panie! Na przeszkodzie uściskom staje nie za młoda krew, tylko krew zepsuta – odparła.

– Co to znaczy? Mówcie! Chcę wiedzieć. Czyżby matka...

Ale Marina spojrzała na niego surowo.

– Wasza Królewska Mość zapomina, jaki upominek raczyła dać wczoraj synowej najjaśniejsza pani.

– Prawda! Jeszcze i to! Srebrna kołyska... Nie zniosę tego! Nie zniosę!

Odwrocił się gwałtownie i odszedł. Dopiero wtedy Marina zbliżyła się niespiesznie do sypialni Elżbiety. Otworzyła drzwi i przez chwilę obserwowała epileptyczkę. Wreszcie przekręciła klucz w zamku i podeszła do piastunki młodej królowej.

– Atak epilepsji. Malum magnum.

– Nein! Nein! – krzyknęła zrozpaczona Kätchen.

– Si. Znam się na tym. Pomogę wam.

Tej nocy nad nieprzytomną Elżbietą czuwały obie, nie zamieniwszy jednak ze sobą ani słowa.

Wysłannik rzymskiego króla Marsupin zamieszkał w kamienicy na Rynku, ponieważ Ferdynand polecił mu czuwać nad Elżbietą ostrożnie, z ukrycia i nie narażać się na spotkania z królową Boną, jawnie małżeństwu nieprzychylną.

Pisał właśnie drugie już sprawozdanie do Wiednia wiedząc, że jego raporty pozwalają śledzić Habsburgom przebieg wypadków na Wawelu. Nagle, choć było to późno wieczorem, usłyszał pukanie do drzwi. Weszła zakwefiona postać niewieścia i gdy kobieta odrzuciła welon, ujrzał przed sobą dworkę Elżbiety.

– To wy?! – krzyknął gniewnie. – Co za nieostrożność! Mieszkam w mieście, żeby uniknąć podejrzeń, nie rozmawiam z wami na zamku, a wy zjawiacie się tutaj... Po co? Co się stało?

– Najgorsze, co mogło się przydarzyć zaraz po ślubie. Już trzecią noc królowa śpi sama.

– Jak to? Odepchnął ją? Od razu?

– Nie, nie! Był z nią pierwszego wieczoru. Chciał zostać. Ale...

Wzruszyła się tak, że upadła – szepnęła dworka.

– Zemdlała? Santa Madonna! Nie dostała chyba ataku?

– Niestety, tak. Ukryłam to nawet przed wami, bo myślałam... Miałam nadzieję, że może następnej nocy... Ale nie. Ledwo otworzył drzwi i wszedł... znowu straciła przytomność.

– A on? – spytał Marsupin.

– Tym razem nie pytał już o nic. Nawet nie podeszedł bliżej. Od razu opuścił komnatę.

– Próbowano was dzisiaj wybadać?

– Nie. Może król nie domyśla się, że to ataki wielkiej choroby? Sądzi, że... bardzo płochliwa, jeszcze niedojrzała do małżeństwa? Powiedziałam mu właśnie tak: „za młoda”. „Zu jung”.

– Brednie! Ma siedemnaście lat. Jutro, pojutrze wszystko się wyda. Nie możecie wyjaśnić

królowie, jak ważne jest to, żeby za wszelką cenę opanowała wzruszenie? Żeby...?

– Właśnie dlatego, że wie, czego się może spodziewać, że tego bardzo pragnie, dostaje konwulsji.

– Co za nieszczęście! A dopiero przed chwilą ukończyłem kolejny raport. Wypadł tak:

„Młody małżonek jest urodziwy i zdaje się mieć najpiękniejsze przymioty ducha, ale dotychczas bardzo boi się matki. Za to król Zygmunt wielbi młodą królową, a dwór nie spuszcza jej z oka. Trochę cierpliwości. Z czasem przyjdzie i to, czego brakuje jeszcze ze strony królowej starej”... Napisałem: „trochę cierpliwości” i tego nie zmienię. Nie można niepokoić wiedeńskiego dworu.

– A jednak... Przyczyna nie jest błaha.

– Ale nie powinna w ogóle istnieć! Róbcie, co chcecie, Fräulein Kätrin. Małżeństwo musi być consumatum. Za wszelką cenę. Katarzyna zasłoniła sobie twarz dłońmi.

– O, lieber Gott! Lieber Gott!

– Fräulein płacze? – zdumiał się Marsupin.

Ale dworka odsłoniła roześmianą twarz.

– Śmieję się. Z was. Z siebie. Bo chyba jedno tylko jest do zrobienia: wygaszę wszystkie świece i zamiast niej wśliznę się do łóżka.

– Fräulein Hölzelin! – upomniał ją surowo.

Dygnęła wdzięcznie.

– Tak się nazywam. – I dodała z drwiną w głosie: – Dopóki jeszcze nie jestem matką następcy tronu.

Marsupin wstrząsnął się, zatkał uszy i zaczął miotać się po pokoju.

– Nie chcę o niczym takim słyszeć! Moją rzeczą jest układać raporty dla króla Ferdynanda! Czuwać nad jego córką, bronić jej interesów i być tłumaczem, a także doradcą. Nic więcej! Sprawami królewskiej alkowy zajmujecie się wy! Wyłącznie wy!

– Niestety – westchnęła poważniejąc Katarzyna.

– Że też coś takiego musiało się przytrafić właśnie nam! – wybuchnął agent.

– To biedactwo powiedziało dzisiaj słowo w słowo to samo: „Że też musiało się to przytrafić mnie. Właśnie mnie, która go już kocha...”

Patrzyli przez chwilę na siebie zupełnie bezradni. Wreszcie dworka otuliła głowę woalem i zaczęła iść ku drzwiom, Marsupin patrzył na nią w ponurym milczeniu...

*

Marina szcزتkowała tegoż wieczoru włosy królowej, która skarżyła się na ból głowy.

– Powinna to robić jakaś cameriera, ale z twoich rąk płynie tajemniczy fluid, który koi ból, wypędza z głowy złe myśli.

– Tym razem nie wypędzi.

– Tak? – zdziwiła się Bona. – E allora? Co mi masz do powiedzenia?

– Młody król chyba jeszcze nie rozumie, co to wszystko znaczy, choć chmurny jest jak noc. Ale dworka Elżbiety, Katarzyna, nie próbuje nawet udawać przede mną.

– Udawać czego? Słyszałam, że mała upadła i skaleczyła nogę. Czyżby to była groźniejsza rana, niż mi doniesiono?

– Si. O wiele groźniejsza.

– Męczysz mnie! Mów!

– Elżbieta skaleczyła nogę padając, to prawda. Ale w ten sposób pada często. Sztywnieje i traci przytomność.

– Jak to? Madonna mia! Czyżby?

– Si. Cierpi na wielką chorobę. I to podobno od najmłodszych lat.

– Jak to? I nikt o tym nie wiedział? Ani król? Ani Maciejowski?

– Chyba nikt. Katarzyna klnie się, że nawet Marsupin dowiedział się o chorobie królowej dopiero teraz.

– Marsupin łże! – krzyknęła gniewnie. – A ty nie nazywaj jej polską królową! Chora... Od dziecka. O Dio! Czym zawiniłam, że mnie tak karzesz?

– To nie wina waszej miłości, że...

– Bene, nie moja. Mogę nawet naigrywać się, szydzić! Jakże to? Sam kanclerz wybierał spośród wielu księżniczek krwi i cór królewskich i wybrał najwięcej znaczącą w Europie, najlepiej spokrewnioną. Rokującą największe nadzieje na to, że zostanie matką wielu królów. Wybrał z aprobatą króla jegomości i z rozważą wielką. I wybrał kogo? O Dio! Epileptyczkę!

– Można unieważnić to małżeństwo, jeśli nie zostanie spełnione...

– D'accordo. Ale kto mi zaręczy, że będzie zawsze mdła w łóżnicy? Ostatecznie, można się przyzwyczaić i do męża. A wtedy? O Dio! Za rok w srebrnej kołysce... Nie, to zbyt potworne, a jednak możliwe.

W ataku odziedziczonej choroby zacznie się miotać jej syn!

– Santa Madonna! – westchnęła dworka.

– Dobrze wiesz, że może się tak stać! I że byłoby to jeszcze większym nieszczęściem niż małżeństwo nie spełnione.

– Młody król jest zabobonny. Można podsunąć mu myśl, że Elżbietę opętał zły duch.

– Nawiedzona? Opętana? Wielki Boże! – roześmiała się histerycznie. – To brzmi aż śmiesznie. Wczoraj Frycz Modrzewski uraczył nas opowieścią o odkryciu Kopernika. Tamten astronom twierdzi, że to nie Słońce krąży po niebie, lecz Ziemia. Że mylą się nasze oczy oglądające wschody i zachody. Słońce jest nieruchome i stanowi pępek świata. Nie, wiarygodne, ale tak... A ty! O Dio! Ty chcesz, żeby w roku takiego zdumiewającego odkrycia mój syn wierzył jeszcze w staroświeckiego czarta? W opętanie przez złe moce?

– Każe sobie co dzień stawiać horoskopy – odparła niezmiuszona.

– Uwierzy we wszystko, co powiedzą gwiazdy.

– Kopernikowi gwiazdy powiedziały to, czego nie przeczuł żaden z astrologów świata.

Perché?

– Tego nie wiem. Ale warto spróbować.

– Si, spróbować warto. Otwórz okno. Głowa mi pęka – dodała podchodząc do okna. – Nie ma już księżycy nad zamkiem? Zaszedł? Santa Madonna! A może nieprawdą jest i to, że Luna toczy się po niebie? Może to nasza Ziemia wiruje wokół Luny?

– A jeżeli tak?

– Jeżeli tak, może wszystko, co ja czynię, do czego zmierzam, jest także przywidzeniem? Pomyłką? Okropną pomyłką?

– Miłościwa pani. Nie jest pomyłką choroba Elżbiety...

– Si, wiem. Ale muszę się zastanowić. Zebrać myśli... Nie mogę teraz rozmawiać z nikim! Z nikim! Możesz odejść.

Stała w otwartym oknie wpatrzona w gwiazdziste niebo. Komu wierzyć? Rzymskiemu królowi? Oszukał ich, podsunął chorą, zapewne bezpłodną córkę. Mężowi? Zygmunt został oszukany przez Maciejowskiego. Gwiazdom? Księżyc podobno nie toczy się po niebie... Słońce nie wschodzi i nie zachodzi. Zostaje ziemia. Niezyczliwa ziemia pod jej stopami. I ona sama. Musi pomówić z królem, unieważnić to ohydne małżeństwo. Dyspensa. Prawda... Otrzymał dyspensę! Każę sprawdzić, czy była ważna, a jeśli nie, wtedy...

– Santa Madonna – szepnęła – pozwól, aby papież unieważnił te śluby.

Zanim jednak udała się do Zygmunta, który coraz serdeczniej mówił o Elżbiecie, o jej łagodności i chęci zjednania sobie wszystkich na Wawelu, poleciła Wolskiemu przynieść sobie papieską dyspensę, medytowała nad nią długo i wreszcie wykrzyknęła z pogardą:

– Tyle oczu widziało ten akt! Tylu mężów uznało go za ważny. I dopiero ja, niewiasta, dostrzegłam, jak perfidnie działał król rzymski.

Dostarczył kurii sfałszowanych papierów. A może po prostu zawierzono mu w Rzymie na słowo?

– Nie rozumiem – przyznał Wolski.

– Ta dyspensa mówi o pokrewieństwie trzeciego stopnia między przyszłymi małżonkami. Ale tak nie jest. Ferdynand poślubił Annę, córkę Władysława Jagiellończyka, brata naszego króla, Elżbieta jest więc córką rodzonej bratanicy króla i bliską powinowatą Augusta. Pokrewieństwo drugiego stopnia, czyli dyspensa papieska jest nieważna. Si! Nieważna!

Odkrycie to w tak istotny sposób zmieniło sytuację Elżbiety, że tym razem nie dało się niczego zataić przed Zygmuntem, choć August nadal nie wiedział o niczym. Stary król przyjął wiadomość o chorobie synowej z wielkim żalem i smutkiem, a co do dyspensy – kazał poczynić odpowiednie kroki w Rzymie. Te wszystkie zabiegi oraz rozmowy nie dały się ukryć przed Marsupinem i przez cały czerwiec zabiegał usilnie o audiencję u Bony. Wołał wprawdzie rozmawiać z królem, ale ten nie chciał go widzieć, zasłaniając się chorobą. Wolski komentował rzecz nieco inaczej: Zygmunt tak polubił Elżbietę, że nie chciał pozbywać się jej z Wawelu. Liczył na to, że Rzym udzieli dyspensy nawet tak bliskim krewnym oraz że Elżbietę można

będzie wyleczyć z fatalnej przypadłości. Miał podobno robić wymówki Maciejowskiemu, ale ten odparł, że po pierwsze nie wiedział o niczym, a po drugie – i epileptyczki rodzą dzieci. Czy dzieci ich bywają zdrowe? Na to pytanie kanclerz nie umiał odpowiedzieć.

Tak więc ku wściekłości Bony, która bała się interwencji Ferdynanda oraz cesarza w Rzymie, rzecz przeciągała się, odpowiedź z Italii nie nadchodziła, a Marsupin antyszambrował już codziennie w skrzydle królowej. Wreszcie obiecano mu, że zostanie przyjęty, ale godziny wlokły się nieznośnie, a on wciąż czekał, pytając co jakiś czas pokojowca:

- Kiedy będę przyjęty? Czekam już bardzo długo.
- Jej Królewska Mość nie wstała jeszcze od stołu.
- Może przyjsć nieco później?
- Trzecia godzina zajęta już od dawna.
- Tedy za dwie godziny?
- Czwarta godzina także zajęta.
- Czekam już od południa.
- Najjaśniejszej pani o tym wiadomo – rzekł dworzanin i wyszedł.

Po chwili jednak wrócił, mówiąc: – Jej Królewska Mość prosi.

Marsupin wszedł do sąsiedniej komnaty, w której prócz Bony były obecne Elżbieta i dworka Myszkowska. Sekretarz przyklęknął na jedno kolano przed starą królową.

– Buon giorno, buon giorno. Wstańcie. Jakaż to pilna sprawa sprowadzą was skoro świt na zamek?

– Jej Królewska Mość zechce uwierzyć, że czynię tylko to, do czego mnie upoważnił mój pan, król rzymski Ferdynandus!

- Va bene. Tedy mówcie. Działajcie!
- Minał już miesiąc od wspaniałych uroczystości ślubnych...
- To zwykła rzecz: czas mija – przerwała mu Bona.

– Ale jak, miłościwa pani? Jak? Jestem upoważniony zapytać, dlaczego młody król nigdy z małżonką nie wyjeżdża na przechadzkę? Razem nie siada przy stole? Nie odwiedza jej we dnie ani, jak słyszę, nie daje żadnych widomych oznak miłości?

– Pytacie o to mnie? – zdziwiła się. – Czemu nie młodego króla?

– Bo wszystko ma w swoim ręku miłościwa pani. Król tylko to czyni, co mu doradzi czy też rozkaże Jej Królewska Mość.

– Oszczercze to i kłamliwe słowa! Mój syn jest panem swego losu i nie godzi się postronnym mieszać do spraw jego stołu, a także łóżnicy.

– Odwróciła się nagle do Elżbiety. – Podtrzymujesz skargę swojego sekretarza? Mąż nie odwiedza ciebie nigdy? Wcale?

- Niekiedy. Wieczorem – odparła czerwieniąc się.
- I nocą? – nalegała Bona.
- Czasami... nocą – przyznała już bliska łez.

– Mój Boże! Królewska małżonka tak młoda jeszcze, tak nieśmiała! – westchnął Marsupin. – Boi się mówić. Ledwo ośmiela się spojrzeć na króla Augusta.

– Nadmiernie bojaźliwa – odparła Bona. – I niezręczna; wciąż przewraca się, kaleczy. Jak twoja ręka, mia cara?

Elżbieta spojrzała na swoje zabandażowane ramię.

– To nic – szepnęła. – To zupełnie nie boli.

– Ale odstrasza – drwiła już królowa. – Raz bandaże na nogach, raz na ramionach, na rękach...

– Miłościwa pani! – zaczął żarliwą obronę Marsupin. – Zadrapania i sińce na nóżkach dziecięcych nie odstraszą od nich matek. Sądzę, że tak samo nie powinny oziębiać uczuć królewskiej rodziny do córki rzymskiego króla i bratanicy cesarza.

– A czy znana wam jest przyczyna owej nadmiernej bojaźliwości waszej pani? – spytała ostro Bona.

– Ależ ja jestem zdrowa! Naprawdę zdrowa! – wtrąciła się zrozpaczona Elżbieta.

– Ten wybuch zaszczyc ci przynosi! Obala legendę o chorobliwej nieśmiałości, która nie przystoi królowej. Tedy – zwróciła się do Marsupina – jak sami widzicie, nie ma powodów do żalów ani skarg.

– Dlaczego więc Wasza Królewska Mość tak niechętnie widzi mnie na zamku? Dlaczego jakieś oszczercze pieśni śpiewane są przeciwko mnie w tutejszym grodzie? Jakież drwiny...

Nie dała mu skończyć.

– Paszkwile? E allora? Na paszkwilantów i prześmiewców najlepsza broń – pogardliwe milczenie.

– Ależ ja milczeć nie mogę! Król Ferdynandus...

– Dosyć! – krzyknęła. – Jesteście na zamku polskiego, a nie rzymskiego króla. I albo podporządkujecie się naszym prawom i obyczajom, albo...

– Albo?

– Zmuszona będę uznać was za agenta przysłanego tu przez waszego pana dla wzniecania niepokojów.

– Jej Królewska Mość obraża mnie i krzywdzi – oburzył się. – Gdyby postępowała tak, jak na dobrą królową matkę przystało, nie potrzebowałby król Ferdynand przysyłać mnie tutaj dla zapobieżenia...

Tytuł, jakim się posłużył, doprowadził ją do pasji.

– Basta! Nie interesują mnie podejrzenia króla Ferdynanda! – krzyknęła. – A mierzi mnie wasza nadmierna zuchwałość! Możecie napisać w kolejnym raporcie, że naraziliście się królowej Bonie aż tak, że do chwili otrzymania wiadomości o zdrowiu jej córki Izabeli nie będziecie informowani o zdrowiu jego córki Elżbiety.

– Ależ miłościwa pani... – przeraził się Marsupin.

– Żegnam – przerwała. – Audiencja skończona.

Marsupin zaczął wycofywać się tyłem do drzwi. Elżbieta stojąca przy Bonie chciała zrobić krok w jego stronę, ale cofnęła się natychmiast. Jej usta skrzywiły się jak do płaczu.

Na Wawelu kończył się koncert w wykonaniu muzyków nadwornych. Goście wstawali, łączyli się w grupy, zrobiło się szumnie, gwarnie i wesoło. Ktoś zażartował, że rok jest urodzajny, niezwykle, gdyż poza weselem młodego króla przytrafiły się jeszcze rzeczy tak ciekawe, jak wydanie przez Kopernika dzieła „O obrotach ciał niebieskich”, przez Frycza „O karze za mężobójstwo” i wreszcie przez Reja polskiego poematu „Krótka rozprawa między Panem, Wójtem a Plebanem”. Natychmiast rozległy się protesty, że imć pan Rej nie poema napisał, jeno ostrą satyrę, a Kopernik dzieło swe otrzymał z drukarni już na łożu śmierci i nacieszyć się nim nie zdołał.

Młody król, zawsze ciekaw nowinek, zaczął schodzić z podwyższenia, by zmieszać się z tłumem, gdy pochyliła się ku niemu Elżbieta.

– Gdybyście mogli, miłościwy panie, poświęcić mi chwilę czasu... – prosiła pokornie.

– Nie teraz. Muszę pomówić z Modrzewskim.

I odszedł, a spotkawszy Frycza, zagadnął:

– Słyszałem, że młody Łaski sprzedałby kupiony po śmierci Erazma z Rotterdamu jego słynny księgozbiór, gdyby ten trafił w godne ręce. To prawda?

– Jadę tam właśnie. Jakże się cieszę, że dotknę w Bazylei kart tych ksiąg. Może część z nich uda się przywieźć do nas?

– Kupię je chętnie. Pamiętaj o tym! – nalegał August.

Rozejrzał się po sali i podszedł do matki siedzącej wciąż na tronie.

– Gdybyście mogli, miłościwa pani, poświęcić mi parę chwil...

– Si. Przyjdź do mnie. Jutro.

– Wieczorem?

– Później. Przed samą północą.

Tymczasem stary król mówił do Bony:

– Elżbieta teraz jakby weselsza, zdrowsza.

– O tak! – przyznała. – Istna primavera.

Na skutek rozdrażnienia Bony na Wawelu sprawy wielkie zaczęły ostatnio przeplatać się z małymi. Katarzyna Hölzelin mogła więc donieść Marsupinowi o szykanowaniu Elżbiety przez królową.

– Powtórzcie bardzo wiernie, bo właśnie o tym raport piszę – prosił Marsupin.

– Aż wstyd powtarzać. Młodej królowej zachciało się wczoraj, przed koncertem, parmezańskiego sera. Ot, zachcianka! Tak rzadko o coś prosi! Posłałam po parmezan do szafarza, a ten wydał go natychmiast. Zdawało się, rzecz skończona. Ale nie! Ktoś doniósł o tym starej królowej i rozpętało się piekło. Krzyki, ciskanie kubkami o ziemię, całe śledztwo. W końcu zakazała szafarzowi wydawać cokolwiek bez jej wiedzy i zgody. To godzi w młodą panią! Nie mamy ani własnej kuchni, ani własnego szafarza. Położenie naszego dworu staje się już

nieznośne!

– Sprawa zgoła dziecinna, niepoważna! – łagodził Marsupin.

– Tak powiedział i pan Boner, który był wtedy na zamku. Kazał powtórzyć młodej królowej, że nadeśle jej tyle parmezanu, ile tylko zapragnie.

– Słowa, słowa! – zadrwił zauszniak rzymskiego króla.

– Nie. Dziś jego pacholek przyniósł cały wielki krąg: trzydzieści funtów parmezańskiego sera!

– Pacholek Bonera? Chyba na złość Bonie? Ciekawe. To dopiero jest bardzo ciekawe...

– Ale królowa Elżbieta coraz smutniejsza. Doszły do niej wieści, że młody król zamierza wkrótce wyjechać w ważnych sprawach z Krakowa...

– Wyjeżdża? – zdziwił się Marsupin. – Co za kraj! Pomyśleć tylko: arcyważne sejmowe sprawy, reformy skarbu, niepewny los Izabeli i... parmezan, parmezan, parmezan...

Wzruszył ramionami i pochylił się nad raportem, kreśląc słowa kolejnego listu do króla Ferdynanda. Jednakże, gdy tego samego dnia udał się na zamek, aby wreszcie móc porozmawiać w cztery oczy z młodą królową, na podwórku zabiegł mu drogę Stańczyk. Potrząsając grzechotką przed nosem, wołał:

– Królowi na chwałę bije wielki dzwon „Zygmunt”. A małemu człowieczkowi, serowemu człowieczkowi, grzechoczą grzechotki i dzwonią dzwonki! Małe, maleńkie!

– Idź precz! – warknął Marsupin.

– Rad bym się z wami rozmówić, naradzić, ale nie śmiem. Zgody na to nie mam od rzymskiego króla. Tedy jeno dzwonię, dzwonię, dzwonię! I radzę: w raportach do Wiednia piszcie nie o parmezanie, tylko jak najszybszym wypłaceniu posagu. Będzie wam wtedy łatwiej żyć w Krakowie. A może i na Wawelu. Ręczę honorem!

Marsupin, choć nie zamierzał wdawać się w rozmowę ze Stańczykiem, stanął jak wryty. Zapytał:

– Posag, mówisz?

– A tak, serowy człowieczku. A tak! Moje dzwonki aż krzyczą: Posag! Posag! Horrendum! Bratanica cesarza bez posagu! Bez posagu! Bez posagu!

I biegł za Marsupinem, który starał się przyśpieszyć kroku, uciekając przed błaznem jak przed napastliwym, ujadającym psem.



Odpowiedź z Rzymu nadeszła, ale nie taka, jakiej spodziewała się Bona: ojciec święty udzielał dyspensy parze małżeńskiej spokrewnionej w drugim stopniu, a to przez wzgląd na złożoną już przysięgę na wierność.

– Mówią, że to rok szczęśliwy – wybuchła Bona czytając ten dokument – a dla mnie i dla dynastii klęskowy. Cóż gorszego może być od słabej, bezpłodnej żony? Będę ją leczyć, si, ale boję się, że przekaże swoją skazę dzieciom, jeśli te przyjdą na świat. No! Lepiej nie dopuszczać

do zbliżeń między nią a Augustem... Zwłaszcza że jest i inny pretekst. Wiedeń nie wypłacił do dziś posagu i widać czeka, co poczniemy z podrzuconą nam chorą arcyksiężniczką. Przejmujecie raporty Marsupina – zwróciła się do Pappacody. – O czym pisze?

– O plotkach, o parmezanie i o osamotnieniu Elżbiety.

– Ciągłe ani słowa o pieniądzech? – nalegała.

– Wygląda na to, że dopiero zbierają sumy posagowe.

– O Dio! Córa Habsburgów – nędzarką. Nie ma nic! Nic! Wydasz tedy z moich pieniędzy piętnaście tysięcy dukatów skarbnikowi młodego króla.

– Nie rozumiem. Na co? – zapytał.

– Chcę mu ofiarować kilka kolebek wybitych szkarłatem. A także jako wielkiemu księciu Litwy dukaty na skończenie budowy granicznych twierdz i kaplicy na grobie księcia Witolda. Nie przybyłam, jak Elżbieta, bez posagu. Masz jeszcze jakieś pisma do mnie?

– Si. Signor Carmignano prosił, aby odczytać waszej miłości wiersz Jej poświęcony.

– Teraz? Ale bene, bene. Co pisze nasz italski dworzanin? Pochlebstwa są zawsze na czasie. Czytaj głośno.

Słuchała uważnie, gdy skandował:

*„Raduj się, patrząc na piękną królową,
Z monarszą duszą i odważnym sercem,
Która na wrogów obmyśla sposoby.
A gdy się dowie, że pokój niepewny,
Armaty stroi i odlewać każe,
Bo jej zwycięstwa mile są wawrzyny”*

– Z odważnym sercem – powtórzyła Bona. – Wcale zręcznie. Poślesz mu złoty pierścień. Nie za pochlebstwo. Za to, że przypomniał rzecz bardzo ważną. Przynaglisz podskarbiego, aby wysłał partię kul i prochu do armat hetmanom. Na wschodniej granicy znów niespokojnie. Także wypłacisz zaliczkę italskiemu rzeźbiarzowi.

– Rzeźbiarzowi? – zdumiał się. – Za co?

– Za wzniesienie kaplicy w Wilnie nad grobem wielkiego księcia Witolda. I dopilnujesz, aby na tablicy był napis, że ten pomnik sporządzić kazała Bona Sforza, królowa polska.

– Pójdzie na to wiele dukatów – ostrzegwał.

– E allora? Nie ma zbyt wielkich wydatków, gdy idzie o jednanie sobie sojuszników. O torowanie na Litwie drogi Augustowi...

– Na Litwie? – zdziwił się Pappacoda.

– Jeszcze nie czas, aby o tym mówić głośno, ale uczynisz, jak rozkazałam. I tyle na dziś. Grazie.

Wieczorem tego dnia, kiedy miał zjawić się u niej August, była już pewna, że wyczerpała

wszystkie możliwości, użyła wszelkich środków, by pozbyć się Elżbiety. Teraz, kiedy z woli papieża zgasła nadzieja unieważnienia małżeństwa, do czego przyczyniły się starania cesarza, należało odsunąć Augusta od Habsburżanki.

Gdy wszedł do jej komnaty, zaczęła od skarg na intrygi Ferdynanda, po czym rzekła:

– Marsupin śle coraz gorsze raporty. Wiedeń zaczyna się niepokoić, a ty? Ty domagasz się znów powrotu Diany? Ależ twoja żona jest od niej dużo młodsza...

– Co z tego? Gdybyście ją widzieli w chwili ataku... Sina, bezwładna... Nie, nie! Odkąd już wiem, jak bardzo jest chora, nie mogę pokonać wstrętu.

– Caro mio! Nikt lepiej ode mnie nie rozumie, co czujesz...

– Więc dlaczego? Czemu mam tkwić uwiązany do niemiłej mi małżonki? Zawsze sam, podczas gdy Diana tam, na Sycylii...

– Nie powinna powrócić – przerwała. – Pomyśl, jaki krzyk podniósłby Marsupin, ile łez wylałaby Elżbieta. Zatonęlibyśmy w ich morzu.

– Ależ tak dalek nie może być! Duszę się! Dławię!

– Tu, tak. Ale gdzie indziej? Nie mogę teraz zostawić króla, jest coraz bardziej słaby, chory, niedołężny... Tedy jedź zamiast mnie na Litwę! Są tam ludzie nam oddani, zwłaszcza Hlebowicz. Nie utrudzisz się zbytnio sam, będziesz tylko przyglądał się ich robocie, budowie zamków, twierdz... Wciąż jeszcze zbyt słabe są tam fortalicje zdolne do oporu. A przestrzenie na wschodzie ogromne, od jednego zamachu wróg może opanować wielki szmat ziemi. Nie słuchasz mnie?

– Si. A ona? Czy zostanie tutaj?

– Ależ tak! Zdrowie jej delikatne, nogi wciąż poranione, spuchnięte. Powinna być stale pod dobrą opieką. Pomówię o tym z najjaśniejszym panem.

– Wyjechać! O, gdybym mógł!... Ale nie, nie! Wielki książę Litwy nie może jechać jako zbieg!

– A kto tego chce? Pojedziesz z okazałością wielką, w otoczeniu własnego dworu. Wszystkie wydatki możesz pokryć z posagu swojej małżonki...

– Jak to? Przecież dotychczas Wiedeń nie wpłacił ani grosza?

– Tedy sam widzisz. Nie zapłacili, a pewnie wcale nie zapłacą! Potrzebujesz pomocy. I bene! Moja szkatuła, jak zawsze, otwarta dla Augusta. Weźmiesz ze sobą świetny dwór. Na wydatki dostaniesz ode mnie aż dziesięć tysięcy dukatów, a jeżeli okaże się mało, jeszcze trzy, pięć...

– I będę mógł sam dobrać sobie ludzi? – nie dowierzał.

– Si, si! A zresztą – roześmiała się – kto za ciebie podejmie się wybrać najpiękniejsze z mieszczyk krakowskich?

– Ależ Marsupin...

– Zostaw to mnie. Jedno tylko muszę wiedzieć: jesteś pewien, że nie zostawiasz żony w stanie... błogosławionym?

– Ona? Przy nadziei? Gdyby był choćby jej cień, nie umiałaby ukryć triumfu. I szczerzej

radości... Zresztą, nie tknąłem jej do dziś.

Może dlatego unika dworzan, lęka się wszystkich i wszystkiego. Przesiaduje godzinami bez ruchu, wpatrzona przed siebie, duchem nieobecna.

– Pytałeś może kanclerza, czy wiedział, kogo swata swojemu królowi?

– Pytałem. Ale on wierzy Marsupinowi, nie nam. Twierdzi, że w Wiedniu była zdrowa. Że jest zdrowa.

– Va bene! Królowi wielce przypadła do serca, że cicha, łagodna. Będziemy więc teraz dla niej wyrozumiali. Historia z parmezanem już się nie powtórzy przez wzgląd na Izabelę. A zresztą, kto wie? Może kiedyś ta mała wyzdrowieje?

– Może. Mam jechać prędko?

– Skoro nic ciebie nie trzyma, a litewskie włości wymagają pańskiego oka, jedź w przyszłym tygodniu. Choćby pierwszego Augusta.

– W dzień moich urodzin?

– To może być dobry znak – uśmiechnęła się ciepło do ulubieńca.

– Zapowiedź nowego życia...

– Nowego? Nie przyszło mi to na myśl. Ciekawe, co na to powiedzą gwiazdy?

– Och, one... Postanowiłam, że odtąd będę się radziła tylko samej siebie. Ale ty... Ty, owszem, zapytaj ich. Zapytaj! Ale zrób to już w Wielkim Księstwie. Tam noce pogodniejsze, niebo bardziej czyste, widać na nim więcej gwiazd. Jedź na Litwę, Auguście! Jedź na Litwę...



W dwa miesiące po uroczystościach ślubnych młody król miał wyjechać z Krakowa sam i Bona nie spodziewała się, że natknie się na tak zdecydowany sprzeciw Zygmunta. Buntował go najwyraźniej kanclerz Maciejowski, doradzał zatrzymać na Wawelu hetman, ale tym razem musiała przede wszystkim zwalczyć słynny jagielloński upór. Na każde jego „nie” wykrzykiwała „tak”, pomysł wyjazdu obojga małżonków zwalczała argumentem, że gościńce wiodące na Litwę nie są bezpieczne ani wygodne, że słaba Elżbieta nie zniesie trudów nocowania w chatkach, karczmach lub w namiotach. Czy chce narażać ukochaną córuchnę na ataki częstsze, niż miewa w swojej wygodnej zamkowej komnacie? Pożycie małżonków? Jej dworka twierdzi, że jest zbyt młoda, że nie zniesie trudów macierzyństwa. Powinna tedy zostać w Krakowie, leczyć się i cieszyć oczy pary królewskiej. Tymczasem August zapomni o przykrych chwilach, które przeżył zaraz po ślubie, i może nawet zatęskni za małżonką? Rozdzielenie tej pary na czas jakiś będzie z korzyścią dla obojga...

Spory i nalegania trwały długo, za długo dla chorego króla, ustąpił więc w końcu, żądając tylko, aby August nie opuszczał Wawelu na dłużej niż rok. Przystała skwapliwie i zaczęły się przygotowania do podróży. Szykowano kolebki obite aksamitem i szkarłatnym sukniem, wozy podróżne na kobierce, pościel i żywność, a wreszcie zapasowe konie oraz odkryte wózki dla psiarni, z którą August rozstać się nie chciał. Wyjeżdżał z Krakowa z całym dworem szumnie i

tak wspaniale, jak przystało królowi, a zarazem władcy Wielkiego Księstwa.

Z Elżbietą pożegnał się w ostatniej chwili, obiecując szybko powrócić, ale Marsupin wysłał natychmiast do Wiednia alarmujące pismo, że Bona zostawiła młodą królową przy sobie, co pozwala przypuszczać, że życiu Elżbiety zagraża niebezpieczeństwo. Nie wiedział, że król rzymski otrzymał w tym samym czasie list starej królowej uskarżającej się na Marsupina, że niepokoi jej synową bezsensownymi podejrzeniami i psuje stosunki między nią a mężem. Ferdynand tym razem uwierzył Bonie i zadziałał błyskawicznie: przysłał umyślnego z wieścią, że odwołuje sekretarza Elżbiety.

– Ciekawe... – zastanawiała się królowa, odczytując wraz z Wolskim pismo z Wiednia. – Nigdy w niczym nie zgadzałem się ze mną. I nagle... Musiał wyrobić tę drugą dyspensę i teraz stara się ustępować w rzeczach drobnych.

– Kogo wyznacza na miejsce Marsupina? – zapytał Wolski.

– Nazywa go już nie sekretarzem córki, tylko rezydentem. Nowy agent to doktor Lang. Dobrze, że zjawi się w Krakowie już po wyjeździe młodego króla. Czy kazaliście jadącym przodem halabardnikom rum czynić, aby witano go wszędzie czołobitnie? Bene.

– A gdzie będzie mieszkał doktor Lang? – spytał.

– Jutro dam wam odpowiedź – odparła po chwili namysłu. – Nie jest wcale aż tak łatwa...

To były ostatnie słowa, które usłyszał stojący pod drzwiami skarbnik królowej, gdyż z pobliskiej wnęki w murze wyłonił się nieoczekiwanie Stańczyk i zaczął krążyć wokół niego, dogadując:

– Jak dawno! Jak dawno nie podsłuchiwaaliśmy razem, signor Pappacoda!

Italczyk odmachował się od niego jak od uprzykrzonej muchy.

– Miałem tam wejść. A co robicie tu wy?

– Ciekawość mnie tak rozparła, że musiałem was odnaleźć. Prawda to, że na wyjazd młodego króla wydaliście ze skarbcza królowej aż czterdzieści srebrnych pucharów i wiele złotych łańcuchów?

– A jeżeli prawda, to co?

– To znaczy, że Augustus jedzie na Litwę kaptować kniaziów i bojarów jak niegdyś Alifio. I że prędko nie wróci.

– A jeżeli tak? To co? – mruknął Pappacoda.

– Nic. Widać po dwóch miesiącach małżeństwa... osłabł. I z tej przyczyny... zastąpić go chyba wypadnie.

– Oszałeliście? – zgorszył się Italczyk.

– Jeszczem nigdy nie ucałował nawet czubków palców cesarskiej bratanicy – drwił błazen. – Ale teraz... Jak mus to mus! Tedy młodożeniec jedzie sam i zabiera ze sobą liczne skarby?

– Pocieszcie się. Największy skarb srebrna kołyska zostaje.

– Nie może być! – wykrzyknął Stańczyk. – Jednakże, skoro pusta, bierz się, trefnisiu, do dzieła! Pracuj i w nocy...

– Starczy! – syknął Pappacoda. – I oby wam język skołowaciał!

– Ba! – roześmiał się błazen. – Gdyby spełniało się każde życzenie, na Wawelu nie byłoby już ani italskiego smoka, ani wiernych służek jego. Którym do nóżek upadam, upadam, upadam... – i bijąc pokłony, zaczął cofać się w głąb komnaty.

– Przeklęty błazen! – zaklął Pappacoda, ale nie odważył się pchnąć drzwi, pod którymi stał od tak dawna.

Młody król jechał na Litwę niespiesznie i nie mógł zgodzić się ze słowami matki, że podróż byłaby dla Elżbiety zbyt uciążliwa. Rzecz inna, cieszył się, że została na Wawelu, i na każdym postoju czuł się jak u siebie lub w zamczku myśliwskim w okresie polowań. Podczas gdy dwór obozował pod namiotami, a pachołki i straż po chatach czy w szopach, dla niego służba rozścielała w wybranej izbie wspaniałe kobierce, okrywała ściany, a nawet sufity cennymi oponami, narzucała na stoły i ławy wiezione na wozach skóry, poduszki, futra i jedwabie. Pół godziny starczało, aby pustą chatę przekształcić w komnatę godną królewskiego gościa.

Na wieść o podróży Zygmunta Augusta wyjechali mu naprzeciw liczni wielmoże litewscy i potem zatrzymywał się już to u Chodkiewiczów, już to u Kisków, Wirszylów czy Radziwiłłów. Litwa podejmowała swego Wielkiego Księcia hucznie i z radością wielką. Jedni, ponieważ woleli jego obecność w Wilnie niż królowej Bony, surowej i wymagającej hosudaryni, inni, ponieważ liczyli na zjednanie potężnego sojusznika w walce z panami małopolskimi, patrzącymi krzywo na ich dążenia do usamodzielnienia Litwy od Korony. Słuchając jednych i drugich August nic mógł oprzeć się niewesołemu porównaniu: oto opuścił Kraków, gdzie dwa obozy ojca i matki walczyły ze sobą już od lat po to tylko, aby stwierdzić, że królowa była bardziej przewidująca od ojca, gdy ostrzegała go, aby nie uległ wpływom tych kniaziów, którym marzy się wolne Księstwo Litewskie z udzielnym księciem na czele. Tedy dwa obozy na Wawelu i dwa w Wilnie... Dotychczas zwykł należeć do stronników matki i ulegać jej ślepo we wszystkim, teraz jednak będzie musiał osądzać i wybierać sam, zupełnie sam. Słyszał o dobrej współpracy pary królewskiej z Hornostajami, tak więc Iwan oraz Onikiej muszą mu udzielić pierwszych rad i wskazówek. Tylko że Onikiej, zręczny dyplomata używany do kontaktów z Kremlenem, a także krymskimi Tatarami, był jednocześnie zarządcą wszystkich litewskich dóbr Nony... Czy zdobędzie się na sąd wyważony i bezstronny? A on sam? Czy zdolny jest do ocen bezstronnych, trafnych, na miarę władcy kraju większego obszarem od Korony?

Myśli te były niewesołe i mąciły radość z powodu wspaniałego wjazdu, jaki zgotowało swemu księciu miasto Wilno. Tylko sam zamek rozczarował zarówno jego, jak i dworzan, nie był bowiem całkowicie odbudowany po pożarze i przypominał raczej ruinę niż siedzibę książęcą. Pytał, gdzie mieszkała królowa podczas swych podróży na Litwę, ale odpowiedziano mu, że będąc w ciągłych rozjazdach, rzadko mieszkała w zamku, a zresztą – nie widziała go po pożarze. Przypomniawszy sobie wtedy, że on sam bywał tu jako młodzieniaszek i częściej jeździł z matką na Wołyń i Polesie, niż siedział w stołecznym grodzie. Ale to już czasy zamierzchłe, sprzed ślubu

Jadwigi, a teraz... Ile naprawdę znaczył jako pan tego zamku?

Wprawdzie żegnając go na Wawelu, król nie wspomniał ani słowem o tym, że oddaje mu pełną władzę nad Księstwem, i nadal był w tym kraju tylko zastępcą ojca, a także ducissy Lithuaniae, ale życzliwość i uniżoność tutejszych panów pozwalały mu czuć się niemal władcą udzielnym. Toteż od razu nakazał sprowadzenie z Krakowa biegłych majstrów i budowniczych dla odbudowy zamku oraz odbył długie rozmowy z Hornostajami, z których wynikało, że powinien przyspieszyć umocnienie twierdz granicznych, a także przejąć te dobra, które na skutek wygaśnięcia ostatnich potomków rodu stawały się własnością skarbu.

– Wielkoksiażęcego czy też najjaśniejszej pani? – spytał, przypomniawszy sobie, że matka wspominała mu o wygaśnięciu przed rokiem jednej z linii Gasztołdów, a jednocześnie pamiętając o postanowieniu sejmu po wojnie kokoszej.

– Wielkoksiażęcego – odparł starosta rzeczycki Onikiej.

– Ale trzeba będzie postępować ostrożnie – dorzucił Iwan – bo na Gieranojnach Stanisława Gasztołda położyła już przedtem rękę miłościwa pani, tedy wdowa po zmarłym sądzi, że to jej powinna przekazać zamek, a także wszystkie folwarki i lasy.

– Jak zwie się owa wdowa? – spytał, myślami już przy łowach, na które zapraszali go Kiskowie.

– Barbara z Radziwiłłów – odparł Onikiej.

Żaden z nich nie wiedział wtedy, jak bardzo miało zaciążyć na królu i Rzeczypospolitej to właśnie imię: Barbara.

*

Minęły już dwa miesiące od wyjazdu Augusta, a Elżbieta nie otrzymała od małżonka ani jednego listu, chociaż co tydzień zjawiał się goniec z pismem do królowej Bony. Doktor Lang, który jak i Marsupin wolał mieszkać w mieście, miewał jednak stałe raporty od Fräulein Hölzelin i nie były one wesołe: Elżbieta tęskniła za Augustem, czuła się źle na Wawelu, ataki zaś miewała coraz częściej. Nic jednak nie wskazywało na to, aby dokuczano młodej królowej, przeciwnie, z obawy o los Izabeli oboje królestwo okazywali jej życzliwość, a Zygmunt nawet wyróżniał ją z grona swoich córek, jako najsłabszą i często potrzebującą pomocy.

Któregoś dnia, gdy Bona dyktowała list do węgierskiej królowej, pytając córkę o szansę odziedziczenia korony świętego Stefana przez jej syna; małego Jana Zygmunta, do komnaty wszedł wielce wzburzony ochmistrz Wolski.

– Bardzo nie w porę! – westchnęła, każąc Zuzannie odłożyć pióro.

– Wiem – odrzekł – i ja, i nowina, którą przynoszę. Niestety, arcyważna.

– Tak? Znowu ta chora Austriaczka?

– Miłościwa pani, gorzej! Znowu morowe powietrze dotarło do Małopolski. Nawet wokół Krakowa są już nieliczne zgony...

– Natychmiast ładować wozy! – krzyknęła wstając. – Jedziemy do Niepołomic. Santa

Madonna! Że też nie pomyślałam od razu... Zaraza dociera do nas zawsze przez Wołyń albo Litwę. Każcie natychmiast wysłać bystrego człeka. Niech odnajdzie młodego króla i dowie się, czy zdrowy. Czy przebywa w miejscu bezpiecznym.

– Miłościwa pani... Tu goniec nie wystarczy. Może by wysłać wraz z nim Ostoję? On potrafiłby i namówić króla do poruszania się ostrożnie po Księstwie, i przestałby nam wieści zupełnie pewne.

– Bene! Niech jedzie, niech prosi Augusta o częste listy. Muszę mieć gońca co parę dni, a nawet co dzień. Ostoja mógłby zostać przy królu, lepiej, że będą tam razem. Prawda, Anna... Każcie zawiadomić jego żonę, że jeśli zechce, może się schronić w Niepolomickiej Puszczy i, że małżonka wysyłam z misją w ważnej sprawie, może na bardzo długo. Dokąd – mówić nie trzeba.

– Kiedy ma jechać?

– Ostoja? Jeszcze dziś przed wieczorem. Nie, pojedzie zaraz! Dodajcie mu pewnych ludzi.

I tegoż jeszcze popołudnia wyruszyły z Wawelu orszaki króla i królowej zdążając do Niepołomic, opuścił również zamek dworzanin Ostoja w towarzystwie trzech zbrojnych pachołków. Rozkazy królowej Bony były wykonywane zawsze dokładnie i z wielkim pośpiechem. Presto! Presto!

*

Tymczasem młody król odwiedzał niespiesznie pobliskie zameczki obronne i musiał przyznać, że ani w Trokach, ani w Lidzie nie było dosyć sprawnej i wyćwiczonej załogi. Ale od tych obowiązków odciągały go liczne zaproszenia i przez wiele tygodni częściej bawił w dworach i zamkach wielmożów niż na inspekcjach oraz w Wilnie. Słuchał przy tym uważnie, co mówiono przy bogato zastawionych stołach i czyje zdrowie wznoszono raz po raz. Pod koniec uczt, już tylko w męskiej kompanii, rozprawiano często o białogłowach i tłumaczono Augustowi, że zgoła inne są obyczaje litewskie, mniej surowe niż w Koronie. Ot, choćby taka Ulana Mścisławska, która niby dziki mąż jeszcze niedawno najeżdżała sąsiadów, niszczyła i łupiła nieprzyjaciół. Albo dawniej Anna z Radziwiłłów, późniejsza księżna mazowiecka, tępiąca samowolę rycerstwa, zuchwała i tak rozwiązała, że z niej zły przykład brali synowie, ostatni książęta na zamku warszawskim. A choćby i teraz, czy nie słyhać szeroko o swobodnych obyczajach żony kasztelana Jerzego Radziwiłła, a także obu jego córek Anny i Barbary? Ta ostatnia – wdowa po Gasztołdzie – siedzi jak na pokucie w Gieranojnach, gdyż królowa Bona objęła te dobra we władanie po śmierci ostatniego potomka rodu. Owa Barbara rada by wywieźć z zamku, co się da, i chyba dlatego odwleka opuszczenie rodowej siedziby męża. Jego Królewska Mość nie słyhał nic o Barbarze? A któż by nie wiedział, że piękna nad podziw, życiu rada, w kochaniu biegła? Mówią, że choć wyniosła i dumna, w używaniu życia nie zna żadnego pomiarkowania. Nie południowej przecie krwi, a żadna z miłośnic italskich żarem jej nie dorówna...

Słyhał podobne słowa podziwu i tajonej żądy tak często, że w końcu kazał zasięgnąć

języka, jak daleko są owe Gieranojny. A że okazały się blisko lasów, w których podówczas polował, kazał dać znać, że zjedzie do owego zamku na krótki wypoczynek. Tak sądził przynajmniej, ale został tam przez trzy dni, potem przez cały tydzień, w końcu przesiedział długi miesiąc, nagle odmieniony, raczej podobny do zakochanego żaka niż do króla i pana Litwy.

Zamek w Gieranojnych był okazały, w pięknym ogrodzie pełnym bukszpanu, ligustru, jesiennego kwiecia. I właśnie na tle tej bujnej zieleni zobaczył niestateczną wdowę po wojewodzie Gasztołdzie, tylko pełną życia i wielkiej urody młodą niewiastę. Powitała go godnie, ale bez zbytnej unizoności, na prawione sobie komplementy potrafiła odpowiadać śmiało i z wdziękiem. Wydała mu się piękniejszą od wszystkich kobiet, które posiadał lub które posiadać pragnął, o zmysłowych ustach i oczach tak gorących, że nie mógł zbyt długo wpatrywać się w ich głębi bez mrużenia powiek. A i ona, choć, jak mówiono, tak biegła w uwodzeniu, nie zdołała ukryć rumieńców, gdy przebywali ze sobą dłużej, gdy szeptał jej słowa podziwu i szczerego zachwytu. Te pierwsze dni zauroczenia sobą, pożądania zrodzonego tak nagle, a potęgującego się z każdą nocą, którą spędzali jeszcze osobno, ale w snach zawsze razem, zaważyły na wszystkim, co miało nastąpić potem. I jednego z tych pamiętnych, październikowych dni, idąc z Barbarą przez park ku sadzawkom, których było kilka w rozległym parku, Zygmunt August przyznał:

– Kiedym tu jechał, anim myślał, że dobry los pozwoli mi ujrzeć panią tego zamku, piękną niby Helena Trojańska.

Spojrzała przed siebie, na bujną jeszcze zielen dębów, lip i jodeł i rzekła nie bez smutku:

– Jego była panią. Dziś Gieranojny – własność królowej. I tylko z obawy przed zarazą, która panoszy się na Litwie, wstrzymałam odjazd jako że tu bezpieczniej.

– Dla mnie – nie... – westchnął.

– Czemuż to, miłościwy panie? – udała zdumienie.

Przystanął i patrząc jej prosto w oczy, zapytał:

– Nie wiecie?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Chciałabym przeczytać i nie mogę...

– Czemu?

– Bo wiem.

Powiedziała tylko tyle, ale o wiele więcej mówiły rozchylone usta rozświetlone oczy, cała jej twarz chyląca się ku niemu, a potem poddająca się – jakże chętnie – zachłannym, gorącym pocałunkom. Stali długo w cienistej alei, spleceni uściskiem, a później zaczęli wspominać pierwszą chwilę spotkania, które dla obojga znaczyło tak wiele.

– Kiedym was zobaczył na progu domu – mówił August – od razu wiedziałem: po tom jechał na Litwę, żeby spotkać tę właśnie niewiastę. Barbarę z Radziwiłłów...

Odpowiedziała, pochylając głowę:

– Ja zaś, witając dostojnego gościa unizenie, z pokorą i uległością wielką, jak przystało poddanie, pomyślałam...

– Pilnie słucham. Pomyśleliście?...

– Że po to mnie, szesnastolatkę, wydano za trockiego wojewodę, żebym w kilka lat później mogła w Gieranojnach stanąć z wami twarzą w twarz.

Przystanęli i znowu zwarli się w uścisku. A potem długo przyglądali się sobie, jakby dopiero zobaczyli się naprawdę, zaspokoiли ciekawość olśnionych oczu. Ona widziała przed sobą nie króla, tylko młodzieńca o śniadej cerze, orlim nosie i zmysłowych ustach, zgrabnego nad podziw. On zachwycił się białością jej cery, nieskazitelnym owalem twarzy, szczupłością kibici.

– Pięknie wam w tej czerni – przerwał pierwszy milczenie. – Ale to szaty wdowie.

– Tak.

– Obiecaliście je zdjąć. Obiecaliście już wczoraj.

– I dziś wieczór...

– Dziś wieczór...? – powtórzył.

Zarzuciła mu ramiona na szyję. Jej wargi błędziły najpierw leciutko po jego czole, policzkach, ustach, aż wypowiedziały wreszcie te upragnione słowa:

– Dotrzymam obietnicy.

Jeżeli sądził, że on, kochanek namiętnej córki Italii, Diany di Cordona, i wielu mieszczek krakowskich, których rejestru nie potrafiłby odtworzyć, on, słynący już nie tylko z nieprzeciętnej urody, ale również z żaru włoskiej krwi, z wielkiej zmysłowości i wyrafinowania, potrafi nauczyć sztuki dawania rozkoszy panią na Gieranojnach, to omylił się tej nocy. Musiał przyznać, że zdobył i miał w swym posiadaniu prawdziwą, tak bardzo sławioną przez wielu muzyków i poetów *viola d'amore*...

Przeżyli ten październik, nie mogąc się oderwać od swoich młodych, wciąż głodnych, a tak bardzo szczęśliwych i uszczęśliwiających się nawzajem ciał. Nie wypytywał jej o przeszłość, znał ją aż nazbyt dobrze z opowiadań litewskich wielmożów i tych, którzy przechwalali się, że zostali dopuszczeni do łask. Może nie kochał jej jeszcze, tylko pożądał, a może w miłowaniu cenił nade wszystko rozkosz, radość zdobywania, uniesienie tak wielkie, że aż zmuszało do krzyku lub jęku? Ona nie wspominała nigdy ani zmarłego małżonka, ani tych, którzy uczynili ją tak biegłą w sztuce kochania. Ale oboje byli pewni jednego: ich przeznaczeniem było spotkać się, zachwycić sobą i nasycić...

W początku listopada obaj bracia Barbary, rodzony Mikołaj Rudy i stryjeczny – Mikołaj Czarny, zjechali nagle na zamek. Rzekomo byli ciekawi, czy młody król w imieniu matki zabierze z Gieranojnow całe mienie po zmarłym Gasztołdzie, a więc srebra, skarbczyk, rejestry dochodów i stadninę, czy też uda się im wyprosić coś dla siostry – usuwanej teraz z zamku po śmierci ostatniego z rodu. Ale przybywszy na miejsce, nie zobaczyli ani kirów, ani czarnych chorągwi na wieżach, ani nieutulonej w żalu wdowy. Wyszła do nich w jasnych, niemal przejrzystych szatach, cała przeświecona radosnym uniesieniem, z błękitnymi cieniami pod oczyma. Szczęśliwa kochanka, a nie skrzywdzona żona.

Od pierwszego dnia, od spojrzenia na siostrę i króla, zrozumieli, co się stało i jak bardzo

przybyli w porę. Wiedzieli już, że August nie skrzywdzi osieroconej, że zatrzyma ona, co zechce z Gasztołdowych skarbów. Znacznie ważniejszym wydało się im teraz zatrzymanie królewskiego ptaka, którego potrafiła pojmać w locie ich piękna siostra, a także zbliżenie się do jego dworu. Rozwiedli się więc najpierw nad tym, że zaraza omija nie zaludnione jeszcze puszcze i pastwi się tylko nad gęsto zaludnionymi okolicami. A że takich blisko Gieranojnów nie ma, warto rozprostować nogi, wstać na parę godzin z miękkich poduch i pognać w las. W borach wszelakiego zwierza pełno i, zanim król do Wilna powróci, mógłby zapolować jeszcze teraz w pobliskich puszczech.

Królowi zadrgały nozdrza, jakby już z lubością wciągał zapach igliwia i gonnych sosen. Barbara klasnęła w ręce: lubiła kiedyś dosiadać rumaków z Gasztołdowej stadniny, tedy warto przegnać je po raz ostatni po wykrotach, polanach i duktach leśnych.

Postanowili wyruszyć skoro świt już na trzeci dzień po przybyciu obu braci. Poza służbą król nie chciał brać ze sobą nikogo, prócz ulubieńca Dowojny, dworzanina Lasoty i dawnego druha Ostoi, który odnalazł go wreszcie, a bardzo był ciekaw litewskiej puszczy.

Wszyscy wdziali na siebie delie z szarego sukna i tylko przewieszony przez ramię róg ze złotymi ozdobami wyróżniał spośród myśliwych osobę króla. Polować mieli aż do zmierzchu, ale już o drugiej po południu ubili zwierzyny więcej, niż można było zliczyć, i król wcześniej zadał w róg, bardzo rad z celności swoich strzałów. A gdy zasiedli na polanie dla rozgrzewki oraz pokrzepienia nadwątlonych sił, Zygmunt August podstawiając pucharek, rzekł do Mikołaja Rudego, który nie odstępował go ani na chwilę:

– Nalewaj, nie pytaj. Dawnom nie miał po łowach takiej ochoty do kielicha.

– Bo i dawno miłościwy pan na miszkę nie polował – roześmiał się tamten.

– Polował? Żartujecie chyba? Raz jeden tylko, dzieckiem będąc, widziałem onego z bliska, a i to w klatce, w Niepołomicach.

– Bracia moi najlepiej lubią chodzić z oszczepem na niedźwiedzie – wtrąciła Barbara.

– Miska bury, ja rudy, powinowate my. I tak samo one silne jak Radziwiłły – dodał chępliwie Mikołaj i chwyciwszy cynowy pucharek, zgiął go w kulę swoją potężną prawicą.

Ostoja patrząc na to, kiwał z podziwem głową, dogadywał .. jeszcze, jeszcze”. Wreszcie podał mu cięższy kubek własny. Ale i ten zamienił się po chwili w niekształtą bryłę. Czarny poklepał stryjecznego brata po ramieniu i śmiejąc się, rzekł:

– Radziwiłł Rudy nie chce Czarnemu w niczym ustąpić. On łamie pucharki, bo ja zginam podkowy.

Król uśmiechnął się do Barbary.

– Osiłków ma wasza miłość za braci – rzekł.

– Osiłków? – odparła. – Nie tylko. Także statystów, miłościwy panie.

– Nie wiedziałem... – przyznał. – Widzę, same niespodzianki szykują tutejsze nieprzebyte puszcze.

Ale Rudy mruknął, cisnąwszy zgnieciony kubek w głąb polany:

– E, tam! Nieprzebyte. Miłościwa pani, królowa Bona, albo sama przemierzała je wzdłuż i wszerz, albo nogami swoich wiernych sług. Nasze bory nie mają już przed nią tajemnic. Żadnych! A ot i goniec. Czy aby nie Jej Królewskiej Mości? Potrafi na wskroś przewiercić oczami każdą puszczańską polanę, tedy pewnie wyśledziła nas i tutaj.

Nie był to jednak posłaniec z Krakowa, jeno pacholek z zamku, który osadziwszy konia przed ogniskiem, doniósł, że do Gieranojnow przybył z dużym orszakiem wojewoda wileński Hlebowicz i kazał odszukać myśliwych. Miał, pono, pilne wieści dla króla jegomości z Wawelu.

– Jak nie królowa, to jej zauszniak – mruknął Radziwiłł Rudy i spojrzał ciekawie na Augusta, czekając, co ten powie.

Ale młody król przemarzył, widać, od listopadowego chłodu i miał dosyć twardej ławy z darni, bo choć nie wstał od razu, rzekł do swego dworzanina i druha Stanisława Dowojny:

– Skocz przodem i przeproś wojewodę, że mu czekać wypadło. Będziem wszyscy w zamku jeszcze przed wieczszą.

Nie śpieszył się zbyt, przywołał do siebie ulubione psy, sukę Sybillę oraz olbrzymiego Gryfa, rzucając im własną ręką kości i resztki upieczonej dziczyzny. Był jednak roztargniony, myślą już przy wysłanniku matki. Pacholki zwinęły więc prędko obozowisko, myśliwi dosiedli koni i cała kawalkada ruszyła przed zmrokiem w stronę Gieranojnow. Barbara odwracała co chwilę głowę w stronę kłusującego obok niej kochanka i wpatrywała się w jego surową w tej chwili twarz, w zacięte usta. Coś w sobie ważył, coś postanawiał. Dopiero przed wjazdem w parkową aleję odważyła się otrzeć o niego bokiem konia i dotknąć ręki dzierzżącej cugle.

– Ale nie odjedziecie zaraz, panie mój? – szepnęła. – Nie zaraz?

Musnął ją nieuważnym spojrzeniem i powiedział głosem ochrypłym od wiatru czy też od wypitych trunków:

– Nie wiem. A jeśli małżonkę moją ojciec przysłał do Wilna? Jeśli trzeba będzie śpieszyć z powitaniem?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, nagle poblądła. Ta myśl, która trapiła teraz jego, jej nigdy nie przychodziła do głowy. Słyszała od braci, że był na wileńskim zamczysku sam, że bawił się i hulał z licznym dworem, z życzliwymi mu litewskimi panami.

– Jeżeli podeszli... Wtedy już jutro...?

Nie dokończyła, bo spiął konia ostrogami i zostawiając wszystkich w tyle, wpadł na dziedziniec. Zrozumiała intencję tej ucieczki. Chciał ukazać się oczom patrzącym z okien na powrót myśliwych jako pierwszy, przywódca i pan, od nikogo niezależny, nie dający zera plotkom. Chciał też chyba pokazać Radziwiłłom, że choć potężni są jak niedźwiedzie, on jest od nich silniejszy majestatem władzy i że to książę litewski gość będzie w zamku wysłannika królowej, nie zaś szwagrowie Gasztołda i wdowa po nim.

– Przypomniał sobie po miesiącu, kim on, a kim siostra nasza – mruknął ze złością Rudy, ale Czarny, przysunąwszy się do stryjecznego brata, skarcił go szeptem:

– Obaczym, z czym przybył tamten. A jak jęzor śwędzi – przygryź go. Nie psuj tego, cośmy

oba uradzili przed polowaniem.

A że uradzili rzeczy ważne – nie wierząc w długotrwałość związku miłosnego z Barbarą – postanowili towarzyszyć królowi do Wilna i tam urosnąć przy jego dworze, a także uzyskać na niego wpływ zgoła inny, niż miała ich siostra zajęta wyłącznie sprawami ciała. Rudy zacisnąwszy zęby nie odpowiedział nic i tak weszli wśród wielu innych na pokoje. Zdążyli być świadkami przywitania wojewody przez króla, który występował teraz jako pan zamku, nie przedstawivszy nawet Hlebowiczowi wdowy po Gasztołdzie. Stali więc wraz z innymi, słuchając tego, co mówił August tonem swobodnym, z nutą ironii w głosie:

– A! Sam pan Hlebowicz. Wojewoda wileński, a proszę! W dzikim ostępie mnie odnalazł.

Hlebowicz przytyk przełknął gładko i zaczął tłumaczyć:

– Zarazę tropiąc, miasta i wioski na Litwie przemierzam. Miałem też pilne polecenie odszukać miłościwego pana. Dwór niespokojny wielce. Pono od miesiąca nie było gońca do królowej.

Odparł niedbale:

– Widać zapomniałem wysłać. Lasota! Pchnij jutro o świcie kogoś do Niepołomic.

– Z ustnym posłaniem?

– Jutro z ustnym. Każesz powiedzieć, żem zdrów i że często poluję.

A pojutrze... Pojutrze napiszę list. Prosimy do kompanii i na wieczerzę. Mamy tu piwo przednie i miód doskonały. Wypijem na pohybel zarazie. A także dziękuję za trud odszukania mnie aż tutaj, w Gieranojnach.

Hlebowicz, człek niegłupi i bystry, dojrzał już stojącą wśród dworzan trójkę Radziwiłłów i nie omieszkał – świadom plotek krążących od niedawna w Wilnie – dodać z naciskiem:

– Królewskich, miłościwy panie. A każdy z takich zamków musi być dobrze znany mnie, tutejszemu wojewodzie.

Śledził wrażenie, jakie wywarły jego słowa na twarzy Augusta, ale ten miał ciągle taki sam zjadliwy uśmiech na wargach i przyznał, jakby rozbawiony jakąś myślą:

– W istocie, króla oraz mojej dostojnej matki. I to w jej imieniu zapraszam was, wojewodo, do dalszych komnat.

Radziwiłłowie przerzucili się spojrzeniami, Barbara przybladła, nawet Hlebowiczowi na chwilę zabrakło konceptu do należytej odpowiedzi. Jednakże po niecałej godzinie, kiedy już zrzuciwszy myśliwskie stroje i przybrawszy się godnie dworacy króla, on sam i Radziwiłłowie zasiedli do suto zakrapianej trunkami wieczerzy, Hlebowicz musiał przyznać, że królowa wyćwiczyła swego syna w sztuce udawania. Nie wyróżniał niczym wdowy po Gasztołdzie, choć zajęła teraz miejsce sobie jeszcze należne, dość bliskie świetnego gościa i zarazem pana zamku, a dość dalekie jako siostra niemiłych wojewodzie Radziwiłłów. Król rad, że poseł nie przekazał z Niepołomic wieści jemu niemiłych, był w wyśmienitym humorze, opowiadał o łowach, którym poświęcał cały niemal czas pobytu poza Wilnem, rozwodził się szeroko nad swoimi zbiorami monet, gemm, klejnotów i ksiąg, za którymi stęsknił się w puszczy.

– Nic prostsze go tedy, niż powrócić do Wilna – rzekł, wysłuchawszy tych skarg, wojewoda.
– Zaraza tam już wygasła, a rychle mrozy przepędzą ją i z okolic. Gotów jestem pozostać w Gieranojnach tak długo, jak będzie trzeba, aby wywieźć stąd to, co zabezpieczenia wymaga.

Król wahał się tylko chwilę, ale podniósłszy kielich, odparł:

– Nie chciałbym utrudzać was ponad miarę i zatrzymywać w objeździe okolic dotkniętych morowym powietrzem. Tedy zabawię tu jeszcze parę dni, po czym pociągnę całym dworem do Wilna, wywożąc to, co z prawa należy się skarbowi. A teraz... Nunc est bibendum! Wasze zdrowie, mości wojewodo!

Tejże nocy obaj Radziwiłłowie weszli do komnaty byłej pani zamku. Łoże było puste, wiatr wdzierał się do wnętrza przez otwarte drzwi na taras.

– Tu jej nie ma. Wyfrunęła ptaszka! – mruknął Rudy.

– Zaczekać trzeba – odparł Mikołaj Czarny.

– Pókiż tego czekania? – zniecierpliwił się brat. – Siostra Radziwiłłów, wdowa po wojewodzie trockim, a w amorach bezwstydną, nienasytną.

– Folguj, bracie! To chyba niezwykłe amory. Coś ważniejszego może z nich wyniknąć.

– Niby co? Choć gaszek jest królewski, przecie żonaty.

– Mówiłem, czekać trzeba! Jeżeli nie nasze jest jutro, to pojutrze...

Ściśniesz kułak, a on już tam tkwi. Jak mucha schwytna w locie.

– Albo ćma do światła lecąca. Zaciśnij kułak! Myśl przednia. A może by tak...

– Tylko nie tutaj! – ostrzegł Czarny.

– Tedy chodźmy stąd. W mojej komnacie, przy kielichu, pogadamy swobodniej.

Wyszli, a podmuch wiatru długo jeszcze kołysał białą zasłonę w otwartych drzwiach tarasu.

Ledwo zaczęło szarzyć, kiedy Barbara, już ubrana, podeszła do łóżnicy króla. Starł się ją przyciągnąć do siebie, ale ona poczęła odrywać od swych bioder jego ręce, mówiąc z żalem:

– Nie, nie. Muszę już iść!

– Kilka chwil tylko. Ostatni pocałunek...

– Boję się. Odkąd zjechał tu wojewoda, zdaje mi się, że widzę za każdym załomem muru, w każdej wnęce czające się postacie, szpiegujące oczy. Bracia także śledzą każdy mój krok.

Zygmunt August przyciągnął ją jeszcze bliżej.

– Wiem. Jego słudzy szukają żeru dla raportu, który pójdzie stąd do Niepołomic albo na Wawel. Ale bracia wolą udawać, że nie wiedzą o niczym, a wy – od gołębic bielsza.

– Dlatego lepiej, abym już odeszła.

– Nie. Nie zniosę sprzeciwów. Także waszych.

– Najjaśniejszy panie... – szepnęła, oddając mu pocałunki.

– W miłowaniu – rzekł po chwili – jest, widać, tyleż odmian, co w pnących różach. Białe, różowe, szkarłatne. Wierście mi. Moje miłowanie jest godne was. Purpurowe.

Wtuliła się w jego ramiona, znowu bezwolna.

*

Na Wawelu Bona nie chciała z początku wierzyć, że goniec przywiózł tylko ustne wieści. Kazała wypytać go dokładnie o wszystko Pappacodzie, potem bystrzejszej od niego Marinie. Ale posłaniec konny wyruszył z Gieranojnów na dzień przed opuszczeniem ich przez Augusta i mógł dodać to tylko, że przed wyjazdem do Wilna Radziwiłłowie szykowali dla króla łowy na niedźwiedzia w Puszczy Rudnickiej.

– Poluje? Z litewskimi panami? I zapomniał o mnie... A jeszcze we wrześniu posłaniec był co dni kilka. Santa Madonna! Ledwo pierwszy raz wyjechał sam, zrobił się zuchwały. Nakazałam pisać. A on, on... Co się tam stało? Co mogło się stać?

– Ostoja milczy... Trzeba ślać gońca do Hlebowicza. Ten powie prawdę – doradzała Marina.

– A Elżbieta? Otrzymała od Augusta jakieś wieści?

– Ona? Nigdy nie pisał do niej.

– O Dio! Jeszcze przed miesiącem myślałam: „nie tak, jak do mnie”. A dziś? Zatrzymaj gońca! Zawiezie list do wileńskiego wojewody. Muszę wiedzieć, gdzie jest, co robi, dlaczego nie pisze. Niech się przynajmniej wytłumaczy, przeprosi... Nie mogę znieść jego milczenia. I nie zniosę żadnych sprzeciwów!

Goniec nie kłamał, ale to Hlebowicz opuścił zaraz po nim zamek wraz z częścią skarbów Gasztołda, król natomiast pozostał jeszcze przez kilka dni w Gieranojnach nie mogąc i nie chcąc żegnać kochanki pod czujnym okiem wojewody. Ona jednak, czy to dotknięta spychaniem jej na ostatnie miejsce przy dostojniku, o którym wiedziała, że był zaufanym królowej, czy też wciągnięta już przez braci w ich grę, pozyskania młodego monarchy dla rodu Radziwiłłów, grę, którą rozpoczynali właśnie teraz, przed jego zetknięciem się w Wilnie z innymi litewskimi wielmożami, wyjechała zaraz po Hlebowiczu, rzekomo pożegnać się z najbliższymi sąsiadami. Była to ich pierwsza rozłąka od przeszło miesiąca, co prawda krótka, ale dość długa na to, aby odczuł dotkliwie brak głosu, uśmiechu, muskania, nawet przy obcych, powiewnych szatek kochanki. Chmurny i niecierpliwy jak zawsze, gdy coś krzyżowało jego plany, poszedł nawet do jej komnaty i siedział długo przy tych drzwiach, którymi prześlizgiwała się nocą do królewskiej sypialni. Wyjrzał na taras, zawrócił, patrzył długo na porzucone przy łożu aksamitne pantofelki. Ileż to razy widział je na jej bosych, foremnych stopach! Pochylił się i musiał, choć tego nie chciał, wziąć je do rąk. Po chwili ścisnął palce tak mocno, że zgniótł obcasiki, jak Radziwiłł Rudy gniótł cynowe pucharki. Potem zły na siebie, na nią, na cały świat cisnął trzewiczki na kobierzec i wyszedł pośpiesznie do jadalnej sali. Musiał napić się natychmiast, zaraz, korzennej nalewki lub grzanego wina, aby pozbyć się chłodu w piersiach, w okolicach serca.

Jakby zgadując myśli królewskie, Radziwiłł Czarny spotkał go w progu i ruchem wskazał na stół bogato zastawiony już do wieczery wszelaką wędliną litewską: surową szynką, pasztetami z ubitych dzików i zajęcy, wieloma gatunkami mięsiwa. Radził, aby skosztował słynnych pasztetów z Gasztołdowej kuchni i napił się czegoś dla rozgrzewki.

Służby w komnacie nie było żadnej i Radziwiłł sam usługiwał swemu władcy. Wychylali kielich za kielichem, wreszcie Zygmunt przerwał jakąś opowieść z ostatnich łowów pytaniem, które dawno cisnęło mu się na usta:

– Siostra wasza, wojewodzina, jakoś długo nie wraca. Często tak bawi poza domem?

– Nawiedza dziś z bratem sąsiadów. Dawnych druhów Gasztolda od rzekł Czarny.

– A, sąsiadów...

– Żegna się z ich małżonkami przed odjazdem.

– Który nastąpi kiedy? – indagował król.

– Zaraz po opuszczeniu zamku przez miłościwego pana.

– I uda się dokąd? – nalegał już niecierpliwie.

– Do rodzowego dworzyszczka w Wilnie, do swojej matki – odpowiedział Radziwiłł i wznosząc kielich dorzucił: – Piję za zdrowie najjaśniejszego pana.

– Moje? – spytał roztargniony, nieobecny myślą.

– Oby spełniły się wszystkie jego pragnienia... – dodał Czarny.

– Oby! – mruknął i wychylił swój puchar do dna.

Radziwiłł przysunął się nieco, aby nagle zaskoczyć dziwnym pytaniem:

– Rad jestem, żeśmy sami, bo dawno już zapytać chciałem: miłościwy pan przychylny jest zachodnim nowinkom? – A kiedy August milczał, dodał: – Sprzyja innowiercom?

– Czy sprzyjam? Doprawdy, nie miałem sposobności zetknąć się, tak jak wy, z heretykami. Choć wiem, że ich u nas coraz więcej – odparł król, jakby nierad z przerwania jego zamyślenia. Jednak tamten nie ustępował.

– Ale nowinkarzom nie wrogi? Ciekawe jest też dla mnie i wielu litewskich wielmożów, jak miłościwy pan szacuje ostatnie reformy na Litwie. Czy rewizorzy sadowiacy się tutaj na najbogatszych ziemiach to ludzie dobrze dobrani? Znani waszej miłości?

– Nie – odparł już niechętnie. – To zaufani mojej matki.

– Ale najjaśniejszy pan oglądał nowo założone folwarki? Widział tutejsze stada bydła i koni?

Prawie krzyknął:

– Jakże mogłem?! Twierdziliście przecie, że morowe powietrze sroży się w całym kraju...

– I to prawda. W Gieranojnach było lepiej, bezpieczniej. Choć wasz podskarbi narzeka, że już kończą się przywiezione zasoby. Nie do wiary! Czyż nie ma on dostępu do królewskiego skarbcza? Przepędziłbym takiego skarbnika! Po co tu siedzi? Niech jedzie co prędzej do Wilna! Przecie tam właśnie ciągną z całej Litwy wozy ze srebrem i złotem. Wasze wozy. Królewskie.

– Zdaje się – rzekł rozciągając sylaby August – że zabawić się ze mną chcecie w chowanego. Wolę grę w otwarte karty. Dziwi was i litewskich wielmożów, że król malowany, tak?

– Nigdy bym nie śmiał... Nigdy bym się nie odważył – zaklinał się Czarny. – Ot, po prostu, starszym będąc od Waszej Królewskiej Mości i cały świat zjeździwszy, widzę niektóre sprawy w jaskrawym świetle...

– W zbyt jaskrawym – uciął król.

– Zapewne. Ale... boli mnie, jako waszego szczerego wielbiciela i wiernego sługę, że może istnieć władza bez władzy. Tron bez silnego oparcia się na kimś oddanym bez miary, bez granic. Że mając już po swojej stronie wszystkich panów litewskich, jakże okrutnie pokrzywdzonych przez królową matkę, możecie nie chcieć ich pomocy...

– To znaczy? – zaczął słuchać nieco uważniej.

– Samodzielnych rządów. Tutaj, na Litwie.

Zdziwił się czy też udał zdziwienie.

– Czyżbyście zapomnieli, że jestem od dawna jej koronowanym księciem i królem?

– Nominalnie, tak. Ale kto nie sprawuje sądów i nie ma klucza od skarbcza, choćby siadł w majestacie na stolcu wielkksiążęcym, nie jest władcą prawdziwym.

– Cóż... Mógłbym uroczyście celebrować wjazd do Wilna. Chociaż nie! – zaprzeczył sam sobie. – Nawet na to trzeba zgody króla.

– Nawet na uroczysty wjazd? – wydziwił Czarny. – Czyżby? Śmiem twierdzić, że hołdy i wiernopoddająca uległość litewskich panów już czynią z Waszej Królewskiej Mości prawdziwego hosudara. A potem... Król będzie musiał uznać waszą władzę, przynajmniej tutaj.

– Hlebowicz nie zawiedzie zaufania królowej. Będzie bruździł – odparł po namyśle król.

– Można spróbować rozmów, układów. Za resztę możnowładców – rękę. Wasze poczynania znajdują poparcie u najmożniejszych na Litwie. Także u oddanych Radziwiłłom innowierców. Nielicznych może, ale zajadłych. I pewnych.

W tej chwili rozległ się turkot kół za oknem. August drgnął.

– Co to? – spytał.

– Wojewodzina powraca. Mogę działać, miłościwy panie? Rozmawiać z ludźmi?

– Bardzo ostrożnie, aby żadne plotki nie dotarły ani do zamku w Wilnie, ani w Krakowie.

Wstał przerywając rozmowę i spojrział przez szyby w dół, na dziedziniec.

– Co za piękny zaprzęg. I jak świetnie dobrane kasztany!

– Niezgorzej – przyznał Czarny. – To nasze konie, Radziwiłłowskie. Ale nie mogą się równać ze wspaniałymi ogierami waszych stadnin, miłościwy panie.

– Moich stadnin?

– Na razie królowej, ale sądzę, że zechcecie przejąć je wkrótce...

– A tak. Oczywiście, że tak...

Czarny chciał jeszcze coś dorzucić, ale spojrzawszy na Augusta, umilkł. Wychylony z okna, wpatrzony w to, co się działo na podwórku, był już myślami daleko od nowinkarzy, rewizorów królowej, a nawet wielkksiążęcego tronu. Wróciła. To tylko było ważne. Tylko to.

Wróciła zmęczona gadaniną Rudego, niezbyt szczerymi zapewnieniami o przyjaźni i współczuciu litewskich matron, znudzona dniem pustym, wlokącym się w nieskończoność. „Do domu, do domu!” – prosiła brata, ale ten dopilnował, aby byli aż w trzech dworach, i zwlekał z powrotem. Kiedy więc dopadli się wreszcie po wieczery w jej komnacie, wiedzieli już oboje, że stało się coś niezwykłego, przekonali się bowiem, jak może boleć rozłąka, tęsknota. Już w łożu,

obejmując ją z jakąś zachłannością, z obawą, że może utracić skarb, wyrzekł – sam zdumiony – te słowa:

– Nigdy nie tęskniłem za nikim. Nie ta – to inna. I nikogo nie miłowałem tak. Nawet Diany.

– Co znaczy: tak?

– Zgoła inaczej. Z czułością wielką. W jakimś zachwyceniu... A to znaczy... znaczy...

– Że chyba naprawdę? – spytała z nieśmiałością wielką i nie mniejszą nadzieją.

– Że mocno, gorąco nad podziw! Że mam ciebie we krwi, w sercu, w myślach. Jakbym co wieczór pił lubczyk miast miodu...

– Tęskniłam za wami, miły, cały długi dzień. Okrutnie długi. Bawiłam się zawsze miłowaniem... Pragnieniem cudzym, uciechą własną. Ale to... To nie tylko radość sytego pieścizot ciała. Ja także... Z całego serca, ze wszystkich sił miłuję was, panie...

Opuścili Gasztołdowy zamek po kilku dniach, które były jednym pasmem rozkoszy, pocałunków, zuchwałych pieścizot. Kolasa obu Radziwiłłów jechała przodem i Czarny upewniał brata:

– Będzie nasz, obaczysz. Jeszcze maluczko – będzie nasz.

– A Barbara? – pytał Rudy, który kochał młodszą siostrę bardziej niż starszą, Annę.

– Pilnuj, by sokoła nie wypuściła z ręki, bo do Krakowa odleci, do małżeńskiego łoża Elżbiety. I starczy. Dla nas nieważne jej miłowanie, jeno on sam i jego kołpak wielkoksiażący.

Od połowy listopada Barbara zamieszkała w Radziwiłłowskim pałacu, a królewski dwór wileński ożywił się, rozszumiał gwarem, rozdzwięczał włoską kapelą. Młody król otaczał się młodzieżą ze znanych rodów polskich i litewskich, ale lubił także przyglądać się sztuczkom wędrownych kuglarzy i linoskoczków, barwnym korowodom, rad słuchał dowcipów nadwornych błaznów i karłów. Zwłaszcza jedna z karlic, Osieczką zwana, starała się – niby wierny pies – dreptać wszędzie za nim, aż ulubieniec królewski Lasota zaczął przyglądać się jej bacznie i wreszcie zapytał wręcz króla, czy nie widywał dawniej owej karlicy na wawelskich komnatach? Dopiero wtedy August przyjrzał się jej uważniej i dostrzegł jakby maskę z barwiczki i bielidla pokrywającą szpetną twarz. Kazał Lasocie dopilnować, aby wyszorowaną dobrze obejrzał i pokazał Ostoi, jako że ten musiał dobrze znać wszystkich karłów z dworu Bony. Przyciśnięty do muru Ostoja musiał przyznać, że to ulubienica najjaśniejszej pani, zwana Dosią, i że musiała przyjechać na Litwę już dawno, wraz z całym dworem Augusta.

– Szpiegowała mnie tedy cały czas, aż do wyjazdu do Gieranojnów. Ale, skoro tak, nie chcę widzieć tutaj i Ostoi. Szkoda, ale a nuż on także donosił o wszystkim na Wawel czy do Niepołomic? Był przecie z nami w puszczy na łowach! – przypomniał sobie król i zwrócił się do Dowojny: – Odeślesz ich oboje do Krakowa przy pierwszej sposobności. A od dziś niech mi schodzą z oczu.

*

Wcześniej jednak od obu odesłanych dworzan zjawił się u królowej konny posłaniec od

Augusta i pana Hlebowicza. Wojewoda donosił zarówno o zadurzeniu się młodego króla we wdowie po Gasztołdzie, jak o staraniach braci Radziwiłłów czynionych dla pozyskania stronników wiernych wielkiemu księciu wśród litewskich wielmożów. List Augusta był krótki, stwierdzał, że Wilno jest wolne od zarazy, a on sam wiele czasu spędza na łowach, bo choć jest królem, nie ma godnej siebie i swej małżonki siedziby w Wilnie. I gdyby nie gościnność panów litewskich, musiałby skrócić pobyt w Wielkim Księstwie.

Królowa nie przejęła się zbyt bardzo wiadomością o nowej kochance, miał ich zawsze wiele wśród dworów i mieszczek krakowskich. Pamiętała dobrze, że jej rodzony dziad, książę Mediolanu, pozostawił po sobie prócz gromadki ślubnych dzieci przeszło dwadzieścioro z nieprawego łoża. August... Krew z krwi Sforzów, południowa, namiętna, niespokojna... Ale groźniejsza była wiadomość o przyspieszeniu powrotu, knowaniu Radziwiłłów i królowa, zmiąwszy listy w rękę, cisnęła je ze złością na ziemię. Za nimi stuknął o dywan jeden pucharek, drugi...

Usłyszawszy hałas, Marina natychmiast stanęła w progu i podnosząc porozrzucane przedmioty, spytała:

– Takie złe wieści?

– Gorzej niż złe! – krzyknęła. – Straszne! Hlebowicz donosi, że panowie zaczęli spiskować na Litwie przeciwko mnie. Bo i kto może ich uwolnić od znenawidzonej Bony, która sprawdza nadania, wykupuje zastawy? Sicuramente młody król! Głupiec, który nie wie jeszcze, jak mszczą się ci, których odsuwa się od urzędów, pozbawia nieprawnie nabytych dóbr! Dux Lithuaniae? On? To dosłowne nic?

– Miłościwa pani pojedzie tam? – dopytywała się dworka.

– Teraz, kiedy król zległ? Każe się nosić w lektyce? O Dio! Jak straszne są te rakuskie śluby! Żeby nie one, August byłby teraz przy mnie, a nie na Litwie, daleko stąd! Sam. Zupełnie sam!

Nie spała całą noc, odczytując wciąż na nowo oba zgniecione listy, a od rana zjawiła się w sypialni króla.

– Jak minęła noc, miłościwy panie? – pytała pozornie spokojna.

– Żle. Rozbolały wszystkie stawy, wszystkie kości. Zeszło mi na to, że w puchach leżeć muszę – zażartował.

– Dość długo sypialiście na niedźwiedzich skórkach. Twarde łożo dobre dla młodych.

– Dla młodych... – powtórzył z żalem i dodał: – Cóż pisze młody król?

– Nie wiem nawet, jak to wyrazić – odparła. – Jest źle, bardzo źle. Radziwiłły prawie rokosz podniosły. Za ich namową August szykuje uroczysty wjazd do Wilna.

– Wjazd? Jako wielki książę?

– Tak myślę, skoro grozi, że jeśli nie otrzyma pełnej władzy, wróci na Wawel i wznowi starania o rozwód z żoną. Nagle nią zaślaniać się począł. Pisze: „Królem jestem, a nie miałbym gdzie z małżonką tutaj zamieszkać”.

Tylko ostatnie zdanie było wyjęte z listu Augusta, resztę dodała, aby postraszyć Zygmunta

synowskim buntem. Najbardziej przeraziła ją myśl o powrocie na Wawel, do Elżbiety, wołała więc zmusić króla do ustępstw, do przesłania synowi sum potrzebnych na odbudowę zamku.

Jednakże Zygmunt, choć wiedział już o raporcie Hlebowicza, zdziwił się, nie dowierzał.

– I to pisze August? – zapytał. – Nie do wiary! Zawsze tak bezgranicznie wam oddany, tak uległy...

– Zbuntowali go tam litewscy panowie, do buntu podżegli. Wie poza tym, jak miłujecie Elżbietę, jak pragniecie doczekać się wnuka. I zadaje cios. Celny.

– Sposobem włoskim, dobrze wam chyba znanym? – spytał mrużąc oczy.

– E allora?! – krzyknęła. – Będziemy zdumiewać się odmianie, jaka w nim zaszła, i czekać? Może błogosławić?

– Hlebowicz nienawidzi Radziwiłłów... – rozważał król. – Ale on jeden, a tamtych siła. Zarzucają mu zresztą wielmoże, że przy ich swobodach obstawać nie umie. Że gnębić ich pozwala... królowej.

– W końcu zawsze winna jestem ja. Ja! – wybuchła.

– Wcześniej czy później musiało to przyjść – westchnął. – Mogę zwlekać – tak. Zasłonić się chorobą – tak. Tylko jak długo?

– Jak to? – spytała zdumiona. – Oddacie mu władzę zwierzchnią nad całym księstwem? Już teraz?

Pokiwał głową, znów westchnął.

– Lepsze to niż jawny bunt. A poza tym... Skoro ma objąć po mnie rządy nad całym krajem, niech uczy się na jego części sztuki rządzenia ludźmi. Sztuki przecie niełatwej.

– A ja? – krzyknęła już z gniewem. – Jeśli on będzie władcą prawdziwym, kim będzie wielka księżna litewska? Co stanie się z moimi zamkami? Dobrami?

– Pieczęcie Litwy każę zamknąć – odparł po chwili namysłu. – Musi odtąd pieczętować wszystkie akta i dekrety pieczęcią własną.

– To nie może być! To klęska zupełna! – wołała zrozpaczona, że jej plany obracają się przeciwko niej, że z drobnego kłamstwa o buncie Augusta rodzi się zamysł królewski o zrzeczeniu się części władzy na rzecz syna.

– Klęska? Czemu? – zapytał król. – Zarząd wielkksiążęcym skarbcem zostałyby na razie przy mnie. Więcej nic nie dałoby się zrobić. Przypominam, że to z waszej woli został wyniesiony dzieckiem na oba trony.

– O Dio! – broniła się. – Uczyniłam tak dla dobra dynastii. Miał nam służyć, nie rządzić. Chciałam mieć w ręku posłuszne narzędzie...

– A macie drugiego króla. Oto, co dał wasz upór, przeprowadzona na siłę elekcja za mego życia.

– Vivente rege... Si – przyznała – ale...

– Ale to nie wszystko – przerwał. – Pamiętacie? Zaraz potem sejm koronacyjny uchwalił, że takie bezprawie, jak wybór Augusta, powtórzyć się w Polsce więcej nie może. Elekcja tylko po

śmierci poprzednika, i to na sejmie, na który będzie mógł zjechać każdy szlachetnie urodzony. Mój Boże! A jeszcze mnie obierał senat!

– I jego decyzji nie musiała aprobować izba poselska?

– Izba, a nie cała szlachta. Tymczasem teraz... Po Auguście tłum wszelakich szaraków wybierze, kogo zechce, kłócąc się, zgłaszając wielu kandydatów. Czemu nie? Niebezpieczną broń daliście szlachcie do ręki...

Milczała chwilę, zbierając myśli, szykując się do odparcia ataku. Tak rzadko robił jej wyrzuty, tak często przygarnął milczeniem.

– Santa Madonna! – rzekła wreszcie. – Kiedy leśnik sadzi drzewo, nie myśli, że ono kiedyś może i jego przywalić w czas burzy. Skąd mogłam wiedzieć, co wyniknie z wyboru Augusta? Wy nie przewidzieliście także, że wpłynie to na zmianę sposobu obierania waszych królów.

– Powiedzieliście: „waszych”? – zapytał. – Po tylu latach na polskim tronie? Zdumiewające.

– A więc bene – naszych. Zresztą w tym, co was niepokoi, ja widzę i jaśniejsze strony. Szlachetki z dworów i folwarków mazowieckich nie znoszą Niemców. I nie wybiorą nigdy ani Hohenzollerna, ani Habsburga. Zabawne, prawda?

– Zabawne? – powtórzył zdumiony.

Ale ona już rozchmurzyła czoło, już patrzyła w przyszłość, która mogła się ułożyć po jej myśli.

– Pomyślcie tylko – roześmiała się nagle. – Ten biedny Albrecht pruski! Nigdy nie będzie polskim królem, bo napadał na pogranicze Mazowsza. I nie wybiorą go także dlatego, żeby ustrzec całą środkową Europę przed niemieckimi krewniakami cesarza. Prędzej zgodzą się na Francuza, Węgry albo nawet któregoś z hetmanów. Choćby Tarnowskiego. Podobno marzy o koronie.

– Niecne plotki zawistnych! – oburzył się Zygmunt.

– Może. Ale, o Dio!, o czym my właściwie mówimy? Jeszcze nie koniec dynastii. Jeszcze narodzić się może – za rok, za dwa – Jagiellon.

Syn Augusta.

– Bylem tylko dożył tej chwili! O niczym innym nie marzę. O niczym... Bóg mi świadkiem – wyszeptał. – I z tej przyczyny trzeba będzie skończyć z odsuwaniem Elżbiety od prawowitego małżonka. Jeśli w samej rzeczy chcecie doczekać się wnuka, przestańcie opierać się mej woli. Niech jak najszybciej ta młódka jedzie do Wilna.

– No! – krzyknęła, ale po chwili dodała już spokojniej: – Zresztą medycy twierdzą, że już podleczona, silniejsza. Mogłaby tedy pojechać, ale August musi przyjąć w zamian wszystkie wasze warunki. Żaden supremus dux, jak chcą tego zapewne Litwini.

– Tak – przyznał. – Jeszczem żyw i rządę królestwem.

W Wilnie Zygmunt August bawił się wprawdzie na swym świetnym, barwnym dworze, ale nie mógł nie przyjąć posłów cesarskich, którzy przybyli z przypomnieniem, że jego małżonka nie

powinna dłużej przebywać na Wawelu, gdzie czuje się od roku bardzo osamotniona. Jednocześnie otrzymał pismo królewskie, wyrażające zgodę na pewne ustępstwa, w zamian za sprowadzenie Elżbiety i dzielenie z nią łoża oraz stołu.

Po raz pierwszy, odkąd przyjechał na Litwę, w obu sprawach pytał o zdanie Radziwiłła Czarnego, z którym wiązała go coraz ciaśniejsza zażyłość. Ten radził chwycić rodzica za słowo, upierać się przy tytule „supremus dux” i z wolna przejmować rządy nad Księstwem Litewskim. Co do sprowadzenia małżonki wołał nie zabierać głosu, sądził jednak, znając Barbarę, że będzie mimo wszystko nadal jej drogi, że zgodzi się na potajemne schadzki w Radziwiłłowskim pałacu albo też w zameczkach myśliwskich, licznych w tutejszych lasach. Choćby Rudniki w Rudnickiej Puszczy... Król mógłby tam z nią przebywać przez całą jesień, a nawet w czas zimowych polowań...

Po tej rozmowie, o której nie miał dowiedzieć się Rudy, kochający siostrę na swój sposób szczerze i prawdziwie, Zygmunt August wyznaczył Barbarze przez Dowojnę tajne spotkanie w najbliższym zameczku myśliwskim. Przyjechała tylko w towarzystwie Czarnego, dworki Bogny i Dowojny, szczęśliwa, że znowu, jak obiecał, przez dwa dni będą razem. Ale tylko pierwsza noc była podobna do tych, które spędzali w Gieranojnach lub w pałacu jej matki. Nazajutrz, zakłopotany wielce, musiał jej wyznać prawdę.

– Ściany wileńskiego zamku mają uszy – rzekł. – Tedy wołałem mówić z wami tutaj. Zechciejcie tylko dobrze zrozumieć...

Spłoszyła się.

– Boję się. Ten wstęp źle wróży.

– To zło pozorne – zapewniał. – Wygrałem batalię i już w przyszłym roku zasiądę na tronie wileńskim jako magnus dux.

– O, miłościwy panie! – westchnęła.

– Ale jest jeden warunek postawiony przez króla: mam zamieszkać na dolnym zamku nie sam. Z małżonką.

– Jak to? – przeraziła się, pobladła. – Z Elżbietą?

– Zważcie, to bratanica cesarza. Sukcesja włoska mojej matki jest w rękach Habsburgów. Wiedeń przysłała już posłów w sprawie Elżbiety. Nie mogę jej jawnie odtrącić.

Powiedziała z goryczą:

– Ostrzegam mnie Rudy: „Będziesz tylko zabawką w królewskich rękach. Tylko zabawką! Niczym więcej”.

– Czarny mądrzejszy – zaprzeczył. – Wie, co to konieczność. I radzi godzić się na wszystkie warunki, byle uzyskać pełnię władzy.

– A ja? – spytała szeptem. – Czy to znaczy, że ja...?

Objął ją mocno, gwałtownie, całując po oczach i ustach.

– To nic nie znaczy. Sprowadzę Elżbietę, skoro taka jest wola króla. I będę was widywał tutaj, a także w Wilnie, ile razy pozwolicie mi na to.

– Moje pozwolenstwo... Żałosne jako i ja sama – rzekła z goryczą.

Ujął obie jej ręce i przycisnął do piersi.

– Przysięgam – rzekł – nie ma nikogo na świecie, kogo bym więcej miłował. Wiercie mi. Teraz już wiem. Wy. Tylko wy. I to na zawsze...

Spojrzała na niego milcząco. Ale już po chwili była w jego ramionach, zupełnie bezwolna, znowu szczęśliwa.

*

Sejm dla Litwy został zwołany do Brześcia nad Bugiem i tam oboje królestwo z Elżbietą spotkać się mieli z Zygmuntem Augustem w październiku czterdziestego czwartego roku. On jeden wiedział, że była to rocznica jego związku z Barbarą, i jechał na ów sejm niechętnie, obawiając się wymówek ze strony matki, a także żony. Tymczasem spotkał się z wielką serdecznością obu, a co ważniejsza, z wyraźną postawą panów litewskich, domagających się wręcz przekazania mu rządów w Wielkim Księstwie. Po rocznym pobycie na Litwie rozumiał dobrze, że ów sejm może zaważyć na losach kraju, stronnictwo Radziwiłłów pragnęło bowiem doprowadzić na nim do osłabienia więzów z Koroną, natomiast senatorowie z Hlebowiczem na czele byli temu przeciwni, twierdząc, że nie ma bezpieczeństwa Litwy od strony wschodniej bez wsparcia wojsk koronnych.

Postanowił tedy nie ulegać zbyt Czarnemu i zgodzić się bez protestu z wolą ojca. Wiedział, że nie może liczyć na tytuł wyższy niż „magnus dux” i zapłaci za uległość obecnością Elżbiety w Wilnie. Skoro jednak nie można było ani uzyskać więcej, ani postąpić inaczej bez ujawnienia powiązań z domem Radziwiłłów, przystał na wszystko, zdając sobie sprawę z tego, że na owym sejmie Zygmunt Stary, „supremus dux”, dziedziczny władca Litwy, uczynił z niego coś w rodzaju swego namiestnika.

Po skończonych obradach oba dwory rozjechały się w przeciwne strony i nareszcie August mógł odbyć uroczysty wjazd do Wilna w towarzystwie uszczęśliwionej z takiego obrotu sprawy Elżbiety. Stary król żegnał córuchnę, życząc jej narodzin syna, dziedzica Jagiellonów, i to samo życzenie powtórzyła – ku jej zdumieniu – królowa Bona.

Wjeżdżała tedy do Wilna otoczona licznym poczem własnych dworzan, a także młodych wielmożów z dworu Augusta. Szkarłatną kolebkę otaczała straż konna, roiło się też wokół niej od paziów i strojnych pacholąt. Stolica Witołdowa witała swoją wielką księżną, a zarazem młodą królową – jakby na przekór Bonie – z niekłamaną radością, szumnie, i mimo jesiennych dni wszystko wokół niej było barwne, jaskrawe, złote. Nie mogła już uskarżać się na przytyki świekry, na lekceważenie ze strony wawelskich dworzan. Była nareszcie wolna, sama z urodziwym małżonkiem, słysząca zewsząd wybuchające na jej cześć : okrzyki i wiwaty. Młoda Litwa, jak i starsi wielmoże patrzyli na jej bladą, lecz pełną uroku twarz z prawdziwą życzliwością, a nawet z podziwem. Uśmiechała się więc do wszystkich, choć przez rok odwykła od uśmiechów w ponurej komnacie na Wawelu. Jej oczy błyszczały, jakby na przekór szeptanym wieściom, że nazbyt często bywa słaba, cierpiąca. To jedno tylko niepokoiło i zdumiewało

samych Radziwiłłów oraz ich stronników. Słaba młódka? Na Litwie takich nie znano. Kto miał zbyt mało sił do życia, umierał w wieku niemowlęcym lub powalony pierwszą dziecięcą chorobą: krupem, płonicą, ospą. Ale dziewczki przed rokiem osiemnastym wszystkie bywały krzepkie, rumiane, wyparzone co dzień w łaźni, ganiające konno po łąkach i lasach. Pono musiała sypiać długo i sen miewała niespokojny. Niby czemu? Król – młody byczek – mógł wprowadzić przeszkadzać w przesypianiu całych nocy, ale ta młoda królowa, jak szeptali paziowie i przydane jej dziewczki służebne, widywała małżonka rzadko, a mimo to nie zaznawała spoczynku. Niektórzy starsi wielmoże zzymali się, mówiąc między sobą:

– Taką córę przegnałbym na łowach za dzikim zwierzem, kazał wyparzyć w łaźni, wychłostać wtkami wiotkie ciało i potem miast w miękkim łóżu spałaby jak suseł na niedźwiedziej skórze albo na ławie okrytej kobiercem. Na słabowanie dobre też zioła z puszczy, a najlepszy mocny trunek.

Katarzyna Hölzelin słuchała znoszonych jej plotek i wszystkim odpowiadała jednakowo: utrudzona długą podróżą najpierw do Brześcia, potem do Wilna, niewygodami postojów w chatach, choćby nawet pięknie przystrojonych oraz obitych oponami. Odpocznie i wnet poczuje się lepiej.

Jednakże owo „wnet” rozciągało się w nieskończoność, okna sypialni królowej bywały przysłonięte do samego południa, a kiedy tłumy widywały młodziutką, nieśmiało uśmiechającą się królową przy wyjściu z zamkowej kaplicy, wydawała się bardziej do lilii niż do rozkwitającej róży podobna. Nie wadziła na dworze nikomu, nie miała swoich stronników, nie pytała nigdy o to, co dzieje się na Litwie.

Radziwił Czarny próbował kiedyś tłumaczyć jej, jak wiele spodziewa się Wielkie Księstwo po młodym władcy, jaką rolę mogłaby odegrać, odciągając go od Rzymu i otaczając się kalwinami, już podnoszącymi głowy w Wilnie, ale po jakimś czasie umilkł. Ujrzał bowiem rzecz zdumiewającą. Najpierw słuchała go uważnie, potem w osłupieniu czy też odrętwieniu, jakby nastraszył dziecko bajką o wilkołaku, wreszcie, wyciągając przed siebie obie ręce, zaczęła przyzywać zaufaną dworę:

„Kätchen! Kätchen!”

Rozmowa skończyła się niczym, musiał wyjść wyproszony przez ową Kätchen, niby przez piastunkę przepędzającą mysz z izby wystraszonego dziecięcia. Był tak zły i dotknięty tym przyjęciem, że odważył się przy kielichu poskarżyć młodemu królowi. Ale ten spojrział na niego jakoś dziwnie, jakby nie wiedział, czy coś wyjaśniać, czy lepiej wyśmiać gorliwego stronnika, wreszcie wychylił do dna pucharek miodu i mruknął:

– Tedy już wiecie, czemu mogę przysiąc siostrze waszej, Barbarze, że jestem od pobytu w Gieranojnach wierny jej ciałem i duszą. Lubicie nieśmiałe, wstydlive białogłowy, które wpadają w popłoch na samą myśl bardziej zuchwałą, a cóż dopiero na czyn? Ja – nie.

Zmrużył oczy, uśmiechnął się i dodał zjadliwie:

– Musieliście ją dzisiaj nastraszyć słowem albo czynem, skoro do obrony przywoływała

swoją zausznice, ową Kätchen.

Radziwiłł przestraszył się tak, że omal sam nie wyciągnął sztywnych rąk i nie zawrzasnął „Kätchen”. Ale dostrzegł w porę dziwny uśmiech na wargach króla.

– A bodajbym szczeł – rzekł – jeślim chciał ją nastraszyć. O polityce gadać wydało mi się słusznym z królewską małżonką. Ale widzę, że mówię rzeczy dla niej niepojęte.

Zygmunt August zmarszczył brwi.

– Naprawdę nie wiecie – rzekł – że na wileńskim dworze roi się od zauszników królowej matki, a także agentów Habsburgów i Hohenzollernów? Owa Kätchen – na usługach rzymskiego króla. Dworzanin Tarło, jak mi ostatnio doniesiono, agent pruskiego Albrechta. I wy sądzicie, że małżonka moja nie powtórzyłaby wszystkiego swojej służce? Rad jestem, że się was niby dzikiego zwierza przelęka. Że nie wysłuchała do końca.

– Darujcie, miłościwy panie – kajał się szczerze Radziwiłł. – Już nigdy więcej. Niech sobie słabuje na stronie, nic o naszych zamysłach nie wiedząca. Czy Wasza Królewska Mość sądzi, że zapamięta, co mówił?

Spodziewał się różnych odpowiedzi, tylko nie wybuchu gorzkiego śmiechu:

– Ona? Właśnie po owych atakach lęku śpi tak mocno jak po wywarze z maku. A kiedy się budzi, o niczym, co było przedtem, nie pamięta.

Czarny pokręcił głową, ale już nie pytał o nic, za to król dodał:

– Powtórzcie waszej siostrze, co rzekł o królowej. I powiedzcie, że pod koniec tygodnia wyjadę na polowanie do Rudnik. Niech tam zjedzie w zamkniętej karocy.

Wstał i wyszedł z komnaty, ale Radziwiłł został. Klnąc szpetnie pod nosem, sięgnął po dzban z miodem, a choć był na co dzień umiarkowany w picciu, tego wieczora spił się jak obozowy ciura.

*

W jakiś czas później o zachodzie słońca kryta kolaska zajęchała przed myśliwski zameczek w Rudnickiej Puszczy. Nie było przy niej żadnej straży ani pacholków, sam Dowojna pomógł wysiąść z karety zakwefionej niewieście. Wbiegła pośpiesznie do wnętrza i bez żadnej pomocy zaczęła zrzucać z siebie ciężkie futra, jako że mróz przyszedł wcześniej niż zwykle i lasy były już pod śniegiem. Ledwo szuba opadła na podłogę, drzwi do przedsionka otwarły się z trzaskiem i z komnat wybiegł Zygmunt August. Chwilę patrzyli na siebie, jakby nie dowierzając, że patrzeć mogą, po czym król przyciągnął kochankę ku sobie i uniósł w górę.

– Nareszcie – szepnął. – Nie mogłem się już doczekać...

Postawił ją ostrożnie na ziemi i poprowadził do dalszych komnat.

– Tak rzadko teraz bywamy razem – skarżyła się Barbara między jednym pocałunkiem a drugim. – Odkąd królowa zjechała do Wilna, za rzadko.

Prawie krzyknął:

– Nie mówcie nic! O Wilnie ani o dworze... Tu, w puszczy, jesteśmy tylko my. Wy i ja.

Zostanę w Rudnikach, jak długo zechcecie.

- To znaczy bardzo długo?
- Tak.
- Przez całą zimę? Aż do świąt?
- Przez wiele, wiele zimowych dni.
- Och...
- A także nocy...

Polowanie przeciągało się już ponad miarę. Czarny zaczynał niespokojnie wypytywać stryjecznego brata, czy nie wie, kiedy wróci do Radziwiłłowskiego dworzyszczka jego siostra, ale Rudy wzruszył tylko ramionami i powtarzał swoje:

- Złapała królewską ptaszkę i trzyma. Mocno trzyma.

Bardziej jednak, niż Radziwiłł Czarny, czekała na powrót małżonka królowa Elżbieta. Zakochana w swym królewiczu z baśni żyła myślami o nim, rozmową o najmilszym z wierną dworką. Oskarżała się często o to, że nie potrafiła przykuć go do siebie ani w Krakowie, ani w Wilnie i w marzeniach była bardziej odważna niż na jawie. Cóż, kiedy z chwilą, gdy brał ją niekiedy w objęcia, zapadała zaraz w jakąś przepaść bez dna, w sen, z którego budziła się nie pamiętająca ani zaznanych pieścizot, ani pocałunków.

– Kochaliśmy się tej nocy, prawda? – pytała niekiedy Kätchen, ale ta twierdziła, że nie przystoi jej być w komnacie, gdy król raczy odwiedzać małżonkę.

I zostawiała młodą panią w niepewności: rad był z niej August czy też nie, skoro wyjeżdżał tak często? Przed samymi świątami Bożego Narodzenia pytała co ranka:

- Już jest?
- Jeszcze nie powrócił – słyszała wciąż tę samą odpowiedź.
- Myślałam: tu, w Wilnie, daleko od złych oczu królowej, będzie inaczej. Ale wciąż tylko wypatruję, liczę dni. I jestem sama, sama.

– Może poprosić o wstawiennictwo siostrę króla, węgierską Izabelę? Kochają się wielce, ona mogłaby może...

- Nie, nie!
- Tedy napisać o tym do Wiednia? – nastawała dworka.
- Nie! Żadnych skarg, żadnych listów o pomoc... – I nagle spytała:
- To daleko ta Puszcza Rudnicka, w której on poluje?
- Daleko. Musicie, najjaśniejsza pani, uzbroić się w cierpliwość.
- Ależ ja jestem bardzo cierpliwa – westchnęła. – Czekam, kiedy wróci. Ciągle czekam...

Jednakże, choć powrócił na święta, które były huczne i aż nadto wesołe, była smutna, bo przed północą nie przychodził już do niej wcale. Miał – jak twierdził pan Dowojna – wiele spraw ważnych na głowie, objeżdżał zamki wielmożów, wiele godzin przesiadywał w bibliotece, przeglądając druki i księgi, których mu dostarczył Czarny. I dopiero wczesną wiosną, kiedy

bardzo słaba siedziała przed oknem, wygrzewając się w słońcu, usłyszała znajome kroki. Podniosła się z niejakim trudem i czekała w napięciu. On czy też któryś z dworzaków? Ale to był król i zrobiła parę kroków w jego stronę, mówiąc:

– Wy tutaj? Jakżem rada!

– Pożegnać się chciałem przed wyjazdem na Wawel – odparł, schylając głowę.

– Tedy prawda, co mówiła Kättrina? Posłowie mojego ojca przywieźli wreszcie posag?

– Część tylko, w srebrze i złocie. Ale odebrać i pokwitować trzeba.

– A ja? – spytała bez tchu. – Nie mogłabym pojechać z wami?

– Pytałem medyków. Mówią, że wielki Hipokrates ongiś całą księgę napisał o dolegliwości takiej, jak wasza. Ale leczyć jej nie nauczył. I do dziś jedno tylko wiadomo: każde wzruszenie czy zmęczenie, nawet najmniejsze, może zaszkodzić. Odradzają podróż.

Powiedziała z nie tajonym smutkiem:

– Staram się zrozumieć, ale serce pęka.

– Ani chwili nie zabawię ponad czas konieczny do spotkania z posłami – zapewnił.

– Obiecujecie?

– Tak. Bywajcie zdrowi.

– I wy, panie mój. Chciałabym jeszcze... Tak bardzo bym chciała powiedzieć... O, mein Gott! Kättrin! Kättrin!

Odwróciła się, zrobiła parę kroków w stronę nadbiegającej powiernicy i padła na jej ręce, sztywniejąc w ataku. August podszedł do okna i chwilę czekał. Ale atak nie mijał, odwrócił się tedy i wyszedł bez słowa.

*

Na Wawelu nie zmieniło się z pozoru nic. Stary król chorzał i prawie nie opuszczał swoich komnat, wszystkie nici zbiegały się w rękach Bony. Tkała ona swoją sieć, w którą zamierzała złowić wielu przeciwników, ale także i jego – swego ulubieńca. Po serdecznym przywitaniu zaczęła wypytywać go o prawdziwy powód przyjazdu.

– Czego właściwie chcesz? Część posagu dostałeś. Co jeszcze? Bo chyba nie po to zjechałeś do Krakowa, żeby wyjaśnić, dlaczego srebrna kołyska jest ciągle pusta? O tym ćwierkają już wszystkie wróble na Litwie i w Koronie.

– Istotnie. Elżbieta coraz bardziej chora i coraz słabsza – przyznał.

– Za to oczy Barbary z Radziwiłłów błyszczą coraz mocniej – stwierdziła złośliwie.

– Wiecie już?

– O Dio! Któż by nie wiedział? Zamieszkałeś w dolnym zamku z Elżbietą. Si. Ale nie miałeś czasu ani dla niej, ani dla mnie, bo spędziłeś w ostatnim roku aż dwieście dni na łowach. Liczyłam i wiem. Wiem wszystko. W głębi puszczy, w Rudnikach, stoi myśliwski zamek. Wieczorami zajeżdża przed ganek kareta i wysiada z niej zakwefiona niewiasta... Te nocne odwiedziny miały być tajemnicą hosudara, ale na Litwie mówią wszyscy, że ową niewiastą jest wojewodzina trocka.

– Elżbieta nie wie o niczym. I to tylko powinno być ważne. Także przez wzgląd na miłościwego pana.

– A przez wzgląd na mnie?

– Was, miłościwa pani, prosić muszę o to, co jest należne mojej małżonce.

Udała, że nie rozumie.

– Ma dwór własny, jest wielką księżną litewską. Co mnie do niej i o co mógłbyś prosić?

– Jednakże jest o co – rzekł. – O podzielenie się z nią dobrami polskich królowych.

– Jak to? Mam oddać, com dostała od króla? – Tym razem była zdumiona naprawdę. – Czym zasłużyła na to? I czemu? Mam tracić ja, bo ona wciąż jeszcze nie dostała całego posagu?

– Otrzyma resztę niebawem, jak obiecali posłowie rzymskiego króla. Ale przypominają mi panowie litewscy, że w Polsce, czego dotychczas jeszcze nie bywało, są teraz dwie królowe. Tedy sprawiedliwość wymaga, aby każda z nich miała należną jej oprawę.

Patrzyła na niego, jakby postradał rozum.

– Santa Madonna! Te dobra zostały zagospodarowane przeze mnie. I wszyscy wiedzą, że doprowadzone do kwitnącego stanu tylko moją zasługą.

– Tym lepiej – mruknął.

– A? Bo będziesz miał za co zaspokajać nową namiętność – wybuchła. – Kupować heretyckie księgi i zbiory nowinkarskich ulotek, rzadkich rękopisów? I jeszcze starczy na dary dla Radziwiłłów? Na pierścienie i perły dla wojewodziny? Nie przecz. Doniesiono mi, wiem. Ostatnio... O Dio! Opłaciłeś budowniczych pałacu dla Mikołaja Rudego i dałeś mu ex gratia sumę dwustu złotych, a czterysta – Czarnemu. A cóż to za możni panowie, którzy inaczej żyć nie umieją, jak tylko ex gratia? Z twojej wielkoksiażącej łaski?

– Mniejsza o Radziwiłłów. Mówiliśmy o dobrach należnych jako oprawa polskim królowym – odparł, siląc się na spokój.

– Ja nie mówiłam! I zapamiętaj! Nie dam nic! Nic! Nic! – krzyczała już, ciskając po kolei wszystkim, co znalazła pod ręką.

Wyszedł, pewien, że nie uzyska od matki niczego, że trzeba będzie niepokoić słabującego króla. Ale jej nie docenił. Szalała z gniewu i żalu przez cały wieczór, jednakże skoro świt kazała wezwać do swej sypialni Pappacodę i przeglądała uważnie przyniesione przez niego papiery, królewskie nadania, rachunki. Potem, z nim razem, pochyliła się nad mapą, którą przywiozła z Italii. Rozgniewała ją niedokładność tego dawniej tak podziwianego rysunku, posłała więc po jednego z sekretarzy kancelarii królewskiej i wypytywała go długo o miasta i miasteczka Mazowsza. Wreszcie, dowiedziawszy się, że król skończył poobiednią drzemkę, zjawiła się w jego komnacie.

Zygmunt Stary pólleżał w łożnicy oparty o poduszki i słuchał krotochwilnej opowieści Stańczyka. Kazała błaznowi wyjść i od razu przystąpiła do rzeczy.

– Słyszałam, że już od rana rozmawiał z wami August?

– Przyszedł się tylko przywitać, pokłonić – odpowiedział wykrętnie król.

– Mnie także, ale wyznał przy tym, czego chce dla Elżbiety. Wiecie już? Czy też...

– Wiem – uciął krótko.

– Twierdzi, że naciskają na niego litewscy wielmoże. Bene. A wy? Coście mu rzekli?

Odpowiedział nie od razu, ale głosem mocnym:

– Że istotnie jest teraz, jak nigdy nie bywało. Tedy pogadam z wami, wyjaśnię, że na obie królowe te same ziemie przypaść muszą.

– A? – Zaczerwieniła się, potem pobladła. – Tedy muszę ustąpić?

– Wedle waszej woli dwóch królów podzieliło się jedną Rzeczpospolitą, tedy i obie królowe dzielić się winny tym, co dałem jednej.

Wypomniał jej wyniesienie na tron dziesięciolatka, jak ona jemu tajny pochówek Olbrachta. Pókiż tego? Musi go zaskoczyć, pokonać, zmusić raz jeszcze do uznania jej woli. Powiedziała pozornie przekonana:

– Skoro tak miłujecie Elżbietę, że dacie jej oprawę, której domaga się August, stawiam warunek: w zamian za te dobra litewskie, które jej odstąpię, oddacie mi Warszawę, Czersk, Płock, Grójec, Garwolin, Piaseczno, Wyszogród i Ciechanów.

– Na Boga! Ależ to prawie całe Mazowsze! – zdumiał się i zgorszył.

– Nie, nie całe. Trzydzieści pięć miast, dwieście pięćdziesiąt trzy wsie i dwieście trzydzieści młynów.

– Miast tam aż tyle? Muszę zastanowić się, rozważyć. Żądacie chyba za wiele...

– Ja? To przecież umiłowana synowa wasza, Elżbieta, domaga się uposażenia należnego polskiej królowej, a także...

– Dosyć! – przerwał. – Nie chcę słyszeć ani słowa przeciwko niej!

– Ależ tak. Ani słowa. – I dodała po chwili: – Mówiłam już z kanclerzem. Obiecał przygotować akta oprawy na Mazowszu i przedstawić je waszej miłości.

Głowa króla bezsilnie opadła na poduszki. Czuł się zmęczony, niezdolny do sporów, do odpierania ataków. Ale w tej samej chwili zameldowano ponownie Zygmunta Augusta. Stropił się, zobaczywszy królową przy łożu ojca, jednakże rzekł, że wrócił po obiecaną odpowiedź.

– Dobrze, że jesteś – uśmiechnął się słabo Zygmunt. – Rozważaliśmy właśnie sprawę oprawy dla twojej małżonki. I, za zgodą wspólną, przydzielimy jej część dóbr leżących najbliżej Wilna.

– Rad jestem wielce – skłonił głowę August.

– Zostań, nie wychodź. Mówiliśmy o posagu Elżbiety, o oprawie dla młodej królowej, a nic o niej samej. Jakże się ma córuchna najmilsza? Miałaś od niej gońca?

Młody król odparł bez wahania:

– Nie. Ale jestem tu od niedawna...

– Szkoda – szepnął Zygmunt. – Rad bym wiedzieć, czy zdrowsza, czy ucieszyła się z otrzymania części sum posagowych? – I dodał, zwracając się do Bony z nutką ironii w głosie: – Wasi ludzie niczego wam nie donieśli? Nic nie wiedzą?

Postanowiła, zyskawszy dziś od małżonka aż tyle, nie przywozić go do gniewu kłamstwem.

– Nie – odparła. – Kiedy młody król jest tutaj, Hlebowicz nie śle gońców.

– Tedy trzeba pchnąć kogoś do Wilna. Zanim August wyjedzie, chcę wiedzieć, jak zdrowie mojej synowej.

– Brak wieści zwykle dobrze wróży – uśmiechnęła się pogodnie. – Jednakże wyślę posłańca.

Ale w tej samej chwili drzwi otwarły się szeroko i do sypialni wszedł kanclerz wielki koronny Maciejowski z ochmistrem Wolskim.

– Wydaje mi się, że nie wzywał nikogo? – zmarszczył brwi król.

– Najjaśniejszy panie! Przynosimy wieść bolesną i ważną – zaczął kanclerz.

Bona poruszyła się gwałtownie.

– O Dio! Izabela?

– Nie, jest wiadomość z Wilna – odpadł Maciejowski. – Młoda królowa...

– Królowa Elżbieta... – dodał Wolski.

– Zaniemogła?

– Wypowiedzieć trudno...

– Módlmy się za jej duszę – szepnął kanclerz. – Zmarła nagle.

Król usiadł w łożu.

– Powtórzcie.

– Zmarła w dniu piętnastym czerwca po dziesięciogodzinnym ataku konwulsji.

– Mój Boże! Elżbieta... – I zwrócił się do syna: – Jak to może być? Mówiłeś, żeś zostawił ją w dość dobrym zdrowiu? Do nóg się nam kłaniała i słała pozdrowienia.

– Tak było, ale trzy niedziele temu. Nie rozumiem, co się mogło wydarzyć?

– Nie wiesz? – zdziwiła się Bona.

– Tym gorzej! Wyjedziesz natychmiast i dasz nam znać! – rozkazywał król. – Posłowie niemieccy jeszcze tu są, dochodzić będą prawdy.

– Słów mi braknie. Była chora, tak, ale nie sądziłem... – tłumaczył się August.

– Nie do wiary. Tak długi atak... I zgon tak nagły? – dziwił się król.

Długie milczenie przerwała Bona.

– Istotnie, ciężko doświadcza nas Pan. Ale czyż dzień piętnastego czerwca nie jest dniem świętego Wita, patrona wielkiej choroby? Może chciał oszczędzić jej – dalszych cierpień i, litując się nad młódką, zabrał ją do siebie?

Po raz pierwszy mówiono publicznie o niedomaganiu Elżbiety i obaj dygnitarze spuścili oczy. August gryzł wargę, tylko stary król rzekł, wzruszony głęboko:

– Mała Elżbietka... To nie o spokój jej duszy, ale do niej modły wznosić będziem. Więc aż tak chora była? Nie myślałem, że aż tak... Chciałbym... Chciałbym zostać z młodym królem sam. Zupełnie sam.

Wszyscy skłonili się obu władcom i wyszli. Mijając przyległą komnatę i idąc korytarzem królowa spostrzegła, jak dwukrotnie na jej widok przyskała gromadka stłoczonych, plotkujących dworzan. Mijając trzecią grupkę, usłyszała szepty:

– Trucizna. Otruta. Otruta...

Przyspieszyła kroku i po wejściu do swojej sypialni przekręciła klucz w drzwiach. Klasnęła w dłoń, pytając wchodzącą Marinę:

– Już wiesz?

– Słyszałam wiadomość o nagłym zgonie. I... szepty o otruciu – przyznała dworka.

– Otruciu? Czym? Przecież jej służka, Katarzyna, karmiła ją jak dziecko. Sama. Zawsze sama!

– Można też otruć lekarstwem. Ziołami...

– Basta! Trzeba zaprzeczać i drwić z głupich posądzeń! Dobrze znam Marsupina i Langa. Gotowi roznieść tę plotkę po całym Wiedniu, po całej Europie. Przypomnieć teraz o dziwnej śmierci książąt mazowieckich.

– To szczęście, że Langa nie było w Wilnie – przyznała Marina.

– Si. Nie może mieć żadnej pewności! Same podejrzenia, domysły... – Zamyśliła się, dodała: – I dzień świętego Wita... Zdumiewające, że zmarła właśnie tego dnia.

– Wiedzieliśmy, że nie pożyje długo.

– My. Ale nie król i nie moi wrogowie. Oby ich pochłonęło piekło! Ale ważne nie to, nie to. O Dio! Kiedy pomyślę, że August jest wolny! Że wszystkie przegrane potyczki niczym są wobec tej walnej bitwy, którą przyjdzie teraz stoczyć o nowe śluby. Tym razem po mojej myśli, z francuską królową.

Marina spojrzała na nią zdumiona.

– Najjaśniejszą pani nie porzuciła tego zamiaru?

– Sicuramente no! To wspinała dziewczyną. Zdrowa. Da nam nareszcie upragnionego następcę tronu, dziedzica korony.

– Miłościwej pani nie zniechęciły ostatnie dwa lata? Tak trudne?

Z kolei zdziwiła się królowa.

– Zniechęcić? Mnie? Perché? Liczy się rozstrzygająca bitwa. Tylko – ona. A ja jestem jeszcze dość silna i nie ustąpię tak łatwo z pola walki. No! Ancora no!

Zygmunt August wyjechał z Krakowa następnego dnia, nie ukrywając przed posłami z Wiednia ciężkich i częstych ataków chorobowych młodej królowej w kwietniu, a także w maju.

Żegnał ją już bardzo osłabłą, jednakże medyk nie przewidywał rychłego rozstania się Elżbiety ze światem. Mówił, że tak słabując, żyć może jeszcze parę lat. Nie powiedział tylko posłom, że w maju, usłyszawszy te słowa z ust nadwornego lekarza, zaczął zastanawiać się nad tym, czy nie zażądać rozwodu z beznadziejnie chorą, bezpłodną małżonką? Mógł pojąć inną i doczekać się upragnionego przez ojca wnuka. Barbara? Zostałaby przy nim i tak. Związani byli ze sobą bardzo mocno i nowe śluby, z czysto politycznych względów zawarte, śluby dla dobra dynastii, nie mogły ani pomniejszyć, ani przekreślić tej namiętności wciąż wielkiej, tej miłości coraz czulszej, głębszej...

*

Za trumną młodziutkiej królowej szło całe Wilno. Widywano ją mało, ale każdy słyszał o kruchości tej cesarskiej bratanicy, o jej cierpliwym znoszeniu nie znanej na Litwie choroby, a także o niewierności małżonka. Bo dwór Augusta był zbyt liczny, aby dały się ukryć długie tygodnie spędzane przez króla na łowach i odwiedziny myśliwskich zameczków przez wdowę po Gasztołdzie. Żony litewskich wielmożów okazywały tedy żal za mało im znaną królową i nie ukrywały niechęci czy też zazdrości w stosunku do aż nazbyt dobrze im znanej wojewodziny trockiej. Natomiast wieść o otruciu dotarła tu już z Krakowa i młody król miał prawo myśleć, że ta plotka obiegała Wawel za sprawą posłów króla Ferdynanda, że to Wiedeń usiłował uczynić z Bony trucicielkę. Na razie nie przywiązywał wagi do tej wieści, uważał ją za zwykłe oszczerstwo. Ale Radziwiłłowie chętnie podjęli rękawicę i imię znieawidzonej przez możnowładców starej królowej znalazło się nagle na ustach całej Litwy. Do dawnych niechęci doszła obawa, że teraz, gdy Elżbieta nie żyje, Bona obejmie z powrotem swoje dobra wileńskie i przyległe puszcze. Wściekało ich także, że przestaje być królową starą, że powraca do dawnego tytułu regina Poloniae, jako jedyna koronowana władczyni i małżonka tego, który nie pozwolił synowi zwać się „supremus dux Lithuaniae”. Zagrożenie mogło być tak wielkie, że warto było rozdmuchać nawet najmniejszą, głupią plotkę. I choć wiedzieli wszyscy, że Katarzyna Hölzelin szła, gorzko płacząc za trumną swej pani, i przysięgała, że nie opuszczała jej nigdy ani na jedną chwilę, że widziała, jak słabnie z tygodnia na tydzień, z godziny na godzinę, Radziwiłłowscy dworacy zaczęli szeptać, że i ona dziwiła się tej nagłej, zgoła niezrozumiałej śmierci. Że wspominała najbliższym o jadowym smoku Sforzów. Kim byli ci najbliżsi? Tego nikt nie mógł dociec, ponieważ Katarzyna opuściła Wilno razem z królewskim poselstwem z Wiednia, przybyłym w sierpniu na pogrzeb. I tak po dniu dwudziestym czwartym augusta, kiedy ciało królowej spoczęło w krypcie katedry, obok króla Aleksandra, brata Zygmunta Starego, plotka nasiliła się, nabrała rumieńców i zwróciła swoje ostrze przeciw zaborczej, krzywdzącej wielmożów oraz ruskich bojarów Bonie. I już od następnej wiosny wszędzie tam, gdzie pospólstwo chwaliło sobie sprawiedliwe rządy hosudaryni, gdzie lud nazywał wzgórze nad Krzemieńcem Górą Królowej Bony, a zamki wznoszone nad granicą wschodnią – jej imieniem, pojawili się starzy lirnicy i młodszy od nich kuglarze, śpiewający o złej władczyni, królowej-trucicielce, której posłuszne są nawet jadowite zmije. I to, co na zachodzie Europy głosili ciszej i ostrożniej zauszniczy Habsburgów, głośną falą wieści gminnej przetoczyło się przez Litwę, Wołyń i Polesie. Otruta... Młoda królowa zmarła otruta przez matkę swojego męża. Nie, on nie był w zмовie, to tylko ona, z krwi obcej, w italskiej sztuce trucicielskiej biegła, ona sama, królowa Bona, znowu tutejsza hosudaryni...

To, że Habsburżanka nie zdążyła przed śmiercią wejść w posiadanie części oprawy polskiej królowej, że nie działała niczego, nie odgrywało w tych bajaniach żadnej roli. O ile ciekawiej było słuchać klechdy o okrutnej świerze i złej matce, bo jakże by wielki książę litewski miał nie kochać tak urodziwej, dobrej, młodej żony?

On tymczasem, nieświadom jeszcze tych wszystkich intryg i oszczerstw, spędzał drugą połowę czterdziestego piątego roku na rozmowach z nowym poselstwem króla Ferdynanda, który mniej bolał nad utratą córki niż części jej posagu i teraz żądał zwrotu wypłaconych zbyt pośpiesznie sum oraz klejnotów.

W tej sprawie August radził się nawet matki, jak postąpiłaby na jego miejscu i co mówią o tym znawcy prawa z kancelarii królewskiej, ale Bona w tym czasie była przejęta chorobą i śmiercią swego stronnika, arcybiskupa Gamrata, zleciła tedy załatwienie spraw spadku kanclerzowi. I tak niemal jednocześnie żałobą okryło się Wilno i Kraków. Strata prymasa, najbliższego współpracownika, opiekuna humanistów i sławnego bibliofila, była dla królowej ciosem także i z innego względu. Po Gamracie została nie tylko żartobliwa nazwa dla kobiet z jego dworu, które zwano pogardliwie gamratkami, lecz także na Wawelu niczym nie zastąpiona pustka. Z Kmitą i właśnie z prymasem Bona tworzyła silny triumwirat, zabiegała o wzmocnienie królewskiej władzy. Wraz z nimi bolała nad zniedołężnieniem Zygmunta, wspólnie potępiała sejm, który znowu odmówił przeprowadzenia reformy skarbu i wojska. Te sprawy zaprzętały ją całkowicie, a że własne dochody wzrosły po uzyskaniu zgody na objęcie Mazowsza, było jej dość obojętne, czy August zwróci, czy też nie, klejnoty po zmarłej. Miał ich chyba sam dosyć, skoro Boner opowiadał o licznych, bezcennych zbrojach, o kolekcjach starych monet oraz drogich kamieni, na które August musiał zapożyczyć się u królewskiego bankiera.

Jeżeli jednak na czas jakiś przestała czuwać nad każdym krokiem syna, nie zaprzestali tego czynić jej wierni słudzy w Wilnie. I tak doniesiono królowej, że agent Albrechta pruskiego, Gabryel Tarło, pozorując przyjaźń i życzliwość dla osieroconego monarchy, proponował mu zawarcie nowego związku małżeńskiego. Kandydatką księcia Albrechta była jego własna córka, młodzianka Anna Zofia. Tarło zapewniał o zgodzie Wawelu i para książęca w Królewcu oczekiwała już oficjalnego poselstwa z Wilna, jednakże August wciąż zwlekał, dawał odpowiedzi wykrętne, aż wreszcie Tarło spytał go wręcz, ile jest prawdy w pogłoskach o zamiarze poślubienia przez niego Barbary z Radziwiłłów. Ku radości Bony posłaniec przywiózł jej list, z którego wynikało, że młody król rzekomo miał odpowiedzieć Tarle tak: „Pan Bóg, jak go o to co dnia proszę, nie dopuści mnie do tego upadku, bym miał źle użyć swego rozumu”. Czy to była dosłowna wypowiedź syna, tego królowa nie była pewna, jednakże świadczyła o jego zdrowym rozsądku i szacunku dla korony. Rzecz inna, że po odesłaniu Ostoi nikt prócz Hlebowicza nie wiedział, co naprawdę zamyślają Radziwiłłowie i do czego namawiają Augusta w czasie długich biesiad i częstych łowów.



Przez rok po śmierci Elżbiety Czarny zajmował się głównie polityką i król miał więcej czasu dla Barbary oraz, czego Bona domyślać się nie mogła, dla Frycza Modrzewskiego, który zjechał do królewskiego zamku przywożąc ze sobą wiele rękopisów i część biblioteki Erazma z Rotterdamu. Wiedział, że August zaczął w tym czasie zbierać cenne wolumina i że w jego

księgozbiornie znajduje się przeszło tysiąc ksiąg oprawnych w kosztowny biały pergamin. Odtąd w wileńskiej bibliotece młodego króla pochylali się obaj tak często nad kartami owych rzadkich dzieł, że Modrzewski nabrał odwagi i zwierzył się kiedyś, że nie spocznie, dopóki nie napisze nie tylko o niesprawiedliwych prawach w Rzeczypospolitej, lecz także o jej naprawie od podstaw.

– Chyba wiesz jednak – zapytał król – że wielki Erazm pisał do mojego dostojnego ojca, iż naród nasz w naukach, prawach i sztuce tak kwitnie, iż w zawody stanąć może z narodami najbardziej znakomitymi?

– Znam te słowa. Ale to było przed paru laty. Dziś wszystko zmienia się na gorsze w naszym królestwie.

– W samej rzeczy – zadrwił August. – Buduje się Kraków, kwitnie akademia, panięta tłumnie ciągną na naukę do Bolonii i Padwy „po rozum z Italii”, a wśród poetów słynie pan Rej z Nagłowic...

– Tym smutniej, miłościwy panie – odparł Frycz. – Kiedy u góry kwitną sztuki pospołu z nauką, źle jest, że taka niesprawiedliwość, taka krzywda dzieje się korzeniom i...

– Gorycz przez ciebie przemawia – przerwał mu August.

– To wam, miłościwy panie, a przyszły królu, gorzko być powinno.

I w was cała nadzieja. Bo nie może to być, żeby złe prawa nie doznały podmiiany. Wiemy wszyscy: dziś Wisła tylko pańskim zbożem płynie, szarakom utrudnia się spław. Panowie powiększają folwarki, włączają do swoich dóbr kmiece łany. Nie mówię już o tym, że insze kary dla prostaczków, insze dla szlachetnie urodzonych. A przecie nie samymi panami kwitnie Rzeczpospolita. Ojczyzna powinna być jednaka. Dla wszystkich!

– Amen – szepnął August.

– Czy to oznacza... Czy ośmiela mnie wasza miłość, abym o tym pisał? Drukował rozprawę o naprawie Rzeczypospolitej?

– Walcz, jak chcesz: słowem, piórem. Jeno pamiętaj: na poprzednim sejmie nikt nie chciał obradować nad karami za mężobójstwo, o których pisałeś uprzednio.

Modrzewski skinął głową.

– Wiem. Ale przed nami nowy sejm w Piotrkowie, a po nim będą inne. Miłościwy panie! Najważniejsze, że nie powiedzieliście „nie”.

Zygmunt August przyglądał się Fryczowi z łaskawym pobłażaniem, jak ongiś Andrzej Krzycki. I wyrzekł niemal te same słowa:

– Mnie rzuca kłody pod nogi czasami król, często królowa. Ty – ciskasz je sobie zawsze sam. Cui bono? Chodź, pokaż mi lepiej te przywiezione do nas, zakazane przez Kościół heretyckie druki...

Barbara nie brała żadnego udziału w tych rozmowach, ale nie mogła się uskarżać na zaniedbywanie jej przez Augusta. Przeciwnie, ich związek umacniał się, przestał być dworską miłościwą i znaczył tak wiele dla obojga, że król myślał z niechęcią o zawarciu dla dobra dynastii nowych ślubów, jej zaś myśl dzielenia się kochankiem wydawała się wstrętą, nie do zniesienia.

Czuła po raz pierwszy, że jest w niewoli, że utraciła płochość zwodnicy, zalotność kochanki. I kiedy Mikołaj Czarny zaczął jej przyganiać, że straci króla, jeśli będzie nadal tak uległa, tak łatwa, spytała, co ma uczynić, aby go zatrzymać.

– Zmusić do małżeństwa – usłyszała radę brata.

Wydał się jej ten pomysł nie do przyjęcia, zbyt zuchwały, aby mogła się odważyć mówić o tym z Augustem, zbyt trudny dla niej, nie nawykłej do intryg i podstępów. Ale Czarny zapewnił, że już porozumiał się z Rudym i że jeszcze przed nocą kupały zmuszą króla do dokonania wyboru: obca księżniczka czy też litewska wojewodzina?

– Niech się zdeklaruje. Przystanie z Tarłą rozprawiać o urodzie Albrechtowej córki i rozczytywać się w listach królowej matki, sławiących piękność Francuzki. Tyś nie mniej urodziwa od tamtych, a przez niego za mąż wyjść nie możesz, bo królewski gaszek zalotników odstrasza. I to już od trzech lat!

– Tedy co mam czynić? – pytała.

– Braci we wszystkim słuchać, zamkniemy was w pałacu i do końca czerwca nie spuścimy z oczu. Niech obieca, że widywać wojewodzinę trochę zaprzestanie, nie będzie więcej ludzi gorszyć, Radziwiłłów obrażać. A w nim, wiadomo, krew nie woda. Prędko zatęskni za waszymi wdziękami, za waszym zachwytem nieustannym. – A nie zatęskni – wasza to będzie wina i słabość. Dajemy wam z bratem czas do dwudziestego czwartego czerwca. Noc świętojańska – jeszcze wasza. I waszą będzie rzeczą doprowadzić lubego do takiego wrzenia, nienasytości takiej, aby potem bez was czas dłużył się jemu w nieskończoność, aby przestały go bawić łowy, księgi, jeno żeby palce gryzł i tęskno ku waszemu dworowi spoglądał.

– A tajne przejście? – spytała szeptem.

– Między waszym pałacem a jego? Tylko my o nim wiemy i on. Zobaczym, czy zwalczy pokusę. Niech sam rozstrzyga: może żyć bez was, czy też nie potrafi? A dla was to chyba nie pierwszozna serca na próbę wystawiać...

Przeraziła się, pobladła.

– Ale nie jego serce! – krzyknęła. – Jest moje i chce, nade wszystko chcę, aby moim pozostało.

– Tedy zdajcie się na nas. Co chcecie róbcie, wlewajcie mu lubczyku do napojów, byle do owej czerwcowej nocy. Potem już jeno będziecie mogli wzdychać a tęsknić...

*

Tego samego dnia, kiedy posłaniec przywiózł na Wawel tak długo oczekiwane przez królową sprawozdanie Pana Hlebowicza, król Zygmunt, siedząc w głębokim fotelu z nogami okrytymi futrem, słuchał nie dość uważnie raportu wielkiego kanclerza koronnego. Wreszcie wyraźnie znudzony odsunął na bok papiery podsuwane mu przez Maciejowskiego i rzekł:

– Nie. Dziś nie. Przeczytać to muszę a oczy nadto bołą. Jutro. A może... Może teraz zagralibyście ze mną w karty.

– Skoro taka wola miłościwego pana...

– Nie wola, ochota. Stańczyk! Stolik do kart. A żywo!

– Kogo wołać do gry? – zapytał trefniś.

– Nikogo! Nikogo! Rad jestem, że tu tylko wy i zbroje przodków. Bogu chwała – puste. Na obcowanie z duchami przyjdzie i tak pora.

– Ależ najjaśniejszy pan wygląda coraz lepiej... – zaprotestował Maciejowski.

– A to już rok czterdziesty siódmy. Jutro ukończę osiemdziesiąt lat. Aż osiemdziesiąt! Żeby tak ująć ze dwadzieścia. Z dziesięć... Stańczyk! Bierz stołek i siadaj. Zagrasz z nami.

Siedli obaj i Maciejowski zaczął rozdawać karty. Po chwili monarcha ostrzegł, patrząc na Stańczyka.

– A graj rzetelnie. Bez żadnych sztuczek!

– Ja? – oburzył się trefniś. – W karty gram zawsze rzetelnie. Hm...

– Hm... – namyślał się też kanclerz.

– Nie macie co wahać się i dobierać, bo jużem wygrał – oznajmił nagle król.

– Jakże to? Tak prędko, miłościwy panie?

– Ano, trzy króle. Wykładam karty.

– Zaćmiło mnie, czy ślepnąć zaczynam – rzekł, pochylając się Stańczyk. – Bo widzę jeno dwóch. Gdzie trzeci?

– A tom właśnie ja – trzeci. Nie widzisz? – roześmiał się Zygmunt.

Ale trefniś nie dał za wygraną.

– A? Skoro tak, tom wygrał ja. Damy mam. Królowe. Wszystkie.

– Wszystkie? Ejże? – nie dowierzał Zygmunt Stary. – Pokaż?

Stańczyk położył na stoliku trzy damy i oznajmił triumfalnie:

– Oto są.

– Trzy. Gdzie czwarta? – protestował król.

Stańczyk parsknął śmiechem.

– Tę zawdy na sercu noszę.

Wyjął spod oponczy i położył obok tamtych kartonik z naklejonym na nim herbem Bony.

Kanclerz oburzył się:

– Miałeś rzetelnie grać! A to sztuczka, i zgoła głupia. Smok, nie królowa.

Zygmunt milczał, ale i on ciekaw był odpowiedzi.

– A dziecię trzymane w zębach? – zapytał błazen. – Nie królewicz to, jeno królowna w niewieścich szatkach. Tedy, kto wie? Ani chybi przyszła królowa.

Spojrzał na otwierające się drzwi i dodał:

– A może obecnie nam miłościwie panująca najjaśniejsza pani?

Królowa weszła i niechętnym okiem spojrzała na Stańczyka.

– Incredible! Gdziekolwiek wejdem, mówią o mnie. O co chodzi? Ale trefniś zdążył już schować kartonik z namalowanym smokiem Sforzów i rzekł, udając pokorę:

– Chwalić się ośmieliłem, że wygrałem, bo miałem królowe w ręku.

Zygmunt nagle zmarszczył brwi i rzekł gniewnie:

– Zabieraj karty. Starczy zabawy i figłów.

– Widzę, że Wasza Królewska Mość czuje się dziś lepiej – zaczęła Bona, gdy trefniś wybiegł z komnaty. – Radam wielce, bo ze skargą przychodzę.

– Nie do wiary! Wy i skarga? – zdumiał się król. – Nie potraficie rozsądzić sami? Ukarać winnych? Tedy słucham, słucham. Kto przewinił?

– Hlebowicz – stwierdziła głosem zapowiadającym burzę.

– Hlebowicz? – zdziwił się kanclerz.

– Miał stać raporty o tym, co się dzieje w Wilnie. A kluczy, próbuje tłumaczyć...

– Kogo? – zapytał król.

– Jak to – kogo? Augusta. Liczyłam, że pogrążeń w żalobie, przygnębień...

– Och! – westchnął tylko Zygmunt.

– A wojewoda wileński donosi, że zaraz po pogrzebie zabrał się do przeglądu stadnin królewskich. Co gorzej – wraz z Radziwiłłem Czarnym. To teraz jego mentor.

– Cóż winien temu Hlebowicz? – dopytywał się król.

– Już drugi raz śle gońców za późno. Raz, kiedy magnus dux obsypywał łaskami na Litwie Czarnego, i teraz, kiedy donosi o stadninach, a przemilcza, że Frycz, wróciwszy z zagranicznych wojaży, zaraz do Wilna pojechał. Pomaga Augustowi zbierać stare druki. Także heretyckie księgi.

Król westchnął, rozłożył ręce.

– Cóż... August zmienił się. I jemu lat przybyło. A Modrzewski pewnie zabawi tam krótko. Czytałem tę jego rozprawę „O karze za mężobójstwo”. Nieglupia. Warto go bliżej związać z kancelarią królewską.

– Jako sekretarza? – spytał Maciejowski.

– A choćby. Niech będzie jeszcze jeden statysta, który jak Krzycki pięknie pisać potrafi.

– Ale Hlebowicza należy zganić! – upierała się królowa.

– August blisko, ja daleko – odparł Zygmunt. – Hlebowicz nie taki znów głupi. I zadanie ma.

– O? A ja o tym nie wiem? – zdziwiła się, zaskoczona. – Zadanie? Jakie?

– Wybadać zamiary Augusta. Wspominać często jako o nowej małżonce o córce Albrechta, Annie Zofii.

– O tej Prusaczce? Nie o księżniczce francuskiej? Incredible! Teraz, kiedy możemy związać się mocniej z Francją? Właśnie teraz?

– Tamto małżeństwo może przynieść większe korzyści jagiellońskiej monarchii. Albrecht nie ma synów, tedy z czasem wcieli się Prusy do Korony. Jak Mazowsze.

– Zawsze i wszędzie na pierwszym miejscu Albrecht! Kacierz! – wybuchła.

– Ale z tej przyczyny wstrętny teraz katolickim Habsburgom. A skoro tak jest, wam powinien być miły.

- Dobrze wiecie, że nie cierpię obu dynastii. O Dio! Znowu młoda królowa – Niemkini?
- Córka naszego lennika, mojego siostrzana, mnie miła. I starczy.
- Miłościwy panie! – błagała już Bona.
- Teraz ja powiem: basta! Zmęczonym. Niech tu przyjdą pacholki. Chcę, żeby mnie zanieśli.
- Dokąd? – dopytywał się Maciejowski.
- Taki piękny słoneczny dzień, że w komnacie usiedzieć trudno. Chciałbym jeszcze raz,

dopóki sił starcza, zobaczyć krużganki, dziedziniec, skrzydła zamkowe świeżo odbudowane. Cały Wawel...

I już po chwili wezwani pacholki usadzili monarchę na przenośnym krześle niby w lektyce. Utworzył się pochód: słudzy nieśli króla, obok niego szła Bona, przed nim biegł, lekko utykając, nieodstępny Stańczyk. Kanclerz z dworzanami postępowali tuż za lektyką. Tak przemierzali całe krużganki, wreszcie na dany znak stanęli. Król patrzył długo w dół, na arkady dziedzińca.

– Gdybyż jeszcze zadzwonił „Zygmunt” – szepnął – przypomniał mój wiek młody, wiek złoty...

– Miłościwy panie! – odezwał się kanclerz. – Dzwon głosi i głosić będzie przez wieki to, co w sercach wielu i co myślą wszyscy: „Jakie dzieło Zygmunta małością grzeszy?”

Była długa chwila milczenia, wreszcie król zapytał:

– Sądzicie, ostatek się? Ten zamek? Ten dzwon? Oby tak było. Ileż działań musiałem zdobyć na Krzyżakach, na Moskwie i przetopić, żeby tak grał! Mój Boże! Zwycięskie wyprawy! Surmy bojowe. Zdobyte sztandary rzucające pod moje nogi... Hołdy na Rynku... Jakby to było wczoraj. Nie do wiary! Myślę i czuję jak ongiś, a mam już osiemdziesiąt lat. Osiemdziesiąt...

W kilkanaście dni potem, pierwszego sierpnia, królowa zwołała naradę oddanych sobie wielmożów. Zjechał na nią wojewoda Hlebowicz, zjawili się Wolski i Kmita. Bona wspomniała najpierw ze smutkiem o nieobecności nieodżałowanej pamięci Gamrata, po czym przyznała, że chciałaby omówić z najwierniejszymi podporami tronu plany drugiego ożenku Zygmunta Augusta. Nie zaskoczyła tym nikogo, a Kmita odważył się nawet rzec z lekką drwiną:

– Mamy radzić, kiedy już głośno o tym, że najjaśniejszy pan pragnie mieć za synową córkę księcia Albrechta.

– Już głośno? – spytała z niezadowoleniem. – Oto skutki rządów senackich. Król nie może zrobić kroku bez Panów Rada...

– A może nie chce? – zapytał Kmita.

– Non importa. Panowie, owszem, radzą, ale też gadają między sobą. Gorzej, na obce dwory sła listy. Skutek: żadnej tajemnicy państwowej utrzymać się nie da. O Dio! Który polski władca będzie wreszcie rozstrzygał sam! Sam! I kiedy?

– Myślę – odezwał się Hlebowicz – że znajdzie się taki, i to prędko. Ale zanim swoje powiem, śmiem zapytać: miłościwa pani będzie przeciwna kandydatce króla jegomości?

– Wystawię swoją, nie gorszą. Niech August wybiera między Anną Zofią a córą Francji. Obie piękne. I obie – zdrowe.

– Najjaśniejsza pani taksuje przyszłe synowe jak stadne klacze – mruknął Kmita.

– Cóż! Po to są, żeby rodzić – odparła. – Umacniać dynastię.

– Miłościwa pani... Skoro tak, jako wojewoda wileński i wasz zaufany ostrzec muszę. Młody król zajęty zgoła kim innym.

– Wiem. Nieważne! Jakaś tam siostra Radziwiłłów. Dobra do pocieszania w żałobie.

– I jam tak myślał – upierał się Hlebowicz. – Ale dux Lithuaniae nie taki jak jego ojciec. Zwykł wszystkiemu zaprzeczać, kryć się ze swoimi myślami, uczynkami. Dopiero teraz, po pogrzebie małżonki, kazał połączyć tajnym przejściem dolny zamek z Radziwiłłowskim pałacem.

– Przejściem? Tajnym? – powtórzyła ze zdumieniem królowa.

– A czemuż nie ma chuciom dogadzać – rzekł Kmita. – Słyszałem, że owa Barbara to nierządnicą. Gadają także, że jej starsza siostra Anna, choć jeszcze w stanie panieńskim, już troje dzieci ma. Matka pono też nie z cnoty słynie. Jabłko niedaleko pada od jabłoni.

– A ona? Zdradzała już Gasztołda? Wiarołomna? – dopytywała się Bona.

– Tak mówią – przyznał Hlebowicz. – Cóż, obyczaje u nas, na Litwie, dużo swobodniejsze. Jeszcze przed kilkunastu laty król jegomość musiał wydać ustawę przeciw zwodnikom i zwodnikom, którzy „żony od siebie odhaniajut, nie wiencajutsia i deti mewajut”. Także przygarnął tym na Żmudzi, co do dziś oddają cześć boską dębom, ruczajom, wężom, Perkunasowi – gromowładcy i czczą dusze zmarłych nagrobnymi ucztami. Litwa, miłościwa pani, to nie Korona.

– Tak czy owak, mówią, że owa zwodnica nie nasyconej jest żądzy i że miał ją po śmierci wojewody, zgoła kto chciał – upierał się Kmita.

– Prawda to? – zwróciła się królowa do Hlebowicza.

– Na mój rozum, aż na taki długi rejestr lubowników za młoda. Ale kto wie, jak było w samej rzeczy? Że króla opętała niczym innym, jeno sztuką miłosną – prawda. I że on o żadnym nowym małżeństwie gadać ze mną nie chciał – też prawda. Woli żyć z konkubiną.

– Horrendum! I mówicie o tym dopiero teraz? W listach donosiliście o stadninach, które podziwia młody król, a o tej klaczy nic? Ani słowa? O Dio! Hamuję się jeszcze, ale już tracę cierpliwość! Tedy patrzyliście na te bezceństwa, na czary rzucane przez jakąś pogańską latawicę i czekaliście na co? Chcę wiedzieć? Na co?! – krzyczała zrozpaczona.

Hlebowicz milczał długo, wreszcie rzekł:

– Aż syt będzie.

– Syt! Syt! – drwiła. – Skoro tak opętana przez Radziwiłłów, to sprawa już nie jego alkowy, jeno państwa. Groźba podburzenia wielmożów litewskich przez Czarnego. Com przez tyle lat przemyślnie i z trudem utkała, ten narowisty ogier może w galopie zerwać, stratować! A potem – Santa Madonna! – gotów popaść w zależność od panów litewskich! Tych przeze mnie ujarzmionych i tych ugłaskanych.

– Zwłaszcza tych z królewskich wyzutych – przyznał Hlebowicz.

– Mości wojewodo!

– Pani miłościwa, sumienie mam czyste – bronił się. – I przypominam, że byłem przeciwny oddawaniu Litwy młodemu władcy. Mówiłem nawet, że to sposób niezawodny...

– Pamiętam. Na pozbycie się z księstwa mnie, polskiej królowej. Mówiliście tak, si. Ale teraz? Teraz jakoś nie spieszo wam do przyganiania Augustowi. Prawda? Nie spieszo?

– Owszem, przygamiam. Za prędko zdjął żalobę po Austriaczce.

– Jeszcze i to! I to! Przed czasem! Co na to powie król rzymski i inne dwory? Zdjął? Tak po prostu, bez liczenia się...

Wojewoda nie mógł się powstrzymać od ironicznej uwagi:

– Jak tego chciała najjaśniejsza pani: pragnie władać. I rozstrzyga o wszystkim sam. Zupełnie sam!

– Na Litwie.

Hlebowicz westchnął.

– Na razie tylko na Litwie...

– Nie darmo płynie w nim krew Sforzów – wtrącił się po raz pierwszy ostrożny Wolski.

– Wy także przeciwko mnie? – rozżaliła się Bona. – Madonna mia! W najcięższych chwilach brak mocnego oparcia tutaj, na zamku, i żadnych wieści od Augusta. A do tego jeszcze tak bardzo brak mi... Alifia. Maledizione! Przeklinam chwilę, kiedy król posłał Augusta z żoną na Litwę. A wszystko przez Elżbietę. Chciał... żebym była od niej daleko! Żebym nie ukrzywdziła tej chorej Austriaczki. Doprawdy! Śmiechu warte! Po to wyrwał go z moich objęć, pono zbyt zaborczych, zbyt mocnych, aby popchnąć w ramiona innej! I to poddanki. Rozpustnej, jak mówią. Tak? Czy nie? – zwróciła się do Hlebowicza.

– Czy tak jest, nie wiem. Ale istotnie, tak mówią.

– A? Tedy skargę na was zaniosę, mości wojewodo – podniecała się mówiąc. – Do króla. Za niedopatrzenie, za wprowadzenie w błąd majestatu, za niewykonanie zadania. Za... Za... O Dio! Nie mogę już! Duszę się! – Szarpnęła naszyjnik i rzuciła go na ziemię. – Żegnam wasze miłości!

Wielmoże wstali zakłopotani, ona zaś krzyczała za wychodzącymi:

– A dziewczęby i tak pojedą na zachód! Do Francji. Senatorzy mogą to rozgłosić całemu światu! – Chrypiąc już i dławiąc się z gniewu, kończyła ciszej: – Presto! Presto...

*

Byłaby zapewne krzyczała głośniejsze, gdyby wiedziała, że te same nocy tajnym przejściem Lasota prowadził króla do Radziwiłłowskiego pałacu. Dworzani, skradając się, uchylili niskie drzwiczki, rozejrzał się uważnie, wreszcie szepnął:

– Droga wolna, miłościwy panie.

– Ostań tu na czatach – rozkazał król i wszedł do dworzyszczka.

Natknął się na dworkę Bognę w najbliższej izbie i ta poprowadziła go dalej. Ale, ku zdziwieniu Augusta, Barbara nie wybiegła jak zwykle na jego spotkanie. Siedziała w największej z komnat, bardzo piękna, ale nieswoja, jakby zgnębiona.

– Gdziem jest? – spytał wchodząc król. – To nie wasza komnata... I nie witacie mnie? Nie biegniecie naprzeciw? Po tylu dniach rozłąki?.

– Tęskniłam okrutnie... – przyznała.

– A ja? Myślałem: lepiej nie żyć. Tedy czemu witacie mnie... jakoś dziwnie?

– Nie myślałam... Nie spodziewałam się... Dlatego... – szeptała.

Biorąc ją w ramiona, pytał:

– Wystraszona? Czemu? Na miły Bóg! Co złego stać się wam może przy mnie?

– Ostatnio Czarny dokuczał, groził. Mówił, że ściągam niesławę na dom Radziwiłłów...

– Jego jestem pewny. Oddany mi duszą i ciałem.

– Ale i Rudy was błagał, miłociwy panie, abyście przestali przychodzić tutaj nocą. Oszczędzili im wstydu...

Król skrzywił się, nachmurzył.

– Proszę, proszę, jak teraz drażliwi! A za życia Elżbiety kto mnie ściągał do puszczy na łowy? Nie Rudy? Kto was do myśliwskiego zameczku w Rudnikach co noc słał? Nie Czarny? Wtedy nie wadziło im nasze gorące miłowanie?

– Ale ostatnio złe języki...

– Per Bacco! – mruknął. – Tyle słyszałem o was od ludzi nieżyczliwych i zawistnych, a wierzę wszystkim tylko w połowie.

– Jednak wierzycie? – spytała zgnębiona.

Objął ją jeszcze mocniej.

– Najmilsza moja! Wychował mnie dwór italski, nauczyły ars amandi piękne signoriny. Kłamałbym mówiąc, że lubuję się w niewinnych pieszczotach i wstydliwych rumieńcach. Nie uwodziłem nigdy niedoświadczonych, cnotliwych dziewczyc.

– Miłociwy panie...

– Nie słuchajcie braci, mia cara! Źle radzą. Oni nie czytali Ariosta ani Aretina. A mnie urzekła w was właśnie owa zuchwałość, zapamiętanie w miłowaniu, żar w uściskach... Nie odwracajcie lica i wspomnijcie, ile nas łączy. Niezapomniane noce...

– Tak...

– Namiętność szalona, prawdziwa, nieklamana.

– Tak.

– A przy tym przyjaźń dozgonna, czułość...

– O tak, tak.

– Więc co tam plotki! Dąsy Radziwiłłów? Jutro pošlę Rudemu tego araba, którego tak chwalił. I od razu przycichnie.

– Tego nie jestem pewna...

– O Dio! Czyż niemiłe wam to, żem wbrew danemu braciom słowu uległ pokusie i przyszedł? Taka upalna noc sierpniowa, dzień moich urodzin! Prawie koronne święto. A my jak na pokucie, rozdzieleni. Ja na dolnym zamku, wy tutaj.

– Oni woleliby mnie widzieć... tam.

– Gdzie?

– Na zamku wielkksiążęcym.

– A?

– O braciach mówię, nie o sobie – zapewniała żarliwie. – Waszej niewolnicy dobrze i w puszczy, byle z wami. Byle blisko was. Ale oni...

– Może kiedyś. Pomówimy o tym jeszcze. Jutro, za kilka dni... Ale tymczasem o uśmiech proszę, o rozchmurzenie czoła. Cara mia... Nie wypijecie za moje zdrowie w dniu tak uroczystym?

– Tak, o tak! Wszystko, co chcecie! I jak chcecie, panie mój. Zawsze...

Oplotła ramionami jego szyję, ich usta zwarły się w pocałunku. Ale w tejże chwili w przyległej komnacie powstał rumor, rozległy się krzyki.

– Stać! Na Boga! Ani kroku dalej! – wołał Lasota.

– Puszczaj, bo inaczej... Brać go! Chwytać! – krzyczały czyjeś głosy.

– To zasadzka! – wołał dworzanin Augusta.

Nagle drzwi, przez które dworka wpuściła króla, otwały się z trzaskiem i na progu stanęli obaj Radziwiłłowie z Lasotą. Rudy odtrącił go jednak i zamknął drzwi przed królewskim dworzaninem. Była chwila napiętej ciszy, wreszcie August rzekł:

– Incredibile! Cóż to? Gwałt na królewskim słudze? I to w mojej obecności? Nie do wiary!

Rudy skłonił się nisko, z pewną przesadą.

– Witamy kornie miłościwego pana i dziękujemy za zaszczyt przebywania w tych murach. Wszelako nie wiedzieliśmy, że gościa mamy w naszym domu. Ot, zaszliśmy do pani siostry na dobranockę. To przecie wolno?

Trudno było zaprzeczyć, król zwrócił się więc do Czarnego, w którego oddanie wierzył.

– Cóż wy na to, mości marszałku?

Ale Czarny nie przyganił zuchwalstwu brata, przeciwnie, rzekł:

– Najjaśniejszy panie! Zdumionym wielce... Otrzymaliśmy niedawno obietnicę, że Wasza Królewska Mość przestanie potajemnie odwiedzać wojewodzinę, siostrę naszą.

– I dotrzymałem słowa – rzekł porywczo król.

– Przez jedną niedzielę – zadrwił Rudy.

– Daj mówić! – przerwał stryjeczny brat. – Miłościwy pan nie może zaprzeczyć, że jest tu wbrew umowie i solennej obietnicy. Tedy prosimy o odpowiedź: czemu żeście przyszli? Jak chcecie zadośćuczynić siostrze naszej i całemu rodowi, srodze zelzonemu, o którego krzywdzie już głośno na Litwie?

– Ja przyszedłem tajnie. To wy jawną czynicie tę sprawę – zniecierpliwiał się August.

– Bo pókiż niesławy?

– Ludzkiej obmowy? – dorzucił Rudy.

– A cóż wy wiecie? – rzekł pogardliwie król. – Może dzisiejsze moje przyście do waszej siostry przyniesie wam wielki zaszczyt i pożytek? A także chwałę?

– Boże to daj! – szepnął po namyśle Czarny, ale Rudy nie dawał za wygraną.

– Słyszeliśmy już różne obietnice. Nie raz, nie dwa. Teraz czas zapytać Barbarę: pókiż tego despektu? Chcesz brnąć dalej w niesławę?

– Nie – wyszeptowała. – Tylko że ja... O Boże! Boże...

– Słowo się rzekło. Skoro nie hańbą, tylko zaszczytem ma być to nocne spotkanie, skoro miłujecie prawdziwie siostrę naszą, prosimy komie najjaśniejszego pana...

– Prosimy za nami – przerwał brutalnie Rudy.

Zygmunt August groźnie zmarszczył brwi.

– Wy? Mnie? Niby dokąd?

– Do kaplicy dworskiej – wyjaśnił Rudy.

– Do kaplicy? – powtórzył król. – Więc to tak? Gwałt na królewskiej osobie?

Barbara przypadła do niego przerażona, drżąca.

– Pod waszą opiekę oddaję się, miłościwy panie. Przysięgam! Uwierzcie... Nie wiedziałam o niczym! Zgoła o niczym!

Patrzył na nią uważnie, jakby chciał przejrzeć na wylot, wreszcie rzekł:

– Wierzę wam. Ale nie pora na wspólne modlitwy. I mnie brak do nich ochoty.

Jednakże obaj bracia nie umilkli. Czarny nie chcąc ustąpić bratu w zuchwałości, a pewien już zaplątania się królewskiego ptaka w zastawioną sieć, rzekł z udaną pokorą:

– Najjaśniejszy panie! Skoro z tego spotkania chwała ma dla nas wyniknąć, prosimy i prosić nie ustaniemy. Przysięgnijcie przed ołtarzem wobec kapłana. Jeszcze dziś.

– A? Więc wszystko przygotowane. Śledziliście mnie? To podstęp! – oburzył się August.

Ale Rudy zapewniał obłudnie:

– Skądże, miłościwy panie! Przecie daliście królewskie słowo siostry naszej tajemnie nie odwiedzać. Jak mogliśmy wiedzieć, że złamiecie obietnicę właśnie dzisiaj?

– W dniu tak dla was uroczystym... – dorzucił Czarny.

– Dosyć! – krzyknął król i zwrócił się do Barbary: – Spełniam skryte życzenie wasze. Nie ich, tylko wasze. I z dobrej, nie przymuszonej woli dam obietnicę. Nikt jeszcze nigdy nie uzyskał ode mnie niczego siłą. I nie uzyska.

– Zapamiętam – szepnęła chyląc się pokornie do jego nóg.

– Tedy... Prowadźcie do kaplicy. Z dobrej woli złożę zobowiązanie.

– Uroczyste – przypomniał Rudy, ale król odtrącił go oczyma z taką wzgardą, że tamten cofnął się o krok.

Jakieś niewidzialne ręce otworzyły tymczasem zamaskowane drzwiczki wiodące wprost do dworskiej kaplicy. Była oświetlona rześcicie, a w głębi, na stopniach ołtarza klęczał ksiądz. Król

obrzucił obu braci ironicznym spojrzeniem.

– Jak widać, droga niedaleka.

– Ku większej wygodzie Waszych Królewskich Mości – odparł dwornie Czarny.

– Ale ślub nie tutaj – sprzeciwił się August. – Choć tajny, odbędzie się na zamku i w obecności tych, których wybiorę sam.

– Jeszcze tej nocy? – nalegał Rudy.

– Nie. Jutro, pojutrze...

– Zaczekamy tedy do jutra – zgodził się Czarny.

Zygmunt odwrócił się od niego wściekły, podał jednak rękę Barbarze i patrząc na nią zaczął się uśmiechać. Odpowiedziała promiennym uśmiechem. I tak właśnie, z uśmiechem na ustach, Zygmunt August wprowadził swoją umiłowaną do kaplicy.

Młody, wystraszony księżyk wstał, ale zaraz potem znowu uklęknął przed ołtarzem. Król nie zgiął jednak kolan, przeciwnie, podniósł przyklękającą Barbarę. Stali tedy oboje wyprostowani, bardzo piękni, a za nimi, straciwszy nieco na pewności siebie, świadkowali obaj Radziwiłowie. Księżyk złożył ręce i rzekł półgłosem:

– Módlmy się...

– Nie przyszedłem na modły – przerwał król.

Ksiądz wstał, zwrócił ku niemu pobladłą twarz i powiedział, jakby tłumacząc się:

– To dom boży.

– I przed Bogiem przez nic i nikogo nie przymuszony chcę przysiąc że tę oto niewiastę prawdziwie miłuję, poważam i ukrzywdzić nikomu nie dam. Dixi.

– Miłościwy panie. Miałeś obiecać... – jęknął Rudy.

– Com rzekł, rzekłem. Com chciał obiecać, obiecałem. – I zwrócił się do Barbary: – Ostawiam was pod dobrą braterską opieką, moja miła. Zobaczym się rychło. Na zamku.

Odwrócił się i wyszedł. A choć została sama przed ołtarzem, żaden z braci nie odważył się pójść za nim...

Kiedy przyszły śnieżne dni i pierwsze kuligi, na przedzie w saniach, strojny w sobolowy kołpak jechał sam król z Barbarą z Radziwiłów. O ich tajnym ślubie nie mówiono jeszcze w dalszej okolicy ani w samym mieście, ośmielano się zaledwie szeptać na zamku. Tego dnia jechali jednak razem tak mocno do siebie przywarci, obojętni na wszelkie komentarze, że nie mogli ich uniknąć.

Puszczańska polana pokryta była sypką bielą, najdrobniejsze gałązki pokrywała koronka szronu, a na świerkach leżały wielkie śnieżne poduchy. Wjeżdżając pod jeden z tych białych nawisów, żona bojara Hornostaja spytała Lasotę, który jej towarzyszył:

– Nikt nas nie podsłucha, a ja tajemnic nie zdradzam. Powiedzcie, prawda to, że do wojewodziny trockiej można już mówić „najjaśniejsza pani”?

– Jakem Lasota, wierutne łgarstwo!

– A toż są razem. Wciąż razem!

Zaśmiał się i przysunął bliżej.

– My takoz. A jak małżonek wasz pan Homostaj spyta, czy my tajnie poślubieni, kłam zadam.

– Wasza miłość żarty sobie stroi...

– A wasza miłość powtarza niecne plotki! – I uderzając ręką o najbliższą czapę śnieżną, obsypał swą towarzyszkę białym puchem. Powtórzył ze śmiechem: – Plotki, plotki, plotki!

Jednak po wieczery w tejże komnacie, w której bracia odegrali scenę rzekomego zaskoczenia siostry z jej „gachem”, odbyła się ważna narada, na której byli obecni obaj bracia, Barbara i król. W przeciwieństwie do tamtego wieczoru, na stole pokrytym pomarańczowym płótnem pełno było fruktów, owoców cukrowych, migdałów i ciast, w kryształowych pucharach złościło się wino.

– Pół roku już minęło – podnosząc kielich rzekła Barbara – odkąd jawnie wolno mi w tych murach do was przepijać, miłościwy panie.

Tedy zdrowie wasze!

– Jak i wy doczekać się nie mogę chwili, kiedy kryć się z naszym związkiem przestanę – uśmiechnął się do niej król.

– Słyszałem od Hlebowicza, że jednak posłano dziewosłębów do pruskiego Albrechta – wtrącił się Czarny.

– I co z tego?

– A goniec z Krakowa – dodał Rudy – rozgaduje na prawo i lewo, że stary król ciężko zachorzał.

– I co z tego? – powtórzył August.

– Nic. To prawda, że nic – przyznał Mikołaj Czarny. – Za pomyślność Waszej Królewskiej Mości!

– Ale gadać, gadają – biadał Rudy. – I kiedy dowiedzą się, gwałt podniosą. Jak w czas wojny kokoszej!

– O pół roku za późno te myśli przyszły wam do głowy – zauważył zjadliwie król.

– Folguj, bracie – mruknął Czarny. – Pewnie, że najbliższy sejm będzie piekielny. Znowu tysiące krzykaczy rozdzierających szaty nad królewską samowolą. Ale właśnie dlatego już dziś sprzymierzeńców kaptować trzeba.

Rudy roześmiał się jak z dobrego żartu.

– Tu? Na Litwie? Kogo? Hornostajów? Hlebowiczów? Et! Wszyscy powstaną przeciwko nam. Choćby z zawiści.

– Nie tu! W Koronie. Pojadę jednać sojuszników. Może by tak od Tarnowskiego zacząć? Śmiertelnie nienawidzi królowej matki. Zygmunt August zastanawiał się chwilę.

– Życzył mi przed wyjazdem na Litwę, żebym „w jej praktyki nie polazł”. Co przez to rozumiał, trudno zgadnąć. Ale owszem, ten zawsze gotów stanąć przeciw królowej i Kmicie.

Gorzej, że czuję także opór ze strony najjaśniejszego pana.

– O wa! – parsknął Rudy. – Wreszcie będzie tak, że nasz książę, książę litewski przeciwstawi się polskiemu królowi. To dowód męstwa.

– Ale i prywaty – westchnął August.

– Wasza miłość nosi kołpak litewski, wielkksiążęcy. Co tam Korona! – poparł brata Czarny.
– Byle cała Litwa stanęła za wami! A potem, kto wie? Może sił starczy, żeby bez więzów żadnych, bez żadnej zależności od Krakowa...

Zygmunt August spojrział na niego gniewnie.

– Oderwać Litwę? Nie! I jeszcze raz nie! Na to nie zezwoli żaden z Jagiellonów. Raczej trzeba jednać stronników wśród senatorów i dworzan. Zwłaszcza na Wawelu, choć tam wrogów ćma. Z nich Kmita najgroźniejszy.

– Tylko Kmita! Bo reszta... Triumwirat przy królowej już się rozpadł. Gamrat i Alifio w grobie, a zaufany Górka, choć kasztelan poznański, tamtych nie zastąpi. Nie tej miary człek – rozważał Czarny.

– Ale pamiętać warto, że to od królowej dostał ową kasztelanię – odparł król. – Będzie jej, jak tamci, wiernie służył. Ponadto panowie wielkopolscy nie noszą mnie w sercu. A Górka bardzo uparty.

– Obaczym, co da się zrobić. Kanclerz Maciejowski – nasz, a to już wiele.

– Bene. Pojedziecie, wasza miłość, najpierw do Tarnowskiego, a potem z poselstwem do Wiednia.

– Ja? – zdziwił się Czarny. – Do króla Ferdynanda? Z jaką wieścią?

– Żadną. Odwieziecie mu wyprawę ślubną zmarłej królowej Elżbiety.

– Jakże to? Oddać im srebra? Klejnoty? – przekrzykiwali się obaj Radziwiłłowie.

– Odeślę, co było jej, prócz sum w złocie. Tych wedle umowy zwracać nie potra. Ale tamto... Teraz, kiedy rozpoczną się boje o mój nowy ślub, chcę mieć Habsburgów po swojej stronie.

– A... Przednia myśl. I pierwsza wyprawa na dwór królewski w naszym rodzie, posłowanie aż do samego Wiednia! Nalewaj, Rudy! Zdrowie siostry naszej z Radziwiłłów, Barbary Jagiełłowej!

– Zezwalacie, panie mój? – spytała nieśmiało.

– Przyrzekłem, że uczynię was królową – odparł. – Jeszcze nie teraz, ale już bardzo rychło. Tedy wypijmy.

– Za młodą królową? – nalegał Czarny z nadzieją w głosie, ale August odparł swobodnie:

– Za miłą naszym sercom piękną Barbarę...

*

Radziwiłł Czarny przygotowywał się do owej politycznej misji długo i bardzo starannie. Dojechawszy wreszcie do Krakowa, kazał zameldować swoje przybycie królowej Bonie, ale ta

odwlekała audiencję z dnia na dzień. Kiedy wreszcie przekroczył progi królewskich komnat, pierwszy dopadł go Stańczyk i zaczął giąć się w przesadnych ukłonach.

– Wielki kanclerz litewski na Wawelu? Jaki zaszczyt! Do nóg upadam...

Radziwiłł, który wzdłuż i wszerz przemierzał izbę, nagle stanął i rzekł:

– Słyszałem wiele o waści. I ciekawym, ileś głupców sobie równych w Polsce znalazł?

– A... sprawa nie tak prosta... – udawał zafrasowanie trefniś. – Co dzień nowych zapisuję. Męcę się, trudzę, ale zapisuję. Rejestr ogromnie długi. Jużem nawet zapisał nie byle kogo, bo samego... młodego króla.

– Jak śmiesz! – zachnął się magnat.

– Nie tak! Nie tak! Śmiem, bom błazen. Raczej należało pytać: za co? I odpowiedź byłaby wnet gotowa. Za to, że kanclerzowi swemu dał dukaty i wyprawia go z nimi do Wiednia, choć mówią, że na litewskiej granicy niespokojnie.

– Nadtoś zuchwały! – mruknął Czarny.

– Ale nie nadto głupi... Znaczy, nie na tyle, aby nie wiedzieć, że wielkich wojowników, słynnych rycerzy używa się do wojowania, nie do tajnych misji.

– Jak wrócę, znajdzie się czas i na wojowanie.

Stańczyk parsknął śmiechem.

– Znajdzie się? Nie do wiary! Car Iwan na wasz powrót zaczeka? A to sprawa całkiem insza! Jak się czas znajdzie, wtedy tak, tak, w samej rzeczy... Augusta wymażę, a siebie samego zapiszę. Dalibóg, zapiszę!

I odszedł kiwając głową, niby to z żalem nad samym sobą, a Radziwiłł, wściekły, pozostał i czekał długo, jako że królowa radziła się, co czynić, swych najbliższych sprzymierzeńców: Kmity i Górki.

– Słyszeliście? Radziwiłł Czarny śmie nas o audiencję prosić. Zaklina się, że są jakoweś zobowiązania młodego króla. Tajne śluby z wojewodziną trocką.

– Tajemne? – zdziwił się Kmita. – Nie wierzę! Wasz dostojny syn nie zrobi nigdy nic bez waszej zgody.

– O Dio! – zaprzeczyła. – To już August nie mój. Całkiem w Wilnie odmieniony. Ale i o takiego walczyć będę do ostatka. Mój jedyny syn! Sukcesor! Tymczasem wszystko, com działała na Litwie, próbuje obalić zdeptać! Radziwiłłowie! Co dla tego rodu znaczy Korona? Kraków? Czarny przechwalał się, jak mi doniesiono, że jedzie do rzymskiego króla. Do Wiednia? Perché? Żeby podjudzać Habsburgów przeciwko mnie? Jakby mało było z ich strony oskarżeń o znęcanie się nad Elżbietą, o jej rzekome otrucie!

– Tajne śluby królewskie, jeśli nawet były, niewiele znaczą – zauważył Kmita – Unieważnić je może najbliższy sejm. A co o tym myśli kasztelan Górka? Panowie wielkopolscy?

– Będziemy przeciw. Nam potrzebny spokój na granicach, bogacenie się Gdańska, trwałe i mocne alianse. A co mogą dać śluby z litewską poddanką? Nic Zgoła.

– Radam wielce – Młody król, zapytywany w listach przez ojca, najpierw wypierał się

wszystkiego, a potem...

– Potem? – powtórzył Górka.

– Dowodzić zaczął, że także nie z królewskich rodów były Sonka, żona Jagiełły i Barbara Zapolya... Tym króla wielce dotknął, bo jego pierwszą żonę, świętobliwą królową z wielkiego rodu, do Radziwiłłówny przyrównał.

– Tylko że najjaśniejszy pan pono chory. Bardzo już słaby...

– Ale nie zezwoli na żadną samowolę Augusta. Ani litewskich panów – zapewniała królowa.

– Zastrzegł sobie tytuł: supremus dux – przypomniał Górka.

– A miłościwa pani? Na pewno nie użali się nad synem? – spytał Kmita.

– Ja – oburzyła się Bona. – Miałabym oddać tamtej tytuł hosudaryni? Supremae ducissae Lithuaniae? Reginae Poloniae? Nigdy! Te tytuły przysługują dziś tylko mnie – Mnie jednej!

Los jednak chciał, aby przysługiwały niedługo. Przed samą Wielkanocą ciężko zaniemógł Zygmunt Stary i medycy nie wierzyli już w jego powstanie z łoża. Był jednak przytomny i dopytywał się, czy August zaprzeczył krążącym plotkom, a gdy zrozumiał, że syn milczy, ponieważ związał się już tajnym ślubem, rzekł z surowością wielką:

– Zabraniam... Powiedzcie córkom i dworzanom, że zabraniam uznawać ważność owego małżeństwa. Zabraniam mówić o nim...

– Powiem – przyrzekła Bona. – Zaprzeczać będziemy tak długo, aż owe więzy rozerwie.

– Tylko czy rozerwie? Upór ma Jagiellonów i Sforzów pospołu... – wyszeptał.

Potem odzywał się już rzadko i mało, a w Wielki Piątek, przyjąwszy sakramenta, całkiem osłabł. Królowa nie odstępowała go ani na chwilę, czuwając przy łożu nawet w nocy. Jednakże w pierwszy dzień wielkanocnych świąt nastąpiło tak wyraźne pogorszenie, że Wolski pchnął nowego gońca do Wilna i zaraz wrócił do komnaty, gdzie klęczały przy matce wszystkie królowny: Zofia, Anna i Katarzyna. W głębi tłoczyli się dworzanie, bliżej stanęli panowie z królewskiej rady. Wszyscy wpatrywali się w bardzo postarzałe, blade oblicze władcy i czekali na jego ostatnie rozkazy, ostatnie słowa. I nagle z zamkowej wieży odezwał się „Zygmunt”. Dzwonił donośnie, a jego spiżowy głos docierał do wszystkich zakątków miasta, zamku, wawelskiej katedry.

Król otworzył gasnące oczy. Chwilę wsłuchiwał się w triumfalne bicie dzwonu, a potem rzekł cicho, choć wyraźnie:

– Chwała niech będzie Panu... W ostatniej godzinie życia słyszę głos mojego dzwonu. To on, „Zygmunt”... Woła mnie. Woła w sam dzień Zmartwychwstania.

Bona przypadła do jego bladych rąk złożonych jak do modlitwy.

– No! No! Z taką cierpliwością i męstwem znosiliście wszystkie przeciwności, wszystkie trudy waszego życia. Zniesiecie i tę niemoc...

– Chorobę ostatnią... – zaprzeczył.

– Nie! Medycy nie tracą nadziei. Będziecie jeszcze zdrowi, jeszcze wrócą wam siły!

– Już nie... Już nie – wyszeptał.

– Błagam... – prosiła ze łzami w oczach. – Nie zostawiajcie mnie. Co pocznę bez was? Miłościwy panie...

Ale on mówił teraz nie do niej i nie o niej.

– Już beze mnie wielkanocne alleluja. Dziwne, ale tak. Od jutra wszystko już beze mnie. Beze mnie – przymknął oczy i raz jeszcze wyszeptał z trudem – beze mnie...

Jeden z dworzan podał królowej zapaloną gromnicę, którą ujęta drżącą dłonią i trzymała tak, aby król mógł na nią patrzeć. W komnacie była cisza zupełna, tylko coraz głośniejszy bił rozkołysany dzwon. Król znów otworzył oczy i zapatrzył się w światło świecy. Po chwili jego powieki opadły, jedna z rąk bezwładnie zwiśla z łoża.

Ostatni z synów Kazimierza Jagiellończyka żyć przestał...



Z zamkowej wieży opadła w dół czarna chorągiew, a po chwili druga spłynęła z murów zamkowych tuż przed wjazdową bramą. Wawel żegnał czernią żaloby zgon króla, który miłował pokój, był łaskawy dla wszystkich, zyskał szacunek obcych dworów i całej Europy.

Królowa Bona odeszła od okna, w którym stała długo zapatrzona w czarny pas, zwiastun śmierci. Jej ociężała już postać stanowiła jeszcze jedną czarną plamę na tle barwnych tkanin okrywających ściany, ciemniejsze niż dawniej wydawały się na poblądłej twarzy aksamitne oczy córki południa. Klasnęła w ręce i na progu natychmiast zjawiła się Zuzanna Myszkowska.

– Czekalaś długo, ale możesz już podejść do stołu. Jesteś gotowa? Bene. Siadaj i pisz. Pismo będzie do węgierskiej królowej z wszystkimi należnymi jej tytułami. Na końcu zaznaczysz: „Wawel, Anno Domini 1548”. A teraz sam list:

„Najjaśniejsza królowo, córko najmilsza! We łkaniu i płaczu na nic wszelkie pociechy, jęczymy bowiem nad sieroctwem naszym. Napotkało ono nas w czasach zawichrzenia, w czasach cięższymi jeszcze groźących ciosami. Już król wolny od trosk, co jednak zostało nam? Płacz, smutek i pustka... Straciliśmy pana i najlepszego małżonka, a Rzeczpospolita króla dobrego i łaskawego, obrońcę wiary i miłośnika pokoju. W tej wielkiej żalości na nic wszelkie słowa otuchy...”

Rozległo się pukanie do drzwi i – korzystając z przywileju danego mu po śmierci Alifia – Pappacoda wsunął się do komnaty.

– Skończymy później. Zawołam – zwróciła się Bona do dworki, a gdy ta wyszła, spytała: – Część gońców wróciła?

– Tak.

– Co mówią?

– Że wieść o śmierci najjaśniejszego pana obiegła już wszystkie dwory, wywołała wielkie poruszenie. Cała Europa w żalobie.

Przyłożyła chusteczkę do oczu, lecz tylko na chwilę.

– Moim życzeniem jest, aby pogrzeb odbył się dopiero w lipcu. Na dzień świętej Anny zdążą przybyć wszyscy królowie, książęta i dostojni goście. A i mnie trzeba czasu na rozmowy z synem. Co mówi posłaniec z Wilna?

– Że najjaśniejszy pan...

– Kto? – przerwała gwałtownie.

– Że młody król – poprawił się Pappacoda – wprawdzie ogłosił na Litwie żałobę od ósmego kwietnia, ale zaraz potem...

– Potem?

– Dziesięć dni później zwołał do zamku na wielką naradę panów litewskich i tam ujawnił swoje tajne śluby, a także przedstawił wielmożom Barbarę z Radziwiłłów jako ich królową i panią. Rzekł, że żadna moc na świecie takiego związku prawnie między chrześcijanami zawartego rozerwać nie może.

– A oni?

– Nie śmieli odezwać się ani słowem. I wieczorem odbyła się uroczysta uczta...

– Więc jednak! – krzyknęła Bona. – Maledizione! Odkłada zawsze tylko to, co mu niemiłe, ale niecierpliwie sięga po rzecz upragnioną.

– Trzydziestego kwietnia ruszył w drogę. Będzie tu lada dzień – dodał Pappacoda.

– Sam?

– Sam. Gонец aż trzy konie zajeździł, tak gnał, żeby przed nim zdążyć.

– Czy słyszał jakieś plotki? Złośliwe komentarze?

– Czy coś słyszał? Dużo! Mówi, że najwięcej kalumnii ciskała pani Hornostajowa. Były też paszkwilusy podrzucane królowi. Wszyscy zazdroszczą, wszyscy dworzanie temu małżeństwu przeciwni.

– A moi ludzie? – spytała dopiero po chwili.

– Także krzyczą przeciw tajnym ślubom, lamentują, złorzeczą! Mówił gонец, że kolebka, którą jedzie młody król, cała upstrzona paszkwilanckimi karteluszkami, zjadliwym rymowaniem. Co postój – służba musi je zdzierać i zmywać, a ledwo dojadą do następnego, już pełno karteczek nowych, jeszcze zjadliwszych od tamtych.

– Tylko jego kolebka? A dwór Radziwiłłów?

– Oba ich pałace i ściany królewskiego zamku aż pstrokate od nalepek, papierków, na których pogroźki, drwinki rozmaite. Na śmiech podają imię pana i jego nieprawej małżonki.

– Zaskoczył ich, tedy odwrócili się od niego wszyscy. Czy wiadomo, co mówił wyjeżdżając?

– Tak. Odezwała się w nim krew italskich kondotierów. Powiedział Hlebowiczowi: spodziewałem się od królowej matki niemałego ciosu. Ale nie przejmuję mnie już bojaźnią, bo teraz niczem jest, jeno... – zająknął się Pappacoda.

– Skończcie. Pilnie słucham – rozkazała.

– Królową wdową – dokończył niemal szeptem.

– A? Tak to sobie ułożył? – zadrwiła. – Były na Wawelu aż dwa smoki. I młody król, bambino. A teraz jest i będzie tylko jeden władca. Więcej nikt? Nikt?

– Na to wygląda.

– Powiedział: „królowa wdowa?” – upewniała się jeszcze.

– Tak twierdzi goniec – przyznał niechętnie.

Zastanawiała się, coś w sobie ważyła, wreszcie wydała rozkazy.

– Każecie mu zapomnieć o tym, co słyszał, zwłaszcza o rozmowie z Hlebowiczem. Ale co oglądał, ma od dziś opowiadać każdemu. Oto kolebka, którą jedzie król... Jedyńowładca. Obita szkarłatem, ale cała upstrzona paszkwilusami. Na niej białe karty, karteczki. Tyle ich, że nie zliczyć! Każe zrywać – nalepiają nowe. Widzę je, widzę. Na drzwiczkach, na końskich czaprakach, na szprychach kół! Zatyka uszy, ale musi słuchać po drodze wszelkich wydziwiań i wrzasków. Musi znosić wybuchy śmiechu, wielkiego śmiechu. Oto triumfalny wjazd do Krakowa, godny wielkiego księcia Litwy! Polskiego króla!

Krzyczała stojąc z wyciągniętymi ku górze rękami, jakby witała nadjeżdżającego monarchę. I nagle uniesione ramiona opadły, jej zaczerwienioną twarz przebiegł skurcz. Zakończyła ciszej, jakby z żalem:

– Króla... mojego syna. Jedyne, wymarzonego dziedzica Korony.

Wciąż jeszcze ostatniego z dynastii Jagiellonów...

Doczesne szczątki Zygmunta Starego medycy zabalsamowali italską sztuką. Spoczywał w trumnie w tej samej zbroi, w której walczył na Pomorzu, w koronie na głowie, z jabłkiem i berłem w dłoniach. Jak kazał obyczaj, przy jego lewym boku leżał miecz, tak niechętnie za życia wyciągany z pochwy przez władcę miłującego nade wszystko pokój i... spokój. Trumna stała na okrytym złotogłowiem katafalku w sypialni króla, zamienionej w żałobną kaplicę. Czuwała przy niej rodzina oraz cały dwór, czekając na przyjazd nieobecnego syna, jedyne teraz pana Korony i Litwy.

Wyszędłszy z Górka z tej sypialni-kaplicy do sąsiedniej komnaty, Kmita przystanął na chwilę, aby zamienić słów parę z Fryczem Modrzewskim, który nie mógł doczekać się Augusta i pragnął pierwszy zobaczyć młodego króla.

– W zbroi leży – rzekł wojewoda krakowski. – Jak na zwycięskiego króla przystało.

Kasztelan Górka zmarszczył brwi.

– Ale ciało jeszcze na marach, a zamek już jak pole bitwy. Gotuje się w nim, wre. Tarnowski z kanclerzem Maciejowskim zebrali wszystkich wielmożów w dolnych salach. Na coś czekają.

Kmita nie wydał się zaniepokojony tą wieścią.

– Wiadomo, na co – rzekł. – Zabiegać chcą o łaski nowego pana. Przypomnieć, kto go dzieckiem wyniósł na tron. Ja jednak nie wierzę w powrót Tarnowskiego na zamek, w jego wpływy i rządy. Królowa jest teraz po naszej stronie. Szczerze czy nieszczerze, lecz po naszej.

– August, wbrew temu co gadają, nieugięty, kiedy się zatnie – przytaknął Frycz. – A jest za

odmianą w kraju, za egzekucją praw. Wierzę, że będzie szlachecki, nie senatorski, i...

– Słowa! Słowa, mości Fryczu! – przerwał mu Kmita. – Nie kraj dziś z królem mówić będzie, tylko my. Albo Tarnowski. W tejże chwili w progu stanął dworzanin królowej.

– Pan hetman Tarnowski nie przestaje pytać, kiedy najjaśniejsza pani przyjąć go raczy? – oznajmił.

– Że nie dziś, za to rękę – mruknął wojewoda.

Ale meldunek pokojowca usłyszała także królowa, opuszczająca właśnie kaplicę. Ubrana w czerń od stóp do głów wydawała się starsza i bardzo zmęczona. Powiedziała jednak głośno, tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Powiesz, że jeszcze czekać wypadnie. Trwam na modłach.

– Czy jedzie już najjaśniejszy pan? – spytał Górka.

– Z wieży zamkowej nie widać jeszcze orszaku – odparł dworzanin i, skłoniwszy się, wyszedł.

Bona zwróciła się natychmiast do Kmity i w jej zaczerwienionych oczach dostrzegł gniew.

– Jesteście, wojewodo, wielce nieostrożni – rzekła. – Nie usiłujecie nawet ukrywać waszych zamiarów.

– A po co taić? – odparł butnie. – Czemu kryć przed Tarnowskim, że koniec jego panowania? Że odtąd obóz przeciwny górą? Skoro Wasza Królewska Mość raczyła stanąć po stronie szlachty, skoro ja także z nimi – co znaczy kanclerz? Albo hetman? Zastraszyć ich pora.

W tej chwili pokojowiec stanął znowu w drzwiach, meldując:

– Posłowie niemieccy w wielkim poruszeniu. Chcą stanąć przed obliczem Waszej Królewskiej Mości.

Usłyszawszy te słowa, wyciągnęła rękę w stronę Kmity.

– Tedy uderzaj, mości wojewodo! Zastraszaj! Powiedz posłom, że dość już było cór habsburskich na polskim tronie. Że nie w smak nam alianse z cesarzem i miłszy sojusz z Francją. Niech owi posłowie już teraz odsłonią nasze plany przed Carolusem i Ferdynandem.

A ponieważ milczał, gryząc wargi, zwróciła się do pokojowca:

– Powiesz, żeby zajęto się posłami. Czekać im jeszcze wypadnie.

Kiedy dworzanin wyszedł, dodała:

– Na przyjazd króla czeka także francuski poseł. Mówiłam z nim. Razem z Walezjuszami otoczmy Habsburgów pierścieniem, który im nie pozwoli panoszyć się w Europie. Król Francji tym planom sprzyja. Da Bóg, przy jego poparciu będzie też na Węgrzech królem syn Izabeli, z krwi Jagiellonów.

Kmita nie myślał jednak ustąpić zbyt łatwo.

– Jeśli Wasza Królewska Mość ma na Wawelu nadal być górą, trzeba od razu skończyć z Tarnowskim, a także z Radziwiłłami. Nadto już przy młodym królu urosli.

– Parwienusze to, ród jeszcze młody – rzekł z pogardą w głosie Górka – nie to co stare rody wielkopolskie. Sądzicie, że mogą zagrozić... nam?

– Czemuż by nie? Za odwiezienie klejnotów zmarłej Elżbiety Czarny dostał od cesarza Karola tytuł książęcy – upierał się Kmita. – Choć kniaziem nie był!

– To prawda – dorzuciła królowa. – A wiecie, jaki tytuł przywiózł Tarnowskiemu?

– Nie ciekawym – odparł ze wzgardą wojewoda. – Nam, polskim wielmożom, wstrętne są tytuły od obcych brane.

– A jednak – nalegała. – Tarnowski grafem został.

– Grafem! – drwił Kmita. – Stańczykowi tę wieść podrzucić trzeba! W sam raz dla niego gratka. Uśmieje się z grafa-hetmana. Bo chyba tak teraz mówić do niego wypadnie?

– Ale to znaczy – przypomniał Górka – że Habsburgowie staną po stronie Radziwiłłów.

– Król taką wziął żonę – wybuchnął pan na Wiśniczu – że snadnie podburzę przeciwko niej brać szlachecką! Dotychczas chadzały u nas w koronach święte, a także białogłowy mądre i dostojne. Może na Litwie swobodniej, inaczej. Ale tu, na Wawelu, nie ścierpim ladacznicy w koronie!

Bona skinęła głową.

– Nie puszczę go już na Litwę. Musi zapomnieć o Radziwiłłach, o tajnych ślubach... Słyszycie? Grają fanfary...

– Miłościwa pani! Król wjechał na zamek – oznajmił pokojowiec.

Umilkli wszyscy, tylko na podwórku rozległy się okrzyki:

– Niech żyje najjaśniejszy pan! Wiwat! Wiwat! Niech żyje król! Niech żyje!

– Jego Królewska Mość... – zapowiedział przybycie młodego władcy ochmistrz Wolski i zaraz za nim wszedł szybkim krokiem August z paroma dworzanami. Udał, czy też naprawdę nie dostrzegł stojącej z boku matki, bo rozkazał głosem tnącym jak bicz:

– Do kaplicy!

– Miłościwy panie! Królowa pani tutaj... – próbował zatrzymać go Wolski.

– Sigismundo! Wróciłeś! Bogu dzięki! – rzekła nie ruszając się z miejsca Bona.

Odpowiedział krótko i gniewnie:

– Spieszyłem dniem i nocą.

– Zastajecie tu, miłościwy panie, swoich najbliższych... – zaczęła powitalną przemowę królowa.

– Widzę – przerwał.

– Najszczerzej oddanych...

– Skoro swoi, od razu powiem, co myślę – przerwał po raz drugi. – Tedy przewidziane wszystko? Ułożone? Ledwom przekroczył wawelskie progi, a już mam iść, dokąd mnie wiodą?

– Nie pojmuję, najjaśniejszy panie – zdziwiła się.

– Nie pojmujecie? A przecie widzę tu, przy niezamkniętej jeszcze trumnie, jakowąś znowę. Miłościwa pani z wiernym wojewodą Kmitą. Takż przy niej kasztelan Górka... Czyżby ta znowa przeciwko mnie?

– Wasza Królewska Mość! – krzyknęła Bona.

– Tedy jako król pytam: gdzie hetman Tarnowski? Czemu na dole nie chciano dopuścić do mnie kanclerza Maciejowskiego? Czemu nie pozwolono przyjść tu ze mną jego książęcej mości Radziwiłłowi? Despekt, który go tutaj spotyka, we mnie godzi.

– Miłościwy panie... – zaczął Kmita.

– Był ze mną! – przerwał król. – Jakim prawem?

– Toż to Radziwiłł! – wtrącił się nieoczekiwanie Frycz. – Najjaśniejszy panie, nie pojmuję! Przecież to wy chcieliście dawniej wraz ze szlachtą złamać potęgę wielmożów, odsunąć ich od władzy...

– Dalej! Pytam, co dalej? – coraz ostrzej nalegał August.

– Chcieliście stworzyć pełne ładu i sprawiedliwości królestwo, naprawić Rzeczpospolitą. Kiedyż, jak nie teraz? Myśleliśmy, że z wami...

– Wy, zawsze wy! – rzekł drwiąco. – Opiekunowie, doradcy! I co jeszcze? Czemu milczycie, miłościwa pani?

Odpowiedziała spokojnie, z wielką powagą:

– Bo nie mam żadnych innych zamiarów prócz tych, które wymienił imć Frycz.

– Żadnych? – nalegał. – Więc czemu przy powitaniu pan Wolski wspomniał o jakimś francuskim poselstwie, z którym mam się jeszcze dzisiaj zobaczyć?

Odpowiedziała dopiero po chwili, już z trudem:

– Wyznaję, zbłądziłam... Zaufałam nadziei, że dla dobra Rzeczypospolitej i siostry Izabeli zgodzicie się na małżeństwo z córką króla Francji...

– Więc jednak! – krzyknął. – Niewola i małżeństwo! Dla Rzeczypospolitej! Dla Izabeli! A ja? Co ja o tym myślę? Nie wiecie? Co czuję? Nie chcecie wiedzieć? Tedy nie pytam, co jeszcze! Rozkazuję posłać kogoś z dworzan do Rycerskiej Sali. Niech poprosi czekającego tam księcia Radziwiłła Czarnego. Powie, że chcę go widzieć i mieć przy sobie. Tutaj!

– Najjaśniejszy panie! Na Boga! – rzekł kasztelan Górka.

– To nie może być! – wykrzyknął Kmita.

– Ja tak chcę! – uciał August. – I to nie wszystko. Nie będę rozmawiał z Francuzami.

– Wasza Królewska Mość! – wyszeptała błagalnie królowa.

– Nic tu po nich! Chyba, że po uroczystościach żałobnych zechce czekać na uroczysty wjazd do Krakowa...

Teraz usiłowała mu przerwać.

– Nie mów. Nic nie mów! – prosiła.

Ale on postanowił nie ustępować, kończył więc:

– Powtarzam: na wjazd do Krakowa umiłowanej małżonki naszej...

– Nie, nie! – krzyknęła królowa.

– ... niedawno nam na Litwie zaślubionej, Radziwiłłówny Barbary...

Umilkł, ale wtedy Bona uniosła wysoko głowę i prostując się powiedziała gniewnie:

– Królową? Ona? Nigdy!

*

Pogrzeb Zygmunta Starego odbył się w ostatnich dniach lipca i na uroczystości żałobnej zjechali posłowie cesarza, króla rzymskiego, Albrecht pruski oraz liczni książęta. Orszak wszedł do katedry w zupełnej ciszy przerwanej dopiero po chwili brzękiem blach i tupotem końskich kopyt. To rycerz w czarnej zbroi stanął za trumną swojego wodza i był świadkiem kruszenia przez kanclerza pieczęci zmarłego.

Gdy po egzekwiach trumna spoczęła pod płytami katedry, zaczął bić „Zygmunt”. Huczał żałośnie i długo, a potem zamilknął nagle, jak gdyby serce dzwonu przestało bić wraz ze śmiercią tego, który go powołał do życia, do głoszenia chwały polskiego oręża...

Dopiero nazajutrz dzwon odezwał się znowu. Jeszcze czarne chorągwie zwisały z murów Wawelu, gdy tego wieczoru Wisła jakby odmieniła swój bieg i wlała się rzeką zapalonych pochodni i świec trzymanyh w rękach ludzkich na wawelskie wzgórze, na zamek. Rozległy się fanfary witające młodego króla, który przeszedł przez rozstępującą się cizbę i stanął na samym środku dziedzińca. Chwilę patrzył na podchodzącego ku niemu kanclerza Maciejowskiego, po czym z jego rąk przejął królewski proporzec. Umilkły fanfary i tłum wstrzymał oddech. Nagle, jednym wyrzutem obu rąk Zygmunt August uniósł proporzec wysoko w górę, a potem powiał nim na wszystkie strony świata. Niby jęk, niby westchnienie przebiegło przez podwórzec. Jednocześnie ustawione na wieżach i murach stráže zerwały czarne flagi, które opadły w dół żalosne, niepotrzebne, skoro w blasku tysiąca pochodni stał na środku dziedzińca jeszcze ubrany w czerń, a już pełen blasku król nowy, od kilkunastu lat cień Starego, teraz zaś, po jego pogrzebie, jedyny prawowity władca Polski, Litwy i Rusi.

Krąg wokół niego zacieśnił się, dworzanie ze świecami w rękach podeszli bliżej, dalej gorzało tyle pochodni, że na podwórku było jasno jak w dzień, tym bardziej że wokół arkad i na krużgankach płonęły w rękach pacholców smolne łuczywa. Rozległy się znowu fanfary, bił i huczał Zygmuntowy dzwon...

Stojący obok Ostoi Frycz Modrzewski wyszeptał:

- Zaczęło się nowe.
- Oby na chwałę Pospolitej Rzeczy! – odparł Ostoja.
- Amen... – ni to szept, ni to westchnienie wyrwało się z ust Frycza.

*

W parę dni potem królowa mówiła, chmurząc się, do obecnych w jej komnacie wielmożów:

– Nie chce z nami mówić. Poczyna sobie aż nadto zuchwale. Ale błędzi! Myśli, że fanfary, pochodnie i dym kadzideł świadczą o jego mocy. Jeszcze nie. Nie! Nie po tom przywiozła królewski posąg z Bari, żeby ten uzurpator, ten zakochany kocur rozrzucał garściami złoto dla jednania sobie stronników. Chce walki ze mną? Bene, będzie ją miał.

– Król może liczyć tylko na poparcie litewskich i niektórych małopolskich wielmożów. Cała

szlachta już przeciwko niemu – rzekł Górka.

– Tedy pierwszy raz ze mną – stwierdziła. – A choć nienawistni mi zuchwalce, choć gardzę rokoszem, gotowam na razie iść razem z nimi. Niech Modrzewski lub Orzechowski ujmą to w piękne słowa, oni to potrafią. Muszę mieć króla jak najrychlej w ręku. Ugiąć albo zetrzeć w proch...

– Miłościwa pani – stwierdził kasztelan poznański – rozdała tyle urzędów i beneficjów, że może być pewna poparcia wielu...

– Wdzięcznych? – zdziwiła się. – Czyżbyś nie doświadczył tego na sobie, kasztelanie, że wdzięczność przegryza więzy przyjaźni szybciej od rdzy? I lepiej ją od żuru zakwasza? Nie, nie! Liczyć teraz mogę tylko na tych, którym plany Augusta nie po myśli.

– Można jeszcze próbować rozmów z królem... – zaczął kasztelan.

– No! No! Żadnych wyjaśnień! I żadnych usprawiedliwień! Dopóki upiera się przy tym, żeby najbliższy sejm uznał jego kochankę, nie może być między nami zgody.

– Chyba jednak miłościwa pani... nie ustąpi z Wawelu? – dopytywał się Kmita, świadom, że podsyca ogień.

– Myślałam zostać – przyznała – i tu z nią walczyć, jak z Elżbietą. Jednakże nie ma już mojego małżonka, tedy na zamku byłabym teraz na miejscu drugim, jako królowa wdowa. Horrendum! Ohydne słowo! Nie! Nie! Wyjadę stąd jeszcze przed wrześnieniem. Jakie szczęście, że mogę powiedzieć: do siebie, na Mazowsze!

– A w czas sejmu? Miłościwa pani pozostanie beczynna w Warszawie? Uwierzyć trudno – gorączkował się Kmita.

Odparła po chwili namysłu.

– Bezczynna? Jeszcze nie, nie! Na październikowy sejm zjadę do pobliskiego Gomolina. Tam też zapraszam wasze miłości i wszystkich mnie życzliwych. Na dalsze narady...

Tymczasem Zygmunt August odbywał narady już teraz, ledwo rozjechali się liczni dostojni goście. Głównymi jego sojusznikami, poza Radziwiłłem Czarnym, stali się Tarnowski oraz kanclerz Maciejowski. Obu dostojnikom wychodzącym z komnat królewskich wybiegł naprzeciw czający się za filarami Stańczyk i, idąc obok, zaczął zjadliwie przygadywać:

– A! Graf hetman? I wielki kanclerz koronny... Jako dawniej przy starym królu, tak teraz przy młodym...

– Odczep się, błaznie! – ofuknął go Tarnowski.

– Kto tu błazen? – zdziwił się trefniś. – Kto raz siak, raz tak kozły wywraca? To wy przyganialiście zawsze młodemu królowi, nie ja! Alem wielce rad. Zygmunt August wśród starych sług ojca! Boże Miłosierny! Wszystko miało być nowe, zupełnie inne! Król – ze szlachtą, nie z senatem, nie z Panami Rada. A tu, tak samo jak było. Jako żywo – niespodzianka!

– Dosyć już! Starczy! – odpędzał się od natrętnego błazna Maciejowski.

Ale Stańczyk udał mocno zdziwionego. Zapytał:

– A czemu? Cieszyć się chcę razem z wami! Szczęśliwa ta Rzeczpospolita! Zmieniają się

władcy, a przy tronie nigdy ludzi nie braknie. Wypróbowanych, doświadczonych. I tych samych! Zawsze tych samych!

– Precz stąd! – huknął Tarnowski.

Stańczyk jednakże nie posłuchał rozkazu.

– Bo i po co nowe podpory majestatu? – udawał zdziwienie. – Mogą się zachwiać, runąć. Po co nowe pyski? Stare już najedzone, mniej zachłanne... I znajome. Tak przyjemnie znajome! Nie trzeba zgadywać, co myślą, co czują... Dalibóg, śmiechu warte! Wielkiego śmiechu!

Puścił ich wreszcie przodem, ale śmiać się nie przestał i ten gorzki śmiech starego błazna huczał im w uszach i drażnił tak, że mimo woli przyśpieszyli kroku.

*

Na sejm w Piotrkowie zjeżdżali się posłowie już przed końcem października, miał się bowiem zacząć w ostatnim dniu tego miesiąca. Król krążył między Korczynem a Piotrkowem, królowa Bona przybyła z częścią dworu do pałacu w pobliskim Gomolinie. Stamtąd teraz pędzili jej gońcy do Kmity i szlachty wielkopolskiej, której przewodził Piotr Boratyński. Wieźli jakieś druki przygotowane zawczasu w Warszawie, chodzili po zajazdach, w których piła i radziła szlachta.

Sejm rozpoczął się zgodnie z zapowiedziami trzydziestego pierwszego października, a już nazajutrz, jako że w dniu Wszystkich Świętych narad nie było, do komnaty, w której Bona siedziała przy kominku, rozcierając zmarznięte ręce, wpadła jak wichur Zuzanna Myszkowska.

– Miłościwa pani...

– Nie było wieści od marszałka Kmity?

– Był goniec z Piotrkowa. Zapowiedział przyjazd jego królewskiej mości dziś przed wieczorem.

– Do mnie?! – krzyknęła prostując się. – Do Gomolina? I stoisz jak martwa? Presto! Presto! Wydać rozkazy, szykować wieczerzę. Zobaczę go! Po raz pierwszy od dwóch miesięcy. O Dio, Dio! Chce ze mną mówić! Przyjeżdża z własnej woli... Każ odsyłać dziś wszystkich. Chcę być z królem sama! Zupełnie sama!

Oczekiwała Augusta przy stole zastawionym winem, słodczami i owocami późnej jesieni, ale wstawiała co chwila, podchodziła do okien odchyłała zasłony. Zachowywała się jak młódka oczekująca kochanka, co było czymś zupełnie nowym, nigdy bowiem nie czuła się tak wzruszona witając małżonka.

Za oknem zółkły już kasztany i zasłany liśćmi trawnik był złotorudy. Patrzyła na bogactwo tego złocistego kobierca i nagle przyszedł jej na myśl początek poematu Owidiusza: „Aurea prima...” Tak, miała przed oczyma bogactwo złotego wieku, który mógł nastać, jeżeli August odrzuci na bok prywatę, aby stać się wielkim królem sławionym przez potomnych. I ulec matce, a wtedy także złoto z jej skarbcza będzie jego, jak ów ogród z kasztanową aleją wiodącą do dworu w Gomolinie...

Nagle pokojowiec otworzył drzwi i zameldował:

– Jego Królewska Mość zajeżdża przed pałac.

Odwróciła się od okna i już po chwili szła ku niemu z wyciągniętymi rękami, jak dawniej, jak kiedyś.

– Caro mio! – mówiła z nie ukrywaną radością. – Czekałam tak długo! Nie wierzyłam żadnym donosom, plotkom. Wiedziałam, że nas rozdzielić nie może nic! Nic!

Skłonił się bardzo sztywno.

– Przybyłem... – zaczął.

– Si! Domyślam się – przerwała. – Przeczuwam. I witam całym sercem w Gomolinie.

Usiedli naprzeciw siebie przy kominku i August rzekł:

– Z tym właśnie przyjeżdżam. W Piotrkowie sejmowe obrady dopiero zaczęto, a już od paru dni brzęczy mi w uszach to słowo. Pytam: kto w mieście podburza szlachtę? Odpowiadają: Gomolin. Kto każe rozklejać obelżywe karteluski, rozrzucać w Korczynie i Piotrkowie wstrętne paszkwile? Odpowiedź zawsze jedna: Gomolin! Gomolin! Gomolin! Nie wiem, ile w tym prawdy? I nawet nie chcę wiedzieć. Ale myślę... Tak, myślę, że czas zawrócić ze źle obranej drogi.

– Si, d'accordo! I cieszę się, mio caro, żeś postanowił...

– Nie ja! Nie ja! – zaprzeczył. – Myślałem o Waszej Królewskiej Mości.

– O mnie? – zdumiała się. – Incredibile! Perché?

– Ponieważ ja nie ustąpię – odparł.

Roześmiała się nieszczerze.

– E allora? To zabawne... Zdało się tobie rzeczą prostą przyjechać tu, aby ode mnie uzyskać zgodę, na co? Na srom dynastii Jagiellonów? O Dio! Cóż to za żona poślubiona ukradkiem, bez zgody posłów i senatorów?

Jego prawica zacisnęła się w pięść.

– Jutro, pojutrze wyrwę im z gardła tę zgodę. Dziś przybyłem... prosić. Niełatwo mi, bo małżonkę moją od dawna lżycie i lżyć pozwalacie. Ale pierwszy raz od lat wielu zwracam się do was jak niegdyś, we wczesnej młodości.

– Czyżby... szczerze?

– Szczerze. Mówię wam, jak zwierzałem się dawniej: miłuję ją.

– Och! Miłowaliście już tyle moich dworek. I mieszczek krakowskich! – odparła krzywiąc usta.

Nawet nie zaprzeczył, choć drgnął jak od ukłucia szpadą.

– Tak było. Ale tę miłuję inaczej, mocniej. Na życie i śmierć! Dała mi rozkosz i radość, o jakiej nie wiedziałem, że może istnieć na ziemi. Nie mówcie nic! Nic! Możecie zbrukać tę miłość, jeśli zechcecie. To, tak. Ale nie wydrzecie mi jej z serca, z trzewi.

– Jesteś królem – przypomniała, a jej głos stał się ostry, surowy.

– Królem, ale i zwykłym człowiekiem. Chcę być nie tylko wielkim, sławnym. Chcę być

także... szczęśliwym.

– Santa Madonna! – jęknęła. – Zatrula ci krew. Zauroczyła...

– Tedy, na Boga! Wyprowadźcie mnie, matko, z zaklętego koła! – wybuchnął, a ponieważ milczała, zapytał: – Nie chcecie korony na jej czole?

– No! Nie chcę. Nie mogę chcieć.

– Czy znaczy to – badał – że gdybym, nie zrywając ślubów, od uroczystej koronacji odstąpił...

Przeraziła się.

– Tym bardziej – no! Nie pojmujesz? Ty, ostatni z rodu? Zapewnić ciągłość dynastii to twój najpierwszy obowiązek. I syn nie może być bastardestem, tylko prawowitym następcą Jagiellonów, zrodzonym z królowej. Koronowanej reginae Poloniae.

Spojrzał na nią z nadzieją w oczach.

– Tedy powinna nią zostać...

– Powiedziałam już: nigdy! – krzyknęła.

Nie rozumiał i zapytał po chwili:

– Na co więc dacie zgodę?

– Na zerwanie potajemnych ślubów. I na inne małżeństwo. Na nic więcej.

Powiedział z namysłem, bardzo gorzko:

– Zaiste, co za wielkoduszność. Zapomniałem, że to od was słyszałem jeszcze w pacholęctwie tę radę: „Bądź chłodny i ostrożny. Królom bardziej od uczuć przystoi... gra w uczucia”. Tak, mówiliście właśnie tak! Bo nigdy nie kochaliście nikogo i niczego, prócz władzy!

– A ty – zadrwiła – wolałbyś mieć matkę ladacnicę? Wtedy lepiej zrozumiałaby tamtą?

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

– Nie przyjechałem, aby słuchać obelg! – rzekł gniewnie. – Już i tak robicie, co można, by mnie, waszego syna, w oczach poddanych pomniejszyć, zohydzić i ośmieszyć!

Przeraziła się, że zniechęci się, odejdzie, więc obiecała:

– Bene. Nie powiem już ani słowa. Niech opadną z nas gniew i urazy. Santa Madonna, czy pamiętasz te lata, kiedy...

– Nie – przerwał. – I nie chcę pamiętać. Żyłem jakby uśpiony, odsunięty od spraw państwa, zawsze w waszym cieniu. I starczy tego! Starczy!

– Starczyłoby – odparła ostrzej, niż zamierzała – gdybyś zerwał się do lotu, wysokiego lotu. Si. Spełnił nadzieje, które pokładają w tobie wszyscy. Także i ja, i ja! Bo nawet w tym buncie, w tej walce, do której stajesz przeciwko całej Rzeczypospolitej, jest męstwo, jest zuchwałość godna krwi Sforzów, italskich kondotierów. Mojej krwi! Tylko, na Boga, Sigismundo! O co chcesz walczyć? Narażać na szwank majestat korony? O nic? O własne alkowiane sprawy? Ależ tak! Kochaj ją. Nigdy nie broniłam ci kochać. In silenzio. Jedną, drugą. Ta może być którąś z kolei...

– Będzie pierwszą. A skoro aż tak dbacie o dobro dynastii, da mi legalnego następcę tronu. Syna polskiej królowej.

Teraz jej ręka zacisnęła się w pięść.

– No! Chyba kiedyś, później. Gdy ja już nią nie będę! – rzekła.

– Nie mogę i nie chcę czekać! – wykrzyknął z gniewnym błyskiem w oczach.

Przeraziła się, bo ruszył w stronę drzwi.

– Sigismundo! Nie odchodź! Jeszcze nie – błagała. – Po co rozstawać się w gniewie? Oboje przemyślimy rzecz całą jeszcze raz i powiesz mi... Powiesz, coś postanowił.

– I od czego odstąpił? – zadrwił. – Ja, nie wy? Żałuję, ale pozostać dłużej nie mogę.

– A ja myślałam. Miałam nadzieję... – Wstała także i podeszła do syna. – Milczysz? Tedy przynajmniej wznies kielich za nasze przyszłe pojednanie. Bo kiedyś ono nastąpić musi. Dziś, widzę, ancora no! Ale może jutro, po sejmowej naradzie?

Wzięła ze stołu dwa pełne kielichy i podała mu wino z uśmiechem, ale Zygmunt August, już bardzo opanowany, etykietalnie sztywny, nie wziął pucharu.

– Darujcie, ale nie piję – rzekł.

– To trunek znakomity – nalegała.

– Grazie.

– Z italskiego winogradu.

– Grazie. No.

Patrzyła zdziwiona na jego założone do tyłu ręce i nagle zrozumiała.

– A...? Więc i ty? I ty? – szepnęła.

– Cóż, ja? – patrzył na nią uważnie.

– Myślisz... sądzisz, że może być... zatrute?

Nie spuszczał z niej oczu, odparł sucho:

– To był wasz domysł, miłościwa pani, nie mój.

Nagle schylił się w ukłon i nie dodając już ani słowa, wyszedł z komnaty.

Bona stała przez chwilę bez ruchu, ale posłyszawszy trzask wyjściowych drzwi, przymknęła powieki:

– To już koniec. Koniec...

I cisnęła oba puchary na ziemię. Zadzźwięczało rozбите szkło, czerwone wino splamiło bezcenny dywan.

To był w istocie koniec wszystkiego: miłości, wiary, nadziei...

Korzystając z nieobecności króla Radziwiłłowie Czarny i Rudy zjawili się w komnacie Barbary na zamku w Korczynie. Obaj byli podrażnieni nastrojami w Piotrkowie! Obaj przyszli urobić siostrę, a także jej przyganić.

– Miłościwa pani! – zaczął Czarny. – Pókiż tej niepewności, tego zwlekania...

Zdziwiła się.

– Z czym?

– Nie czynicie nic, aby wymóc na królu koronę – mówił już ostro. – Co uzyskaliście od niego

dotychczas w dowód miłowania?

Odparła pogodnie:

– A jeżeli mnie miłość pana mojego za wszystko starcza?

– Jakże to? – wybuchnął Rudy. – Wstrętne paszkwilusy wam za nic? Nie wadzi, że siostrę naszą, Radziwiłównę, zwą konkubina?

– Że Orzechowski – wtrącił Czarny – pisze rozprawę „De obscuro Regis matrimonio”? A pan Rej z Nagłowic ośmiela się krzyżeć, że król zdobi w perły „parszywe ciało”? Jak było dalej, Rudy?

*„To orlisko uporne
Waży wszystkich lekce.
Jako tę gęś osiodłał,
Tak jej puścić nie chce”*

Zacytował brat i dodał:

– Postponuje w tych rymach króla, ale przeżywa was. Was!

– Błoto! Ohydne błoto! – rzekła ze wstrętem, z obrzydzeniem, ale Czarny nie ustępował:

– Grzęznicie w nim z dobra woli! Z prochu was wyniósł król przy naszej pomocy. Czemu nie robicie nic, aby przyspieszyć...?

– A jeśli on chce być pewien, że miłuję go prawdziwie? Nie za purpurę, nie za blask korony?

Rudy, choć ją kochał i starał się oszczędzać, wściekł się:

– Brednie wierutne! Człowiecze w nim chucie i krew południowa, to tak. Zasmakował w waszych drażniątkach, w słodkich ustach. Ale to wnuk italskich książąt, a po matce smoka ma w herbie. Znudzą się kiedyś gorące obłapki i przemyślne gry miłosne, a wtedy o innym związku pomyśli.

– Dla dynastii. Dla Pospolitej Rzeczy – dodał Czarny.

– Nie straszcie! – prosiła. – I tak ciężko. Trudno... Zdawało mi się... ucieszę go wieścią o następcy tronu.

– Jak? – krzyknął Czarny.

Rudy aż pokraśniał z zadowolenia i zbliżył się do siedzącej Barbary.

– Na miły Bóg! W przeddzień otwarcia sejmu toż to nowina arcyważna!

Pokręciła przecząco głową.

– Już nie. Nocy dzisiejszej... Niewiasty ledwo zatamowały krwotok.

Dlatego taka słaba, półżywa. A wy...

– Do diabła! – wybuchnął Czarny. – Jabłoń, co owoce roni, albo idzie pod topór, albo... Tu radzić trzeba! Najpierw zdarzyło się tak w Wilnie, potem na zamku w Dubinkach, teraz tu, w Korczynie, pod bokiem sejmujących. Gotowa się dowiedzieć ta włoska sekutnica, a wtedy biada nam! Co warta samka ciągle roniąca, może bezpłodna? Tam do czarta! Na co czekacie? Toż na

Litwie pełno bab biegłych w leczeniu przypadłości niewieścich. Znają zioła cudowne, potrafią odczynić wszelkie uroki.

– Poślę gońca jeszcze dziś po znachorki, zielarki... – zapewnił Rudy. – Ale zanim tu będą, zanim zażegnają niemoc, działać trzeba. Król nie zna przyczyny waszej dzisiejszej słabości?

– Jeszcze nie.

– To żadna odpowiedź – warknął Czarny. – Król nie może mieć nawet cienia podejrzeń. Pamiętacie, jak mówił, że wstręt czuje do chorej małżonki? Do Elżbiety?

– Dobrze pamiętam – przyznała zgnębiona.

– Musicie prosić, żądać wprowadzenia na Wawel. Już teraz – nalegał Czarny. – Póki jeszcze czas. Jakąż radość mogłyby domowi Radziwiłłów sprawić słowa: „Wasza Królewska Mość”.

– To prawda – szepnęła – za tyle upokorzeń...

– Tedy żądajcie, siostrzo, proście. Kiedyż nam urosnąć, jak nie dziś?

– A jeżeli? Jeżeli nie będę prosiła o nic? – spytała bardzo cicho.

– Wtedy, do diabła! – krzyknął Czarny – trzeba nam będzie ze wstydem okrutnym wracać na Litwę! Ku wielkiej uciesze pospólstwa.

– Mówcie ciszej – poprosiła – ktoś idzie.

Wszedł istotnie oddany jej dworzanin i skłoniwszy się, rzekł:

– Miłościwa pani, złe wieści przynoszę. W sali sejmowej okrutny tumult.

– Jak to? – zmarszczył brwi Radziwiłł Czarny.

– Najjaśniejszy pan każe pilnie strzec miłościwej pani meldować dworak. – Na murach w Piotrkowie i tutaj, w Korczynie, pełno nowych paszkwilusów. Nie radzi zdzierać ani siłą rozpędzać zbierającej się przed naszym zamkiem gawiedzi.

– A co doradza? – spytał Rudy.

– Czekać. Król jegomość prędzej tronu się wyrzeknie niż małżonki. Tak kazał powtórzyć.

Skłonił się i wyszedł, a Rudy powtórzył ze zgrozą:

– Tronu? Zrzeknie się królewskiej korony? Tego jeszcze do wszystkich nieszczęść brakło! Żeby gruchnął śmiech po całej Litwie, że Radziwiłłówna tej korony niegodna! Że, owszem, złapała męża, ale skarłał w jej objęciach, nie ważniejszy się stał od wojewody Gasztołda. Był z niego król, a teraz jest już nikt? Nikt! Zygmunt Jagiellon. I tyle.

– Zamilcz, bracie! – ofuknął go Czarny. – Tu krzyki nie pomogą. Gdyby się zrzekł korony, mógłby mu jeszcze zostać kołpak wielkoksiażęcy, rządy na Litwie. Ale królem obwołano by wtedy kogo? Zagadka. Nie, nie! Do tego dopuścić nie można! Obiecujcie, siostrzo, choć tyle: nie zgodzicie się nigdy na abdykację Augusta. Na miły Bóg! Nasz los w waszych rękach. Przemówcie wreszcie!

Odpowiedziała niezupełnie tak, jak pragnęli obaj.

– Nigdy nie dam zgody na to, by mnie odesłał samą na Litwę. Wyrzucił z myśli i z serca.

– Bogu chwała! Nareszcie! – odetchnął Rudy, ale Czarny nalegał dalej:

– Za mało. To jest nic! Nic! Potrzebna jeszcze korona. Tylko wtedy syn zrodzony z tego

związku będzie kiedyś prawowitym władcą Polski i Litwy. Nie rozumiecie? Inaczej byłby nikim! Nikim!

Westchnęła i jeszcze bardziej pobladła.

– O Boże... To wszystko za ciężkie, za trudne dla mnie. O wiele za trudne... Róbcie wedle naszej woli. Ja nic nie chcę wiedzieć! I nic nie wiem, nic nie wiem...

*

Sejm w Piotrkowie odbywał się w dolnej sali piotrkowskiego zamku. Wzdłuż ścian wykładanych boazerią ustawione były siedziska senatorów, fotele czerwone z poręczami. W głębi na podwyższeniu i pod baldachimem stał królewski tron, na którym zasiadł Zygmunt August.

Wśród senatorów najznacniejsi byli: prymas Mikołaj Dzierzgowski, hetman Tarnowski, kanclerz biskup Maciejowski, wojewoda krakowski Kmita i kasztelan poznański Górka. Poza Tarnowskim oraz kanclerzem Maciejowskim – cały senat wraz ze Zborowskim, Tęczyńskim i Leszczyńskim wypowiedział się już przeciw małżeństwu z Radziwiłłówną. Król słuchał milcząc, jego twarz była kamienna. Wiedział, że za szerokimi drzwiami z boku na wynik obrad oczekują posłowie, i to osaczenie zewsząd ciążyło mu z godziny na godzinę coraz bardziej. A tymczasem kasztelan Górka napominał, niemal groził:

– Zmierzając ku końcowi, przypominam, że to matrymonium królewskie zawarte zostało wbrew prawu i obyczajom, bez naszej zgody. Gdy zaś sam król i pan nasz prawo łamie, jakóż ostać się ma Rzeczpospolita?

Była długa chwila milczenia, którą przerwał prymas.

– O grzechu królewskim słyszym tu już od godziny albo i dłużej – rzekł. – Ale co może być przewiną wobec Panów Rada, nie jest grzechem wobec Boga, który w osobie kapłana związkowi temu pobłogosławił przed ołtarzem. A co Bóg związał, tego człowiekowi rozwiązywać się nie godzi. Mogę tedy tylko mocą arcybiskupa i prymasa ów rzekomy grzech wziąć na głowę własną, głowy wszystkich duchownych, a także wszystkich wiernych. A gdy spadnie on na każdego w jednakiej mierze, zarówno władcy naszemu tak mocno ciężać przestanie, jak i mniejszym cieniem legnie nad całą Rzeczpospolitą.

Usłyszawszy to Górka porwał się znowu ze swego siedziska.

– Na to odpowiedzieć muszę – mówił już ostrzej – że ani królowi polskiemu nie godzi się przerzucać winy własnej na cały naród, ani nam nie przystoi powtarzać sentencji Piłata, który wyrzekł owe słowa: „Grzech ten na was i syny wasze”! Małżeństwo królewskie nie tylko złe jest, bo zawarte tajnie i bez naszej zgody. Złe, bo z poddanką. Złe także, bo Litwa w znaczenie, a litewscy wielmoże nadto w siłę urosną!

Zerwał się marszałek Kmita, dodając:

– Już teraz krzyczą, że Wielkie Księstwo połączyc chcemy i że dogodniejszy dla Litwy związek z Koroną wyłącznie przez osobę króla. Był czas za wielkiego Jagiełły, że panowie

małopolscy umyślili połączyć oba te kraje, utworzyć jedną, wielką i wspólną Rzecz Pospolitą! Dziś małżeństwo królewskie zagraża tym planom. A do tego jeszcze nowi książęta, tytuły od Habsburgów z wdzięcznością przyjąwszy, wynoszą się nad prawdziwych kniaziów na Litwie i nad prastare rody, doradców i obrońców jeszcze dynastii Piastów. Co gorsza ośmielają się, rozzuchwaleni przez króla, grozić, i to komu? Nam, wiernym sługom Pospolitej Rzeczy nam, senatorom!

Siadł, ale hetman Tarnowski mówił zgoła inaczej:

– Panowie Rada, jak widać, żądają ofiary. Złamać chcą przysięgę daną przez miłościwego pana i przymusić go do zerwania ślubów. Ale mnie, żołnierzowi, nie przystoi taka mowa. Jeżeli obrzydły jest wam wszelki przymus, czemu żądacie od króla, pod przymusem, złamania przysięgi danej przez niego poślubionej w kościele niewieście? Nie chcecie owej mieć za królową?

– Nie! Nie! Nigdy! Nie pozwolim! – krzyczeli niemal wszyscy senatorowie.

– Tedy niech pozostanie przy boku najjaśniejszego pana jako jego nie koronowana małżonka...

Ale w tej chwili zerwał się Kmita i krzyknął w pasji:

– Na miły Bóg! Aby zgasła ostatnia nadzieja na trwanie dynastii Jagiellonów?! Toż i stary król miał dzieci z Telniczanką, wszelako nikt nie widział w Janie z książąt litewskich sukcesora korony. Zmarł jako biskup i zawdy żył w stanie duchownym. Czyliż Barbara z Radziwiłłów pragnie jeno przysparzać dostojników kościołowi? Śmiechu by to było warte, nie zaś wielkiego płaczu. Ale ta litewska poddanka, a może jej bracia, kto odgadnie, chcą więcej, o wiele więcej: chcą dać miłociwemu panu syna, królewicza, dziedzicznego księcia Litwy. Ona właśnie, a nie jakowaś szlachetna białogłowa z królewskiego rodu naszej ojczyźnie blasku przysparzająca. Niech tedy pan hetman nie próbuje zaproszyć nam piaskiem oczu! Ilu nas tu jest kasztelanów i wojewodów, widzimy dobrze. I, na Boga, patrzmy na to, co się dzieje, pilnie, uważnie, a z roztropnością wielką.

Znowu głos zabrał kasztelan Górka.

– Tedy, skoro panowie małopolscy i wielkopolscy myślą jednako, skoro nikt nie jest za uznaniem owego tajnego małżeństwa, niechże król jegomość pozwoli, że wypowie się jeszcze przez usta swoich wybrańców cały naród szlachecki. Niech wejdą tu posłowie, aby powiedzieć, co myślą de ... Regis matrimonio. – I dodał, zwracając się do Kmity: – Pan marszałek wielki koronny winien był już od dawna spełnić swoją powinność.

Na sali uczyniła się wielka cisza, był to bowiem już argument ostatni. Kmita wstał i zbliżył się do króla. Ten skrzywił się, ale przyzwolił ruchem głowy. Ręce miał zaciśnięte, usta mocno zawarte. Marszałek ruszył na środek sali i trzykrotnie uderzył laską w posadzkę. Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi z boku i wszedł tłum posłów z sędzią przemyskim Piotrem Boratyńskim i Lupą Podlodowskim na czele. Powstał gwar, posłowie tłoczyli się, wszyscy chcieli zmieścić się w sali. Kmita uciszył zebranych ponownym uderzeniem laski marszałkowskiej i oznajmił:

– Pan nasz miłościwy wysłuchał już senatorskich głosów. Kto teraz w imieniu wszystkich posłów przemawiać zechce?

Piotr Boratyński, pan pięknej postawy, wysunął się naprzód i rzekł:

– Ja. A nie tyle chcę, co muszę, bo tak uczył mnie król Zygmunt Stary: mówić, kiedy rzeczą słuszną jest mówienie „tak” albo mówienie „nie”. Uczył także zwyciężać samego siebie i te namiętności, które wiodą ku złemu i przeciwią się nadziejom oraz pragnieniom i woli całego narodu. Pytam tedy: co by rzekł teraz, gdyby ujrzał Waszą Królewską Mość złączonego tajemnymi ślubami ze swoją poddanką? Co by wykrzyknął posłyszawszy, żeś obraził senat, żeś wzgardził izbą poselską, poczynając wszystko bez rady i woli onych? Miłościwy panie! Nie chcesz zaczynać swojej królewskiej władzy od niszczenia praw naszych i odwiecznych swobód naszych! Wolność Korony Polskiej wielki by szwank poniosła, gdybyś majestat królewski poniżył, a poddanych srodze obraził. Niechże teraz i potem wszystek świat to wie, że Zygmunt August, król polski, tak umiłował poddane swoje, a także ojczyznę swoją, iż dla nich wszystkie swe rozkosze, wszystkie pociechy i słabości ludzkie porzucił. A większe to, najjaśniejszy panie, zwycięstwo będzie, niż kiedy byś wszystką rakuską, tatarską i moskiewską ziemię zwojował i tę Wiktorię biciem w przesławny dzwon uczcić kazał. Na Boga! Nie może to być, aby nasz pan, nasz król, nie chciał być miłowan przez swoje poddane...

Nagle uklęknął, a za nim zgięli kolana wszyscy posłowie. Na sali sejmowej była przejmująca cisza i każdy słyszał dalsze słowa Boratyńskiego.

– Przeto prosimy ciebie, najjaśniejszy królu, prosimy kornie przez tego Boga, który Koronę Polską z małuczkich początków uczynił tak wielką i możną, zaniechaj tego, co czynisz, nie zwij małżeństwem, co nim nie jest i być nie może, nie ponizaj tak Pospolitej Rzeczy, a nas, sługi swoje, nie wiń w tym, że stanąć dziś musim w obronie sławy Polskiej Korony, chwały Jagiełłowego domu, pożytku i dobrego imienia nas wszystkich, z tobą pospołu.

Król patrzył w milczeniu na klęczących przed nim Boratyńskiego i Podlodowskiego, na cały chylący głowy tłum, na stojących w stallach senatorów, na łzy w oczach ludzi, czołganie się w prochu znanych mu posłów, także zauszników królowej. Oto ma szlachtę upokorzoną u swoich nóg. Westchnął jakby do siebie:

– Trzebaż było tego?

Zaraz potem wstał i rzekł:

– Wzruszonym mową posła Boratyńskiego tak, że już powiedzieć na swoją obronę niczego nie potrafię. Jedno pewne: o moim ożenieniu aż nadto było na sejmikach mów i wetowania. Teraz, na sejmie walnym, powiem o nim i ja: com uczynił, uczyniłem. I tak już pozostać musi. Danej przed Bogiem przysięgi ja... nie złamię.

Milczeli wszyscy, zdziwieni, ogłuszeni. Ale ponieważ zaczął schodzić ze stopni tronu ku zgorszeniu milczącego tłumu, Kmita, stojący najbliżej, zatrzymał go wołając niemal z pianą na ustach:

– Przysięgi danej komu? Wdowie po Gasztoldzie! Niewieście, której przed ołtarzem pańskim

nie godziło się stawać? Panowie Rada! Panowie posły! Toż o niczym innym nie mówim dzisiaj, jeno jak pan Orzechowski: „De obscuro Regis matrimonio”. Pani ta sprawczynią jest sromu Korony, a także zelżenia majestatu! Hańba to i horror, że o niej, niegodnej, mówią nasze usta, bo jeno karcić ją wypada, jeno lżyć, przeklinać i...

W tej chwili król gestem przerywając mowę, rzucił bardzo groźnie:

– Wojewodo krakowski!

Była pełna napięcia cisza. Kmita i król mierzyli się oczyma, jednakże, ku zdumieniu wszystkich, Kmita ze wzburzenia stracił głos. Usta poruszały się, ale bezgłośnie, łapał oddech, twarz wykrzywił grymas.

Wśród senatorów zapanowało poruszenie. Górka zapytał sąsiada:

– Odebrał głos? Senatorowi? Marszałkowi?

– A ten zamilkł... – przytaknął Leszczyński.

Tęczyński krzyknął:

– Rzecz to niesłychana!

– Niebywała! Przerywać orację senatorowi? – odzywały się podniesione głosy Panów Rada.

Jednakże król, jakby nie wiedział, jak ciężko obraził marszałka, jak zgorszył cały senat, rzekł prostując się z wyniosłością wielką:

– O moim ożenieniu nie, będę już żadnych więcej mów słuchał. Przysięgałem małżonce i milsze mi dotrzymanie wiary, co Bóg widzi, niżli królestwo i ciężar korony. Wybierajcie! Obrady na dziś zakończone.

Zaczął iść ku drzwiom, a wszyscy rozstąpili się przed nim, milcząc.

W swojej komnacie August wódląc w fotelu, bardzo znużony, długo pił wino podane mu przez Dowojnę. Ożywił się dopiero, gdy do drzwi zapukano i wprost z sali obrad wbiegł zadyszany Lasota.

– Lepiej, miłościwy panie? – zapytał, przyglądając się królowi z niepokojem.

– Serce mniej kołacze. Wiesz, co było dalej?

– Wiem. Wielki krzyk.

– Żem despota? Tyran? Rozpustnik?

– I więcej – odparł Lasota. – Znacznie więcej! Ale co tam! Stańczyk tu jest. Naprasza się, żeby wejść. Mówi, że ma lepszy węch od wróżbitów i że gotów...

– Dawaj go tu. Ale już!

Przez chwilę jeszcze, gdy został sam z Dowojną, wódląc z zamkniętymi oczyma, po czym siadł prosto jak przed chwilą w sejmie. Wbiegł Stańczyk, za nim Lasota.

– Mogę wróżyć? – zapytał trefniś. – Choć to nie błazeński obowiązek. Ale dodatkowy grosz do ręki wpadnie?

– Może nawet dukat – mruknął August.

– Ergo: nie będzie z tego nic, bom nie sprzedajny. Jenom wypróbować chciał, czy Wasza

Królewska Mość będziesz przekupstwem jednał sobie ludzi, czy mądrymi czyny.

– I jak wypadł sąd?

– Nijak. Bom ja nie do kupienia, a najjaśniejszy pan nic, ale to nic mądrego nie czyni.

– Jakże to? – zmarszczył czoło król.

– Nic zgoła. Bo wziąć sobie żonę na kark, i to wszystkim obrzydłą, to nie czyn mądry czy niemądry. Klnę się, nie żaden czyn, jeno garb.

A łatwiej garbatemu wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż od garbatej wielbłądzicy doczekać się potomka. Takie albo wcale nie rodzą, albo rodzą samych błaznów.

– Idź precz! – krzyknął kroi.

– Nie zmyślam – bronił się Stańczyk. – Z doświadczenia mówię. Toż moja rodzicielka była... garbata.

Wybiegł w niezgrabnych podskokach, bo był już wiekowy, do wywijania kozłów niezdatny, a król spojrział na Lasotę z gniewem:

– Po coś sprowadzał tego błazna?

– Mówił, że będzie wróżył.. Że rozweseli – płatał się zmieszany dworzanin.

– Rozweseli... – powtórzył z goryczą August. – Po tym, co zaszło, tylko dzwony weselne ucieszyć mnie mogą. I mnie, i ją... One jedne!

Królowa Bona oceniła przebieg piotrkowskiego sejmu jako klęskę Augusta, tym bardziej że wkrótce doniesiono jej, jakie przywitanie zgotowała swoim senatorom i posłom Wielkopolska. Tłum szlachty wyjechał naprzeciw kasztelana Górki, Boretyńskiego i Podlódowskiego. Wiwatowano na ich cześć, jakby wygrali jakąś walną bitwę. Królewskim ślubom sprzeciwiali się wszyscy prócz tych paru wielmożów, którym na pokojach dokuczał królewski trefniś. Było to małżeństwo tajne, a jeśli zawarte formalnie, tym bardziej gorszące, bo nie uzyskało zgody rady koronnej. Frycz Modrzewski dostrzegał w tym także naruszenie praw Rzeczypospolitej, próbę przejęcia władzy absolutnej i tego samego bał się senat, a zwłaszcza sejm. Szlachta pamiętała nieprawne wyniesienie dziesięciolatka na tron i lękała się, aby przy pomocy Bony nie rządził na sposób dawnych samowładnych monarchów. Królowa... była niemila sejmującym stanom, ale w tej chwili należało mieć ją po swojej stronie, przeciw Augustowi. Frycz potakiwał, ale nawet on nie wiedział, że to samo postanowienie podjęła Bona, że gotowa była do wszystkich układów, nawet z przywódcami wojny kokoszej, byle tylko osłabić stronnictwo królewskie, zyskać ludzi gardłujących przeciw małżeństwu z Barbarą.

Modrzewski uznał, wykorzystując swoje bliższe stosunki z monarchą jeszcze z czasów, gdy przebywał z nim czas jakiś na Litwie, że przed wypowiedzeniem jawnej walki należy użyć perswazji, dążyć do przekonania młodego króla, z którym wiązano nadzieje na odmianę, na mądrą odnowę. Ale August, choć przyjął go i wysłuchał, nie wyglądał na przekonanego. Rzekł:

– Przynajmniej teraz wiem, co myślisz. Słuchałem uważnie, chociaż... Ten pusty fotel... Kiedyś gadał, patrzyłeś ciągle w tę stronę, jakbyś potwierdzenia szukał. Jakby wciąż jeszcze

siedziała tam królowa matka jak ongiś przy rozmowach z moim ojcem. I wszyskiemu, coś mówił, przytakiwała: „Si, si”. A na wszystko, co rzekł jej syn, krzyczała: „Basta! No! No!”

– Miłościwy panie...

– Teraz mówię ja – przerwał. – I siadam tu, właśnie tu, na tymże hebanowym krześle, aby żaden cień nie stał między nami, żeby nikt nie słuchał tego, co powiem. Chcę być sam z tobą, któryś mi był dawniej wierny.

– Jestem nim. I będę do zgonu.

– O tak! – zadrwił. – Jeżeli zrobię, jak twoim druhom po myśli i jak radzisz ty sam. Ale co będzie, kiedy uczynię, co zechcę? Staniesz za mną czy przeciwko mnie? Czy ty, człek bez skazy, stronników kupować zaczniesz jak życzliwa wam teraz królowa? Czy złożysz broń i odwrócisz się od swojego króla? Mów. Czemu teraz, kiedy jesteśmy naprawdę sami, milczysz?

Modrzewski zastanawiał się długo, zanim rzekł:

– Gorzko słuchać takiej mowy... Prawda. Namnożyło się u nas ludzi przekupnych, zjadliwych paszkwilantów, wszelkiego plugastwa, ale...

– Ty z tymi ludźmi teraz trzymasz! – przerwał August. – I do kamienowania mnie ręki przykładasz. Królowa matka...

– Na miły Bóg! Miało tu nie być nawet jej cienia. Od siebie mówię i tych, którym naprawa Rzeczypospolitej w myśli i w sercu. Czekaliśmy na was od tak dawna. Kiedyż Wasza Królewska Mość zechce dokonać czynów, które potomność zapamięta, jak nie teraz? Panowie wielkopolscy i Kmita byli tu przede mną i z niczym odeszli. Kto został przy was, miłościwy panie? Tarnowski, kanclerz Maciejowski i Radziwiłły. Hetman, bo namawiają go do zerwania przymierza z Turcją Habsburgowie, a on rwie się do walki z półksiężycem. Inni litewscy panowie? Toż uczynią wszystko, co im doradzą Radziwiłły!

– Dlatego nienawistni – odparł wzgardliwie król – że innych bodzie ich tytuł książęcy.

– Co tam tytuły dane przez Habsburgów! Tu idzie o większe sprawy – zaprzeczył Modrzewski. – Kieżgajło może być unii z Koroną przeciwny. Chodkiewicz, kasztelan trocki, przeciwny na pewno, a jeśli do nich dojdą teraz Czarny i Rudy, mocni przez wiedeńskie aliance, co stanie się z Wielkim Księstwem Litewskim? Co z unią? Szlachta boi się, że syn z Radziwiłłówny zrodzony może zająć dziedziczny tron Jagiellonów w Wielkim Księstwie i oderwie je od Korony. Miłościwy panie! Czyliż dla dogodzenia potrzebom serca godzi się rwać więzy dotychczas mocne?

– Mówisz, jakbym zrzekł się moich praw do Wielkiego Księstwa – marszcząc czoło odrzekł August. – I jakbym nie miał przed Bogiem poślubionej małżonki. Ale – chcecie czy nie chcecie – ona jest. I nasz syn będzie dziedzicznym księciem Litwy, choć nie po to, aby zagrozić unii. W czym tedy jemu i mnie sprzeciwić się zdołają panowie Litwy i Korony? Radziwiłłom może i pilno do umocnienia się w księstwie, do przepędzenia stamtąd sług królowej Bony. Tak. Ale teraz nie dudssa Lithuaniae, tylko ja, ja sam będę tam sprawował rządy. Już jako supremus dux. Wasze strachy? Śmieszne. Wasze chęci? Zbyt zuchwałe. Nowe? Jakże to? Chcecie burzyć

wszystko, co zbudował stary król? Co przejął po przodkach? Bo tak! Nie przecz! Właśnie tak! Chcecie wszystko zmieniać, naprawiać. Czy aż tak źle rządzą? A przecie sam wiesz, że i Erazm z Rotterdamu nazwał nasze królestwo azylem wolności, wzorem tolerancji, przykładem dla rządów tyrańskich.

– Nie płoną u nas stosy, tak. Nikt nie ściga innowierców, a na sejmach przeciw się wolno nawet królom. Ale, najjaśniejszy panie, nie przeciwiano się waszemu rodzicowi, a wam przeciwiać się będą. Bo dziś król dla prywaty, dla miłości niewiasty miłość ku ojczyźnie poświęcić gotów. Królowa z rodu litewskich możnowładców? Jak może nie wzmocnić się przez te śluby obóz wielmożów? Starzy, dawni doradcy ojca już stanęli przy was. Szlachta lęka się, że zechcecie odwlec sprawę ścisłej unii, bo przeciw niej nowi wielmoże dbający tylko o dobro Litwy! Najjaśniejszy panie! Nie wierzę, abyście nie rozumieli, że burzycie fundamenty gmachu, który zamierzał wznieść każdy z waszych przodków. Że gasną nadzieje związane z waszym wstąpieniem na tron. Że już idziemy do tyłu, kiedy świat cały na naszych oczach odmienia się i młodnieć zaczyna.

Król wstał i zaczął krążyć po komnacie, ale, widząc, chciał tylko opanować gniew, bo stanąwszy przed Fryczem, powiedział zgoła nie to, na co liczył tamten. A powiedział z goryczą, z wielkim żalem:

– Tedy mnie nie wolno być młodym? Mam być kukłą zamiast człowiekiem? A wiesz ty przynajmniej, Frycz, co znaczy miłować? Znam odpowiedź. Powiesz: ojczyzna jest tylko jedna i zawsze winna być pierwsza. Ale pytałem, czy wiesz, co znaczy kochać niewiastę? Miłować tak, że czuć się zdolnym do największych ofiar, do podjęcia walki najcięższej? Z senatem, z izbą poselską i z tobą, nawet z tobą, któryś mi był przyjacielem, a teraz chcesz być sędzią. Zimnym i oschłym, bo bez serca! Widzisz sam, ostały mi tylko Radziwiłły. Tak. Bo bracia umiłowanej siostry ukrzywdzić nie dadzą. Jeszcze może Lasota... Bez tej rozważi, co ty, i bez tego rozumu. Żaden statysta ani sekretarz królewski, za to oddany swemu panu duszą i ciałem. Lasota! – krzyknął nagle, a gdy dworzanie natychmiast stanęli w drzwiach, rozkazał: – Poprosisz, żeby na Wawel przybyć raczył książę Radziwiłł Czarny. I odprowadzisz imię pana Frycza.

– Miłościwy panie...

– Coś miał rzec ty, a także twoi przyjaciele – rzekliście. I starczy.

*

Mówiono, że mury wawelskiego zamku, choć grube, nie stanowią przeszkody dla podsłuchujących uszu, dla ciekawych oczu. I z tej to przyczyny niemal w godzinę po rozmowie młodego króla z Radziwiłłem, przegnąwszy karlicę Dosię i Marinę, Bona kazała prosić do siebie marszałka Kmitę. Przyjęła go bardzo chmurna i tak stroskana, że odważył się spytać pierwszy:

– Złe nowiny, miłościwa pani?

– Jak najgorsze! – rzuciła w pasji. – Najpierw urabiał króla Frycz, potem Radziwiłł Czarny. I z nich dwóch – drugi wyszedł zwycięzcą. Nawet nie zgadniecie, co uradzili. Bałam się tego, ale

nie sądziłam... A jednak tak, tak. Na wypadek, gdyby następny sejm także nie uznał jego małżeństwa, Czarny namawiał, aby zawarł tajny układ z Ferdynandem, obiecał, że Polska przestanie popierać syna Izabeli, młodego Zapolyę, i nie udzieli mu nigdy pomocy w walce o niezawisłość Węgier...

– W zamian za co? – zapytał po chwili Kmita, kiedy łapiąc z trudem oddech umilkła.

– Nie do pojęcia! – krzyknęła. – Wiedeń ma za to nadesłać Augustowi na czas sejmu posiłki z wojsk zaciężnych. Santa Madonna! Wojska króla rzymskiego – przeciwko polskiej szlachcie?!

Kmita namyślał się przez chwilę.

– Wiadomość zła, ale tak dziwaczna, że w istocie uwierzyć w nią, trudno. Muszę podesłać kogoś do Czarnego, niech go podstępem wybada, udając sprzymierzeńca. A kogo Jego Królewska Mość mógłby wysłać z taką ofertą do Wiednia? Przecież nie Radziwiłła, bo sprawa stałaby się od razu głośna.

– Czarny dostał już tytuł i do Ferdynanda jechać nie zamierza, ale kandydaturę zgłosił.

– Czyją? – Kmita zamienił się cały w słuch.

– Biskupa chełmińskiego... – odparła.

– Stanisława Hozjusza? – zdziwił się marszałek.

– Tak. Innowiercom nie sprzyja, tedy wybrali jego, by nie narazić się arcykatolickiemu Ferdynandowi. Och! – dodała – wy gorszycie się, zwalczacie słowem dawną konkubinę króla. A ten za poduszczeniem Czarnego już działać gotowy. I swoją klęskę w Koronie zamienić w zwycięstwo!

– Miłościwa pani nie docenia szlacheckich gardel – roześmiał się Kmita. – Ochryple od wrzasku tęgim miodem dadzą się namaścić i znów krzyczeć zaczną. Za kilka dni wyprawię wielką ucztę na Wiśniczu i zobaczymy, kto będzie górą na drugim piotrowskim sejmie: król czy szlachta?

Wiedziała, że słowa dotrzyma, ale nie odzyskała spokoju. Patrzyła głębiej i dalej. Mógł zjednać sobie sejmowych krzykaczy i pośledniejszą szlachtę, ale nie na tej zależało jej najbardziej. Wiedziała od kasztelana Górki, że opozycję główną, liczącą się naprawdę w sporze o małżeństwo Augusta, tworzą senatorowie wrodzy Radziwiłłom oraz szlachecki obóz dążący do reform, do egzekucji praw i dóbr, do naprawy Rzeczypospolitej. Tych zaś mógł utwierdzić w oporze nie Kmita, tylko ktoś biegle władający piórem, a jednocześnie królowi przychylny. Może Modrzewski? Tak więc należało zawezwać Frycza i jemu zdradzić niecne knowanie Czarnego. Izabela... Czy to możliwe, aby August, który ze wszystkich siostr tę właśnie kochał najbardziej, który pisywał listy tylko do niej, zdradził ją i jej syna, prawowitego dziedzica węgierskiego tronu? Żeby godził się na oddanie Budy na zawsze Habsburgom w zamian za poparcie nieprawnie zawartego małżeństwa? Czyżby nie pojmował, że uczyni je w oczach ludzkich nie tylko obrazą sejmujących stanów i pogwałceniem praw Rzeczypospolitej, ale także politycznym błędem, niemal zdradą, bo uzależnieniem się od nienawistnych Habsburgów? Nienawistnych dla kogo? Przede wszystkim dla niej, królowej Polski, ale także principessy Bari i Rossano. Także

dla Izabeli. Nieszczęsny ten jej syn małoletni Jan Zygmunt... Odziedziczył koronę po ojcu i ani przez chwilę – wraz z matką – nie ustawał w walce o nią. Dawniej w sukurs mężowi Izabeli szli polscy rycerze, do walki o tron dla starego Zapolyi stawał nawet Kmita. A teraz... Przeciw synowi rodzonej siostry układa się z Habsburgiem polski król. Maledizione! Że też dożyła takiej chwili! Że mieszka pod jednym dachem z tym, który spiskuje przeciw Izabeli, a unika jej samej jako wroga. Kraków... Czy musi pozostawać na Wawelu, do którego August wprowadzi tamtą natychmiast po uznaniu małżeństwa przez sejm? A nawet wcześniej, choćby zgody posłów nie uzyskał? Uciekać! Uciekać od tej ohydy, od tych Radziwiłłowskich knowań jak najdalej! Do dóbr litewskich? Nie, tam nie będzie już się czuła wszechmocną hosudarynią. Pozostaje Mazowsze... Nie była tam od dawna, nie przejęła we władanie z takim trudem uzyskanych od męża miast, miasteczek i wsi. A przede wszystkim Warszawy. Dziwne, że właśnie ten nadwiślański gród przyszedł jej na myśl na wieść o zaofiarowaniu przez Ferdynanda pomocy jego zaciężnych wojsk. Musi zapytać Pappacodę, co wie o tamtejszym zamku – dawnej siedzibie mazowieckich książąt. I zacząć także działać. Z daleka, nie podglądana i nie podsłuchiwana przez nikogo. August... Jakże jest śmieszny, jeśli przypuszcza, że ona nie wie o każdym jego kroku, każdej ważniejszej naradzie, niemal o każdej rozmowie w... cztery oczy.

W parę dni później Stańczyk zderzył się na krużgankach z wychodzącymi od Bony Fryczem Modrzewskim i Ostoją. Przystanął i zaczął tajemniczym szeptem:

- Jeszcze młoda pani nie na Wawelu, a już od nowin głowa pęka.
- Nowiny tak wielkie czy głowa tak mała? – zadrwił Ostoja.
- Od żartów ja tu jestem. Wy od gry zręcznej albo niezręcznej. Tedy nowina pierwsza: król radzi się astrologa. Musi być niespokojny wielce.
- To żadna nowina. A druga?
- Może także wam znana? Że smok, smok italski, zaczął pełzać po wawelskich murach.
- To znaczy...? – wtrącił się do rozmowy Frycz.
- Raczej pytajcie: po co? Ale tego właśnie nie wiem. Może chciwość na mózg mu padła? Nie dość pożerania żywych ciał? Trzeba mu jeszcze zrywać makaty i zdzierać kobierce?
- Skąd wiesz? – zmarszczył brwi Ostoja, a Frycz dodał:
- I bacz, że mówisz do królewskich dworzan.
- Mówię – warknął – bom po śmierci mojego króla sam sobie pan. Ani sługa jego syna, ani, jak wy, jego dostojnej małżonki.
- Słyszałeś tedy, że wyjeżdża? – spytał Ostoja.
- Słyszałem – skinął głową. – I krzyżyk, tuzin krzyżyków na drogę. A żaden ze złota, wszystkie z kłujących cierni. Niech jedzie presto, presto! I Deo gratias, żem dożył chwili, kiedy wawelski smok wypędza z tych murów smoka Sforzów. Żem się jego zwycięstwa doczekał...

Obie nowiny okazały się prawdziwe. Już po raz drugi król, poprzedzany przez Lasotę, wchodził do samotni astrologa. Nad metalową płytą podzieloną na regularne trójkąty, na których

widoczne były znaki zodiaku, na nitce wisiała laseczka z hebanu. Astrolog wprawiał ją ostrożnie w ruch wirujący i laseczka zakreślała koła nad płytką. Dwa razy, trzy... Wreszcie zatrzymała się nad trójkątem ze znakiem Wodnika.

Zygmunt August wpatrywał się w nią jak urzeczony. Szeptął:

– Wciąż porusza się, krąży. Teraz. Już. Stanęła...

– Na Wodniku, miłościwy panie.

– Co oznacza?...

– Wiele. Spełnienie wszystkich życzeń i pragnień – pośpieszył z odpowiedzią astrolog.

– Powtórz jeszcze raz: wszystkich?

– Tak, najjaśniejszy panie!

– Słyszysz, Lasota? Będzie królować i mnie, i wam. Będzie szczęśliwa. Ogromnie szczęśliwa, bo sic volunt astrae!

Jednego nie wyróżyły gwiazdy. Nazajutrz w komnatach królowej zapadły decyzje świadczące o tym, że żadna z tajemnic króla nie była tajemnicą dla jego matki.

Spytała tego dnia Pappacodę:

– Czy wyruszył już goniec z ostrzeżeniem do królowej Izabeli? Tak? Bene. A teraz słuchajcie uważnie wszyscy. Od jutra z samego rana zbierać się do drogi. Bez żadnych komentarzy i bez rozgłosu. Zwyczajnie ja i królowy wyjeżdżamy na Mazowsze.

– A kupione przez nas opony? Flandryjskie makaty? – zapytał Pappacoda.

– Zdjąć wszystkie, których tu przedtem nie było. Także załadować na wozy wszystkie lichtarze, puchary, misy srebrne i cały mój skarbiec.

– Co zostawić? – wtrąciła się Marina.

– Nic.

– A kołyskę z Bari?

– Po co? Nie słyszałam o żadnych nadziejach. Żadnych! Możecie odejść. Ty zaczekaj – zwróciła się do Pappacody. – Jakże teraz brak mi Alifia! Chciałeś być burgrabią krakowskim, a on nim został. Ale na przyszłość, w Warszawie...

– Miłościwa pani wie, zem oddany duszą i ciałem! – zapewniał.

– Tedy dopilnujesz, żeby po mnie nie ostało tu nic! Tak samo po królownach. Niech wprowadzi tę swoją miłośnicę do pustych komnat.

– Jeżeli radzić wolno... – odezwał się nieśmiało. – Po co zabierać skarbiec na Mazowsze? Lepiej wysłać złoto do bankierów w Neapolu.

Tam będzie bezpieczne.

– Zaiste! – westchnęła. – Bezpieczniejsze niż tutaj, gdzie wszystkim trzeba coś dać, aby postawić na swoim. A i August... Wygląda na to, że będzie tak samo hojny i łaskawy jak wszystkie Jagiellony.

– Gdyby nie miłościwa pani... – przyznał.

– Si. I pomyśleć, że ściągnęłam tyle podatków, tyle ceł po to tylko, żeby wzbogacić jego

litewską konkubinę!

– Dlatego radzę... – nalegał.

– Wiem, ale nie teraz. Może się jednak coś odmieni? August odeśle poddankę, jak tego żąda szlachta? Jeszcze ciągle chciałabym wierzyć. A zresztą... rozejrzeć się wypadnie, komu pożycząć i jakie z tego będą korzyści dla księstwa Bari. Nie! Nie! Zabierzesz na razie wszystko do Warszawy. I nie próbuj przesyłać do Italii żadnych sum na własną rękę.

Pappacoda wydawał się zgorszony.

– Jakże bym śmiał, miłościwa pani?

– Va bene! Va bene! – rzekła, odsyłając go ruchem ręki. Chciała zostać sama, żeby przemyśleć decyzję wyjazdu raz jeszcze.

Zostawiała w Krakowie i w całej Koronie dwa skłócone obozy. Postępowe stronnictwo szlacheckie dążące do reform było rozczarowane tym, że młody król zawiódł ich nadzieje. Wiedzieli już, że chcąc uratować swoje małżeństwo, musi oprzeć się na senacie i magnatach litewskich. Tak więc rządzić mieli wciąż dawni doradcy Zygmunta, wrogowie ruchu odnowy i naprawy Rzeczypospolitej. Była zawsze przeciwko nim teraz nie pozostało jej nic innego, jak sprzyjać poczynaniom szlachty. Ale w takim razie, jeżeli August wchodził na błędną ścieżkę dla dogodzenia pragnieniom własnym, kierowany prywatą, jak miała osądzić zmarłego męża, z którym walczyła często, ale szanowała nie mniej od innych? Czyżby jego umiłowanie pokoju i łagodność wobec pokonanych wrogów świadczyły nie o wspaniałomyślności i łagodności, tylko o postawie biernej, o uporze człowieka słabego, na którego barki spadł ciężar ponad siły? Czyżby nie był tak wielkim królem, jak głosiła o tym inskrypcja na najwspanialszym z polskich dzwonów? Dopiero po śmierci Zygmunta Starego jej agenci i słudzy zaczęli donosić o tym, że ucieszyła ona wielu, że nazywali go kukłą bezwolną, od lat już zniedołężniałym starcem. I dopiero po pogrzebie napłynęła fala wiadomości, jak bardzo liczono na tego, który na dziedzińcu wawelskim przejął królewski proporzec. Czy zdążył już wszystkich zawieść, zniechęcić do siebie i swoich doradców? Zdążył, ponieważ nie chciał rozmawiać ani z przedstawicielami szlachty, ani miast. Nie chciał także rozmawiać i z nią, królową, przez wzgląd na Barbarę... Poczula się nagle znużona poprzednimi rozmowami z Augustem i po raz pierwszy w życiu... stara. Może dlatego, że nikomu niepotrzebna, nic zdziałać nie mogąca, inaczej niż za lat, gdy ster rządów przejęła z osłabłych rąk męża? A więc koniec? Rezygnacja i odejście w cień? Miała ochotę rzucić czymś ciężkim w zamknięte drzwi i otworzyć je przed sobą na rozcież. Nie dla niej pobyt na Wawelu w cieniu młodej królowej. Nie dla niej milcząca zgoda na poczynania Augusta! Czuje jeszcze w sobie wzbierającą chęć do wykrzyczenia nurtujących ją myśli, do wydawania rozkazów, kierowania powolnymi sobie ludźmi. Mazowsze... Tak, pierwsza myśl była dobra, najlepsza. Będzie tam najpierwszą z pierwszych, ducissa Masoviae, i w tej dzielnicy może uczynić, co tylko zechce. W czas sejmu potrafi sprzeciwić się woli syna i Radziwiłłów, ale teraz powinna pożegnać mury Wawelu, w których spędziła trzydzieści lat, gdzie znała każdy filar krużganku, gdzie w wirydarzu na jej rozkaz rozkwitły barwne krzewy i kwiaty.

Ileż urządziła w tym zamku festynów, ile razy przy dźwiękach italskiej kapeli, fletu lub lutni przeżywała chwile radości i dumy, że jej dwór nie był mniej świetny od italskich, francuskich, a nawet od dworów obu Habsburgów: w Madrycie i w Wiedniu. Opiewali jej mądrość i piękność liczni poeci. Prawda... Znany na cesarskim dworze polski poseł, a zarazem sławny poeta Dantyszek był teraz biskupem warmińskim. Może spróbować napisać do niego? Niech wpłynie na Hozjusza, aby nie podejmował się żadnych misji z rozkazu króla? Żeby nie szkodził Izabeli, układając się z Ferdynandem?

Nie wołając nikogo opuściła sypialnię i weszła do sąsiedniej komnaty, już prawie pustej. Zdjęto kosztowne opony, wyniesiono cenne meble z hebanu. Pod ścianą pozostał tylko wielki stół przytwierdzony do posadzki. Pochyliła się nad nim bardzo nisko i przyglądała długo swemu niewyraźnemu odbiciu w polerowanej powierzchni. Obwiodła palcami kształt głowy, zarys ramion. Potem podeszła do okien wychodzących na dziedziniec. Było trudno rozstać się nie tylko z tym pięknym zamkiem, ale i ze wspomnieniami, ze sobą, Boną Sforza d'Aragona, która przyjechała tu jako młoda dziewczyna... I czuła się wciąż jeszcze młoda, młoda!

Trzasnęły drzwi i wbiegła Zuzanna Myszkowska, aby zabrać srebrną czarę z kwiatami stojącą samotnie pośrodku stołu. Bona przeszkodziła jej w tym; odchodząc pośpiesznie od okna, rozkazała:

– Zostaw! Tę jedną czarę zostaw. Zobaczyłam ją najpierw, gdy po raz pierwszy weszła do tej komnaty.

– Rozumiem, miłościwa pani – szepnęła dworka.

– Nic nie rozumiesz – rzuciła gniewnie. – Nie było ciebie jeszcze wtedy na świecie. A i ja byłam inna. Tylko kwiaty stały tak samo na stole... Jaki dziś mamy dzień?

– Pierwszy augusta.

– Dzień pamiętny... Ale to nie ty dwadzieścia dziewięć lat temu wyrzucałaś przez okno czerwony pas.

– Pas? – powtórzyła dworka. – Nie rozumiem...

– Ani ja. Jak mogło się to wszystko stać? Tyle marzeń, pragnień, nadziei... Zawsze chciałam działać, tworzyć. I nic. Niente! Jakby całe życie było nieudane, puste. A przecież... Nie stój tak! Wracaj do swoich zajęć! – krzyknęła, nagle spostrzegłszy, że nie jest sama.

Ale kiedy Zuzanna wyszła, zbliżyła się znów do okna. Dotknęła murów, pogładziła dłonią chłodne kamienie, jakby szukała śladu pasa wyrzuconego kiedyś przez to właśnie okno.

– August... – szepnęła. – Tak bardzo wiele i tak mało. Tak mało...



Długi ciąg naładowanych wozów i kolebek zaprzężonych w pięknie dobrane czwórki koni dojechał do Wisły i przystanął. Z pierwszej karocy wysiadła królowa i wraz z Mariną, Zuzanną i Pappacodą podeszła niemal do samego brzegu. Rzeka leżała przed nimi równie szara jak pod Wawelem, ale o wiele szersza, sierpniowe skwary poznały ją plamami piaszczystych wysepek

niby trądem. Takie przynajmniej porównanie nasunęło się Marinie i odważyła się wypowiedzieć je na głos.

– Wygląda, jakby miała zaraz wyschnąć, zniknąć...

– Pod Warszawą brzeg pono wyższy, prąd bardziej wartki – odparła Bona i dodała po chwili:

– Przed wieczorem będziemy już w Jazdowie. I pomyśleć, że w tym samym czasie, kiedy ja wejdę do drewnianego zamku książąt mazowieckich, ta wszetecznicza, być może, zostanie wprowadzona przez króla do moich komnat na Wawelu...

Milczeli nie znajdując odpowiedzi, ona zaś przymknęła oczy, jakby widziała uścisk ramion Augusta przy tym samym oknie, z którego niegdyś dworka Anna wyrzucała na mury czerwony pas. Jej syn i Barbara... Horrendum...

– I to ma być sprawiedliwość? – nie mogła powstrzymać się od wypowiedzenia na głos tych słów. – Santa Madonna!

Pappacodą pośpiesznie przytaknął.

– Tyle starań, tyle złota poszło na budowę Wawelu. Także na wspaniałe wjazdy do grodu. A tutaj co? Dzicz, pustka. Nawet nie czeka na nas nikt...

– I zima surowsza będzie na Mazowszu niż w Krakowie... – dorzuciła Marina.

– Stolica byłego księstwa, a ma tylko trzech złotników i dwie setki ludzi parających się rzemiosłem. Incredibile! – biadał Italczyk.

– Basta! – krzyknęła nagle królowa. – Nie chcę więcej słyszeć o „Wawelu! Rozbuduję Jazdów i Warszawę, sprowadzę budowniczych, rzeźbiarzy, muzykantów. Założę folwarki i ogrody. Jeszcze mi król pozazdrości Mazowsza!

– Piaseczki tu bardzo liche... – przypomniał Pappacodą.

Odpowiedziała już z gniewem:

– Iz piasków można wycisnąć złoto. Jedźmy. Czasu szkoda.

Ale gdy dworzanie zawrócili w stronę gościńca, nie ruszyła się z miejsca wpatrzona w wilgotny piasek, na którym pozostał odcisk jej stóp. Patrzyła na niego chwilę i nagle przeniosła się myślą do rodzinnego kraju. Zobaczyła siebie stojącą na marmurowej posadzce zamku i patrzącą w dół na białe pantofelki, na płytę, na której, według obietnicy principessy, miał być wyryty napis: „Tutaj stała królowa polska, kiedy żegnała się z matką swoją, księżną Mediolanu”.

Przymknęła oczy, a potem uniosła je ku górze. Po sierpniowym niebie leciały białe obłoki, wiatr pędził je na południe, kto wie, czy nie w stronę kaplicy, w której nad rodem Sforzów czuwał święty Mikołaj z Bari.

Wypowiedziała szeptem żarliwą suplikację:

– Tu stoję. Sama. Wygnanka. Pomóż! Pomóż!

Od września z Warszawy pędzili co dzień nowi posłańcy lub też wjeżdżali na dziedziniec zamku książąt mazowieckich wysłani uprzednio gońcy. Donosili, że król zawiózł znowu młodą żonę do Korczyna i nie ustaje w zabiegach kaptowania sobie sprzymierzeńców wśród

możnowładców i szlachty, zwłaszcza tej najbardziej zajadlej, z Wielkopolski.

Podesłany do hetmana człowiek Kmity zaklinał się, że biskup Hozjusz wyjechał już do Wiednia, inny zaś dworzanin Bony, wysłany z podziękowaniem do Boratyńskiego, wrócił z miną kwaśną i twierdził, że Lupa Podlodowski natychmiast po powrocie do domu otrzymał nadanie królewskie i już więcej przeciw małżeństwu przemawiać nie zamierza. Najgorsza wieść przyszła jednak nieco później, gdy Hozjusz powrócił z Wiednia z podpisaną ugodą między królem rzymskim a polskim. Przekreślało to utrzymanie się narodowej monarchii na Węgrzech i groziło sukursiem obcych wojsk, mających złamać upór szlachty. Król działał szybko, stawiał wszystko na jedną kartę i, mimo że sejm został właściwie zerwany, zabrał się do sprawowania sądów. To doprowadzało szlachtę do krańcowej pasji, urągało zwyczajowym prawom i zniechęciło do młodego monarchy nawet tych, których niewiele obchodziła reforma praw i egzekucja dóbr.

– Ma więc teraz przeciwko sobie wszystkich? – pytała Bona marszałka Kmity z nadzieją w głosie, ten jednak, choć rozżalony i obrażony na króla, coraz niechętniej przyznawał jej słuszność. Doszło nawet do tego, że sprzeciwił się kiedyś, mówiąc:

– Miłościwa pani sama zna dobrze potęgę złota, a młody pan szafuje nim tak, jakby miał kopalnię tego kruszcu pod Krakowem. Przekupi jednych, wyniósł i obdarzył dobrami drugich. Część senatu woli dogadać się z nim, niż być nieprzychylna młodemu władcy. Toż on pożyje dłużej niż oni, tedy co ich może w przyszłości czekać? Jakie nowe urzędy czy nadania?

– Na co jeszcze liczy August? – spytała Bona, hamując gniew.

– Na pomoc habsburskich wojsk. Obaczmy już niedługo, czy szlachta ulęknie się tych pogroźek i czy stanie do zbrojnej walki.

Wyjechał wkrótce potem z Jazdowa, ona zaś żałowała gorzko, że nie wysłała dość zręcznego gońca do Korczyna. Dałaby wiele za to, aby się dowiedzieć, co obiecywał kochance, kiedy byli zupełnie sami. I czy to ona tak wytrwale dążyła do uznania małżeństwa, czy też był w tych staraniach i zabiegach tak dobrze jej znany łagodny, lecz nie do pokonania upór Jagiellonów?

Tymczasem w Korczynie August, zapomniawszy o swej groźnej przeciwniczce, witał Barbarę niemal zawsze tymi samymi słowami:

– Nareszcie! Doczekać się nie mogłem tej chwili...

– Znowu w waszych ramionach – szeptała. – A brat Mikołaj nie ustawał w narzekaniach...

– Tak, są przeszkody. I to niemałe... Zjedziemy na Wawel dopiero za jakiś czas. Burzę przeczekacie tutaj, w Korczynie. Ale chociaż bój będzie zaciekły, rad staję do niego o was i szczęście nasze.

– Tęskniliście? – pytała.

– Tak.

– Ja także. Nie zmieniło się nic?

– Nie. To znaczy, owszem.

– Boże święty!

– Miłuję was z dnia na dzień coraz mocniej, coraz goręcej.

– Szczęśliwy... Ja kochać już więcej nie mogę, nie potrafię...

– Bo miłujecie także matkę, braci. A ja nikogo, prócz was. I w całym królestwie to jedno tylko mam dla siebie, na wyłączną własność: wasze oczy, usta, ręce, ramiona...

Szeptala kołysana w jego objęciach:

– Panie mój! Jedyny. Najmilszy...

Wysłany do Korczyna człek powrócił do Warszawy z tą tylko wieścią, że słudzy Mikołaja Rudego, który towarzyszy siostrze „na wygnaniu”, rozповідаją, iż okrutnie miłuje się tych dwoje...

Słuchając relacji posłańca, królowa patrzyła przez okno na szarą Wisłę przepływającą pod murami zamku, jak płynęło teraz jej własne, niegdyś tak bujne życie. Czyż nie jest „na wygnaniu” także i ona? Czyż jej serca nie przepełnia w tej chwili żal i ból tak dotkliwy, że nie może się poruszyć, wstać i podejść bliżej do okna? Zresztą, po co miałyby się wychylać i dotykać ręką zimnych ścian Jazdowa? To nie Wawel i nie wisiał na nich nigdy purpurowy, złotem bramowany pas... Maledizione! Jest sama w Warszawie, podczas gdy w Korczynie tętni młode życie, a ramiona Augusta oplatają Radziwiłównę tak mocno, jak nigdy żadne ramiona nie oplatały jej, chyba że w dzieciństwie ramiona pierworodnego. Dziecko... Czy ta nałożnica da mu syna jeszcze przed koronacją? To byłoby dla niej wielkim, niezasłużonym szczęściem, ale dla Jagiellonów? Im nie jest potrzebny bękart. Trzeba ciągle jeszcze czekać, jak wypowie się w sprawie uznania małżeństwa następny sejm. Ona sama pojedzie znowu do Gomolina, ale już nie będzie szkalować, wicherzyć... Kmita przyjechał do Warszawy tylko raz. Czyżby i on zabiegał teraz o łaskę królewską? On, możny pan na Wiśnicz, który służył jej nie tylko z obowiązku, ale chyba także... Jego oczy patrzyły na nią dawniej z takim wyrazem, że nie mogła się mylić... Ale to było w Krakowie, natomiast podczas ostatniego pobytu w Gomolinie i w Jazdowie unikał jej spojrzeń. Przepływa u jej stóp Wisła... Przepływa wszystko, co było kiedyś jej własnością, nawet miłość. Nigdy nie wyznana, ale chyba nie mniejsza od tajonego uczucia Alifia? Po jesiennym niebie przepływają także ciemne chmury. Jak smutno jest patrzeć na przemijanie wierności, miłowania, przyjaźni. A zresztą... Czyż przez nią samą nie przepływa czas jeszcze groźniejszy od nieujarzmionej rzeki?

*

Ale do przyszłego sejmu, który miał być zwołany do Piotrkowa nie wcześniej niż w następnym roku, było jeszcze wiele miesięcy. Mógł w tym czasie działać na swoją korzyść król, mogła i ona. Wciąż jeszcze regina Poloniae, ducissa Lithuaniae et Masoviae... Już od jej przyjazdu zmieniło się wiele w Jazdowie i w Warszawie, teraz powinno było odmienić się wszystko. Stare dworzyszczce umocniono, rozbudowano wnętrza upiększały sprzęty, makaty i kobierce wywiezione z wawelskich komnat. Zaniedbany folwark dokoła Jazdowa stał się wkrótce sprawnie zagospodarowanym dominium królewskim, powiększała się z miesiąca na miesiąc

piękna stadnina, której najlepsze reproduktory stanowiły ogiery przywiezione z Litwy, a ku Wiśle schodziły tarasami ogrody, mające już wkrótce cieszyć oczy barwnymi rabatami kwiatów.

Trzy królowny tęskniące za gwarnym Wawelem trzeba było zabawić nie tylko igraszkami karłów, przejażdżkami po parkowym stawie i haftem ornatów dla kościołów wewnątrz murów warszawskich. Sprowadziła tedy, ku radości Mariny, kapelę z Italii i zaczęły się w Jazdowie dni muzykowania przeplatane jednak wytężoną pracą. Doradcą Bony stał się jej sekretarz Stanisław Chwalczewski, ku niezadowoleniu rozgoryczonego Pappacody. Ale królowa widziała w tamtym godnego następcę Alifia i jemu powierzyła obmyślenie oraz przeprowadzenie reformy rolnej w jej dobrach poza Koroną. A ponieważ nie mogłaby uczynić tego sama, kazała wezwać przed swe oblicze rewizorów, których wścibstwo tak gniewało Mikołaja Radziwiłła Rudego i którzy znali od lat tamtejsze folwarki i puszcze.

Stali przed nią teraz w komnacie jazdowskiego zamku wszyscy czterej: Osmólski, Brudnicki, Dybowski oraz Nowicki i słuchali jej zapytań, ile posiada ziemi w starostwie kobryńskim i pińskim oraz jakie są to grunta: łąki, pola czy puszcze?

Stali milcząc, przestępowali z nogi na nogę, pod jej władczyim spojrzeniem spuszczały oczy. Ale na zadane pytania nie mógł odpowiedzieć dokładnie żaden z nich. Wykręcali się, podawali przybliżone dane, jeden zaprzeczał temu, co powiedział drugi. Zniecierpliwili ją w końcu i rzekła gniewnie:

– Jużem słyszała tę gadkę: był w Polsce jeden mierniczy, ale i ten dawno pomarł. Mnie truposzów nie potraza. Waszmościowie pomierzycie Wołyń, Pińszczyznę i moje dobra na Litwie. Jest bowiem tam tylko miara na oko. U mnie będzie inaczej. Mości Chwalczewski, mianuje waszmość pana zarządcą wszystkich moich posiadłości, choć sekretarzem naszym nadal pozostaniesz. Roztłumacz ichmościom, com zamierzyła i już omówiła z tobą.

Starosta kobryński i dworzanin królowej Stanisław Chwalczewski wysunął się spoza krzesła królowej i zaczął tłumaczyć:

– Grunta wszystkie macie pomierzyć, na gatunki podzielić, kliny i kawałki w jedno połączyć. A za miarę miłościwa pani przykazuje wziąć włókę.

– Boże Miłosierny! – westchnął rewizor Nowicki. – Toż taka praca nie na ludzkie siły!

– Ale będzie na wasze – orzekła królowa. – Słyszałam: twardy z was człek i fantazji wielkiej. Stąd i awans w główne rewizory. Jak długo myślicie przemierzać tak wszystkie ziemie?

Porozumieli się szeptem i Osmólski rzekł:

– Hm... z piętnaście lat. Najmniej.

– A może i dwadzieścia – dodał Brudnicki. – Toż tamte ziemie kudy od Mazowsza większe.

– Mnie to mówicie? – spytała. – Większe, ale klinów i ugorów tam mniej. Ja to sprawdziłam.

A wy? Ile czasu dajecie na pomiar? – zwróciła się do Dybowskiego.

– Niech będzie dwanaście – odparł po namyśle.

– Bene. Czterech was jest, tedy wypada trzy lata na każdego. Dobierzcie sobie pomocników, ludzi pilnych i uczciwych. Chcę, żeby do pięćdziesiątego czwartego roku pomiaru włóczna była

ukończona.

Osmólski zdobył się na śmiałość, aby wyrazić protest.

– Miłościwa pani! Toż to całkowite novum. I wielka, i pomniejsza szlachta krzyk podniesie!

– E allora? – zdziwiła się Bona. – Każde nowe w krzyku się rodzi. Nie wiecie, że noworodki ledwo świat zobaczą, już drą się jak opętane? A co wiedzą? Nic. Tedy zgodnie z ustawą o pomiarze włócznej widzieć was chcę z raportami co kwartał. Tutaj. W Jazdowie. A waść, mości Chwalczewski, pouczysz głównych rewizorów, ale nie pojedziesz z nimi. Zostaniesz przy mnie, na dworze. Razem inne jeszcze reformy obmyślim.

– Do usług miłościwej pani – odparł kłaniając się pan Stanisław Chwalczewski.

Coraz częściej zaczęła też wyjeżdżać poczworną karocą do miasta otoczonego warownym murem i przez Bramę Świętojańską na rogu Podwała kazała wieźć się na rynek. Jej baczemu oku nie uszło nic: ani brudne niebrukowane uliczki tak wąskie, że niektórymi iść mogła tylko jedna pękata mieszczka, ani ciasna zabudowa drewnianych domków otaczających ratusz.

– Spalą się kiedyś od pioruna albo iskier z komina i kto to ratować będzie? – pytała Pappacodę.

Ale ten, nie mogąc odżałować pięknego Krakowa, rozkładał tylko ręce. Kazała przywołać do siebie burmistrza i zagadnęła go ostro:

– W czasie burzy z piorunami albo zaproszenia ognia kuchennego, kto tę zwartą zabudowę uratować zdoła? Wy, mości burmistrzu?

A ponieważ stał przed nią bezradny, twierdząc, że nie pytali go o to nigdy książęta mazowieccy, od razu wprowadziła do Warszawy nowy porządek ogniowy, wyznaczając odpowiedzialnych za pożar. I jakby przeczuła, że należało to uczynić presto, presto, bo w parę miesięcy po tej inspekcji przeszedł przez miasto straszliwy orkan. Biły pioruny, wichur zrywał dachy z domów, obalał kominy, nie oszczędził nawet wieży kolegiaty: wieża runęła przebijając posadzkę świątyni i zawałając gruzem lochy pełne starych trumien. Zaczął się palić jeden dom na rynku, od niego zajęły się domki i dworki sąsiednie. Powiadomiona o skutkach wichury i zagrożeniu miasta kazała natychmiast zaprzęgać i mimo silnych porywów wiatru dojechała aż do Świętojańskiej. Stamtąd, już pieszo, w asyście niewielu dworzan i przybocznej straży, doszła do wylotu uliczki. Powiało na nią żarem, po raz pierwszy zobaczyła płonące miasto. Dzwony licznych tu kościołów biły na trwogę, krzyczeli ludzie ratujący dobytek, lamentowały mieszczki, kulawe żebraczki i przekupki staromiejskie. Ogłuszona hałasem, dusząc się od dymu, wytrzymała jednak tak długo, dopóki ogniowi nie przestali czerpać wody ze studni i starszy nad nimi nie przyszedł jej zameldować, że wprawdzie „co się spaliło, to się spaliło, ale uratowali resztę”, a więc dwie strony rynku od Wisły i gmach ratusza.

Wróciła do Jazdowa dopiero o świcie, zmarznięta, przewiana wichurą, ale po raz pierwszy od wielu miesięcy rada z siebie. Domy każe odbudować z kamienia, a na naprawę szkód w kolegiacie Pappacoda odsypie z zamczystych skrzyń w lochach zamku mieszek złotych dukatów. Deo gratias! Czują się znowu potrzebna, mogła coś ratować, zapobiec czemuś, co przewidziała...

Toteż nie zdziwiła się wcale, gdy w czerwcu po owej słynnej już wichurze prosiło ją kornie o przyjęcie kilku ogrodników z jazdowskiego folwarku. Przyszli nie tylko pytać, jak pielęgnować warzywa, które poleciła im zasadzić wiosną, ale też poskarżyć się na brak... kos. Jak ciąć bujną trawę nadwiślańskiej skarpy i zieleńców parkowych, skoro mają kos za mało, a w całym mieście nie znajdują ani jednego szlifiarza, który by stępieła mógł stale ostrzyć.

– A dawniej? – pytała. – Jak radziliście sobie dawniej? Najodważniejszy spojrzął po pozostałych i, spuściwszy głowę, wymruczał:

– Et, dawniej! Dawniej nie było tu miłościwej pani. Rosła sobie trawa i każde ziele, jak chciało... Toż Jazdów daleko, za murami, a w Warszawie po co kosy?

Wysłuchawszy ich z wielką uwagą, tego samego jeszcze dnia kazała wezwać do siebie Chwalczewskiego.

– Każcie wybudować do zimy, blisko zamku, szlifiernię kos, noży i mieczów. A zanim owa stanie, trzeba sprowadzić z Czerska, Płocka albo nawet z Krakowa zapas nowych kos i dwóch biegłych szlifiarzy. Tylko presto, presto.

Pana Chwalczewskiego zdziwiły jedynie owe wymienione przez królową miecze, tedy spytał, czy spodziewa się jakiegoś zagrożenia ze strony granicy pruskiej.

– Dopóki żyje Albrecht, nie dowierzam jego rycerstwu. Tedy i moje hufce uzbrojone być muszą w miecze przednie, zawsze ostre. A kiedy już sprowadzicie budowniczych do stawiania szlifierni, każcie im także zbudować blech bielący płótno dla owych mieszczek, które tak lamentowały nad utraconym dobytkiem.

– A dla miłościwej pani? – zapytał. – Nic?

Namyślała się przez chwilę.

– Dla mnie niech zbudują młyn papierniczy. Aż dziw, że nie było takiego za księcia Janusza, choć pono czytać i pisać umiał. I jeszcze jedno: dowiecie się na ratuszu, kto z rzemieślników ma synów roztropnych, chcących wędrować po rozum do Italii. Tam ich nie wyślemy, bo za daleko, ale na wyjazd do Krakowskiej Akademii dam zapomogę z własnego skarbcza. Niechże uczą się rozumu nie tylko pacholęta patrycjuszki warszawskich i bogatych mieszczan, ale także browarników, złotników, krawców i szewców. Nie będę się narażała na drwiny Wawelu, sprowadzając dla moich dworzan ciżmy i trzewiki aż z Krakowa a piwo... skąd? Per Bacco! Sama nie wiem, jakim to piwem częstował nas samych i szlachtę na Wiśniczu pan Kmita!

Umilkła, bo przypomniał się jej wspaniały festyn wydany na cześć królewskiej pary przez potężnego wielmożę. Nie było tu takich na ubogim, piaszczystym Mazowszu. Ale obiecała tym razem sobie, nie ogrodnikom, niemogącym nadążyć z pieleniem jej warzywnika i koszeniem zieleńców, że po piotrzkowskim jesiennym sejmie Warszawa będzie już miała sprawnych rzemieślników i dwór, którego pozazdrości jej wielu udzielnych książąt. Potrzebna jej była własna kancelaria – sprowadzi więc z Płocka i wykształci w Krakowie licznych sekretarzy, bakałarzy, stworzy w tym mazowieckim mieście modę na wszystko, co przypomina Bari, wszystko, w czym kocha się Italia...

Tego wieczoru stała długo przed małym oprawnym w złoto zwierciadłem przywiezionym jej kiedyś aż z Hiszpanii przez wiernego Dantyszka. Miała przeszło pięćdziesiąt lat, ale o tym prócz niej samej nie wiedział nikt. „Dobiegam półwiecza, ale wciąż dobiec nie mogę” – jak mówiła córkom i Zuzannie. Bo Marina wiedziała swoje, przecież znała ją, jak nieodżałowany Alifio, niemal od dziecka.

Patrzyła długo i uważnie na swoje odbicie w lustrze, które nie umiało kłamać. Nie, nie była jeszcze stara ani brzydka. Prawda, przytyła znacznie, jej policzki zaokrągliły się, ale właśnie dlatego były pozbawione zmarszczek. Czarne oczy płonęły jak dawniej, umiały jeszcze ciskać błyskawice, ale też czasem uśmiechać się łaskawie. Tylko usta... Te zachowały świeżość, lecz wargi stały się węższe, jakby na stałe zaciśnięte w gniewie. Santa Madonna! Czyżby tak miało już zostać? Kraków i Litwa były daleko, zamek w Jazdowie musi uleczyć rany zadane jej przez życie i odmłodzić ciało... Zrzuci te wdowie czepce i ciemne szaty! Minęły już prawie dwa lata od śmierci Zygmunta i może nosić znowu suknie z barwnego aksamitu, ze złotogłowiu i jedwabnych tkanin. Niech warszawski dwór zacznie gorzeć od blasku świec, dźwięczeń rytmem pawany oraz tych tańców, które modne są teraz we Francji i w Italii.

Chcieli ją mieć poza sercem Polski, poza Krakowem? Bene! będzie im przypominała natrętnie, że dwór warszawski królowej Bony jest jednym z serc, które najmocniej biją w Europie.

Kiedy uznała wreszcie, że zrobiła dosyć, aby uczynić Jazdów dworem, do którego zaczynano już słać listy i zaproszenia na śluby księżąt, zaczęła myśleć o wydaniu za mąż córek. Wszystkie królewny były już w wieku aż nadto dojrzałym... Postanowiła napisać nawet o tym do syna, aby pod tym pretekstem nawiązać zerwaną więź, ale Pappacoda twierdził, że król tak jest pochłonięty małżeństwem z Barbarą, że gotów takie pismo spalić jak wszystkie anonimowe listy przysyłane mu lub podrzucane na Wawel.

– Tedy piszą jeszcze złe o Radziwiłównie? – pytała.

– Piszą, choć coraz rzadziej. Sroży się jeszcze Stanisław Orzechowski, ale Kmita twierdzi, że to warchoł i nienawistnik.

– A? Tak twierdzi Kmita? Ciekawe... – szepnęła i nie wysłała żadnego listu do Augusta.

*

Wieść o przymierzu Augusta z Habsburgiem, celowo rozpowszechniana przez dworzan i zauszników króla, oburzyła jednych, ale też przygnębiła drugich i skłoniła ich do zaniechania oporu. Szlachcie nie w smak była orężna walka, wojna domowa o wyniesienie na tron Barbary z Radziwiłłów. Nawet senatorzy i biskupi z prymasem Dzierzgowskim na czele przestali ubolewać nad tajnym małżeństwem królewskim, nad zlekceważeniem senatu. Wojewoda Rafał Leszczyński wołał nie wspominać o despekcie, jakiego doznał w Piotrkowie Kmita, a i sam marszałek przestał ściągać posłów do Wiśnicza, poić ich i podjudzać.

Majowy sejm w Piotrkowie był już do pierwszego sprzed prawie dwóch lat w niczym

niepodobny. Senat nie taił, że tym razem będzie innego zdania niż izba poselska. Na obrady przybyli jako goście posłowie habsburscy z Wiednia i jawnie głosili, że staną w potrzebie u boku monarchy zaprzyjaźnionego z ich królem. Marszałek Kmita ostrzegł opozycję, aby nie atakowała zbyt mocno wobec pewnej przegranej. Posłowie wymogli więc tylko na królu, żeby w przyszłości przed zawarciem nowych ślubów starał się o uzyskanie zgody koronnych rad, na co przystał łatwo, małżeństwo z Barbarą bowiem wydawało mu się związkiem aż po kres jego życia, a miłość do niej – wieczna.

I tak po kilku tygodniach obrady zostały zamknięte, posłowie rozjechali się z uczuciem niedosytu oraz przegranej, król natomiast nawet nie próbował ukryć radości z odniesionego zwycięstwa. Było ono istotnie tak wielkie, że królowa Bona czekająca na wynik walk w Gomolinie nie uwierzyła, jak mogło nie dojść nawet do drobnych starć i potyczek.

– Nie wierzę! – krzychała, gdy Pappacoda powtórzył jej relację Ostoi. – I nie uwierzę, aż mi to powie sam Kmita.

Ale w tymże czasie butny marszałek ciągnął wraz z całym orszakiem królewskim do Krakowa i tylko raz z przekazem odezwał się do kasztelana Górki, że jak Wielkopolanie coś robią, to zawsze dobrze, aż za dobrze.

– Co masz, mości marszałku, na myśli, mówiąc owo „za dobrze”? – spytał marszcząc brwi Górka.

– Strzemię. Trzebaż było wam, kasztelanowi poznańskiemu, trzymać je przy wsiadaniu króla na koń?

Górka zbladł, ale w tejże chwili przygalopował do niego Lasota prosząc w imieniu najjaśniejszego pana o dołączenie do czoła orszaku. W dali widać już było Kraków, a król życzył sobie wjechać do stolicy w triumfie, w otoczeniu najwyższych dostojników. Kasztelan wahał się przez moment, ale widząc, że to zaszczytne zaproszenie nie dotyczy Kmity, ruszył ku przodowi. Marszałek patrzył za nim wściekły, oczy mrużąc jak zły kocur. Po chwili jednak rozchmurzył się, bo przyszło mu na myśl, że jego, pana na Wiśniczu, stać na urządzenie jeszcze jednej – wspaniałej uczyty, tym razem na cześć pary królewskiej, że August to zaproszenie na pewno przyjmie, aby zjednać sobie stronnika matki i że, co najważniejsze, na tym wspaniałym festynie nie będzie... Górki. Bo poznańskie kasztelaństwo było świeżej daty, podczas gdy on, marszałek koronny, został kasztelanem dwadzieścia lat temu, przyjmował na swoim zamku Zygmunta Starego z królową Bonę i jego ród był starszy od rodu Sforzów. A on sam nigdy nie trzymał strzemięcia nikomu wsiadającemu na koń...



Uroczysty, oficjalny wjazd na Wawel stał się prawdziwym triumfem. Barbara – uznana za prawowitą małżonkę królewską przy milczącej zgodzie sejmu – dziękowała Augustowi za wierność, upór i okazaną odwagę. Bracia od dawna tłumaczyli jej, jak trudną stoczył on walkę, aby osiągnąć zwycięstwo, ile musiał pokonać przeszkód i jak drogo zapłacił za ich wspólny

triumf. Toteż, choć czuła się bardzo źle, tego dnia ustroiła się w najpiękniejszą z szat lśniąca od pereł i drogich kamieni. I tym razem, gdy zostali sami, to ona, a nie on, westchnęła:

– Nareszcie!

Chwyił ją, uniósł w górę i całując uda, kolana, wołał:

– Wygrana! Zupełna! Choć w tej długiej bitwie płynęło wiele krwi. I złota!

– Ale jak w zwierciadle przegląda się w owej zwycięskiej batalii wasza niezmienna miłość...

Postawił ją ostrożnie na kobiercu i rzekł:

– Zabieram was stąd! Pojedziemy do Niepołomic, żeby nikt nie przeszkadzał cieszyć się nam sobą. Chociaż Czarny radzi...

– Żebyśmy byli razem, zawsze razem?

Potrząsnął głową.

– Radzi kuć żelazo, póki gorące, póki wszyscy zdumieni i oszołomieni tym, co zaszło. Mówią, że bez koronacji triumf zupełnym nie jest i nie będzie. A przed nią może być znowu wiele krzyku...

– Tedy nie zabierzecie mnie do Niepołomic...?

– Może później? Koronacja ważniejsza. Teraz, w istocie, trzeba zakończyć walkę.

– Łatwo przyjdzie mi to znieść przy was, w wawelskich murach – przytuliła się do niego mocniej.

– Zaiste, mia cara – roześmiał się – cudowna to rzecz, że nie boicie się wcale smoków! Błogosławieni, którzy nie wiedzą.

– Ale miłują...

– Dlatego trzeba o nich walczyć. I walczyć warto.

Patrzyli na siebie jak niegdyś w Gieranojnach, zachłannie i długo.

Nie zmieniło się dla nich nic. Czas stanął.

Bona pytała Pappacodę coraz częściej:

– Były wieści z Krakowa?

– Tak. Najpierw wyjechała z królem do Niepołomic, teraz on w ciągłych rozjazdach, o koronację zabiega. Marszałek Kmita przybył na Wawel z prośbą, aby zechcieli gościć w Wiśniczu.

– I zaproszenie przyjęli? – pytała z zapartym tchem.

– Raczyli wyrazić zgodę i w końcu sierpnia zjechali do wiśnickiego zamku.

– Starczy – przerwała gwałtownie. – Reszty wysłucham wieczorem. Teraz chcę być sama.

Wyszedł świdom miotających nią uczuć. Kmita – sojusznik wieloletni, wypróbowany, pewny... A teraz?

– Traditore! – szeptała do siebie. – I kłamca, kłamca!

Ale kiedy naprawdę kłamał? Czy teraz, chcąc się utrzymać przy dworze i wpłynąć na politykę króla, czy wówczas, kiedy go zwalczał, gdy zgadywał każde jej życzenie, otaczał

opieką, a jednocześnie czcił jak niedostępne bóstwo? Teraz nie ona, tylko Barbara ucztowała na Wiśniczu, przed nią płaśała młodzież i dla niej grały kapele. Może na jej cześć odbył się także turniej rycerski na wielkim podwórku? Może i ją oraz jej dwór obdarował marszałek tak kosztownymi darami, jak przed laty małżonkę Zygmunta Starego? W sierpniu kwitły tam róże wszelkich gatunków i to one zdobiły teraz komnatę żony Augusta... Nie, tego nie można znieść, tego nie zniesie żadna niewiasta. Niewiasta? Czy była nią jeszcze dla Kmity? Zginał się przed nią w kornych ukłonach, ale czyż tamta zwodnica nie była młodsza? Czy nie rzucała czarów na każdego, kto na nią spojrzał? Opętała przecież Augusta, czemu więc nie miała opętać pana na Wiśniczu? Ale w takim razie... Zostanie już na zawsze sama. Skarżyła się kiedyś, gdy wyjeżdżał król: solą, solitaria... To jednak, co odczuwała teraz, nie było tylko uczuciem lęku przed samotnością, opuszczeniem. Był to i gniew, i wstyd, i żal... Santa Madonna! Czyżby dożyła tej hańby, że zaczyna zazdrościć tamtej? No! No! Jest wciąż jeszcze zdolna wzbudzać, jeśli nie miłość, to lęk i podziw. Za kilkanaście dni wyprawi wielką ucztę na zamku w Jazdowie. I pod koniec sierpnia jej goście – a zjeżdżają się już do Warszawy dostojnicy królewscy przeciwni Radziwiłłom, biskupi wizytujący swoje diecezje, poeci układający rymy dla sławnej królowej Bony wszyscy ci goście podziwiać będą ogrody opadające tarasami do Wisły pełne kwiatów, których nasiona sprowadziła aż z Bari...

Tego wieczoru, już zupełnie spokojna, wysłuchiwała nowin, które przywiózł ostatni goniec.

– Mówisz tedy – pytała Pappacodę – że młody król dla uzyskania zgody prymasa na koronację zdradził innowierców?

– Można to i tak nazwać, miłościwa pani, jako że obiecał wydać edykt nie dopuszczający ich do urzędów ani do senatu, a gdyby trwali w swych błędach, ścigać heretyków i karać.

– Próbuje odwrócić nadpływającą z zachodu falę... Ale czyni to chyba tylko dla niej, bo on sam, a także Radziwiłłowie sprzyjali nowinkarzom?

– To było i minęło, najjaśniejsza pani. Teraz gotów do wszelkich układów i paktów, byle postawić na swoim.

– I to wszystko dla uradowania Barbary? Tym gorzej dla niego: będzie miał więcej wrogów. Co jeszcze?

– Gadanina dworek, dla których nie jest dość wyrozumiała, cierpliwa. Mówić?

– Tak.

– Pono często widziały złotogłowa łoża splamione krwią. Gdy słabnie za dnia, także farbą broczy...

– Santa Madonna! Nie może być, aby ronila tyle razy. Chora być musi!

– Dworacy przebakują o francuskiej chorobie. Medycy głowami kręcą, mówią o guzie w żywocie.

– Tak czy inaczej – stwierdziła Bona – chora. Inaczej niż Elżbieta, ale chyba tak samo rodzić niezdolna? Maledizione! Maledizione! A ja miałam nadzieję, że przynajmniej to jedno zrobi nie dla siebie i swego rodu, lecz dla Korony: da jej dziedzica. I znowu nic! Kołyska ciągle pusta...

Pappacoda spojrział na swoją panią zdumiony.

– Miłościwa pani uznałaby jej syna?

Odparła bez wahania:

– Si. To przede wszystkim byłby syn Augusta. Jagiellon.

– Czy aby nie jakieś przekleństwo nad nią? – spytał po chwili.

– Zamilcz! – krzyknęła. – Jeszcze August młody. Jeszcze, ufam, nie wszystko stracone.

– Może w istocie do koronacji młoda pani ozdrowieje? – wycofywał się zauszniak. – W Krakowie ma być w grudniu wielkie święto. Koronacja i wspaniała uczta na zamku.

– Beze mnie. A co tamci? Radziwiły?

– Och, ci! Wielmoże wściekają się, mówią o nich „królewskie faktory”. A oni aż puchną, tyle król wpycha im do otwartych paszcz. Rudemu dał województwo trockie i wiele tysięcy dukatów, a Czarnemu kanclerstwo wielkie, województwo litewskie i podarków bez liku.

– Toż to sumy olbrzymie! – zgorszyła się. – W rok roztrwoni całą ojcowiznę.

– Miłościwa pani wiedziała, co czyni, zabierając z Wawelu swój skarbiec.

– O Dio! Gdybym wiedziała jeszcze i to: co będzie z dynastią Jagiellonów? Ale tego nie wiem, nie wiem, nie wiem!

Barbara była zmęczona nie tylko atakami bólów, których usunąć nikt nie potrafił, ale także naleganiami braci. Gdy król opuszczał Wawel, zjawiali się w jej komnacie, aby prosić, nalegać, grozić... Rudy skarżył się:

– Aż wstydno, ale muszę o pomoc zebrać. Takem się splukał, żeby ludzi wam jednać i pozwolić im łatwiej ową koronacyjną ucztę przełknąć, że aż wrogowie naśmiewają się ze skromności mojego orszaku, z marnego przyodziewku. Śpiewają:

*„Panie Mikołaju,
Sukienki nie maju”*

– A na uroczystościach nam obu wystąpić wypadnie tak – dorzucał Czarny – aby wiadomo było wszystkim: oto bracia królowej.

– Powiem mojemu panu... Ale mnie samej niełatwo udawać, kryć się. Coraz słabsza jestem, coraz...

– Tylko nie to, nie to! – krzyknął gniewnie Czarny. – Teraz żadną słabością zasłaniać się wam nie wolno! Koronacja wyznaczona na siódmy dzień grudnia i sam prymas uroczystość celebrować będzie. A wy! Jakby to o kogo innego szło... Radości żadnej, wdzięczności dla króla ciągle za mało.

– Myślicie, ozdrowieje do owego dnia? – spytała szeptem.

– A choćby i nie, musicie wstać jakbyście byli w pełni zdrowia i sił! Pokazać wszystkim twarz wesołą i pogodną – nalegał Czarny.

– My z bratem ze skóry wyłazim, żeby was miłszą poddanym uczynić – tłumaczył Rudy. – Od piotrkowskiego sejmu nic tylko jeden poczęstunek braci szlachty. A, co mamy za owo wielkie żarcie i złopanie piwa czy węgryzna? Waszą niewdzięczność, bo nic nie czynicie, aby królowi dać choć cień nadziei.

– Żeby tylko to! – dogadywał brat stryjeczny. – Ale jeszcze nasyłają nam setki wstrętnych paszkwilusów na dom Radziwiłłów. Nawet policzyć trudno, ilu przez was przybyło nam zazdrośników i wrogów.

Umilkli, bo dworzanin zameldował przybycie króla:

– Jego Królewska Mość!

Zygmunt August od razu podszedł do fotela żony.

– Trochę silniejsza? – spytał.

– Tak, o tak! – odparła, wstając.

Bracia przerzucili się spojrzeniem, ale nie wycofali się z komnaty.

– To dobra nowina i dobry dzień – cieszył się August. – Panowie Rada wyrazili zgodę, by w grudniu odbył się także na krakowskim Rynku kolejny hołd lenny Albrechta. Ten akt uroczysty doda blasku i waszej koronacji, i całej Pospolitej Rzeczy.

– Miłościwy pan nie żywi obaw – spytał Czarny – że szlachta znów okrzyk podniesie przeciwko takiej „senatorskiej koronacji”?

– Zaprzeczyć się nie da – przyznał. – Jam jest, jak i mój poprzednik, król senatorski. Do czasu.

– Tak właśnie gadają – mruknął Rudy.

– Ale na tronie, mimo krzyku tamtych, siedzę równie mocno jak ojciec. Jużem nakazał, aby w ów dzień uroczysty grał Zygmuntowy dzwon. Moja regina może być wielce dumna. I rada.

– Tak, o tak! – szepnęła, podchodząc do niego bliżej.

Radziwiłłowie skłonili się i zaraz potem wyszli, ale za drzwiami Rudy machnął lekceważąco ręką.

– Niczego z niej więcej nie wyciśnięm. Wszystkie starania, zabiegi i łgarstwa nam przypadną.

– Ale za to potem... Potem kanclerzami, marszałkami, hetmanami będziem my z tobą, bracie. Tylko my!

– Dałby to Bóg, żebym miał wreszcie dukaty nie dla innych, ale i na godne mego stanu sukienki. Na sobole i rumaki.

– Och, to! – wzruszył ramionami Czarny – Stadniny na Litwie są wielkie i konie przedziwnych maści...

*

Na koronację Barbary w grudniu pięćdziesiątego roku przybyli z rozkazu i na zaproszenie króla Piastowie śląscy, liczni biskupi, kasztelanowie, wojewodowie, a laskę marszałkowską niósł

przed wszystkimi Piotr Kmita. Po raz pierwszy byli też w katedrze na tak wspaniałych uroczystościach obaj Radziwiłłowie, choć ku zdumieniu wtajemniczonych brakło w orszaku matki królowej. Widać bracia nie uznali jej za godną asystowania przy wyniesieniu córki na tron Jagiellonów...

Ten jednak, który przyganiał wyborowi króla na pierwszym sejmie, prymas Dzierzgowski, sam namaszczał teraz olejami Jej Królewską Mość, wkładał do jej rąk berło i jabłko z krzyżem, a wreszcie ozdobił piękną głowę królewską koroną. I grał jej wielki dzwon, śpiewały „Te Deum” chóry, a potem, jak Bona oraz Elżbieta, zasiadła na tronie w całym majestacie i blasku urody obok króla małżonka.

Rozglądając się podczas wiwatów, którymi huczała świątynia. Czarny szeptał do brata:

– Albrecht pruski, gdyby był, siedziałby tuż przy królu. Jednakże nie siedzi, bo nie przybył. To despekt dla nas.

– Ale jego posłowie złożą jutro hołd na Rynku? – spytał Rudy.

– Złożą, bo muszą jako przedstawiciele lennika. Tylko że ona... Widzisz? Coraz bledsza i bledsza...

– Byle wytrzymała do jutra. Do jutra! – mruknął Rudy.

A w bocznej nawie, bliżej wyjścia, Stańczyk mówił do Frycza:

– Gra „Zygmunt”... na triumf królewski, a także na pogrzebanie waszych nadziei. Na klęskę starej królowej, na odroczenie unii. Wie – a gra? I komu w tej Polsce wierzyć?

– Jeszcze nie wszystko stracone – bronił króla Modrzewski.

– Ejże? Widzisz, wasza miłość, tych wszystkich Górków, Tęczyńskich, Podludowskich, Boratyńskich? Wczoraj krzyczeli, ale za dwie niedziele pełno ich będzie na wawelskim zamku.

– Zamilcz. Ludzie słyszą – upominał go Frycz.

– Co słyszą? Granie „Zygmunta”. A kto zaprzeczy, że pięknie gra. Pięknie... – W takt bicia dzwonu kołysał osiwiiałą głową Stańczyk.

Ale choć rozdzwonił się w Krakowie królewski dzwon, nie było prawdziwej zgody na koronację ani ze strony wielu magnatów, ani pragnącej reform szlachty. Król przeprowadził swoją wolę bez formalnej uchwały sejmu, a że hojnie sypnął złotem tym, którzy uświetnili swoją obecnością grudniową uroczystość, uraził innych nie bogacących się na awansie Radziwiłłów. Krewniacy królewscy... A żeby to! Źle działa się z Rzeczą pospolitą, jeśli karmazynami i książętami z cesarskiej łaski mógł stać się ród, który na Litwie kniaziowskim nie był... Na uroczystą ucztę nie przybył wojewoda Górka, nie chcąc, widać, zasiąść przy jednym stole z Kmitą, hetman zaś, wielki hetman koronny Tarnowski, nie raczył jeść i pić pospołu z Czarnym, świeżo mianowanym wielkim kanclerzem litewskim. Ci, których nie zaproszono na koronacyjną ucztę, zazdrościli gościom obecnym tego wieczoru na Wawelu i pomniejszali znaczenie zarówno samej uroczystości, jak i ważność aktu wymuszonego na prymasie. Książę Albrecht pruski składał hołd tylko przez swych posłów, jakby uznał, że Barbarze – przyglądającej się z okien kamienicy na Rynku tej lennei powinności – i takie widowisko powinno wystarczyć. Musiał

zapamiętać, że królowa Bona nie chciała oglądać przed ćwierć wiekiem jego własnego aktu dobrej woli, gdy wkładał obie złożone dłonie wasala w ręce suwerena – Zygmunta Starego. Nie chciała, bo nie wierzyła, że był to akt szczyry? Nie chciała, bo gardziła pokonanym w wieloletnich walkach i bała się jego zemsty? Kto odgadnie?

Obecna królowa, do niedawna poddanka polskiego władcy, pragnęłaby na pewno nasycić oczy widokiem klęczącego księcia Prus. Tedy nie doczeka się ani takiego hołdu, ani obecności księcia na weselnej uczcie...

Na Mazowsze przywozili te wszystkie wieści i plotki codziennie wysyłani posłańcy. Byli i tacy, którzy mieli za zadanie ocenę nastrojów ogółu szlachty po uroczystościach krakowskich, ale kilku najbardziej zaufanych wysyłał Pappacoda wyłącznie do komnat wawelskich. Mieli donosić, jak zniosła trudy koronacji Barbara i co mówią dworzanie o stanie jej zdrowia? Nie było już bowiem w Krakowie tajemnicą, że zaraz po uczcie zemdlą, że pod koniec grudnia nie opuszczała już swoich komnat. Podobno słabła i czuła się coraz gorzej. Król wciąż zmieniał medyków, zezwalał nawet na odczynianie uroków. Cierpiał nie mniej od małżonki i robił wszystko, aby ratować życie tej, dla której nie wahał się narazić poddanym, zerwać z dawnymi sojusznikami i przyjaciółmi odtrącić wyciągniętą rękę matki.

Po tych relacjach, tuż po świętach Bożego Narodzenia, Bona zapragnęła poznać przepowiednie astrologa na zbliżający się rok pięćdziesiąty pierwszy. Udała się do jednej z wież jazdowskiego zamku w towarzystwie Mariny i weszła do komnatki czy też celi, której podłogę zdobiło malowidło przedstawiające wszystkie znaki zodiaku. Wypytywała długo astrologa, ale ten dawał odpowiedzi wymijające i starał się unikać jej wzroku. Rozgniewała ją wreszcie.

– Santa Madonna! Nie potrafisz niczego odgadnąć? Ani tego, kiedy wyzdrowieje, ani jak długo potrwa ten związek? Mów! Czy król będzie miał syna? A co widzisz w gwiazdach? Twój poprzednik, którego przegnałam, bo mało umiał, twierdził, że jedna z moich córek będzie polską królową. Jak to się może stać? Chyba kłamał?

Tym razem odpowiedział pośpiesznie, bez wahania.

– Nie! Mówił prawdę. I ja nie pojmuję, dlaczego stanie się tak właśnie, ale świadczy o tym horoskop.

– Horoskop? Więc jedna z trzech? Która?

– Królewna spod znaku Wagi.

– To znaczy? – nalegała.

– Urodzona w październiku...

– W październiku... Więc jednak Anna? Najbrzydsza z nich? Santa Madonna! I jak tu wierzyć gwiazdom? Mówiłam: nie! Już nigdy więcej! Nigdy!

Tej nocy błędziła długo po uśpionym zamku, wpatrywała się w pierwsze śnieżynki wirujące za oknami i opadające na gałęzie drzew. Co przyniesie rok najbliższy? Czy wyzdrowienie Barbary oraz nadzieję, że srebrna kolebka z Bari nie będzie pusta? Czy też długie chorowanie,

rozpacz Augusta i dziwne wyniesienie na tron Anny? Na miły Bóg!

Przecież żadna dyspensa nie zezwoli na kazirodczy związek... Anna ma uratować dynastię, urodzić syna? Komu? Augustowi? Trzeba będzie zmienić astrologa, tak jak król zmienia medyków na Wawelu. A może jutro z Krakowa przyjdą lepsze wieści? Dio! Więc do tego już doszło, że ona, Bona, pragnie dla szczęścia syna wyzdrowienia Radziwiłłówny? Spać, spać! Może sen odpędzi od niej te dziwaczne myśli, ten niepokój, który ogarniał ją zawsze, ilekroć syn czuł się cierpiący czy nieszczęśliwy.

Ale po krótkim męczącym śnie zbudził ją szept Mariny:

– Miłościwa pani, już dziewiąta. A z samego ranka przybył goniec z Krakowa. Czy signor Pappacoda może wejść?

– I to presto, presto!

Nie odpowiadając nawet na słowa powitania, rzuciła:

– Czuje się gorzej?

Zgadywał zawsze jej myśli, tedy odpowiedział:

– Medycy nie czynią już żadnych nadziei.

– A... Jak długo może jeszcze... żyć?

– Parę miesięcy, tygodni... Okrutnie cierpi.

– A król?

– Rozpacza, nie odstępuje od łoża. Chce być ciągle z nią, przy niej.

Milczała przez krótką chwilę.

– U nikogo nie szuka pomocy? Nie mówił, że chce widzieć mnie?

Którąś z sióstr?

– Nie, miłościwa pani. Śle tylko często gońców do Radziwiłła Czarnego, który przebywa na Litwie.

– Tedy sam. Już niedługo zupełnie sam. Augustus... Pomazaniec...

I nagle wybuchła gniewem, żalem:

– To niesprawiedliwe! Okrutne! Byle sługa, byle kmieć ma przy sobie gromadę dzieci. Wielu synów i młodą, zdrową żonę. A on... O Dio!

Dio! Za co tak każesz jego i mnie?

Marina dała znak Pappacodzie i ten zaczął cofać się ku drzwiom. Dworka już otwierała usta, aby coś powiedzieć, kiedy królowa wykonała dobrze jej znany ruch ręką.

– Zostaw mnie. Odejdź!

Kiedy wyszli, zaczęła krążyć po komnacie. Wracała od drzwi do okien, od okien do drzwi. Wreszcie, przystanąwszy przed klęcznikiem, którego używała rzadko, nagle padła na kolana. Z jej ust wyrwał się jęk:

– Si, si! Zrobię tak... Każesz przebaczać wrogom, zanim staną przed Tobą... I dzieciom, choćby były dla matek okrutne... O Dio, Dio, Dio!

Klęczała długo pogrążona w rozmyślaniach. Widziała wciąż przed sobą smutne oczy

Augusta i jego pobladła twarz pochyloną nad umierającą. Byle kmieć... Santa Madonna! A on? On?

Przed wieczorem kazała przywołać swego spowiednika, franciszkanina Lismanina, i podyktowała mu długi list.

– Macie wyruszyć, ojczy, jeszcze teraz, w styczniu, choć drogi są złe. Musicie zastać ją jeszcze żywą.

Lismanin przybył do Krakowa w początkach lutego, ale z królową było wówczas tak źle, że medycy przewidywali rychły koniec. Mimo nalegań nie został dopuszczony do królewskich komnat i musiał czekać, aż chora leczona ziołami przysłanymi przez Radziwiłłów z puszczy litewskich poczuje się lepiej. Dopiero wówczas, w ostatnim dniu marca, został przyjęty przez Barbarę na uroczystej audiencji.

Król zabiegał o to, aby posłanie z Mazowsza było jeszcze jednym liścikiem w wieńcu jej chwały, ale franciszkanin w tej wychudłej, powleczonej barwiczką twarzy ledwo rozpoznał piękną Radziwiłłównę ze znanych sobie wizerunków. Leżała oparta wygodnie o poduszki ze złotogłowi, otoczona licznym gronem dworzan i dostojników krakowskich, a tuż przy niej stał sam król, strojnie odziany. W komnacie panowało jednak tak ciężkie powietrze, że mimo chłodu ochmistrz kazał otworzyć okno.

Lismanin podszedł bliżej, wyczuł niemiłą woń, ale stanął w pobliżu łoża i zaczął odczytywać posłanie królowej matki. Najpierw czytał powoli i uroczyście, potem coraz szybciej, jednakże dotrwał w swej misji do końca.

– Najjaśniejsza królowa Bona – oznajmił – z łaski bożej królowa Polski, widząc to wolą niebios, jako też życzeniem Jego Królewskiej Mości, syna swojego, którego chęciom nie godzi się opierać, po długim i dojrzałym namyśle przyrzeka uznać Waszą Królewską Mość jako swoją najukochańszą synową, którą teraz przez swego spowiednika i świadka pozdrawia, zasyłając modły do nieba, aby Waszej Królewskiej Mości dało rychłe wyzdrowienie z obecnej niemocy i pomyślność w przyszłości...

Barbara tylko skinęła głową, jej usta wykrzywił grymas. W imieniu małżonki królewskiej podziękował królowej matce ochmistrz dworu, po czym franciszkanin pośpiesznie opuścił duszną komnatę. Dostrzegł wychodząc, że któraś z dworek rzuciła się ku drugiemu oknu i otworzyła je na roścież. Król jednak zdawał się nic nie czuć, nie widzieć cieni na wychudłej, niepodobnej do dawnej twarzy żony. Rad był wielce z uznania swego małżeństwa przez matkę, jednakże żegnając nazajutrz posła w swoich komnatach, rzekł:

– Powiedzcie, żem się ucieszył z przyznania się królowej do błędu, do dawania posłuchu oszczerstwom. Pozdrówcie najjaśniejszą panią, a także siostry za ich osobne pismo, lecz nie namawiajcie do przybycia którejkolwiek z nich na Wawel ani do posyłania leków. Wolimy, gdy się raczej przez listy nawiedzać będą, i nie chcemy, aby się miały pospołu często widywać...

Lismanin nie powtórzył tych obraźliwych słów swojej dostojnej penitencie, gdyż z opowieści

dworzan niekryjących się teraz z tym, iż unikają komnaty umierającej, przy której tylko król zdolny jest siedzieć bez nijakiego wstrętu – rozkłada się bowiem, nieszczęsna, już za życia – wywnioskował, że Zygmunt August trwa w jakimś zamroczeniu, że nie obchodzi go nikt i nie poza konającą. Tylko taki stan usprawiedliwiał obawę, że przyjazd Bony mógłby grozić otruciem i tak już skazanej na śmierć. Jedno było pewne: chciał, aby była daleko od łoża chorej, żeby litowała się nad nią tylko słowami listów.

Bona czekała tak niecierpliwie na powrót swego posła, że pośpieszył do Jazdowa zaraz po przekroczeniu warszawskich murów.

– Ucieszył się? Dziękował? – pytała, jakby list pisany był do syna, nie zaś do jego małżonki.

– Był wielce rad – odparł. – Jeśli jednak mogę doradzać, nie trzeba żadnych odwiedzin ani medyków z Warszawy. Zazdrosny jest wielce, sam chce małżonkę pielęgnować w chorobie, nawet dworzan niechętnie do łoża dopuszcza.

Dopiero wtedy jakby przypomniała sobie, co sprawiło, że napisała pismo do Krakowa, spytała:

– A ona, jak? Bardzo słaba? Zmieniona?

– Bardzo – odpowiedział krótko. – Może Bóg pozwoli, że pociągnie do maja, ale medycy nie dają jej więcej niż miesiąc życia. Tedy najjaśniejsza pani może już czynić w cichości przygotowania do wyjazdu na pogrzeb.

Patrzyła na niego, jakby nie rozumiejąc, wreszcie otrzymał odpowiedź, której się nie spodziewał:

– Ja? – spytała zdumiona, dotknięta w swej godności królowej. – Na pogrzeb tamtej? Com uczyniła, uczyniłam dla niego, nie dla niej.

A że wpatrywał się w nią bez słowa, dodała pośpiesznie:

– Bóg kazał przebaczać nieprzyjaciołom, ale nie wywyższać ich przez własne poniżenie. W maju, jeżeli Bóg tak zechce, będę znów jedyną koronowaną królową Polski...

W jakiś czas potem odwiedziła komnatę astrologa, ale że powtórzył tylko to, co usłyszała poprzednio, kazała zavezwać do siebie królową Annę. Pobyt na Mazowszu zbliżył ją do córek, nie poświęcała im jednak nigdy tyle czasu co Augustowi, a nawet poświęcała uwagi o wiele za mało. Wszystkie dobiegały już do trzydziestki, a żadnej tak usilnie nie starała się wydać za mąż, jak ongiś zabiegała o małżeństwo Izabeli, a potem Anny Mazowieckiej z Odrowążem, i co zdołała osiągnąć, przekreślając tym ożenkiem plany Wilhelma Hohenzollerna. Czyje plany miała jednak przekreślić teraz, starając się o mężów dla córek? Niczyje. A zresztą...

Wszystkie jej myśli były zawsze przy ostatnim z Jagiellonów, przy umiłowanym Augustu. On, dynastia i jej własne rządy na Mazowszu, Wołyniu, Pińszczyźnie – to tylko zdołało zaprzętać jej uwagę, absorbować myśli, wyzwać energię. Czuła jeszcze pełnię sił, chęci do politycznych rozgrywek i zapasów... Nie, przed sobą kłamać nie będzie. W tym roku, kiedy zostanie znów jedyną koronowaną królową, żadną królową matką czy też królową wdową, skończy naprawdę

pięćdziesiąt siedem lat. Piątka i siódemka. Trzeba spytać astrologa, co te cyfry mogą wróżyć, co oznaczać? Na razie musi zastanowić się nad jego ostatnią, tak dziwną wróżbą.

Weszła Marina.

– Królowna Anna już jest. Czeka.

– Niech wejdzie.

Weszła onieśmielona obecnością władczej, często niełaskawej matki. Ta musnęła ją tylko spojrzeniem, ale dostrzegła zarówno skromną, zbyt skromną szatę, jak i nieśmiałość w ruchach.

– Już wiesz? – spytała bez żadnego wstępu.

– Tak. Słyszałam.

– Nieszczęsny! – westchnęła królowa. – Nawet jego zwycięstwo jest klęską. Zdobył wszystko, co chciał, i to wszystko wymyka mu się teraz z rąk. Jeżeli ona umrze...

– Może Bóg pozwoli... – szepnęła Anna.

– Nadziei na cud mało. Zostanie samotny. Si. Bo to już koniec! Koniec tego, o co walczył i co zdobył, odepchnąwszy wszystkich, nawet mnie. Teraz woli być z nią sam, ale później, gdy jej zabraknie...

– Nie! Proszę...

– Żadne myśli zaszkodzić jej już nie mogą – skarciła surowo córkę.

– I teraz raczej o Augustynie myśleć trzeba. Może za czas jakiś zechce widzieć na zamku mnie? Albo którąś ze swoich sióstr? Wtedy... Tak. Wtedy pojedziesz do niego...

– Nie Zofia? Starsza jest – zdziwiła się królowa.

– Starsza. E allora? Ile ty masz lat? Dwadzieścia osiem?

– Jeszcze nie. Dopiero w październiku...

– Si, si, w październiku. Podejź do tamtego okna. Słyszałaś? Tak. A teraz wróć. Nadto pochylasz głowę i brzydko chodzisz. Garbisz się.

Anna podniosła na nią zdumione oczy.

– Nie mogę pojąć... Wszystkie wasze myśli teraz nie w Krakowie? Przy Augustynie?

– O tak! Zawsze przy nim. Przy Jagiellonach.

Poskarżyła się żałośnie.

– I w takiej chwili ważne, że ja, właśnie ja, ruszam się nie dość ładnie?

– Och, ważne jest wszystko – odparła Bona. – Jedni odchodzą, przychodzą inni, nowi... Może los każe właśnie tobie odegrać przy osamotnionym bracie rolę opiekunki? Pocieszycielki w strapieniu?

– A miłościwa pani? – zdziwiła się królowa.

Powiedziała z naciskiem, z niechęcią:

– Ja pocieszać nie umiem, a i on tego nie zechce. Każ Marinie obejrzeć twoje suknie. Może trzeba będzie szyć nowe? A teraz idź, idź już.

– I dorzuciła, patrząc na odchodzącą: – Lepiej. Teraz znacznie lepiej...

Była to pochwała, ale gdy Anna wyszła, mruknęła do siebie pełna zdumienia:

– Królową? Ona? Jak i Perché?

*

W początkach maja stan chorej Barbary był już tak zły, że zaczęła się dusić, brakowało jej wciąż powietrza. Król, ukrywając rozpacz, łudził żonę nadzieją rychłego wyzdrowienia, pocieszał, jak umiał.

– Kazałem zbudować, najmilsza, pojazd tak szeroki, aby na nim wasze łoże zmieścić się mogło. Jeśli będzie trzeba, zburzymy mury, rozbijemy bramy i pojedziemy, jak chcieliście, do Niepołomic.

– Do puszczy? Jak dawniej? – wyszeptwała. – To dobrze, bardzo dobrze. Zieleń, niebo nad głową... Czuję w tej komnacie chłód trupi. A tam, pośród drzew, obiecuję: będę zdrowsza.

– I dotrzymacie obietnicy. Nie tylko dla siebie, także i dla mnie. Sami wiecie. W myślach wy, tylko wy. Zawsze i niezmiennie.

– Chociaż królowa matka...?

– Po co mówić o niej? – przyganił łagodnie. – Liczy się tylko życie moje, miłość moja: Barbara.

– Nie kochaliście jej nigdy? – spytała po chwili.

– Może dawniej... Gdy dogadzała wszystkim moim zachciankom. Teraz za to właśnie ją winię. I, straszna rzecz: zaczynam bać się.

– Wzięła was w jasyr.

– Och! Jużem od dawna wolny! Zgoła inne ręce chwyciły mnie mocno, trzymają w niewoli i nie wypuszczą, da Bóg, nigdy – upewniał, całując jej rękę.

– Nigdy! Teraz wiem, że już zawsze będziem razem. Do końca. Przymknęła oczy, król zaś wstał, aby uchylić okna. Zaraz potem wrócił i złożył głowę na skraju łoża.

– Wy ciągle przy mnie? – spytała po chwili.

– Tak.

– Który to już dzień?

– Nie liczę.

– I zostaniecie długo? Przez całą noc?

– Tak, o tak!

– To dobrze. – I dodała: – Prośbę mam.

– Spełnię każdą – obiecał. – Chciejcie tylko wyzdrowieć.

– Ja chcę, ale... bardzo słaba. Trudno mi wstać, chodzić. Trudno uwierzyć, że przed nami może być... życie. I myślę, że gdybym umarła...

– Nie mówcie tak! – prosił gorąco. – Nie możecie zostawić mnie, nie możecie odejść!

– Nie powinnam, nie mogę. Ale gdyby Bóg tak chciał, pochowajcie mnie... proszę... nie tutaj, lecz w Wilnie. Pamiętacie? Byliśmy tam tacy szczęśliwi – szeptała.

Odpowiedział, choć gardło miał ściśnięte.

– Uczynię, co chcecie, ale dopiero po wielu latach. Kiedyś...

– Nie wierzę. Mówicie: kiedyś? A już teraz odstąpiły mnie znachorki. Medyk wchodzi, patrzy i szybko oczy odwraca.

– Jutro będzie inny – zapewniał. – W swoim zawodzie bieglejszy.

– Ale ja już nie będę inna – odrzekła z żalem i dodała: – Panie mój, czy świece... Czy świece ciągle się palą?

– Tak.

– Pocałuj mnie... Usta macie ciepłe, żywe... Będziecie przy mnie? Naprawdę? Nie odejdziecie stąd? – chwyciła go kurczowo za rękę.

– Nie. Nie bójcie się! Nie dam was dotknąć nikomu.

– To dobrze. Teraz może nawet usnę. Może. Gdyby tylko...

– Gdyby?

– Nie było tak zimno – poskarżyła się szeptem.

– Obejmę was ramieniem. Teraz lepiej?

– Lepiej, bo bliżej. Miły mój...

– Tak, tak.

Chwilę milczeli, ale zaczęła narzekać.

– Czemu wasze ramię tak dziwnie ciężkie? Czy w zbroję zakute?

– W zbroję?

– I tak zimne...

– Na miły Bóg! – wyszeptał.

Jednakże ona twierdziła uparcie, choć coraz ciszej:

– Zimne... Bardzo, bardzo... zimne...

Otwarte oczy zaczęły zachodzić mgłą, głowa coraz bardziej przechylała się na bok. Konała... Zygmunt pochylił się nad umierającą i zaczął najpierw szeptać, potem krzyczeć:

– Nie... Nie! Nie!

Nagle dotarta do niego świadomość tego, co się już stało. Przez chwilę dotykał jej czoła, ust, szyi, po czym oplótł gwałtownie ramionami nogi zmarłej i sam opadł twarzą na jej ciepłe jeszcze ciało. Jego plecy, barki drgały od spazmatycznego płaczu podobnego do wycia wilczycy, która utraciła małe.

Dziesiątego maja król sprawił swej umiłowanej małżonce znamienity pogrzeb, a uroczystości żałobne trwały kilka tygodni. Barbara leżała w trumnie odziana w czarne atłasy, ze wszystkimi insygniami władzy królewskiej. Na jej wychudłej dłoni złożył się drogocenny pierścień, szyję zdobił złoty łańcuch. Przez dziesięć dni August nie odchodził od zwłok, które wystawiono na widok publiczny w zamku, i wpatrywał się w trumienny portret królowej, stojący przed zamkniętą czarną skrzynią.

Wiedziano już, że chce spełnić ostatnią wolę zmarłej i pochować ją w dalekim rodzinnym

Wilnie.

Tych dni męki i rozpacz nie zakończyło przeniesienie ciała z zamkowych komnat do katedry. Dopiero tam odbyły się solenne msze i modły za duszę zmarłej przedwcześnie królowej, dopiero tam uformował się żałobny kondukt.

Za czarnym wozem, za trumną Barbary, kroczyli aż do granic ziemi krakowskiej wszyscy dygnitarze dworscy oraz możnowładcy, a także dworzanie i panny z otoczenia królowej. Tłum mieszczan stał w milczeniu, przyglądał się ciekawie, ale nie słychać było zawodzenia wynajętych płaczek, nie łzały też oczy krakowskich mieszczek.

Młoda królowa była im prawie obca, a że chciała spocząć nie na Wawelu, tylko w katedrze wileńskiej, niechęć i protest były w tym kamiennym milczeniu mieszkańców grodu.

Król wiedział, że długa, ostatnia droga umiłowanej nie oszczędzi jej ciała, i zgodził się nie tylko na jego zabalsamowanie, ale też na zalanie wapnem drogich szczątek. Szedł tedy na czele niewielkiego już orszaku w czarnych zakurzonych szatach, potykając się, gościńcem wiodącym na północ. Pod białą powłoką widział ją wciąż nie tkniętą rozkładem, wciąż młodą, piękną, nieodżałowaną. Czuł się skrzywdzony przez los, opuszczony przez Boga i ludzi, zupełnie samotny. Dworzanie idący za nim wiódł za uzdę czarnego okrytego kirem rumaka. Przed pustaciami lub przed ścianą lasów podprowadzał konia, a pan dosiadał go bez słowa i zaraz po przebyciu bezludnych okolic zatrzymywał i rzucał wodze sługom.

Przez wsie i miasta szedł znowu, jego czarne trzewiki pokrywały się kurzem, a nieraz błotem. Wiosna była zła, przednówek głodny, siła ludzi marło w biednych wioskach i małych miasteczkach. Ale on nie pytał, czemu tłumy nie wylęgają na drogi, przynajmniej w większych osadach. Ludzie... Nie istniał dla niego przez ten miesiąc żałobnej pielgrzymki nikt poza tą, której trumnę ciągnęły konie czarnej maści. Czarny był wóz, czarna suknia, w której widział ją po raz ostatni, i czarna otchłań przed nim samym. Do każdego niemal napotkanego kościoła kazał wnosić zmarłą do głównej nawy i cały orszak brał udział w mszy za jej duszę.

Kondukt zatrzymywał się także w miejscach, gdzie lubili przebywać z Barbarą, a najdłuższy postój wypadł w Rudnickiej Puszczy, w myśliwskim zameczku królewskim. Tam August polecił ustawić trumnę wraz z portretem królowej w tej komnacie, której gościem bywała tak często zakwefiona, tajemnicza, szczęśliwa, że mogą być razem i zupełnie sami...

Przed Wilnem zerwał się wiatr, zaczął siąpić ciepły czerwcowy deszcz. Podprowadzono królowi konia, ale potrzęsnał przecząco głową i szedł dalej pieszo, w przemoczonych cizmach, zapamiętały w bólu, całkiem drętwy. Dopiero gdy usłyszał bicie wileńskich dzwonów i śpiewy chóralne, wyprostował się, dosiadał konia i wprowadził tę, dla której odbył walną bitwę o koronę, z całym przepychem do stolicy księstwa.

Katedra obita kirem jarzyła się od blasku świec, we wszystkich kościołach odbywały się jednocześnie msze żałobne. W samej uroczystości pogrzebu brali udział wszyscy możnowładcy litewscy i ruscy, a także nieprzebrane tłumy mieszczan wileńskich. Żegnano tu „Litewkę” goręcej niż w Koronie i nie tylko oczy króla były wilgotne od łez. Niewiasty także opłakiwały

zmarłą i kiedy trumna Barbary spoczęła wreszcie po uroczystych egzekwiach w kaplicy Świętego Kazimierza, obok sarkofagu króla Aleksandra i królowej Elżbiety, nagle dla wszystkich stało się rzeczą jasną, że pożegnali, pochowali pierwszą prawdziwie litewską wielką księżną, a zarazem królową. Była urodzona na tej samej ziemi, która przyjęła łaskawie jej prochy, a nieobecność w Wilnie rodziny króla, dostojników koronnych i senatorów z Krakowa czyniła z tego pogrzebu pierwszą uroczystość wyłącznie litewską. I jeżeli zaślubiny Radziwiłłówny były ciche, otoczone mrokiem tajemnicy, to śmierć Barbara miała iście królewską, pogrzeb zaś godny władczyni z cesarskiego rodu. A jednak...

To nie Radziwiłły miały słuszość, że taki pochówek sprzyjał ich politycznym planom i dodał splendoru rodowi, dotychczas ustępującemu kniaziom litewskim wywodzącym się od krewniaków Witolda. Słuszość miały nie znane nikomu wileńskie mieszczyki, niezamężne jeszcze dworki i nie dość mocno kochane niewiasty, kiedy twierdziły, że o tym miłowaniu, o tej przedwczesnej śmierci i żalu osamotnionego małżonka opowiadać będą swoim wnukom, a z kolei owe wnuki własnym córkom i synom. Jako że nie korona i panowanie są wieczne, jeno miłość...



Jeśli jednak brakło w tym kondukcje na ziemiach Litwy, a potem w katedrze wileńskiej, rodziny królewskiej i dostojników Korony, żalobnym uroczystościom towarzyszyła stale królowa Bona. Szła w myślach za synem, gdy zsiadał z konia przed każdą wsią czy miastem, gdy przewalała się nad krajem wichura lub ulewa. Myślała o jego przemoczonych stopach, o wilgotnym aksamicie kaftana, o włosach pokrytych kroplami deszczu i zziębniętych rękach. Nie darmo w kondukcje brał udział konno nie znany Augustowi nowy sekretarz królowej, Ludwik Monti, z kilkoma giermkami. Wysyłał jednego z nich z każdego postoju, gdy tylko trumna zniknęła w nawie napotkanego po drodze kościoła. Dzięki tym posłańcom mogła brać udział w żalobnej pielgrzymce, iść wraz z Augustem za czarnym wozem, myśleć jak on: „Czemu panu Korony i Litwy nie dano zaznać pełnego ludzkiego szczęścia? Słyszeć wokół siebie wesołego gwaru dzieci, uczyć pierworodnego strzelania z kuszy i ujeżdżania koni ze słynnych już stadnin? Czemu każdy z poddanych mógł być bogatszy w szczęście rodzinne od niego, króla? Stroił umiłowaną w sznury bezcennych pereł, rubiny i diamenty, a nie mógł jej dać leku, który przedłużyłby dni żywota”?

Szła za nim, przy nim, myślą dotykała gorącego czoła, spieczonych warg. Mogła cieszyć się, że ma go znowu tylko dla siebie, ale była to radość pełna wątpliwości, nawet smutku. Wiedziała już, że ten miesiąc wędrowania za trumną istoty, którą umiłował tak, że stoczył o nią walkę mogącą zrazić do niego poddanych, ten miesiąc rozmyślań, wspomnień, tęsknoty i żalu kopie jeszcze głębszą przepaść między nią a synem.

W najcięższej chwili życia był sam, nie mógł zapomnieć, że matka wyjechała na Mazowsze, byle nie zobaczyć Barbary w Krakowie, że nawet w chwilach przedśmiertelnych odezwała się do

niej jedynie ustami posła – skromnego franciszkanina.

Teraz może postąpiłaby inaczej... Należało przewidzieć zgon, osamotnienie, rozpacz: jedynaka i być wtedy przy nim. Być? Jakże to...? Przecież bał się jej, w Gomolinie nie spróbował wina, podejrzewając, że było zatrute. Szalony, zawzięty jak ona sama, a tak umiłowany... Zygmunt nie mylił się mówiąc z goryczą, że syn jest jej droższy niż mąż, że – w myślach zawsze tamten, tamten... Wolałaby, aby to August był zazdrosny o ojca, aby wymawiał matce, że troszczy się bardziej o małżonka niż o pierworodnego. Ale kiedy był młody, pochłaniały go festyny, turnieje, a czułość matki zastępowała namiętność kochanek. Później... Później nienawiść królowej do Barbary wykreśliła ją z jego serca i myśli. Był niewdzięczny? Tak, ale i ona była ponad miarę okrutna, mściwa... Te potwarze, paszkwile, ucieczka do Warszawy z siostrami, które stały mu się obce... Była dla niego teraz także obca, niemiła, wroga... Gdybyż wiedział że towarzyszyła myślą każdemu stąpanięciu jego zakurzonych stóp strudzonych długą wędrówką... Ale nie wiedział. Gdyby mógł zgadnąć, że po raz pierwszy w życiu powiedziała nadwornemu spowiednikowi. Że żałuje, gorzko żałuje swej zawziętości i utraty zaufania syna. Ale nie odgadł, nie wspominał o niej, ani razu nie wysłał gońca na Mazowsze. Niechby ten przybył nawet z gorzkim wyrzutem, z zapytaniem, czemu nie ma jej przedstawiciela wśród żałobników? Byłoby to jakimś znakiem pamięci... Tedy już nic, nigdy? Utraciła na zawsze względy króla, miłość najdroższego syna? O Dio, Dio! Jakże mądry był mag, kiedy mówił, że zazna szczęścia, jeśli będąc potężną, potrafi być szczęśliwą. Si. Jest znowu jedyną królową Polski, jedyną władczynią... Ale czego? Dominiów na wschodzie i mazowieckiego księstwa. Maledizione! I to ma się nazywać potęgą? Nie, mag z Bari był głupi, głupi, głupi!

W kilka dni później królowa zeszła z Pappacodą i Mariną do piwnic jazdowskiego zamku. Mijała zamczone kufry, okute skrzynie pełne złotych monet, czary i misy stojące rzędem na sosnowych stołach. Nagle wzrok jej padł na srebrną kołyskę.

– Bellissima – rzekła, gładząc jej rzeźbienia – a ciągle pusta. Trzeba ją będzie oczyścić, odświeżyć. A z tych srebrnych miednic... Poślij największą królownie Annie – zwróciła się do Pappacody. – A zresztą wydaj trzy. Dla wszystkich córek.

– Teraz, miłościwa pani?

– Dziś jeszcze, przed moim wyjazdem na Litwę.

– Najjaśniejsza pani nie sądzi, że król opuścił już Wilno? – wtrąciła się Marina.

– Nie potrzebuję sądzić, czuję, że tam został – odparła wyniośle.

– I właśnie dlatego szykuj się do drogi. Wyjeżdżam już jutro. Idź powiadomić królową Annę. Presto, presto! Pojedzie ze mną.

Gdy została sama ze swym skarbnikiem, opadła ciężko na inkrustowane perłową macią krzesło stojące obok kołyski.

– Spokojnie w tych podziemiach i tak cicho – westchnęła – że nie chce się wracać do zamkowych komnat, aby słuchać raportów warszawskich. Dziś, nie. Cała już jestem myślami w

Wilnie, przy królu. Zaczekaj! Możesz zostać. Postarasz się dowiedzieć, czy to prawda, że Jan Radziwiłł...

– Krajczy litewski? – zgadywał Pappacodą.

– Si. Podobno młodszy brat Czarnego. Czy to prawda, że zawistnym okiem na niego spogląda?

– Może i tak – przyznał. – Nie dano mu urosnąć przy Barbarze. Jedno jest pewne: gardłuje na ucztach po dworach i na zjazdach szlacheckich przeciwko krzywdzeniu Litwinów. Chce dla nich tych samych praw i wolności, jakie ma szlachta w Koronie.

– Tylko tyle? Per Bacco! – roześmiała się nagle. – Ależ to znacznie więcej, niż mogłam pragnąć? Chce tych samych przywilejów dla litewskiej szlachty? To może znaczyć tylko jedno.

– Unię? – zgadywał Pappacodą.

– Si. Unię Litwy i Rusi z Koroną. Santa Madonna! Ten człowiek jest dla nas teraz na wagę złota.

– Śmiem przyznać, że nie widzę związku... – rzekł niepewnie.

– Bo jesteś ślepy! – zgromiła go. – Zawsze to mówiłam. Nie widzisz daleko i tylko liczysz, liczysz, liczysz...

– Dla dobra i na rozkaz miłościwej pani – bronił się Italczyk.

– E allora? Można, licząc, także myśleć. Dowiesz się, kto z litewskich wielmożów stanąłby przy Janie Radziwille? Mnie unia niepotrzebna, bo mamy dziedziczne prawa do Litwy, ale skoro brat Czarnego myśli inaczej niż tamten i unii pragnie...

– Jan nie mieszał się do walki o koronę dla Barbary i naraził się braciom – wtrącił Pappacoda.

– Tym lepiej – odparta. – Jest czystą kartą, na której ja pisać będę pod pozorem walki o unię. Dasz mu z mojego skarbcza, pod byle jakim pozorem, tysiąc czerwonych złotych.

– Aż tysiąc? – przeraził się Italczyk. – Miłościwa pani... Wiemy o nim tak mało.

– Za mało! Dlatego chcę go widzieć zaraz po przyjeździe do Wilna. Wielki krajczy litewski... Czy to tyle... co koronny?

– Mniej, najjaśniejsza pani.

Namyślała się przez chwilę, wreszcie rzekła:

– Per Bacco! Niewysoki urząd dworski dali bratu księżęta Czarny i Rudy. Bene. Tedy i my damy mu tylko trzysta dukatów. Dla pana krajczego Wielkiego Księstwa powinno wystarczyć...

*

Przed samym przyjazdem królowej do Wilna obaj Radziwiłłowie, Czarny i Rudy, wprosilili się na rozmowę do biskupa Zebrzydowskiego. Stary dyplomata, gracz nad gracze, przyglądał się braciom zmarłej królowej ze zjadliwym uśmiechem na ustach.

– Przyznaję – rzekł, gdy usiedli – że wprawilo mnie w zdumienie naleganie waszych książęcych mości, abym jak najrychlej, jeszcze przed powrotem do Krakowa, mówić z wami

zechciał.

– To raczej prośba. Korna prośba o radę – zaczął Czarny.

– O pomoc w chwili trudnej – dodał Rudy.

– W istocie – przyznał biskup. – Dla domu Radziwiłłów mogą przyjść teraz czasy niełatwe...

– Co tam niełatwe! – wykrzyknął Mikołaj Rudy. – Żywcem nas teraz pożrą wielmoże i szaraczkowa szlachta.

– Ujadać będą, to tak. Zabrakło wam tarczy, osłony cedził słowa biskup. – Ale choć nie stało królowej Barbary, nikt nie odbierze wam przecie nadań. A już tym bardziej ... tytułów.

– Król jegomość... – rzekł Czarny – póki jechał, a potem szedł za trumną królowej w kurzu, w upale – nasz był. Ale ledwo dowiózł ją do Wilna i pochował, zamknął się w sobie. Jakby nad obojgiem wieko trumny zatrzasnął.

– Gorzej! Chyba nam na przekór – narzekał Rudy – zagrzebał się w aktach, dokumentach. Zaczął nadstawiać ucha na podszepty Frycza i szlachty koronnej. I to o czym? O potrzebie unii.

– A, unii... Za radę szczerłość! I to zupełna. Wam to nie w smak?

– My – litewskie wielmoże – rzekł po chwili milczenia kanclerz.

– Aż tych każdy, choćby gadał inaczej, połknięciu przez Koronę przeciwny – dodał Rudy.

– Folguj, bracie. Na unię przyjdzie jeszcze czas. Kiedyś, nie dzisiaj. Teraz insza gnębi nas troska.

– Insza? – udawał zdziwienie Zebrzydowski.

Wielki kanclerz litewski przytaknął.

– Teraz ważniejsze królowej Bonie zamknąć powrót na ziemie litewskie. Inaczej wszystkich zechce zubożyć, prastarych nadań pozbawić. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, ma tutaj swoich ludzi, zauszników.

– Żeby tylko! – dorzucił gniewnie brat. – Jej są folwarki i młyny, a pomiare włóczną już zaczęli robić jej wysłannicy. Pomyśleć tylko: teraz, w czas żałoby! Tam, do czarta! Widział to kto? Mierzyć nawet łąki i nieużytki?

– Spiesznie jedźcie do Wilna. Po co, jak nie na naszą zgubę?

Biskup nie dał się wytrącić z równowagi. Rzekł z uśmiechem:

– Och! Ja bym na miejscu waszych książęcych mości cieszył się raczej, że tym zajęta w miesiącach żałoby. Bo inaczej...

Zawiesił głos i zaczął pilnie przyglądać się swoim dłoniom.

– Inaczej co? – dopytywał się niecierpliwie Czarny.

– Zapewne swatałaby syna. I to czym prędzej. Nie może, jak wiadomo, przeboleć, że siostra wasza nie dała Koronie dziedzica...

– Właśnie o tym chcieliśmy mówić... – ożywił się Rudy.

– Tedy wiecie już? – tym razem zdziwił się Zebrzydowski.

– O czym? – spytali jednocześnie obaj Radziwiłłowie.

– O planowanym przez najjaśniejszą panią małżeństwie z krewniaczką króla Francji?

– Słyszałeś? – zwrócił się do brata Rudy.

– Nie – przyznał kanclerz. – Czyżby powrót do dawnych planów królowej wdowy?

– Myślicie: królowej Bony? – sprostował biskup. – Bo miłościwa pani nie uznaje innego tytułu, tylko ten: regina Poloniae.

– A więc tak! O niej myślim, o tym wawelskim smoku – mruknął Rudy.

– Daj mówić! Tedy znów układy z francuskim dworem? Przymierze wbrew woli i interesom Habsburgów?

– Myślałem, źle z nami, ale teraz widzę, że gorzej niż źle – biadał Rudy.

– Księżę biskupie, na Boga! Do tego dopuścić nie można i nie należy. To pokrzyżuje wszystkie plany Wiednia! – niemal błagał Czarny.

– A? – zdziwił się Zebrzydowski. – Nie wiedziałem, że są jakoweś nowe plany? Właśnie o tym wasze książęce moście chciały ze mną mówić?

– Liczyłem... Myślałem, że ksiądz biskup zechce dopomóc przyznał kanclerz. – Są nowe plany Habsburgów, tak. Ale skoro królowa zaczęła już na swoją rękę działać i listy pisać, należałoby uspokoić dwór wiedeński, że nie mogą być groźne zamierzenia stojącej na uboczu królowej wdowy.

– Na uboczu... – powtórzył biskup. – I myślicie, że znając ją uwierzą?

– Gdyby ksiądz biskup zechciał wyjaśnić? Pośredniczyć? Choćby pojechać do Wiednia i załagodzić wszystkie dawne urazy...

Zebrzydowski zmarszczył brwi.

– Zapominacie chyba, mości księżę, że już raz polski biskup i podkanclerzy jeździł do Wiednia i przywiózł stamtąd Austriaczkę jako królową. I chyba starczy.

– Czemu? – upierał się Czarny. – Jeżeli król zechce wstąpić w nowe związki małżeńskie, można by brać pod uwagę siostrę Elżbiety, Katarzynę.

– Kogo?! – niemal krzyknął biskup. – Wdowę po księciu Mantui?

– Owdowiała wcześniej. Ma dopiero lat dziewiętnaście... – tłumaczył Radziwiłł.

– Widziałem ją na dworze wiedeńskim. Brr! Mała i gruba. Bardzo niekształtna – wyduł usta dostojnik kościelny.

– Ale córka króla rzymskiego Ferdynanda. Ten związek krwi winien za urodę starczyć – nalegał kanclerz.

– Może to i przednia myśl – wykręcał się Zebrzydowski. – Ja jednak nie mogę jechać na dwór wiedeński. I nie chcę. Na takie małżeństwo nie zgodzi się nigdy królowa Bona.

Bracia przeczucili się spojrzeniami.

– Waszej eminencji tak bardzo na jej zgodzie zależy?

– Trudno odgadnąć, co będzie – odparł po namyśle biskup. – A na razie nic mi nie wiadomo, aby istniała inna królowa poza nią. I cóż, że wdowa i matka, a nie małżonka królewska? Od lat z królową Boną liczą się obce dwory, a u nas w Koronie Kmita i wszyscy zwolennicy reform: Leszczyński, Ossoliński, Sienicki, Frycz... Krótka: ja do Wiednia pojechać nie zamyslałam. A i

waszym książęcym gościom radzę nie śpieszyć się zanadto. Chyba, że któryś z was pojedzie sam rzecz wy badać? Przetrzeć drogę...

– Kto wie, czy tak nie byłoby najlepiej? – wahał się Czarny. – Toż z rozkazu króla jużem raz posłował i klejnoty Elżbiety do Wiednia odwoził.

Zebrzydowski przyjrzał się drwiąco obu petentom.

– A przywieźliście dla siebie tytuł księcia na Ołyce i Nieświeżu, a także dla brata na Birżanach i Dubinkach.

– Dla Rudego, nie dla Jana – sprostował kanclerz.

– To wiem. Ale może tym razem zyska coś i brat rodzony, pan krajczy?

– Ani mi to na myśl nie przyszło – zaprzeczył Czarny. – Tym razem przywiozę albo każę sobie przysłać zgoła co innego: podobiznę księżnej mantuańskiej, Katarzyny.

– Tylko tyle? – zdziwił się biskup. – Chwali się, chwali. Każcie tylko zrobić piękny wizerunek, żeby była zgoła do siebie niepodobna. Wyższa, a zarazem pół cieńsza niż jest w istocie!

– I to już wszystko, co ksiądz biskup zechciałby nam doradzić? – spytał z wyrzutem w głosie kanclerz.

Zebrzydowski wstał na znak, że audiencja skończona.

– Nie całkiem – rzekł. – Dla was, wasze miłości, najpewniejszym teraz sojusznikiem byłby hetman Tarnowski. I to z nim, najpierw z nim, układać się warto. Bo cóż ja? Sługa Kościoła...

– Dostojnik, nie sługa mruknął Rudy.

– Toteż ze mną wam, nowinkarzom, godzi się raczej wdawać w dyskursa o Lutrze, o próbach reformy Kościoła, o herezjach i sektach kacerskich... Ale o Katarzynie? Księżniczce brzydkiej, małej i grubej? Nie, nie! Apage satanas!

Roześmiał się i podał im łaskawie pierścień biskupi do ucałowania.

Uczynili to niechętnie i zaraz za drzwiami Rudy wybuchnął:

– A mówili: nowinkom sprzyja. Gadzina!

– Głupiś! – mruknął brat. – Córka arcykatolickiego monarchy tonie nowinka kacerska.

– Chytrus! Woli na razie trzymać z Boną, bo ta jeszcze jest regina Poloniae – zaczął przedrzeźniać biskupa. – Regina! A to tylko mierniczy ziem litewskich i koronnych. Wawelski smok, wszystko pożreć gotowy!

– Ciszej! – ostrzegł kanclerz.

– U siebie jestem, w Wilnie. Nie będę się hamował.

– Radę wszelako dał – zastanawiał się Czarny. – Czy dobrą? Chyba dobrą. Tarnowski. Jego nie posądzi chyba nikt, że na żołdzie Habsburgów. Wielki statysta, hetman. I nie zna Katarzyny.

– Nie wie, że jak siostra na padaczkę chora?

– Nie wie, że właśnie dlatego... dobra.

Mikołaj Rudy spojrzał na stryjecznego brata z podziwem.

– Ty wciąż o tym samym? – spytał.

– O niczym innym nie mogę myśleć – przyznał kanclerz.

– Jednakowoż... trochę straszno. Nie zamyśliłeś, bracie, zbyt trudnej rzeczy? Nie na nasze siły?

– I to mówisz ty? Sławny osiłek? Bezstraszny mąż?

– Bo rzecz diabelnie trudna. Sprzeciwić się Bonie... – kręcił głową Rudy.

– W tym i w planach dotyczących Litwy poprze nas Ferdynandus.

– Ale jak namówić Augusta? Dać mu znowu żonę ze skazą?

– Ukrytą – sprostował Czarny.

– Ale ze skazą, i to wielką – nastawał Rudy.

– Nie pojmujesz? – zniecierpliwił się kanclerz. – Ciągłe jeszcze ogarnąć tego nie możesz? A to droga ku szczytom, ku wyniesieniu naszego domu. Jeno trochę losowi dopomóc, a po śmierci Augusta, śmierci bezpotomnej, opróżni się tron litewski. Nareszcie! Dla wielkiego kanclerza Litwy. Dla Radziwiłła!

Rudy długo milczał, wreszcie wymruczał:

– Wysoko mierzysz...

– A ty? Ciebie, który chcesz być hetmanem na Litwie, nie mierzi myśl o unii? Nie chcesz, żeby dziedzictwo wielkiego księcia Witolda było znowu nasze? Tylko nasze?

– Ba! A tron polski? Chyba nie wierzysz, że uda się tobie zamienić później kołpak wielkiego księcia na złotą koronę?

– Czemu nie? Po tom się starał o książęce tytuły. Po tom zabiegał o łaski Augusta i Ferdynanda. Tedy po śmierci ostatniego Jagiellona...

– Teraz ja rzeknę: głupiś! – warknął Rudy. – Habsburg sam zgłosi pretensję do polskiego tronu. Jako teść królewski, ojciec Katarzyny.

– Och! Jest jeszcze jako kandydat syn Izabeli, młody Zapolya – nie dawał się przekonać kanclerz.

– I Albrecht pruski, także z Jagiellonki zrodzony – dodał brat.

Czarny otarł pot, który nagle zrosił mu czoło.

– Sam widzisz – rzekł. – Nasza rzecz nie dać połączyć Litwy! I rządzić tutaj, w Wilnie. A Wawel? Ten czy inny smok na nim zasiądzie jako następca Augusta, czy tobie, bracie, doprawdy nie wszystko jedno?

*

W gościnnych komnatach wileńskiego zamku Bona czekała na Pappacodę i kiedy wszedł, rzuciła niecierpliwie:

– Czegoś się dowiedział?

– Tu, w Wilnie, sprawy układają się różnie: jedni są tylko za personalną unią, inni przeciwnie, za ścisłą, za zrównaniem wszystkich praw i przywilejów.

– I już wiesz, kto stoi za Janem Radziwiłłem?

- Niewielu. Z magnatów – Hieronim Chodkiewicz kasztelan trocki i kasztelan Ościkiewicz.
- Bene. Proś pana krajczego. Czeka tu już od południa.

Wszedł mąż trzydziestoparoletni, do Mikołaja Czarnego podobny tylko z ciemnych oczu. Wszedł swobodnie i czuć w nim było tę samą siłę, co w tamtym.

– Siadajcie, proszę – zaczęła królowa. – Słyszałam o waszej miłości tak wiele, że zaraz po przybyciu na Litwę chciałam poznać jego sąd o tym, co się tutaj dzieje?

Zdziwił się, jakby ubawiony tym pytaniem.

– Ode mnie? Nie od litewskiego kanclerza, mojego brata?

– Si. Od was. Co myśli kanclerz i jak mocno jest związany z królewskim dworem – dobrze nam wiadomo. Ale pono na Litwie wre od kłótni i niepokoju. Wielmoże na dwa obozy rozbici. Jedni coś knują, a znów inni ślepo oddani braciom zmarłej królowej.

– Ja – takiz sam stryjeczny brat Barbary jak Czarny – nachmurzył się krajczy. – Ale, przyznaję, dzieli nas niemało. A skoro miłościwej pani aż tyle wiadomo, nietajne pewnie i to, że trzymam ze szlachtą, której najgorętszym pragnieniem zdobycie takiej samej złotej wolności, jaką cieszy się szlachta w Koronie.

– A któż by śmiał – spytała – sprzeciwić się na Litwie takim pragnieniom?

Przyjrzał się jej uważnie, zanim odpowiedział:

– Miłościwa pani zna mnie, widać, tylko z bratnich oszczerstw, skoro tak nisko szacuje. Wiadomo równie dobrze *supremae ducissae Lithuaniae*, jak i mnie, jej kornemu słudze, kto przeciw ścisłym związkom z Koroną. Kto krzyk podnosi, że król i polscy panowie gotowi Litwę pożreć, wchłonąć, inkorporować jak mazowieckie księstwo.

– A? Tedy z pana krajczego przeciwnik braci?

– Wilczą mam naturę – odparł – jak wszystkie Radziwiłły, ale przed miłościwą panią nie będę beczął niby jagnię. Czarny z Rudym – tak. Udają miłość do króla, a potajemnie...

– Kończcie, proszę. Potajemnie?

– Czarny znosi się z posłem rakuskim doktorem Langiem. Pono prosił o szybkie przysłanie królowi konterfektu arcyksiężniczki Katarzyny, siostry zmarłej Elżbiety.

– E vero. Widzę, że wiemy tyleż i to samo. Nie dziwcie się więc, jeżeli spytam: macie wielu ludzi za sobą?

– Do zwyciężenia na sejmikach – starczy. Ale gdybyśmy jeszcze uzyskać mogli poparcie najjaśniejszej pani, upadłby zarzut, że moje plany godzą nie tylko w braci, ale i w osobę króla.

– Upadłby? Doprawdy? Wierzy w to wasza miłość?

Uśmiechnął się przekornie.

– W tej samej mierze, co najjaśniejsza pani.

– Ja? Z pana krajczego, widzę, nie lada polityk, statysta. Tedy, kto wie? Może, mimo związków Czarnego z wiedeńskim dworem, wygracie właśnie wy? Orędujący żarliwie za taką samą swobodą na Litwie, co w Koronie?

– Znam Machiavella – rzekł po chwili namysłu. – Twierdzi, że wielkie i słuszne cele

osiągane są w końcu zawsze, wcześniej czy później, choćby pobudki prowadzących grę były niskie. Powiedzmy, małe – poprawił się, dostrzegłszy chmurę na jej czole.

– Santa Madonna! Nic nie wiem o pobudkach waszych, ale moje...

– Wy, miłościwa pani – przerwał – raczycie stawać w poprzek drogi rodzonego syna. Ja chcę przeciąć drogę braciom. Dalibóg, nawet Machiavelli nie mógłby osądzić, która z tych pobudek jest... lepiej ukryta przed oczami ciekawych.

Zmarszczyła brwi, ale pohamowała rosnący w niej gniew.

– Waszej miłości nie brak fantazji! Ani zuchwałości – rzekła.

– To właśnie podoba się szlacheckiej braci! – odparł z wyzwaniem, w ciemnych oczach.

– Bene. Wynika z tego, że powiedzieliśmy sobie już wszystko – kończyła rozmowę.

– I mogę liczyć...? – zapytał.

– Ależ tak, tak! Na pomoc, na moje współdziałanie. Poza tym segnor Pappacoda, nasz burgrabia...

– Wspominał coś o wakującym starostwie tykocińskim – stwierdził niedbale. – Ale ja kontentuję się tym, co mam.

– Nie do uwierzenia! – stwierdziła. – Cieszę się z poznania tak odmiennego od tamtych Radziwiłła.

Skłonił się przed nią bardzo nisko.

– Zapamiętam dzień, w którym usłyszałem pochwałę z ust samej królowej jejmości – rzekł, cofając się ku drzwiom. Ledwo wyszedł, w komnacie pojawił się Pappacoda.

– Mówić z nim? – zapytał.

Dopiero wtedy wybuchnęła gniewem.

– Cóż to za człowiek? Twardy, pewny siebie, zuchwały? Insolente! Śmiał przerywać. Mnie! Zgadywał każdą myśl w pół słowa. To chytry gracz, ambitny wielce. Prywatą się kieruje jak brat, choć niby to zabiega o wolność dla innych.

– Tedy nie pertraktować?

– Si! Si! – zaprzeczyła. – Gdybyż tu był Alifio! Z takim jak on trzeba nie lada kunsztu w rozmowie! Krajczy litewski... Santa Madonna! Uważaj, żeby nie pokrajał ciebie w drobne kawałki, kawałeczki. A potem nie pożarł. Ale, per Bacco! To wreszcie ktoś, z kim mówić warto! I nie nudno. Postarasz się, żeby przyjął owe tykocińskie starostwo. Chciałabym mieć go w ręku...

W chwilę potem spotkawszy w sąsiedniej komnacie Marinę, wybuchnął Pappacoda.

– Basta! To już nie do zniesienia! Wspomina Alifia tak często, jakbym nie robił nic. Nie był na jej usługi od świtu do późnej nocy! Już mi to wymawia poseł Lang. Maluczko, dostanę nagane z samego Wiednia.

– Tu ciągle jak w kotle – przyznała dworka. – Gotuje się, para bucha. A w tutejszych zamkach ziąb, ziąb okrutny. Kiedy wrócimy do Bari?

– Jeszcze nie teraz. Ale klnę się, wrócimy. Byle doktor di Matera odkrył w niej chorobę, którą zdołają uleczyć tylko źródła Italii.

– I niebo południa. Słońce Bari... – dodała wzdychając dworka.

Zygmunt August znalazł czas na widzenie się z matką dopiero na trzeci dzień po jej przyjeździe. Był w czerni od stóp do głów. W jego komnacie zamieniono jasne obicia czarnymi oponami, także narzuty ze srebrnymi szlakami leżały wszędzie: na stołach oraz ławach.

Stał przed nią wychudły i smuklejszy niż dawniej, z zaciśniętymi mocno ustami. Skłonił się tylko, tedy zaczęła pierwsza:

– Zanim wyjedziecie do Krakowa, widzieć was chciałam. Boleję bardzo...

– Och! – przerwał.

– ... żeście sami – kończyła nie zmieszana. – A i Anna pragnęła w imieniu sióstr uścisnąć brata jeszcze tutaj, w Wilnie.

– Wielcem rad – odparł chłodno.

– Jesteśmy wszystkie całym sercem z wami, przy was – zapewniała żarliwie.

I znowu usłyszała tylko jedno słowo w odpowiedzi:

– Grazie.

– Są jednak i inne sprawy – ciągnęła nie zrażona. – Możesz już odejść, Anno – zwróciła się do córki.

– Nie wątpię, że są – zauważył zgryźliwie.

Usiedli i po chwili milczenia przyznała.

– Bene. Tedy pytam, czy wiecie, że wojska Groźnego zaczęły zaraz za naszą granicą budowę silnych twierdz? Niedaleko stąd?

– Wiem – przyznał. – I poleciłem, aby pilnie baczono...

– Nie o to chodzi – przerwała. – Moi agenci donoszą, że ponadto Iwan zabiega u Habsburgów i u ojca świętego o poparcie. I to w czym? Insolente! W uzyskaniu tytułu cara wszej Rusi.

– Och! – odparł. – Jeszczem żyw i, choć zbolały, w dobrym zdrowiu. Król Litwy i Rusi.

– Tylko że Habsburgowie nie stawiają już na Jagiellonów – westchnęła, udając żal.

– To także donieśli wasi agenci? – zdziwił się. – A czemuż to, jeśli spytać wolno, nie stawiają?

Postanowiła być szczerą i twarą, tedy rzekła:

– Bo nie widzą przed tą dynastią przyszłości. Bo polski król nie ma sukcesora.

Żachnął się, ale zachował równowagę.

– Waszej Królewskiej Mości znane są także obietnice, jakie Iwan składał Rzymowi? – zapytał.

– Nie wiem, czy dacie wiarę, ale pono obiecał wyrzec się błędów schizmy. Poddać Ruś i Litwę zwierzchnictwu papieża.

Roześmiał się nieszczerze.

– Czy dam wiarę? Miłościwa pani nie docenia, widzę, sprawności moich agentów ani

kancelarii królewskiej, w której nie brak bystrych oczu i tęgich głów. Tedy, owszem, wiem. Tajni posłowie młodego Iwana próbują zjednać papieża i Habsburgów. Mówią o mnie jako o zwolenniku nowinek religijnych i obiecują nie dopuścić do reformy Kościoła pod rządami nawróconego na katolicyzm władcy Kremla.

– Tedy wiesz – szepnęła. – I na co czekasz?

– Jakże to? – zadrwił. – Wasi agenci nie donieśli, co czynię, gdy ci dwaj, Groźny z Ferdynandem, spiskują przeciwko mnie?

– Istotnie, jeszcze nie donieśli – przyznała zła na niego, na siebie, na źle poinformowanego Pappacodę.

– Mój Boże – westchnął. – Ci nienawistni wam Habsburgowie... A przecież jestem im potrzebny, choćby dlatego, że ich wrogiem śmiertelnym – Turcja. I tylko polskie hufce, tylko Tarnowski mogą ocalić Wiedeń, jeżeli...

– Ale Wiedeń jeszcze nie obleżony – przerwała – a Iwan już prosi Ferdynanda o pośrednictwo u papieża, już obiecuje zmienić wiarę.

– Ja zaś, żeby nie drażnić Ferdynanda, właśnie dlatego nie upieram się przy utrzymaniu siostry Izabeli na węgierskim tronie – odparł na pytanie, które musiało być zadane przez Bonę.

– A co robisz, żeby nie drażnić Iwana? – spytała.

– Zwlekam. I trzymam Rzym w szachu. Jeśli z chęci pozyskania Groźnego dla katolickiego kościoła obiecują mu koronę Rusi... Santa Madonna, daruj! Zagrożę. Tak, zagrożę papieżowi zerwaniem Polski ze świętą wiarą przodków.

– Sigismundo! – krzyknęła zgorziona.

– Uczynię nie inaczej, tylko właśnie tak – odparł spokojnie. – Jak król Anglii Henryk Ósmy. Nasi innowiercy...

– Kacerze, heretycy – wpadła mu w słowo.

– Tak. Ale są wśród nich i biskupi, jak Uchański. Oni wszyscy tylko czekają na zerwanie z papieżem. Niechże się tedy Rzym i Wiedeń dobrze namyślą, bo albo będą mieli we mnie kacerza, głowę narodowego kościoła, Izabelę na Węgrzech i sojusz polsko-francuski...

– Albo? – spytała pełna najgorszych przeczuć.

– Odrzucę ofertę Iwana. Bez namysłu, od razu. W zamian za odmowę papieża, gotów jestem wydać jeszcze jeden edykt przeciw innowiercom, jak to już czynił mój ojciec. I nawet mogę obiecać Habsburgom...

– Nie masz im nic do obiecania! – krzyknęła gniewnie.

– A jednak... – upierał się. – Namawia mnie Radziwiłł Czarny...

– On? – rzuciła pogardliwie. – Namawia? Ciekawam, na co?

– Na trzecie matrymonium. Dla dobra dynastii, dla osadzenia na tronie litewskim, a potem polskim, mojego syna, z krwi Jagiellonów. Odetchnęła z ulgą.

– Nareszcie! – rzekła. – Tedy jak najspieszniej trzeba wysłać legację z prośbą o rękę francuskiej królowej.

– Francuskiej, ale tylko wtedy, jeżeli papież i król rzymski poprą prośbę Iwana. Krótko mówiąc, w obliczu zagrożenia. Ale, jeśli prośbę Kremla odrzuca, wtedy na krakowskim tronie – chcę tego, czy nie chcę – zasiądzie córa...

Przeraziła się, odgadłszy jego myśl.

– Habsburgów? Tylko nie to! Nie to!

– Bóg widzi – rzekł z goryczą – jak mi do nowych ślubów niepilno. Ale dla dobra dynastii – to przecież wasze nauki, wasze – trzeba, choć z bólem serca, uczynić wszystko. I po tym, com usłyszał od moich agentów, a teraz od was... tak, to powinna być arcyksiężniczka Katarzyna...

Bona zerwała się ze swego siedziska.

– No! No! Musi być inne wyjście. Maledizione! Zawierzyła ci siostra, czyniąc tak, zdradzisz Izabelę. Wydasz Węgry na tup Habsburgom. Zawierzył wraz z całą szlachtą Frycz – już go zdradziłeś dla senatorów, magnatów. O Dio! Zdradzasz także i mnie. Mnie, która marzyła zawsze, że uczynisz to królestwo potężnym i wielkim. Że zmienisz alianse... A ty... Jakich masz doradców? Radziwiłł Czarny? Rudy? Graf-hetman? A czemu nie Stańczyk? Ten przynajmniej ruszyłby konceptem, szukał innych rozwiązań. I powiedział prawdę. Że już zwać cię dojutrzem, bo odkładasz najważniejsze ze spraw. Że nie latasz ani orłem, ani sokołem. Że robisz, co chcą inni: Habsburgowie i Radziwilly. Że pełniasz!

Zbladł i nagle odwróciwszy się, zaczął iść ku drzwiom.

– Nie będę tego słuchał! – rzucił w progu.

– Sigismundo! – błagała, ale w komnacie nie było już nikogo. Jej wargi zadrżały i poruszyły się szepcząc: – Ani słowa. Ani nawet spojrzenia. Niente! Niente! Niente...

Rozstali się w gniewie, a mimo to jeszcze czas jakiś przebywali w murach tego samego zamku. Królowa nie widziała już syna, słyszała natomiast o wszystkim, co działo się w jego komnatach. I to jej pierwszej doniesiono, że doktor Lang nadesłał z Wiednia wizerunek córki Ferdynanda.

Niewielki obraz przyniósł do królewskiej komnaty Radziwiłł Czarny i kazał pokojowcom ustawić pod ścianą, narzuciwszy na niego białą zasłonę. Gdy król wszedł do sypialni, kanclerz rzekł:

– Poseł rakuski, doktor Lang, przysłał to dziś przez gońca.

– Portret? Czyj? Katarzyny? – spytał August.

– Tak.

Król zbliżył się i szybkim ruchem ręki zerwał zasłonę. Patrzył na podobiznę córki rzymskiego króla tak długo, że Czarny zaniepokoił się i przyznał:

– Wizerunek niezbyt udany. Chyba wykonany pośpiesznie.

– Widzę.

– Ale Lang twierdzi, że nie pochlebiony.

– Czyżby? – rzekł z drwiną w głosie król i cisnął na ziemię zasłonę, którą trzymał w ręku.

– Miłościwy panie... Myślę... – zaczął kanclerz.

– Teraz ja myślę, mości książe – przerwał szorstko August. – Kim jesteście wy? Wrogiem moim czy powiernikiem, druhem? Miłowaliście pono Barbarę. Inaczej niż ja, ale nie znałem nikogo bardziej oddanego jej sprawie. Ani Rudy, ani Jan...

– Och, ten – mruknął Radziwiłł.

– Przynajmniej pan krajczy jawnie spiskuje przeciwko mnie. Nazywa samodziercą, wrogiem unii. Przeszedł na stronę królowej wdowy i pono poczyna teraz odważniej przeciw swojemu panu. Ale wy? Ale Rudy? Po co wam to trzecie matrymonium, kiedy jeszcze o mojej najmilszej nie zapomnieli? Kiedy wciąż widzę ją w snach? Całą w perłach, w płaszczu rozpuszczonych włosów, w koronie...

Kanclerz rozłożył bezsilnie ręce.

– Nam także niełatwo. Ale słyszym zewsząd, że to przez siostrę naszą miłościwy pan nie doczekał się dziedzica. Że i teraz nie dopuszczamy do was myśli o nowym związku, który da sukcesora Jagiellonom...

Tedy pragniemy dowieść, że dobro Waszej Królewskiej Mości mamy jeno na względzie. Że nie zapomniawszy o Barbarze, już myślę o tej, która ją zastąpi...

– Nie na sercu – przerwał gwałtownie król.

– Ale na tronie – dokończył swoją orację Czarny.

Zygmunt August zaczął krążyć po komnacie jak zwierzę w klatce.

– Nowe śluby... Nie do wiary! Ja mam się żenić? – powtarzał. – Ja, którym ślubowałem tamtej miłość aż po grób? Do innych miłości zgoła niepodobną, wieczną...

Czarny namyślał się, jak postąpić, wreszcie udał skruchę.

– Darujcie, miłościwy panie. Przyznaję, zawiniłem – rzekł i ruszył ku drzwiom.

– Mości książe! – zatrzymał go August.

– O wybaczenie proszę – skłonił się Czarny.

– Och, to już nie powinno mieć żadnego znaczenia. Żadnego! Raz jeden chciałem być zwykłym człowiekiem, kochanym i szczęśliwym, ale teraz... Na nieszczęście własne, jako król, daleko w przyszłość patrzeć muszę. I może Bóg mnie za tę zdradę nie ukarze. Tedy... Cóż, skoro jesteście przyjacielem... Mości książe! Pojedźcie z poselstwem na zachód.

– Z poselstwem? – zdziwił się kanclerz.

– Bardzo uroczystym. Najpierw do Wiednia, gdzie wyłożycie skutki obietnic dawanych Iwanowi i niebezpieczeństwo grożące Habsburgom ze strony Turcji. Macie wciąż przypominać, że choć zawarliśmy pokój z Turkami, do walki z półksiężycem staniemy w razie zagrożenia Europy. Poza tym, że my, a także wy sami, sprzyjamy kacerzom.

– I zaraz potem wracać do Krakowa?

– Nie, nie! Będziecie pozorować podróż do Italii. Rozumiecie? Pozorować tylko, ale zdradzicie cel tajnej misji: macie się spotkać z wysłannikami króla Francji i pertraktować o poślubienie jego krewniaczki.

– Poślubić ją mam, czy jeno straszyc owym ślubem? – dopytywał się Radziwiłł.

– Gdyby Wiedeń wraz z papieżem zwlekali z odmową Iwanowi, w co trudno uwierzyć, wy także będziecie zwlekać i straszyć. Gdyby dali już jakąś wiążącą obietnicę Kremlowi, ślijcie do mnie gońca i jedźcie do Francji, aby tam w moim imieniu zaślubić Walezjuszkę.

– Mam jechać zaraz, miłościwy panie?

– Skoro przeciwko nam tyle sprzysięgło się wrogich sił, odkładać tego nie warto. Jedźcie tedy już jutro. Powiem choć raz jak królowa matka: Presto! Presto! Presto!

Gdy rozbierała się w swojej komnacie, Marina i Myszkowska zdejmowały klejnoty, odsłaniały spod czepca z aksamitu bujne, jeszcze nie siwiejące włosy.

– Dla miłościwej pani czas stanął – zdumiewała się Zuzanna. – Nawet włos jeszcze nie przyprószoney siwizną.

– Si, choć siwieją już skronie. Ale jeszcze ciągle czuję się młoda – przyznała królowa. – To tylko ten głupi medyk straszy jakąś opuchlizną w gardle...

– Na to najlepsze wody z ciepłych italskich źródeł! – zapewniała Marina.

– Non importa! Spuchło mi gardło, bo krzyczę! Odkąd zjechaliśmy do Wilna, wyklócać się muszę z rewizorami o wszystko.

– Właśnie wyjazd do ciepłych wód... – upierała się dworka.

– Wód! Wód! – przerwała ostro królowa. – E allora? Co mi pomogą wody, kiedy trzeba pilnować pomiary włócznej, na wszystkie strony słać gońców i mówić, mówić: jedź tam, oddaj pismo do własnych rąk, powtarzaj tylko to i nic innego! Pouczają in permanenza! Nigdy jeszcze nie mówiłam tyle. E vero. I dlatego puchnę. Gdybym mogła działać, działać jak za dawnych lat, rzucałabym o ziem byle czym, ale gardło, gardło miałabym zdrowe!

– Si – przyznała Marina. – Jednak śmiem zauważyć...

– Basta! Nudzisz mnie swoim gadaniem! Przygotuj się lepiej do wyjazdu.

– Do Italii? – nie śmiała uwierzyć dworka.

– Stupida! – orzekła królowa. – Teraz nie czas na leczenie gardła.

Wracamy na Mazowsze.

– Och...

– Król jedzie do Krakowa, a my do Warszawy. Zuzanno! Idź powiadomić o tym królownę Annę. Presto! Presto!

*

Hetman Tarnowski zjechał do Wilna po zlustrowaniu wojsk stojących załogą w forteczkach granicznych i od razu został zaatakowany przez Radziwiłła Czarnego.

– Jak zwykle najjaśniejszy pan polecił mi zacząć rozmowy z senatorami od was, mości hetmanie. Korzystając tedy z waszej obecności w Wilnie...

Hetman przerwał mu nie bez ironii:

– Tak, tak! Dawne przysłowie mówi: jak trwoga, to do Boga. Mogą się teraz przydać królowi

stare podpory tronu ojca. Nie przeczcie! Wiem. Prosił mnie o pomoc przed małżeństwem z Barbarą. Teraz znów potrzebuje tarczy przed ciosem ze strony królowej wdowy. Więc jednak sam tego chce? Słyszałem o nowym matrimonium? Z Habsburżanką. Katarzyną?

– Z arcy księżniczką Katarzyną – sprostował kanclerz.

– A jeżeli... Jeżeli i ona okaże się równie... jałowa jak Elżbieta? – po chwili wahania zapytał Tarnowski.

– Nie sądzę... Ale wtedy, po najdłuższym panowaniu króla, Panowie Rada mogą dokonać różnych wyborów. Nawet osadzić na tronie któregoś z wielkich wojowników, wslawionych w bojach hetmanów...

Tarnowski przyjrzał się bacznie Radziwiłłowi.

– Czy to także polecił wam powiedzieć... król? – zapytał.

– Na Boga! Nie ufacie mi? – zgorszył się Czarny.

– Nie całkiem... – przyznał Tarnowski. – Wasz brat, Mikołaj Rudy, jest także wielkim hetmanem.

– Och! Litewskim – wzruszył ramionami kanclerz. – I to zaledwie od paru miesięcy. Kto, nie podając się na śmiech, mógłby mieć na myśli Rudego? Choć to mój brat, sam spytam: „Jakie jego victorie? Sławne czyny orężne?” Każdy wie, jeden jest wódz wslawiony bojami w Rzeczypospolitej: wielki hetman koronny, zwycięzca spod Obertyna.

– Och... – mruknął Tarnowski.

– A tak, właśnie tak. Postrach Turków, supremus dux, maximus, primus inter pares!

– Tedy... – spytał po chwili Tarnowski – nie mówicie już o mnie „graf-hetman”?

– Ja? Nie mówiłem tak nigdy! – oburzył się Radziwiłł.

– I dobrze, bo dziś ja hetmanem wielkim, jutro kto inny. Nie to ważne. Ważne, że w naszych oczach urząd ten zaczyna ponad wszystkie inne wyrastać. Szlachta teraz tylko sieje, orze i wysyła zboże do Gdańska. Dobrze, niech się bogaci. Ale niczym już jest u nas pospolite ruszenie! Niepewne, nieskore do walki. Liczą się tylko wojska zaciężne, stałe. A kto na ich czele? Kto królewskiej sile równy? Hetman, maximus dux. Naczelnny wódz, alter ego monarchy. I w samej rzeczy... Kto wie? Kiedyś, kiedy nie stanie Jagiellonów... Ale to wyście powiedzieli, mości wojewodo, nie ja.

– Nie przeczę, powiedziałem – przyznał Czarny.

Hetman znów przyjrzał mu się uważnie.

– Dałbym wiele – zapytał – żeby odgadnąć, dlaczego? Co skłania was do swatania Augustowi arcyksiężniczki Katarzyny?

– Mój Boże! Zwykła życzliwość – zaczął swój wywód kanclerz. – Jest celem ataków matki, czuje się bardzo samotny. Myślę, że powinien zapomnieć o Barbarze, być znowu szczęśliwy.

– Ale arcyksiężniczki jak i jej zmarłej siostry, Elżbiety, nie uszczęśliwi pobyt u was, na Litwie – stwierdził hetman.

– A po cóż mają siedzieć w Wilnie? Królowa Bona wraca do siebie, na Mazowsze. Dwór

będzie teraz jak za dawnych czasów w Krakowie i Wawel znowu ożyje. Nareszcie!

– Tak łatwo ustępujecie miejsca przy królu panom małopolskim? – nie dowierzał Tarnowski.

– A rzecz wyklada się prosto: zaniedbałem sprawy własne w Wielkim Księstwie – tłumaczył Radziwiłł. – Zresztą wiem, że mogę liczyć na przywołanie mnie do Krakowa, gdy tylko zajdzie tego potrzeba, przez was, mości hetmanie.

Tarnowski wstał, przeszedł się po komnacie, wreszcie podjął decyzję, bo przyznał:

– Tak, przeze mnie. Tedy zechciejcie powtórzyć najjaśniejszemu panu: jestem i będę za jego małżeństwem z córą Habsburgów, księżną mantuańską.

Kilka dni później wileński zamek opustoszał: pierwszy wyjechał stały już teraz doradca króla, Radziwiłł Czarny, później sam Zygmunt August, wreszcie wyruszyła na Mazowsze królowa Bona. Pożegnanie z synem nie było nawet chłodne, ponieważ oboje zaprzętała teraz trudna rozgrywka z Rzymem i Wiedniem. Czy przestraszą się pogroźek Augusta i zerwą pertraktacje z Iwanem w sprawie Litwy? Królowa musiała przyznać w duchu, że byłoby to rozwiązanie najlepsze, ale cena, którą należałoby zapłacić za pomyślny wynik misji Radziwiłła, wydawała się jej za wysoka. Katarzyna... Habsburżanka znów na Wawelu? Jedyne, co mogłoby ją pogodzić z tą myślą, byłaby poprawa losu Izabeli. A także to, że nie odgrywałyby przy trzeciej żonie Augusta roli królowej matki. Była teraz zupełnie niezależna od woli króla, nie odpowiadała za nic, co mogło się dzieć na Wawelu. Miała własny zamek, była samowładną panią Mazowsza. Deo gratias, że może z Litwy każdej chwili powrócić do siebie, do coraz piękniejszej i bardziej ludnej Warszawy...

I zaraz po przyjeździe kazała wezwać Pappacodzie przed swoje oblicze Stanisława Chwalczewskiego.

– Zdążycie na czas z pomiara włóczną? – spytała.

– Zdążymy, miłościwa pani. W starostwie pińskim i sąsiednich przemierzono już, odebrano lub wykupiono 350 włók. Prócz dużych folwarków utworzyłem trzy małe, dla rewizorów i starostów.

– Sam widzisz, mości starosto! Oplaca się u mnie służba. Nie przecz, ja wiem wszystko. Nadałeś chłopom pomierzone grunta?

– Zgodnie z poleceniem. Te najdalej leżące od dróg i rzek.

– Co mówią? – spytała z wahaniem w głosie.

– Że ziemie tam bardzo liche. Same nieużytki.

– Właśnie dlatego, że trudno dostępne, dostali je za darmo!

– Niby tak – przyznał bez przekonania.

– Wśród szlachty są jakieś żale? – wołała zmienić temat.

– Cóż, nie mieli zaufania do senatorskiego króla. Wierzyli w młodego. A teraz ni tak, ni owak.

– Nie wiedzą, na co liczyć?

– Nie wiedzą. Zmian jeszcze nie widać, jak gadają, chyba w łożnicy królewskiej, a do

przygany jest to i owo. Mówią: patrzy na niego krzywo nawet sama królowa, chociaż matka.

– Ja? – zdziwiła się. – Kiedyż to było? O tamtych paszkwilusach, o Radziwiłłównie czas zapomnieć!

– Miłościwa pani... – mówił zakłopotany wielce. – Nie dostali niczego... zamiast. A ludzkie sądy najtrudniej jest... odmieniać. Toteż wolą ganić, jako że za zmarłą stał król, zasłaniał ją sobą. Ćwiczą się tedy dalej w narzekaniu, pokrzykują przeciwko niemu, powtarzają za Orzechowskim, który broni nie składa: „O, święta Polsko nasza, wielebna wolności gardeł naszych!”

– Słyszeliście to sami? – spytała po chwili namysłu.

– Słyszałem – przytaknął.

– Wystarczy na dziś, mości starosto. Zobaczmy się jutro z samego rana.

A gdy wyszedł, napadła na Pappacodę.

– Niepojęte! Ci ludzie zawsze gotowi do przygany! I widzą tylko cudze błędy, nigdy nie dostrzegają własnych. Wolność ich gardeł! Ich wielkiego wrzasku. Mam tego dosyć. Basta! Basta! Niewdzięczni i tępi.

Jaki jest stan mojego skarbcza?

– Więcej niż dobry... – oświadczył z dumą.

– Bene. Pomyślę tedy, jak użyć tych pieniędzy lepiej niż dotychczas.

– I może nie tutaj? Może nadeszła pora umocnić się w Księstwie Bari?

Spojrzała na niego z nie udawanym zdziwieniem.

– Ale jak? Jak?

– Choćby... wysyłając złoto do Italii. I pożyczając trochę cesarzowi Carolusowi – sugerował.. Zmarszczyła brwi.

– Trochę, to znaczy ile?..

– Sądzę, że kilkaset tysięcy dukatów...

– O Dio! Oszalałeś? Toż to suma olbrzymia! Za jednego dukata mogę mieć cztery korce pszenicy.

– Tak, ale Bari chyba więcej warte? I gdy miłościwa pani zechce kiedyś porzucić ten niewdzięczny kraj albo odwiedzić Italię, będą jej w naszym księstwie potrzebne pieniądze.

– Odwiedzić, to nie porzucić. Bacz, co mówisz – zgaśniła go. – Nie widzę też żadnych powodów do udzielania pożyczek komukolwiek. Prawda, August! Czy były jakieś wieści z Krakowa?

– Tak. Radziwiłł Czarny wyjechał już do Wiednia. Ale król kazał wszystkim rozgłaszać, że odwiedzi potem Italię i Francję. Rozpogodziła się, poweselała.

– Więc jednak! Będzie się układał z Walezjuszem. Deo gratias!

– A jeżeli to tylko pozór? Przecie najjaśniejszy pan wie, że do poślubienia francuskiej królowny Habsburgowie nigdy nie dopuszczą.

– Skąd ty możesz o tym wiedzieć? – spytała tak ostro, że przestraszył się i zaczął wyjaśniać:

– Ja nie wiem nic, nic! Poza tym, że toczy się jakaś tajemna gra. I że Czarny nie omieszka

ostrzec Wiednia.

– Tylko on? Spójrz mi w oczy – nakazała surowo.

– Miłościwa pani... – błagał pokornie.

– Miałeś mi zastąpić Alifia. A jemu ufałam zupełnie, zawsze. Tedy pamiętaj: gdybyś ty sam zaczął jakowąś grę...

– Moje oddanie jest bezgraniczne – zapewniał gorąco, przykładając dłoń do serca.

– To się jeszcze okaże – stwierdziła krótko. – Doniesiesz mi o każdym kroku Radziwiłła i o wszystkich listach w tej sprawie.

– Gdyby jednak doszło do małżeństwa z arcyksiężniczką...

– Nie! Nie! To byłaby ostateczność!

– Ale, gdyby stało się właśnie tak, czy miłościwa pani zjedzie na Wawel? – dopytywał się Italczyk.

– Wtedy si, certamente. Nikt nie zaprzeczy, że wciąż jeszcze jestem polską królową. To trzecie matrimonium byłoby z pewnością huczne.

– I wydatki pociągnie za sobą niemałe...

– Król nie prosił nas o pożyczkę? – ożywiła się nagle.

– Nie. Od dawna o nic nie prosi.

– Zaciął się – szepnęła. – Więc może jednak Katarzyna? Zobaczmy, kto wyjdzie na tym... gorzej. Ale na dzisiaj dosyć. Jesteś wolny. Nie! Zaczekaj. Co do tych dukatów z naszego skarbcza... Bene. Trzecią część wyślesz do bankierów w Neapolu. Już teraz. Ale, pamiętaj, bez żadnego rozgłosu.

– W największej tajemnicy, miłościwa pani – odparł, wycofując się w ukłonach.

*

W kwietniu pięćdziesiątego trzeciego roku specjalni gońcy donieśli, że Czarny wrócił do Krakowa, i królowa natychmiast, pod pozorem odwiedzenia grobu małżonka w piątą rocznicę jego śmierci, zjechała na Wawel. Tym razem postanowiła zjednać sobie syna aprobatą wszystkich jego działań związanych z misją Radziwiłła i gdy tylko wszedł do jej komnaty, zaczęła od razu od pochwał:

– Przyznaję, podziwiać muszę – skłoniła żartobliwie głowę.

– Pierwszy to raz... – szepnął.

– Si. Ale też po raz pierwszy widziałam was w działaniu. Wtedy gra była o Barbarę...

– Ostawmy to – przerwał gwałtownie.

– Bene, ostawmy. Choć nie mogę przeboleć, że to nie francuska księżniczka urodzi wam syna.

– Doprawdy wolicie nie pamiętać – zapytał – jaka jest cena małżeństwa z Katarzyną?

– Przyznaję, było o co grać. Tedy Wiedeń nie chciał nawet słyszeć o podróży Radziwiłła do Francji? Od razu odzegnał się od układów z Iwanem?

– Podobnie jak papież – przypomniał.

– Santa Madonna! – westchnęła. – I pomyśleć, że tylko strach przed tajnymi układami sąsiadów – tylko strach, a nie miłość – rzuca polskiego króla w ramiona córy Habsburgów.

– Miłość? – zapytał, chmurząc się. – Na Boga! Czyż wam, właśnie wam, godzi się mówić o niej?

Chciała odpowiedzieć ostrzej, ale rzekła tylko:

– Nie jestem z kamienia...

– Ale byliście przeciwni mojemu wielkiemu miłowaniu. Zawsze, od samego początku i aż do straszliwego końca.

– Madonna mia! Ciągłe nie możesz zapomnieć? – pytała rozżalona.

– Czego? – zachnął się. – Jej wstydu i łez? A może tych paszkwilów zdzieranych z wileńskiego zamku? Podróżnej karocy obrzucanej przekleństwami? Tych wszystkich obelżywych rymów, kartek, karteczek? Waszej wzgardy i wyjazdu na Mazowsze? Dworacy wypatrują oczy, kiedy wawelskie mury upstrzą się znów karteluszkami, tym razem obraźliwymi dla Katarzyny.

– Basta! – Straciła narzuconą sobie cierpliwość. – Teraz ja nie chcę tego słuchać! Zjechałam na Wawel i zostanę aż do wesela. Nie ma tu jeszcze innej królowej. I to ja powitam tę nową Rakuszanekę. Może się okaże bardziej, jakby to rzec, przydatna? Zapewni dynastii sukcesora?

Patrzył na nią nieufnie, ale z rosnącą ciekawością.

– Niczego innego nie pragnę – stwierdził. – I chciałbym – Bóg widzi – chciałbym na czas wesela i potem zaufać wam, matko.

Zaskoczył ją tak, że powiedziała dopiero po chwili:

– Pierwszy to raz, od lat... Myślałam już, że nie usłyszę nigdy tego słowa.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Przecież miłościwa pani ma tyle córek...

– Sigismundo!

To był już krzyk. Jej głos rwał się i łamał.

– Kończmy – rzekł, wstając. – Chcę ufać, tak. I wierzę, że układy zostaną dotrzymane. Wszystkie. Z Wiedniem, z Rzymem i także z... Warszawą.

Wyczuła lekką ironię w jego głosie i dostosowała się do tego tonu:

– Wielki to zaszczyt dla stolicy Mazowsza znaleźć się wśród pierwszych stolic Europy.

Skłonił głowę i rzekł:

– Tam, gdzie jesteście wy, polska królowa, niełatwo być pierwszym.

Zaraz potem wyszedł, a ona szepnęła w pasji:

– Insolente! Stupido!

Ale po chwili przypomniała sobie początek rozmowy i pomyślała, że nie wszystko stracone. Po raz pierwszy od lat wypowiedział jednak to upragnione słowo: „matko”.

Nowe, trzecie już małżeństwo Zygmunta Augusta niepokoiło nie tylko Bonę. Z niechęcią

mówił o nim także biskup Zebrzydowski, spotkawszy się na Wawelu z kasztelanem Górką i Janem Radziwiłłem, który przybył na wezwanie Bony, choć ostatnio po upadku z konia w czasie łowów miał się źle, z trudem wracał do zdrowia i utracił wiele z dawnej fantazji.

– Zdawało się – mówił Zebrzydowski – że król po śmierci Barbary będzie za egzekucją praw, za odnową w Kościele, ale oto szykują się znowu aliance z Wiedniem, edykty przeciw innowiercom i będzie, jak bywało za Zygmunta Starego.

– Aż dziw, że słyszę te słowa z ust krakowskiego biskupa – zauważył zjadliwie Górka.

– Który, jeśli prymas do zdrowia w porę nie powróci, będzie musiał włożyć koronę na głowę nowej córy Habsburgów – dokończył za niego Zebrzydowski.

– Cóż, bywa i tak – przyznał kasztelan. – Ja sam, chociaż sprzeciwiałem się małżeństwu z Radziwiłłówną, teraz nie widzę przyczyny, aby znów rzucać królowi kłody pod nogi. Jemu potrzebny jest sukcesor, a Pospolitej Rzeczy – pokój. Tedy nie przeciwi się to mojemu sumieniu stanąć po stronie Tarnowskiego i... Radziwiłłów. Nie wiem tylko, czy pana krajczego do tej rodzinnej kompanii można teraz zaliczyć?

– Mnie? – zdumiał się Jan. – Nigdy nie było mi po drodze z Czarnym.

– Tedy jesteście przeciwko braciom? – nie dowierzał Górka.

– Tak. I przeciw rakuskiemu małżeństwu.

– Proszę, proszę! – drwił już kasztelan. – Przypomnę to panu krajczemu, kiedy na Wawelu zaczną się rządy Katarzyny. I kiedy Radziwiłł Czarny znaczyć tu będzie więcej niż królowa matka siedząca na wygnaniu w Warszawie.

– Ja nie czynię niczego dla korzyści własnej ani dla blasku imienia – obruszył się Jan.

– A kto mówi inaczej? – spytał Górka, wstając. – Jeno że onych niezłomnych potem zawiść zżera. Obaczym, co będzie, gdy Habsburżanka obdarzy króla upragnionym następcą.

– Mogła to uczynić i księżniczka francuska, jak chciała królowa Bona... – zauważył Radziwiłł.

– Na Boga! Nie pora mówić o tym! Za daleko zaszły już sprawy. Przed laty było tajne małżeństwo króla z poddanką, i to bez zgody senatorów, ale teraz... – tłumaczył się kasztelan. – Poczekać trzeba. Starej królowej ziemia ucieka spod stóp. Pomarli dawni doradcy, nieliczni przyjaciele... Może ostał jej jeszcze Kmita, ale i tego pewien nie jestem. Tedy...

– Tedy liczyć już na was, kasztelanie, nie można? – spytał biskup.

– Pomyślę i odpowiem. Ale nie teraz, nie dziś! – odparł Górka i zaczął żegnać się z Zebrzydowskim, kiwnąwszy tylko głową krajczemu.

– Odpowie mi za ten despekt – mruknął Jan.

– Ale to niczego nie zmieni – westchnął Zebrzydowski. – Ubywają nam dawni sojusznicy jak królowej Bonie.

W tejsze chwili do komnaty, z której wyszedł Górka, wśliznął się Stańczyk. Naśladowując powolne, pełne godności ruchy kasztelana, zaczął mówić zmienionym głosem:

– Wyszedł stąd jeden wielce z siebie rad. I pyta żartem: „A ty, błaznie, z kim trzymasz?”

„Ja? – mówię – zawdy z błaznami! Bo rąbię, jak wasza miłość, prawdę wprost w oczy!” On zdumiał się. „Zawszeni prawdę gadał – rzecze – a nikt mnie nie miał za błazna”. „Ba! Bo tylko zwykłych ludzi tak zowią, kasztelanom i wojewodom dają tytuły «dziwaków»”. Mówi on: „W tym żadnej obrazy nie ma”. „Ale jest kłamstwo – rzeknę. – Mówią, dziwak, a myślą – he, he – błazen”.

– Tedy jak? – roześmiał się biskup. – Ty jako trefniś z nim trzymasz?

– E! Co tam Górka! – parsknął Stańczyk. – W błazeństwie dopiero terminować zaczyna, jak Czarny w łgarstwie. Mistrzem nad mistrze w gadaniu prawdy ciągle jeden tylko na Wawelu: błazen starego króla. Ergo trzymam się samego siebie i... powietrza! Ale waszym miłościom światłą radą służę, a jakże, służę...

– Dosyć! Starczy krotchwili – przerwał mu Zebrzydowski.

– Już? Szkoda, bo właśnie chciałem was oświecić, jako że wiem, kto znosi się z posłem rakuskim, Langiem. Ale zdradzę jego imię dopiero wtedy, gdy wasze dostojności o radę mnie poproszą. Same poproszą, nie wcześniej!

Wybiegł, a Radziwiłł spytał, zdziwiony wielce:

– Kogo doktor Lang mógł już skaptować?

– Tyleż będzie znaczył na Wawelu, co ongiś Marsupin przy Elżbiecie – mruknął Zebrzydowski.

– A kto przy tamtej siedział na dwóch stołkach? Alifio? – dopytywał się pan krajczy.

– Nie. Może... może Pappacoda? – zastanawiał się biskup.

– Dalibóg! Widzę, że wdepnął w gniazdo żmij – syknął Radziwiłł.

Jednakże biskup zaprzeczył tym słowom.

– Ale skądże znowu? Na Wawelu żmij nie ma, jest tylko jama smocza. Z prastarej, pocziwej polskiej legendy...



Na uroczystości ślubne i koronacyjne zjechała do Krakowa Izabela z czternastoletnim synem Janem Zygmuntem, wciąż jeszcze tytułarnym królem Węgier, choć walczył już razem z matką tylko o utrzymanie się na Siedmiogrodzie.

Wjazd do królewskiego grodu Katarzyny odbył się według rytuału dobrze znanego królowej Bonie. Zygmunt August wyjechał na spotkanie przyszłej małżonki poza granice miasta, po czym zaś na Wawel odprowadzał ją świetny orszak króla i wspaniałe poczty kasztelanów i wojewodów.

Kiedy królowa matka ujrzała przyszłą synową po raz pierwszy nie mogła nie pomyśleć o kontraście, jaki stanowiła z Radziwiłłówną. Niska i niezbyt foremna ugiwała się pod ciężarem szaty wyszywanej złotą nicią i drogimi kamieniami, jakby król rzymski chciał przez to zaznaczyć, że wyposażył ją lepiej niż przed laty młodziutką Elżbietę, Zygmunt August bawił rozmową przyszłą małżonkę, ale znając go, Bona wiedziała, że cierpi, że, jak ona sama, musi

wspominać niezwykłą urodę Barbary.

Ubierając się na uroczystości koronacyjne w jednej komnacie z Izabelą gdyż chciała nacieszyć się dawno nie widzianą córką, królowa wybierała dla niej ze szkatuły najpiękniejsze klejnoty, aby prześladowana przez Habsburgów królowa Węgier mogła wzbudzić nimi zazdrość Katarzyny.

– Jeżeli rada, to jeno z tego – mówiła – że na gody weselne zjechało tylu następców tronu: krewni króla Ferdynanda, ty, cara Mia, ja sama, królewicze – rakuski i węgierski, a także książęta, których już nie policzę. Podaj diamentowy naszyjnik – zwróciła się do Mariny – i także pierścionie. Będzie to weselisko, jakiego Kraków od lat nie oglądał... Jeżeli owa Austriaczka da Augustowi syna... Jest mi obca, zupełnie obca, nawet niemiła. Ale jeśli zostanie matką Jagiellona, wtedy och, wtedy otrzyma z mojego skarbcza więcej niż ktokolwiek inny!

– Właśnie ona? Katarzyna? – zdziwiła się Izabela.

– Powiedziała. Przywiozłam już z Warszawy srebrną kołyskę. I na chrzest królewicza przyjadę do Krakowa nawet z bardzo daleka, choćby z krańców puszczy poleskiej. Obiecowała mi to kiedyś w Bari principessa matka. I nie dotrzymała obietnicy. Ale ja dotrzymam. Izabelo!

– Tak, słucham.

– Mówiłaś już z Katarzyną. E allora? Będzie wreszcie na Wawelu prawdziwy dwór królewski? Będą festyny, gonitwy, turnieje? Jak kiedyś, za moich młodych lat?

– Doprawdy, nie wiem. Mówiła ze mną tylko o jednym: o cnocie pokory. I o tym, że Kraków tak piękny, iż mną będąc, nie chciałaby go nigdy opuszczać.

– Jesteś królową Węgier! – przypomniała surowo Bona.

– O tym zdawała się nie pamiętać – przyznała Izabela.

– Ciekawe... To może wiele znaczyć. Marina! Wezwiesz do mnie zaraz Pappacodę. Presto! Presto!

A już w godzinę później Italczyk informował o tym, co działo się na Wawelu, doktora Langa, spotkawszy go niby przypadkiem na krążgankach.

– Była spokojna i jakby już pogodzona z myślą o tym trzecim matrymonium – mówił niemal szeptem. – A przed chwilą ciskała we mnie klejnotami bez ceny. Zbierać je musiałem, pełzając po kobiercach. Santa Madonna! Czemu przyszła królowa jest tak nieostrożna?

– Arcyksiężniczka musi wywiązać się z pewnej misji, którą zlecił jej ojciec...

– Ale nie tak pośpiesznie odkrywać karty. Inaczej Izabela wróci na Węgry zaraz po weselu, zabierając syna.

– Jej miejsce w Krakowie, przy bracie. Albo, jeśli tak jest kochana przez matkę, w Warszawie.

– A węgierskiego królewicza? – dopytywał się Pappacoda.

– Skąd pewność, że on kiedyś na Węgry powróci? Wychowa go Wiedeń. I tam rozstrzygną się jego losy.

– Królowa Bona nie podejrzewała niczego do dziś. A teraz nagle kazała mi wybadać, co

nowego knuje Wiedeń przeciw Izabeli? Doradzam ostrożność. Tutejsze mury mają uszy, a i Radziwiłł Czarny, króla – druh najlepszy, widzi wszystkich na wylot.

– Och, ten. Niedługo już będzie tak patrzył – rzeki pogardliwie Lang.

– Czarny? – zdumiał się Italczyk.

– Za dużo teraz wie i za wiele żąda – mruknął poseł rzymskiego króla.

– Książę otrzymał pewne obietnice i chyba z tej przyczyny jest tak pewny siebie.

Doktor Lang przyjrzał się uważnie swemu rozmówcy.

– Czyżby i signor Pappacoda także wiedział za wiele? – spytał.

– Ja? Ależ nie wiem o niczym, o niczym! Domyślałem się tylko! – wycofywał się Italczyk.

– Domysły zgoła niepotrzebne – stwierdził z naciskiem Lang.

– Cóż, zrobiłem swoje, ostrzegłem – bronił się Pappacoda.

– Ja także. Żałuję, ale na mnie już czas...

Odwrócił się i odszedł, a skarbnik Bony patrzył w ślad za nim z niechęcią, ze złym błyskiem w oczach...

Po uroczystościach w świątyni pochód koronacyjny ruszył w stronę zamku i królowa Bona, której boku trzymał się przez cały czas książę Albrecht pruski, nie mogła powstrzymać się od złośliwej uwagi:

– „Zygmunt”... znowu gra. I uświetnia na Wawelu obecność Habsburgów i Hohenzollernów.

– Najbliższych powinowatych miłościwej pani – dociął były wielki mistrz. – I pierwsza synowa, i obecna – córki rzymskiego króla.

– Wdzięcznam za przypomnienie – odparła dopiero po chwili, hamując wybuch gniewu.

Przez całą ucztę weselną była niespokojna i nie spuszczała oczu z obojga młodych. Ale Katarzyna zachowywała się swobodnie, uśmiechała często i zwracała się do Augusta niemal co chwila. O czym mogło rozmawiać tych dwoje? I jak skończy się ten wieczór pełen gwaru oraz ustawicznych wiwatów na cześć obojga królestwa? Wiedziała, jaka była noc poślubna młodego króla z Elżbietą. Księżna mantuańska jest brzydsza od siostry, ale śmielsza i... bardziej doświadczona.

Pochyliła się do karlicy Dosi przytulonej do jej stóp i szepnęła, podając jej kandyzowany owoc ze stojącej na stole wazy:

– Wciśniesz się do ślubnej komnaty. Zrobisz się bardziej niewidoczna od tego, co trzymasz w ręku. Potrafisz?

– O tak...

– Tedy masz. To zabawne – rzekła zaraz potem, zwracając się do księcia Albrechta siedzącego obok niej – jak te ludziki lubią to, czego nie widziały nigdy ich oczy. Południowe cukrzane frukta... rzadkość w Krakowie, a moje karły przepadają za nimi.

Nie słyszała odpowiedzi, uczuła tylko, że nic już nie dotyka jej stóp, i zobaczyła wstającą parę królewską. August... Nienawidziła Habsburgów, nie znosiła Katarzyny, ale pragnęła, aby tej

nocy choć na chwilę mógł zapomnieć o Barbarze w objęciach mantuańskiej księżnej...

Tymczasem młodzi przeszli już do pokojów królowej, do dawnej sypialni Bony i stanęli przed sobą, jak niegdyś za pierwszego małżeństwa Augusta. Katarzyna sama zdjęła ciężką jej koronę i potrząsnęła głową, ale choć włosy miała wedle zwyczaju rozpuszczone, nie okryły jej pleców wspaniałym płaszczem. Były na to zbyt krótkie i nie tak gęste jak włosy Elżbiety. Jednakże mimo woli król powtórzył gest sprzed lat i dotknął rudawych splotów, obserwując bacznie, jak zareaguje na ten gest Katarzyna. Ale ona uśmiechnęła się zalotnie i kiedy podał jej kielich, z którego wypili oboje, położyła obie dłonie na jego ramionach. Było to tak nieoczekiwane, tak śmiałe, ponieważ powinna była zaczekać na jego uścisk, że spytał odruchowo:

- Nie boicie się mnie?
- Nie – odpowiedziała z uśmiechem.
- Ani trochę?
- Nie.
- Wasza siostra... – zaczął, ale ona przerwała natychmiast.
- Nie jestem do niej podobna. Zupełnie w niczym.
- Była bardzo płochliwa – przypomniał.
- Ja nie! – potrząsnęła głową.
- I przyzwalacie...?

W jego głosie dało się wyczuć i lęk, i nadzieję. Odpowiedziała goręcej, niż się tego spodziewał:

- Marzyłam o dniu dzisiejszym.
- Katarzyno... – objął ją i patrzył wprost w oczy.
- Tak... – szepnęła.
- Gwiazdy dobrze nam wróżą. Wierzysz, że będziesz szczęśliwa?
- O tak! Na pewno! – odpowiedziała tuląc się do niego mocniej, choć musiała zauważyć, że

nie spytał, czy wierzy w szczęście ich obojga.

Ale była księżna Mantui istotnie nie przypominała w niczym swojej siostry, płochliwej i nieśmiałej Elżbiety...

*

Minęły zaledwie trzy miesiące od wesela, a już cały dwór wiedział, że król okazuje niemal czułość swojej nowej małżonce, unika natomiast tak częstych dotychczas rozmów z Radziwiłłem Czarnym. On sam nie mogąc tego zrozumieć, jako że posłował do Wiednia i nie komu innemu tylko jemu August zawdzięczał obecność Katarzyny w swoim łóżu, wpadł w gniew i nie czekając na wyjaśnienia, postanowił wracać na Litwę. Powiedział o tym tylko swojemu dworzaninowi, ale to wystarczyło, aby w jednej z komnat zabiegł mu drogę Stańczyk.

– Już po pożegnaniu młodej pary? I znowu na Litwę? Na długo? – dopytywał się, wścibski jak zawsze.

– Tobie do tego nic! – mruknął Radziwiłł.

– A i owszem. Bom gotów nawet stąd gońców ślać; gdy plotki, tak się rozedmą, tak urosną, że mi wejść do komnat nie dadzą.

– Co wiesz? – zaniepokoił się wielki kanclerz litewski:

– Że doktor Lang ostatnio źle mówi o, waszej książęcej mości. A królowa, aż przykro powtarzać, jeszcze gorzej.

– Królowa Bona? – zmarszczył brwi Radziwiłł.

– Skoro Lang, to nie Bona, tylko Katarzyna. Myśleć trzeba, mości książę. Bez tego nigdy nic! Może nawet nie być... Litwy.

– Głupiś! – warknął gniewnie. – Była nasza i będzie.

– A jeśli Habsburgi kozła wywiną? Jeśli za plecami waszej książęcej mości ułożą się z Groźnym? Groźne, co? Książę pan wyjeżdża, ja zostaję. Też niebezpiecznie. A nuż Lang zacznie układać się i ze mną? Kołpak już mam. Błazeński, prawda, ale na wielkoksiążęcy zamienić go łatwo.

– Na Boga! Zejdź mi z oczu, bo nie ręczę za nic! – Zamachnął się na trefnisia kanclerz.

– Ja także! Nie ręczę nawet za obietnice Ferdynanda, jeżeli były takowe. A węch mam dobry i czuję, że były. Tylko czy jeszcze są? Ot, na przykład... ja. Byłem. Ale już mnie nie ma – uciekał, śmiejąc się szyderczo. – Już mnie nie ma!

Czarny patrzył za nim przez chwilę, zaciskając pięści. Kiedy odwrócił się, zrozumiał, że spłoszyli błazna Jan Radziwiłł i Frycz Modrzewski idący w stronę komnat króla. Młodszy brat przystanął i rzekł:

– Mikołaju...

– Zdrajco! Nie mam z tobą sprawy! – niemal krzyknął kanclerz.

– My do króla. Ostatni raz mówię: opamiętaj się. Chodź z nami.

– A wy do niego po co? Po obrożę na szyję?

– Po przypomnienie, że poza Koroną istnieje jeszcze Litwa i że...

– Mnie do tego nic! – przerwał Czarny. – Także Rudemu. A Chodkiewicz woli sobie śmierć zadać, niż dożyć unii.

– I nic ciebie z nami pojednać nie zdoła?

– Tylko niewdzięczność i zdrada. Ona jedna.

– Na Boga. Zdrada? Czyja? – zdziwił się Jan.

– Tym razem nie twoja! Za małyś do tej gry. I bierz cię czort! Za głupi!

Odwrócił się i odszedł, a krajczy rzekł pełen zdumienia:

– Nigdy go takim nie widział. Szaleje.

Modrzewski ruszył przodem, nierad ze spotkania.

– Bóg z nim. Byle króla nie zastać gniewnym – rzekł. Ale choć August gniewnym nie był,

przekonać się nie dał i twierdził z łagodnym uporem:

– Tedy powtarzam: kiedyś, jutro. Przyjdzie czas, połączę oba państwa i uczynię Litwę częścią potężnej monarchii. Ale nie teraz, nie teraz!

– Po cóż odwlekać, najjaśniejszy panie to, co i tak stać się powinno? – pytał Frycz.

– Mówiłem już – odparł ostrzej. – Muszę okrzepnąć, osłabić wpływy królowej wdowy, zdławić albo przekonać opornych. Dziś mógłbym dodać jeszcze jedno argumentom: tron litewski nie elekcyjny, tylko dziedziczny. Łatwiej Litwę złączę z Koroną, gdy w Wilnie zasiądzie mój syn, dziedzic i pan Wielkiego Księstwa.

– Ale Bóg jeszcze nie zechciał pobłogosławić... – zaczął krajczy.

– Och! – nie dał mu dokończyć król – to już nie astrolog mylący się często, to medyk nadworny zapewnił mnie, iż królowa jest w błogosławionym stanie. Nareszcie! Będę miał syna, dziedzica i spadkobiercę.

– Zaiste! Nowina to wielce radosna – ucieszył się szczerze Frycz.

– Ale przyjdzie długo czekać, nim królewicz włoży kołpak wielkoksiążęcy – westchnął krajczy. – I nie wiem, czy tego doczekam, bom coraz słabszy i słabszy.

Ale Zygmunt August rzekł prawie wesoło:

– Tym razem pójde tropem mojej matki, królowej wdowy. Nie pamiętasz, Frycz? Zostałem Wielkim Księciem jako nieletnie pacholę.

– Pamiętam. Jednakże musi minąć parę lat, a tymczasem Chodkiewicz i obaj Radziwiłłowie...

– Rudy zrobi to, co mu doradzi Czarny – zapewnił August. – A z tym pogadam, aby przestał judzić tamtejszych panów i bojarów.

– To wasze ostatnie słowo, miłościwy panie? – spytał po chwili Jan – Radziwiłł.

– Ale chyba w mocy jest obietnica dana najpierw Łaskiemu, potem szlachcie, a także mnie? Naprawa Rzeczypospolitej i unia? – dorzucił Frycz.

Król spojrział na Modrzewskiego z lekką drwiną.

– Frycz! A nie mówił ci nikt, że z ciebie dziwny mąż? Nie miłości, jeno ojczyźnie urodzony?

– Cóż... – odparł zagadnięty. – Miłość do niewiast słabnie, gdy z wiekiem sił nie staje. Ale miłości ojczyzny z latami wciąż przybywa i przybywa. A już umierać chce każdy na ziemi ojczystej. Nawet banita, nawet zdrajca...

– A że takowych nie ma wśród nas – odparł król – będę jeszcze wielkim królem, jak mówią gwiazdy. Przecie dawniej wierzyłeś w to, Frycz?

Modrzewski skłonił głowę:

– I nadal wierzę, miłościwy panie – rzekł, ale oczy miał smutne.

Królowa Bona wyjechała na parę tygodni do Niepołomic, aby, jak mówiła, pożegnać się z kaplicą, gdzie spoczywał Olbracht, zanim w dniu pogrzebu starego króla nie zabrano stamtąd małej trumienki, którą złożono w sarkofagu ojca. Był to jednak pretekst. Chciała być sama, gdyż

w tamtym fatalnym roku trzecich ślubów Augusta straciła aż dwóch wiernych przyjaciół. Po długim niedomaganiu zmarł w Wilnie krajczy Radziwiłł, jej wierny stronnik i sojusznik. Jeszcze cięższą stratą była niespodziewana śmierć pana na Wiśniczu. Nie mogła sobie wyobrazić Wawelu bez marszałka, wspominała z oczami pełnymi łez, jak prowadził ją na polowaniu w Niepołomicach po upadku z konia do królewskiego namiotu. I mówił, że od dawna, że zawsze... A teraz nigdy nie powie już nic, niczemu nie zaprzeczy ani na nic się nie zgodzi...

Próbowała jeszcze teraz zapolować, aby uspokoić się, zapomnieć, ale gdy to lekarstwo nie zdało się na nic, wróciła do Krakowa. I tam dowiedziała się o szczęśliwej nowinie. Zastąpiła Augusta weselszym, jakby usiłował pogodzić się z losem, wyczuła natomiast, że nie zamierza zatrzymać jej na zamku do czasu narodzin dziecka, przeciwnie, wolałby jak najprędzej widzieć matkę z dala od Wawelu. Był bardzo uprzejmy, ale chłodny, natomiast prawie nie rozstawał się z Izabelą. Razem spacerowali po wirydarzu, razem spędzali długie godziny w komnatach Katarzyny i któregoś dnia król wspomniał przy wieczerzy, że pragnąłby zatrzymać przy sobie na stałe siostrę i jej młodocianego syna.

Królowa czuła, że za tymi słowami kryje się coś, czego odgadnąć nie potrafi, i znów zaciążyła jej samotność. Nie mogła poradzić się nieodżałowanego Kmity, oddani jej ludzie pozostali w Warszawie, Pappacoda nie miał tu teraz żadnych zauszników. Dopiero Stańczyk, który przez złośliwość nie omieszkał podzielić się z nią swoim odkryciem, nasunął Bonie myśl, że niestety...

Jak opowiadał błazen, było tak: Od pewnego czasu zaczął podejrzewać starą i oddaną dwórkę królowej Kätrin Hölzelin. O co? O podawanie swojej pani dań przyrzadzonych wyłącznie przez wiedeńskiego kuchmistrza i o chowanie do szafki ściennej wszystkich srebrnych naczyń, których mogły dotknąć usta czy ręce Katarzyny. Jednakże stwierdził ostatecznie, wpadłszy niespodziewanie do komnat młodej królowej, że te środki ostrożności wydały się Fräulein Hölzelin niewystarczające, i zagadnął ją zniecierpliwiony:

– Słyszałem, a nie wierzyłem. Widzę, a nie dowierzam. Więc Fräulein Kätrin trzyma osobno i w zamknięciu nawet wodę dla młodej królowej?

– A to przeszkadza waszmości? – spytała ostro, zamykając szafkę na klucz.

– Mówiąc szczerze, mniej niż powrót waćpanny na Wawel, do niemiłych dla niej wspomnień sprzed lat dziesięciu.

– Mnie w tym powrocie tylko jedno niemiłe: obecność na zamku aż tylu błaznów – odparła.

– Jak to, tylu? – zgorszył się trefniś. – Protest zakładam. Zawsze był tu jeden tylko prawdziwy błazen. Dopiero teraz przybył drugi. Niezgorszy.

Ciekawość wzięła górę nad niechęcią, bo spytała:

– A tego jak zwą?

– To ona. Nie on – zaprzeczył. – Błaźnica. Zowie się Kwatrin. A wiecie czemu?

– Nie ciekawam. Wyjdźcie stąd! – wskazała mu ręką drzwi.

– Pójdę, tylko klucz do szafki dorobię. Bo tamta, wiecie, w piętę goni. Zwyczajną, czystą

wodę do różnych schowków wstawia i trach-trach zamyka. Stąd wilgoć w murach. Taka, że nawet żaby pojawiły się już na pokojach. Skaczą i rechoczą: kwa-kwa-trin. Kä-trin-ken. Bo wiedzą, szelmy: „trinken” znaczy „pić” – błaznował Stańczyk.

Zaczęła uciekać, zasłaniając uszy i krzycząc:

– Weg! Weg! Verfluchter Kerl!

– A klucz nosi zawsze przy sobie. Ciekawe... – mruknął, gdy został sam.

Owej rozmowy, a właściwie fragmentów dotyczących podejrzeń Fräulein Hölzelin, nie omieszkała powtórzyć Bonie ta z polskich dworek Katarzyny, która znów była na Wawelu: żona Ostoi, Anna. Wprawdzie miała towarzyszyć Rakuszance tylko w pierwszym roku jej pobytu na zamku, ale nie pozyskała zaufania ani życzliwości młodej pani i w najbliższych tygodniach zamierzała powrócić do siebie, na wieś.

Królowa, która z początku ucieszyła się na jej widok i raczyła nawet zauważyć, że oto znów są obie na Wawelu, choć w jakże innych rolach, o ile starsze i bardziej doświadczone przez los, nagle uniosła się po dawnemu gniewem:

– Zawsze ta sama! Umiesz tylko powtarzać rzeczy nieznośne dla ucha, raniące serce. Truczna... Po co, dlaczego? Chcę, aby dała syna Augustowi. Habsburgowie muszą to zrozumieć i zaprzestać rzucania ohydnych podejrzeń. A może... Może chcą mnie poróżnić z królem?

Mieć go całkowicie w rękach? Bene. Powiedz swojej Rakuszance, że wyjadę stąd już za parę dni...

Ale Anna nie chciała ani przyznać się do „swojej Rakuszanki”, ani do żadnej winy. Powiedziała ze smutkiem, że zawsze była całym sercem oddana królowej, ale skoro ta uwierzyć w to nie chce, prosi o pozwolenie wyjazdu na wieś wraz z mężem. Ostoja od paru lat siedzący na Mazowszu nie zna nawet dobrze swojego syna...

– Więc jednak! – szepnęła Bona. – Ty masz syna... W tych słowach było tyle przygany i zawiści, że po tej rozmowie rozstały się już na zawsze.

– Zastąpią cię – tłumaczyła Anna mężowi – różni nowi sekretarze, dworzanie, a wreszcie Chwalczewski, jak kiedyś mnie zastąpiła Zuzanna Myszkowska. Trudno. Skoro nie umie odróżnić oddanych sobie ludzi od obojętnych, będzie musiała obyć się bez Ostojów. Ja przynajmniej mam dosyć Krakowa, dosyć Wawelu i dosyć królewskiego dworu!

Jak niegdyś Bonie, tak teraz Katarzynie nadworni medycy zalecili spacerować po wirydarzu zamkowym, a w dni słotne po krużgankach. I kiedy w jeden z takich dni spotkała na nich króla, prosiła, by jej towarzyszył. Chwilę szli obok siebie milcząc, wreszcie Katarzyna przyznała, że chciała mu się zwierzyć ze swych niepokojów.

– Jakich? – spytał zdziwiony.

– Moja dworka, Kätrin, twierdzi, że niektóre potrawy przygotowane dla mnie są... jakby nieświeże. Nie, ukrywać nie będę. Ona twierdzi, że są... zatrute. Zresztą ostrzegął mnie także doktor Lang...

Zygmunt August spochmurniał. Przyglądał się przez chwilę uważnie jej zmienionej już postaci, wreszcie rzekł:

– Trudno w to uwierzyć, ale skoro otrzymujecie tak dziwne przestrogi od ludzi pewnych i oddanych, uważajcie na siebie. Każcie zaglądać do dzbanków i kubków, a także kosztować owej Kätrin podawanych wam potraw.

– Już zaczęły się nawet szepty wśród moich pokojowców... – westchnęła Katarzyna. – Chodzą za mną krok w krok. Ostrzegają przed wszystkim co chwila.

– Ależ kto mógłby nastawać na wasze życie? – nie dowierzał król.

– Mein Gott! Nie tyle na moje, wasza miłość, ile może... przyszłego dziedzica korony!

– Dziedzica? Boże święty! Podejrzewacie kogo?

– Niestety tak – powiedziała niechętnie, z wahaniem. – Mówiła mi Hölzelin, że królowa Bona...

August zaprzeczył gwałtownie:

– Ona? Tym razem – nie. Czeka z wielką niecierpliwością na wnuka. Wciąż dopytuje się o wasz stan, o wasze zdrowie. Nie uwierzę w tę jadowitą plotkę! Kto jeszcze śmiałby...

– Może... księżę Radziwiłł Czarny? Gdyby zechciał mógłby posłużyć się trucizną. Przysłała tu podobno z Litwy jakieś puszczańskie, jadowite zioła... I to od niedawna.

– Czarny? – powtórzył ze zdziwieniem król i nagle wpadł w gniew. – Nie po raz pierwszy mówicie o nim z niechęcią i nawet stało się to przyczyną jego wyjazdu. Co też umyśliła sobie ta dworka? Stupida! To przecież nikt inny, tylko on przywiózł z Wiednia waszą podobiznę.

– Wiem. Ale odmienił się ostatnio. Stał się oschły, niezyczliwy...

– Nie do wiary! Dobrze. Zbadam sprawę, gdy tylko będzie w Krakowie. A wy, na Boga, uważajcie! – prosił. – Na wszystko. Na potrawy, na wino, nawet ma wodę...

– Uczynię, jak radzicie, ale... Przyznaję, że wolałabym być jedyną panią na Wawelu. Nie słyszeć ciągle: królowa matka to, królowa wdowa tamto.

Zastanawiał się tylko krótką chwilę.

– Dobrze – rzekł. – Postaram się, aby pilne sprawy odwołały ją na Mazowsze. Czy także Izabelę? Mogłaby wyjechać do Siedmiogrodu.

– Nie, nie! – zaprotestowała Katarzyna. – Tak miła jest, tak od matki różna... Oby została przy mnie jak najdłużej. Dopóki sama zechce.

*

Kiedy wysapawszy się z gniewu Radziwiłł Czarny wrócił po paru tygodniach do Krakowa, został natychmiast zawezwany przed oblicze królewskie. Ucieszył się, ale radość trwała krótko, gdyż August powitał go bardzo chłodno..

– Słyszałem niedawno skargi królowej przeciwko wam, mości księżę – rzekł. – W jej stanie wszystko uraża, boli. A podobno wy...

– Miłościwy panie! Ta łoża winna zaszczepiona moją własną ręką w gorycz się dla mnie

obraca – odparł zuchwale. – Aż do Wilna doszły mnie wieści, że jej dworka plecie o jakowys truczniach, o rzucanych przeze mnie czarach i urokach. Czemu nie powie wam prawdy?

– O czym? – zdziwił się król.

– Z jaką misją sekretną przybyły tu obie...

– To znaczy, kto? Nie rozumiem – cedził słowa August. – I rozumieć nie chcę.

– Panie mój! – wybuchnął wielki kanclerz litewski. – Toż małżonka wasza znosi się tajemnie z królem Ferdynandem. Pilnie rzecz badałem. Jej dworka od lat – agent rakuski!

Król wstał i zbliżył się do Radziwiłła tak, jakby go chciał spoliczkować.

– To potwarz! Dowody?

– Uwierzcie, błagam, i każcie przejmować gońców, aż nadto częstych. Wyjdzie na jaw, że królowa spiskuje przeciw Izabeli. Namawia ją, aby zrzekła się pretensji do Węgier i została w Krakowie. Więcej, żeby syna oddała na wychowanie Habsburgom... do Wiednia.

Słuchał teraz uważnie, namyślał się przez chwilę.

– Królowa pytała mnie kiedyś – starał się sobie przypomnieć – czy może on po mnie dziedziczyć? Może czuje się zagrożona z tej strony? Może woli nie mieć siostrzana na Wawelu w czas rodów?

– Rodów? Na miły Bóg! – krzyknął Radziwiłł. – Czyż miłościwy pan nie widzi, co się święci?

Król odsunął się nieco, ale nie rozchmurzył.

– Nie lubię zagadek. Jaśniej! – nakazał.

– Szykuje się coś okropnego! Zwodzą waszą miłość! Opętać pragną...

– Dosyć! Chcę wiedzieć to, co będziecie musieli za chwilę... odwołać. Odszczekać! – rzucił gniewnie August.

– Nie wiem, czy powinienem... – wahał się kanclerz. – Ale skoro wiedeński dwór boi się, abym nadto nie urósł na Litwie, abym szyków im tam nie psował, powiem. Nie byłem niczego świadom, kiedym wiózł podobiznę waszej przyszej małżonki. Ale teraz pewność mam: królowa... Boże święty! Toż ona chora jest na tę samą wielką chorobę, co siostra. I... tak samo bezpłodna.

Tak bladym Radziwiłł nie widział króla nigdy.

– Co? Jak śmiesz! Teraz, kiedy świta nadzieja? – rzekł ochryłym głosem. – Więcej, kiedy nareszcie jest pewność?

– Oszukują was, miłościwy panie – upierał się kanclerz.

– Zabraniam! – krzyknął August. – Przyjacieli, a gorszy od wilka. Zdrajca! Dlaczego? Mów! A pamiętaj: skłamiesz – zapłacisz za to bardzo drogo!

– Przysięgamy! Jeżeli kiedyś zwodził czy łągał, to nie dziś – zaklinał się Czarny. – Pewne jest, że urodzić nie może, że jej medyk kłamie. Może to guz? Może wodna puchlina? Tego nie wiem. I nie napadam bronię się tylko. Boże mocny! Miłościwy pan musi mi zaufać, uwierzyć!

– Bronisz się ohydłą bronią, bo oszczerstwem. Uwierzyć mam w kłamstwo? Nie! I dość

tego. Żegnam was, książę.

Tej nocy Radziwiłł Czarny spać nie mógł. Postawił wszystko na jedną kartę: albo uratuje siebie i, być może, w przyszłości niezawisłość Litwy albo straci nie tylko zaufanie króla, ale też mir wśród litewskich wielmożów i ruskich bojarów. Kanclerz kłamcą? Oszczyrcą? Nie to nie może być, upewniał się przecież w Wiedniu, że obie córki Ferdynanda od dziecka leczone były na wielką chorobę i obie – bezskutecznie. Ciąża Katarzyny? Udana? Ale jak to było możliwe, aby August się na tym nie poznał? Co prawda Radziwiłł wiedział od zaufanego sługi, że od chwili gdy zaczęła grubieć, Kättrin nie wpuszczała króla do sypialni swej pani pod pozorem, że medyk ostrzega przed poronieniem, że Katarzyna powinna przez czas jakiś być wolna od obowiązków małżeńskich. Mogło być i tak, że liczne poronienia Barbary uczyniły Augusta ostrożnym i łatwo uległ naleganiom medyka oraz dworki. Chciał mieć syna pragnął tego tak samo mocno jak królowa Bona, jak małopolscy panowie, z których woli Jagiellonowie zasiedli na tronie krakowskim. Jeśli więc Habsburżanka urodzi naprawdę, nie ma dla niego, Radziwiłła Czarnego, życia na Litwie ani w Koronie.

Co prawda wiedeński medyk obecny przy porodzie mógłby okazać królowi obce niemowlę, ale co zyskiwałby na tym Ferdynand? Zależało mu przecież na wygaśnięciu rodu, na podsuwaniu Augustowi chorych córek dla uzyskania pewności, że będzie on ostatnim z Jagiellonów. Jeżeli więc ciąża Katarzyny była udana, należało się liczyć wcześniej czy później z rzekomym poronieniem lub urodzeniem martwego dziecka...

Czarny skrzywił się, jakby mu podsunięto ocet zamiast wina, ale jednocześnie zrobiło mu się lżej na sercu. Gra Wiednia była wręcz haniebna, ale w wypadku przedwczesnych rodów, król nie mógłby oskarżać go o potwarz. Będzie się upierał, że obie siostry nie mogły zapewnić ciągłości dynastii. Tak, będzie się przy tym upierał i nikt nie ośmieli się już nazwać go ani oszczyrcą, ani kłamcą.

Zdrzemnął się wreszcie zmęczony całonocnym rozmyślaniami, ale skoro świt zbudził księcia pokojowiec, pytając, czy zechce mówić ze Stańczykiem, który nalega, aby go wpuścić.

– Stańczyk? – zdziwił się kanclerz. – Dawaj go tu!

Błazen starego króla wszedł powłócząc nogą i na dany znak przysiadł tuż przy łożu Radziwiłła.

– Coś wiesz? – zapytał kanclerz. – Mów, tylko krótko i jasno, bez żadnych błazeństw.

– Wcale mi nie do śmiechu – westchnął trefniś. – Widzę, że niesłusznie szydził z waszej książęcej mości, tedy przyszedłem do niego pierwszego z nowiną. Może za nią przebaczenie uzyskam.

– Mów albo idź precz! – zniecierpliwiał się Czarny.

– Już mówię. Jak wiadomo, ta przekłeta Kättrin z obawy przed zatruciem, odsuwa wszystkie dworki od królowej. Tylko ona, ona jedna zawsze przy niej! Król już od wielu tygodni do małżonki, przez wzgląd na jej stan, nocą nie chodził. Wiem wszystko, tedy wiadomo mi i o tym.

A wczoraj nagle wszedł do sypialni nie czekany ani wcześniej nie zapowiedziany. Zjawił się nagle, bardzo późno, przed samą północą. I pono... pono zobaczył, jak Kättrin rozbiera swoją panią, jak rozwiązuje tasiemki, jak królowa stoi już bez poduszki na brzuchu...

– Bez poduszki? – zdumiał się Radziwiłł.

– Tak. Całkiem cienka w pasie. Pokojowiec śpiący pod jej drzwiami usłyszał krzyki dwa. Najpierw króla: „Boże mocny!”, a potem jej. Wołała: „Kättrin!”, „Kättrin!”, tak samo jak ongiś Elżbieta. I tak samo jak tamta na ziemię upadła, rumor czyniąc. Chyba całkiem bezwładna, ale tego już nie widział, słyszał tylko, jak głową tłuła o posadzkę.

– A król? – pytał Czarny, słysząc stukot swego serca.

– Wybiegł od niej, jakby widmo zobaczył. Straszny był, blady i półprzytomny. Trochę później jam próbował podejść pod drzwi jego komnaty. Inni się bali.

– I co?

– Nie do wiary. Alem posłyszał...

– Coś posłyszał?

– Jakby... szloch.

Czarny milczał długo, wreszcie rzeki prawie szeptem:

– Zdawało ci się, Stańczyku...

Stary trefniś podniósł na niego załzawione oczy.

– Wiem – przyznał. – Błazen może słyszeć tylko śmiech królewski. Tylko śmiech. Nic więcej...

Po raz pierwszy Radziwiłł spojrział na niego ze współczuciem. U jego nóg siedział człowiek pobladły ze wzruszenia, smutny i bardzo nieszczęśliwy...

Wieść o skandalu na zamku, którego zatuszować nie udało się doktorowi Langowi i któremu nie zamierzał zaprzeczać król, dotarła do Jazdowa przez gońca. Mimo niechęci do Katarzyny, Bona z początku nie chciała uwierzyć w to, co się stało na Wawelu, potem zaś wpadła w gniew.

– Nieodrodna córka swojego ojca! – wołała. – Spiskowała przez cały czas przeciwko Izabeli. Bo tego także dowiedział Czarny?

– Tak – przyznał Pappacoda.

– I łudziła króla, że da mu potomka? Choć jest chora i bezpłodna?

– Niestety, tak – westchnął.

– Santa Madonna! Kto więc może się dziwić, że August nie chce więcej widzieć żony? Że żąda unieważnienia ślubów?

Pappacoda przytaknął, ale zaraz potem rzekł:

– Gorzej, że przypominają mu teraz niektórzy, co mówił, gdy domagał się koronacji Barbary: „Zerwać więzy małżeńskie może tylko Bóg”.

– Głupiec! – szepnęła bardzo cicho i dorzuciła głośniejszym głosem: – Po co te wielkie słowa? Wpadł teraz we własne sidła.

– Nuncjusz papieski oświadczył królowi, że to matrymonium jest i będzie ważne.

– Ważne? O Dio! A więc już nigdy nie będę mogła rzec: dokonało się, umrę spokojna, bo znam jego następców. Synowie Augusta? Królewicze? Gdzie są? Nie ma ich i nie będzie. Jakieś przekleństwo ciąży nad nami! Perché? A ja, szalona, liczyłam dni do urodzin wnuka...

– Król czeka teraz na decyzję ojca świętego. Może mieć w tej sprawie inne zdanie niż nuncjusz.

– I ty w to wierzysz? – zdziwiła się. – Bo ja nie. Pamiętam, jak w sprawie dyspensy zabiegali w Rzymie Habsburgowie. Teraz także nie omieszkają stanąć w obronie Katarzyny i ważności jej małżeństwa.

– Niestety, było consumatum – przerwał długie milczenie Pappacoda. – Papież może wydać wyrok nie po myśli najjaśniejszego pana.

– Madonna santa! Choć jego żona popełniła oszustwo?

– Można zawsze upierać się przy tym, że uczyniła tak dla utrzymania przy sobie małżonka. I że następna ciąża będzie już prawdziwa, nie udana.

– Następna? – zdziwiła się królowa. – Nie wierzę w żadną następną, tak samo jak August. Te Habsburżanki były chore od lat... Jak dziwne, że nie sprawdził tego Maciejowski, że i mnie samej ta myśl dopiero teraz przyszła do głowy. Czy... czy Katarzyna miała dzieci z księciem Mantui? Jeżeli tak, co się z nimi stało? A jeżeli nie...

– Było to małżeństwo tak krótkotrwałe... – wtrącił się Italczyk.

– Nie oduczylesz się mówić głupstw! – krzyknęła. – Izabela urodziła mężowi następcę węgierskiego tronu, choć Zapolya zmarł niedługo po ślubie. A ta... Ta chora Austriaczka nigdy nie urodziła syna. Nigdy!

– Miłościwa pani mogłaby interweniować w sprawie unieważnienia tego małżeństwa... – sugerował ostrożnie.

– Si. Mogłabym. Si! I zrobię to. Mam dosyć przyglądania się zagładzie dynastii. Basta! Basta! Wyjeżdżamy do Italii. Najpierw Rzym, potem Bari.

Patrzył na nią wstrząśnięty, nie mogąc uwierzyć.

– Wyjeżdżamy z Warszawy? Na zawsze? – pytał bez tchu.

Jednakże ona ochłodziła już, wybuch gniewu minął.

– Nie wiem. Nic już nie wiem – rzekła po chwili. – Ale że na jakiś czas – to pewne. Przedtem muszę widzieć się z królem. I to presto! Dziś jeszcze wyjedzie do niego goniec i pójdą listy do Izabeli. Także pisma do Bari i bankierów w Neapolu. Czego nie można dokonać perswazją, może da się uzyskać płacąc złotem?

– Niewątpliwie, miłościwa pani – przyznał.

Nigdy nie lubiła czekać, nigdy nie czekała na nic. Wyruszyła tedy w drogę natychmiast, gdy tylko spakowano kufry i przygotowano kolasy podróżne. Tym razem zostawiała wszystkie trzy córki w Jazdowie i poza Mariną oraz Pappacoda nie zabrała ze sobą nikogo. Wyjątek stanowiła karlica Dosia, ale ta towarzyszyła jej zawsze i wszędzie.

Posłaniec, który przybył do Krakowa o dwa dni wcześniej, dowiedział się od dworzan, że król raz jeden rozmawiał po tamtej tragicznej nocy z młodą królową i, że było to coś w rodzaju oficjalnej audiencji czy też oficjalnej odprawy. Znano już i omawiano przebieg owego spotkania, podczas którego Zygmunt August okazał się nieugięty.

Nie patrząc na stojącą przed nim Katarzynę, mówił wpatrzony w okno:

– Wszystkie wasze życzenia zostały już spełnione: zostajecie teraz na Wawelu sami. Królowa wdowa w Warszawie, ja z siostrą Izabelą lada dzień wyjadę do Niepołomic.

– Na długo? – spytała.

– Na bardzo długo – odparł nie odwracając głowy.

– Cesarz, mój stryj, i dwór wiedeński potrafią ująć się za tą krzywdą... – próbowała jeszcze ostatniej broni w nierównej walce.

– Krzywdą? – zdumiał się. – Czyją? Na miły Bóg! To wy, wy wyrządziliście krzywdę największą, jaką można wyrządzić monarsze: pozbawiliście go wiary w trwałość dynastii. A nadto to poniżające was oszustwo! Te pisma tajemnicze słane przez Langa, ta sieć intryg, którą oplatano Izabelę i jej syna? Tego nie dosyć? Nie boję się żadnych gróźb! I żądam, domagam się waszej zgody na unieważnienie małżeństwa.

– A jeżeli jej nie dam?

– Będziecie musieli opuścić Wawel i wracać do ojca. Nie będę przebywał z wami pod jednym dachem.

– To wasze ostatnie słowo? – spytała po chwili.

– Ostatnie! Jak i to widzenie się nasze.

A ponieważ stała, nie ruszając się z miejsca, skinął jej lekko głową i pierwszy opuścił komnatę.

Nie wyjechał jednak dostatecznie szybko, aby uniknąć spotkania z królową matką, która zaraz po przybyciu na Wawel prosiła go o rozmowę. Westchnął ciężko, gdy Lasota powiadomił go o tym życzeniu dostojnego gościa.

– Myślałem, zabiję czas i rozerwę myśli, polując – rzekł. – A tymczasem... To spotkanie będzie jeszcze bardziej trudne niż tamto. Ale powiedz, że czekam. Że proszę...

Powitała go serdeczniej niż zwykle, ale że weszła postukując laską, bardziej ociążała niż gdy widzieli się ostatnim razem, nie mógł powstrzymać się od uwagi:

– Dolega wam coś, miłościwa pani?

– Nogę skręciłam w podróży. Przykra była i w wypadki bogata.

Moją karliczkę Dosię na jednym z postojów wyrzucił koń i tak pokaleczył, że medyk nie czyni żadnej nadziei na jej wyzdrowienie. Zostawiłam ją w klasztorze pod opieką zakonnicek, ale nie wiem, czy w powrotnej drodze nie wypadnie wstąpić na jej grób...

Milczał, nie znosił bowiem wścibskiej karlicy, a urazić matki nie chciał. Zresztą i ona zaraz potem zaczęła mówić o celu swej podróży.

– Przybyłam tym razem nie po to, aby rozprawiać o Koronie i Litwie czy też o reformie włócznej oraz stadninach. Tym razem – nie. Chcę wiedzieć, co zamýślasz uczynić w swojej sprawie. I w mojej.

– Moja sprawa? – zdziwił się. – Mój Boże! Gorzka i wielce żałosna. Przyznaję... Gotów byłbym wziąć za żonę nawet żebraczkę, byle mi dała syna. Od dawna nie wiem już, co to sen. Zadręcam się w nocy i w dzień myślą o bezpłodnym zejściu z tego świata. O końcu Jagiellonów.

Patrzyła na niego z nie udanym współczuciem.

– Pytałeś lekarzy? Może Katarzynę leczyć trzeba? Może... ozdrowieje?

Skrzywił się pełen odrazy.

– Nie dotknąłbym jej więcej! Padła jak tamta, całkiem sztywna. Oczy w słupek, piana na ustach... Nie, nie! Zapomnieć! Zapomnieć! Być od niej jak najdalej... Gorzej, że przyszła wczoraj wiadomość z Rzymu. Ojciec święty nie chce zgodzić się na unieważnienie małżeństwa.

– A? Papież uznał, że musi odmówić? Nie bez namowy Habsburgów. Santa Madonna! Jakże ich raduje twoja bezpłodność! Jak przydatna choroba Katarzyny! Zawsze marzyli o rządach na Wawelu. Nawet młodego Zapolyę, że zrodzony z Jagiellonki, chcieli odebrać Izabeli i usunąć z Krakowa. Boję się. Słyszysz? Pierwszy raz w życiu boję się. Że już na zawsze zostaniesz z żoną, a bezzenny. Poślubiony niewieście, a bezdietny. Istne dziwowisko w oczach całego świata!

Skulił się, jakby dosięgnął go cios mieczem.

– Okrutne słowa – rzekł bardzo cicho. – Nawet w takiej chwili nie macie dla mnie współczucia? I ani odrobiny serca?

– A więc tak, mam! – zaczęła mówić gwałtownie i szybko. – Po raz pierwszy w życiu płakałam w Niepołomicach, kiedy przez lekkomyślność, przez nieostrożność zabiłam Olbrachta. Ale po raz drugi płakałam niedawno z twojego powodu, z żalości, żeś został oszukany. Żeś brał trzykrotnie w ramiona chore i bezpłodne... Żeś tak pragnął zwykłego, ludzkiego szczęścia, a tak bardzo byłeś nieszczęśliwy. Bóg widzi: płakałam nad tobą! Nad największą i jedyną miłością mojego życia – mojego nieudanego życia.

Przyznał nie bez zazdrości i goryczy:

– Było trudne, tak. Ale bujne, jaskrawe, prawdziwe...

– O si! – zadrwiła. – Chciałam być kochana jak i ty. Pragnęłam być wielbiona przez wszystkich, a wzbudzałam tylko nienawiść. Perché? Chciałam wzbogacić i naprawić to królestwo, a dostrzegano jedynie chciwość, zaborczość i żądę władzy. Radziłam niedołącznemu starcowi...

– Nie tylko... niedołącznemu – zauważył.

– Bene – zgodziła się. – Także, gdy król był jeszcze w pełni sił...

– I nie tylko jemu – dorzucił.

– Si. A więc i senatorom, i szlachcie. E allora? Radziłam, patrząc daleko w przyszłość, ale w tym dziwnym państwie przewidywania nie zdały się na nic! Zawsze dla was było ważniejsze

bezpieczeństwo i wygoda na teraz, na dziś. Intrygi królowej Bony? Santa Madonna! Czy nie zabawne wobec intryg i oszczerstw wiedeńskiego dworu? Albo matactw księcia Radziwiłła? Och, wy wszyscy i ten wasz smok wawelski byliście zawsze silniejsi ode mnie. Co teraz znaczy smok Sforzów? Niente! Niente! Choć pono straszyl przez tyle lat! Prawda, jeszcze i to. Jad smoczy... Nawet ty kazałaś w obawie przede mną zamykać na klucz wino, wodę. Naprawdę bałaś się otrucia? Caro mio! To wymysł Habsburgów. Byłam tak nieostrożna, że stanęłam im na drodze do krakowskiego tronu. Myślałam także inaczej niż twój ojciec, inaczej niż Tarnowski. Czy to znaczy źle? Nie wiem. Ale w tym kraju, któremu życzyłam jak najlepiej, nie zostaje po mnie tyle, ile chciałam. Zdobyłam, trudząc się niemało, wiele złota, tak, ale żadnych przyjaciół. Nie słyszę ani pochwał, ani słów zachęty, zrozumienia... Teraz chciałam użyć swoich wpływów w sprawie unieważnienia twojego ostatniego małżeństwa. I także ubiegł mnie król rzymski. Dlatego mówię wreszcie: basta! Mam dosyć zawodów, goryczy. Chcę odmiany! Innych ludzi, życzliwego nieba. Muszę, jak pisałam w liście, żeby wyzdrowieć na duszy, na ciele, pojechać do Bari. I to presto!

– Że musicie – staram się zrozumieć, ale nie na tych warunkach, jakie były wymienione w liście.

Zdziwiła się, wyglądała na zaskoczoną.

– To znaczy?

– Bez wywiezienia aktów nadania ojca, złota z waszego skarbcza i sum posagowych.

Zacisnęła palce na srebrnej gałce laski, jej twarz pokryła się czerwienią.

– To tak? Mam jechać jako nędzarka? Żebraczka? Ja, polska królowa? A jeżeli pojedę i wywożę wszystko, co zechcę?

– Nie dam na to zgody – odparł bez namysłu.

Wstała. Potężna, odziana we wspaniałe szaty, wciąż jeszcze budząca lęk. Mówiła już teraz po dawnemu głośno, rozkazująco:

– Jak widzę, na Wawelu nie zmieniło się nic! Dawniej słyszałam często „nie” od Zygmunta, teraz tak samo odpowiada August. Tedy nie pojedę do Italii, mój synu?

– Powiedziałem: nie.

– A ja mówię: si! – krzychała już. – Certamente si! Pojadę!

A ponieważ wstał również, choć milczał, zaczęła iść ku drzwiom, stukając mocno laską. Ale widać nie dlatego, że opuszczały ją siły, bo przystanąła na chwilę w progu, odwróciła się i rzuciła mu prosto w twarz:

– Zapamiętaj to sobie: pojedę!



Wyjechała z Krakowa na Mazowsze już następnego dnia i zatrzymywała się na wszystkich postojach krótko, poza tym jednym, w klasztorze, gdzie poszła pieszo na grób Dosi i płakała nad jej mogiłą, co zdumiało Pappacodę, który widział łzy w oczach królowej tylko na pogrzebach

Alifia, Krzyckiego i biskupa Gamrata. Ale tamci byli jej doradcami, dwaj ostatni członkami triumwiratu, ta zaś karliczka służyła ostatnio za poduszkę do grzania stóp w zimnym zamku jazdowskim. Czyżby więc ceniła wierność i ślepe oddanie swojej osobie bardziej niż miłość, podziw dworaków, okrzyki tłumów?

Podszedł do Mariny, chcąc ostrzec dworkę.

– Uważajcie, żeby nie przywiązała się teraz tak do Zuzanny, jak do nieodstępnej Dosi.

Spojrzała na niego z odrobiną pogardy.

– Za kogo mnie macie? Oczy mam tak samo do patrzenia, jak i wy. Płakała dzisiaj. Może dlatego, że wzburzyła ją odmowa króla? Ale przysięgam, że nie będzie miała łez w oczach przy rozstaniu z Zuzanną.

– Myszkowska już wie, że nie pojedzie do Italii? – zapytał.

– Nie. Ale dowie się, kiedy obmyślę powód, żeby ją oddalić. Uważajcie. Ktoś idzie za nami...

Przyśpieszyli kroku i wyszli za furtę cmentarza na czele orszaku królowej, tuż za nią.

Zaraz po powrocie do Warszawy Bona kazała zawieźć się do miasta, a potem długo w noc sprawdzała z panem Chwalczewskim rachunki, czytała podania i prośby swoich poddanych. Oboje Italczycy, którzy znali ją tak dobrze, że wyczuwali każdą zmianę w nastrojach, wpadli w popłoch. Wyglądało na to, że żal jej rozpoczętych prac, bogacącego się dzięki niej miasta, żal pięknego widoku ze wschodnich okien na szeroko rozlaną Wisłę. Ceniła wdzięczność, a Warszawa miała za co być wdzięczna swojej ducissae Masoviae. W Krakowie dzięki niej kształciło się już przeszło stu trzydziestu synów rzemieślników i mieszczan. Ostatnio postawiono folusz do spilśniania zgrzebnej wełny nad rzeką Dmą. Pożar? Od dwóch lat miasto wciąż jeszcze drewniane, stłoczone na niewielkiej przestrzeni między murami, nie paliło się ani razu, mimo że ogień zniszczył poszczególne domy.

Zainteresowała się też znowu losem córek. Zajęta sprawami politycznymi, zarządaniem dóbr i pomiarami włóczęną nigdy nie miała dla nich dosyć wolnego czasu. Teraz zaczęła częściej spraszać gości, pisywać listy do swej pasierbicy Jadwigi, aby wśród obcych ksiąząt i królów wymienić tych, którzy nadadzą się na małżonków.

Dopiero jednak rok pięćdziesiąty piąty przyniósł pomyślną wiadomość: ksiązę Brunświku Henryk prosił o rękę królowej Zofii.

– Nie pytam, czy powiesz „tak” – tłumaczyła Bona najstarszej z trzech niezamężnych córek – bo trudno rzec „nie” mając przeszło trzydzieści lat.

– Mówią o nim Henryk Młodszy – zauważyła królowa. – Czy nie wydam mu się zbyt stara?

– Młodszy, bo jego ojciec był także Henryk. Ale ten twój już chyba sześćdziesiątki dobiega. Musicie się śpieszyć oboje, jeżeli...

– Jeżeli...? – powtórzyła Zofia.

– ... na tronie brunświckim ma zasiąść ksiązę z tejże dynastii. Milczały chwilę obie i nagle Zofia, co nie zdarzało się dotychczas nigdy, przypadła do kolan matki.

– Musi być właśnie ten? Żaden naprawdę młodszy nie mógłby zostać moim mężem?

Królowa musnęła dłonią czoło, a potem policzek córki.

– Między twoim ojcem a mną było ćwierć wieku różnicy. A może i nawet więcej? – Jej głos był łagodny, cichszy niż zawsze. – I przez pierwsze lata, rodząc mu sześcioro dzieci, nie mogłam skarżyć się jako niewiasta na podeszły wiek małżonka. Może i ty znajdziesz szczęście z owym niemłodym już Henrykiem Młodszym i dasz mu syna?

– Gdybym mogła wybierać... – szepnęła królowa.

Głos Bony brzmiał już szorstko.

– Ale nie możesz. Król godzi się na to małżeństwo i damy ci tyle tysięcy złotych posagu, ile masz lat. A także, jak kiedyś Jadwidze, kilkanaście koni z mojej stadniny. Uśmiechnij się.

– Nie mogę... – wyszeptwała Zofia.

– Tedy gotuj się do drogi.

– Już?

– Do drogi ze mną. Jadę sprawować sądy do Łomży. W drodze będzie czas i na długie rozmowy, i rady, które przydadzą się przyszłej księżnej brunswickiej.

– Ale czy...?

– Co jeszcze? – przerwała już ostro.

– Czy będę mogła jako swoją dworzkę zabrać Zuzannę?

– Myszkowską? – zdziwiła się królowa. – Jest starsza od ciebie, a masz przy sobie panny młode i od niej ładniejsze.

– Tak, ale Marina twierdzi, że tamta przydałaby się bardziej w Brunświku niż w Warszawie. Zna język obcy...

– Tak powiedziała Marina? – powtórzyła ze zdumieniem Bona.

– Nie powinnam była tego powtarzać? – przeraziła się Zofia.

– To nie to. Nie to! Muszę wiedzieć o wszystkim, co dzieje się na moim dworze. Benissimo, Pomyślę i o tym, ażebyś pojechała do Brunświku z kimś, kto będzie twoją ostoją, podporą...

Tego samego wieczoru, wstając z klęcznika, spytała nagle Mariny.

– Nie lubisz Zuzanny? Dlaczego?

Dworka zmieszała się, przez chwilę zbierała myśli, wreszcie przyznała:

– Nie jestem jej pewna...

– Czyżby doktor Lang miał na Wawelu swojego agenta w osobie Zuzanny? – szydziła. – Wierzysz w to? Bo ja nie wierzę. Dlaczego milczysz? Przyznaj się. Jesteś zazdrosna o każdą dworzkę, która potrafi ciebie zastąpić?

Ale Marina wybuchnęła żalosaną skargą. Jest tyle lat przy córce principessy. Czuje się niemal jej piastunką, a po śmierci karlicy Dosi towarzyszką stała i wierną. Czy można się dziwić, że gniewa ją przypochlebianie się Zuzanny, że gorliwość w służbie wydaje się nieszczerą, może nawet podejrzaną? Doktor Lang... A więc tak. Rozmawiał częściej z Myszkowską niż z innymi może dlatego, że ta panna dobrze zna język niemiecki? Właśnie to nasunęło jej myśl, że królowie Zofii mogłaby służyć za tłumacza. Jak kiedyś Anna samej królowej po jej przyjeździe

na Wawel...

Królowa słuchała, nie przerywając tych wyznań ani słowem, ani częstym u niej pomrukiem: „stulta”. Widocznie tym razem nie uznała Mariny za głupią, chociaż przyglądała się jej uważniej niż zwykle. Ale przy wzmiance o Annie zmarszczyła brwi.

– Starczy! – rzekła. – Zuzanna do żony Ostoi całkiem niepodobna, ale może przydać się na brunświckim dworze. Będzie tam moim okiem i uchem. A teraz... Teraz idź i każ przygotować wszystko na wyjazd nasz i Zofii do Łomży.

– Którą z dworek przydzielić mam królownie? – spytała, już wychodząc, Marina.

– Właśnie Zuzannę. Ciekawam, czy dogodzi nowej pani? I czy tamta zechce zaliczyć ją do swojego ślubnego orszaku?

W Płocku i Wyszogrodzie bywała dwa razy do roku, zatrzymując się w zamkach dawnych książąt mazowieckich, ale Łomża gościła częściej księżnę Mazowsza. Może dlatego, że tam właśnie któryś z witających ją szlachciców powiedział to, czego domyślała się tylko: po inkorporacji Mazowsza do Korony przez Zygmunta Starego niezależna dzielnica uznała się za skrzywdzoną, pomniejszoną w swym znaczeniu. I dopiero ona, królowa Bona, jak dawni książęta z rodu Piastów, przywróciła nie tylko świetność, ale jakby odrębność temu księstwu. Wprawdzie wielkie dobra na Mazowszu należały zawsze do skarbu i Kościoła, ale liczna tu szlachta drobna i zaściankowa poczuła nad sobą znowu opiekę Warszawy, a nie Krakowa.

Kiedy dojeżdżały z Zofią do miasta, królowa kazała przystanąć i spytać pastuszka pasącego krowę w przydrożnym rowie, gdzie może zatrzymać się poczet możnego pana w tym mieście? Chłopak namyślał się chwilę, przyglądał się ciekawie dużemu orszakowi towarzyszącemu podróźnej kolasie, a wreszcie rzekł, że może burgrabia zechce wpuścić jaśnie wielmożnych do zamku królowej Bony?

Powiedział właśnie tak, nie inaczej i, gdy kolebka ruszyła w dalszą drogę, królowa zwróciła ku Zofii uśmiechniętą twarz.

– Słyszałaś? Tak nazywają wiele zamków zbudowanych przeze mnie, ale ten odnowiłam tylko, uczyniłam ozdobą grodu. I mówiąc o nim, nie wspominają o Piastach. Tu panią i władczynią jest Bona, królowa z rodu Jagiellonów.

Zofia nie widziała jej od dawna tak pogodną, tak pewną siebie. A gdy następnego dnia stanęły obie w otwartym oknie, przyglądając się ładownym statkom i łodziom płynącym Narwią, Bona stwierdziła nie bez dumy:

– Kiedym otrzymała od małżonka Mazowsze, wymogłam na nim zwolnienie kupców warszawskich od ceł, myt i opłat mostowych. August te przywileje musiał potwierdzić. I płyną Wisłą szlacheckie oraz kupieckie tratwy i statki ze zbożem, drzewem czy ze śledziami, a z samej Łomży Narwią z bydłem, rybami, woskiem i miodem. Wzbogaciły się od siedmiu lat oba miasta, które sobie upodobałam. Możesz i ty w Brunświku uczynić wiele, jeżeli potrafisz być księżną mądrą, zapobiegliwą i dbającą tyleż o dobro własne, co poddanych.

– Ja tak rządzić się nie umiem – westchnęła królowa.

– Tedy ucz się. Na przyszły rok będziesz już daleko stąd i tylko moje listy doradzą coś w chwilach trudnych. Ale teraz nie myśl o niczym. Patrz, jak czysta, jak niebieska jest rzeka Narew. Jak sprawnie płyną po niej do Wisły, a dalej do Gdańska szkuty, komięgi, dubasy...

– Miłościwa pani zna wszystkie te statki z nazwy? – zdziwiła się Zofia.

– Certo. Kto rządzi, musi wiedzieć, kim są jego podwładni, a kto skarb złotem napelnia, winien znać z nazwy i to, co zysk przynosi, i tych, co wożą albo spławiają dobra wszelakie za dukaty...

Stały jeszcze długo, patrząc na liczne statki i barki ciągnące z nurtem na północ. Szkuty oraz dubasy były po wręby napelnione zbożem, tratwy z płasko łączonych bali dźwigały skrzynie z towarami. Na wszystkich tych szkutach, komięgach i łodziach kręcili się ludzie rzeczni, a przejeżdżające pod zamkiem załogi witały go flisacką pieśnią. Do okna, w którym stała Zofia, dolatywały tylko poszczególne słowa i strzępy stroftek, ale jedno zdanie powtarzało się tak często, że zdołała je zapamiętać:

„Nie ma jak na flisie...”

– „Flis” – powiedziała zwracając ku matce roześmiane oczy. – Urodziłam się nad Wisłą, mieszkam w Jazdowie już od lat, a pierwszy raz usłyszałam tutaj to słowo.

– My zaś obie, kto wie, czy nie po raz ostatni – westchnęła królowa. – Tedy patrz. Widzisz tam, daleko, Puszcę Łomżyńską, w której polowałam jeszcze niedawno, przed ślubem Augusta z Katarzyną. A bliżej zamku Narew... Nie płynęłam po niej sama nigdy, ale uczyniłam ludnym gościńcem, rzeką spławną jak Wisła. Tak. To właśnie, na co nie ma nazwy w mowie italskiej, zowie się tutaj krótko i po prostu: flis...

Wracały inną drogą, wzdłuż Narwi, aby potem przeciąć ją i po ciężkich trudach dotrzeć do Ciechanowa. Zofia przestała pytać, po co, kiedy za niskimi zabudowaniami miasteczka przecięły nagle niebo dwie potężne, okrągłe baszty twierdzy. Wysokie mury, tworzące kwadrat, dobrze strzegły mieszkalnych pomieszczeń warownego zamku, a olbrzymi podwórzec mógł pomieścić niemało zbrojnych hufców.

Bona podprowadziła córkę ku jednej z wież, na której białął obok orła smok Sforzów. Uśmiechnęła się, widząc jej zdumienie.

– To zamek książąt mazowieckich. Zastałam tu suchą fosę, wyrwy w murach, zwalone blanki i komnaty książęce w ruinie.

– Miłościwa pani odbudowała to wszystko?

– Po wielu latach, si. Jak przedtem zamek Jagiełły w Sanoku. I teraz będzie tu, na mazowieckiej równinie, taka sama twierdza nie do zdobycia jak Krzemieniec, jak Bar.

– Prawda to – spytała nieśmiało Zofia – że w Krzemieńcu, jako że stoi na wysokiej górze,

zwanej już waszym imieniem, kazaliście doprowadzić wodę do zamku drewnianymi rurami?

Roześmiała się, potwierdziła.

– Kazałam tak uczynić, ale nie wierzyłam sama, że Chwalczewski i to potrafi. A on nie tylko naprawił wszystkie baszty, zrobił ze starego zameczku fortalicję, ale też doprowadził wodę i zmusił ją, by płynęła na sam szczyt góry. Ach, ta woda! Potrzebna i podczas oblężenia, i w czasie pokoju. Dlatego w Sanoku kazałam szukać jej poza zamkiem, dla podgrodzia, dla ludzi. I jest. Czysta, źródłana i tak smakowita, że nie trzeba już schodzić z wiadrami w dół, do Sanu. A miasteczko... Ono ma teraz także smoka w herbie.

– Czy mogę, miłościwa pani, zapytać o coś, o czym gadali na Wawelu?

Zdziwiła się, zmarszczyła brwi.

– Gadali o studni na górskim stoku?

– Nie... To jest tak – zmieszała się Zofia. – Mówili, że studnia jest na pół drogi między waszym zamkiem a... pana Kmity. I że on...

Dostrzegła znajomy błysk w oczach matki i zamilkła, ale tamta spytała:

– Cóż... on? Nie żyje już od dwóch lat.

– Tak, ale budował się zawsze w pobliżu waszych zamków. Tyle, że ów na sanockim wzgórzu jest pono wielgachny, widny z daleka.

Czekała długo na odpowiedź, a ta, którą otrzymała, była raczej ostrzeżeniem niż wyznaniem.

– Kiedy będziesz księżną Brunświku, znajdzie się niejeden z baronów czy dworzan, który rozmiłuje się w tobie. Na komnatach mogą zacząć o tym szeptać. To ludzka rzecz. Ale twoją rzeczą będzie nigdy, choćby tamten wydawał się tobie miłszy od starego małżonka, nie dać poznać, że tak jest. Niech kocha, miłowanie nie grzech. Kochać władcę winien każdy poddany.

– A jeśli...

– Nie może być żadnego „jeśli”. Powtarzaj za mną, w obliczu tego orła i smoka: Nigdy nie zapomnę o tym, że jestem poślubiona Henrykowi z Brunświku. I że płynie we mnie krew królów Polski, Aragonii, Neapolu i władców Mediolanu.

Zofia podniosła spuszczone oczy i po raz pierwszy w ciągu długiej podróży ujrzała twarz matki surową, usta bez uśmiechu zadowolenia i dumy, jakby zacięte w uporze. Dotknęła palcami herbowej tarczy Sforzów i wyszeptała, czując skurecz gardła:

– Zapamiętam.

Królowa podeszła zupełnie blisko. Nalegała:

– Mówisz, ale nie słyszę. Powtórz.

– Zapamiętam.

Chwilę milczały obie, po czym Bona odwróciła się i zaczęła iść powoli, jakby z trudem, przez wielki podwórzec. Przystanęła na jego środku wpatrzona w ubitą ziemię. Zobaczyła nagle siebie samą stojącą trzydzieści kilka lat temu w Bari przed Izabelą Aragońską i odpowiadającą matce na wszystkie jej zlecenia tym samym, nic nie znaczącym słowem:

„Zapamiętam”.

*

Posłowie Henryka Młodsze­go zjechali najpierw do Wilna, gdzie pertraktowali z Zygmuntem Augustem o wysokości posagu i liczbie dworzan przyszłej księżnej Brunświ­ku, po czym odbyć się miał ślub per procura na Mazowszu, w Warszawie. Odwieźć królowę podjął się biskup kujawski Jan Drohojowski. Starszą nad dworkami została Zuzanna Myszkowska. I to ona jedna – ku zdziwieniu królowej – żegnając swoją panią, rzekła ze łzami w oczach:

– Byłam szczęśliwsza tu, na Mazowszu, niż w Krakowie. I dobrze wiem, ile Jazdów i Warszawa zawdzięczają miłościwej pani. Szkoda, że nie mogę zostać tutaj...

– Szkoda – powtórzyła jeszcze ciszej królowa. – Ale jak marniały winnice na tej ziemi, jak wino z nich było cierpkie, tak cierpkie jest moje życie tutaj, w Jazdowie, bez dawnych przyjaciół i dworzan. Dla ciebie zaś lepiej, że rozejrzysz się po świecie, może zasmakujesz słodczy w owym pięknym rzekomo Brunświ­ku? A przy tym... Będę słała do was gońców. Napiszesz mi prawdę, którą zechce może zataić królowna Zofia: czy jest szczęśliwa? Czy ów Henryk nie okazał się zniedołężniałym, do niczego niezdatnym małżonkiem? Bo chciałabym, aby choć jedno z moich dzieci najstarszych było szczęśliwe...

Na skromne uroczystości ślubne zjechało do Warszawy owych dwoje pierwszych nieszczęśliwych. Z synem próbowała omawiać małżeństwo Katarzyny lub Anny z owdowiałym królem szwedzkim, ale August odłożył sprawę na później, „do jutra” – jak zgryźliwie orzekła królowa. Izabela natomiast zjechała z gorącą prośbą o poparcie u Ferdynanda: chciała razem z Janem Zygmuntem wracać po ślubie siostry do Siedmiogrodu. Jednakże przedstawiciele Wiednia, przybyli do Warszawy, nie widzieli możliwości ani jej powrotu na Węgry, ani wypłacenia obiecanych niegdyś sum.

Z tych wszystkich powodów zaślubiny nie były ani wesole, ani nawet huczne, ponieważ Bona zaraz po przywitaniu króla powtórzyła swoją groźbę wyjazdu do Italii, wbrew jego zakazom.

Zniechęceni do siebie nawzajem rozstali się wkrótce po to tylko, aby spierać się dalej ustami posłów słanych do Krakowa przez Bonę dzień po dniu. Jeden z nich zawiózł nawet tak ostre w tonie pismo, że Zygmunt August zaprosił do siebie na naradę krakowskiego biskupa. Zebrzydowski tego samego dnia stawił się w komnatach królewskich na Wawelu i usłyszał, stojąc jeszcze w progu, gniewny okrzyk Augusta.

– Nadszedł nowy list z Warszawy! Królowa matka upiera się przy zamiarze wyjazdu do Bari.

– A? I miłościwy pan da zgodę na podróż do Italii?

– Nie. Ale wiadomo: królowa nie ustępuje nigdy.

– Znane są przynajmniej powody tej upartej decyzji? – pytał biskup.

– Chyba tak. Chce utwierdzić się na księstwie Bari. Ponadto rozrządzić tymi sumami, które już przedtem wysłała do Neapolu. A wreszcie – wywieźć swój posag. Ponadto... Wam to tylko mówię. Kiedym ją widział po utracie nadziei na ojcostwo, rzekła mi, że nie może patrzeć dłużej

na to, co od losu cierpię. Aż tak mnie kocha!

– To jednak matka – mruknął Zebrzydowski.

– Och! Której miłość same nieszczęścia przynosi. Jej ulubieńcy – mówił z goryczą król – tak młodo zmarli: Alifio, Gamrat, Krzycki. A ostatnio krajczy Radziwiłł i Kmita, choć jeszcze krzepki. Wiśnicz pusty, ale i Wawel także pusty! Proszę! Rozejrzyjcie się wkoło. Tylko jej nieprzyjacioły zostały na placu: w Wiedniu król rzymski Ferdynandus, księżę Albrecht, a także oba Radziwiłły – Czarny i Rudy. Smok Sforzów, zaiste, pożera najbliższych, nawet rodzone dzieci.

– Kochała was. Może źle, ale gorąco – próbował łagodzić biskup.

Ale August podniecał się coraz bardziej:

– Niedobra to miłość, która niszczy i zubaża. Na miły Bóg! Widzicie przecież sami. Chce jechać, ale także pozbawić mnie wszystkiego. Potrzebne naszemu skarbowi – wciąż pustemu – dukaty na wojsko zaciężne, na Gdańsk, na budowę okrętów. I oto wyjeżdża uwożąc swój skarbiec. Kto wie, chce może dowieść, że bez niej kraj zginie? Może lęka się, że... zerwą się związki z Rzymem? Bo jeśli papież nie unieważni tych ohydnych ślubów, zostanie mi tylko jedno: jawny grzech. Czwarte małżeństwo zawarte w byle jakim luterskim zborze.

– Na miły Bóg! – krzyknął biskup.

– I to nie wy, nie wy, błogosławić będziecie polskiemu królowi, jeno jakiś minister protestancki! A może inny dostojnik, jeśli idąc za przykładem Henryka Ósmego ogłoszę się głową narodowego kościoła?

Ona to wie. Dlatego woli wyjechać, nie przykładając do tego ręki i patrzeć z daleka, jak walczę o przyszłość, o to, abym nie był z Jagiellonów – ostatni...

Zebrzydowski otarł chustką zwilgotniałe czoło.

– Mówiono mi, że naprawdę słabuje. Że wyjeżdża zniechęcona, rozżalona wielce...

– I gniewna – dorzucił. – Chce postawić na swoim: zubożyć mnie i kraj cały. Wywieźć wszystko, co zgromadziła w Jazdowie. Nie mam już sił do walki. Dlatego proszę, jedźcie wy, księżo biskupie.

– Ja? Dokąd?

– Do Warszawy. Byłem tam, ale nic nie uzyskał. Przemówcie do niej wy, biskup krakowski, jako do polskiej królowej. Była nią tak długo... Teraz, kiedy oczy wszystkich dworów na nas są zwrócone, wyjeżdżać nie może, nie powinna! Jeśli słabuje... I w Polsce są lecznicze wody, zioła. Medyków także starczy.

– Mam prosić, żeby została? – zdziwił się Zebrzydowski.

– Na Mazowszu – padła szybka odpowiedź.

– A jeśli... Jeśli zechce wrócić na Wawel?

– Nie! Nie! Nie! – krzyczał już August.

Biskup długo milczał, wreszcie rzekł:

– Zadanie wielce trudne. Ale, istotnie, próbować warto. Tedy cóż... Spróbuję.

Wyjechał natychmiast, ale gdy wszedł do jazdowskiego zamku, dostrzegł, że przygotowania do wyjazdu były już zaczęte: ze ścian zdjęto wszystkie opony, cenne makaty i tylko kobierce leżały jeszcze na posadzkach.

Królowa przyjęła biskupa uprzejmie, ale chłodno, i od razu poskarżyła się na syna: odmawia matce prawa do wyjazdu w rodzinne strony, do wygrzania w słońcu południa starych już kości.

Zebrzydowski starał się tłumaczyć, że warunki stawiane przez nią w listach są nie do przyjęcia, ale gdy upierała się przy swoim, rzekł:

– Na miły Bóg! I król, i wszyscy jego poddani wiedzą dobrze, że jeszcze nigdy żadna królowa z rodu Jagiellonów nie wyjeżdżała z Polski po śmierci małżonka. Wszystkie w Krakowie pomarły i tam pochowane zostały.

Stuknęła laską, z którą nie rozstawała się nigdy w zimne i śnieżne dni.

– Och! – rzekła. – Mnie jeszcze do trumny nie spieszno. Po prostu: przepłukać chcę gardło po goryczy, którą mnie w tym kraju napojono. Chore gardło. Ale na pochówek? Kto wie, może zdążę wrócić? I to do Krakowa?

Biskupowi brakło już argumentów, ale nie ustępował.

– Miłościwa pani! Nie może to być, aby królowa wdowa tak nagle ze swego kraju wyjeżdżała! Mówić zaczną na świecie, że Polacy jej „szanować nie umieli, że z nami wytrwać nie mogła. A przy tym... Jakie straty poniesie skarb koronny!

Zmrużyła oczy i uśmiech wykrzywił jej wargi.

– Tu was boli. Skarbiec... Ale basta! Basta! Nie wywożę niczego, co wasze. Ani uprawnych przestrzeni, ani nowo zbudowanych miast, twierdz, ani niezliczonych stad bydła i koni. Wszystko to zostawiam synowi w spadku! Biorę złoto i klejnoty, bo moje są, wniesione w posagu albo zebrane z waszych ugorów. Znalazłam szaraczków, ludzi rozsadał i nauczyłam ich działać. Tak, właśnie tak! Kto wam zabrania pracować jak oni? Jak ja? Bogacić się i rosnać, miast tylko narzekać i wykrzywiać? Dostyc mam waszego wielkiego krzyku! Nie zostanę tutaj. Nie czuję się już panią ani na Litwie, ani na Wawelu, a na Mazowszu zrobiłam wszystko, co mogłam. Teraz krew we mnie na starość stygnie, chrypka dręczy, muszę uciekać od ostrych zim. Tak twierdzi mój medyk, di Matera. Jadę do Italii wygrzać się na słońcu, ozdrowieć i nareszcie wypocząć. Riposare.

Zebrzydowski westchnął.

– Najjaśniejsza pani nie może tak zostawić córek, syna...

Roześmiała się jak z dobrego żartu.

– Och! To nie maleńkie dzieci. Obie córki tylko patrzeć, jak wyjdą za mąż, a syn... Wszystko miał ode mnie: miłość, klejnoty, nawet koronę królewską. A czym mi zapłacił? Podejrzeniami i nienawiścią. Wolał ufać swoim bezpłodnym żonom. I jeszcze teraz w niewolę chce brać! Kogo? Mnie? Reginae Poloniae?! Basta! Basta! Od niego nie zniosę słowa „zabraniam”. Nie jestem jego poddanką.

– Senat będzie chciał...

– On także? Zatrzymać mnie? Madonna santa! Jakżem wzruszona, że tyle bólu sprawia mój wyjazd całej Koronie i Litwie! Wszystkim sektorom i posłom! Pewnie nawet na sejmie gadać zechcą o tej podróży? I bene! Niech gadają. Niech król syn tak ujmuje się za chorą matką królową, jak ujmował się za Barbarą, swoją poddanką. Niech powie na głos prawdę o wawelskich bogactwach. Gdym tu zjechała, hetman wielki koronny skamlał o zaległy żołd, skarbiec był całkiem pusty, długów, że nie zliczyć, a wszystkie dobra królewskie – rozdrapane. Nawet brakło dukatów na posag dla siostry mojego małżonka i na wypłaty na przebudowę Wawelu. Zawsze brak, brak, w szkatułach pusto!

– Miłościwa pani, chyba jednak...

– Si, si! To nie ja, tylko poseł wenecki donosił cesarzowi w czas koronacji naszego syna, że „festyn był wspaniały, choć król polski wielce jest ubogi. Nie ma i stu tysięcy dukatów rocznie ze swoich dominiów”. Głupiec! W owe lata, kiedym co roku była w błogosławionym stanie, nie mieliśmy nawet tyle... Na armaty, na kobierce i makaty, na Zygmuntofską kaplicę dawał pożyczki Boner. Wielka część mojego posagu poszła na dary, na budowę zamków obronnych, na kupowanie stronników. Nie przeczcie! Wypominać nie chcę, ale wy także zawdzięczacie mnie wasze pierwsze biskupstwo! Skoro nikt nas nie słyszy, powiem: kupiliście je ode mnie.

Zebrzydowski zbladł, ale po chwili odparł z naciskiem, twardo:

– Kupiłem, bo było na sprzedaż.

Przez chwilę oboje oddychali ciężko, dławiąc się gniewem. Bona wybuchła pierwsza:

– Czemuż to wszyscy wówczas nie krzyczeli? Niech senatory i posły nie rozdzierają szat teraz, kiedy to moje ręce napełniły skarbiec Jagiellonów, kiedy to moje oczy wypatrzyły nieważne od lat nadania królewskie i dobra posiadane prawem kaduka. Kiedy to moje usta kazały pomierzyć przyznane mi ziemie, a te uszy, właśnie te, nie inne, słuchały pilnie raportów mierniczych, których przedtem w tym kraju nie było! Zzęłam, com posiała. Si! I więcej. Si, o wiele więcej! Mam tedy prawo zabrać, wyjeżdżając, mój posag i kupione lub otrzymane w darze klejnoty. Czemu nie mówicie, ile i co zostawiam? Czemu nie wspomni nikt, nawet słowem, pomiary włócznej? Sprawiedliwych sądów w sporach granicznych? Budowy tylu młynów, zamków i fortec obronnych? Bom niewiasta, tak? A tu mężom rządy niewieście nie w smak? Bom z rodu Sforzów i smoka mam w herbie? Bom nie chciała układać się z Wiedniem? Ani z wami? Ale to mnie, mnie zawdzięcza kraj utrzymanie pokoju z Turcją, którego nie chciał hetman Tarnowski. Czemu o tym milczycie, księżo biskupie?

Rozłożył bezradnie ręce.

– Podjąłem się, widzę, misji nie na moje siły. Tedy kończyć mi wypadnie: król da zezwolenie na wyjazd Waszej Królewskiej Mości tylko „wtedy, jeśli nie straci na tym skarb koronny.

Zaczerwieniła się, potem pobladła, ale zapytała z pozornym spokojem:

– To znaczy?

– Gdy najjaśniejsza pani nie zabierze więcej, niż przywiozła z Bari. I zrzeknie się wszelkich dochodów z tutejszych dóbr...

– Jak to? Dóbr darowanych jeszcze przez zmarłego małżonka? Oprawy polskich królowych? Nie! Nie! – stuknęła laską. – Nigdy! O Dio! To przecież zwykły rabunek!

– Jednakże Panowie Rada postanowili właśnie tak: miłościwa pani zrzeknie się owych intrat, a także i samych dominiów. Skoro wyjeżdża z Polski, nie może ich nadal ani posiadać, ani odstępować nikomu poza granicami kraju.

– Ależ to gwałt! Duszę się! Brak mi tchu... To bezprawie... Bezprawie!

Im głośniej krzyczała, tym bardziej stanowczo przemawiał biskup:

– Mam prosić przed wyjazdem o podpis na przygotowanych już dokumentach. Inaczej...

Cisnęła lichtarzem, który stał na jej biurku.

– No! Certamente no! Żadnych warunków i żadnych podpisów. Basta! Nie mówcie już nic! Pojadę i tak, za zgodą króla czy bez jego zgody. A rada ujrzą tego, co mnie hamować zechce!

– Cały naród... – zaczął Zebrzydowski, ale przerwała mu w pół słowa:

– Niewdzięczny naród i wyrodny syn! Och! Wyjechać, wyjechać stąd jak najprędzej! I myśleć odtąd już tylko o sobie!

– Co mam powtórzyć królowi? – zapytał po chwili.

– Właśnie te słowa: będę myślała teraz tylko o sobie! O sobie!

Wyjechał z zamku zaraz potem i zatrzymał się dla zmiany koni, a także krótkiego odpoczynku, w kamieniczce przy warszawskiej kolegiacie. Stamtąd pchnął umyślnego do Krakowa, że zjedzie na Wawel nie mieszkając; zdziwił się wielce, kiedy nazajutrz, w samo południe przybył goniec z Jazdowa z chłodnym, ale uprzejmym pismem Bony, zapraszającym go następnego dnia na obiad do zamku, który opuścił w takim pośpiechu.

Jednakże przed tymi drugimi odwiedzinami królowa zesłała z Pappacodą do podziemi i po otwarciu przez niego zamczystych, ciężkich drzwi, obrzuciła jednym spojrzeniem piwniczne wnętrze.

– Zapakować wszystko, co do jednej sztuki – rozkazała. – Srebra, obicia, makaty, kobierce. Zostawić tylko tę małą skrzynkę z kosztownościami. Dla Augusta. I jeszcze... tamtą szkatułkę. Dla Anny. A, kołyska... wciąż jeszcze tutaj, zakurzona, pusta... Nie! Nie! Kołyski nie zabieram. Ostawisz ją dla króla. Może w końcu znajdzie niewiastę, która urodzić potrafi? Ci głupi wróżbici na Wawelu! Żaden nie powiedział tego, co było jedynie ważne: że bliski jest koniec dynastii Jagiellonów w Koronie, a chyba także na Węgrzech...

– W Italii wróżą lepiej. Tylko, czy miłościwa pani jest pewna, że nas wypuścić zechcą? – pytał z niepokojem.

– Jestem pewna.

– Ale kto tego dokona? Jak? – nalegał.

– Santa Madonna! Ty nigdy nie rozumiesz! Dokonam tego ja. Ja sama, jak zawsze. Po prostu: przez noc zmieniłam zdanie. Podpiszę wszystkie zrzeczenia, których żądają senatorzy.

Ale potem, kiedy wrócę... zapłacą mi drogo za ten podpis.

– Ależ... – zdumiał się Italczyk. – Wszyscy myślą, że wyjeżdżamy na zawsze...

Parsknęła gniewnie.

– E allora? Niech, myślą. Niech sobie myślą! Teraz chcę wrócić do Bari. Zmierzyć się z Carolusem, uczynić to księstwo potężnym, bogatym. Muszę znowu tentare, sperimentare... Jak tu przed laty ugniatać, formować... Ale kiedy zjednam już sobie przychylność hiszpańskiego władcy i, być może, odzyskam wszystkie księstwa Sforzów, wtedy... Kto wie? Może powrócę? Jeszcze silniejsza i jeszcze bogatsza...

– Ale weźmiemy ze sobą tylko oddane sługi? – zapytał z niepokojem. – Marina nie ufała Myszkowskiej, mimo że...

– Nie lubiła też Anny – przerwała mu Bona. – Jest aż nadto zazdrosna. Ale bene, dobierz najpewniejszych ludzi.

– Nie wiem tylko, miłościwa pani – rzekł zafrasowany – jak przewieziemy tyle skrzyń? Za Wiedniem, w górach, ścieżki są przecież wąskie. Poszóstne wozy i karoce tamtędy nie przejdą.

– Muszą przejść! Poślesz przodem naszych pachołków. Niech skruszą skały, rozszerzą i naprawią drogi. Poprowadzi tabor starosta ostrołęcki Wilga. Ja wyruszę ostatnia.

– Kiedy?

– Jeszcze teraz. W pierwszych dniach lutego.

Przed wejściem do piwnic czatowała na Pappacodę Marina. Gdy Bona przeszła, spytała go szeptem:

– Nie chce? Nie podpisze?

– Deo gratias! – westchnął. – Zrzeknie się i podpisze, aby potem zadrwić z nich wszystkich.

Ale tam, w Bari, będzie czas...

– Na co?

– Na zmianę i tego jej planu, i wszystkich innych. Przyszłość smoka w moich rękach.

– Ktoś może wam przeszkodzić – szepnęła, rozglądając się na wszystkie strony.

– Nie będzie w Bari żadnej z jej dworek ani innych sług, prócz naszych. Od dziś mogę przestać się bać.

– Tedy pakować wszystko? – spytała.

– Zostawić tylko nagie ściany. I kołyskę.

Marina wzruszyła ramionami.

– Kołyskę? – spytała. – Po co? Ciekawam, po co?

Biskup Zebrzydowski rozkoszował się przy obiedzie włoskim winem o przedziwnym smaku. Bardzo rad z tak łatwo osiągniętego zwycięstwa dotknął ręką atlasowej teczki z podpisanymi już dokumentami i nie mogąc się powstrzymać od wyrażenia podziwu dla tej groźnej, gniewliwej monarchini, rzekł:

– Ośmieliłem się wspomnieć, że żadna z polskich królowych nie opuściła kraju, zostawszy

wdową. Pozwolę sobie dzisiaj na pewne sprostowanie: żadna ze zwykłych królowych, żon i matek. Ale miłościwej pani przysługiwałby tytuł inny: władczyni i mądrego statysty.

Wiedziała, że chwalił ją za złożenie podpisów na aktach zrzeczeń, chwalił za udaną misję własną. I już miała wyśmiać jego radość z odniesionego zwycięstwa, nazwać je pyrrusowym oraz przypomnieć słowa króla Epiru po rozbiciu Rzymian pod Herakleją: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a zostanę bez żołnierzy”. Si. Mogłaby rzec jak Pyrrus: „Jeszcze raz spróbujesz tak zwyciężyć, księżę biskupie, a zostaniesz bez moich podpisów”... Ale nie powiedziała nic, roześmiała się tylko.

– Z czego się śmieje Wasza Królewska Mość? – zapytał.

– Z tego – odparła – że trzeba było aż tylu lat moich rządów na Wawelu, na Litwie i w Warszawie, żebyście zdołali wykrzesać z siebie odrobinę podziwu dla Bony Sforza d’Aragona.

Roześmiała się znowu podnosząc do ust kielich z winem i biskup Zebrzydowski musiał przyznać w duchu, że podziwia ją nawet teraz za ten beztroski śmiech...

*

Zima owego roku była sroga, lutowy mróz skuł Wisłę lodem, a mimo to odłożyć wyjazdu nie chciała. Może dlatego, że nie zatrzymywał jej nikt, że wszystko, co mówił August ustami Zebrzydowskiego, nie płynęło z serca, było tylko utwierdzeniem jej w przekonaniu, że po odebraniu królowej praw do władania odzyskanymi królewsczyznami i nadaniami małżonka nie była groźna, nie była nikomu potrzebna. Córci?

Tylko Anna częściej wchodziła do jej komnat, jakby chciała zapamiętać matkę przed długim rozstaniem. Czy długim? Spytała o to, a Bona odpowiedziała szczerze:

– Nie wiem. Zobaczmy, co zdziałają tamtejsze wody i czy ja sama, zdziałam coś w Bari. Bo jak na pokucie siedzieć tam nie zamyślam, wiedząc, co jeszcze można by zrobić w Jazdowie i w samej Warszawie.... Choćby nawet senatorowie w Krakowie myśleli inaczej.

Ostatni wieczór spędziła z córkami oraz całym dworem, który zostawiała na zamku. Kazała zapalić wszystkie świeczniki, posadziła przy sobie Izabelę i oznajmiła, że gdyby ta nie mogła wrócić do Siedmiogrodu, zawsze znajdzie schronienie w Warszawie. Starła się mówić z ożywieniem, zagadywała dworki z uśmiechem, ale wszystkie rozmowy rwały się i gasły, pożegnanie wypadło jakoś sztucznie i niezręcznie. Nikt nie wystąpił z pożegnalną mową, nikt nie płakał ani nie przypadał do jej kolan. Tylko Anna, gdy królowa wręczała jej szkatułkę z klejnotami i ze srebrną zastawą, podniosła na nią załzawione oczy i zapytała znowu:

– Ale zobaczymy się latem? Najpóźniej jesienią, kiedy klony czerwienieją na skarpie?

Wiedziała, że matka lubiła przechadzać się wśród starych drzew, które zasadziła jeszcze księżna mazowiecka, matka Janusza, i pożałowała na chwilę, że nie prosiła nigdy, aby i ją zabrano do Bari. Teraz było już, za późno, zresztą była pewna odmowy. Czyż matka nie przypomniała, niedawno żartem, że musi wiele czytać i wiele umieć, skoro gwiazdy przepowiadały właśnie jej, Annie, że zostanie władcą wielkiej krainy? Bari było niewielkim

księstwem, teraz już nie dziedzicznym, musiała tedy czekać w Polsce, aż nastąpi to, co astrolog określił słowami: „Sic volunt astrae”...

Nazajutrz, skoro świt, wyruszyło z Jazdowa mnóstwo ładownych wozów ciągnionych przez szóstki i czwórki starannie dobranych koni. Na czele tego wielkiego taboru jechał pan Wilga, którego Bonie polecił Chwalczewski jako najbardziej pewnego ze wszystkich starostów.

Królowa pojawiła się na chwilę przed zamkiem, aby rzucić okiem na odjeżdżających, po czym weszła do kaplicy, gdzie ksiądz czekał na nią z mszą świętą. I to był już koniec. Wsiadła do podróźnej karocy z Izabelą, która chciała odprowadzić matkę aż do granic Śląska, w dalszych kolebkach usadowili się: medyk di Matera, Marina i Pappacoda, a w ostatnich – służba oraz italscy grajkowie z kapeli, powracający wraz z Boną do rodzinnego kraju.

Gdy pojazd ruszył, królowa odwróciła głowę i skinęła łaskawie ręką obu córkom stojącym na ganku. Patrzyła na nie długo, aż ich ciemne futra stały się niewyraźnymi punkcikami na tle ośnieżonych świerków przed domem.

– Niebożęta – szepnęła do Izabeli. – Ja byłam królową, najjaśniejszą panią, ty także. Ale one?

Nie wierzyła, by August zajął się teraz losem sióstr, ale i ona nie chciała już myśleć o niczym innym, tylko o czekającej ją podróży, o sobie samej, wyłącznie i tylko o sobie...



Sznur wozów przeciągał także przez wsie i ludzie stawali na skraju gościńca, dziwiąc się długości tego taboru. Kiwali głowami nad urodą koni i mnogością okutych żelazem skrzyń chronionych przed śniegiem płachtami ze skór lub mocnego płótna. Wilga jadący konno przed taborem coraz częściej marszczył brwi, chmurzył się i poganiał ludzi: prędzej, prędzej! Mają stanąć w Bari na dzień przed królową, aby zastała zamek przyozdobiony obiciami i kobiercami z Jazdowa. Nie wspominał nic o zawartości skrzyń, ale musiał myśleć o tym, co wiozł, coraz częściej, bo skrócił postój nocny i wczesnym świtem następnego dnia ruszył w dalszą drogę. Widać nie znał go dobrze pan Chwalczewski lub też przeciwnie, znając, wiedział, na co się może ważyć, bo po południu, gdy już zaczęło zmierzchać, starosta kazał zatrzymać się na olbrzymim podjeździe przed jednym z mijanych dworów i rozstawiwszy warty przy wozach, sam wszedł do wnętrza domu. Tam zaś, po przywitaniu się ze znajomym szlachcicem, przystąpił od razu ad rem, mówiąc:

– Pchnąłem do waszmość pana, do Górek, pachołka z listem. Tedy już wiecie, co wiozę?

– Niby tak – odparł gospodarz zajęty nalewaniem miodu do dwóch, srebrnych kubków.

– Mówię wam, aż wstyd prowadzić taki tabor. Pisałem prawdę: dwadzieścia cztery wozy naładowane srebrem i złotem, a przy wozach – sto czterdzieści cztery konie. Wszystkie przepyszne, z królewskich; stadnin!

– Wierzyć się nie chce. Takie bogactwo! – mruknął gospodarz.

– Tedy hamuj mnie, waszmość! – krzyknął starosta. – Na miły Bóg, hamuj! Rad dam się

zatrzymać. Jakem Wilga! Nawet palcem nie kiwnę, kiedy konie wyprzęgać zaczniesz.

– To byłby gwałt – mruknął szlachcic.

– A tamto: rabunek. Nie rozumiesz, waćpan? Wywożę poza granice skarb. Aż straszno o tym myśleć.

– Powiedzmy, wozy siłą zatrzymam. A co potem? – namyślał się gospodarz, sącząc powoli szlachetny trunek.

– Do lasku – coraz gwałtowniej nacierał Wilga. – Zakopiesz, a za jakiś czas odwiozę królowi. Sam odwiozę na Wawel.

– A ona? Kiedy tu będzie?

– Królowa? Jutro, może nawet pojutrze. Zdążysz. Przodem jadę prawie bez wypoczynku i moi ludzie gotowi za mną w ogień skoczyć.

– Ale ja za panem starostą do więziennego lochu wskakiwać nie zamyślam – mruknął szlachcic.

– Tedy jak? Hamujesz mnie, waćpan, czy też nie? – dopytywał się gniewnie starosta.

– A kiedyż straszno... Panowie Rada, słyszałem, zezwolili własny majątek zabrać, a ja ośmielę się? Nie, nie! Dosyć mam sądów i sąsiedzkich sporów! Ot, spróbuj waszmość namówić mojego sąsiada. Więcej pacholków ma i na większym dworze siedzi. Tu zaraz, za laskiem.

– Człowieku! – gorączkował się Wilga. – Toż to skarby prawdziwe! Jak pozwolić wywieźć tyle dobra z Korony?

– Ten mój sąsiad taki zadziorny, że na rabunek, dalibóg, nie zezwoli! – zaklinał się gospodarz.

Starosta wściekł się.

– A niech tę moją misję i was wszyscy diabli! – zakrzyknął. – Jak się zwie tamten?

– Topolski. Z Topolewa.

– Jadę. Bywajcie! Przez godzinę, dwie ostawiam wozy przed waszym domem. Odpowiadacie za nie głową!

Wskoczył na konia i z jednym tylko pacholkiem pogalopował w stronę pobliskiego lasku. Ale w Topolewie rozmowa nie była inna niż w Górkach. Pan Topolski przestraszył się tak, że zaczął namawiać do odstąpienia od szalonego zamysłu:

– Mówisz waćpan sam, że czego zażądali od niej, tego się zrzekła, a co w posagu przywiozła – wywozi. Jakżeby mógł przeciwić się woli samego króla, choćby nawet w tych skrzyniach było więcej złota? Jak to sprawdzić, jak tego dowieść? Jedź, waćpan, do Górek, tam może większego ode mnie desperata znajdziesz...

– Na miły Bóg! Toż właśnie stamtąd jadę!

Topolski rozłożył tylko ręce i pan Wilga wypadł przed dom, wołając wielkim głosem:

– Tchórze, nędzne tchórze! Same niezguły! Zdrajcy! Zabrał wozy sprzed dworu w Górkach nie pożegnawszy się nawet z jego panem i do granicy śląskiej parę razy jeszcze próbował postawić na swoim. Błagał właścicieli większych dominiów, aby zakopali skrzynie, a

przynajmniej ich część.

– Hamuj mnie, waćpan! – powtarzał z determinacją, z uporem, nawet z gniewem, ale zawsze bez skutku.

Jedni zasłaniali się obawą przed jadącą za taborami królową, inni kłótnią z sąsiadem, który gotów podpatrzeć i o chęć rabunku oskarżyć, wreszcie byli i tacy, którzy odpędzali się od Wilgi jak od złego ducha. Im bliżej granicy śląskiej, tym mniej było ludzi gotowych narażać się dla wzbogacenia króla, aż w końcu, pieniać się z bezsilnego gniewu, Wilga musiał ową granicę przekroczyć i ruszyć w stronę gór.

Podróż do Wiednia była ciężka i długa, Marina na wszystkich postojach nie przestawała skarżyć się na dojmujące zimno. Ale musiała je znosić aż do końca lutego, kiedy to orszak wraz z taborem dotarł do zamku rzymskiego króla. Było to ustępstwo ze strony Bony uczynione z myślą o Izabeli i tylko dlatego przyjęła zaproszenie doręczone jej na granicy przez królewskich posłów.

Ferdynand przyjął swojego dawnego przeciwnika tak, jakby się bawił ze zmiłą, którą sztuka medyczna czy też przypadek pozbawiły jadowych zębów. Był przesadnie uprzejmy i, chociaż nie uzyskiwała zgody na powrót córki oraz wnuka na Węgry, wręczył jej przy pożegnaniu pismo wyrażające podziw dla umiejętnego i szczęśliwego załagodzenia przez nią sporów między habsburskim dworem a Zapoljami.

Powiedziała do Pappacody, który jechał teraz w jej karecie, że Habsburg ośmielił się z niej zadzwic i, wychyliwszy się z okna, zaczęła drzeć pięknie ozdobiony pergamin.

– Myśli, że już nic nie znaczę! Ale piano, piano! Myli się. Jeszcze teraz mogę zawrócić z drogi, unieważnić wszystkie dane Zebrzydowskiemu zobowiązania i znowu wesprzeć Izabelę w jej walce o Siedmiogród.

– Lecz miłościwa pani tego nie uczyni? – pytał Pappacoda, patrząc z niepokojem na wylatujące z karocy szczątki pochwalnego pisma.

– Perché? – spytała krótko.

– Przebyliśmy taki szmat drogi... Będziemy już za miesiąc w Padwie, a marzec w Italii jest tak słoneczny, tak ciepły, że najjaśniejsza pani zacznie tam mówić jak dawniej, głosem donośnym i dźwięcznym.

Spojrzała na niego z ukosa, ale ponieważ musiała przyznać, że podróż w czas chłódów i przenikliwych wiatrów wzmogła jej chrypkę, zasunęła gwałtownym ruchem opuszczone okno.

– Bene! – rzekła. – Dojedziemy przez Padwę i Wenecję do Bari. Ale stamtąd, po ugłaskaniu Carolusa wyślę do Ferdynanda równie zjadliwe pismo. Niech wie, że nie pozbył się mnie na zawsze. No! Ancora no!

Pappacoda skulił się, jakby sam za chwilę miał otrzymać cios, i nie próbował już podtrzymać rozmowy. Wiedział, że Ferdynand popełnił błąd, i zastanawiał się, czy potrafi wymazać go z pamięci królowej. Tylko że... Santa Madonna! Cóż za niewiarygodną pamięcią obdarzona była ta gniewliwa córka Sforzów! Na najbliższym postoju każe zagrać italskiej kapeli. Może muzykanci

potrafią złagodzić gniew Bony i rozpędzić chmury na jej czole?

Marzec w Padwie był już zapowiedzią lata. Ze śnieżnych równin i gór wjechali w krainę rzek o czerwonych wodach i kwitnących owocowych krzewów. W karecie zrobiło się nieznośnie duszno i królowa przesiadła się do wspaniałej otwartej kolebki, która przeznaczona była na uroczysty wjazd do Bari. Jednakże i tutaj przejazd przez każde miasto miał charakter uroczysty. Orszak musiał stawać, królowa słuchała cierpliwie mów biskupów, burmistrzów, ludzie tłoczyli się, wszyscy chcieli zobaczyć z bliska władczynię północnego państwa, wszyscy chcieli słyszeć odpowiedzi Bony w ich rodzinnej mowie włoskiej.

W Padwie za triumfalną bramą powitali ją biskupi, liczni dostojnicy świeccy i wielka rzesza studentów z rektorem na czele. Nacja polska z czerwonymi piórkami na biretach wiwatowała najgłośniej na cześć królowej, a jej przedstawiciele, po krótkiej łacińskiej oracji, wyrazili chęć towarzyszenia Bonie aż do Wenecji. Ruszył tedy z Padwy po dwóch dniach odpoczynku orszak większy i wspanialszy, królowa bowiem i jej dworzanie po zrzuceniu futer jechali już przybrani w aksamity, w atłasy, strojni, a tak barwni, że chłopci wychodzili z zagród i chat, żeby podziwiać wspaniałość kolebek oraz długi wąż ładownych wozów ciągnących przed nimi. Ale pan Wilga otrzymał rozkaz, by trzymać się blisko podróżnych karet tylko do gościńca idącego wprost na południe, królowa bowiem chciała z Wenecji dojechać morzem do portu w barijskiej zatoce.

W ładowej podróży miał towarzyszyć mu jeden ze studentów padewskiego uniwersytetu jako tłumacz i kompan, a dygnitarze miejscy przydzielili taborowi konwój zbrojnych dla bezpieczeństwa oraz ochrony cennych skrzyń.

Starosta ostrołęcki nie miał już komu nakazywać „Hamuj mnie, waćpan!”, a że kraj był piękny, słońce grzało w miarę, włoskie wino było lepsze od piwa i miodu, rozchmurzył się i postanowił, nie mędrkując, czynić tylko to, co mu przykazano.

Doża wenecki przyjął królową Poloniae z przepychem tak wielkim, jakby wciąż jeszcze była władczynią Korony i Litwy. Strojne signoriny weneckie z najstarszych rodów przypląwały po nią w złoczonej galerze o purpurowych siedziskach, aby najpierw przewieźć po najsłynniejszych z urody kanałach, a potem zostawić do wieczora w pałacu margrabiego Ferrary.

Marina zastała ją stojącą przy oknie, wpatrzoną w oświetlony zachodzącym słońcem plac Świętego Marka.

– Czas ubierać się na ucztę u doży, miłościwa pani – ośmieliła się przypomnieć.

– Czas cieszyć się, że pod koniec życia Bóg pozwolił mi raz jeszcze podziwiać piękno tego miasta. Santa Madonna! Jak złoci się powierzchnia kanału... Jak wspaniała jest bazylika Świętego Marka! Może tego wieczoru potrafię zapomnieć o wszystkim, co nie jest perłą Adriatyku, Wenecją!

Ta uczta była jedną z najwspanialszych, jaką kiedykolwiek wydano na jej cześć. Siedziała na honorowym miejscu między dożą a nuncjuszem papieskim, naprzeciwko niej zasiadł wysłannik hiszpańskiego króla. Zdziwiła się, że doża nie nazwał owego dostojnika przedstawicielem

cesarza, ale wyszło na jaw, że w czasie jej długiej, przeszło dwumiesięcznej podróży, Carolus „zachorzał na pokorę”, jak ostrożnie określił to doża, i osiadł na pokucie w jednym z klasztorów, aby odbyć w kwietniu wielkanocne rekolekcje. Co zamyśla, trudno odgadnąć, wiadomo tylko, że tego władcę, w którego państwie nie zachodziło słońce, znużyła własna wielkość. Zrzekł się przed miesiącem cesarskiego tytułu na rzecz brata, rzymskiego króla Ferdynanda, Hiszpanię natomiast wraz z Niderlandami, ze zdobytą częścią Italii oraz Nowego Świata przekazał swemu synowi Filipowi.

Wiadomość ta zgasiła całą radość, z jaką Bona zasiadła do uczy. Znała Carolusa, liczyła, że władając niemal połową Europy, nie będzie upierał się przy tak niewielkich księstwach, jak Bari i Rossano. Gotowa była nawet na pewne ustępstwa, na przepłacenie jego doradców, teraz jednak stanęła wobec zagadki: jakie są zamierzenia Filipa? Jedno wydawało się pewne: ten, kto ma tylko tytuł hiszpańskiego króla i mniej znaczy niż nowy cesarz Ferdynandus, nie tak łatwo zrezygnuje z lennego hołdu dziedzicznej principessy Bari ani też z samego księstwa.

Zauważyła jednak, że nuncjusz papieski nie odezwał się ani słowem do siedzącego naprzeciw posła Filipa i zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegał jego obecności ani przy stole, ani przy późniejszej rozmowie w mniejszym gronie, w prywatnych komnatach doży. I tegoż jeszcze wieczoru, tuż przed północą, wezwała do siebie Pappacodę.

– Siedziałeś daleko ode mnie, ale widziałam, jak żywą toczyłeś rozmowę ze swoim smagłolicym sąsiadem. Czegoś się dowiedział?

– Sporo – przyznał Italczyk. – Ten dostojnik to hrabia Broccardo z orszaku nadzwyczajnego posła hiszpańskiego króla. Filip przysłał ich obu nie tylko dla przywitania miłościwej pani na ziemi jej ojców, ale także dla skłonienia weneckiego doży do zawarcia przymierza przeciw papieżowi Pawłowi Czwartemu.

– Oszalał? – zdumiała się Bona.

– Nie tak jak jego dostojny ojciec. Pragnie nowych podbojów, a nie wyrzeczeń.

– Szykuje nową wyprawę?

– Nie inaczej. A do walki potrzebuje zarówno pieniędzy na wojsko zaciężne, jak poparcia doży. Ów grand hiszpański interesował się bardzo taborem, który z Padwy wyruszył wprost do Bari.

– Moim taborem? – powtórzyła Bona, ale bez zdziwienia. Namyslała się chwilę, wreszcie spytała:

– Chcesz przez to powiedzieć, że moje złoto przydałoby się teraz Filipowi?

– Najjaśniejsza pani zgaduje w lot, co myślą inni – przyznał.

– Myślałabym to samo na jego miejscu, ale to nie znaczy, że łatwo uzyska to, czego pragnie.

A nuncjusz papieski? Wiesz, czemu udawał, że nie dostrzega hiszpańskiego posła?

– Ponieważ, jak twierdził Broccardo, zanim Filip wyruszy na podbój południowej Francji, chce przy pomocy Wenecji opanować Rzym. Miłościwa pani myślała o jednej wojnie, a zanosi się na dwie.

– Madonna santa! – westchnęła. – Chciałam leczyć się i odpoczywać w Italii. A widzę, że będzie tutaj jeszcze mniej spokojnie niż w Polsce...

Tej nocy spała źle, słyszała we śnie to stuk kopyt koni ciągnących jej skrzynie ze złotem wzdłuż półwyspu, to znów brzęk oręża i zgiełk bitwy. Carolus... Może miał słuszość, wycofując się w ciszę klasztornych murów? Władza nie dała mu szczęścia i nie pozwoliła zaznać spokoju. A złoto? Czy posiada taką moc, aby uczynić człowieka spokojnym, szczęśliwym? Usnęła, kiedy zaczęło świtać. Słońce... Przyjechała tu, aby wygrzać się w jego promieniach, pić uzdrawiające ciepło wody... Tedy basta! Pojedzie do Bari i tam dopiero zastanowi się, po czyjej stronie. Bo, że nie pozwolą jej stać na uboczu, tego była już pewna...

*

Port Bari ustroił się w dniu przyplłynięcia statku królowej w girlandy zieleni, kwiaty i chorągwie. Zanim wysiadła, patrzyła przez długą chwilę na łagodny łuk rybnej zatoki, jak zwał ją w swych pieśniach Horacy, i na lwa św. Marka stojącego na środku piazza. Miał przypominać mieszkańcom Bari, że z górą pięćset lat temu Saraceni zagrozili temu miastu i że odsiecz Wenecjan przysła od strony morza, odsiecz tak skuteczna, że wróg pierzchnął w popłochu. Doża Lorenzo Priuli... Niedawno widziała takiego samego lwa przed jego pałacem i była podejmowana, zgodnie z tradycją, jako księżna zaprzyjaźnionego, ocalonego niegdyś kraju. Teraz Filip Drugi, król Hiszpanii, liczył na podobną pomoc Wenecjan w walce przeciw papieżowi. Jak niełatwe będzie podjęcie przez nią decyzji: poparcie Wenecji dla spłacenia długu wdzięczności, czy też papieża dla uzyskania unieważnienia ślubów Augusta?

Jeszcze rozmyślała nad tym, a już musiała schodzić na ląd, uśmiechać się do wiwatujących tłumów i całować relikwiarz z prochami świętego Mikołaja podsuwany jej przez biskupa Bari strojnego w pontyfikalne szaty. Ucałowała święte relikwie i spozjrzała uważniej na kościelnego dostojnika. Ależ tak, to był dawny znajomy sprzed lat, ksiądz spowiednik principessy matki!

– Monsignor Bitonto Musso? – spytała z nadzieją w głosie, a gdy pochylił głowę na znak potwierdzenia, mówiła zdumiona wielce:

– Santa Madonna! Jakże daleko zaszedł młody wikary żegnający mnie przed laty w naszej zamkowej kaplicy!

Odpowiedział z uśmiechem:

– O wiele wspanialszą drogą miłosierny Bóg pozwolił kroczyć władczyni Bari, principessie Bonie...

Zmarszczyła brwi, nierada temu przywitaniu.

– Principessa? – powtórzyła. – No! Zostałam władczynią wielkiego północnego mocarstwa i do dziś noszę tytuł regina Poloniae.

Teraz wraz z biskupem skłonili głowy wszyscy otaczający go dostojnicy kościoła i świeccy, a Musso szepnął:

– Darujcie, miłościwa pani. I pozwólcie, że przypomnę innego znajomego, dworzanina

zmarłej principessy Izabeli: oto signor Antonio Villani, burgrabia Bari i Rossano od trzydziestu ośmiu lat.

Villani, krzepki jeszcze mimo dawno ukończonej sześćdziesiątki, wystąpił naprzód podając królowej na tacy dwa symboliczne pozłacane klucze.

– Umierając, principessa poleciła mi dbać o zamek w Bari i przekazać Waszej Królewskiej Mości nienaruszone dobra Sforzów – rzekł.

– Grazie, grazie! Zachowałam was w pamięci jako wiernego sługę mojej matki – odparła biorąc tackę i podała ją odruchowo Pappacodzie stojącemu z boku, krok za nią. Rozejrzała się wokół i widząc w tłumie same obce twarze, spytała:

– Czy któryś z tych witających jeszcze mnie pamięta?

– Chyba tylko Gaetano – usłyszała odpowiedź burgrabiego. – Odsuńcie się, dajcie mu przejść. To on uczył Waszą Królewską Mość montare a cavallo.

Tłum rozstał się i do Bony podszedł człowiek już stary, ale jeszcze tak sprawny, że zgiął przed nią kolana. Na jego widok Bona rozłożyła ręce:

– Gaetano! Mój dawny masztalierz! Kiedy pierwszy raz spadłam z konia, odważył się roześmiać. On jeden. Pamiętasz?

– Si! – przyznał. – Ricordo. Ukarano mnie za to.

– I słusznie. Giustamente. Nie wolno śmiać się z władców!

Podawała mu dłoń do ucałowania, po czym wsiadła wraz z biskupem do obitej purpurą kolaski. Ruszyli przodem w stronę zamku, za nią jej dwór i miejscowi dygnitarze. Biły dzwony w całym mieście, wtórowały im fanfary, łopotwały chorągwie z herbem Sforzów – smokiem trzymającym dziecię czy też Saracena w pysku. Po powrocie z Wenecji była skłonna przypuszczać, że raczej Saracena...

Zamek był blisko, górował potężną bryłą ciemnych murów nad niebieską zatoką. Gdy karoca wjechała na dziedziniec, rozzwoniły się dzwony kaplicy i na szczycie baszty zawisła rodowa flaga książąt Bari.

Królowa stanęła przed zamkiem bardziej wzruszona, niż chciała to okazać. Patrzyła na szerokie schody, po których miała za chwilę wejść do wnętrza, na baszty zamkowe, a wreszcie na ogród, tak niepodobny do bujnych, nieco zdziczałych parków Niepołomic, Łomży i Płocka. Aleja oleandrów w rozkwicie, tuje i kunsztownie strzyżone krzewy, a zamiast majowych bzów Jazdowa – czerwień róż i fiolet clematisów pnących się po rzeźbionych słupach...

Dostojnicy milczeli czekając na pierwsze słowa tej, która ujrzała dom swojej młodości po prawie czterdziestu latach, ale zawiodła wszystkich.

Powiedziała tylko:

– Finalmente! Bari... – i zaczęła wchodzić wolno po schodach w górę.

Tuż za nią szedł biskup Musso, a za nim Villani z Pappacodą, niosącym tacę z kluczami. Burgrabia namyślał się chwilę przed drzwiami, kto ma wejść pierwszy, ale skarbnik królowej, choć wiekiem młodszy, bez żadnego wahania minął go i przekroczył przed Villanim zamkowe

progi.

Po powitaniu domowników i służby, którzy czekali na nią w wielkiej sieni, królowa przyjęła na krótkiej audiencji biskupa Bari i burgrabiego Villani, wracając od razu do spraw, które niepokoiły ją od chwili opuszczenia Wenecji.

– Dopiero w pałacu doży – mówiła – dowiedziałam się o abdykacji Carolusa. O Dio! Władać jak on państwem Habsburgów, w którym nie zachodziło słońce, i podzielić je? Oddać bratu tytuł cesarza i ziemie niemieckie, a synowi zostawić tylko królestwo Hiszpanii?

– To niemało – ośmielił się inaczej ocenić sytuację biskup. – Filip otrzymał także Niderlandy, Mediolan, Królestwo Neapolu, Sycylię i Peru z Meksykiem.

– Ale jedyny syn nie został cesarzem? Perché? Ja dla swojego syna marzyłam o tym, aby nazwany Augustem rządził nie tylko Polską, ale jako dziedziczny władca także Litwą i Masovią.

– Pragnienia spełniają się nie zawsze – westchnął Musso.

– Moje Si – upierała się. – Chciałam dać dynastii Jagiellonów następcę tronu i upewniły mnie gwiazdy, że nie zawiodę nadziei króla małżonka...

– Ale rex Sigismundus nie został dziedzicznym księciem Masovii.

– Och tylko dlatego, że ta ostatnia dzielnica piastowska musiała być wcielona do Korony. Walczyłam jednak do ostatka! Biskup Dantyszek, nasz legat na dworze cesarskim, nie wspominał o tym będąc w Bari? Dziwne bo to była wtedy sprawa głośna... I świadczyła o tym, że chciałam dla Augusta, aż tyle, a tymczasem Carolus nie pragnął cesarskiego tytułu dla swojego syna.

– Może dlatego – wtrącił się Pappacoda – że Hiszpania leży na uboczu i że trudno z Madrytu rządzić całą Europą?

– Nie pytam was o zdanie – skarcił go. – Stosunki tutejsze znają lepiej dostojni panowie. Słucham uważnie, eminencjo.

Biskup Musso rozłożył ręce.

– Bari, małe księstwo lenne, nie gościło nigdy zaufanych Carolusa. Przyjeżdżali tutaj jego komisarze, cesarscy namiestnicy z Neapolu, i to wszystko. Zamiarów Habsburgów nie da się przeniknąć...

– Czyż tak? Ja jednak nie przestanę starać się o to – rzuciła już niecierpliwie. – Widziałam, jaką siecią intryg oplatał nas dwór wiedeński przed laty. I zawsze ostrzegałam króla.

– Mam nadzieję, że miłościwa pani nie okazała podobnej niechęci cesarzowi Karolowi? Ani poseł Dantyszek, ani signor Alifio składający w waszym imieniu hołd lenny w Madrycie nie wspominali o tym.

– Po śmierci principessy hamowałam gniew, aby ratować Bari i Rossano. Ale ilekroć Carolus próbował wymóc na mnie zrzeczenie się italskiego dziedzictwa, mówiłam twardo: no! Starczy, że nasza rodzina utraciła kiedyś Mediolan i Neapol! Nie zapomnę nigdy, że mój dziad był neapolitańskim królem i że jestem ostatnia z rodu Aragonów, władców neapolitańskich.

– Czy to znaczy, że teraz, po przybyciu waszej miłości do Bari, coś się tu zmieni? – zaniepokoił się biskup. – Że mamy odnosić się inaczej do namiestników i legatów hiszpańskiego

króla?

– Filip to Habsburg – odparła. – A te ziemie Sforzów powinny po moim życiu...

– Najdłuższym – wtrącił Villani.

– Oby najdłuższym... dostać się mojemu synowi. Zrobię wszystko, aby August przekonał się, że matka dbała o jego splendor więcej niż Carolus pozbawiający syna tytułu cesarza.

– Zwierzchnikiem kościelnym Bari jest kardynał Neapolu – zauważył Musso. – Otóż dotarła do mnie plotka, że w wypadku zrzeczenia się praw do księstwa Bari przez miłościwą panią, prosilby króla Filipa o nadanie tego lenna jemu.

– Perché? Jakim prawem? – obruszyła się.

– Może to tylko plotka? – wycofywał się biskup. – Ale jeżeli kardynał zapyta mnie o plany polskiej królowej, co mam rzec?

Odparła już gniewnie:

– Że Bona Sforza d'Aragona przyjechała tu nie tylko leczyć gardło, ale także odnowić zamek, który spleśniał pod opieką komisarzy hiszpańskich władców. Że nigdy, przenigdy nie odda Bari Habsburgom! A kardynał nie uzyska nic, choćby się za nim wstawił sam ojciec święty, w co wątpię.

Biskup przerzucił się spojrzeniem z Villanim, po czym zapytał:

– To miłościwa pani nie wie, że neapolitański kardynał jest z rodu Caraffów?

– A cóż to ma do rzeczy? – zlekceważyła tę wiadomość.

– Chyba o tyle ma – wyjaśnił – że osiadły od roku w stolicy Piotrowej papież Paweł czwarty to Gian Pietro Caraffa.

Patrzyła na swoich gości zdumiona, wstrząśnięta. Zetknęła się zaraz po przyjeździe z gąszczem trudnych do rozwikłania spraw i interesów zupełnie sprzecznych z jej własnymi. Westchnęła, ale oczy jej błysnęły.

– Myślałam, że będę tutaj dbać o siebie i riposare, riposare, a słyszę o zakusach nie tylko ze strony Filipa, ale także jakiegoś tam kardynała, krewniaka papieża. Per Bacco? Czuję, że krew zaczyna krążyć w moich żyłach tak żywo, jakbym poskramiała narowiste konie!

– To może skończyć się walką, jak w Polsce z wiedeńskim Ferdynandem – zauważył Musso..

– E alliora? – krzyknęła, – Walka to mój żywioł! I mam nadzieję, że stoczymy ją razem, że znajdę w was sprzymierzeńców. Radam wielce z uroczystości powitania – dorzuciła po chwili. – To wruszające zobaczyć po tylu latach dom młodości i dzieciństwa. Prawda! Gaetano... Chcę mieć tego masztalera i sługę mojej matki przy sobie.

– Czyż nie jestem najwierniejszym, stale obecnym sługą najjaśniejszej pani? – próbował sprzeciwić się Pappacoda, ale Bona odparła, wstając:

– Doradca to inny rodzaj sługi. Jak na pierwszą rozmowę powiedzieliśmy sobie dosyć. Czas wypocząć po długiej podróży. Żegnam eminencję i was, burgrabio. Nie wątpię, że zobaczymy się znowu już w dniach najbliższych...

Nazajutrz obeszła niszczący zamek oraz obejrzała kaplicę. Po przyklęknięciu przed

obrazem świętego Mikołaja, zwróciła się do towarzyszących jej Villaniego i Pappacody.

– Teraz, kiedy jestem w zamku, trzeba będzie wszystko odnowić, a także pozłocić ołtarz patrona Bari. Chcę tu przebywać w blasku świec płonących w wielu świecznikach i w dymie kadzideł jak w katedrze na Wawelu.

– Na to potrzeba dużo złota – zauważył skarbnik.

– Przywiozłam go dosyć – zgromiła go – aby ozdobić te mury. Santa Madonna! Widzę je znowu! A przed laty mówiłam do principessy Izabeli, że nigdy już tutaj nie wejdę.

– Nie pojmuję, dlaczego? – spytał Villani.

– Bo nie myślałam, że ja, polska królowa, będę zmuszona opuścić Kraków. Ale wracajmy do zamku. Zastałam go tak pustym jak niegdyś Jazdów, ale Deo gratias mam czym przyozdobić i te komnaty. Czy Wilga doprowadził cały tabor w należyтым porządku? Tak? Tedy daję wam, signor Pappacoda, jeden dzień na wyładowanie wozów i przeniesienie skrzyń do tutejszych lochów.

– Wedle rozkazu najjaśniejszej pani... – odparł.

Przeszła się jeszcze po ogrodzie, ale skończywszy przegląd rodowej siedziby, westchnęła.

– Dziwne wydaje mi się po latach niebo Italii, zupełnie gładkie, bez obłoków. Jednakże... I tutaj nadciągają chmury, choć zgoła inne. Pewność Filipa, że uzyska ode mnie to, czego odmawiałam uparcie jego ojcu. Pretensje Caraffy... Chociaż, kto wie? Jeżeli król Hiszpanii wraz z dożą wyruszą przeciw Rzymowi, kardynał Neapolu musi stanąć po stronie swego krewniaka – papieża. A wtedy stałby się moim sprzymierzeńcem, nie wrogiem.

– Czy mógłbym w tej sprawie coś działać już teraz? – spytał Pappacoda.

– Może... – odparła po chwili namysłu. – Zastanowię się nad tym po objechaniu z Villanim ziem księstwa. Muszę zobaczyć sama, co zniszczyli tutaj komisarze cesarscy, a czego nie dopilnowali moi słudzy.

Odjechała nazajutrz z samego rana, a Marina, stojąc przed frontonem zamku wraz z Pappacodą odprowadzającym królową do karocy, spytała ze zdziwieniem w głosie:

– Tak zawsze przenikliwa, nieufna i nie domyśla się?...

Ale skarbnik Bony patrzył w ślad za pojazdem i zaprzątnięty jedną tylko myślą, mruknął:

– To nie Polska, tylko Bari. I niech ten starzec nie sądzi, że oddam mu klucze, które przy powitaniu rzuciła mi królowa.

– Pytałam o sprawy ważniejsze – nalegała Marina. – Ona naprawdę nie domyśla się, że po rozmowach w Wenecji poseł hiszpański liczy na was jako na sojusznika króla Filipa?

Pappacoda rozejrzał się wokół i odpowiedział szeptem:

– Mówcie ciszej. O tym nie wie nikt prócz nas dwojga. Dawajcie też baczenie na dawnych dworzan i sługi principessy. Będą niechętni nam, dla nich już obcych.

Skinęła głową.

– Certo. Ich niechęć czuję już teraz, ale dam sobie radę z dworem, baczenie tylko, aby Gaetano nie stał się takim jej cieniem jak karlica Dosia.

– Cieniem, cieniem – zamruczał gniewnie Pappacoda. – Dla mnie ważniejszy jest od cienia żywy człowiek, burgrabia Villani.

Tego samego dnia królowa stwierdziła przy wieczerzy:

– Objechałam część moich włości. Santa Madonna! Jakże teraz wydają się one...

– Jakie? – zapytał niespokojnie Pappacoda.

– Małe – odparła z żalem. – Ani tu borów dziewiczych, ani bezkresnych pól i łąk... Wszystko ugłaskane, ujarzmione ręką ludzką i... małe. Szkoda, że tak żałośnie małe.

– Ten zamek to nie Wawel – mruknął Italczyk.

– Teraz – sprostowała. – Ale każę upiększyć go makatami, kobiercami i sprzętem przywiezionym z Mazowsza.

– Miłościwa pani wyda ten rozkaz burgrabiemu Villanemu? – zapytał. – I będzie miał dostęp do przywiezionych skrzyń? A także do naszego złota, które wysyłałem z Krakowa do bankierów Neapolu?

– Naszego? – obruszyła się. – Dlatego, żeś w Polsce miał pieczę nad moim skarbem?

Spokorniał i zaczął się tłumaczyć:

– Myślałem o złocie najjaśniejszej pani, o którym Villani nic nie wie.

– Bene. Rozmyśliłam się – rzekła po chwili. – Zliczysz i rozpakujesz część skrzyń sam. Za kilka dni pojedziesz do Neapolu.

– Jako kto? – zdziwił się. – Burgrabią Bari jest Villani. Ja znowu jestem przy nim nikim, jak przy Alifiu.

– Kiedyś w Krakowie mówiłeś podobnie. Niech będzie. Pojedziesz wybadać, co myśli o planach Filipa kardynała Caraffa, jako mój skarbnik i burgrabia Bari. Ale Villani dowie się o tym dopiero po twoim powrocie.

– Wdzięczność moja... – zaczął Pappacoda, lecz nie dała mu skończyć.

– Liczę na nią. Wytłumaczysz kardynałowi, że nigdy nie oddam Habsburgom moich księstw. I że dla niego byłoby lepiej, abyśmy zawarli sojusz przeciw królowi Hiszpanii, w obronie zagrożonej Romy.

– Bari nie ma takiego rycerstwa, jak Polska. Czym mogę go przekonać?

– Właśnie tym złotem, które wysyłałeś do bankierów Italii. Tylko bez żadnej przesady. Suma ma być na początek niewielka, bo i on może niewiele. Chyba że uzyska od ojca świętego unieważnienie małżeństwa Augusta.

– Jeżeli jednak zetknę się tam z namiestnikiem Neapolu i z którymś z posłów Filipa, choćby hrabią Broccardo, co mam mówić?

– Na razie nic. Zobaczymy, jak się rozegra ta gra... O Dio! Jak dawno już nie wpływałam na losy krajów, ludzi, nie zjednywałam sobie stronników! A przecież powinnam rządzić! Być sobą, Boną d'Aragona!

Zabezpieczysz skrzynie ze złotem oraz kosztownościami w podziemiach, resztę wydasz

Villanemu dla przyozdobienia zamku i wyjedziesz zaraz potem. W Neapolu będziesz pilnie zbierał wieści, nawet plotki. Muszę wiedzieć, co zamyśla król Hiszpanii...

*

Zamek został wysłany kobiercami, ściany pokryły jedwabne obicia, a na stolikach z hebanu stały srebrne puchary, czarki i wazy pełne różnobarwnych kwiatów. Wieczorem w kryształowych żyrandolach z weneckiego szkła płonęły setki świec, ale zamku nie odwiedzał nikt i już po tygodniu królowa odczuła nudę. Nie było wokół niej tego gwaru oraz zamętu, do jakiego przywykła w Krakowie i w zamku jazdowskim, a który towarzyszył nawet jej przejazdowi przez ziemie Italii. Przypomniały się te złe czasy, kiedy w oczekiwaniu na kolejną córkę przebywała w swoich wawelskich komnatach zupełnie sama, licząc dni do powrotu Zygmunta z wyprawy wojennej. Skarżyła się wtedy na samotność, ale zawsze miała przy sobie Wolskiego, Alifia i Kmitę. Tutaj zaś... Villani i Marina. Santa Madonna, czyż po to jechała tak długo i tak daleko, aby obcować ze swoimi sługami? O leczeniu gardła nie było już mowy, ponieważ chrypka ustąpiła sama.

– Krzyczałam i byłam chora. Milczę i jest mi nudno, nieznośnie nudno! Nie mogę czytać od rana do wieczora, nie mogę objeżdżać wciąż tych samych winnic i pomarańczowych czy oliwkowych gajów. Słyszysz, co mówię?

– Si – przyznała Marina zapalająca świece przy łożu.

Był późny wieczór czerwcowy i królowa układała się już do snu. Ale choć do późna przebywała w rozarium, rozkoszując się odurzającym zapachem bujnie kwitnących róż, musiała mieć zły dzień, bo siedząc przed weneckim lustrem ofiarowanym przez dożę, dłużej niż zwykle wpatrywała się we własne odbicie, dotykała końcami palców policzków, powiek, pobruźdzonego już czoła. Mówiła, żeby nie zapomnieć mówić, jak stwierdziła z goryczą, mówiła raczej do siebie niż do Mariny.

– Moje słynne złote włosy... zaczynają jaśnieć, bieleć. Moja matka umierała mając pięćdziesiąt cztery lata i była prawie siwa. Nie do wiary, że teraz jestem od niej starsza, a jeszcze pełna pomysłów, sił... Tylko kąciki ust nie unoszą się już w górę. Może jednak śmiałam się za mało? Stańczyk... Brak mi tu ludzi, śmiechu i błaznów. Słyszysz?

– Si – przyznała dworka.

– Postaraj się dostać lub kupić kilku karłów młodych i zabawnych. Tylko presto! presto!

– O Si! Si! – potakiwała Marina.

– W Polsce, choć było dość czasu na festyny i szumne zabawy, nie miałam go nigdy dosyć dla siebie. Nigdy! Nawet w młodości. Czytałam dziś Petrarke. Mówi, że nie istnieje większe szczęście niż miłowanie. August twierdzi to samo. Barbara... Szukał w tym związku chyba nie tylko rozkoszy, ale także prawdziwych uczuć...

– Si.

– A ja? Nigdy! Od czasu... Tak, to chyba wtedy, gdy w czasie polowania spadłam z konia,

coś we mnie pękło. Strach? Chyba nie. Raczej duma. Nie jęczeć, nie pokazywać ludziom skrzywdzonej cierpieniem twarzy, nie chorować. Czy to po przedwczesnym urodzeniu Olbrachta zaczęłam sypiać sama?

– Si.

– A ileż miałam wtedy lat? Trzydzieści trzy? Tylko? Byłam jeszcze piękna, młoda i... sama w łożu. Król już schorowany, stary. Może nie?

– Si.

– A więc perché? Perché? – dziwiła się, dotykając rozpuszczonych włosów. – Podziwiano mnie. Cere, usta, aksamitne oczy... Nawet uwielbiano. Mogłam brać kochanków, a nie brałam. Czemu? Bo gardziłam miłością? Przyjaźnią? Śmieszne! To nikt nie miał odwagi zbliżyć się do mnie. Nawet Kmita, a cóż dopiero Alifio. Za wyniosła, za groźna.

– Si.

– I teraz sama, sama! Jak w lodowej grocie. Bez rodziny, przyjaciół, nadwornych poetów...

– Si.

– Przestań potakiwać – krzyknęła nagle. – Znudziłaś mnie! Muszę wszystko przemyśleć od nowa. Wyjdź.

Kiedy została sama, podeszła do stolika, na którym stał pięcioramienny świecznik zapalany co wieczór przed wizerunkiem Augusta. Usiadła w fotelu o rzeźbionych poręczach i wygładzając fałdy nocnej szaty zapatrzyła się w światło świec.

Oto siedzi we wspaniałej komnacie, w słodkim zapachu różanych krzewów i jest jej gorzko. Waży jak na szali swoje życie i po raz pierwszy z odległości widzi je lepiej, ocenia trafniej, buntuje się przeciwko losowi mocniej niż kiedykolwiek. Właśnie teraz, kiedy nikt i nic nie zakłóca jej spokoju. Może nie jest stworzona do gnuśnego życia, wlokących się w nieskończoność godzin, bezbarwnych dni pozbawionych sporów, starć, intryg i uniesień?

Amor – rozmyślała. – Nie ujarzmiłam go, ale perché? Kmita... Pragnął mnie, lecz nie poprzestałby na roli kochanka. Chciałby rządzić na Wawelu, jakby to był zamek w Wiśniczu. Byliśmy do siebie zbyt podobni: wybuchowi, niecierpliwi, gniewni... Nie, nie!

Pochyliła się i odruchowo zgasła dmuchnięciem najbliższą ze świec.

Alifio? Był zakochany już wtedy, gdy odwoził z Bari do Krakowa. A później ostrzegwał, chronił. Był zbyt nieśmiały, słabszy ode mnie, trochę bezwolny, ale wierny zawsze, do końca, chociaż ja...

Ostrożnie, końcami palców, zgasła drugą ze świec. Od tego ruchu ręki zaczął chwiać się i zgasł płomień trzeci. Zdziwiła się, zamyśliła głęboko.

Po nim wkrótce zmarł Gamrat. Może dlatego ta świeca zgasła? Na jego pogrzebie płakałam wielkim płaczem.. Był mi potrzebny do rady, do uczonych sporów. Polityk, mądry doradca, opiekun uczonych i poetów. Kochał księgi. Mnie? Nie, jemu wystarczały płocze dziewczęta, wesołe gamratki... A Dantyszek? Posłował w moim imieniu do Carolusa, był jego doradcą i chociaż musiał złożyć hołd lenny z Bari, bronił uparcie moich praw do tych italskich ziem.

Układał wiersze jak Krzycki na moją cześć. Tylko że... Byłam dla nich obu zimna, wyniosła, odtrącałam to, co mogło przerodzić się może w miłość. Chociaż... Szacunek, wierność, przyjaźń, ale amor? No! No! A potem już ciągła walka o niedopuszczenie Habsburgów do Czech, do Węgier i o samodzielne rządy w moich dobrach na Litwie, w Koronie, na Mazowszu. Król? Ostrożny, odkładający wszystko do jutra, jak teraz jego syn. Piano, piano... Ociężały a może po prostu stary, zbyt stary dla mnie nie umiejącej udawać, żadnej ruchu, odmiany... Nie było w tym winy żadnego z nas, ale też zabrakło wielkiego miłowania, o jakim śpiewają poeci i jakie znał August...

Zgasiła czwartą świecę i wpatrzona w jedyną z pozostałych ujęła w obie ręce konterfekt syna.

Augustus – tłuło się w myślach, kołatało w sercu. – On? Si, zawsze i tylko on. Był mały, a już buntował się przeciwko swoim wychowawcom i z dumą nosił jako dziesięcioletek królewską koronę. Był z krwi Sforzów, dawnych kondotierów. Kiedy pokazywała mu w katedrze na Wawelu nagrobek Jagiełły i kazała modlić się o to, aby Bóg pozwolił mu zostać tak wielkim królem, jak pierwszy z Jagiellonów, pogromca Krzyżaków, zapytał: „A ja? Teraz, kiedy mam koronę, czyż nie jestem już dość wielki?” I zdziwił się, słysząc odpowiedź, że o wielkości nie świadczy urząd, jeno mądrość. Zdziwił się, ale uwierzył. Jeszcze wtedy wierzył jej słowom, jeszcze ją kochał, nie ukrywał, jako młodzik, swoich miłostek, a potem przychodził żalić się do niej, że w noc poślubną z Elżbietą trzymał w ramionach trupa... Był wówczas tylko jej! Jej! Słała heroldów, aby głosili poddanym, że do Wilna zjeżdża ich władca, magnus dux. Dała mu tyle złota, ile chciał, kiedy jechał na Litwę. I ciągle jeszcze kochał ją, słał gońca co kilka dni, pytał o rady, cieszył się, że jest daleko od chorej Elżbiety i może – jak długo chce – polować w litewskich puszczech na dzikiego zwierza. Dopiero gdy zjechał do Gieranojnów, gdy poznał Barbarę... Si. Nie pisał już listów, zaczął ulegać Radziwiłłom, czuć do matki nieufność, nawet niechęć... Santa Madonna! A przecież ona, choć była przeciwko tamtej zwodnicy, kochała go nawet wtedy, kiedy musiała odstąpić Barbarze swoje komnaty na Wawelu i wyjechać na Mazowsze... On zaś... Odkąd sprzeciwiła się jego małżeństwu z Radziwiłłówną, powziął do niej nienawiść i teraz już nikt, nikt...

Nie wypuszczając wizerunku Augusta z rąk, zaczęła wpatrywać się w światło jedynej świecy palącej się w lichtarzu. Po chwili zmęczone oczy przymknęły się same, pod powiekami złoty płomyk zaczął powiększać się, rosnać, aż wreszcie zamienił się w świetlistą ogromną plamę...

Nazajutrz pytała Marinę:

– Nie było żadnych listów od króla, od burgrabiów moich zamków w Sanoku, w Krzemieńcu?

– Nie.

– Aż Jazdowa? Od królowy Anny? Katarzyny?

– Także nie.

– I ani słowa od burmistrza Warszawy, od pana Chwalczewskiego?

– Niestety, nie.

– A z Neapolu? Od Pappacody?

– Jeszcze nie, miłościwa pani.

– Niente! Niente! – wykrzyknęła już z gniewem. – Per Bacco! Czyżby w Polsce zapomnieli o mnie wszyscy?! Każ wybadać sługi. Może ktoś z habsburskich agentów przejmuje moje listy?

– Wasza Królewska Mość! – zgorszyła się Marina. – Kto by śmiał? W jakim celu?

– Bene. Dzisiaj nie będę wieczerzała sama, tylko z burgrabią Villanim. Powiadomisz go o tym.

Stary sługa principessy Izabeli dopiero przy fruktach i mocnym słodkim winie odezwał się nie pytany:

– Darujcie, miłościwa pani, ale od paru dni nie mogę zdobyć się na odwagę, aby zapytać... – głos mu się załamał i zamilkł.

– O co? Słucham uważnie – ośmieliła go królowa.

– Czy to prawda, że signor Pappacoda wyjechał do Neapolu jako burgrabią Bari?

– Kto śmiał wam o tym powiedzieć? – zmarszczyła groźnie brwi.

– Powiedział komuś przed odjazdem, że w Italii będzie o wiele więcej znaczył niż w Polonii.

– Głupiec! – mruknięła Bona.

– Zarządzałem dobrami Sforzów przez z górą czterdzieści lat. Wiem, że wszystko ma swój kres – skarżył się Villani. – Ale czy właśnie teraz muszę odejść, kiedy Bari znów ma swoją principessę, a zamek odżył, wrócił do dawnej świetności?

– No, no! – zaprzeczyła. – Jesteście nadal moim burgrabią i Pappacoda skłamał, chociaż...

– Rozumiem. Dla nas dwóch nie będzie tutaj miejsca.

Namyślała się przez chwilę nad odpowiedzią.

– A gdybyście samodzielnie, jak dotychczas, zarządzali Rossano?

– Rossano to nie Bari – odparł ze smutkiem.

– Si – przyznała. – Chciałam mieć w was przyjaciela, doradcę. Pappacoda jest ambitny, żądny władzy, ale będzie musiał zrozumieć, że zarządców w Bari może być tyłu, ilu ja zechcę.

Pochylił głowę, wyraźnie ujęty, wzruszony.

– Wierzę w sprawiedliwość, miłościwa pani – wyszeptał.

– Tak więc jako mój doradca powiedzcie, burgrabio, na kogo mogę tutaj liczyć, komu naprawdę zaufać? Biskup Musso?

– Si, Całkowicie oddany.

– Kardynał Caraffa z Neapolu?

– Byłbym ostrożny w ocenie. Biskup Bari lęka się jego wezwań i kiedy tam jedzie odprawia uroczyste nabożeństwo przed ołtarzem naszego patrona, świętego Mikołaja. Nie wiem, czy miłościwa pani słyszała o tym, że papież rzucił klątwę na Filipa? Król Hiszpanii, Aragonii,

Neapolu, Sycylii, Sardynii, król zamorskich posiadłości w Ameryce, książę Mediolanu, Lotaryngii, Burgundii, Luksemburga i wielu hrabstw w Europie został wyklęty na czas bitwy i pokoju, na czas modlitw i postów, gdy mówi i gdy milczy, gdy je i pije, a światło w jego oczach winno tak zagasnąć, jak zapalona świeca, którą papież, zdmuchnąwszy, rzucił z okna katedry świętego Piotra na głowy tłumnie zebranych rzymian.

– Cóż to za wspaniałe teatrum – szepnęła królowa. – A gdzie był wtedy jego krewniak, kardynał Caraffa?

– Stał tuż za nim i cisnął swoją świecę także w dół, na plac czerniejący od zebranego tam tłumu. On jeden. Inni kardynałowie nie byli tak zuchwali, aby powtórzyć gest swojego pasterza.

– Czyżby jego krewniak aż tyle znaczył w Rzymie – spytała.

– Tak, miłościwa pani, znaczy tam niemało i wiele może...

Jeszcze tego wieczoru królowa pisała sama długi list, który po zalakowaniu oddała Marinie ze słowami:

– Każesz wysłać to pismo do Neapolu, do Pappacody. Dzisiejszej nocy, przez umyślnego kuriera. I nikt nie ma o tym wiedzieć. Nikt, prócz konnego posłańca.

Marina przeszła przez ciemne już komnaty zamku ze świecą w rękę i po przekroczeniu progu swojego pokoju przekręciła klucz w zamku. Małym, ostrym sztyletem podważyła pieczęć i przeczytała pismo. Było ono ostrzeżeniem przed posłami hiszpańskiego króla, a zarazem rozkazem: Pappacoda ma zjednać sobie kardynała i wymóc na nim wstawiennictwo do papieża w sprawie rozwiązania ślubów Zygmunta Augusta.

– Tajemnica – mruknęła do siebie, chowając list do schowka w sekretarzyku. – Bene. To będzie tajemnica.

Zaraz potem zasiadła do pisania sprawozdania dla Pappacody. Niech czyni, jak zamierzył, królowa nudzi się, a jej nuda jest groźniejszym wrogiem Habsburgów niż zbrojne hufce. Przejęła pismo, w którym Bona domaga się pozyskania względów kardynała Neapolu, ale w tej chwili nie unieważnienie małżeństwa Augusta zaważy na losie ich obojga oraz księstwa Bari, tylko nuda principessy...

Zapieczętowała list, odcisnąwszy na czerwonej powierzchni laku herb Sforzów. Ten sygnet Bony zginął jeszcze w Krakowie, przed wyjazdem do Warszawy, i wszyscy zdążyli już o nim zapomnieć. Tak więc posłaniec, który wyruszy tej, jeszcze nocy do Neapolu, będzie pewny, że jest gońcem principessy, że wiezie pilne i tajne pismo od niej samej...

*

Pappacoda powrócił po dwóch tygodniach i Bona dawała już odczuć swemu otoczeniu, że nie jest zadowolona z pobytu w Bari. Po dawnemu, choć nadworny medyk di Matera zalecał jej spokój, ciskała na cenne kobierce wszystko, co znalazła pod ręką, najmniejszy sprzeciw budził w niej gniew. Nie znosiła czekania, a teraz musiała czekać zarówno na listy z Polski, jak i na gońców Pappacody. Kiedy jednak przybył on sam, nie była pierwszą, z którą odbył ważną, choć

krótką rozmowę. Marina zabiegła mu drogę do komnat królowej, pytając:

– Dostaliście moje pismo?

– Si. – odparł. – A co było dokładnie w jej liście?

– Żebyście zjednali dla planów królowej kardynała Caraffę i przekonali go, że można unieważnić śluby Augusta z krewniaczką drugiego stopnia. Oto jej pismo.

– Pisaliście w swoim, aby działał w myśl dawnych planów. Benissimo. Działalem i kardynał będzie bruździł.

– Poseł Filipa bardzo z tego rad?

– Sicuramente Si.

– Ale ona nudzi się tutaj i to jest groźne.

Pappacoda roześmiał się nagle.

– Bezczyność nie jest dla wytrawnych graczy. Ale wpłaczę ją w taką grę, że od jutra nudzić się przestanie...

Był rad z siebie, jednakże Bona powitała go kwaśno. Po co siedział aż tak długo? Miał tylko rozmawiać z kardynałem, unikać grandów hiszpańskich. Tak czy nie?

– Si – przyznał skwapliwie.

– Tedy tłumacz się, mów.

– Uczyniłem wszystko, co było w ludzkiej mocy, aby zjednać i przekonać Caraffę. Obiecał, że będzie po naszej stronie i wstawi się do ojca świętego. Jednak ważniejsza od tej jest inna wiadomość: w czasie mojego pobytu wicekról, namiestnik hiszpańskiego króla w Neapolu, ciężko zachorzał i liczą się teraz tam z jego rychłym zgonem. Udało mi się przekonać hrabiego Broccardo...

– Miałeś unikać postów Filipa – przerwała.

– Ale sytuacja zmieniła się tak – tłumaczył – że musiałem pertraktować i z nimi.

– I do czego udało ci się namówić hiszpańskiego granda? – spytała zgryźliwie.

– Przekonałem go – odparł – że jedynym, najlepszym następcą po śmierci namiestnika byłby ktoś z rodu... Sforzów.

Patrzyła na niego zdumiona, wstrząśnięta.

– Odważyłeś się to powiedzieć? – spytała dopiero po chwili.

Skinął głową.

– Więcej. Wymieniłem imię: Bona Sforza d’Aragona.

– O Dio! – westchnęła. – A cóż on?

– To jeden z posłów króla Filipa. Musi zwlekać i namyślać się, nim podrzuci taką myśl w Madrycie.

– Za ile? – spytała krótko.

– W rozmowach hrabia był twardy i nieustępliwy – cedził słowa burgrabia.

– Pytałam, ile chce? – powtórzyła już niecierpliwie.

– Tymczasem dwadzieścia tysięcy dukatów dla siebie, ale... Nie ukrywa, że król Filip nie

odda takiego namiestnictwa za darmo.

Odparła żywo, z dawnym błyskiem w oczach.

– Wiem, że za beneficja i tytuły trzeba płacić, chyba jednak... nie zrzeczeniem się lenna Bari po mojej śmierci?

– No, no! Hrabia myśli, że Filip zadowoliliby się teraz pożyczką. Oni wiedzą, że najjaśniejsza pani wysyłała z Polski złoto do Neapolu.

Zmarszczyła brwi.

– Wiedzą? Od ciebie?

– No! – zaprzeczył. – Wiedzą od habsburskich agentów i od tutejszych bankierów.

– Co mówił hrabia Broccardo?

– Że potrzeba im pieniędzy na wojnę z Rzymem, z Francją...

– Nie dam ani dukata na wojnę z papieżem i chcę mieć za sojusznika kardynała Caraffę. Natomiast, jeżeli mają ochotę wojować z Walezjuszami...

– Kto wie, czy nawet nie przed wyprawą na Rzym? – wyjaśniał pośpiesznie .

– Niechże wojują za moje pieniądze i za przyrzeczenie, że zostanę namiestnikiem Neapolu.

Ale kto mi za to poręczy?

– W razie zgody miłościwej pani – sam król.

Namyślała się, wreszcie zadała pytanie ostatnie:

– Czy w królestwie Filipa byłabym jedyną niewiastą na tym urzędzie? Należy sprawdzić, czy to jest możliwe, zgodne z prawem.

– Sprawdziłem od razu – zapewniał Pappacoda. – Regentką czy też namiestnikiem króla w Niderlandach była ciotka cesarza Carolusa, arcyksiężna Małgorzata. A to kraj niełatwy do rządzenia, rozdarty przez religijne wojny. Sroży się tam inkwizycja.

– Opowiesz mi o niej później. Czy poza krewnymi Filipa ktoś nie z Habsburgów mógłby zostać namiestnikiem?

– To Filip ustanawia w Hiszpanii prawa, sam jest prawem. Hrabia Broccardo zaręcza, że wszystko jest możliwe, zwłaszcza że miłościwa pani mogłaby zasilać jego skarbiec.

– Starczy. Czy wymienił sumę, za jaką Filip oddałby namiestnictwo?

– Jeszcze nie. Jak mówiłem, Broccardo musi sprawdzić, czy taki układ poręczy król.

– To wieści dziwne, aczkolwiek ciekawe. Nie wyrzucę dukatów bez pisma od Habsburga. Trzeba też sprawdzić, czy ten grand nie chce tylko zarobić na pośrednictwie?

– Hrabia ma przybyć sam do Bari za tydzień. Ale sicuramente. Trzeba sprawdzić.

– Bene – zakończyła rozmowę. – Pomyślę nad tym. Kiedyś płaciłam drogo za jednanie Augustowi sojuszników na Litwie. Teraz... Si, teraz kupować będę tytuły nie dla niego, mego syna, ale dla siebie...

Pappacoda skłonił się i wyszedł. Królowa klasnęła w dłonie.

– Marina! – zawołała donośniej niż zwykle. W jej głosie była znowu dawna siła. – Każ przygotować szaty noszone przeze mnie na Wawelu.

Stojąca w progu dworka odważyła się przypomnieć:

– Miłościwa pani była wtedy szczuplejszej kibici...

– Poszerzyć można każdą. Chcę je zobaczyć.

– I suknie wyszywane złotą nicią, najstrojniejsze? Ozdobione cennymi kamieniami? – pytała zdumiona Marina.

– Tamte piú tardi. Teraz te, w których wyglądam najmłodziej.

– Mają być gotowe kiedy?

– Do końca tygodnia. Chcę w nich wyglądać tak, jak kiedyś w Krakowie. Nie patrz tak na mnie. Będzie, jak zechcę.

Następnego dnia raz jeszcze wezwała Pappacodę. Była nieufna, ich rozmowa wyglądała raczej na przesłuchanie.

– Ile lat ma obecny namiestnik Neapolu? – spytała.

– Wygląda na sześćdziesiąt – odparł po namyśle.

– Incredibile! – zadrwiła. – Nie widziałeś chorego, a wiesz, jak wygląda? I po co kłamiesz? Widzę cię na wylot. Wiem także, żeś chwalił się, wyjeżdżając, nowym tytułem. Perché? Uraziłeś signora Villanigo, a on – nie ty – wie, na ile lat wygląda namiestnik. I dlatego za tydzień on powita hrabiego Broccardo jako burgrabia Bari.

– Tak być nie powinno. Hrabia może przestać mi ufać... – wyjąkał skarbnik.

– Zaufa złotu. Byłeś moim posłem, i starczy. Jak Filip w Hiszpanii, ja stanowią prawa w Bari.

– Miłościwa pani, gdybym jednak mógł powitać... – niemal błagał Pappacoda.

– Basta! – krzyknęła. – Powiedziałam: nie.

Odszedł wściekły i natknąwszy się w sąsiedniej komnacie na Marinę, wybuchnął:

– Kiedyś pożałuje swoich słów. Jesteście chmurni? Także w niełasce?

– No. Na szczęście nie ma tu polskich dworek, ale nie ma też i karłów. A chce je mieć koniecznie.

– Jak namiestnictwo Neapolu. Gdybym wiedział, że pragnie znów rządzić, ustanawiać prawa, byłbym ostrożniejszy.

– W działaniu czy w słowach? – spytała drwiąco.

– Za dużo chcecie wiedzieć – mruknął. – Lepiej szukajcie karłów...

*

Kilka dni później weneckie zwierciadło ukazało królowej jej własną twarz, ale młodszą więcej niż o dziesięć lat. Uróżowane policzki, kryza z koronek zasłaniająca wędną szyję, na jasnych włosach nie ciemny czepek, tylko purpurowy aksamitny toczek. Dawna suknia uszyta na wawelski festyn czyniła ją szczuplejszą, drogie kamienie naszyjnika zwisającego spod koronek na piersi oślepiały blaskiem.

– Jak wyglądam? – spytała, odwracając się do Mariny.

– Tak samo jak kiedyś, gdy w Krakowie oczy wszystkich wyrażały zachwyt – przyznała dworka.

– Si. Trochę barwiczki, blask w oczach i żelazna wola, a nie ma już królowej wdowy. Czuję się znowu godna hołdów, podziwu... Popraw z boku fałdy sukni...

Majestatyczna, wspaniała przeszła do audiencyjnej sali zamku i zasiadła na podwyższeniu, na złożonym fotelu principessy Izabeli. Odkąd przyjechała do Bari, czyniła to dopiero po raz drugi, choć często patrzyła z żalem na opustoszały tron matki.

– Zgaś świece w najbliższych lichtarzach, wolę rozproszone i słabe światło kinkietów bocznych...

Grand hiszpański przekroczył próg pierwszy, jednakże krok za, nim, po jego bokach, szli obaj burgrabiowie: Villani i Pappacoda. Na ten widok Bona zmarszczyła brwi, ale natychmiast coś jakby uśmiech pojawił się na jej wargach. Była znowu pogodna, życzliwie patrząca z wyżyn tronu na zbliżającego się posła króla Filipa. Miał na sobie ubiór z czarnego aksamitu, agrafa z diamentów iskrzyła się przy szyi. Jego twarz, bystre i przenikliwe oczy przypominały dumnego pana na Wiśniczu. Kto wie zresztą, czy ten grand nie znaczył lub też nie chciał znaczyć tyle, co Kmita za rządów triumwiratu w ostatnich latach życia króla Zygmunta?

Skloniwszy się, zamiótł niemal posadzkę piórami kapelusza.

– Mam zaszczyt pokłonić się nisko przed władczynią Bari w imieniu mego pana, króla Hiszpanii, Niderlandów, Neapolu, władcy Mediolanu, Sycylii i krajów zamorskich.

– Witajcie, hrabio. Przywozicie jakieś posłanie od króla Filipa? Może listy? – spytała dając mu dłoń do ucałowania.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Polecono mi tylko przeprowadzić wstępne rozmowy. Od siebie pragnę złożyć hołd najjaśniejszej principessie italskiej, a jednocześnie polskiej królowej.

– Ale chyba zdążyłeś, hrabio, porozumieć się z Madrytem? Inaczej o czym moglibyśmy mówić?

Nie próbował nawet udawać, że się namyśla.

– O pożyczce, o której wspominałem burgrabiemu Bari.

– Jednemu z burgrabiów – sprostowała natychmiast. – Bene. Ale wy macie na myśli wydatki na wojnę, a ja namiestnictwo Neapolu.

– Si – przyznał – namiestnictwo, ale dopiero, gdyby...

– Wiem – przerwała. – Jaki stan zdrowia chorego?

– Zły, niestety. Przybyłem właśnie dlatego...

– Ach tak... Czy wysokość sumy była już wymieniana przez króla Filipa?

– Nie raz i nie dwa. Hiszpania potrzebuje jeszcze przed kampanią jesienną z górą... – zawahał się tylko na chwilę – czterystu pięćdziesięciu tysięcy dukatów.

– Ależ to suma olbrzymia!

– Sądzę – rzekł z uśmiechem – że regina Poloniae ma dość złota w bankach Neapolu?

– Na potrzeby własne i mojej dynastii – odparła sucho.

– Jednak warto pamiętać – przypomniał z naciskiem – że dochody namiestnika Neapolu są bardzo znaczne. Poza tym król otoczyłby szczególną opieką księstwo Bari.

– Wolałabym, aby w zamęcie wojen o nim zapomniał – rzuciła.

– Być może uda się mnie, jego posłowi, nie przypominać o niektórych lennych księstwach, których ma aż tyle.

– Za taką właśnie sumę? – spytała.

– Rozmowa z najjaśniejszą panią przypomina skrzyżowanie szpad wytrawnych szermierzy – zauważył z podziwem.

– Och! – westchnęła. – Chciałabym być mężczyzną, aby otrzymać ranę na policzku i zobaczyć, czy z blizną byłoby mi tak do twarzy jak wam, hrabio.

– Świadczy ona o obronie honoru szlachetnej, pięknej seniory – odparł. – I raczej o jej dobrej sławie niż o moim męstwie.

– Co budzi we mnie nadzieję, że moje sprawy znajdują się w dobrych rękach – uśmiechnęła się łaskawie królowa. – Omówimy je szczegółowo jutro, gdy hrabia wypocznie po podróży. Tymczasem zastanowię się, rzecz całą przemyśle...

Wstając skłonił się znów bardzo nisko i wyszedł poprzedzany tym razem przez Pappacodę, który odprowadzał gościa do jego komnaty.

Idąc, skarbnik pytał:

– Sądzicie, hrabio, że uwierzyła?

– Si.

– Potrzebne będą jakieś królewskie listy. Nie obejdzie się bez zobowiązań z jego podpisem.

– Rozumiem. Ale ona wygląda młodziej, niż mówiliście, burgrabio. Musiała być kiedyś bardzo piękna, choć jak wszystkie Włoszki utyla z wiekiem.

– Jest starsza, niż sądzą – mruknął Pappacoda.

– Być może, ale pożyje jeszcze sporo lat. Jeżeli uprze się przy krótkotrwałej pożyczce, nie zdążymy jej spłacić.

– A złoto przywożone z Peru przez wasze karawele?

– Zbyt często toną lub są napadane przez angielskich piratów. Król Filip wciąż grozi, że wyśle wielką armadę na wody wyspiarzy i zniszczy ich statki korsarskie, ale najpierw musi rozprawić się z Francją, z Rzymem i wysłać posiłki do Niderlandów, gdzie heretycy zaczynają wypowiadać posłuszeństwo. Złoto królowej Bony byłoby pewniejsze niż przesyłki tego kruszcza z Peru i Meksyku. Tylko... Czy nie zechce odrestaurować zamków? Tamten w Rossano chyli się ku ruinie.

– Och! – zapewnił posła Pappacoda – królowa nie potrzebuje sum z banków z Neapolu. Na wszystko wystarczy jej to, co ma tutaj, w Bari.

– I co razem z księstwem dostanie się po jej śmierci mojemu królowi? – raczej stwierdził, niż spytał Broccardo.

– Tego nie byłbym pewien – zawahał się Pappacoda. – Jest rozrzutna, kocha się w zbytku...
Hrabia zmarszczył brwi.

– Ach tak? Nie wiedzieliśmy o tym – rzekł z nutką niezadowolenia w głosie.

Wyjechał dwa dni później z obietnicą Bony, że gdy tylko nadejdzie pismo hiszpańskiego króla, sumy neapolitańskie będą do dyspozycji Filipa na przeciąg lat pięciu. Zabiegał wprawdzie o termin dłuższy, królowa jednak była nieugięta: pożyczka zostanie zwrócona, gdy ona sama dobrowolnie zrzeknie się władania Neapolem. Pragnie tego namiestnictwa, ale nie sądzi, aby przebywała w tamtym mieście dłużej niż kilka lat. Nie ma ochoty zachorować z przemęczenia jak obecny regent. Daje sobie jeszcze pięć lat młodości i tyleż im na pokonanie Francji oraz zgromadzenie złota z Indii Zachodnich.

Roześmiał się z tych przepowiedni jak z dobrego żartu i odjechał. Zaraz potem, wraz z czekaniem na zobowiązania Filipa, wróciła do Bari nuda. Może nawet tęsknota? Któregoś dnia królowa usłyszała dźwięki fletu urwane nagle jak hejnał mariacki. Przystanęła na środku alei rododendronów.

– Słyszałaś? – zapytała Marinę.

– Nie – odpowiedziała dworka.

I nagle, jak dawniej, Bona wpadła w gniew.

– Nic nie słyszysz, nic nie pamiętasz, niczym nie potrafisz zabawić! Od ostatniej utarczki słownej z Broccardo, kiedy przed odjazdem udało mi się obiecać Filipowi tylko czterysta trzydzieści tysięcy zamiast czterystu pięćdziesięciu i urwaną sumą zapłacić hrabiemu za wstawiennictwo w moich sprawach, nudzę się. Żadnych działań, sporów, festynów jak na Wawelu! Gdyby chociaż bawiły mnie błazny i karły!

– Obiecano nam przysłać ich wkrótce – zapewniała dworka.

– A pisma? Z Neapolu nie było żadnej wieści o pogorszeniu? O żałobie?

– Jeszcze nie – przyznała z żalem.

– I ciągle żadnych listów z Krakowa?

– Nie.

– Aż Jazdowa? Od królowej Izabeli? Od moich zarządców z Mazowsza?

– Także nie.

– Niente! Per Bacco! Każ wezwać tu burgrabiego Villaniego. Może słyszał coś, co mnie zajmie, poruszy krew w żyłach. Idź. Presto, presto!

Pytała burgrabiego, jakie kłopoty ma Filip w Niderlandach. Czy podobne mogłaby mieć i ona, zostawszy namiestnikiem królestwa Neapolu? Villani zaprzeczył.

– On musi utrzymać spokój w kraju, w którym heretyków jest więcej niż członków inkwizycji z katolikami łącznie. Siedzi tam jak na becze prochu, gdyż ludność żąda zniesienia edyktów przeciw kacerzom i złagodzenia tyranii. Groźnym przeciwnikiem jest Wilhelm Orański, wróg świętej inkwizycji, sądów duchownych, tortur i palenia na stosach „grzeszników”, jak ich

nazywa największy z despotów i grzeszników – król hiszpański.

– Inkwizycja nie sroży się w Italii tak jak w Madrycie czy w Antwerpii i Brukseli?

– Nie. To tylko o Niderlandczykach powiedział król Filip, że z tymi kacerzami nie może być żadnej ugody, że nie obejdzie się tam bez tortur, toporu i stosu.

– A co myślicie o kardynale Caraffa?

– Kiedy nie było miłościwej pani, interesował się tak księstwem Bari, jako lennem Carolusa, że aż wysłałem ostrzegające pismo do Waszej Królewskiej Mości.

– Do mnie? – zdziwiła się. – Na Mazowsze?

Zaprzeczył. Wysłał pismo, jak to bywało za czasów Dantyszka, do Krakowa.

– Do kancelarii królewskiej?

– Jak zawsze, do królewskiej kancelarii na Wawelu. Patrzyła przez chwilę prosto przed siebie, ale nie widziała ani uginających się od owoców pomarańczowych drzew, ani spalonej już słońcem zieleni trawników. Przed oczami miała to skrzydło zamku, w którym urzędowali sekretarze i skryby królewskie. Który z nich miał pismo Villaniego w rękę? Który wrzucił je do szuflady jako wiadomość zgoła nieważną? Chyba że August... Tak, nie jest pewna, czy August odesłał ten list do Jazdowa. Santa Madonna! Jakże mało przyjaciół zostawiła na Wawelu, jakże nie była pewna samego króla...

– Szkoda – rzekła po chwili – że nie powiedzieliście o tym zaraz po moim przyjeździe. Wiążę z kardynałem wiele nadziei, licząc, że wstawi się za moim synem do papieża. Ale jeżeli prawdą jest, że zabiegał już u Carolusa o przekazanie mu jakiegoś lenna i że miało nim być, po moim zgonie, Bari wraz z Rossano, zaczynam lękać się, czy Caraffa nie prowadzi teraz gry podwójnej. I nie wiem nawet, jak mogłabym dowiedzieć się prawdy?

Villani wstał z ogrodowej ławki, na której siedział, i zbliżył się do krzesła królowej.

– Czy wolno mi powiedzieć, co myślę? – zapytał prawie szeptem.

– Tak, aby nie dowiedział się o tym nikt?

– Si.

– Miłościwa pani, nie wierzę w życzliwość Caraffy. Dlatego przedwczoraj wysłałem gońca do mojego bratanka w Neapolu. Niech on wybada, co zamyśla i zamierza kardynał. Gdyby nie dowiedział się niczego, pozostałby jeszcze biskup Bari. Mógłby przywieźć z Neapolu wiele nowin ważnych dla miłościwej pani.

– Va bene – obdarzyła go życzliwym uśmiechem. – Obiecuję, że kiedy już zostanę namiestnikiem, wy będziecie wśród moich doradców.

– Grazie – skłonił siwą głowę. – Spodziewam się, że bratanek przyśle mi jakąś wiadomość do końca listopada.

Hrabia Broccardo był jednak szybszy i powrócił do Bari już w październiku. Przywiózł pismo króla Hiszpanii z prośbą o pożyczanie sum zdeponowanych w bankach Neapolu i obietnicę wzięcia pod uwagę jej kandydatury przy obsadzaniu namiestnictwa w królestwie neapolitańskim. Ta część listu wydała się królowej zbyt ogólnikowa: było to mgliste

przyrzeczenie, nie zaś umowa. Jednakże Broccardo twierdził, że za życia namiestnika król nie może w oficjalnym piśmie dysponować jego urzędem i że jawne pertraktacje mogłyby pogorszyć stan zdrowia chorego. Bona miała już na ustach słowa „tym lepiej”, ale zdołała się opanować, nie wybuchła, tak więc uczty pożegnalnej nie zamącił żaden zgrzyt. Pismo Filipa pozostało dokumentem tajnym i w początkach listopada król Hiszpanii mógł już przejąć depozyt od neapolitańskich bankierów.

Jednak sprawy zamieszek w Niderlandach i zaciągu na wojnę z Francją zeszły na razie na drugi plan wobec wieści, która wstrząsnęła całym światem: w klasztorze Świętego Hieronima w Yuste umierał władca, który panował niedawno na wielu kontynentach, pan połowy świata, cesarz Karol, teraz mnich, brat Carolus.

– Co o nim wiecie? – pytała Bona Villaniego. – Czy odbywał pokutę w tym klasztorze hiszpańskim? Czy naprawdę wzgardził nie tylko panowaniem nad połową Europy i Indiami Zachodnimi, ale też swoją sławą wielkiego wojownika i męża stanu?

Villani zmieszał się, ale po chwili namysłu spróbował dać odpowiedź, na niełatwe pytania.

– Miłościwa pani, nikt nie wiedział nigdy, co myśli naprawdę Karol Piąty. Wszystkie jego obietnice i listy były kłamliwe lub wykrętne, wszystkie podboje zamorskie dawały Hiszpanii złoto, a jednocześnie czyniły ludzi mniej ludzkimi. Twierdził zawsze, że aby coś zbudować, trzeba najpierw zburzyć. Mówią, że klęskę poniósł w życiu tylko raz: w walce z kacerzami w Niderlandach i w samej Hiszpanii. Poza tym... Jest połamany przez podagrę, poruszał się ostatnio z wielkim trudem. Medycy zakazali mu pić i jeść, polecali schudnąć. Wtedy to zrzucił ciężkie brzemie rządów na Ferdynanda i syna Filipa, a sam...

– Sam?

– Osiadł w klasztorze, ale złe języki nie oszczędziły i brata Carolusa, mnicha. Zamiast pokutować i schnąć na wiór jak inni bracia hieronimicy, oddał się obżarstwu. Jadał trzy obiady dziennie i podobno sprowadzano dla niego ryby z Niderlandów, szynki z Estramadury, oliwki z Perejon, a kuropatwy oraz dziczyznę aż z Flandrii. Kucharze klasztorni musieli przygotowywać dla niego dziennie dwadzieścia potraw, z piwnic całej Hiszpanii słano do Yuste najlepsze wina, którego wypijał parę kwart przy każdym posiłku. Odbywał częste sjeasty, tył, dokuczala mu coraz bardziej podagra. Medycy wciąż przestrzegali, ataki bólów w kościach i w stawach stawały się coraz częstsze. Mimo to czytywał podobno uważnie raporty swoich agentów z Hiszpanii, Niderlandów i Burgundii, dyktował odpowiedzi na wszystkie prywatne listy. A teraz... Umiera za życia otoczony zakonnikami i przedstawicielami świętej inkwizycji. Nie słyszałem, żeby jedyny syn jego, Filip, powrócił z Brukseli do Hiszpanii. Może zdąży dopiero na pogrzeb?

– Byłaby to okropna śmierć – szepnęła królowa. – Chciałabym umierać wśród moich bliskich, jak król Zygmunt na Wawelu. Czy pochowają go jako mnicha, bez żadnego ceremoniału, który przysługuje cesarzom i królom?

– Tego nikt nie wie – odparł. – Chce być rzekomo pochowany w kościele Świętego Hieronima, na odludziu, ale zapewne po śmierci przewożą trumnę do Grenady, gdzie

spoczywają jego dziadowie i rodzice.

– Będę musiała wysłać, jak wszyscy królowie i jego dawni lennicy, moich posłów na uroczystości pogrzebowe – stwierdziła po chwili Bona. – Ale on jeszcze żyje, choć nie wiadomo, jak długie będzie konanie wielkiego grzesznika i największego z cesarzy naszego wieku. Jedźcie tedy wy, burgrabio, do klasztoru w Yuste. Bez rozgłosu, z dwoma dworakami i pachołkami dla ochrony przed rozbojem na gościńcach. Przywieziecie stamtąd do Bari nie tylko wieści o stanie zdrowia mojego wroga, Karola Piątego, ale i o pogrzebie mnicha Carolusa. A poza tym... Myślę, że tam, wśród wielu duchownych, którzy zjadą do Yuste z całej Hiszpanii i z Italii, dowiecie się więcej o kardynale Caraffie niż wasz krewniak w Neapolu...

– Burgrabia Pappacoda nie będzie rad... – zaczął Villani, ale przerwała mu gwałtownie:

– Jest tu obcy, nie był w Bari za czasów, gdy przyjeżdżali do was Alifio z Dantyszkiem. Jedźcie, i to presto. Nie chciałabym, abyście zwlekali tak, jak syn jego Filip, oby był przez ojca przeklęty!

Miał już wychodzić, kiedy powracając raz jeszcze do sprawy wysłanego przez niego raportu sprzed dwóch lat, spytała:

– Zaczekajcie. Naprawdę nie pamiętaliście, burgrabio, że od śmierci mego dostojnego małżonka przebywam w Masovii, to znaczy w Warszawie?

Po jego zmieszaniu, po rumieńcu wypęłzającym na policzki i czoło była już pewna odpowiedzi, ale zaskoczył ją słowami:

– Miłościwa pani zechce darować staremu słudze, że wie za mało, ale dopóki przyjeżdżał tu biskup Dantyszek, mówił nam o Polonii, natomiast już od wielu lat... Ten kraj leży tak daleko, prawie na krańcach Europy i – odkąd zakon krzyżowy przestał werbować rycerzy z zachodu do krucjaty antypolskiej – tak rzadko słyszy się o nim. Nie wiedziałem, że kancelaria najjaśniejszej pani jest teraz poza Cracovią, gdzieś – na ziemiach Lithuanii...

Chciała sprostować, wołać o mapę i pokazać temu ignorantowi, gdzie leży Warszawa, ale pomyślała, że zdąży to uczynić po jego powrocie i że w tej chwili ważniejsza jest misja burgrabiego w Hiszpanii.

Jednakże cały dzień miała zepsuty: czyżby stąd, gdzie mówiono tylko o rozgrywkach między Anglią, Francją, Italią a Habsburgami, nie dostrzegano nawet kraju, który przywykła nazywać potęgą w środkowej Europie? Czyżby mylił się Zygmunt sądząc, że nie zmieni się wiele po zagarnięciu przez Austrię Czech i Węgier? Dla ludzi tutejszych wciąż jeszcze liczyło się imperium Carolusa, w którym nie zachodziło słońce. Jagiellonowie... Czyż naprawdę następował zmierzch tej dynastii? Także i z jej winy, ponieważ przyczyniła się do śmierci małego Olbrachta? Ponieważ, zamiast wiernie trwać przy Augustie i być podporą jego tronu, wyjechała do Bari i pozwoliła, aby słowo „Polska” dla niej samej stało się tylko wspomnieniem... Jazdów? Czy jest pewna, że leży na południe od staromiejskich murów? A może Mazowsze włączono do Litwy? Maledizione! Jeszcze parę miesięcy pobytu nad rybną zatoką, a i ona zapomni, że można śłać gońców do Polski. Czemu tak rzadko wysyłała ich dotychczas? Nie zapomnieliby o niej, gdyby

stąd, z Bari, szły nieustanne rozkazy do córek, do Chwalczewskiego, do Wilgi. Chciała riposare... Śmieszne! Załatwi tutaj unieważnienie ślubów Augusta, będzie nareszcie pewna, że srebrna kołyska nie stoi pusta, a wtedy przyjedzie na chrzest i zostanie na Wawelu na zawsze już, na zawsze...

*

Villani wyruszył w drogę do Hiszpanii ku niezadowoleniu Pappacody, ale Marina ostrzegła skarbnika królowej, że nie należy jej drażnić wymówkami, gdyż jest zaniepokojona brakiem listów z Polski i przewlekającą się chorobą neapolitańskiego namiestnika.

– Musicie ją zająć czymkolwiek, choćby odnawianiem kaplicy albo zamku w Rossano. Odkąd wyjechał Villani, gniewa się ciągle, tłucze kielichy, co prawda tylko te nadszczerbione w drodze. I coraz częściej mówi o wspaniałościach dworu w Krakowie, nawet... w Warszawie.

– Nie wspomina o unieważnieniu małżeństwa? O Caraffie?

– Si. Aż za często. Czeka chyba na jakieś wieści z Neapolu. Ale od kogo? Nie wiem.

– Ciekawe – mruknął Pappacoda. – A co do namiestnika... Ode mnie dowie się wkrótce, że biedak został tknięty paralizem...

– A... I ten stan może trwać długo?

– Sicuramente. Rok, dwa.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

– Deo gratias! – westchnęła Marina. – Czuj? się tak szczęśliwa w Bari...

Nie minął nawet tydzień, kiedy wczesnym rankiem Pappacoda usłyszał tętent konia pod oknem. Wychylił się i zbiegł pośpiesznie na dziedziniec, aby jako pierwszy zagadnąć posłańca:

– Pismo dla principessy?

– Nie. List z Neapolu od mojego pana, kawalera Villani, do burgrabiego.

– Daj i możesz wracać. To ja jestem burgrabią Bari. Niemal wyrwał z rąk umyślnego przejęte pismo i spojrzał w górę na okna komnat królowej. Zasłony nie były jeszcze rozsunięte, tedy już spokojnie ruszył w głąb ogrodu. Obejrzał dokładnie list, po czym złamał pieczęcie. Przeczytał raport kawalera Villaniego o planach oraz nadziejach kardynała Caraffy raz, potem drugi, i na twarzy jego wyraziło się najpierw zdumienie, a potem wściekłość. Sądził, że tutaj, w Bari, on jeden prowadzi niełatwą, lecz dobrze ukrytą grę. A tymczasem ten stary Villani... On? Wysłała go przecie do Hiszpanii. Czyżby więc sama królowa? Maledizione! Smok Sforzów miałby jeszcze w sobie tyle jadu? W pierwszym odruchu gniewu zgniótł pergamin, po chwili jednak zaczął go starannie prostować. Patrzył teraz w stronę zamku i namyślał się: wtajemniczyć we wszystko Marinę? Zataić przybycie posłańca czy też sfalszować treść listu? Stary Villani prędko nie wróci, a następnego gońca mógł odprawić w podobny sposób jak pierwszego. Miał czas. Miał bardzo dużo czasu...



Królowa próbowała rozproszyć nudę wlokących się dni, sprowadziwszy do Bari budowniczego, który zajął się odnowieniem zamku w Rossano. Odbyła nawet podróż do tej drugiej siedziby principessy matki, ale komnaty zamkowe wiały takim chłodem, takim opuszczeniem, że skróciła pobyt i wróciła do Bari, zdziwiona nie mniej od innych, że nie potrafi już z tym samym zapalem co na Litwie tworzyć coś z niczego, planować i karać za opieszałość w wykonywaniu poleceń.

– Czyżbym jak Carolus znudziła się władzą, wpływaniem na losy innych ludzi? – mówiła do towarzyszącej jej w drodze Mariny. – Ale nie, nie! Kiedy wrócimy do Bari, kiedy zaczną przychodzić listy od Villaniego, z Polski, z Neapolu, a Pappacoda zacznie składać codzienne raporty, znów poczuję się potrzebna, młodsza. Ruch. Konieczna jest ciągła odmiana!

Ale w Bari nie czekały na królową żadne listy ani dobre wieści, tedy narzekała znowu:

– Raporty Pappacody? Śmieszne, nieważne sprawy miasteczka i rybnej zatoki. Dawniej narzekałam wciąż na brak czasu. Trzeba było in permanenza udzielać audiencji, kaptować stronników, pouczać ludzi i mówić, mówić... A teraz? Żadnego dworu, żadnych dysput z dostojnikami, uczonymi. Wokoło pustka. Rozmowy, z kim? Z tobą? Z Pappacoda?

– Ale to od niego miłościwa pani dowiedziała się zaraz po naszym powrocie o pogorszeniu się stanu zdrowia namiestnika – przypomniała Marina.

– Santa Madonna! Paraliż. Wspaniała nowina! To może potrwać bardzo długo, a ja chciałabym działać już teraz. Minęło osiem miesięcy, odkąd siedzę tutaj beczynn timer, choć mogłabym rządzić w Italii albo na Mazowszu. Duszę się w ciasnocie zamku i parku Bari.

– Wyjazd do ciepłych źródeł mógłby nie tylko uleczyć gardło, ale także rozerwać, zabawić...

– Jechać?! – oburzyła się. – Teraz, kiedy każdego dnia może przybyć poseł z Neapolu z żalobną wieścią? Przyznać się, że podlegam chorobom jak ten ich namiestnik, że nie jestem już dość silna, młoda? Wyjdz! Stulta! Stulta!

A że dzień był ciepły i słoneczny, wyszła sama do parku. Musiała zastanowić się, zrozumieć, co stało się z jej dawną żywotnością, energią, wiarą w siebie? Nuda i monotennie upływające dni czy też jakaś skaza w niej samej, choroba duszy, zmęczenie umysłu? Nie, nie! Była zdrowa, gotowa do wprowadzania w czyn wielkich zamysłów, ujęcia mocną ręką steru rządów w królestwie neapolitańskim. Zmęczyło ją i znudziło po prostu czekanie, którego nie znosiła od najmłodszych lat. Czekala teraz beczynn timer na rozwój wypadków w Neapolu, na posłańców, na listy z Polski. Basta! Trzeba temu położyć kres. Sama wyśle gońca do kardynała Caraffy albo nawet do papieża i uzyska dla Augusta unieważnienie małżeństwa. To będzie działanie pierwsze, a drugie...

Jej rozmyślania przerwał szelest za plecami, czyjeś pośpieszne kroki. Odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z obcym człowiekiem. Ogród był dobrze strzeżony, a ten mężczyzna wyglądał na świeżo przybyłego gońca, jego ubiór nosił na sobie ślady długiej podróży. Zobaczywszy ją, uskoczył w bok, za wysoki cyprys i dopiero wtedy uklęknął.

– Dio! Przestraszyłeś mnie. Kim jesteś?

– Posłańcem z Neapolu. Czekam tutaj od rana...

– Czekasz? Na co?

– Przywożę pismo od kawalera Villaniego.

– Dopiero teraz?! – krzyknęła gniewnie.

Ale on położył palec na ustach i rozejrzał się po alejach parku, zanim odpowiedział szeptem:

– Byłem tu już dwa razy i zawsze odbierał pisma nowy burgrabia. Teraz, kiedy mój pan wie, że signor Villani wyjechał do Hiszpanii, kazał oddać list do rąk samej principessy. Ale że bałem się wjechać na podwórzec, zostawiłem konia za murami parku...

– Bene. Zrobiłeś mądrze. Zostaw pismo pod drzewem i uciekaj stąd. A swojemu panu powiedz, żeby zawsze tylko przez ciebie przysyłał wieści do mnie. Zapamiętasz? Tylko do moich własnych rąk.

– Si.

– A teraz idź już. Presto!

Znikł za cyprysami, a ona, nagle lekka i zwinna, zeszła z alei na trawnik i podniósłszy pismo przełamała pieczęć. Była zrowu w swoim żywiole: coś działo się wokół niej, w tajemnicy przed dworakami przyjmowała gońców i kto wie, czy w tajemnicy przed wszystkim nie będzie wysyłała swoich ludzi do Neapolu, do Rzymu?

Ale podniecenie trwało krótko, ustąpiło wybuchowi wściekłości, gniewu. Szarpnęła jedną gałązkę cyprysu, drugą, wgniotła ją w trawę, a potem przeczytała powtórnie, ukryta w gąszczu drzew, posłanie kawalera Villaniego.

Donosił, że nie otrzymując żadnej odpowiedzi i dowiedziawszy się o wyjeździe stryja, ośmiela się przekazać osobiście królowej wieści zupełnie pewne: kardynał Caraffa obecnie znajduje się w Hiszpanii przy łożu Carolusa, jeżeli ten jeszcze żyje, gdyż ostatnio w Neapolu krążą wieści o zgonie ex-cesarza. Z kancelarii Caraffy nie wyszły dotychczas żadne pisma w sprawie unieważnienia małżeństwa polskiego króla, a hrabia Broccardo nigdy nie prosił kardynała o wstawiennictwo u papieża. Trzeba tedy starania zacząć od początku lub, po powrocie Caraffy z klasztoru w Yuste, wysłać do niego posłów w sprawie króla Zygmunta Augusta i jego małżonki Katarzyny. Kto odbierał listy w Bari? Umyślny twierdzi, że burgrabia. Jaki? Kawalerowi znany jest tylko jeden, jego stryj, prosi więc o wyjaśnienie tej dziwnej sprawy i o dokładne instrukcje.

Tedy Pappacoda... Nie był dość znacznym dostojnikiem, aby hiszpański grand musiał się z nim liczyć. A kiedy okazało się, że Broccardo, uzyskawszy pożyczkę, ma za nic własne obietnice, Pappacoda zaczął przejmować listy kawalera Villaniego. To dlatego nie pojechał z nią do Rossano, tłumacząc się atakiem wątrobianej kolki. Chciał być na miejscu, w Bari, aby odbierać od umyślnego słane z Neapolu pisma...

Mogła go wezwać, pokazać otrzymany ostatnio list i zapytać czemu nigdy nie poruszał z nią sprawy przeciągających się starań o unieważnienie małżeństwa Augusta. Ale co by to dało? Zrzuciłby całą winę na hrabiego Broccardo i wytłumaczył się chęcią zaoszczędzenia jej zawodu,

dbałością o stan zdrowia królowej, której wiernie służył od tylu lat. Marina? Powtórzy wszystko staremu przyjacielowi. Należało więc udawać, że nic nie zaszło, i wysłać do Neapolu kogoś, kto mógłby dowiedzieć się prawdy od samego hrabiego. Tym kimś mógłbyś tylko biskup Bari, Musso... Że też wcześniej nie pomyślała o nim! Ile ważnych spraw załatwili przed laty dla pary królewskiej biskupi Międzyleski i Krzycki, jak sprawnie działał na dworze Carolusa polski poseł, Jan Dantyszek, biskup chełmiński. Kim był dla doradców hiszpańskiego Filipa Gian Lorenzo Pappacoda? Nikim, pośrednikiem w załatwianiu spraw pieniężnych, skarbnikiem Bony Sforza d'Aragona. Bene. Mając go na oku, trzeba teraz rozpocząć – jak radził Villani – sprawę od nowa. To śmieszne, aby przebywając w Italii, tak blisko Rzymu, nie mogła zdziałać więcej niż ongiś Dantyszek.

Wróciła z długiej przechadzki spokojniejsza, wysłuchiwała bez żadnych złośliwych uwag raportu Pappacody o postępie prac budowlanych w Rossano i poleciła wysłać gońca z zaproszeniem biskupa Bari na wieczerzę. Nudziła się, a Musso mógł wiedzieć więcej niż mieszkańcy zamku o śmiertelnej chorobie mnicha Carolusa. Kto wie, może Karol Piąty zszedł już z tego świata?

Po wieczerzy, na której obecni byli nieliczni dworzanie i burgrabia zamku, przeszła z biskupem do wnęki w swoim gabinecie. Była pewna, że tam nie podsłucha ich nikt, zaczęła tedy od razu od prośby, aby zechciał być jej posłem.

– Tylko Wasza Eminencja potrafi wybadać, jak przedstawiają się naprawdę dwie obchodzące mnie żywo sprawy: po pierwsze, kiedy mogłabym zostać regentką królestwa Neapolu? Obecny namiestnik Filipa jest tak ciężko chory...

– Miłościwa pani wierzy, że król hiszpański wyraziłby na to zgodę? – spytał, nie kryjąc zdziwienia.

– Si, mam nawet jego przyrzeczenie, co prawda mgliste, ale dane w zamian za moje złoto zdeponowane u neapolitańskich bankierów.

– Nie wiedziałem...

– Nikt nie wie o tym poza moim skarbnikiem i posłem Filipa, hrabią Broccardo. Od niego tedy moglibyście, eminencjo, dowiedzieć się prawdy o stanie zdrowia namiestnika. Jako tknięty paralizem, czy będzie nadal sprawował władzę, czy też król ma zamiar pozbawić go tego urzędu? Jeżeli tak, to kiedy? Mam jednak i drugi powód, aby prosić was o wyjazd do Neapolu. Trzeba sprawdzić, co zrobił kardynał Caraffa w sprawie unieważnienia ostatniego małżeństwa mego syna z arcyksiężniczką austriacką.

– Kardynał musi liczyć się z królem Filipem, a to także Habsburg – przypomniał Musso.

– Ale hiszpański, z Madrytu. Może nawet nie znać Katarzyny – upierała się przy swoim.

– Tak, jednakże idzie ręka w rękę z jej ojcem, teraz cesarzem. Poza tym... Nie tak łatwo wpuści znowu Sforzów do neapolitańskiego królestwa. Obie misje wydają mi się bardzo trudne. Miłościwa pani, gorące pragnienia nie spełniają się zawsze.

– Moje, si. Nasz syn został królem jeszcze za życia ojca.

Namyślał się chwilę, wreszcie rzekł:

– Pomówię z Broccardo, a także dowiem się, co uzyskał od papieża Caraffa. I to wszystko. Moje wpływy nie są aż tak wielkie, aby zmienić bieg wypadków.

Skinęła głowę.

– Rozumiem. W tej chwili potrzebna mi jest właśnie pewność. Mam niejakie podejrzenia, wątpliwości... i dlatego liczę, że Wasza Eminencja pomoże mi w podjęciu ważnych decyzji. Muszę wiedzieć, czy zdołam uwolnić syna od bezpłodnej żony? Czy będę jeszcze tutaj, w Italii, wpływająca na losy ludzi, dworów? Zechciejcie zrozumieć, eminencjo, że dawniej grał nam jeden dzwon, ale dzwon królewski. Zamieniłam wielkość na co? Na świergot sygnaturki w zamkowej kaplicy? Na małe, lenne księstwo nad cichą zatoczką pod bezchmurnym niebem? Nie mówcie nic! Dobrze pamiętam, że sama tego chciałam. Ale czyż mogłam wiedzieć, że nie potrafię riposare? Że muszę, że powinnam aż do śmierci być zawsze sobą, Boną Sforza d’Aragona?

– Teraz ja powiem: rozumiem – odparł biskup. – Burgrabia Pappacoda...

– Nie, nie! – przerwała mu gwałtownie. – Nikt poza wami nie powinien wiedzieć o celu podróży do Neapolu. Czyż biskup nie może wyjeżdżać, kiedy chce i dokąd pragnie, dla dobra powierzonej mu diecezji? Nasza rozmowa była ściśle poufna, eminencjo!

Skłonił głowę i choć czuła, że czeka na bliższe wyjaśnienia, nie dodała już ani słowa.

*

Niestety burgrabia Villani zawrócił z drogi przed czasem. Jako poseł nie spełnił swojej misji, był bowiem niezdrów, narzekał na serce. I kiedy po paru dniach Pappacoda zgłosił się na audiencję do królowej z prośbą, aby wysłać go do Rossano, gdyż z dwóch burgrabiów jeden powinien dopilnować tamtejszego zamku, zapytała tylko:

– Nie mógłby tam dojeżdżać co jakiś czas?

– Miłościwa pani – tłumaczył – dwóch burgrabiów nie ma co robić w Bari. Jeżeli wybór Waszej Królewskiej Mości padnie na mnie, pojedę do Rossano sam. Tylko że... Nie wiem, czy Villani po ataku serca, któremu uległ w drodze, podoła tutaj pracy burgrabiego i jednocześnie skarbnika?

– Dobrze wiesz, że nie widział nigdy nawet mojego skarbcza – odparła – i nie zna treści umów z hrabią Broccardo. Bene. Niech jedzie na czas jakiś do Rossano. Nie chcę jednak, aby odczuł to jako wygnanie, pozbawienie tytułu. Wiemy oboje, że w Krakowie było wielu burgrabiów i że Alifio został dziesiątym.

– Pamiętam o tym aż nadto dobrze, ale Bari to nie Kraków, miłościwa pani.

Przyjrzała mu się uważnie, był jednak tak gładki, tak rzeczowy w swych wypowiedziach, że nie mogła uwierzyć, aby po prostu chciał pozbyć się Villaniego i zazdrościł mu tak samo łask królowej, jak ongiś doktorowi Alifio. W samej rzeczy jako skarbnika tamten starzec zastępować go nie mógł. Niech tedy dawny sługa principessy matki jedzie na odpoczynek do Rossano i pilnuje odbudowy zamku.

Czekała już teraz tylko na wiadomości, które mógł przywieźć biskup Musso. Dni wlokły się jednostajnie i nudne mimo urody rozkwitających krzewów mimozy i zapachu, który przypominał jej młodość, lata bez troski. Aż wreszcie któregoś dnia posłaniec z biskupiego pałacu doniósł, że Jego Eminencja biskup Musso powrócił i że stawi się w popołudniowych godzinach w zamku.

Przyjęła go sama, odprawivszy wszystkich dworzan witających kościelnego dostojnika i wyciągnęła do niego obie ręce.

– Nareszcie! Grazie a Dio! Radam wielce Waszej Eminencji. Nowiny? Nie mogłam się ich doczekać! Już po pogrzebie namiestnika? Zostaję regentką Neapolu?

Biskup rozłożył bezradnie ręce.

– Niestety, nie mam dla najjaśniejszej pani dobrych wieści. Namiestnik istotnie chorował, ale niezbyt groźnie: złamał nogę, przez jakiś czas nie opuszczał swojego pałacu. I to wszystko.

– Nie rozumiem. A teraz?

– Jest zdrowy, sprawuje od świąt Bożego Narodzenia swój urząd, zaprasza gości na uczyty i na jednej z nich byłem obecny sam.

– Trudno zrozumieć... Pappacoda wspominał o paraliżu, o bliskim zgonie – nie mogła uwierzyć królowa.

– Wprowadzono go chyba w błąd?

– Tedy... O regencji dla mnie myśleć teraz nie można? – nalegała.

– Żałuję, ale nie widzę żadnych możliwości. Namiestnik to człowiek jeszcze młody, w pełni zdrowia i sił.

– Santa Madonna! A przecież Pappacoda razem z hrabią Broccardo zapewniali mnie... – Jej głos stawał się chrypliwy, ostry. – I tylko dlatego zgodziłam się na pożyczanie Filipowi złota z neapolitańskich banków...

– Przykro mi być zwiastunem tak złych nowin, jednakże...

– A Caraffa? – przerwała gwałtownie. – Czy uzyska od papieża unieważnienie małżeństwa mojego syna?

– I to wygląda inaczej – mówił coraz bardziej zmieszany. – Kardynał zabiegał ongiś sam o lenno Bari...

– Wiem. Ale ja przecież żyję! Jeszcze żyję! – krzyczała.

– Si. Wydaje się, że powrót najjaśniejszej pani pokrzyżował wprawdzie jego plany, lecz ich nie zmienił. Caraffa liczy na to, że kiedyś, później...

– A jeżeli August będzie miał syna, na którego sceduję prawa do Bari i Rossano?

Biskup, chociaż oskarżał kardynała, swojego zwierzchnika, nie uciekł się do kłamstwa.

– Syna, z kim? Z Katarzyną? – zapytał.

– No! No! – krzyczała już stukając laską, ale nie zdołała zamknąć mu ust:

– Bo zgody na czwarte małżeństwo papież nie da, a w interesie Caraffy jest, aby Katarzyna...

– Była do końca żoną Augusta? Jako ostatniego z Jagiellonów?

– Niestety, na to wygląda – przyznał niechętnie.

– Allora... – dusiła się już z gniewu. – Allora kłamali wszyscy? Zwodzili, aby obedrzeć mnie nie tylko z nadziei, ale i ze złota? Hiszpański grand... Pappacoda? A może ten kłamał zawsze? Może... przekupili go hiszpańscy Habsburgowie?

Biskup milczał, jednakże brak odpowiedzi był potwierdzeniem. Bona nagle chwyciła się za gardło, rozrywając naszyjnik z pereł, które posypały się na dywan.

– Nie wierzę! No! No! – chrypiała. – Nie mogę uwierzyć, że oszukują mnie wszyscy i wszyscy nienawidzą. Perché? Jeżeli Bóg jest dobry, a święty Mikołaj naprawdę ma Sforzów w swojej opiece...

Biskup wstał i schylił się w pożegnalnym ukłonie.

– Nie przystoi mi tego słuchać: – rzekł.

– Sicuramente si! – zaprzeczyła. – Monsignor nie wyjdzie stąd i będzie mnie słuchał, choćby... choćby pod tajemnicą spowiedzi! Właśnie tak! Spowiedzi z całego życia. Piú tardi – osądzi. Teraz wysłucha tego, co muszę wyrzucić z siebie, presto! Presto!

– W konfesjonale – odparł prawie szeptem.

Ale królowa krzyknęła w pasji:

– No! Tutaj! Nie pójdę do kaplicy, bo czuję ból w sercu, bo jakaś kula dławi mnie, dusi... Nie wiem czy to nienawiść, czy poczucie krzywdy. Kapłan nie może odmówić duszy, która żąda pocieszenia...

I dodała ciszej, z trudem uśmierzając gniew:

– Która potrzebuje pomocy...

Biskup patrzył w milczeniu na królową, na jej dłonie przyciśnięte do gardła, do skroni. Miał przed sobą kobietę wzburzoną, bliską ataku serca, podszedł więc do wysokiego tronu, na którym królowa siedziała, przyjmując go w dniu przyjazdu, i ruchem ręki wskazał na stojący niżej fotel. Bona wahała się chwilę, jednakże wstała ze swojego krzesła i zaczęła iść z oporami, bardzo wolno, w stronę biskupa. Zajmując fotel, zarzuciła na głowę ciemnoniliowy koronkowy szal, który wlokła za sobą, idąc przez całą salę. Teraz, siedząc niżej tronu i przechylona w stronę jego wysokich poręczy, znalazła się jakby w pozycji penitentki, u stóp konfesjonau.

Milczała i biskup zaczął pierwszy:

– Słucham cię, mia filia. Nie spowiadałaś się u mnie od przybycia do Bari. Czy wierzysz?

– Si. O si! – odpowiedziała bez chwili wahania.

– Chcesz wyznać grzechy główne? – spytał, a ponieważ milczała, zniżył głos: – Zabijałaś?

Zaprzeczyła gwałtownie.

– No, nigdy! To niechęć, w której tonę, która mnie otacza, sprawiła, że oskarżono mnie o otrucie mazowieckiego księcia Janusza i Elżbiety, pierwszej żony Augusta. Ale to były oszczerstwa, ohydne oszczerstwa!

– A inne żony: Barbara i Katarzyna?

– Radziwiłłówna? No, no! Barbarę zabiła zła choroba. Krwawiła, cuchnęła od wrzodów. Mąż był zawsze przy niej. Nawet gdybym chciała...

– A chciałaś?

– Jeżeli grzeszyłam, to tylko myślą. Tak bardzo pragnęłam, aby August miał syna, a ona... Do umierającej wysłałam jednak list ze słowami pojednania...

– Pytałem także o Katarzynę.

– Próby jej trucia przez moich kucharzy wymyślili Habsburgowie.

– Nie pragnęłaś jej śmierci?

– O Dio! No! Chciałam, aby urodziła dziedzica korony. I przecież jest zdrowa, choć odepchnięta przez króla, jako bezpłodna. Teraz – zawada na jego drodze.

– Grzeszyłaś nienawiścią?

– Zawsze z miłości do syna.

– Znasz szóste przykazanie?

Poruszyła się gwałtownie.

– Nie cudzołożyłam. Byłam wierna małżonkowi aż do końca, chociaż...

– Żałujesz, żeś dotrzymała wiary?

– Że odtrąciłam miłość innych? Si. Że nie potrafiłam jednać i utrzymać przy sobie przyjaciół? Si. Ale jesteście świadkiem, ojczu. Jedyne przyjazny mi tutaj człowiek choruje w Rossano.

– Buntujesz się przeciwko bożym wyrokom?

– Skarżę się – wyszeptła. – Jestem martwa, pusta. Zostają przy mnie wyrachowani, przekupni, mali ludzie.

– Tedy przyznajesz się do przekupstwa?

– Si. Ale nie namawiałam, nie zmuszałam nikogo. Sami brali to, co było do wzięcia, do kupienia.

– Grzeszyłaś przeciw przykazaniu siódmemu? – wyliczał po chwili dalej.

– Czy okradałam kraj i króla? No! To niechęć do cudzoziemki albo zwykła zawiść zrodziła takie plotki. Bogaciłam siebie i innych, uczyłam ich pracować, ciężko pracować i w końcu zebrałam plony. A wywiozłam z własnego skarbcza tylko to, na co zezwolił senat i król.

– Byłaś pyszna?

– Si i często gniewna. Ale, per amor di Dio!, zawsze żeby uszczęśliwić mojego syna.

– Nigdy siebie? Z żądzy władzy?

– Może... Kiedyś... Spowiadałam się z tego przed laty, w Krakowie.

– I nigdy nie krzywdziłaś poddanych? Nie uciskałaś ubogich, sierot?

– No, no! Odbierałam tylko moznym to, czym zawładnęli bezprawnie albo siłą. Dbałam o słabych, ubogich. Lud nazywał moim imieniem zamki, polany i place, na których sprawowałam sądy. Dostawał też z moich rąk ziemię. Bez żadnej zapłaty...

Zastanawiał się czas jakiś, zanim zapytał:

– Dlaczego więc miotasz się i dręczysz, zamiast wypoczywać tutaj, w Bari?

– Bo zwodzi mnie król Filip, czyha na Bari kardynał, bo i tutaj zaplątuję się w zastawione

sieci – wyliczała pośpiesznie. – I drzę na myśl, że Habsburgowie z Wiednia tak samo usuną Jagiellonów z Polski, jak z Czech i z Węgier. Boję się o przyszłość Augusta. Tęsknię za nim, widzę we snach i na jawie. Bóg jest pono sprawiedliwy, a jednak pozwala mnie krzywdzić. I dręczyć, dręczyć!

– Spowiedź – skarcił ją surowo – to nie wyliczanie doznanych krzywd. Filia mia, nie umiesz znosić cierpień.

– Bo cierpię zbyt okrutnie. I za długo...

– Bóg zna miarę w doświadczaniu człowieka.

– No, no! Może chciałam za wiele dla Augusta, dla Jagiellonów. Ale nie mogę już... Czuję, że przegrałam życie. Moja wiara zaczyna słabnąć... Ojciec duchowny, jeżeli ty nie pocieszysz, nie dasz mi nadziei...

– Nadziei, na co? – przerwał. – Na zdobycie władzy w Neapolu? Na utrzymanie Bari dla wnuków? To mrzonki. Siły szukaj w sobie. Dadzą ci ją modlitwa, pokora i szczerza skrucha. Czy przebaczasz swoim wrogom? Odpuszczasz im winy i sama obiecujesz poprawę?

– Opuścić? Upokorzyć się?! – podniosła głos. – Przebaczyć Habsburgom? Nigdy! Padłam ofiarą nikczemnego oszustwa i zażądam od nich zwrotu pożyczonych sum. I to presto! Zostałam stworzona do walki, do czynów godnych rodu Sforzów... Santa Madonna! Pragnęłam wykrzyczeć mój ból i żal, wysłuchać życzliwych rad, a spotkał mnie zawód. Spowiednik każe mi przestać być sobą, chce dwukrotnie przemienić w jagnię! O Dio! Nie po to upokorzyłam się i zesłam na chwilę ze stopni tronu! Nie takiej pragnęłam pomocy!

Wstała nagle, zrywając z głowy koronkowy szal. Biskup miał już przed sobą nie pokorną penitentkę, lecz rozgniewaną księżnę Bari.

Wstał także i, stojąc na stopniach tronu, rzekł:

– Błędzisz, córko, ale cierpisz, tedy będę żarliwie modlił się za ciebie, a także za twojego syna. I wierzę, że wkrótce, w zamkowej kaplicy, odbędziesz spowiedź prawdziwą. Wtedy będę mógł powiedzieć: absolvo te. Teraz tylko błogosławię.

Szepecząc bezgłośnie modlitwę, skreślił nad stojącą bez ruchu królową znak krzyża i ruszył ku wyjściu. Bona stała czas jakiś jak martwa z opuszczonymi powiekami, potem, ciągnąc za sobą szal, weszła powoli na stopnie tronu i usiadła na nim ciężko, z trudem. Nie minęła jednak chwila, gdy już ręce jej oparły się mocno na poręczach, postać wyprostowała się, oczy wpatrzyły w drzwi, do których dochodził właśnie Bitonto Musso. Ten, jakby przyciągnięty siłą spojrzenia swojej penitentki, przystanął i odwrócił głowę. Mierzyli się długo wzrokiem: biskup Bari z siedzącą na tronie jego władców principessą Boną Sforza d’Aragona. Żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. I to był już koniec spowiedzi...

Następnego dnia od rana rozpętało się piekło. Zawezwany przed oblicze królowej Pappacoda stał na środku komnaty, a ona krążyła wokół niego, jakby go owijała splotami węża. Zataczała duże koła, potem coraz mniejsze, aby w końcu stanąć tuż przed zdrajcą.

– E allora? – mówiła z pozornym spokojem. – Kłamałeś. Stale, od początku. Namiestnik

chorował niedługo i od miesiący jest już zdrow. Żadnego paraliżu, żadnych powodów do jego usunięcia. E terribile! Ufałam tyle lat kłamcy i zdrajcy. Ile dostałeś od Broccarda, żeby wyszarpnąć z mojej kiesy przeszło czterysta tysięcy za obietnicę rządu Neapolem? Nie milcz! Mów!

Zanim odpowiedział, wytarł znad brwi i ze skroni kropelki potu.

– Oszukano i mnie. Hrabia zaklinał się...

– Łżesz! To ty przejmowałeś pisma do mnie od kawalera Villaniego, a nie Broccardo. Ty byłeś szpiegiem Filipa, a może i wszystkich Habsburgów? Od kiedy? Także w Krakowie?

Pappacoda padł na kolana. Zaklinał się, żebrał:

– No! No! Wprowadzono mnie teraz w błąd, oszukano. Łaski, miłościwa pani! Służyłem zawsze wiernie, chciałem widzieć Sforzów znowu w Neapolu. W tamtych listach, które trafiły do burgrabiego Bari, a więc do mnie, nie było nic. Nic! Kawaler pisał, że trzeba dużo czasu, żeby przesłać wieści zupełnie pewne. Nie chciałem niepokoić, gniewać...

Stuknęła laską, której ostatnio nie wypuszczała z ręki.

– Nie wierzę! Kłamiesz. Jesteś wężem, który zawsze wyślizguje się z rąk. Jadowitym gadem... Giorno ferale! A ja ufałam tej kreaturze bardziej niż staremu Villanemu! Bona Sforza, królowa Polski, oszukana, okradziona! Żadnego Neapolu, tylko Bari, Bari! O Dio! A może i to jest kłamstwem? Odpowiadaj! Może przekonałeś kardynała Caraffę, że może liczyć na zrzeczenie się przeze mnie pretensji do dziedzicznych księstw? Milczysz? Może nie załatwiłeś także i sprawy królewskiego małżeństwa?

– Zabiegałem o unieważnienie... Zaklinam się na wszystko, co święte! I Broccardo obiecywał wpłynąć na króla, żeby kardynał nie upominał się o Bari. Opętał mnie...

– Broccardo – powtórzyła to słowo z nienawiścią. – Groźny, obłudny, bardzo niebezpieczny... Wstań i zejdź mi z oczu. Do jutra zastanowisz się nad tym, co masz na swoją obronę. Bo jeżeli nie masz niczego...

Patrzyła na niego z pogardą i gniewem, a Pappacoda coraz niżej pochylał głowę. Wreszcie wyciągnęła rękę i wskazała mu drzwi. Wychodził zgięty w pół, cofając się tyłem, jakby opuszczał komnatę po audiencji.

Sprowadzony z Rossano Villani został wtajemniczony we wszystkie plany królowej i intrygi zmierzające do ich udaremnienia. Miał zawieźć do Neapolu oficjalny dokument i wręczyć go nie hrabiemu Broccardo, lecz jego zwierzchnikowi, nadzwyczajnemu posłowi króla Hiszpanii. W liście tym Bona żądała zwrotu pożyczonych sum w ciągu pół roku w związku z niespełnieniem danych jej przyrzeczeń.

– Macie – tłumaczyła burgrabiemu – wybadać, czy król Filip, oszukawszy mnie w sprawie namiestnictwa w Neapolu, nie ponowi teraz żądań ekscesarza Karola zrzeczenia się na rzecz Habsburgów księstwa Bari i Rossano. Co do pożyczki, zwrot najpóźniej do końca pięćdziesiątego siódmego roku.

– Spłacenie całej sumy w tak krótkim terminie? To rzecz nie praktykowana, trudna do wykonania – kłopotał się Villani. – Do końca roku dziewięć miesięcy, a Filip rwie teraz Italię na strzępy i zwalcza innowierców w Niderlandach.

– Nie obchodzą mnie jego wojny! Chcę położyć kres kłamliwym obietnicom i podstępnyim działaniom. Z Neapolu możecie śłać do mnie gońców przez kawalera Villaniego.

– Signor Pappacoda zna treść tego pisma?

– Dowie się, kiedy będziecie już w drodze. Jedźcie jutro i na wszystkie obietnice hiszpańskich posłów odpowiadajcie – nie! Muszę otrzymać w tym roku zwrot pożyczonych sum. Pamiętajcie, burgrabio, że Sforzowie nie znoszą porażek!

Przez trzy dni nie rozstawała się prawie z Pappacoda. Przeglądała wraz z nim skrzynie złożone w piwnicach zamku, kazała sporządzać spisy cennych makat i kobierców znajdujących się w komnatach, aż wreszcie czwartego dnia oznajmiła mu, że zażąda od króla Hiszpanii zwrotu pożyczonych sum.

– Wyłudził je podstępnie – oświadczyła – i kiedy teraz wiem, że nie odda mi regencji, nie mam powodu uszczuplać zasobów skarbcza.

– Miłościwa pani! Błagam o pozwolenie wyjazdu do Neapolu. Sprawa jest trudna...

– E vero. Za trudna dla was. Dlatego załatwię ją inaczej, listem do samego króla.

– Ależ ja muszę powiedzieć Broccardo, co sędzę o sposobie załatwienia przez niego sprawy pożyczki. Inaczej najjaśniejsza pani gotowa pomyśleć...

– Wyjaśniłeś już, że hrabia oszukał was, że wprowadził w błąd...

– Nie, nie! Jestem szlachcicem i mam prawo żądać zadośćuczynienia. Nie zniósłbym plamy na moim honorze...

Przyjrzała mu się mrużąc oczy, aby nie dostrzegł w nich błysku rozbawienia.

– Nie wiedziałam, że aż tak zależy memu skarbnikowi na ukaraniu hiszpańskiego granda. Jedź tedy, burgrabio, ale zaraz wracaj. Mam zamiar skrócić mój pobyt w Bari.

– Żeby wyjechać do ciepłych wód?

– Po co? Słońce Italii wróciło mi zdrowie.

– Nie pojmuje. Jeśli nie Bari... to... Rossano?

– Zastanowię się jeszcze. Jeden z otrzymanych dziś listów jest z Warszawy. Muszę go odczytać uważnie i wtedy dopiero będę wiedziała, co czynić. Chiaro?

Zaskoczony, nie ukrywający zdumienia, chciał pytać dalej, ale odprawiła go ruchem ręki. Udał się natychmiast na poszukiwanie Mariny, aby dowiedzieć się od niej o planach królowej. Przywitała go gradem wymówek.

– Załatwiliście wszystko źle, rzecz wydała się za wcześnie. Paraliż namiestnika... Śmieszne! Biskup Musso był u kardynała i to on chyba przywiózł wieści, że regent cieszy się dobrym zdrowiem. Spoczęliście na laurach, a tymczasem prawda wyszła na jaw. Z Neapolu do Bari wieści idą szybciej niż z Litwy do Krakowa!

– Nie wiecie nic o jej zamiarach? – pytał.

– A wy? Burgrabia Bari, zaufany sługa principessy?

Rozeszli się po raz pierwszy pogniwani, chociaż nie na długo. Przed wyjazdem Pappacoda wiedział już o wszystkim, co było mu potrzebne do odbycia poufnej rozmowy z hrabią Broccardo.

*

List od królowny Anny leżał na stoliku obok wizerunku Augusta i wciąż przyciągał oczy, zmuszał do brania go z wielką ostrożnością do rąk, jakby był przywidzeniem sennym i mógł rozplynać się, zniknąć, zamienić w białą pustą kartę. Zbliżała się już północ, ale Bona nie wołała nikogo, nie myślała o nocnym wypoczynku. Wspominała ostatnie dni spędzone w Jazdowie, jakże gwarne, przepelnione krzątaniem wokół odjeżdżającej królowej, poleceniami rzucanymi Chwalczewskiemu, rozmową z Wilgą, który wciąż liczył ładowane na wozy skrzynie.

Wydawała rozkazy jednym, ganiła drugich.

– Źle, źle, nie tak! Gdzie są królowny? Niech przyjdą zaraz tutaj, do moich komnat.

Dopiero teraz, wpatrzona w list napisany po polsku, zdała sobie nagle sprawę z tego, że już od roku nie wypowiedziała w tym języku ani jednego słowa, że ostatnim widzianym Polakiem był odjeżdżający z Bari starosta ostrołęcki Wilga. August, Anna, Katarzyna... List nie mówił o tym, co myślą o matce, która pewnego zimowego dnia opuściła w pośpiechu kraj będący ich ojczyzną, ale przypominał słowa biskupa Zebrzydowskiego: „Nigdy jeszcze żadna z królowych po śmierci małżonka nie opuszczała tego królestwa”. Nie opuszczała... A ona? Czy chciała opuścić je na zawsze? Jeżeli nie była tego pewna wtedy, to teraz tym bardziej chciałaby powtórzyć po polsku rozkaz: Niech królowny przyjdą do moich komnat. Natychmiast.

Opowiedziałyby im o zawodzie, jaki ją tutaj spotkał, o tęsknocie za Augustem i o nieudanej próbie uwolnienia go od Katarzyny. Spytałaby, czy zadbał o posagi sióstr, o znalezienie dla nich odpowiednich mężów? Kogo widują, kto ze znanych jej dostojników był ostatnio w Jazdowie?

Wstała nagle czując potrzebę ruchu, działania. Ze świecznikiem w ręku wyszła do sąsiedniej sali, pustej i mrocznej. Przemierzała długą amfiladę komnat i nie spotkała nikogo, żadnego z dworzan ani pokojowców. Sama. Zupełnie sama w ciemnym i ponurym zameczysku. Madonna santa! Czyż po to przyjechała do rodzinnego Bari?

Jakiś cień ukazał się na ścianie, ale była to tylko zbroja średniowiecznego rycerza stojąca we wnęce przy drzwiach. Krzyknęła bardzo głośno:

– Marina! – i odpowiedziało jej echo. Dopiero po chwili usłyszała kroki i zatrzymała się, niepewna, kogo zobaczy, nagle pełna lęku. Ale była to tylko Marina z palącą się świecą uniesioną wysoko w górę.

– Gdzie byłaś?! – krzyknęła gniewnie. – Wołałam tyle razy. Presto! Presto! Już po północy, pora na spoczynek. Jutro od rana muszę pisać listy do Warszawy, Krakowa...

– Miłościwa pani coraz częściej wspomina Polonię – westchnęła dworka już w sypialni, podając nocną szatę.

– Prima di tutto: bo tam byłam młoda, bo trzymałam cugle w rękach, a nie tylko pióro, jak to

uczynię jutro. I nie byłam tak samotna, jak tutaj.

– Przecież ja... – zaczęła Marina.

– Ty? Zawiniłaś więcej niż inni. Czyż nie wmawiałaś we mnie, że Zarembianka jest na żołdzie Habsburgów, a Zuzanna Myszkowska nie powinna jechać do Bari, bo o wszystkim będzie donosić Ferdynandowi? Nie ma tu, prócz ciebie, ani jednej z moich ulubionych panien dworskich. Nie ma też córek... Po tym liście z Jazdowa obudziłam się jak ze złego snu. August jest także sam. Nieszczęśnik, w którym człowiek wziął górę nad królem, co nie znaczy aż tyle, a nawet... Nie znaczy nic, nic! Może być jeszcze potężnym monarchą. Mądry i uparty, prawdziwy Sforza. Teraz wielka jest jedynie jego męka. Ale to był także i mój błąd. Chiaro! Trzeba było ratować Augusta, obudzić nadzieję na czwarte matrimonium. Tak! Właśnie tak! Jechać najpierw do Rzymu, a dopiero potem wstąpić tutaj, do Bari. Padre eterno! Gdyby mnie zawdzięczał zgodę papieża na nowe małżeństwo, byłoby inaczej, na pewno inaczej. On i ja moglibyśmy potem w kraju przeprowadzić wszelkie reformy. Frycz... Chwalczewski, tak bardzo doświadczony. Och, zdolniejszy jest od Pappacody. O wiele zdolniejszy.

– Może... – wyszeptwała Marina.

– E allora? Jeszcze czas! Wszystko zacząć od początku, od nowa. Bez nienawiści i gniewu! O Dio! Pomyśleć tak i... zacząć. Nie wahać się dłużej, bo wszystko już jasne, jasne! Zbudzisz mnie jutro wcześniej niż zwykle. I postaraj się jeszcze przed moim wyjazdem...

– Wyjazdem? Dokąd?

– Jak to dokąd? Najpierw Rzym, a potem Mazowsze. Córki w Jazdowie, a wreszcie Kraków i August... Dwór na Wawelu zawsze gwarny, rojny. Stańczyk... Otóż to! Umieram tutaj z nudów. Postaraj się kupić parę karłów, których zabiorę do Polski. Tylko presto, presto! Wydam festyn w dniu ich zaślubin. Zabawimy się jak kiedyś na Wawelu czy też w Wiśniczu.

– Zabawimy się? Teraz?

– Przecież słyszysz? Jeszcze teraz, tutaj! Na samą myśl o pożegnalnej uczcie w Bari czuję się weselsza. I młodsza, o wiele młodsza!

*

Burgrabia Villani wrócił do Bari wcześniej, niż zamierzał, ponieważ wszystko było aż nadto jasne. Do Caraffy nie dotarła nawet prośba królowej o wstawiennictwo w Rzymie, a hrabia Broccardo oświadczył, że dopóki namiestnik jest w pełni sił, trzeba odłożyć plany principessy Bari na czas nieokreślony. Natomiast jego zwierzchnik, nadzwyczajny poseł króla Filipa, nie chciał słyszeć o tak szybkim zwrocie zaciągniętego długu. Twierdził, że królowa powinna uzbroić się w cierpliwość, Hiszpania zwróci złoto, ale nie wcześniej niż w umówionym terminie.

Cały gniew i oburzenie na przewrotność Habsburga Bona wywarła na Pappacodzie, który powrócił z Neapolu w dwa dni później, ale ten oskarżał o złą wolę hiszpańskiego granda i wspominał o bardzo ostrej wymianie zdań z hrabią Broccardo.

– I co z niej wynikło? Padre etemo! Nic, nic! – wybuchnęła gniewem królowa. – Należało

wcześniej wybadać zamiary tych przeklętych posłów Filipa i nie przywozić do Bari tego oszusta, kłamcy, złodzieja... Jeżeli nie byłeś z nim w zмовie, w co jeszcze chcę wierzyć, to dałeś się podejść, jak... jak... Słów mi braknie. Możesz odejść i zacząć myśleć nad odwołaniem się bezpośrednio do króla Hiszpanii. Jak? Przez kogo? Powiesz mi o tym jutro, najdalej pojutrze!

Ale Pappacoda jeszcze tego samego dnia, po zgaśnięciu świateł w oknach królewskiej sypialni, zastukał do drzwi komnatki Mariny.

– Szalala jak zawsze – mruknął siadając naprzeciwko – ale gorsze to, że przede mną był u nadzwyczajnego posła i Villani.

– Zniosła się z nim tajemnie, poza waszymi plecami? – zmarszczyła brwi.

– Na to wygląda.

– To znaczy, już wam nie ufa?

– Nie. Ale zapłaci za to jak i za Kraków. Mogłem tam być kimś znacznym, a byłem nikim, nikim!

– Mniejsza o to – przerwała niecierpliwie. – Co przyrzekł wam Broccardo w imieniu Habsburga, jeżeli... ona przestanie upierać się przy zwrocie neapolitańskich sum?

– Filip żąda więcej – odpowiedział po chwili. – Chce, aby nie wyjeżdżała z Bari. Nie może to być, aby wracała do Polski przez Rzym.

– A... I co obiecuję wam za to?

– Niemało. Tytuł margrabiego Capurso, dobra Noja i dożywotnią pensję.

Spojrzała na burgrabiego z ukosa.

– A wy... mnie?

– Skrzynię naczyń srebrnych.

Roześmiała się, wzruszając ramionami, dorzucił tedy pośpiesznie:

– Także pięć tysięcy dukatów.

– I będę panią na dobrach Noja? – nalegała.

– Za wiele chcecie – odburknął, krzywiąc usta.

– Bene. Róbcie to sami. Zupełnie sami, beze mnie – powiedziała cicho, ale stanowczo.

Milczeli chwilę, wreszcie Pappacoda zapytał:

– Żal wam... principessy?

Oburzyła się szczerze.

– Jej? No! Gardziła nami i nie zawsze ufała. Mówiła, że każdego można kupić. Krzyczała na mnie: „Stupida! Stulta! Nudzisz mnie!”. Nie żałuję jej wcale, ale odkąd przyjechaliśmy tutaj, nie przestaje tęsknić za Polską. Wspomina Niepołomice, łowy na dzikiego zwierza, wspaniałość Wawelu i królewskiej katedry. Nawet głos dzwonu... Za nic ma nasze Bari! Za nic! Ja jednak ruszyć się stąd nie dam! Nie wrócę na Mazowsze.

– D'accordo! Niech będzie dziesięć tysięcy dukatów.

– I jedwabne obicia oraz kobierce z sypialni królowej?

– Niemało – zadrwił. – Co jeszcze?

– Porozmawiamy – odparła z uśmiechem. – Tylko wina przyniosę...

*

Któregoś wieczoru królowa długo siedziała przy oknie wpatrzona w italskie niebo, ale myślami nieobecna w Bari. Układała teksty pism do księżnej brunświckiej Zofii i do najstarszej córki, Izabeli: chciała zwierzyć się obu siostram Augusta, że zatęskniła za synem, za krajem ich dzieciństwa. Królowa Anna rzadko słała gońców, ale starczyło i tych skąpych wiadomości w listach z Warszawy, aby zrozumiała, że w Polsce nie dzieje się nic, że August zamknął się w sobie głuchy na narzekania postępowej szlachty, podpisujący wszystko, co tylko podsuwali mu senatorowie. Plany reform i naprawy Rzeczypospolitej miał odkładać ciągle do następnego dnia i zwano go już kąśliwie „dojutrzkiem”. Bolała ją to bardziej niż niechętny stosunek do niej samej, niż czarna niewdzięczność wielu poddanych. Zastanawiała się, dlaczego jest tak właśnie, i po namyśle musiała przyznać, że jednego nikt nie mógł jej zarzucić: obojętności na sprawy państwa, na dobro dynastii, podczas gdy Zygmunt August dotychczas żył wyłącznie dla siebie, istniał, lecz nie królował. Czyż po to, wbrew magnatom Litwy i Korony, wyniosła na tron dziesięcioletka? Po to usuwała wszystkie przeszkody, łamała obyczaj i prawo, aby dać Rzeczypospolitej króla – dojutrzka? Nie, nie! Jej obowiązkiem było czuwać nad nim nadal, zmuszać do czynów godnych ostatniego z Jagiellonów. Padre eterno! Naprawdę ostatniego? Temu także powinna zapobiec i za wszelką cenę doprowadzić do czwartego matrimonium. Powinna, mimo to zwleka, oczekuje wieści z Rzymu, które mogą wcale nie nadejść. A przecież wystarczyłoby wydać rozkaz, by po jej wyjeździe z Bari wszystkie oficjalne pisma kierowano do kancelarii warszawskiej. Może zaufać biskupowi i burgrabiemu Villanemu, który powinien teraz powrócić na stałe z Rossano do baryjskiego zamku...

Wstała i dawnym gwałtownym ruchem pchnęła oburącz zamknięte okno. Długo wdychała rześkie powietrze listopadowej nocy wpatrzona w gwiazdziste niebo. Augustus... Jeżeli dotychczas był nikim, za jej sprawą zaczął liczyć się z nim teraz władcy Europy. Jeżeli wydawał się słabym lwiatkiem, stanie się odtąd potężnym, silnym lwem. Czyż to nie ona sprawiła, wijąc się w opóźnianych bólach, że urodził się nie w końcu lipca, lecz dopiero pierwszego dnia Augusta, pod znakiem Lwa?

W dwa dni potem Pappacoda zatrzymał wychodzącego z sypialni królowej doktora di Materę.

– To groźne przeziębienie? – zapytał.

– Ból gardła, lekka gorączka. Musiała zbyt długo stać przy otwartym oknie. Na razie poleciłem leżeć i wypoczywać.

Szli chwilę w milczeniu, ale w następnej komnacie burgrabia przystanął, rozejrzał się wokoło i rzekł z naciskiem:

– Pamiętacie naszą ostatnią rozmowę?

– Si – przytaknął medyk.

– Tym lepiej, bo zwlekać dłużej nie można, Habsburgów bardzo niepokoją plany jej wyjazdu z Bari. Powrotu do Polski, może nawet na Wawel? Przeziębienie i ból gardła to przecież dostateczny powód, żeby podać wasze lekarstwo.

– Tak... Gardło, listopadowe chłody. Ale sami wiecie. Najpierw każe wypić połowę leku mnie.

– I co z tego? – zdziwił się burgrabia. – Przygotujecie sobie odtrutkę.

Medyk zmarszczył brwi.

– Antidotum? To będzie kosztowało dwa razy tyle.

– Tak dużo? – usłyszał protest.

– Zdrowie mam tylko jedno. Jeszcze warunek: odtrutkę przygotuję sam i zostawię ją w sąsiedniej komnacie.

– Niech będzie – rzekł po chwili namysłu Pappacoda.

– Musicie zostać z królową, gdy na chwilę wyjdę, aby zażyć owo antidotum – pouczał go di Matera.

– Bene. Zostanę potem z wami aż do zgonu. To znaczy, jak długo?

– Trudno przewidzieć: dzień, dwa, może nawet trzy? Połowa dozy nie zabija od razu. Inaczej nie odważyłbym się narażać siebie... – dodał.

Burgrabia skinął głową.

– Rozumiem. Obaj musimy mieć dużo czasu. Tedy do jutra?

– Do jutra.

Spotkali się przy łożu chorej następnego dnia rano i obaj musieli stwierdzić, że czuła się lepiej, że wydawała rozkazy mocniejszym, choć wciąż jeszcze zachrypniętym głosem.

– Jesteś pewna? – pytała Marinę. – Hrabia obiecał przysłać karła? To dobrze, zabawi mnie. Przekłety kaszel! Rób coś, dottore! – zwróciła się do di Matery. – Gotowam dostać zapalenia oskrzeli, a może nawet płuc. Kłuje mnie w lewym boku.

Medyk przysunął się ze srebrnym kubkiem w rękę.

– Właśnie przyniosłem nowy lek. Podobno czyni cuda. Wyjęła mu lekarstwo z rąk i powąchała złoisty płyn mający jej powrócić zdrowie.

– Wygląda nieźle i nie cuchnie – orzekła. – Bene. Spróbuj. Jeden tyk. A teraz drugi...

Przyglądała się z uwagą pijącemu, przygadując:

– A, krzywisz się? Co dottore? Niedobre? Bardzo niedobre?

– Gorzkie – przyznał. – Ale rękę, że skuteczne.

– Trudno. Daj! – westchnęła. – Muszę wstać przed końcem tego tygodnia.

Przetarła brzeg kubka jedwabną chusteczką i, nie zwlekając już, wychyliła jego zawartość aż do dna.

Obaj mężczyźni i dworka nie spuszczała oczu z ręki, która zwróciła medykowi pusty kubek.

– Gdyby najjaśniejsza pani mogła teraz zasnąć? – odezwał się pierwszy di Matera. – Ten lek

działa także uspokajająco, nasennie...

– Spać teraz, po niezłe spędzonej nocy? Nie wiem, czy potrafię, ale jeżeli to konieczne...

– Si – zapewnił.

– Bene. Spróbuję. Ale obudźcie mnie, kiedy przywiozą karła! Chcę go zobaczyć, i to prędko, presto, presto!

Skłonili się obaj i di Matera zaczął iść spiesznie w stronę drzwi do sąsiedniej komnaty. Pappacoda był jednak szybszy: wyprzedził go i przekręciwszy klucz w drzwiach wsunął go do kieszeni. Stali teraz przed sobą twarzą w twarz. Oczy medyka najpierw wyrażały tylko zdumienie, potem śmiertelny lęk. Spojrzał na Marinę, jakby z jej strony spodziewał się ratunku, ale dworka stała tyłem do drzwi, otulając szczelniej drzemiącą już królową. Prerażony chwycił za ramię Pappacodę, szepcząc:

– Na Boga! Wiecie sami, że muszę tam wejść. Muszę! Antidotum...

Ale burgrabia odparł równie cicho, choć stanowczo:

– Nie potrzebuję aż tylu świadków...

Medyk zbladł i jego obie ręce uczepliły się złotego łańcucha burgrabiego.

– To morderstwo – syknął.

– Tedy krzycie! Krzycie! – drwił wspólnik. – Powiem, kto podał kielich.

– Nie ma... ani chwili... do stracenia... – jęczał już di Matera.

Pappacoda przyjrzał mu się z niepokojem i nagle spytał:

– Czy ona za chwilę także nie będzie mogła mówić?

– Błagam! Piecze... Pali... Litości... – żebrał medyk słaniając się na nogach.

– Odpowiadajcie! Prędziej! – nalegał burgrabia, ponieważ jednak di Matera zaczął już charczeć, otworzył pośpiesznie drzwi do garderoby królowej i wepchnął tam mdlejącego.

Pochylił się jeszcze nad leżącym na posadzce, aby zmusić do dania odpowiedzi, ale było już za późno: medyk stracił przytomność. Jednocześnie z sypialni dobiegł do niego krzyk królowej:

– Marina! Zapadam się! Zapa...

I zaraz potem usłyszał wołanie dworki:

– Prędziej, prędziej! Ona traci głos...

– Tak, idę! – odkrzyknął.

Zamknął drzwiczki garderoby i zbliżył się do łoża. Twarz Bony była skrzywiona, ze spuchniętych ust wydobywało się to samo charczenie, które słyszał przed chwilą. Dotknął dłoni, potem ramienia królowej, nie czuła już jednak nic, nie uniosła powiek. Dopiero wtedy wyjął z kieszeni klucz i złożony we czworo pergamin, podszedł do drzwi sąsiedniej komnaty i zniknął na chwilę. Kiedy powrócił, szło za nim dwóch pokojowców i Włoszka z fraucymeru Bony. Ujrzawszy wchodzących, Marina stanęła przy wezglowiu i nieznacznie wsunęła lewą rękę pod poduszkę. Dworacy zatrzymali się blisko drzwi, wpatrzni w Pappacodę, który zaczął wyjaśniać:

– Królowa nasza nagle zasłabła. Lekarz, który wyszedł po nowy, skuteczniejszy lek, stwierdził atak serca. Principessa czując się źle, pragnie na wszelki wypadek złożyć podpis na

sporządzonym uprzednio testamencie, który to dokument w obecności waszej, jako świadków, odczytam teraz.

Rozłożył pergamin i zaczął czytać włoski tekst wyraźnie i głośno:

„Ja, Bona, Dei gratia regina Poloniae, magna ducissa Lithuaniae et domina Masoviae, principessa Sforza D’Aragona zapisuję księstwa Bari i Rossano oraz dobra Modunio i Pali synowi cesarza Karola Piątego Filipowi Drugiemu, Habsburgowi”.

Przerwał i spojrzał w stronę łoża. W tejże chwili poduszka poruszona ręką Mariny uniosła się nieco w górę i królowa wykonała potakujący znak głową. Burgrabia podjął czytanie na nowo:

„Zapisuję ponadto królowi Hiszpanii Filipowi sumę dłużną 430 000 dukatów w złocie i unieważniam uprzednie umowy dotyczące tych sum neapolitańskich”.

Znów przerwał, a obecni stwierdzili, że królowa daje znak potakujący lekko uniesioną głową, choć wciąż nie otwiera oczu. Ktoś westchnął, ale nikt nie odważył się wypowiedzieć ani słowa i Pappacoda czytał dalej:

„Syna mojego, Zygmunta Augusta, króla Polski i Wielkiego Księcia Litwy obdarzam wszystkimi moimi dobrami w Koronie, na Mazowszu, na Litwie i w Księstwie Pińskim, a ponadto klejnotami, które zostały w Warszawie. Córkom: Annie, Zofii i Katarzynie zapisuję po 50 000 dukatów jednorazowo, a Izabeli – 10 000 rocznie. Wiernemu słudze mojemu Gian Lorenzo Pappacodzie – zapisuję jako legat dobra Noja i Triviano, stajnie z końmi oraz wszystkie naczynia srebrne i złote znajdujące się w Bari”.

Na znak potakujący zbliżył się do łoża i ująwszy rękę królowej wcisnął między jej palce przygotowane zawczasu gęsie pióro.

– Miłościwa pani zechce podpisać – rzekł. – Pomogę. Tak, dobrze. „Bona, regina Poloniae”.

Odwrócił się od razu ku zebrany i podnosząc do góry dokument, aby go wszyscy zobaczyć mogli, oświadczył:

– Życzeniu Jej Królewskiej Mości, naszej umiłowanej principessy, stało się zadość. Dziękuję w jej imieniu wam, jako świadkom. Akt datowany jest: dnia 17 listopada 1557 roku.

Wycofali się w niskich ukłonach, a gdy tylko znikli za drzwiami. Marina cofnęła ramię. Głowa królowej obsunęła się nisko na poduszki, ale ręka pozostała tam, gdzie ją położył Pappacoda.

– Zdążyliśmy – rzekł. – Teraz będzie spać, dopóki nie obudzi jej ból. Di Matera twierdził, że może konać trzy dni. Serce ma mocne.

– A on sam? – spytała po chwili Marina.

– Wypił mniej niż połowę, tedy pożyje jeszcze dni cztery, pięć...

Zamknijcie tę komórkę na klucz. Nikt nie powinien tam zaglądać.

– Si – przytaknęła.

– Sądzę, że principessa umrze nieświadoma tego, co zaszło. Gdyby jednak choć na chwilę odzyskała przytomność, wołajcie mnie. Będę czuwał w sąsiedniej komnacie.

– A biskup? Jeżeli zechce z nią mówić...?

– Od naszych świadków nikt nie dowie się o niczym, a chora... Może poczuć się na tyle lepiej, by nie życzyć sobie żadnych odwiedzin, zwłaszcza duchownych, chętnych do mówienia o śmierci, o przygotowaniu się do niej. Zresztą z posłami czy też gońcami będę rozmawiał sam. Wy nie odchodźcie od łoża ani na krok.

Rozejrzała się po sypialni, po barwnych obiciach, cennych kobiercach.

– Ale to wszystko moje? Moje? – nalegała.

– Nie zwykłem łamać danego słowa – mruknął.

Tej nocy dworka spała mocnym snem wtulona w fotel stojący przy łożu. Nie obudziła obu kobiet nawet sygnaturka z zamkowej kaplicy i dopiero głód postawił Marinę na nogi. Sięgnęła po przygotowane poprzedniego dnia pieczywo, sery, wino i owoce, a potem podeszła do łoża. Królowa leżała w tej samej pozycji, tylko głowa przechyliła się na bok i policzek zasłaniały koronki poduszek. Dotknęła jej palców: były jeszcze ciepłe, choć już bezwładne. Dopiero wtedy zaczęła rozglądać się uważnie, obchodzić dookoła wielką sypialnię. Sekretarzyk wykładany perłową macicą... Zanim wejdzie tu Pappacoda, ona zdąży zabrać i schować szkatułkę z klejnotami. Zapomniał je wymienić w testamencie, a „złoto i srebro” – to przecież nie drogie kamienie.

Podniosła rzeźbione wieko szkatuły i zanurzyła z rozkoszą dłonie w zimnych łańcuchach wysadzanych szafirami, w diamentowych koliach, w bransoletach i wisiorach. Czerwień rubinów, zieleń szmaragdów, fiolet ametystów... Będzie mogła odtąd nie tylko całe życie spędzić w Bari, ale także aż do śmierci cieszyć się widokiem tych szlachetnych kamieni, ich blaskiem i rzadką urodą.

Zdjęła z ramion szal i owinęła nim szczelnie rzeźbioną szkatułkę. Zaraz potem zaczęła zdzierać cenne makaty ze ścian i związać jedwabne kobierce. Nie śpieszyła się nawet, a jednak niecierpliwie ręce musiały drżeć, bo wyciągając spod stolika turecki dywanik, potrąciła stojące obok krzesło. Wywróciło się z hukiem i serce w niej zamarło. Od strony łoża usłyszała dobrze sobie znany, gniewny, choć słaby głos:

– No! No! No!

Patrzyły na siebie przez długą chwilę. Marina trzymająca w ręku zwinięty w rulon dywan i Bona usiłująca bez skutku usiąść w łożu. Jej głowa chwiała się, to opadała na poduszki, to unosiła znowu w górę, czarne oczy płonęły w pobladłej, spuchniętej twarzy. Mówiła głosem zmienionym, z wielkim trudem:

– Bestia... Vipera... Żmiję hodowałam na łonie... Rzuć to! Rzuć!

Wykonała ten rozkaz machinalnie, gdyż od lat nawykła do słuchania rozkazów, ale nie próbowała ani usprawiedliwiać się, ani bronić. A głos nakazywał:

– Wody! Wody! Ten lek pali mnie, zżera...

Po raz pierwszy okazała się nieposłuszna. Niemal pędem, porwawszy zawiniątko z klejnotami, przebiegła sypialnię i otworzyła drzwi do sąsiedniej komnaty.

– Signor Pappacoda! – krzyknęła.

Siedział przy oknie, ale zerwał się natychmiast, dostrzegłszy wzburzenie na jej twarzy.

– Ocknęła się? – spytał.

– Si, o si! I chyba... Chyba oszukał was di Matera.

– To być nie może! Chodźmy tam.

– Idźcie sami. Wróć za małą chwilę. Przeraziłam się tak, że muszę zebrać myśli...

Potrącił ją przechodząc i niemal wbiegł do sypialni. Ale i jego opanował strach, gdy ujrzał Bonę starającą się usiąść na łożu. Widział – nie wierząc – jak spuszcza nogi, jak próbuje iść w jego stronę boso, chwiejąca się, półprzytomna. Nie zrobił ani kroku w tamtą stronę, ale królową w tejże chwili opuściły siły. Uczępiła się kolumny podtrzymującej baldachim nad łożem i stała tak, przywarta do mahoniowego słupa, drżąc z zimna i bólu.

– Wody! – szeptała ochryplym głosem. – Wody!

Nie poruszył się, ale zaraz potem padł nowy rozkaz.

– Wołaj... Wołaj świadków! Chcę... sporządzić... testament... – bełkotała.

Zmusił się do unижonej odpowiedzi:

– Miłościwa pani zapomina, że... wczoraj przed zaśnięciem podyktowała i podpisała już własnoręcznie jeden testament.

Zaprzeczyła ruchem głowy, usiłowała zrobić krok naprzód i znów przywarła do kolumny, obejmując ją ramionami.

– Nie pamiętam... – szeptała. – Może... Ale no! No! To nie tak! Ja sama, sama... Teraz. Wołaj notariusza... Śpiesz się.

– Może jednak... – próbował przekonywać, ale krzyknęła głuchym, niskim głosem:

– Prędej! Poślij po niego! Presto!

– Wedle rozkazu...

Nie mógł powiedzieć nic innego, bo zląkł się, że Marina odgadła prawdę. Di Matera oszukał ich oboje, mógł ich oszukać, nie chcąc narażać siebie. Zanim więc wyszedł, zbliżył się do drzwi garderoby i zajrzał do środka. Nadworny medyk leżał na kamiennej posadzce wciąż jeszcze nieprzytomny, jego oddech był świszczący, przerywany. Patrząc na otrutego, burgrabia nie mógł oprzeć się odruchowi podziwu: „Starsza od niego, wypła więcej i zwlokła się z łoża. A on, on...”

Zamknął komórkę na klucz i dopiero wtedy rzucił się ku wyjściu, wołając:

– Marina! Wzywa was najjaśniejsza pani...

Ale gdy mijali się w progu, zdążył wydać polecenia:

– Ani kropli wody! I ani słowa o tym, co podpisała wczoraj.

– Przytomna? – spytała dworka.

– Aż nadto! Ale niech stoi! Niech zwali się z nóg! Warujcie z tej strony przy drzwiach i nie wpuszczajcie nikogo...

Notariusz Scipio Cattapano, przyjaciel i daleki krewniak Pappacody, nie zdziwił się wcale, zastawszy królową siedzącą w fotelu przy przysuniętym aż do fałd jej nocnej szaty niskim stoliku. Odbył przedtem dostatecznie długą rozmowę z burgrabia, aby wiedzieć, że principessa podpisała poprzedniego dnia, czując się źle, dokument, który podobno nie byłby po myśli króla Filipa, a teraz postanowiła go zmienić, krzywdząc jeszcze bardziej władcę Hiszpanii. Jako lojalny sługa Habsburgów, nie widział nic złego w tym, że zawrze z burgrabia Bari układ korzystny dla siebie, a być może w przyszłości i dla Filipa Drugiego.

Królowa była bardzo blada, obrzękła twarz postarzała ją o wiele lat, ale nie mogłby zaprzeczyć, że spisuje wolę kobiety w pełni władz umysłowych. Dziwił go tylko głos ochrypły, wymawiający z trudem każde słowo i dopominający się wciąż o odrobinę wody. Chciał nawet przerwać dyktowanie i spełnić jej prośbę, ale stojąca za swą panią dworka szepnęła:

– Lekarz zakazał pić ze względu na gardło.

Skinął głową i powrócił do pisania testamentu. Był to zresztą akt bardzo krótki, ponieważ królowa zapisywała wszystkie swoje dominia w Polonii i w Italii, a także klejnoty, srebro oraz złoto ukochanemu synowi i jedynemu spadkobiercy królowi Zygmuntowi Augustowi. Tylko córki otrzymywały skromne legaty, poza tym nikt z rodziny Habsburgów ani też z liczego dworu nie był wymieniony w tym dokumencie.

Podpisała go ręką tak drżącą, że nie miał już wątpliwości: principessa Bari była u kresu sił. Złożył swój podpis stwierdzający wiarygodność aktu i wstał, trzymając pergamin w ręku. Sądził, że królowa może udaremnić plan Pappacody, ale ona przymknęła oczy i nagle osunęła się tak nisko, że kolanami odepchnęła lekki stolik. Podszedł więc zgodnie ze wskazówkami burgrabiego do drzwi i tam wręczył mu dokument. Poza nimi dwoma i Mariną nie było w sypialni nikogo, kto by mógł potem zeznać pod przysięgą, że widział, jak notariusz wręczał Pappacodzie drugi testament królowej w zamian za sporą, bardzo ciężką sakiewkę...

Ledwo wyszedł, królowa otworzyła oczy i z ust jej wyrwał się ni to jęk, ni to skowyt. Zaczęła znów tracić równowagę, jej głowa opadła na piersi.

– O Dio! Co mi jest? – szepnęła. – Czuję się okropnie. Gdzie medyk? Wołaj di Matere.

– Kazałem go szukać. Zaraz będzie – rzekł Pappacoda.

– Niech ratuje. Słabo mi. W głowie zamęt – mówiła coraz ciszej.

– Pomogę miłościwej pani dojść do łoża – zaczęła Marina, ale królowa tracąc siły, nie straciła widać, pamięci, bo odepchnęła ją ostatnim, bezradnym ruchem dłoni. Zaczęła rzezić i burgrabia ująwszy ją pod ramiona, podciągnął w stronę łożnicy. Jej nogi były już bezwładne, ręce zwisały wzdłuż ciała. Tylko z ust wydzieriała się ciągle ta sama skarga:

– Pali... Pić... Och! Aa...

Z trudem dowlókł ją pod szkarłatny baldachim i obalił, zupełnie już bezsilną, na rozesłane łoże. Leżała na nim przez chwilę wijąc się w bólach i dopiero razem z Mariną zdołał ją ułożyć na wznak, przykryć prześcieradłem. Nie reagowała na nic, choć po chwili zaczęła szeptać:

– Strzeż się... Jadu... smoka...

– Bredzi? – zapytał Pappacoda.

– No – zaprzeczyła Marina. – Powtarza dokładnie słowa, które kiedyś w Bari powiedział jej mag. Chyba zrozumiała? Wie...

– Czy to nie wszystko jedno? Teraz? – wzruszył niecierpliwie ramionami. – Mam pilną sprawę do załatwienia. Klucz od garderoby schowajcie dobrze. Zostawiam was tutaj samą. Pamiętajcie, to był bardzo ciężki atak serca...

Wyszedł, a Marina przysiadła na krześle, wpatrując się w konającą.

Minęło popołudnie, zmógł ją sen, a kiedy ocknęła się, była już noc. Ponieważ Pappacoda nie wracał, a królowa leżała nieprzytomna, nie jęcząc już nawet, dworka powróciła do przerwanej uprzednio grabieży.

Utworzone z szalów i prześcieradeł toboły wypełniły się wkrótce szczelnie makatami, świecznikami, haftowanymi złotem szatami królowej. Wszystkie jedwabie, futra, cenne kobierce znikły z sypialni, którą oświetlały tylko świece ze srebrnego lichtarza stojącego przy łożu. W komnacie było już prawie ciemno, ale Marina, wyjąwszy z kieszeni klucz, trafiła bez trudu do królewskiej garderoby. Di Matera, skręcony w kłębek, leżał pod ścianą, zdołała więc wepchnąć do wnętrza wszystkie toboły i znowu zamknęła drzwi. Była pewna, że przed rankiem nikt obcy nie wejdzie do sypialni, a po powrocie Pappacody mogła – za jego wiedzą i zgodą – przenieść wszystko do własnej komnatki. Ku jej zdumieniu, stało się jednak inaczej. Któryś ze świadków odczytywania pierwszego testamentu musiał opowiedzieć innym pokojowcom o śmiertelnej chorobie Bony i od świtu zaczęli wciskać się do sąsiedniej komnaty dworacy oraz służba królowej. Marina słyszała tupot wielu nóg, skrzyp przesuwanych mebli, gwar głosów. Stała w progu, ale nie spłoszyła pojawieniem się swoim nikogo. Rabował, kto mógł, i wynoszono wszystko, co dało się wyrwać ze ścian lub zdjąć z posadzek. Pożałowała, że nie wymogła na burgrabim więcej: urządzenia całego zamku, nie tylko samej sypialni. Stała jednak dalej w drzwiach gotowa bronić dostępu do łoża królowej, a zwłaszcza do jej garderoby. Wpuściła tylko starego masztalerza Gaetano, który prosił:

– Nie myślałem, że principessa umrze przede mną. Dajcie tylko popatrzeć. Ostatni raz...

Pozwoliła mu wejść, ale zaraz potem zamknęła drzwi i podeszła do łoża, aby zgasić świece.

Wstawał już dzień i stary sługa patrzył przez długą chwilę na nieruchome ciało, na umęczoną twarz. Ileż razy te usta wydawały mu rozkazy, rozchylały się w młodości w czarującym uśmiechu. Nie sądził nigdy, że przyjdzie taki czas, kiedy on, koniuszy principessy matki, będzie patrzył na spierzchnięte, obrzmiałe wargi polskiej królowej. Przyszło mu na myśl, że mógłby je zwilżyć, i zaczął rozglądać się za srebrnym kubkiem, ale nie znalazł żadnego naczynia poza szklaną karafką. Zniknął nawet ze stolika płonący do tej chwili świecznik. Zwilżył więc róg

prześcieradła i położył go na ustach chorej. Nie drgnęła nawet, krople wody zaczęły ściekać po jej brodzie, po szyi. Wciąż jednak czekał na jakiś znak życia i po długiej chwili... Ale nie było to powolne unoszenie powiek, tylko gwałtowne otwarcie oczu, w których był potworny, śmiertelny strach. Zaraz potem stały się puste, szkliste, martwe. Podeszedł jeszcze bliżej, pochylił nad łóżem i przesunął zgrubiałe palce po niedomkniętych powiekach. A że nie było już świecznika, otworzył okno, ułamał kawałek dachówki i, podniósłszy jedną z porzuconych na ziemi świec, przykleił ją do zagłębienia w skorupie.

Bona leżała teraz na łożu cicha, ze złożonymi przez niego rękami, a tuż przy jej głowie płonęła biała woskowa świeca. Chciał uczynić dla principessy coś jeszcze, ale w tej chwili za Mariną uchylającą drzwi przed burgrabią, runął tłum dworzan i pacholków, wynosząc z sypialni dosłownie wszystko: ozdobne skrzynie, ciężkie fotele, bogato rzeźbione stoły. Dziwiło go, że Pappacoda nie zakazuje rabunku, ale wołał nie pytać o nic.

Principessa nie miała w Bari krewnych ani bliskich, tedy po jej nagłej śmierci musieli rozdrapać wszystko, jak nie ci, to inni. Certo. Takie właśnie jest życie! Słyszał jeszcze, jak burgrabią pytał dworkę Marinę:

– Nie żyje?

– Ona? Już nie.

Przepychając się ku drzwiom, pokiwał osiwiałą głową.

– Si – mruknął. – Nie żyje.

Gdy wyszedł, burgrabia opadł na ławę w pobliżu drzwi do garderoby.

– Wynieśli już chyba wszystko – rzekł. – Zaraz będzie tu pusto. A di Matera?

– Jeszcze żyw – westchnęła, siadając przy nim. – Czemu nie było was tak długo? Można było zapobiec grabieży.

Spojrzał na nią z leciutką drwiną.

– Czyjej? – zapytał, a ponieważ milczała, dorzucił: – Im więcej z tych ludzi będzie miało coś na sumieniu, tym łatwiej okiełznam ich potem. Ważniejsze, że zdążyłem zgłosić wczoraj oficjalnie do królewskiego urzędu pierwszy testament. Tylko pierwszy.

– Co zrobicie z drugim? – spytała po chwili.

– Schowam go tak dobrze, że posłowie królewscy z Krakowa znajdą go dopiero po mojej śmierci albo wcale.

– Finalmente w Bari. Już na zawsze... – westchnęła znowu Marina, lecz tym razem było to westchnienie ulgi.

Pappacoda wyciągnął ku niej rękę.

– Klucz! – mruknął.

Zanim wykonała polecenie, przypomniała z naciskiem.

– Wszystko, co znajdziecie za drzwiami garderoby, należy do mnie. Tylko medyk jest wasz.

Skinął głową.

– Niech i tak będzie. Nic mi po niewieścich strojach i koronkach.

*

Pappacoda wydał ucztę dla wszystkich dworzan tego samego wieczoru, zanim jeszcze powiadomiono biskupa Musso i wysłano gońców do Polski oraz do Rossano, a była to uczta podobna bardziej do hucznego festynu niż do żałobnej stypy. W zamkowej sali jadalnej stały długie stoły poowijane płótnem, na których piętrzyły się góry mięsiwa, wszelakich ciast, serów i owoców, przetykane gęsto dzbanami z winem. Nie było na tej wieczerzy srebrnej zastawy ani cennych pucharów, za to nie brakowało świec wyszarpiętych z żyrandoli w całym zamku. Izba gorzała od światła, siedzący na fotelu obok Mariny burgrabia przepijał łaskawie nie tylko do dworaków, ale także do pokojowców i służby. Wznosili tedy coraz gorliwiej jego zdrowie, pili na umór i, postawiwszy świeżo przywiezionego karła na stół, uczynili go honorowym podczaszym. Karzeł był młody, niebrzydki i dworki podsuwały mu nie tylko kubki, ale także zaróżowione policzki, do których przytulał chętnie twarzyczkę dziecka. Dzbany krążyły nad stołem, obok stołów, wyrywano je sobie z rąk. Ochota była coraz większa, gwar głosów zagłuszał dźwięki kapeli, która miała przygrywać do uczty, ale cichła, w miarę jak grajkowie pijący dotychczas na puste żołądki zaczęli przypinać się do smakowitego jadła. W chwili, gdy hałas stał się już zbyt wielki, Pappacoda uderzył trzonkiem łyżki w swój kielich, jedyny ocalały z grabieży, i nagle uciszyli się wszyscy.

– Silenzio! – zawołał. – W dniu dla nas tak osobliwym pragnę podzielić się z oddanymi przyjaciółmi i sługami ważną nowiną. Król Hiszpanii, łaskawie nam teraz panujący Filip Drugi, raczył mnie mianować od dziś jedynym burgrabia tego zamku i komisarzem księstw Bari oraz Rossano. Mam zatrzymać przy sobie tych dworzan, których zechcę, a najwierniejszym ze sług dać sowite nagrody.

Przerwał mu radosny gwar, ale natychmiast ucichł, oczy biesiadników przykuła bowiem zwykła, drewniana taca, na której dworka Marina podawała w tej chwili burgrabiemu stos sakiewek wypełnionych złotymi monetami.

– Masz! – krzyknął Pappacoda, rzucając pierwszą z nich jednemu ze świadków spisywania testamentu. – I ty! I ty! Si, pamiętam, ty także. A kto prznosił trumnę do kaplicy?

– My! – ozwały się głosy z końca stołu. – I Gaetano.

– Bene! Łapcie! Wy także, piękne signoriny! Macie, macie, macie! A teraz wina! Dla wszystkich!

– Niech żyje nasz burgrabia! – darły się pijane głosy.

– Wasze zdrowie, przyjaciele! – wznosił kielich Pappacoda i tym razem przepił do Mariny. Odpowiedziała mu uśmiechem i sięgnęła upierścienioną ręką po kubek.

– E viva Bari! – zawołała. – Nasze słoneczne, najpiękniejsze na świecie Bari!

Ten toast przyjęto tak wielkim krzykiem, że Pappacoda, widząc walących się pod stół, dał znak kapelmistrzowi.

– Grajcie! – rozkazał. – Poprowadzi farandolę najsmuklejsza signorina z najmniejszym z

signorów. Złaź, karle!

Prawie strącił karzełka na posadzkę i podał jego rączkę siedzącej przy sobie dworce Beacie. Biesiadnicy zaczęli porywać się od stołu i po chwili barwny korowód otoczył burgrabiego z Mariną. Taniec był gorący, południowy, ruchy ciał coraz bardziej swobodne, chwilami bezwstydne.

– Vivo! Vivace! – Pijani winem, nagłym wzbogaceniem się i pochwałami dawali wyraz niekłamanej radości.

E vero! Piękne jest Bari! Piękna jaskrawo oświetlona na ich cześć zamkowa sala! A nade wszystko jakże piękne jest życie. Si, o si! Życie pod łaskawym niebem południa.

Zamkowa kaplica była naga i pusta, na jej kamiennej posadzce stała tylko trumna z nieheblowanych desek. Obok niej paliła się jedna jedyna świeca, tak źle osadzona w ogrodowej doniczce z ziemią, że chyliła się coraz bardziej, aż wreszcie przewróciła się na bok. W tej właśnie chwili drzwi skrzypnęły i stanął w nich pijany Gaetano. Dostrzegł płomień, zbliżył się, oderwał świeczkę od osmalonych już desek i przez czas jakiś stał, chwiejąc się na nogach, zapatrzony w trumnę. Czegoś mu na niej brakowało, bo przyjrząwszy się uważniej doniczce, zaczął kreślić jej brzegiem koślawy znak krzyża na powierzchni wieka. Dopiero wtedy, z trudem zachowując równowagę, pochylił się i ustawił płonąca świecę nieco dalej, tuż przy stopniach ołtarza świętego Mikołaja. Wówczas to kilka złotych monet wypadło z mieszka sterczącego z kieszeni i potoczyło się w stronę trumny. Zaklął usłyszawszy brzęk metalu i najpierw przysiadł, a potem zaczął pełzać po kamiennej posadzce zbierając dukaty. Sapał, ocierał rękawem pot z czoła, ale nie ustawał w poszukiwaniach. Zajęło mu to tyle czasu, że uczujący słudzy musieli zauważyć jego nieobecność, gdyż wołać zaczęli ochrypłymi głosami:

– Gaetano! Gaetano!

Usłyszał, podźwignął się z trudem i doszedł na niepewnych nogach do drzwi kaplicy. Mocując się z nimi, mrucał:

– Przecież idę. Idę...

Chwilę jeszcze stał w progu ogłuszony wybuchami śmiechu, gwarem i dźwiękami kapeli, wreszcie zatrzasnął za sobą odrzwia.

Kaplicę zaległa znów martwa cisza. Pozostała w jej murach samotna, uboga trumna, a przy niej dopalająca się świeca, której blask padał teraz na posadzkę, na zgubioną przez pijanego sługę złotą monetę. Na jeden jedyny dukat – nędzny ślad po legendarnych skarbach królowej Bony, władczyni rządnej i mądrej, gwałtownej i namiętnej, ale przez nikogo nie kochanej...